



# KSIĘGA SMOKÓW

Ewa Białotęcka

Anna Brzezińska

Maja Lidia Kossakowska

Iwona Surmik

Izabela Szolc

Maciej Guzek

Tomasz Kotodziejczak

Marcin Mortka

Jacek Piekara

Krzysztof Piskorski

Michał Studniarek

Wit Szostak

Ewa Białołęcka, Anna Brzezińska, Maja Lidia Kossakowska, Iwona Surmik,  
Izabela Szolc, Maciej Guzek, Tomasz Kołodziejczak, Marcin Mortka, Jacek  
Piekara, Krzysztof Piskorski, Michał Studniarek, Wit Szostak

# Księga smoków

RUNA

Wydanie I  
Warszawa 2006

"Szczeniak" copyright © 2006 by Ewa Białołęcka  
"Po prostu jeszcze jedno polowanie na smoka" copyright © 2006 by Anna Brzezińska  
"Smok tańczy dla Chung Fonga" copyright © 2006 by Maja Lidia Kossakowska  
"Łzy smoka" copyright © 2006 by Iwona Surmik  
"I to minie" copyright © 2006 by Izabela Szolc  
"Zmiana" copyright © 2006 by Maciej Guzek  
"Smoczy biznes" copyright © 2006 by Tomasz Kołodziejczak  
"Smok, dziewczica i salwy burtowe" copyright © 2006 by Marcin Mortka  
"Śmietnikowy dziadek i Władca Wszystkich Smoków" copyright © 2006 by Jacek Piekara  
"Dar dla cesarza" copyright © 2006 by Krzysztof Piskorski  
"Mój własny smok" copyright © 2006 by Michał Studniarek  
"Raport z nawiedzonego miasta" copyright © 2006 by Author  
Copyright © for the cover and interior illustrations by Anna Augustyniak

Wszelkie prawa zastrzeżone All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Studio Libro

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Jadwiga Piller, Maria Kaniewska

Skład: Studio Libro

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2006

ISBN: 83-89595-30-3

ISBN: 978-83-89595-30-0

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA

A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: [runa@runa.pl](mailto:runa@runa.pl)

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

[www.runa.pl](http://www.runa.pl)

Konwersja: [NetPress Digital sp. z o.o.](#)

# Ewa Białołęcka

## SZCZENIAK

### Dzień pierwszy

Panuje powszechne przekonanie, że dla Miejskich Oddziałów Drakonizacyjnych (w skrócie MOD) pracują zapaleńcy, młodziaki, którym trudno usiedzieć na jednym miejscu, popaprańcy wszelkiej maści, synowie siódmych synów lub nawet jeszcze gorzej. Natomiast sami smokerzy są zdania, że nie masz to jak nudny, rutynowy patrol, kiedy absolutnie nic się nie dzieje, po którym wraca się na posterunek, żeby w spokoju wypić herbatę pieprzową. Jak wiadomo, herbatka pieprzowa jest napojem prawdziwych twardzieli, co to, jak w ludowej piosence, "i smoka rozumia, i w mordę dać umia", tylko zwykle im się nie chce.

Posterunek MOD-u w Łomnicy nie był w tej kwestii wyjątkiem.

Pani Pumparak potoczyła wzrokiem po izbie, sprawdzając, czy wszystko w porządku. Kiedyś zwano ją "Bezlitosną Luaną", teraz smokerska załoga zwracała się do niej z szacunkiem "pani kapitan". Oczywiście prócz tych smokerów, którzy mówili do niej "mamo".

Ogłędziny wypadły pomyślnie – plansze pogładowe, przedstawiające rodzaje smokowatych i rozmaite pseudosmoczyska, wisiały równiutko na ścianach, a wypchane łby zombaka, pofrunek (pomorskiej i leśnej) oraz wywerna krótkorogiego były starannie odkurzone, podobnie jak zabytkowy typ garłacza dwulufowego w gablotce. Wieść gminna niosła, że należał swego czasu do jakiegoś księcia, czy może nawet króla, a został podarowany tutejszym smokerom po

udanym polowaniu w łomnickich borach. Bezlitosna Luana chrząknęła z aprobatą, kiwając głową do swojego syna, polerującego w kącie służbową szablę. Drugi z jej synów aktualnie odbywał patrol, a synowa robiła remanent na zapleczu, licząc smokerskie skórznie, rękawice, kaski, cięciwy do kusz i tym podobne rzeczy. Wszystko było jak należy, wszystko prawidłowo. Pani kapitan sięgnęła do stosika "spraw bieżących" po leżący na wierzchu list. Złamała pieczęć, podniosła do oczu szkła i przebiegła wzrokiem tekst. Zmarszczka między jej brwiami się pogłębiła.

– Lin, przysyłają nam praktykanta – powiedziała z rozdrażnieniem. – Co za pech. Wyniańczyłam ośmioro własnych i mam dość niańczenia cudzych!

– A dopiero co pozbyłaś się tego poprzedniego – mruknął Lin ze swego kąta.

– To był wypadek! – odparła z naciskiem pani kapitan.

– Mamo, zrobienie dziecka córce burmistrza nazywasz wypadkiem?

– A jak byś to nazwał? Celowym działaniem?

– Mamo, ale to ty ich sobie przedstawiłaś na pikniku dobroczynnym, prawda? – Smoker nie dawał za wygraną. – I bardzo się starałaś, żeby sobie przypadli do gustu. To podpada pod działanie na szkodę pozwanego. Z premedytacją.

Pani Pumparak ściągnęła usta w dziobek i milcząc, uniosła wzrok ku powale. Linus Pumparak uznał, że lepiej zmienić temat, nim zostanie zagoniony do karnego cerowania sieci na pofrunki. Matka stawała się drażliwa, kiedy na dworze padało i jej poraniona przed laty noga przypominała sobie o starym bólu. – To kiedy będzie ten nowy?

Bezlitosna Luana z dezaprobatą siąknęła nosem, spoglądając na daty.

– Wygląda na to, że dziś.



**Dzień pierwszy, dziesięć minut później**

Vortaro Ney był pewny siebie. Bardzo pewny siebie. A w każdym razie taki usiłował być. Przez całą drogę do Łomnicy powtarzał sobie, niby litanie do Świętego Młota, uzyskane na egzaminach oceny, na przemian z fragmentami podręcznika "Smokologia teoretyczna we czternastu rozdziałach przystępnie wyłożona, ze dwudziestoma rycinami kolorowymi" pióra Fazeola Wantesco. Żeby być już całkiem ścisłym, panu Neyowi było strasznie niedobrze i miał nadzieję, że to skutek trzęsącego niemiłosiernie dyliżansu, a nie zdenerwowania. Do licha, był najlepszy na roku! No dobrze, drugi z kolei, ale tak czy owak, to się liczyło!

Łomnica, oglądana przez kogoś, kto studiował w stolicy, przedstawiała się jako wzorzec prowincjonalizmu – ryneczek wybrukowany kocimi łbami, na który woźnica zajechał z zabójczą dla kiszek fantazją, jedna gospoda, kilka straganów oferujących jarzyny i ryby pod płóciennymi daszkami, jak okiem sięgnąć domki niziutkie, co najwyżej z jednym piętrem. Ot, szewc... ot, szyld krawca i kapelusznika zarazem. Vortaro wiedział jednak z lekcji geografii, że to właśnie Łomnica leży na skraju terenów o największym zagęszczeniu gatunków smokowatych i właściwie można to małe miasteczko uznać za bramę do smoczego królestwa. Pracę w Łomnicy dostawali najlepsi smokerzy, praktyki – najlepsi studenci (albo ci drudzy z kolei, jeśli pierwsi złamali rękę tuż przed wyjazdem). Praktykant zszedł po schodkach dyliżansu i rozejrzał się po miejscu, które na najbliższy rok stanie się jego domem. Albo czymś w rodzaju domu. Namiastką. Przechowalnią. Piekłem... Było pochmurno, mżyło, a miasteczko nie sprawiało szczególnie przyjaznego wrażenia. Ney westchnął, garbiąc ramiona. Jakiś nieuważny podróżny potrącił go, przechodząc obok, i warknął coś o "próżniakach tarasujących drogę". Vortaro postanowił wziąć się w garść. "Byłem najlepszy na roku. Prawie najlepszy. Jestem z Kodau, znam się na smokach. I sobie poradzę!" W miarę jak wypowiadał w duchu te pocieszające słowa, prostował plecy i unosił hardo podbródek. Przed gospodą stał słupek uwieńczony skrzydełkami drogowskazów: "Ratusz", "Medyk", "Łażnia", jeden uprzejmie głosił "MOD", a pod spodem ktoś jeszcze bardziej

uprzejmie wyrył nożykiem koślawe "Do smokuf". Smokerskiemu praktykantowi nie pozostało nic innego, jak podnieść bagaż i poczłapać we wskazanym kierunku, brnąc przez kałuże.

Trafił bezbłędnie. Szyld nad drzwiami nie pozostawiał wątpliwości, a na wypadek gdyby ktoś się nie orientował, co oznaczają wielgachne litery MOD – obok dodano jeszcze równie okazałe malowidło smoczego łba. "Prawie najlepszy na roku" na pierwszy rzut oka rozpoznał kosmatą mordę lengorchiańskiego smoka właściwego. Deszcz zaczął padać mocniej, Vortaro popatrzył na mosiężną błyszczącą klamkę i dostał znowu okropnego ataku tremy. Prawdę mówiąc, najchętniej w tej chwili obróciłby się na pięcie i z podkulonym ogonem popędził z powrotem na stację dyliżansu, by wrócić do Kodau. Kodau, gdzie była cywilizacja, za to **nie było** wysokich jak dęby mężczyzn w przepoconych skórzanych kubrakach, rzucających niezrozumiałe zdania w tajemnym języku smokerów i strzykających śliną zieloną od przeżuwaną dihy. Z pewnością za tymi drzwiami czekała cała armia bysiowatych nieprzyjemnych typków, traktujących **nowego** jak coś w rodzaju gadającej wycieraczki. Zóltodzioba, który wypełniając przed laty kwestionariusz przyjęcia na wydział smokologiczny, naiwnie wpisał w nim "lubię smoki". Tak, Kodau z tej perspektywy zyskiwało nowe, miłe cechy. Ale smoka można tam było obejrzeć jedynie w zoologu. I to z kolei przeważało szalę na korzyść Łomnicy.

– No nie, opanuj się. To w końcu tylko praktyka – wymamrotał Vortaro, ruszając energicznie po schodkach.

Zanim jednak zdążył nacisnąć klamkę, pośliznął się na mokrym stopniu, rąbnął czołem w dźwierze posterunku i z dużym impetem wpadł do środka, w ostatniej chwili chwytając się futryny, co uratowało biednego młodzieńca przed ostateczną kompromitacją. Co prawda zawisł na niej niezgrabnie, ale przynajmniej nie rozpląszczył się na podłodze. Oddychając ciężko, skulił się wewnątrz, oczekując huraganowego śmiechu i docinków, ale na posterunku panowała cisza. Za dużym stołem, zarzuconym papierami, siedziała jakaś staruszka, obok niej stał



krępy, muskularny smoker z szablą w jednej ręce i szmatą w drugiej. Oboje badawczo przyglądali się niespodziewanemu gościowi.



### **Dzień pierwszy, cztery minuty wcześniej**

Pani kapitan wyjrzała przez okno, po czym skinęła palcem na syna i wskazała znaczącym gestem na zewnątrz.

– O wilku mowa – mruknęła.

Linus Pumparak również wyjrzał.

– Wilk? Wygląda jak bezdomny szczeniak, mamó. Żałośnie.

– Na deszczu każdy wygląda żałośnie. Może to klient? – wyraziła nadzieję stara smokerka.

Linus pokręcił głową. Chłopak przed posterunkiem nadal wpatrywał się z tępą rozpaczą w drzwi, obgryzając paznokcie. Średniego wzrostu, nawet w grubym płaszczu podróżnym wydawał się dość chudy i raczej niepokazny.

– I my z tego materiału mamy zrobić prawdziwego mężczyznę. – Bezlitosna Luana westchnęła.

– A burmistrzowi został już tylko syn... – dodał melancholijnie smoker.

– LINUS!

– Przecież ja nic nie sugeruję.

W końcu kandydat na prawdziwego mężczyznę zdecydował się wejść. Zza drzwi dobiegł łomot, jakby ktoś wpadł na nie całym ciężarem, otworzyły się z rozmachem, a przybysz omal nie wleciał do środka głową naprzód. Przez chwilę wszyscy obecni stanowili żywy obraz, który można by zatytułować "Niefortunne wejście", potem jednak czar prysł. Nowy złapał równowagę, ocenił sytuację, trzema wielkimi krokami zbliżył się do Linusa i prężąc się na baczność, wyrzucił z siebie:

– Panie kapitanie, praktykant Ney melduje się w celu... odbycia praktyki!

Oczy miał lekko wytrzeszczone i pełne zgrozy, aż smokera ogarnęła litość. Nerwowo coś ten mały, chyba mu będzie ciężko.  
– Nazywam się Pumparak i jestem sierżantem – objaśnił życzliwym tonem. Praktykant Ney rozluźnił się odrobinę.

– Miałem się zameldować u kapitana Ciapka, panie sierżancie...

– U kogo?! – wyrwało się Linusowi, a jego matka przyjrzała się przybyłemu, jakby oceniała rozmiary zabłąkanego karalucha.

– Znów to zrobił – odezwała się lodowatym tonem.

Praktykant pobladł.

– Ja...

– Nie ty! Linus, powiedz chłopakowi.

Sierżant odchrząknął.

– Praktykant Ney, słuchać i zapamiętać, bo nie będę powtarzał. To – palec smokera wskazał na siwowłosą damę obok – jest pani Pumparak, czyli Bezlitosna Luana, dla ciebie pani kapitan Pumparak, w najbliższych miesiącach będziesz ją szanował bardziej niż własną matkę i czcił bardziej od swojego boga, bo to pani kapitan decyduje, kiedy i czy w ogóle dostaniesz jeść, a nie bóg. Vortaro Ney, o ile to możliwe, zbladł jeszcze bardziej, z niepokojem patrząc to na sierżanta, to na panią kapitan. – Słyszałeś kiedy o Bezlitosnej Luanie?

– Bezlitosna Luana, pierwsza kobieta smoker, która rozpoczęła naukę w akademii na wydziale smokologicznym – wyrecytował szybko praktykant. – I ukończyła go z najwyższymi ocenami. Przydomek "Bezlitosna" zdobyła po rozprawie z bandą kłusowników... – Głos młodzieńca osłabł.

– Jednego wykastrowałam – powiedziała kapitan z satysfakcją. – Toporkiem.

Podeszła do ściany na prawo od wejścia, podpierając się laską. Utykała dość mocno, ale mimo podeszłego wieku nadal poruszała się energicznie.

– A jeśli chodzi o kapitana Ciapka... – uniosła lekko laskę – ...to nie istnieje. A w każdym razie nie jako kapitan, co to, to nie. Jest

za smarkaty na takie stanowisko. Rektor Toho wysłała tu dzieciuchy i każe się meldować Ciapkowi. Pewnie uważa to za **dowcip**. – Słowo "dowcip" wymówiła ze zgryźliwym skrzywieniem wąskich ust. Po czym zapukała w drewnianą okiennicę, która ni w pięć, ni w dziewięć znajdowała się dokładnie pośrodku ściany. – Kapralu! Pozwól tutaj!

Odzewu nie było, więc pani kapitan załomotała okutą rączką laski w drewno, które odpowiedziało głuchym echem, jak pusta beczka.

Później, kiedy Vortaro opowiadał o tym, co nastąpiło, używał określenia "największa niespodzianka w moim życiu", a potem zwykle dodawał: "ważyła mniej więcej sto litów".

Skrzydło okiennicy uchyliło się raptownie pod wpływem potężnego pchnięcia, a do izby wtargnął wielki, kosmaty łeb. Reszta zwierza nadal tkwiła za ścianą. Krwawe ślepia z irytacją zmierzyły obecnych. – Czego?! – Kapralu Ciapek... – zaczęła kapitan Bezlitosna.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Praktykant Ney, widząc zbliżający się ku niemu zębaty pysk, nie wytrzymał nerwowo, wrzasnął i zdzielił potwora torbą w nos. A była to dość ciężka torba.



### **Dzień pierwszy, trochę później**

Nieszczęsny Vortaro siedział w kącie na stołku, usiłując zajmować niewiele miejsca i nie rzucać się zbyt w oczy. Spodziewał się różnych rzeczy, przewidywał rozmaite trudności, nieprzyjemności, i raczej nie nastawiał się szczególnie optymistycznie do pobytu w łomnickim MOD-zie, ale to już była przesada! Smok w stopniu kaprala! Smok, który właśnie przeklinał na czym świat stoi, awanturował się i domagał uwagi oraz zimnych okładów na nos. Jeden nieprzemyślany gest i oto **były** praktykant Ney zostaje w niesławie odesłany do domu. Mimo świetnych wyników na egzaminach ze smoczej anatomii i eksperymentalnej hodowli pofrunki miniaturowej. I na nic też

nie przyda mu się wiedza o tym, że dał po pysku dorosłemu samcowi lengorchiana właściwego (w odróżnieniu od lengorchiana górskiego, mniejszego i nie tak interesującego).

Pani kapitan, zła jak szerszeń, znikła za drzwiami, najwidoczniej prowadzącymi na zaplecze, fukając gniewnie, że ma dość tej dziecinady, a sierżant nadal spierał się z rozeźlonym smoczyskiem. – Wielkie rzeczy! Zregeneruj sobie ten nos! Jesteś smokiem, u licha.

– Jestem cierpiącym smokiem! – ryknął z urazą kapral Ciapek.  
– Ona mi to robi celowo! Napuszcza ich na mnie!

Oskarżenie to było tak nietypowe, że Vortaro zapomniał na chwilę o swoich problemach, dźgnięty ostrogą ciekawości. – Kogo napuszcza? – wyrwało mu się bezwiednie.

– Studentów! – wyjaśnił smok, oburzony. – Za każdym razem to samo. Ona mnie woła, ja wyglądam i w tym momencie zaczyna się cyrk. Młodziaki wrzeszczą, mdleją, wieją przez okna razem z futryną... Któryś cisnął we mnie nożem! Myślałby kto, że jestem jakimś potworem! Vortaro zdobył się tylko na słabe: – Och...

– Powinienem dostać podwyżkę za trudne warunki pracy – oświadczył z wielką stanowczością kosmaty kapral.

– Czy to znaczy, że nie zostanę wyrzucony? – zapytał Vortaro ostrożnie, przełknąwszy ślinę.

Sierżant Pumparak roześmiał się serdecznie, wzięwszy się pod boki.

– Oj młody, musiałeś się nieźle wystraszyć, co? Nic się nie martw, ten przed tobą zemdlał.

– Więc to była taka próba?

– Tak, i okazuje się, że masz dobry refleks. W terenie, kto wie, czy to by ci nie ocaliło życia. Jeszcze zrobimy z ciebie smokera. A teraz zbieraj manatki i do magazynu, moja żona dobierze ci ten cały chłam, jaki musimy nosić.



Wyglądało na to, że posterunek smokerski w Łomnicy jest opanowany przez klan Pumparaków. Prócz Bezlitosnej Luany, służyło tu jej dwóch synów, córka i synowa, a trzech wnuków na zmianę biegało na posyłki i wykonywało drobniejsze prace na posterunku. W sumie dwudziestu ludzi rotacyjnie patrolowało okolicę na bardzo dużej przestrzeni, pełniąc nie tylko rolę kontrolerów smoczych populacji, ale też policji, choć ta ostatnia była funkcją nieoficjalną.

– To Łomnica nie ma własnej straży miejskiej? – zapytał Vortaro z niedowierzaniem.

– Oczywiście, że ma – odparła Nandi Dewan -Pumparak, mierząc mu szerokość ramion. – Ale dogadujemy się. Łatwiej pracować, kiedy jedni drugim przekazujemy, co w trawie piszczy. My im o ludziach, oni nam o smokach.

Smokerski ekwipunek składał się z solidnych jak końskie kopyta butów podbitych gwoździami, miękkich skórzanych spodni, które miękkie były tylko w teorii, zwykłej płóciennej koszuli i wierzchniego kaftana z przedziwnej kombinacji grubszych i cieńszych kawałków wołowej skóry, dopasowanych do siebie w taki sposób, że kojarzyły się nieco ze staroświeckim folgowym pancerzem. Z kolei przypasowanie tego majdanu do smokera wymagało cierpliwości i pewnej ilości sznurówek. Vortaro dotychczas widywał takie stroje na rycinach w podręczniku, no i oczywiście na paru lekcjach poglądowych w czasie studiów, natomiast nigdy nie doznał zaszczytu włożenia takowego. Prędko jednak zaczął się zastanawiać, czy to faktycznie jest zaszczyt.

– Och... czy wy to... nosicie ciągle? – stęknął, poruszając ramionami i usiłując dopasować się do smokerskiego uniformu.  
– A to co? Obroża?

– Oczywiście, że ciągle – zdziwiła się lekko Nandi, zapinając chłopakowi na karku szeroki na trzy palce sztywnik. Sama poruszała się w swoim stroju z niewymuszonym wdziękiem, jakby był jej drugą skórą. – To nie obroża, tylko ochraniacz na gardło. Przyduszony młodzian pomacał się po szyi.

– Emmm... Mam wrażenie, że to jednak nie bardzo chroni przed zagryzieniem, proszę pani.

– Przed zębami nie – zgodziła się Nandi – ale przed pętlą kłusownika na pewno. I da niewielką przewagę, kiedy jakiś zwierzak zaczepi pazurem. Trudno robić szablą czy strzelać, kiedy tryskasz krwią jak zarzynany prosiak.

Trudno było się nie zgodzić z takim rozumowaniem. A że każdy z tutejszych smokerów nosił swoje skóry ze swobodą i niejakim roztargnieniem człowieka odzianego w domowy szlafrok oraz pantofle, aspirant Ney postanowił zacisnąć zęby i przywyknąć. Nawet jeśli oznaczałoby to schodzenie żywej skóry płatami.



### **Dzień szósty, przedpołudnie**

Właściwie pobyt w Łomnicy przyniósł kandydatowi na smokera same rozczarowania – miłe i niemiłe. Do miłych należało to, że starszyczyna mu nie dokuczała (zanadto), odnosząc się do "młodego" z pobłażliwym lekceważeniem, jakim stare psy darzą rozdokazywane, hałaśliwe szczeniaki, ganiające własne ogony. Vortaro nie czuł się szczeniakiem, więc zżymał się w głębi ducha, snując marzenia, że kiedyś się wykaże i zasłuży choć na odrobinę szacunku u "dziadków". A to z kolei wiązało się z innym rozczarowaniem, rozdzierającym ego ambitnego młodziana. Otóż zamiast stawiać czoło różnym bestiom w rodzaju szablopyskiego zombaka, wywernów o morderczych szponach, albo przynajmniej **trochę** niebezpiecznych pofrunek, biedny student znów zakuwał. Romantyczne wyobrażenia o kontaktach smoczko-ludzkich na łonie przyrody poszły w cholerę. Rozgoryczony Vortaro ślęczał nad procedurami i zaleceniami, w guście "jak zwabić pofrunkę miniaturową, która siedzi na drzewie i nie chce zejść". Wątroba mu się od tego przewracała, i choć wciąż jeszcze był jakby z rozpędu wdrożony do uniwersyteckiej dyscypliny, przy nadrzewnej pofrunce w końcu nie wytrzymał nerwowo.

– Dlaczego ja muszę czytać te brednie?! Mam być człowiekiem od smoków, a nie od zdejmowania kotków z drzewa! – zakrzyknął z odrazą, odsuwając plik sfatygowanych papierzyk i odchylając się na krześle, aż zachybotало się na dwóch nogach. Bezlitosnej Luanie nawet brew nie drgnęła.

– Toteż nas wzywają do pofrunek, a nie do kotów – odparła głosem jak stal spowita w jedwab i natychmiast dodała: – Ile samców wywerna czarnego mamy na obszarze między jeziorem Sowim a Chłodnikiem? Nie podglądaj.

Ney sapnął przez nos.

– Osiem? – zaryzykował.

– Dwadzieścia osiem, razem z zeszłorocznym przychówkiem. Dziesięć dorosłych i osiemnaście roczniaków po pierwszej wylince – poprawiła smokerka. – Przychodzą ci do tej niecierplivej głowy jakieś wnioski?

Vortaro zerknął na mapę ścienną, szukając wzrokiem omawianego obszaru.

– Mają chyba za mało miejsca? – powiedział niepewnie. – Będą migrować... Emm... Odstrzały, pani kapitan...?

– Być może wydamy kilka pozwoleń na polowanie – zgodziła się nieco łaskawszym tonem Luana Pumparak. – Pracuj dalej. Aspirant pochylił się z powrotem nad dokumentacją. Nie miał innego wyjścia.



### **Dzień szósty, nadal przedpołudnie, ale późniejsze, mniej więcej pora herbatki**

Kiedy kapitan Luana, zwana nie bez przyczyny Bezlitosną, oraz sierżant Linus Pumparak z ponurymi minami stanęli nad aspirantem Neyem, poczuł on zimnołape mrówki, rojące mu się gdzieś w okolicy łopatek i w szybkim tempie migrujące aż na czubek głowy. Kapitan, opierając się na lasce, wbijała w praktykanta przenikliwe spojrzenie, a sierżant, zagryzając dolną wargę i marszcząc srogo ciemne brwi, gładził wolno rękojeść

szabli. Vortaro miał niemiłe wrażenie, że sierżant rozważa, czy nie skrócić go o głowę. – Sierzancie, co myślisz o naszym nowym nabytku? – odezwała się wreszcie pani kapitan.

– Bardzo dobry ten czajnik – powiedział sierżant, ni w pięć, ni w dziewięć.

– Mam na myśli tego tu. – Okuty koniec laski raptem znalazł się w okolicach żołądka aspiranta, który odruchowo wciągnął brzuch. – Leni się?

– No... nie powiedziałbym, że się jakoś mocno leni – odrzekł sierżant powoli.

– Umie chodzić?

– Powiedziałbym, że chyba już umie.

– Odróżnia smoka od psa?

– Odróżniam! – wtrącił z niepokojem Vortaro. Co się tu działo, u licha? – Cicho, mały! – skarcił go sierżant, odymając się.

Reszta smokerów, mających akurat wolne, w liczbie pięciu, z rozbawieniem obserwowwała tę scenę z boku.

– Pyskuje – stwierdziła Bezlitosna Luana.

– Pyskuje – zgodził się jej syn. – Młody, schył no się.

"Młody" schylił się niechętnie, a sierżant klepnął go płazem szabli w siedzenie. Wypadło to nawet dość boleśnie. Vortaro poczuł, jak krew mu uderza do głowy, a w oczach stają łzy upokorzenia. No nie, w najgorszych snach nie przypuszczał, że spotka go coś takiego! Nie wytrzyma! Przez chwilę nieszczęsny praktykant, purpurowy ze wstydu, zaciskał pięści, potem odetchnął głęboko i z trudem rozprostował palce. Nagle widzowie wszczęli rejwach. – Nie dał mu w pysk! Nie dał! – Ale chciał! Nie liczy się! – Liczy! Przegrałeś zakład! Dawaj, dawaj!

Sierżant parsknął śmiechem, nagle rozpogodzony, i wetknął szablę w objęcia Vortaro.

– Masz, jest twoja. Coś tak bużkę rozdziawił? Smoker bez broni jak smok bez chwosta. Zasłużyłeś.

Oszołomiony chłopak przycisnął szablę do piersi, jakby była



najcudowniejszym skarbem.

– I nie dąsaj się, bo tu każdy dostał żelastwem w tyłek, wszyscy jak jeden. Taka tradycja – dodała kapitan. – A skoro masz już broń i chodzić się nauczyłeś, więc pójdziesz dziś na patrol. Z kapralem Ciapkkiem.

Jak na zawołanie, boczna okiennica uniosła się, a w szparze pojawił się węszący nos.

– Dlaczego szczeniak ma iść ze mną? Luana, ty w sercu nie masz ani żdźbła litości – burknął kapral grymaśnie.

– Młody ma w papierach, że lubi smoki. Nie bój się, nic ci nie zrobi – zadrwił Linus.



### **Dzień szósty, popołudnie**

Co prawda wiosna nie rozpieszczała na razie nadmiarem słońca, ale między chmurami co rusz pojawiały się całkiem spore łaty czystego błękitu, a deszczyk popadywał z rzadka i ciepły. Nic, co by mogło zniechęcić "prawdziwego mężczyznę" do przechadzki. Łomnica robiła znacznie przyjemniejsze wrażenie. Przez ostatni tydzień Ney nie oddalał się zbyt od posterunku, ciężko harując. Dziś miasteczko wydawało mu się wręcz piękne, opromienione blaskiem niespodzianej nagrody, która wisiała młodziutkiemu smokerowi u pasa i obijała się o nogę, kiedy nie uważał. Pewnie wróci z obchodu z niezłym sińcem, ale nie dbał o to zupełnie, szczęśliwy tak, jak mu się to od dawna nie zdarzyło. Studenci akademii oczywiście mieli zajęcia z szermierki, ale to było coś zupełnie innego: posiadać własną broń i móc nosić ją na co dzień! Za to smoczy kapral był w znacznie gorszym humorze. Dotąd spełniał w MOD-zie funkcję lotnego patrolu, całymi godzinami unosząc się nad okolicą i z upodobaniem zbierając zarówno informacje służbowe, jak i zwykłe plotki. Wysłanie na spacer dokoła miasteczka z niewypierzonym młokosem potraktował jako niezasłużoną degradację. Patrol miejski smokerzy nazywali po prostu "spacerkiem", gdyż rzeczywiście tak to wyglądało. Zwykle nie było nic do roboty, poza kłanianiem

się mieszczuchom, załatwianiem mimochodem spraw z dostawcami i ogólnie pokazywaniem, że patrol w ogóle jest, co krzepiąco wpływało na morale społeczeństwa. Prawdziwą pracę wykonywało się poza zabudowaniami – w lasach i zarejestrowanych hodowlach. Oraz na comiesięcznych targach, gdzie sprawdzano, czy jakiemuś handlarzowi przypadkiem nie zaplątała się w towarach nielegalna smocza skóra. Ciapek nie lubił robić **nic**. Jeśli już musiał, to po prostu przesypiał czas nieróbstwa.

Na dodatek ten szczeniak, który pętał mu się pod nogami, ciągle zadawał pytania, jak do oporu nakręcona pozytywka. Wypytywał o to, w jakich okolicznościach Bezlitosna została ranna; jak w Łomnicy wygląda sprawa hodowli małych smokowatych gatunków, o stosunki z tymi dwiema rodzinami lengorchianów, które zaszyły się w łomnickich borach od południowej strony, i co **pan kapral** sądzi o monopolu rodziny Pumparaków na zawód smokera. O, znów zaczyna, kompletnie niezrażony powarkiwaniem i odpowiedziami półgębkiem. – Panie kapralu, mogę jeszcze o coś spytać? Nie! – wrzasnął Ciapek w myśli, ale głośno odparł: – Możesz.

Wyglądało na to, że Luana i Linus mają pewną słabość do smarkacza, co zresztą można było zrozumieć. Dwaj poprzedni byli koszmarne przemądrzali, a ich praktyki polegały głównie na usiłowaniach, by wykręcić się od tych mniej przyjemnych części smokerskiej profesji, jak na przykład czyszczenie stajni, konserwacja sprzętu albo ślęczenie nad nudnawymi zestawieniami rozrodu wywernów i analizowanie, jak to wpływa na liczebność zwierzyny płowej. Ten w porównaniu z poprzednikami sprawiał wrażenie słodkiego, gorliwego bęcwała.

Szczeniak z czułością pogładził blachę z wygrawerowanym numerem i smoczym łbem, przyszytą do kurtki nad lewą piersią. Popatrzył na ucho towarzysza, na którym wisiała identyczna blaszka, całkiem jak kolczyk.

– Panie kapralu, czy nie byłoby panu wygodniej nosić odznakę na obroży?  
Ciapek **nie nosił** obroży.

– Pewnie byłoby mi wygodniej, gdybym miał obrożę – warknął kapral. – A miałbym obrożę, gdybym był psem! A że nie jestem psem... – W gardle wzrastał mu nieprzyjemny hurgot, jakby wewnątrz smoka przesypywała się przyzma kamieni.

– Przepraszam, panie kapralu – bąknął zdetonowany aspirant. Smok parsknął z irytacją, ale postanowił nie ciągnąć dalej tematu przynależności rasowej. Dzieciak ma osiemnaście lat naprzeciw Ciapkowych siedemdziesięciu – toż to jakby dyskutować z jajkiem!

– Tędy – burknął, skręcając w uliczkę, prowadzącą z peryferii do centrum, na rynecek przy budynku na wyrost zwanym ratuszem.

Przebyli już połowę ulicy, kiedy kapral zatrzymał się jak wryty, skulił i odruchowo podwinął ogon pod siebie.

– Nie ma mnie! – mruknął do zaskoczonego chłopaka, dając nura za najbliższy parkan.

Mokre krzaki czeremchy zatrzęsły się, strącając z gałązek fontannę srebrzystych kropelek, a po sekundzie nie było już śladu, że w ogródku ukrywa się, bądź co bądź, stworzenie wielkości bez mała konia.

– Ahm... panie kap...

"Cicho! Idzie tu! Pamiętaj, mnie tu nie ma!" Vortaro potrząsnął głową; miał osobliwe, raczej niemiłe uczucie, że ktoś grzebie mu w niej lepkimi paluchami. Przez chwilę ogarnęło go nawet przelotne wrażenie, że to on sam tkwi w niewygodnej pozycji, skulony za czeremchą. A więc to tak wyglądało sławetne sprzężenie myśli, magiczny smoczy talent? Zanim jednak chłopak zdążył zapytać, co to wszystko właściwie znaczy i dlaczego kaprala Ciapka "nie ma", na horyzoncie zamajaczyła kolorowa plama damskiej parasolki. Zjawisko rzadkie w tych stronach, gdzie praktyczni mieszkańcy woleli używać peleryn, impregnowanych w mydle i jakichś tajemniczych ingrediencjach.

Parasolka była zielona z falbanką, a dołem pomykała następna kolekcja falbanek, zawierająca damę lat około trzydziestu. Najwyraźniej zielony był jej ulubionym kolorem,

nawet rękawiczki miała zielone.

– Ooo...! Cóż za spotkanie! Witam paana, właśnie miaałaam... Uwaga młodzieńca odpłynęła. Zdawał sobie sprawę, że kobieta coś do niego mówi, ale sens wypowiedzi wpadał mu jednym uchem i wypadał drugim, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Zza perłowych ząbków zielonej damy sączył się głęboki, aksamitny alt, przeciągała lekko głoski w tak niesłychanie erotyczny sposób, że w brzuchu mężczyzny nawet bardziej odpornego niż aspirant Ney wzbudziłoby to całe stada motyli. Oczy oszołomionego chłopaka błędziły na trasie pomiędzy uszmkowanymi wargami rozmówczyni a jej wyeksponowanym biustem i trzeba przyznać, że nie było w nich cienia trzeźwej myśli.

W końcu dama podała mu na pożegnanie urękawicznioną dłoń.

– Było mi bardzo miło, więc przyjdzie pan?

– Tak, tak... oczywiście, mnie również... bardzo miło – wybełkotał Vortaro.

Zielona dama rzuciła mu ostatnie powłóczyście spojrzenie, po czym oddaliła się pod swoją parasolką w wiosennej mżawce. Na niebie właśnie wykwiatał doskonały łuk tęczy.

– Ney! Ney, obudź się, łamago nieszczęsna! – Ciapiek uniósł łeb ponad krawędzią parkanu, odprowadzając niechętnym spojrzeniem kobietę, która była już tylko barwną plamką w oddali. – Nie znoszę tej baby.

Vortaro otrząsnął się jak pies obłany kubłem wody. – Dlaczego? Wydawała się... miła.

– Miła! – powtórzył ze zgorszeniem kapral, przełaząc z powrotem na ulicę. Stare drewno zaskrzypiało pod jego ciężarem. – Ta obłąkana samica, która zachowuje się, jakby była w ciągłej rui? – Och!

– Nie ochuj mi tu. Spała już chyba z każdym facetem powyżej czternastego roku życia w okolicy. Nawet ze mną próbuje flirtować, chociaż przecież jestem innej rasy. Obrzydliwe. Nie rób min, Ney, i zacznij myśleć. Pamiętasz, czego od ciebie

chciała? Na pocziwej chłopięcej twarzy praktykanta odbiło się zakłopotanie.

– Mam ją odwiedzić. W sprawie... W jakiejś sprawie służbowej?

Smok z politowaniem pokiwał nad nim swą wielką głową.

– Tak jak myślałem. Typowe objawy. Pani Chorczyk, wdowa po generale, hoduje pofrunki. Miniaturowe ozdobne i zwykłe. Miniaturki są oswojone, latały po okolicy i wracały do smokownika. Cztery duże cały czas są na wybiegu. Kilka dni temu jedna z pofrunek wróciła poraniona, na drugi dzień inna zginęła. Ktoś lub coś kręciło się też wokół zagrody pofrunek burych, zostawiając **wysoce niepokojące ślady**. Wszystkie od dłuższego czasu są bardzo zdenerwowane. Ot, robota dla smokera, sprawdzić, co łązi nocą do smoczków pani generałowej. Wypadło na ciebie.

– Na mnie? – Ney miał pewne wątpliwości. Przecież jeszcze nawet nie zdobył uprawnień. – Na ciebie, bo mnie tu nie ma – zakpił kapral.

– Dobrze, pójdę. Mogę iść wieczorem albo jutro – zaperzył się lekko chłopak. – Gdzie mieszka generałowa? – Tego też nie dosłyszałeś? Zapytaj na posterunku.

– Jak zapytam panią kapitan, to do generałowej pójdzie zamiast mnie pan kapral – odparł Vortaro, wykazując się logicznym myśleniem. – Mam takie dziwne przeczucie.

Ciapek obrzucił go wzrokiem pełnym namysłu, a jego szkarłatne ślepie błysnęły.

– Ulica Kasztanowa, dom z zieloną werandą, ostatni w szeregu, za pagórkem – powiedział. – Dam ci wolną łapę, jak nie wypapłasz Luanie. I jak się opanujesz na tyle, by nie wylądować w łóżku z generałową.



## **Dzień siódmy, bardzo późne popołudnie**

Wylądowanie w łóżku pięknej generałowej nie wchodziło w

rachubę. Znacznie wcześniej byłby to dywanik przed kominkiem, fotel, sofa, stolik herbaciany... Biedny aspirant Ney pocił się w swoim uniformie, choć wieczór należał raczej do tych chłodniejszych, a w duchu powtarzał sobie co chwila, że jest na służbie. Na szczęście jego męki hormonalne trwały krótko i skończyły się w momencie, kiedy generałowa zaprowadziła gościa poprzez zadbane ogród aż do smokownika. O ile Vortaro smoki lubił, o tyle generałowa Mów -Mi -Letycja Chorczyk po prostu je uwielbiała. Przy budce będącej siedzibą stadka pofrunek w kąt poszły wszystkie powłóczyście spojrzenia, epatowanie biustem i kuszące grasejowanie. Z "obłąkanej samicy", jak to nieelegancko określił kapral Ciapek, wyłoniła się całkiem sensowna kobieta, zaniepokojona stanem swoich pupili. Jak ocenił Vortaro, który sam miał swego czasu parkę, jej pofrunki były rewelacyjnymi okazami. – Wspaniałe! – wyrwało się chłopcu od serca, a generałowa zerknęła na niego z sympatią.

Cztery z ośmiu były z rodzaju błękitnych, dwie złote, a dwie stanowiły najwyraźniej potomstwo par mieszanych – złoto - błękitne z ciemnym, niemal czarnym deseniem na głowach i grzbiecie. Sądząc z rozmiarów, mniej więcej kruka, pochodziły z hodowli pod Kodau, czego Vortaro nie mógł nie dostrzec. Od razu też zauważył, że pofrunki są markotne. Małe smoki siedziały na swoich żerdkach pod daszkiem, zaciskając na nich szponiaste łapki i chwytne ogony. Miękką kolorową sierść, całkiem podobną do ptasiego puchu, stroszyła się na nich przy każdym głośniejszym dźwięku. Poćwierkiwały albo otwierały pyszczki, ziając niespokojnie i pokazując drobne ząbki. Ostatni samczyk leżał na legowisku z siana, apatyczny, z obandażowanym skrzydłem i ogonem. – Fachowa robota, proszę szanownej pani – ocenił smoker, obejrzawszy pozszywaną błonę pofrunkowego skrzydła. – Zostanie blizna, ale niezbyt wyraźna, i niedługo będzie mógł latać.

– Co to mogło być za zwierzę? – spytała właścicielka. Ney pogładził smoka po łebku.

– Trudno stwierdzić. Gdyby Łomnica była bliżej gór, stawiałbym na orła. Ale mógł to być nawet wilk albo i zwykły lis

– są całkiem skoczne, choć słyszałem tylko o dwóch przypadkach, kiedy pofrunka dała się zjeść lisowi.

– Ale jednak coś tu grasuje! Coś straszy moje małe, i coś na pewno pożarło Mikkę, skoro nie wróciła do domu! – Generałowa otarła łzę.

Oględziny terenu wokół zagrody pofrunek leśnych, zwanych też burymi, wyjaśniły Vortaro nieco więcej. Sama zagroda była właściwie ogromną klatką, dla estetyki obsadzoną dokoła kwitnącymi krzewami, i nakrytą od góry metalową siatką. Wewnątrz pozostawiono nawet uschłe drzewo z poprzycinanymi gałęziami, by smoki mogły podlatywać na konary i wspinać się dla zabawy. Pod drzewem stały cztery szałasiki, w których pofrunki mogły chronić się przed deszczem lub upałem. W środku cztery popielato-bure cielska niespokojnie miotaly się z kąta w kąt. Nie trzeba było specjalisty, by stwierdzić, że zwierzęta są rozdrażnione. Warczały na smokera, obnażając kły. Smoczar wspiął się na tylne łapy, rozkładając skrzydła i drąc szponami ziemię. Smoliście czarna grzywa na jego karku sterczała bojowo. Suki to wchodziły do legowisk, to znów z nich wychodziły, nerwowo powarkując jedna na drugą. Vortaro starannie sprawdził, czy nie ma gdzieś dziury w ogrodzeniu. Otworów nie znalazł, lecz w kilku miejscach siatka wydawała się naruszona, całkiem jakby jakieś duże zwierzę szarpało ją zębami, ciągnąc na zewnątrz. Tu i ówdzie na prętach widać było kłaczki sierści, jednak równie dobrze mogły należeć do lokatorów klatki.

– Proszę też spojrzeć tutaj! – zawołała Neya generałowa. – Wszędzie dokoła rośnie trawa, ale w tym miejscu kret rozkopał i zostały ślady na ziemi. Przykryłam miską, żeby ich deszcz nie rozmył. Smoker pochwalił przezorność pani Chorczyk i pochylił się nad dwoma zachowanymi odciskami łap. Uniósł brew i zagwizdał, nie bacząc, że jest to zachowanie nieodpowiednie w obecności damy. – Na boski kamień, a cóż to jest?

Na pofrunkę za duże, na zombaka za małe... Nie borsuk i na pewno nie pies. Na wilka z kolei za duże i zbyt pazurzaste, a praktykant mógł przysiąc, że w tych lasach nie było nigdy lwów.

Na drugim roku mieli kilka wykładów o rozpoznawaniu tropów i żaden z zapamiętanych jakoś nie pasował do tego, co Vortaro właśnie pracowicie odrysowywał do notatnika.

– Sądząc ze śladów, powiedziałbym, że to niewielki lengorchian – rzekł w końcu z zakłopotaniem. – Ale to przecież niemożliwe. Namyslał się przez chwilę, rozważając sytuację.

– Gdyby szanowna pani generałowa zezwoliła, zostałbym na noc i przypilnował, jaki nieproszony gość chodzi tu i straszy. – Ach, nie dość, że jest pan rozumny i kompetentny, to jeszcze troskliwy! Pewnie same celujące oceny na akademii? – zachwycała się pani Chorczyk.

Rozumny i kompetentny Vortaro Ney spuścił skromnie oczęta. Co prawda Jaśmin Bre -Asai (zwany Kwiatkiem) wyprzedził go o dwa i pół punktu, ale przecież nie należy zanudzać damy nieistotnymi szczegółami.



### **Dzień ósmy, środek nocy**

Vortaro doszedł do wniosku, że akurat ta część smokerskich obowiązków jest jeszcze nudniejsza niż robota papierkowa. Od kilku godzin siedział w szopce na narzędzia, wyglądając przez szparę w uchylonych drzwiach. Księżyc dawał zaledwie tyle światła, by dostrzec ewentualny ruch w czarnoszarej scenerii ogrodu, natomiast z góry można było pożegnać się z rozpoznawaniem szczegółów i smokerski aspirant zaczął się zastanawiać, czy pomysł z obserwacją był dobry. Szybko jednak uspokoił sam siebie. Sierżant Linus i pani kwatermistrz Nandi zrobiliby to samo, czyli zarządzili obserwację. I to w nocy, bo co tu obserwować w dzień? Trzmiel na koniczynie? Inna sprawa, że do nocnego czatowania na hipotetycznego smoka - pofrunkowego -skrytożercę najlepiej nadawałby się inny smok, czyli po prostu kapral Ciapek – doskonale widzący w nocy i do tego czytający w myślach. Oraz, jak niosła wieść gminna, mogący się obyć bez snu od trzech do czterech dni. Vortaro ziewnął, aż mu trzasnęło w szczękach, a potem przeciągnął się ostrożnie, by



nie potrącić przypadkiem narzędzi ogrodniczych i nie narobić hałasu. Z zewnątrz dochodziły szelesty i posapywanie pofrunek na wybiegu. Zewsząd było słycać natrętne cykanie świerszczy. Jeszcze nim zapadł zmrok, na życzenie smokera ogrodnik wykosił trawę wokoło zagrody, a służący rozsypał w kilku miejscach piasek. Nawet jeśli nie uda się podpatrzeć zwierzęcia, zostaną po nim ładne, wyraźne ślady.

Chłopak ziewnął znowu i uszczypnął się w rękę. W typowe odgłosy wiosennej nocy wdarł się nowy dźwięk – metaliczny brzęk i chrobot, jakby coś gryzło siatkę. Czatownik momentalnie otrzeźwiał. Oczywiście, równie dobrze mogli to być ulubieńcy generałowej, tępiący kły na metalu, ale... Ney ostrożnie zapalił świecę w latarni, starannie osłaniając światło. Latarka była z rodzaju "ślepych", otwarta tylko z jednej strony, a w środku wyłożona lusterkami – dawała całkiem przyzwoity strumień światła. Chłopak odetchnął głęboko, zaciskając palce jednej ręki na uchwycie latarni, a drugą ściskając rękojeść służbowej szabli. Pchnął ramieniem drzwi i wysliznął się na zewnątrz, kierując światło na klatkę z pofrunkami. Żółty blask odbił się w ślepiach zwierzęcia. Ciemna sylwetka załopotła skrzydłami wysoko na sklepieniu klatki, dołem gniewnie pohukiwał smoczar, widać go było jako niewyraźną podłużną plamę na konarze. Coś szusnęło między krzewy, na moment zabłysły dwie pomarańczowe monетки smoczycy żrenic. Vortaro wzdrygnął się, odruchowo unosząc ostrze. Dwa! A może więcej? Omiótł ogród strumieniem światła. Smok na klatce parsknął, rozkładając szeroko skrzydła, jakby gotował się do skoku na człowieka, który bezczelnie świecił mu w ślepie. W tejże chwili samiec pofrunki, rozeźlony naruszeniem jego terytorium, podskoczył, i widać udało mu się wczepić zębami w łapę intruza, gdyż ten zaskowytał, poderwał się do lotu i niebawem zniknął smokerowi z oczu. Pofrunki marudziły jeszcze niedługi czas w swojej siedzibie, lecz wkrótce nastał spokój. Obejście zagrody z latarką ujawniło kilka nowych odcisków łap na piasku, ale były równie zagadkowe jak ten pierwszy. Vortaro nijak nie mógł ich w pamięci dopasować do schematów z podręcznika, co wprawilo go w zakłopotanie i solidnie podkopało poczucie własnej wartości "prawie

najlepszego na roku". Wtem uwagę chłopaka przykuł jasny, obły przedmiot – wyłuskany z mroku światłem latarni, wydawał się absurdalny i nie na miejscu w kępie trawy.

– A niech to zombak trąci... – wyszeptał osłupiały aspirant, i ostrożnie, jakby nie dowierzając własnym oczom, dotknął znaleziska. – Jajko?

Istotnie, było to jajko, jeszcze ciepłe, pewnie dopiero zniesione, a może przyniesione pod zagrodę w gorącym smoczym pysku. Po co? Trudno zgadnąć. Skonfundowany smoker nasłuchiwał dłuższą chwilę i świecił po zaroślach, ale nie wyglądało na to, by matka owego jajka znajdowała się gdzieś w pobliżu. Chłopak, nie wypuszczając szabli z garści, jedną ręką rozpiął kaftan i schował jajko w zanadrze.

Aż do świtu siedział na progu szopki, wbijając wzrok w nocną ciemność i nasłuchując, jednak nie wydarzyło się już nic więcej.



### **Dzień ósmy, wczesny ranek**

Nandi otworzyła drzwi do głównej izby i zaraz pomachała ręką do tyłu, ze znaczącym **ciiii...** Tłumiąc śmiech, poranna zmiana weszła na palcach do środka. Na twardej podłodze koło paleniska, z kurtką zwiniętą pod głową, spał "dzieciak", tuląc w objęciach szablę, niczym kochankę lub najcenniejszy skarb. Smokerzy starali się poruszać jak najciszej, a wykonując codzienne czynności poranne, dobrze się bawili. Otwierali po cichu okiennice, ktoś przyniósł chleb i mleko, Nandi, prawie nie oddychając, rozpałała ogień pod czajnikiem, by przygotować herbatę.

– Jaki słodkiii – szepnęła do męża, wszystkimi siłami walcząc, by nie roześmiać się głośno. – Adoptujmy go!

Linus wykonał rozpaczliwą pantomimę, podkreślając jego szeptaną tyradę, że na razie woli starać się o własne dzieci, aczkolwiek praktykant Ney jest zapewne słodki, ma wiele zalet, a pod wieloma względami jest nawet mądrzejszy od tresowanego psa. Tego już brać smokerska nie zdzierżyła i wszyscy

zarechotali zgodnym chórem. Obiekt dyskusji poruszył się, przeciągnął jak kot i uniósł głowę, z trudem otwierając zaspane oczy.

– No ładnie, Ney, ładnie – gderał sierżant, marszcząc brwi. – Nocne włóczęgi... Piłeś pewno.

– Miałem... noocny... dyyyyszur... – wyjaśnił Vortaro, z trudem zbierając się z podłogi i opatrując każde słowo ziewnięciem. – U generałowej. I nic nie piłem, poza herbatą.

– U generałowej! Już ja widzę, co to był za "dyżur"! – oburzyła się Nandi, rozstawiając kubki na stole.

– Coś jej zjada pofrunki, proszę pani – bronił się aspirant. – Była zdenerwowana.

– A ty, zamiast nam o tym zameldować, szlachetnie postanowiłeś zająć się sprawą samodzielnie, gdyż oczywiście nikt z tu obecnych nie jest tak mądry i doświadczony jak pan Vortaro Ney – rzekł Linus z sarkazmem. – Oj, oberwiesz ty od pani kapitan, niech tylko się dowie.

Praktykant błyskawicznie skalkulował, że w tej sytuacji krycie Ciapka działa na niekorzyść jego samego.

– Byłem u generałowej Chorczyk za wiedzą i zgodą kaprała Ciapka – oświadczył. – Napiszę raport zaraz raaaa... – znowu ziewnął – ...rano. Rzeczywiście coś dziwnego tam się działo.

– Co to za dźwięk? – zainteresował się jeden ze smokerów. Faktycznie, od dłuższej chwili było słychać ciche miarowe tykanie. – Znalaz... – Vortaro urwał, z przestachem odwracając się ku kominkowi.

Pod rusztem, na którym stał czajnik z wodą na herbatę, płonął niewielki ogień.

– Bogowie! – Praktykant złapał się za głowę.

Tykanie zmieniło się w szybki, stłumiony terkot.

– PADNIJ!

Na szczęście wyuczone odruchy zadziałały. Trzech smokerów dało nura pod stół, Nandi schroniła się za pobliską szafą na akta, a praktykant przytomnie przytulił się do ściany za

obramowaniem kominka. Zaraz potem rozległ się głośny huk. Czajnik podskoczył jak żywy, zalewając ogień wrzątkiem. Z paleniska buchnął kłęb pary i popiołu, a wszystko zasnuła mgła. Pierwszy odezwał się Linus:

– Otwórzcie okno. Nandi, skarbie, wszystko w porządku?

Jego żona zakaszłała w swoim kącie, ale zawiadomiła, że nic jej się nie stało.

– Jak reszta?

Pozostała czwórka odmeldowała się tradycyjną formułką "bez strat".

– Ney, do czarnej zarazy, co to było?! – Jajko – odpowiedział praktykant pokornie.

– Zaminowane? – spytał ze zgrozą jeden z funkcjonariuszy.

Kominek ociekał jajecznicą, i była to na dodatek jajecznica przypalona. Podłogę oraz większość sprzętów przykryła warstwa popiołu, co dawało wrażenie, jakby na posterunku wybuchł kieszonkowy wulkan.

– Dzikie smocze jajo. Znalazłem je obok zagrody pofrunek i zagrzebałem w popiele, żeby się nie wyziębilo – wyjaśnił Vortaro. – Ale wybuchające? Co to za jaja... jajo, znaczy?!

– Ech, mężczyźni! Smokerzy malowani! – zadrwiła Nandi, biorąc się pod boki. – Widać od razu, ileście jajek w życiu gotowali. Każde jedno się rozwali, jeśli je w żywy ogień kłaść.

– No ale ja przecież nie mogłem przewidzieć, że ktoś na nim rozpali ognisko. – Praktykant bezradnie rozłożył ręce. Linus podniósł z podłogi ułamek skorupy.

– Ciężko poznać, co to był za gatunek. Jest w proszku.

– Na pofrunkę było za duże, a na wywernę za małe – pospieszył z wyjaśnieniem Vortaro. – Widziałem...

– Dobra – przerwał mu sierżant. – Raport złożysz po śniadaniu. Teraz łap się za szczotę i ogarnij ten bajzel przynajmniej z wierzchu. A z **kapralem** Ciapkkiem to ja sobie jeszcze pogadam – dodał złowieszczo.



## **Dwie godziny później**

– Czy naprawdę wierzycie, że puściłbym szczeniaka samopas, bez kuszy, tylko z tym śmiesznym kawałkiem blachy? – spytał Ciapek ze śmiertelną urazą. – Owszem, świetnie wiem, że ludzie słabo widzą w nocy i że te dwa dzikie smoki oprawiłyby dzieciaka jak łanię. Jeden też by starczył. Pięć godzin siedziałem w krzakach jakiegoś żółtego badziewia, nasypało mi się do uszu, będę od tego chory! Pilnowałem waszego skarbenka, sumienie mam czyste jak świeży śnieg!

– No i dobrze – rzekła kapitan sucho. – Bo pewnie bym cię musiała zwolnić dyscyplinarnie za rażące zaniedbanie. Jak sobie radził młody?

– Nadspodziewanie dobrze – przyznał Ciapek niechętnie. – Poza wpadką z jajkiem, ale tego przecież nikt nie mógł przewidzieć. – Z tym że nie umiał rozpoznać gatunków tych "gości" generałowej. To dobrze nie rokuje. Mamy raptem dziesięć gatunków smokowatych, do dziesięciu umie rachować nawet dziecko. Ciapek przez chwilę kręcił głową na długiej szyi, wysuwał i wsuwał pazury, co było odpowiednikiem ludzkiego bawienia się palcami. Przypląszczył uszy, a w końcu z gniewnym parsknięciem wyznał: – Ja też ich nie rozpoznałem!

Luana wymieniła z synem spojrzenia. Sprawa zaczynała wyglądać poważnie. Ciapek, czystej krwi smok lengorchiański, był ostateczną instancją w smoczych sprawach, choć młodzieńcza niefrasobliwość (według smoczych standardów ledwo wkroczył w dorosłość) opóźniała jego awans na wyższe stanowisko.

– Nie pofrunka, nie wywern i nie lis latający – wyliczał Ciapek ze złością. – Na lengorchiany za małe, a poza tym Puśka pilnuje swoich dzieciaków i nie pozwala im latać do miasta. Nie widziałem ich dokładnie przez gałęzie, ale lengorchiany to nie były na pewno. Za głupie. Głupie jak zwierzaki, może tylko trochę mądrzejsze od psa. – Smok pogardliwie zmarszczył nos.

– Resztki jajka nie wskazują na żaden konkretny gatunek – uzupełnił Linus. – Musiało być spore, skoro narobiło takiego bałaganu, ale te kawałki skorupy nie pasują do niczego, co mamy w zbiorach.

Wyglądało to na migrację, rzecz rzadko spotykaną w obecnych spokojnych i uporządkowanych czasach na obszarze Northlandu. Któż jednak mógł wiedzieć, co działo się na Dalekim Wschodzie lub terytoriach Północnej Tervii? Smokowate mogły przybywać z bardzo odległych terenów. To oznaczało więcej pracy dla łomnickich smokerów, a także posterunków po sąsiedzku, gdyż Bezlitosna Luana była obowiązana wysłać do nich wiadomość.



### **Dwa tygodnie później, praktyki V.N. dzień dwudziesty ósmy<sup>1</sup>**

– Hej niehejanym... – Vortaro wszedł zmęczonym krokiem do izby i opadł na najbliższe krzesło, z westchnieniem ulgi wyciągając przed siebie nogi. – Skończyłem swój kawałek. Tutejsi włóścianie chyba cierpią na brak rozrywek. – Uniósł plik kartek, po czym rzucił je na stół. – W co drugim domu ludzie widzieli "cuś podejrzanego", "cuś" im skrobie po nocach pod podłogą – pewnie stada smoków – coś objada marchew w warzywnikach, ani chybi zesmoczone zające. I coś siada na dachu, i na pewno nie wygląda jak sowa, zgroza, panowie, zgroza. – Praktykant przetarł dłonią twarz. – Mamy istną inwazję potworów.

Miny dwóch pozostałych smokerów, którzy zdążyli wrócić ze swoich odcinków wcześniej, świadczyły, że im się powiodło niewiele lepiej. Wyobraźnia, podniecona plotkami, podsuwała okolicznym mieszkańcom najcudacniejsze zwidy. Ginęło domowe ptactwo: kury, kaczki, a nawet gęś, ale mogło to być dziełem zwykłego złodzieja. Atmosfera w okolicy była napięta do tego stopnia, że mieszkająca niedaleko Łomnicy smoczyca o tradycyjnie długim imieniu Ro sa Na Pięknym Futrze (w skrócie Pusia) w ogóle nie wypuszczała dzie ci poza legowisko, z obawy,

że ustrzeli je jakiś nerwowy myśliwy. Zajęli się przeglądaniem notatek, usiłując sklecić z nich choć trochę sensowne i pożyteczne raporty. Od czasu do czasu unosili nogi i przesuwali swoje siedziska, kiedy docierała do nich kobieta służebna, szorująca podłogę.

– A! Byłbym zapomniał – ocknął się Vortaro i zapytał służącej:  
– Czy kapral Ciapek już jest?

– A bo ja tam wiem? – Wzruszyła ramionami. – Nijakiego rejwachu nie było, to pewnikiem jeszcze gdzieś lata.

Vortaro sięgnął do kieszeni i wyciągnął małe drewniane pudełeczko oraz parę listów.

– Zaszedłem na pocztę, przyszło kilka pism dla MOD-u i to coś dla Ciapka. – Obrócił pudełko w rękę. – Co smok mógłby zamawiać w sąsiednim rejonie?

– Pewnie próbkę – odgadł sąsiad Vortaro. – Zamówił ją jeszcze zimą, ale widać zwlekali, bo miał za duże wymagania.

– Fiu – skwitował Ney. – To podobne do pana kaprała.

Jak się później okazało, pudełeczko zawierało szklaną flaszeczkę, starannie zakorkowaną i dodatkowo zabezpieczoną wyściółką z siana.

Kiedy Bezlitosna Luana rozpakowywała przesyłkę pod uważnym okiem smoka, Vortaro czuł atmosferę podobną do aury świąt w domu rodzinnym, kiedy wraz z matką, ojcem i młodszym rodzeństwem składali wspólną ofiarę na cześć Bogini i Zrodzonego z Kamienia. Po modlitwach i paleniu pachnących ziół podniecone dzieci gromadziły się dokoła wiklinowego kosza, zakrytego kawałkiem płótna. Sięgały na oślep do środka, a wybrany przedmiot wróżył, czy kolejny rok będzie pomyślny, czy też nie. Vortaro zawsze trochę oszukiwał, starając się omijać rzeczy twarde i zimne – wyłowienie noża z koszyka nie zapowiadało nic dobrego. Aż pewnego razu w jego ręce znalazł się szmaciany smok najmłodszej siostry, a sześć miesięcy później młody Ney zdał doskonale egzaminy i otrzymał stypendium na

Northlandzkiej Akademii Królewskiej.

Tak samo jak dziecko nad wróżebnym koszem, Ciapek nie krył podekscytowania, patrząc przełożonej na ręce i niemal wpychając nos pod jej łokieć. Wielkie pazurzaste smocze łapska nie nadawały się do tak delikatnych operacji. W drodze wyjątku kapral przecisnął się przez wąskie drzwi wejściowe, izba już od dawna była dla niego zbyt ciasna – strącał skrzydłami plansze ze ścian i przedmioty z półek, a ogonem przewracał meble. Tego dnia jednak nikt nie rzekł mu złego słowa. To był wielki dzień smoczego kaprala i święto dla posterunku. Wiedza o zdolnościach transformacyjnych lengorchiańskich smoków była powszechna, choć pewnie na palcach jednej ręki można było policzyć świadków takich przemian. Starczyło parę kropli krwi, strzęp mięsa, włos – a lengorchiański smok właściwy potrafił przyjąć cudzą postać, choć było to oczywiście niebezpieczne dla słabo doświadczonych. I choć transformacje w zwierzęta nikogo nie obchodziły prócz samych zainteresowanych, czyli smoków i ich ofiar, to przybieranie ciał ludzkich było obwarowane ścisłymi przepisami. Vortaro przypuszczał, że kapral musiał nieźle się "nachodzić", nim dostał zezwolenie.

– Mam nadzieję, że będziesz zadowolony – rzekła Luana, odkorkowując buteleczkę.

– Mam nadzieję, że w końcu awansuję – odparł Ciapek, nerwowo strzygąc uszami. – Ciekawe, jak będę po **tym** wyglądał. – Jak człowiek – odparła pani kapitan, sznurując usta. – I nie myśl, że do awansu liczy się wygląd. Otwórz buzię. – Wlała zawartość buteleczki do smoczej paszczy. – Połknij, zanalizuj formułę i niech cię Pan prowadzi. Nandi zaraz przyniesie ci mundur. Vortaro cisnęło się na usta pytanie, czemu właściwie Ciapek sprowadzał tę odrobinę rozwodnionej krwi z daleka, zamiast poprosić kogoś z tutejszych, bał się jednak, że reszta go wyśmiej. Poza tym rozum podpowiadał, że być może nie chciano mieć tu dwóch identycznych smokerów. Już bliźniaki byłyby nieco kłopotliwe, a co dopiero bliźniaki, z których jeden jest smokiem?

Sprawa nowego ciała dla kaprala Ciapka silnie działała na



wyobraźnię wszystkich, bo przy kolacji smokerzy snuli przypuszczenia, jak też będzie wyglądał ich smok po zakończonej "przebierance" – jak to żartobliwie nazywano.

– O, pewnie jako ten księżę z bajki – twierdził starszy funkcjonariusz Koret, łowiąc w kaszy kawałek mięsa. – Ciapek jest próżny niby panna na wydaniu, wybierał i przebierał kandydatów lepiej niż chłop konie na targu.

– "Ten za niski, ten za brodaty, ten ma kolor nie taki..." – wyliczał Pellan Pumparak sztucznie grymaśnym tonem, aż jego starszy brat dał mu lekkiego kuksańca.

Bezlitosna Luana słuchała tych docinków z pobłażliwym uśmiechem. Wzrok starszej smokerki co rusz wędrował w stronę przepierzenia, za którym znajdowała się sypialnia kosmatego kaprała, ale za okiennicą panowała cisza.

W końcu ktoś zaczął opowiadać jakąś zabawną historyjkę, zasłyszana w mieście; Luana pobieżnie przeglądała notki smokerów. Vortaro powoli dojadał swoją porcję, patrząc kolejno na szable wiszące na hakach, błyszczące mosiężnymi okuciami w blasku lampy naftowej, na ożywione fizjonomie braci smokerskiej, i myślał, że dobrze mu tutaj i że nie pomylił się w wyborze profesji. Tym większym zaskoczeniem był nagły wybuch rozpaczliwego kobiecego wrzasku, od którego podskoczyli nerwowo wszyscy bez wyjątku. Kobieta umilkła na sekundę, jakby dla nabrania oddechu, po czym krzyk ozwał się ze zdwojoną siłą – dobiegał niewątpliwie z lokum Ciapka. Linus pierwszy dopadł rygla i otworzył okiennicę na oścież, smokerzy stłoczyli się przy oknie, a ci, którzy nic nie mogli dojrzeć zza głów kolegów, wypadli na zewnątrz, by określną drogą dostać się do smoczego leża. Ktoś poświecił do środka świecą. Vortaro bezceremonialnie wbił łokieć pod żebra sąsiada, zdobywając w ten sposób skrawek miejsca. Wyciągnął szyję. Na wyścielającej podłogę słomie siedziała młoda kobieta, niezgrabnie podwinąwszy nogi pod siebie. Zmierzwione, płoworude włosy spadały jej na twarz. Blade jak kość słoniowa ręce macały gorączkowo po klatce piersiowej. Vortaro przełknął ślinę, czując, jak pieką go uszy – dziewczyna była kompletnie naga. Raptem

uniosła głowę ku powale i zawyła straszliwym, zupełnie nieludzkim głosem.



**Nieco później, prawie najokropniejszy wieczór w życiu kaprala Ciapka** – To najfotworniejszy zień f moym szyciu – oświadczył wstrząśnięty Ciapek.

Nagle mając usta zamiast szerokiej paszczy oraz drobne zwarte zęby w miejsce spiczastych kłów, z niejakim trudem artykułował słowa. Zawinięty w dwa koce, niepewnie trzymał w rękach blaszany kubek, do którego Pellán hojnie dolewał mu wódki. Ciapek pił ją jak wodę i, prawdę rzekłszy, tak samo jak woda na niego działała, ale liczył się gest.

– Nie przesadzaj – mruknął Linus. – Mógłbym od razu wyliczyć parę gorszych. Choćby to, kiedy straciłeś skrzydło. Krew była nawet na suficie.

– Dowrze ci mówicz! Ty nie masz macicy! Wjesz, jakie to uszucie?! – wrzasnął Ciapek, trzęsąc się ze zgrozy.

– Da się przeżyć – wtrąciła Nandi, klepiąc smoka po głowie. – Mam macicę i nie umieram od tego.

– A ty nie desperuj. Całkiem niezły z ciebie towar. Świetne ciało – rzekł zachęcającym tonem Pellán.

Ciapek jęknął głucho i opuścił głowę na stół, w geście ostatecznej rozpacz.

– Dosyc tych bredni! Ciapek, pozbierać się! I ubrać w końcu. Reszta ma trzymać język za zębami. Jeżeli usłyszę choć słowo w mieście, to flaki plotkarzowi wypruję. Szydełkiem. – Pani kapitan postanowiła przywrócić jaki taki porządek na posterunku. – Ciapek, oficjalnie jesteś w terenie, a do nas przyszła nowa smokerka z wymiany. Wybierz sobie jakieś ładne imię. A co do tej nieszczęsnej próbki, to wniesiemy oficjalną skargę. Do sądu, jeśli będzie trzeba.

Zgnębionego kaprala to chyba pocieszyło, bo podniósł się i rzucił z jadowitą satysfakcją:

– Puscze ich z torwami!



### **Trzy dni po końcu świata, wcześniej rano**

– Witam, nazywam się Jamilla... Miłego dnia... Na imię mi Jamilla – mamrotał do siebie Ciapek. – Jak wy w tym wytrzymujecie?! – Szarpnął za kołnierz munduru. – W tym nie można oddychać! Cały się pocę.

– Jesteśmy twardą i bardzo wytrzymałą rasą – odparł z kamienną miną Vortaro.

Sam przyzwyczaiał się do uniformu dwa tygodnie, ale za to teraz najchętniej by w nim nawet spał.

– Spokojny, mam być spokojny – wymruczał smok. – Mam na imię Jamilla i jestem spokojny...

– Spokojna – sprostował praktykant.

– Jestem, kurwa, BARDZO SPOKOJNA! Jak pierdolony kwiatek na kurewsko spokojnej tafli jebanego jeziora!

– Panie kapralu...

– ...

– ...

– Przepraszam.

Wkroczyli już na terytorium łowieckie Pusi. Las był rzadko podszyty, więc aspirant Ney skwapliwie skorzystał z możliwości konnej jazdy. Dla kaprała stanowiło to coś zupełnie nowego – przynajmniej w sferze praktycznej. Konie z posterunku przyzwyczaiały się do kręcącego się w obejściu smoka, ale w zetknięciu z kimś, kto owszem, wyglądał jak człowiek, ale miał nieludzki zapach i nieco osobliwe ruchy, nawet najspokojniejszy wałach, z powodu flegmatycznej natury zwany Klockiem, zastrajkował. W rezultacie praktykant jechał konno, a kapral truchtał obok. To mu jednak zupełnie nie przeszkadzało. Był przytłoczony nowościami, więc czuł prawdziwą ulgę, że nie musi dodatkowo użerać się z koniem. Niby od lat żył między ludźmi,

obserwował ich codzienność, a jakoś nie zdawał sobie sprawy, ile będzie miał kłopotów z trzymaniem łyżki lub czesaniem. Już samo zapinanie guzików to była istna tortura. Nawet ze zwykłym chodzeniem miał z początku straszliwe problemy, ciągle tracąc równowagę – na dwóch nogach zamiast czterech czuł się bardzo niestabilnie. – UUUUU!!!

Vortaro ściągnął wodze, zanim koń się spłoszył i poniósł. Ciapek odruchowo obnażył zęby. Z zarośli wypadły dwie puszyste postaci, wyjąc wniebogłosy.

– Przestraszyliśmy wasz! Przestraszyliśmy! – ucieszył się szczeniak koloru herbaty z mlekiem.

Drugi, niemal identyczny, biegał dokoła w podskokach, uradowany, jakby właśnie się dowiedział, że w lesie wyrosło drzewo kielbasiane. Oba smoczki miały wielkość mniej więcej owcy, co oznaczało, że są w wieku od trzydziestu do czterdziestu lat. – To dzieci Puśki – wyjaśnił Ciapek kwaśno. – Hej! A przywitać się nie łaska, bachory zatracone? Smoczątka siadły grzecznie obok siebie. – Dobrrrego dnia, smokerzrzy! – Dobrego dna!

Vortaro zatrząsł się od tłumionego śmiechu, słysząc osobliwą wymowę smoczych dzieci. Northlan musiał być niełatwy do nauki dla kogoś, kto miał zęby drapieżnika i niezbyt giętkie wargi. Praktykant zeskoczył z siodła. – Witajcie. No, jak tam, mama w domu?

– Mama naprrrrafia dach – wyjaśnił ten, który wydawał się nieco starszy.

– Mama pracuje, a wy rozrabiacie – ofuknął Ciapek malców, którzy spojrzeli na niego spode łba.

– Wy som nowi, nie? Jak się nazywajom?

– Nowi. A jak się nazywamy, zgadnij. – Ney sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwa kawałki mocno wędzonej, podsuszonej kielbasy. – Jak zgadniecie, dostaniecie coś.

– Tylko nie osukuj – zastrzegł ten wyglądający na młodszego i oblizał się łakomie.

Smoczek przez chwilę wpatrywał się aspirantowi prosto w oczy, a potem wypalił tryumfalnie:

– Vorrrtarrro i Jamirra!

– Prawie dobrze. – Smoker wrzucił w chciwe pyszczki po kawałku mięsa, jakby to były cukierki. – A teraz zaprowadźcie nas do mamy. Musimy z nią porozmawiać.

"Dobre podejście do dzieci" – dotarł do niego mentalny przekaz kaprała.

"Pamiętaj, że mam pięcioro młodszego rodzeństwa. Przekupstwo jest dobrym sposobem na smarkaczy" – odrzekł Vortaro również w myśli.

Kiedy Vortaro użył kurtuazyjnie określenia "dom", oczami wyobraźni widział smocze legowisko, stos gałązek i trawy gdzieś w gąszczu leśnym, gawrę w skalnym załomie czy wykrocie. Tymczasem, ku swemu wielkiemu zdumieniu, ujrzał na małej polance, przeciętej strumykiem, rzeczywiście **dom**. A właściwie szopę, zbitą z nieokorowanych belek i tarcicy, z dachem jak żebraczy kapelusz – pełnym łąt z różnorodnych materiałów, kawałków desek, pęków słomy i nawet zeschniętych gałęzi choiny. Drzwi nie było widać, jedynie otwór dosyć wysoko nad ziemią, jak przesadnie duże okno.

– To nasz dom! – oznajmił z dumą starszy smoczek.

Dla człowieka byłaby to nędzna rudera, gorsza niż psia buda, lecz Vortaro zrozumiał w nagłym błysku intuicji, że oba szczeniaki uważają swoje mieszkanie za całkiem luksusowe. Miało przecież ściany chroniące przed wiatrem i dach, przez który nie padał deszcz. Wewnątrz zapewne znajdowało się wielkie, wymoszczone z siana gniazdo do spania.

Chłopak dostrzegł też wokół szopy rowek do odprowadzania deszczówki. Przed szopą na murawie poniewierało się kilka ogryzionych kości i ponadpruwana szmaciana piłka.

"Tylko się nie wyklep, że ja to ja. Nie przeżyję takiego wstydu" – zastrzegł kaprał, kiedy zbliżali się do smoczej siedziby. – Mama! – rozdarły się smoczęta chórem. W oknie ukazała się rozczochrana kobieta, która, sądząc z widocznych fragmentów

jej ciała, nie miała na sobie ani kawałka odzieży. Ney zerknął niepewnie na kaprala, ale zanim zdążył spytać, jak się zachować w tej sytuacji, mieszkanka szopy schowała się, by po chwili ukazać się w jakimś zgrzebnym giele.

– Ummm... Pani Rosa Na Pięknym Futrze? – upewnił się aspirant.

– Tak, ale mów mi Puśka.

Puśka przerzuciła zręcznie nogi przez parapet i wyskoczyła na zewnątrz. Łydki i odkryte ramiona miała chude, żylaste i dość brudne. W jej włosach sterczały słomki.

– Vortaro Ney, nowy w Łomnicy – przedstawił się smoker, jednocześnie ukradkiem trącając Ciapka czubkiem buta. – Jamilla – mruknął Ciapek, nastroszony. Niespodzianie smoczyca stanęła z nim nos w nos. – Miło cię widzieć, siostró.

Widać było, że biedny kapral musiał zebrać wszystkie siły, by się opanować. Smoczątka łatwo było oszukać, jak to łatwowieczne dzieci, co innego ich matka.

– Pozdrowienie, siostró – odpowiedział kapral słabym głosem. – Jak się chowają maluchy?

Puśka odstąpiła krok i uśmiechnęła się – po smoczemu, układając usta w O.

– Samotnym matkom zawsze ciężko, ale nie narzekam. – Popatrzyła na dzieci, które tymczasem zaczęły brykać w strumieniu, bełkocącym swą jednostajną śpiewkę na kamieniach. – Pomyśleć, że na Południu zabraniają dzieciom zabaw w wodzie, z obawy że utoną. Nie łatwiej po prostu nauczyć malców pływać? – Ostatnio trochę niespokojnie w okolicy – odezwał się kapral. – Przyszliśmy sprawdzić, czy tu wszystko w porządku. Puśka uniosła górną wargę, odsłaniając zęby w grymasie niezadowolenia.

– Kręcą się tu obcy. Nie ludzie, smoki. Kradną nam mięso. W nocy latają nad domem. Teraz już nigdy nie śpię w tym cieple, zbyt niebezpiecznie. Boję się o dzieci. Zwykle lecą stamtąd. – Wskazała ręką. – Ktoś znów żyje w starym domu Farja na Pustkowie. Myślę, że to tam są obcy. Meldowali się u was? – Nie –

odrzekł Ciapek, również pokazując zęby.

Brwi Vortaro ściągnęły się z frasunku. To nie były dobre wieści. Jakiś niedbały (i skąpy) hodowca najwyraźniej puszczał samopas swoich podopiecznych, żeby żywili się w okolicy, nie wspominając już o tym, że złamał co najmniej dwa przepisy, skoro nie zarejestrował hodowli w MOD-zie, a to było zawsze karane wysoką grzywną.

– Opuszczona chałupa starego Farja, mówisz? – mruknął Ciapek tonem niewróżącym nic dobrego. – Przejedziemy się tam z panem praktykantem. Do zobaczenia... siostró.



### **Pustkowie, pod wieczór**

Chałupa właściwie nie była chałupą, podobnie jak dom Puški trudno nazwać legowiskiem. Według tego, co kapral zdążył w drodze opowiedzieć Neyowi, Farjo był dziwaczalym samotnikiem, bogatym, ale wybitnie nietowarzystym. Wybudował wielki dom w miejscu, gdzie jaskółki zawracały, z obawy że wylecą poza krawędź świata. Budowlę otoczył murem i siedział za tym murem całymi latami, jako jedynych towarzyszy mając tylko jednego służącego, kucharkę i kwiaty w ukochanym ogrodzie. Ludzi nie znosił, a do smoków strzelał z procy, czego Ciapek w wieku smarkatym doświadczył na własnej skórze, kiedy zapędził się na terytorium "wrednego dziada". Po jego śmierci nikt ze spadkobierców nie chciał zamieszkać w miejscu tak odległym od wszelkiej cywilizacji i przez to niewygodnym. Dom był za duży i zbyt kosztowny w utrzymaniu. Mur po kawałku rozebrali okoliczni kmiecie, przerabiając go na chlewiki oraz temu podobne użyteczne rzeczy. Budynek stał pusty, niszczejac przez lata. Ktoś, kto go zajął w stanie ruiny, musiał być jeszcze bardziej szalony od pierwotnego właściciela, należało więc mieć się na baczności.

Stara siedziba Farja pod wieloma względami robiła gorsze wrażenie niż dom smoczycy. O ile szopa Puški była tylko ubogim zakątkiem, opuszczone domisko wyglądało po prostu upiornie,

nawet w dziennym świetle. Vortaro z obrzydzeniem oglądał ściany, z których tynk opadał całymi płatami, zzieleniały dach i rynny, gdzie rosła już istna dżungla, wypaczone okiennice, czasem zwisające na jednym zawiasie, a czasem w ogóle nieistniejące, gdyż padły łupem złodzieja. Za to kraty w oknach trzymały się całkiem nieźle. – Myśli pan, że tu ktoś jest? – spytał praktykant przyciszonym głosem.

Obaj z kapralem stali na zarośniętej, błotnistej ścieżce, prowadzącej do ganku z frontowymi drzwiami. Ciapek bez słowa wskazał do góry.

"Na dachu, za kominem".

Vortaro dyskretnie popatrzył w tym kierunku, niemal nie poruszając głową. Faktycznie, zza pozostałości ceglanego komina, zwalonego dawno temu podczas jakiejś wichury, sterczał zaciekawiony nos i spiczaste ucho, a z drugiej strony między popękkanymi dachówkami wił się długi kudłaty ogon. "To chyba nie pofrunka" – pomyślał Ney.

"To młody lengorchian – przekazał mu kapral. – Chyba bardzo mały i głupiutki. Jeszcze spadnie...".

– Wchodzimy?

Ciapek kiwnął głową, więc chłopak nacisnął klamkę, a kiedy drzwi nie ustąpiły, zapukał w nie kłykciami. Coś wewnątrz głośno zahurgotało, jakby ktoś uciekał, przewracając jakieś przedmioty. Dłuższą chwilę panowała cisza, wobec tego Ney załomotał ponownie, głośniejsze i bardziej stanowczo.

– Ktoś na pewno jest w środku, doskonale go wyczuwam – mruknął przez zęby Ciapek. – Wyczuwam też dwa smoki w łopuchach po lewej.

Jego towarzysz mimowolnie popatrzył w lewo, ale nie dostrzegł niczego i nikogo. Gęste łopuchy wyjątkowo imponujących rozmiarów, rozczapierzające pod szczątkami sławetnego muru zielone parasole, mogłyby ukryć jałówkę, nie tylko dwa niewielkie smoki.

Wreszcie po dłuższym oczekiwaniu rozległy się kroki, ktoś ze zgrzytem przekręcił dawno nieoliwioną klamkę i drzwiowe



skrzydło się uchyliło. W szczelinie ukazała się podejrzliwa kobieca twarz.

– Witamy – rzekł sucho Ciapek. – Czy to pani jest... główną mieszkanką tego... – obrzucił zbrzydzone spojrzeniem zrujnowany budynek – ...tego domu?

– Wynajęłam go – odparła kobieta ostro.

– I założyła pani hodowlę smoków. Nielegalną! – ciągnął kapral surowo. – Proszę nas wpuścić po dobroci. Policzymy wszystkie sztuki, sprawdzimy papiery, albo wystawimy nowe... Podatek się podliczy...

W miarę jak ciągnął swoje wywody, fizjonomia hodowczyni ścigała się w maskę bezsilnej złości.

– Proszę dalej – wycedziła przez zęby, cofając się. – Państwo wejda.

Od wewnątrz dom przedstawiał się równie ponuro. Vortaro zachodził w głowę, kto przy zdrowych zmysłach chciałby żyć w czymś takim i jeszcze za to płacić. Na ścianach panoszył się grzyb, między deskami podłogi utworzyły się szpary szerokie na palec i wiało z nich zapachem zgnilizny. Vortaro wolał sobie nie wyobrażać, jakie paskudztwa lęgną się pod spodem i co by było, gdyby spróchniałe dechy zarwały się pod ich ciężarem.

Szli w ślad za gospodynią przez szereg korytarzy i pomieszczeń, które były całkiem puste lub skąpo umeblowane przypadkowymi sprzętami, jakby mieszkanka (lub mieszkańcy) zupełnie nie dbała o swoją wygodę. W jednym pokoju Vortaro dostrzegł tylko dwa krzesła i wiklinowy kosz, w drugim osierocony stół, kolejny służył chyba za magazyn, bo był zagracony jakimiś skrzynkami. W mijanych schodach prowadzących na górę ziała wyrwa i Vortaro uniósł brwi w niemym zdumieniu. Cóż za niechlujstwo.

"Może nie korzysta z piętra. Stropy muszą być w potwornym stanie" – pomyślał, kierując wzrok na przewodniczkę. Miała na sobie jedwabną bluzkę w kolorze wina, zupełnie niepasujące smokerskie skórzane bryczesy i trepki na drewnianej podeszwie,

stukające głośno w ciszy pustych pomieszczeń.

Kobieta otworzyła przed smokerami drzwi na końcu korytarza. – Proszę tu poczekać, przyniosę dokumenty.

Weszli, nie spodziewając się podstępu, a kiedy ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nimi, było już za późno. Rozległ się chrobot klucza w zamku.

– Zarrraza! – warknął kapral ze złością. – Co ty wyprawiasz, kobieto?!

– Niech nas pani wypuści! Sprowadzi sobie pani na głowę spore kłopoty! – zawołał Ney.

Z korytarza dobiegło tylko pogardliwe fuknięcie.

– Co ma pani zamiar zrobić, u licha?!

Tym razem odpowiedź nadeszła:

– Zjemy was.

A potem stukanie drewnianych sabotów oddaliło się.

– Nie wierzę własnym uszom – wymamrotał Vortaro. – Czy ona powiedziała "zjemy"?

– Tak – burknął Ciapek, oglądając drzwi.

Były masywne, od wewnątrz gęsto poprzecinane żelaznymi listwami, zawiasy zostały wpuszczone w mur. Nie dałby im rady chyba nawet taran, a już na pewno nikt nie wyważyłby ich ramieniem. Vortaro podszedł do okna, przełożył rękę przez otwór w rozbitej szybie i na próbę szarpnął kratę. Ani drgnęła. – Panie kapralu...

– Cicho, muszę się skupić – rzucił Ciapek niecierpliwie.

Po obejrzeniu drzwi zaczął sprawdzać ściany, ale opukiwanie pozwoliło się przekonać tylko o jednym – wszystkie wymurowano z solidnej cegły i nadal dobrze się trzymały, mimo zagrzybienia. Sądząc z zabezpieczeń i podwójnych krat w oknie, pokój mógł kiedyś służyć jako magazyn cennych przedmiotów, sreber, gotówki lub ważnych dokumentów.

– Cholerny Farjo obwarował tę budę jak jakąś twierdzę! – wybuchnął Ciapek ze złością.

– Panie kapralu, mógłby pan...?

– No, co tam?!

– Na dworze – rzekł praktykant enigmatycznie, wskazując za okno.

Na zewnątrz kręciło się kilka małych smoków. Wszystkie były dziwnie zaniedbane i brudne, poruszały się też urywanymi, nerwowymi ruchami, przypadając do ziemi jak wystraszone koty. W porównaniu z wesołymi, rozgadanyimi dziećmi Rosy Na Pięknym Futrze stanowiły żałosny widok.

– Dwa, trzy... pięć. Skąd tu się wzięło tyle szczeniąt? – szepnęła Vortaro.

– To nie dzieci! – syknął nagle Ciapek, chwytając go za ramię. Z twarzy kaprała odpłynęła niemal cała krew, źrenice zwęziły się do czarnych punktów. – Przyjrzyj się, co widzisz?

Chłopak przyjrzał się smokom, nie wiedząc właściwie, czego szukać. Były zabiedzone, chude, niektóre miały krzywe łapy, nieforemne łby. Jeden włókł po ziemi końce skrzydeł, które układały mu się na grzbiecie tak, jakby smoczek był garbaty.

– Wyglądają jakoś... – Vortaro szukał przez moment odpowiedniego słowa. – Karłowato?

– To są karły – przytaknął Ciapek ponuro. – Dorosłe, co najmniej stuletnie, bo któraś z samic zniosła przecież jajko. Marne i niewydarzone, skoro nie rozpoznałeś gatunku, ale jednak jajko. – Nie uczyli nas o czymś takim – odrzekł szczerze Vortaro. – Rozumiem, jeden kaleki smok, ale tyle naraz?

– Truła je! – odgadł Ciapek. – Dostawały jedzenie z trucizną, nie rosły, nie mądrzały. Są jak zwierzęta, rozumieją proste polecenia, ale poza tym... Posłuszne, silne, niewymagające maszynki. Ney syknął. – Kapralu, łamie mi pan kość! Ciapek zorientował się, że miażdży chłopcu ramię. – Wybacz. Mam ochotę zabić tę babę.

– Zaraz, a właściwie ile lat to trwało? Skoro są już dorosłe? Ta kobieta nie wygląda na więcej niż czterdzieści – zastanawiał się Vortaro.

– Dobre pytanie. – Kapral uniósł głowę, przymykając powieki, jego nozdrza zadrżały, jakby węszył. – Postaram się zerknąć w jej myśli, może się dowiem czegoś pożytecznego.

Vortaro obserwował twarz kaprała, przez którą przepływały niekontrolowane grymasy, jakby smok usiłował wyrazić uczucia w sposób, do którego nie miał dostosowanych mięśni. Jedno było pewne: obnażone zęby u smoka nie są miłym uśmiechem. Smok zawarczał głucho, otwierając raptownie oczy.

– Zabiję ją! Zabiję! – ryknął. Przez chwilę dyszał, rozczapierzając palce w odruchu, który w jego starym ciele odsłaniał pazury. – To jest **smoczyca**, Ney. Smoczyca... – wyszeptał w końcu ze zgrozą.

"Niemożliwe" – pomyślał Vortaro, czując się tak, jakby wszystkie członki wypełniała mu lodowata woda. Wiedział jednak, że kapral mówi prawdę. Ten opuszczony dom, przypadkowa zbieranina zakurzonych mebli, wyglądających jakby nikt nigdy ich nie dotykał – tak nie żyli ludzie, a zwłaszcza kobiety, z samej swej natury skłonne do porządkowania i upiększania otoczenia; dziwny ubiór gospodyni – to wszystko zbyt pasowało, a może raczej **nie pasowało do siebie**, całkiem w smoczym stylu. Domu oczywiście nikt nie odnajął, smoczyca zawłaszczyła go zbójeckim prawem, jako tymczasowe lokum, i nic by się nie wydało, gdyby niefrasobliwie nie zaczęła wypuszczać swego stadka na nocne łowy. Widocznie miała problemy z zaprowiantowaniem.

– Nie myślę się. Doskonale się maskuje, ale jednak robi błędy – mówił gorączkowo kapral. – Nie wyczuła mnie, nie chciało jej się sprawdzić. Myśli, że złapała po prostu głupiego dzieciucha i jakąś niunię. No to się zdziwi – dodał zawzięcie.

Vortaro nadal patrzył z ogromnym smutkiem za okno. Smoki, jak gromadka dzieci zaciekawionych gośćmi, wciąż kręciły się w pobliżu.

– Tu pięć, w domu jeszcze trzy – powiedział kapral.

– Myśli pan, że któreś mogą... mogą być jej dziećmi? – wykrztusił chłopak.

– Wolę nie, to zbyt potworne. Chociaż pewnie byłaby do tego zdolna, jest zupełnie obłąkana – odrzekł smok. – Jak te kraty? – Szarpnął na próbę, bez skutku.

– Pudło. – Podłoga?

Między zakurzonymi deskami było mnóstwo szpar. Vortaro wyjął szablę z pochwy i podważył jedną.

– Na nic, musielibyśmy wykopać tunel pod fundamentami, a tyle czasu nam babsztyl chyba nie da. Tylko do zmroku. Jak ona właściwie sobie wyobraża przerobienie na kotlety dwóch dorosłych ludzi z szablami? – zapytał Vortaro.

– Jeśli ma strzelbę, może nas skosić nawet przez okno.

Odruchowo skierowali wzrok na potłuczone szyby, a potem na sufit. Wyglądał obiecująco, obwieszony pajęczynami, pełen wielkich łat w miejscach, gdzie odpadł tynk.

– Jeśli ten przekłety dziadyga nie pokrył tu stropu żelaznymi płytami, raz dwa będziemy wolni – mruknął kapral.

Okazało się, że obsesja poprzedniego właściciela szczęśliwie nie sięgnęła powały, a szabla, choć długa i nieporęczna, całkiem nieźle nadawała się do rozbierania sufitu.

– Tylko uważaj, żeby nie pękła, bo ci Luana urwie łeb za zniszczenie sprzętu – ostrzegł z dołu Ciapek.

Oparty o ścianę, trzymał młodszego kolegę na ramionach, gdyż nawet w ciele z pozoru delikatnej dziewczyny był daleko silniejszy niż Vortaro.

– Za bardzo hałasujemy – wysapał chłopak, ocierając zapróśzone oczy i strząsając tynk z włosów.

Kapral nadstawił uszu.

– Już lezie!

Ney zeskoczył mu z ramion i natychmiast zaczął kopać w drzwi, krzycząc jak najgłośniej mógł:

– Wypuść nas natychmiast, ty wariatko! Podam cię do sądu! W lochu zgnijesz!

Smok dołączył do niego, waląc w okucia głowicą broni i

miotając inwektywy, brzmiące bardzo szczerze. Trwało to dobre kilka minut, w końcu Ciapek klepnął Vortaro w ramię na znak, że chłopak może już przestać zdzierać gardło.

– Zostaw, poszła.

Oddychając ciężko, chłopak osunął się po drzwiach na brudną podłogę. Udało mu się oderwać trzy deski z powały i odsłonić pustą przestrzeń między legarami, a przez szczeliny sączyło się szare światło wieczoru.

– Jeszcze tylko te z wierzchu. Tylko nie wiem, czy... czy się pan kapral zmieści z tym biustem.

Ciapek popatrzył na niego zezem.

– Ney, a chcesz ty w łeb?

Podskoczył, uwiesił się jedną ręką na skraju dziury. Vortaro podparł go skwapliwie. Nacisk na ramionach chłopaka wzrósł, prawie łamiąc mu obojczyki, kiedy Ciapek napał na deski. Rozległ się trzask.

– Pierwsza.

Znów trzask.

– Druga. Trzymasz się tam na dole?

– Trzymam. – Vortaro stęknął. – Ale pośpiesz się.

Wreszcie dziura powiększyła się na tyle, że Ciapek mógł się podciągnąć do pokoju piętro wyżej. Vortaro podał mu obie szable. Kapral wychylił się z otworu i chwycił go za rękę.

– Jestem za c... – Praktykant urwał, dość gwałtownie szarpnięty w górę, kiedy smok bez wysiłku wyciągnął go do połowy przez otwór jak nić przez ucho igielne.

Wygramolił się do końca i podniósł broń z podłogi. Ciapek pokręcił głową nad swoją – nie czuł się pewnie z szablą w ręku, a nosił ją tylko dlatego, że była regulaminowym dodatkiem do munduru. Tęsknił już do starych kłów i pazurów. Transformacja okazała się niezbyt dobrym pomysłem.

"To właściwie łatwe. Za to się trzyma, a tym ostrym wali" – pocieszył się.

Wyszli cichaczem z pomieszczenia. Korytarz osnuł duszny mrok cuchnący kurzem i mysimi odchodami. Nędzne resztki wieczornego światła, padające z pootwieranych pokoi, kroily ciemność na kwadratowe porcje. Zbliżała się najczarniejsza pora doby – dwie godziny przerwy między zachodem słońca a wschodem dwóch księżyców.

– W schodach jest wyrwa – szepnął Vortaro Ciapkowi wprost do ucha. – Gdzie ta suka? Smok sprawdził.

– Gdzieś poza domem – odszepnął.

Schody skrzypiały niemiłosiernie, aż uciekinierom cierpła skóra. Vortaro pomyślał, że przynajmniej nie potykają się o sprzęty w tych nędznie urządzonych pomieszczeniach. Wreszcie drzwi wejściowe, oby nie były zamknięte na klucz. Ale po cóż ktoś miałby zamykać je na takim pustkowiu? Chłopak uchylił powoli drzwi. Ciekawe, co się stało z koniem.

– Gdzie się wybiera mięso? – zapytała smoczyca, celując mu prosto w brzuch z gwintówki.

Za nią czaiło się kilka ciemnych sylwetek o płonących czerwienią ślepiach.



### **Trzy sekundy...**

Czasem tylko tyle dzieli kogoś od śmierci. Dokładnie trzy sekundy. Jedną kapral Ciapek zużył na ocenę sytuacji, drugą na to, by odrzucić z linii strzału tego nieszczęsnego szczeniaka Neya, a trzecią trwał jego skok do smoczycy. Z rykiem, wrzaskiem, i bojowo wyszczerzonymi zębami. Jasne włosy powiewały za nim jak ogon komety.

W czwartej sekundzie dostał postrzał w klatkę piersiową.

Smoczyca nie zdążyła przeładować broni, gdy wpadł na nią smoker z szablą. Pierwszy cios wygiętego ostrza ściał lufę strzelby, drugi trafił już w ciało, rozrąbując kość ramienia. Smoczyca zawyła, sięgając palcami do oczu chłopaka. Uchylił się i pchnął sztychem w brzuch. Rozjuszona, nie dawała za wygraną,

więc rąbał raz za razem, rozpaczliwie pragnąc, żeby to już się skończyło. Skarlałe smoki ze złowrogim warkotem ruszyły na pomoc swej pani. Ich ślepie płonęły w mroku jak węgle.

"PRECZ! SIAD!" – mentalnie wydany rozkaz zatrzymał je równie skutecznie jak smycz. Zdezorientowane, zaczęły skomleć, kładąc się na ziemi. Jakiś nadgorliwiec usiłował mimo to ugryźć Vortaro, ale dostał kopniaka w pysk i uciekł. Skarlałe smoki rozbiegły się z żalonym piskiem po zarośniętym ogrodzie. Ich świat właśnie zadrżał w posadach. Ostatni cios odrąbał smoczycy głowę, która potoczyła się po ścieżce, nadal kłapiąc bezgłośnie zębami. Ney czując, że żołądek podchodzi mu do gardła, zaczął kurczowo przełykać, usiłując opanować mdłości. "Ney, rzygać będziesz później". – Ciapek! – Vortaro rzucił się ku kapralowi.

W gęstniejącym mroku ledwie widział, jak smok, opierając się na łokciu, przyciska rękę do piersi. Między jego palcami sączyła się krew – wydawała się czarna jak smoła.

"Trudno mi oddychać".

– Proszę, nie umieraj!

"Nie histeryzuj, dobrze? – Ciapek zakaszłał z wysiłkiem, a krew pociekła mu po brodzie. – Ta dziwka zniszczyła mi mundur. Nandi będzie zrzędzić".

– Pan jest ciężko ranny! Proszę, tylko nie to! – jęknął chłopak. Zaczął rozpinać skórzaną kurtkę rannego.

– Won z łapami, Ney. Nie będziesz mnie tu macał po cyckach – wyszeptał z wysiłkiem smok.

"Nie mogę umrzeć w takim stanie – dodał już w myślach. – To byłby straszny obciach, gdyby mnie kładli do trumny w babskim ciecie. Nie płacz, zaraz przestanę krwawić. Do rana wyrzucę kulę. Tylko pomóż mi dostać się pod dach i przynieś wody". Vortaro ostrożnie wziął na ręce smukłe ciało i poniósł z powrotem do piekielnego domu. Wybrał pierwsze z brzegu pomieszczenie i położył swoje brzemie delikatnie na podłodze.

– Jak tylko wzejdzie księżyc, poszukam jakichś koców – obiecał, zdejmując kurtkę i podkładając ją rannemu pod głowę. –



Vortaro... – odezwał się smok cicho. Nabierał powietrza bardzo płytko, mówił urywanymi zdaniami. – Wszystko już będzie dobrze. Ona by cię zabiła... Prosty rachunek. Żyjemy... bo mnie zlek... ceważy... ła. – Niech pan nic nie mówi. Potem porozmawiamy.

"Vortaro Ney, czy uczynisz mi ten zaszczyt i użyczysz mi swojej krwi, żebym mógł mieć odpowiedniejsze ciało niż to?" – Oczywiście, panie kapralu – odszepnął chłopak, klęcząc obok. – Dla mnie to również zaszczyt.

# Anna Brzezińska

## PO PROSTU JESZCZE JEDNO POLOWANIE NA SMOKA

Babunia Jagódka kończyła właśnie zamiatać przyzbę, kiedy w krzakach na skraju lasu coś zaszurało, zatupało i zatarabaniło pomiędzy obdartymi z listowia gałązkami.

– Miotło, miotelko, brzozowe czupiradełko! – zaintonowała obronnie wiedźma.

Miotła natychmiast wyprysnęła jej z rąk, wyprężyła kij i nastroszyła ostrzegawczo witki. Ale stworzenie, czymkolwiek było, błysnęło tęczowo w promieniach słońca, po czym przemknęło sprytnie tuż przed miotłą i schowało się za spódnicą gospodyni. – Poszło won! – rozdarła się z oburzeniem Babunia.

Przygarnianie zabłąkanych kotków i kulawych kacząt bynajmniej nie leżało w jej naturze. Usiłowała odepchnąć stworza znoszonym filcowym buciorem, ale był szybki, a co najgorsze, wciąż trzymał się za jej plecami i czepiał spódnicy. Raz nawet zaplątał się między halki. Wiedźma kwiknęła jak zarzynany prosiak, kiedy szorstkim grzbietem otarł się jej o gołe łydki. Rzadko komu pozwalała na podobne poufałości, a już na pewno nie przybłędzie nieznanej konduity. Wszak mogła się czymś paskudnym zarazić. Właśnie obmyślała już zaklęcie, które pozwoli raz na zawsze pozbyć się intruza, kiedy nieopodal zagrały myśliwskie rogi. W Babuni też zagrała krew. Ktoś polował z nagonką! W jej lesie! Kopniakiem posłała zwierzaka za dREWUTNIĘ – teraz, kiedy miała na głowie intruzów, refleks się jej zdumiewająco poprawił – i z irytacją złapała za miotłę, która z absurdalną gorliwością zamiatała ścieżkę przed furtką. Wiedźma

nie słynęła z gościnności. Jeśli odwiedzał ją ktoś z okolicznego chłopstwa, przemykał się ukradkiem i najchętniej ciemną nocką, nie witano go więc z honorami. Miotle nieczęsto trafiała się podobna gratka, najwyraźniej postanowiła więc z własnej inicjatywy przygotować obejście na przyjęcie nadjeżdżających.

Ci zaś już wynurzali się z lasu, bezsensownie połyskując wypolerowaną blachą w promieniach jesiennego słońca. Niektórzy nieśli jaskrawe proporce zatknięte na długich tyczkach. Pod blaszanymi hełmami nie dało się rozeznaczyć twarzy, dodatkowo przesłoniętych nosalami, ale Babunia Jagódka przysięgłaby, że żadnego z nich wcześniej nie oglądała. Ze złością zmrużyła powieki. Po ostatniej wojnie świat ostatecznie zszedł na psy, skoro przybłędy nie umiały jej uszanować na własnym podwórku.

Wsparła się mocniej na miotle, mierząc przybyszy nieżyczliwym spojrzeniem. Oni też się zatrzymali tuż przed furtką. Pościg tak ich zaprzętał, że nie zwrócili uwagi na sfore: choć dotąd psy ujadły rzeško, każdym szczeknięciem i skowytem dowodząc właścicielom swej użyteczności i oddania, na widok gospodyni gwałtownie podkuliły ogony i zbiły się w gromadę tuż przy końskich kopytach. Nie spostrzegli też magicznej jabłonki, która czujnie obróciła ku nim gałęzie, gotowa zdzielić zgniłkiem między oczy każdego, kto bez zaproszenia postawi nogę na podwórzu. Nie usłyszeli gniewnego bulgotu, dobywającego się z zakłętej studni.

Ten na przodzie podjechał bliżej i trącił nogą furtkę. Skobel zatrzeszczał przeraźliwie, ale nie ustąpił przed przemocą. Zresztą jeździec zrezygnował, skoro tylko obrzucił gospodarstwo spojrzeniem. Wyraźnie nie spodobała mu się ani koślawa drewnutnia, ani prosięta pogodnie ryjące w błocie pośrodku podwórza, ani pokaźna pryzma gnoju na tyłach chatki. Podniósł przyłbicę, wyniosłym wzrokiem zlustrował poprzecierany kożuch starowinki i sterane filcowe buty. Raz jeszcze rozejrzał się wkoło w poszukiwaniu kogoś godniejszego. Skoro jednak nikogo nie znalazł, z westchnieniem otworzył usta, aby ją zagadnąć. Ale to wiedźma odezwała się pierwsza.

– Czego? – warknęła głosem tak kwaśnym, że skisła od niego kapusta w piwniczce.

Rycerz spąsował z oburzenia. Odruchowo zamierzył się tyczką z proporczykiem, ale nie uderzył. Chyba niesporo było mu bić staruszkę.

Jeden z towarzyszy przybliżył się i trącił go porozumiewawczo w łokieć.

– Zostawcie, mości Skuropatko – odezwał się teatralnym szeptem. – Znać, że to jakaś nędza miejscowa. Pewnie niespełna rozumu. Tu raczej z wyrozumiałością trzeba, łaskawość okazać i gest pański. Delikatnie.

Wiedźma zmarszczyła brwi, ale postanowiła poczekać na rozwój wydarzeń. Miejscowi znali ją bardzo dobrze i traktowali z należytych uszanowaniem, zatem od dawna nie miała okazji dobrze się zezłościć. A Babunia uważała, że nic tak nie ożywia krwi, stężalej od jesiennych chłódów, jak należyta kłótnia i połamanie kilku gnatów.

– Moja dobra kobieto... – przemówił ten, który nawoływał do wyrozumiałości.

Babunia Jagódka uśmiechnęła się jak szakal. Mało co ją rozjuszało tak, jak ten zwrot. Aż biło od niego wielowiekową wzdargą i lekceważeniem.

– Moja dobra kobieto – podjął – czy nie widzieliście przypadkiem tutaj smoka?

Od strony drewnutni rozległo się nerwowe czknięcie, a potem jakby szuranie. Zaskrzypiały odmykane drzwiczki.

– Smoka? – zdumiała się Babunia, w której ciekawość toczyła zażartą walkę z urazą.

Rycerz wyprostował się w siodle i jakoś tak odął dumnie.

– No, smoka – powtórzył z naciskiem. – Smoczysko straszliwe, co siola ogniem pustoszy i dziewice pożera. W drewnutni rozgdakała się jakaś kwoka.

Babunia nie zdzierżyła i tak zaniósła się skrzekliwym śmiechem, że aż ją zakłuło w boku.

– Tego pokurcza? – wysapała, kiedy minął już pierwszy atak wesołości. – Z taką paradą ścigacie jednego mizernego konusa? Jeździec odął się jeszcze bardziej. Nawet błyszczący napierśnik zdawał się pęcznić od nadmiaru oburzenia.

– Im mniejszy, tym bardziej się sroży – wyrzekł po chwili sentencjonalnie – bo musi nikczemną posturę zajadłością nadrabiać, ot co! I powiadam wam, moja dobra kobieto, pomóżcie nam pojmać gadzinę, zanim i wam jakowąś krzywdę straszliwą wyrządzi. Ona na cnotę białogłowską wielce łąsa.

Wiedźma łypnęła na niego spod oka i podrapała się sękatym paluchem po nosie, zwieńczonym okazałą brodawką.

Gdakanie w drewnutni wzmagalo się, a wkrótce doszły do niego jeszcze donośne piski i trzepoty.

– To miło – powiedziała w końcu, uznawszy, że chyba z niej nie sztydzi – że się tak o mnie martwicie, mości rycerzu. I o tę moją... białogłowską cnotę.

Za plecami mówcy ktoś zachichotał złośliwie. A zobaczymy, jak się jutro będziesz śmiał, wesołku, pomyślała mściwie Babunia, kiedy ci pypcie na jezorze wyjdą – i nie tylko na nim.

– A to się wam, mości Kolibo – wypalił znienacka ten z podniesioną przyłbicą – zebrało na uprzejmość. Baba wam we łbie mąci, a zwierz tymczasem ucieka.

– Ani chybi z nim w znowie! – podpowiedział usłużnie ktoś z tyłu. – Wszak po plugawym obliczu znać, że przewrotna i podła z natury.

– A ty kaczy kuprze! – rozdarła się Babunia, która wprawdzie przewrotność poczytywała sobie za chlubę, ale bardzo nie lubiła, jeśli jej wypominano brak urody. – Ty przybłędo, powsinogo obsmarkany! Patrzajcie go, wdział na łeb żelazny garnek i śmie porządny ludzom urągać na ich własnym podwórku. Wynocha! No, co się gapią! – ryknęła głośnie, kiedy żaden z rycerzy nie ruszył się sprzed furtki. – Poszli precz, pókim dobra! – Rzuciła w nich miotłą. Brzozowe witki śmignęły w powietrzu, zawirowały po ścieżce, kręcąc bicze z piasku, po czym bez ostrzeżenia spadły na jeźdźców. Tłukły ich po lśniących zbrojach,

smagały końskie zady, nie oszczędzały nawet psów, aż wreszcie całe towarzystwo wśród kwików przerażenia rzuciło się do ucieczki. Wtedy z zadowoleniem znów zebrały się w miotłę i starannie zatarły na piasku ich ślady. Doprawdy, niektórzy goście nie zasługiwali na dobre przyjęcie. Babunia Jagodka z aprobatą skinęła głową i poszła zobaczyć, co też takiego upolował przydomowy bazyliszek.



Smok istotnie okazał się mały, zaledwie na półtora łokcia wzrostu. Chyba wyczuł niebezpieczeństwo, bo próbował schować głowę pod skrzydło. Ale zgrzeszył ciekawością, bo spomiędzy piór wyglądało zielonkawe wszędobylskie oczko. To bazyliszkowi wystarczyło – umiał sponiewierać żywe stworzenie od jednego spojrzenia. Babunia Jagodka zachodziła czasami w głowę, skąd w potomku zwyczajnego koguta, nawet głupszego od innych, skoro dał się nakłonić do złożenia jajka, podobna jadowitość. Na szczęście był też leniwy. Siedział z resztą na grzędzie, przedrzemując większość czasu, i zwykle zadowalał się kurzą karmą. No, chyba że coś bez ostrzeżenia wpakowało mu się do drewnutni. Wówczas nie popuścił.

Dzisiaj wszelako się nie pożywił. Kiedy wiedźma weszła do środka, syczał wściekle i usiłował wbić zębiska w ogon skamieniałego stwora. Na darmo. Wprawdzie smok został unieruchomiony na dobre, ale twarda, pokryta łuską skóra przeszkadzała bazyliszkowi w wyżerce. Dlatego potwór kipiał złością. Zaczynał wręcz zezować na własny nos.

– No, no. – Babunia pogroziła mu kułakiem, kiedy pozwolił sobie łypnąć na nią nieprzyjaźnie, i wygarnęła z grędy zeszywniałego smoka.

Zwierzak ciążył w rękach, aż się zdziwiła, że takie maleństwo może tyle ważyć. Był półprzezroczysty, jak gdyby wyrzeźbiony z nieszlifowanego kryształu, i połyskiwał tęczowo na czubkach skrzydeł. Wydłużony pysk wieńczył filuternie zadarty czubek. Na grzbiecie dumnie sterczał grzebień, tak ostry, że wiedźma do

krwi zakłuła się w palec. Zakłęła paskudnie. Zdrętwiały stworek jakby się uśmiechnął. Z mordki wystawał mu rozdwojony jęzor. – Jutro pogadamy – zagroziła mu Babunia, ssąc zraniony opuszek. – Zobaczymy, czy wciąż będziesz taki wesolutki.

Wcześniej nie da się go wypytać, jako że spojrzenie bazyliuszka trzymało co najmniej dobę. Zawinęła więc smoka w starą flanelową ścięgę do szorowania lampy, wsunęła pod łóżko, między nocne naczynie i zdeptane kapcie. Spłoszone jej inwazją pająki – wielkie, czerwono nakrapiane bestie, które z braku kota rozpleniły się ostatnio w ciemnych kątach izby – natychmiast podjęły pracę. Za kilka godzin nikomu nie przejdzie przez myśl, żeby czegoś szukać za gęstą zasłoną pajęczyn, ale Babunia dla pewności przyczepiła kilka srogich zakłęć do frędzli z kapy na łóżku. Ostatecznie rycerze nie byli zbyt bystrzy. Nie wiadomo, może któryś pod jej nieobecność znów spróbuje wtargnąć do obejścia. Potem zaś w pełnym rynsztunku ruszyła na przespīgi do wioski. Bitewne oporządzenie wiedźmy składało się ze sztachety, stanowiącej użyteczny środek lokomocji, a w potrzebie straszliwą broń, sękatej laski, którą również potrafiła nieźle porachować kości, worka przypominającego żebraczą sakwę, gdzie po starciu pakowano zdobycz, oraz zakłęcia piękna -i-młoda. Zwłaszcza to ostatnie rozwiązywało języki obcym – bo tubylcy bardzo dobrze wiedzieli, że kruczowłosa piękność jest w istocie tą samą wiedźmą o haczykowatym nosie z nieodłączną kapką na czubku i traktowali ją z należywym respektem, znaczy się, jak wściekłego psa, który w każdej chwili może ugryźć.

Dzisiaj właściwie przebranie nie było konieczne, jako że Babunia Jagódka postanowiła najpierw wywiedzieć się u źródła, czyli u największego wioskowego plotkarza. Jego laur bezsprzecznie dzierżył pleban, który niedawno powrócił szczęśliwie do owczarni, zbrzydzonej miejskimi obyczajami. Oczywiście nie obnosił się nadmiernie z zażyłością z wiedźmą. Ale tylne drzwiczki do plebanii zawsze pozostawiano na noc otwarte, już o to dbała Rozalka, gospodyni czcigodnego duszpasterza.

Teraz też na widok Babuni na pyzaty obliczu plebanichy

rozlał się szeroki uśmiech. Pleban przeciwnie, skrzywił się boleśnie i poprawił na puchowej poduszce. Hemoroidy znów mu doskwierały, a wiedźma nie liczyła sobie tanio za kojące czopki. – Mam coś dla was – zagaiła uprzejmie Babunia, dobywając zza pazuchy poplamioną chustkę z cudownym remedium. – Nie dam ni grosza! – syknął ze złością pleban. – Nie dam, bo nie mam! Chłopi ostatnimi czasy strasznie się skąpi zrobili. Z każdego miedziaka mnie wyliczają. A to dach załataj, a to studnię pogłęb, a to ściany odmaluj. Dla mnie, psiakrew, nic nie zostaje. Ani na kusztyczek miodu nie starczy.

Wiedźma zniosła tyradę proboszcza z kamienną miną, w ogóle nie zerkając na stół, gdzie bezczelnie rozpierały się resztki pieczonej kaczki z jabłkami i okazały dzban skalmierskiego wina. – Nie, nie, jakie tam grosze... – zarzekła się fałszywie. – Ja tak z dobroci serca, przez wzgląd na waszą niemoc. Proboszcz spojrział na nią spode łba.

– Innych słodkimi słówkami urabiajcie – prychnął – bo ja za stary. Gadajcie zaraz, czego chcecie.

– Wedle tego niby -smoka przysłałam.

Spojrzenie plebana wyostrzyło się gwałtownie.

– Wedle smoka... – powtórzył z namysłem. – A co, widzieliście go może?

Babunia westchnęła z politowaniem. Tyle lat gospodarowali pospołu w Wilżyńskiej Dolinie, a ten się nie nauczył, dalej próbował ją przechytrzyć.

– Skądże by znowu. – Uśmiechnęła się słodko. – Ale mnie popod wieczór jakieś bydło w obejściu najechało. Rabatki stratowali, kury popłoszyli...

I proboszcz, i Rozalka łypnęli na nią podejrzliwie. Rabatki wokół wiedźmiej chaty pojawiły się raz, mianowicie, kiedy mieszkała tam Jarosławna, która pod nieobecność gospodyni postanowiła ukwiecić i ustroić jej nową siedzibę. Szybko się jednak przekonała, że ziemia, nawożona do przesyty wiedźmimi czarami, nie sprzyja podobnym ekstrawagancjom. Lewkonie gryzły się między sobą i do krwi podszczypywały przechodniów.



Słonecznik świecił jaśniej niż najlepszy kaganek i głośno wygrażał się, że niebawem zaćmi słońce. Nasturcja rozpełzła się po dziedzińcu, tworząc zasieki, przez które trzeba się było przebijać z siekierą. A róża w jeden dzień skryła całą sadybę za szczelnym, kolczastym murem. Ze środka dobiegały jedynie żalosne płacze Jarosławny i po powrocie Babunia musiała całe to tałatajstwo w pień wykarczować. Odtąd pod ścianami chatki była tylko naga, dobrze uklepana ziemia. Jeśli się coś na niej urodziło, zaraz wydziobały to kury. A kury Babuni Jagódki, już pomijając nawet, że były w komitywie z bazyliszkiem, który w razie potrzeby rozprawiał się z każdym lisem albo innym kurokradem, same świetnie potrafiły się obronić choćby i przed zakutym w zbroję rycerzem. Ostatecznie rzadko który się spodziewał, że poczciwa kwoka zionie nagle ogniem.

– Chciałabym się wywiedzieć, kto zacz, zanim się tutaj większa krzywda przydarzy – dopowiedziała z naciskiem wiedźma. – A, tak. – Pleban ocknął się z zadumy. – To zapewne hufiec szlchetnego Skuropatki. Już trzeci dzień okoliczne lasy przemierzają, smoka strasznego tropiąc.

– Trzeci dzień? – powtórzyła przeciągle Babunia. – No, proszę...

Rozalka z podejrzanym zapalem wyskubywała z fartucha wystającą nitkę, a proboszcz jął się nerwowo kręcić na poduszce. Wiedźma nie lubiła być niedoinformowana i jeśli jakaś wieść nie doszła do niej należycie prędko, od razu podejrzewała zmoję. – Pożytek z nich jest! – wypalił pleban, kiedy krępująca cisza zaczynała się zanadto przedłużać. – Uczciwi są i bogobojni. Za obrok płacą i za dach nad głową. Dzisiaj kowalowi dwa srebrne grosze dali, żeby im zbroje wyklepał, bo ich ponoć jakieś lichy straszliwe w lesie zdybało, do smoka drogę zagrodziwszy. Niewiast nie ruszają, nie to, co ci grasanci – splunął – co tu dawnymi czasy hulali, a ni babie zgrzybiałej, ni kozie nie przepuścili. O, i codziennie o świcie, zanim w pogoń za smokiem się wypuszczą, do świątyni idą i modlą się, prostaczkom wzór dając.

– To ładnie. – Babunia uśmiechnęła się z łagodnością

atakującej żmii. – A komuż oni za ten obrok płacą?

Pleban aż się zatchnął z zaskoczenia, że spomiędzy tylu informacji wiedźma natychmiast wyłuskała tę najbardziej użyteczną. Było oczywiste, że póki nie odbudowano dworskich zabudowań, jedynie przyświątynne stajnie mogły pomieścić tyle wierzchowców. – Chyba będę musiała podnieść taksę za eliksiry – rzuciła w powietrze wiedźma – skoro tutaj taki dostatek nastał. I bogobojność – dodała złośliwie. Pleban bezradnie rozłożył ręce. – No, dobrze. Mówcie, czego chcecie.

Babunia rozsiadła się wygodniej na stołku i na początek naląła sobie wina ze szczodrością, która wzbudziła na obliczu gospodarza grymas żałości.

– Ilu ich jest? I co o nich wiecie?

– Siedmiu, tylko siedmiu – odpowiedział pospiesznie. – Podobnoż to szczęśliwa liczba, osobliwie zaś trafna do polowania na dzikie bestie.

Babunia uniosła brew. Ludzka zabobonność nie przestawała jej zadziwiać.

– Z południa przybywają – ciągnął – znad samiusieńskiego morza, gdzie ich posiadłości są. I tamże, na dworze turzniańskiego włodarza, poprzysięgli uroczyście, póty będą obce strony przemierzać, póki owej gadziny straszliwej...

– Znaczy się, czego? – przerwała zniecierpliwiona wiedźma.

Gospodarz aż lekko podskoczył na swojej poduszce.

– Wždy smoka! Smoka przebrzydłego, co jest rodzaju ludzkiego największy prześladowca!

Babunia westchnęła ciężko.

– Wszak smoków nie ma. Każde dziecko to przyzna.

– Jak to nie ma, jak są! – oburzył się czcigodny duszpasterz. – Może i dotąd nie było – dodał, zreflektowawszy się, że nieroztropnie przeciwstawiać się wiedźmie – ale teraz są. A już co najmniej jeden to jest na pewno, bo na statku zza morza przypłynął. Przecież nie sądzicie, że tak znamienite osoby

uganiałaby się po dziczy za byle mamidłem?

Wiedźma uprzejmym chrząknięciem pokryła śmiech. Zdążyła się dotąd naoglądać niemało błędnych rycerzy, co się włóczyli po oczeretach tropem jednorożców czy wążpierz – albo, co gorsza, w poszukiwaniu jedynej prawdziwej miłości.

– Tedy mówicie, że zza morza przyplłynął? – zagadnęła po chwili, opróżniwszy kolejny kubek.

Trunku ubywało w zastraszającym tempie. Pleban postanowił ocalić nieco wina przed zachłannością wiedźmy i dał znak, aby Rozalka podała mu świeże naczynie.

– Ano, tak, na statku – przytaknął, po czym z gulgotem spuścił w dół gardła potężną partię skalmierskiego specjału. – Wszystkich ponoć na morzu zeżarł – otarł rękawem gębę – a ledwo pusty korab do brzegu dobił, wraz się ta gadzina na ląd wdarła. I dalejże plądrować, ogniem domy palić, ludzi mordować! A już najbardziej ów smok łasy na dziewczątka czyste, osobliwie zaś księżniczki, takie, co jeszcze ni razu chłopa nie skosztowały. – I nie on jeden – mruknęła pod nosem wiedźma.

Ostatnimi czasy na dworach, a i w mieściech po trochu, zaczęło się plenić wśród męskiej nacji osobliwe upodobanie do zielonych jabłek. Mierziło to Babunię niezmiernie, zwłaszcza że po ostatniej wojnie wiele owdowiałych niewiast ostało się na gospodarstwie bez pomocy, z gromadką maleńkich dzieci. Tymczasem kawalerowie, jak oczadzieli, smalili cholewki do coraz młodszych dziewczuszek, tak że niejedna stawała przed ołtarzem u boku chłopiny posiwiąłego i zgarbionego wiekiem, nieledwie własnego dziadka.

– W każdym razie zacni owi mężowie pod wodzą mości Skuropatki postanowili smoka owego utrucić, ot co – dokończył pleban, roztropnie postanowiwszy nie wdawać się z wiedźmą w rozważania na temat czystości niewieściej. – I dlatego w nasze strony zawitali.

– Niby czego miałby tu smok szukać? – zakpiła wiedźma. – Za bardzo to on się u nas nie pożywi. Pierwej z głodu zdechnie,

aniżeli znajdzie w tej okolicy księżniczkę.

Rozalka, która spod pieca przysłuchiwała się rozmowie, przybliżyła się ku nim, mnąc w palcach brzeg fartuszka. Jej pękate, rumiane oblicze wybystrzyło się nagle. Gospodyni była ze wszech miar zacną niewiastą, lecz nie grzeszyła rozumem. Znała swoje miejsce, zwykle więc trzymała się kuchni i z milczącym zachwytem przyjmowała każde słowo swego chlebodawcy. Ale na swój sposób również starała się dbać o dobro plebańskiej owczarni i jedna sprawa pochłaniała ją niezmiernie. Swatanie.

– Tylu się tych rycerzy zjechało – zwróciła się przymilnie do wiedźmy – a wszyscy aż nogami drobią, żeby jakąś księżniczkę z łap smoka wyratować. To tak sobie myślę, Babuniu, może by im kogoś podsunąć? Na ten przykład Jewkę? Wiedźma przygryzła w zamyśleniu wargę.

– Odkąd się z braćmi poswarzyła, włóczy się, mizerota, po okolicy, nigdzie miejsca zagrzać nie może – ciągnęła Rozalka, najwyraźniej postanowiwszy wziąć Babunię na litość. – Ot, w kruchcie u nas sypia, rzepę zgniłą na polach podbiera. Aż żal patrzeć... Wszelako była to zaledwie połowa prawdy. Owszem, bracia nie obeszlili się z Jewką łaskawie, wypędzili ją z młyna precz w jednej koszulinie na grzbiecie, ale i ona za życia ojca, pewna jego łask, pomiatała nimi jak rzadko. Przy tym charakter miała paskudny, a ostatnie wypadki jedynie wzmogły jej wrodzoną złośliwość. Nawet psy na jej widok podkulały ogony i uciekały z przyciszonym skowytym.

Ale, o ile wiedźma pamiętała, z gęby Jewka wyglądała wcale przyzwoicie. Gdyby ją tak domyc, uczesać, ochędożyć trochę, akurat by się nadała na księżniczkę. Ostatecznie wśród nich również trafiały się nie byle cholery...

Pleban spąsowiał na twarzy.

– Nawet o tym nie myślcie! – wykrzyknął, na chwilę zapominając o strachu przed wiedźmą. – Widzicie je, zbiorą się dwie baby do kupy i zaraz im amory w głowie. Nie, nie, Babuniu, wyście już raz tutaj księżniczkę wyswatali i co z tego przyszło? – Wycelował w nią oskarżycielski palec. – Ano, tylko wstyd i

sromota. Z byle żołdakiem od męża zbiegła, bez żadnego względu na dwójkę dzieciątek maleńkich porzuciwszy. Bo natura w niej była chłopska, plugawa, a nie uczynicie z osła rumaka i krowa wam jabłek nie urodzi, choćbyście ją tylnymi nogami w ziemi posadzili. Lepiej, żeby się każdy swego miejsca na świecie trzymał i ponad godność się własną nie wynosił...

Wiedźma machnęła ręką, bo najwyraźniej proboszczowi zbierało się na atak krasomówstwa.

– Dobrze już, dobrze. Ostawmy Jewkę w spokoju. Skoro w żebraczych łachmanach taka dokuczliwa, nie wiedzieć, jakby nam nadojadła, gdyśmy ją w książęce szatki postroili. Gospodarz zazezował ku niej nieufnie.

– Bardziej mnie ci rycerze gnębią – ciągnęła wiedźma. – Nie wiedzieć, co za nimi przylizie...Pleban się zasepił. Niby nie przestawał narzekać, że Wilżyńska Dolina zadupie, ale w istocie żyło mu się tutaj jak tłustemu kotu na ciepłym zapiecku. Wieśniacy dbali, by nie brakło sperki ani mleczka, Rozalka troszczyła się o inne potrzeby, a wizytatorzy z najbliższego klasztoru, którzy mogliby położyć kres owej harmonii, osobliwym trafem gubili się na splątanych górskich ścieżkach. Wiedział jednak, że skoro szlak raz zostanie przetarty, rychło po rycerzach nadciągną poborcy podatkowi, kaznodzieje, żebracy, kupcy, ladacznice – słowem, wszelkie zwiastuny cywilizacji, która czcigodnemu proboszczowi mocno dokuczyła podczas ostatniego pobytu w mieście. Co więcej, książę może wyznaczyć nowego władycę, który zabroni wypasać świątynne owce na dworskich łąkach i zażąda zwrotu pożyczonej dawno temu gotowizny. Nie, plebana bynajmniej nie nęciły zmiany. Lepiej, żeby pozostało, jak jest.

– To niechże sobie tego smoka ubiją i idą precz – zdecydował, z ciężkim westchnieniem pożegnawszy się z dochodami za wynajem stajni.

– Ano, chyba tak będzie najlepiej – rzekła z równie ciężkim westchnieniem Babunia, której całkiem spodobał się filuterny, tęczyowy stworek.



Niestety, następnego dnia wynikła zgoła nieoczekiwana przeszkoda. Babunia wyszykowała stosowną zasadzkę na ścieżce, którą rycerze zwykli o poranku wyruszać z wioski na poszukiwanie smoka. Zamierzała zagnać tam potworka – tak na wszelki wypadek, żeby rycerze go nie przeoczyli. Ale sam smok okazał się niedysponowany. Najwyraźniej jad bazyliuszka zaszkodził mu bardziej niż innym stworzeniom, bo po wygarnięciu spod łóżka okazał się nadal twardy jak kamień i równie nieruchomy.

– O ty, smoku, w rzyć kopany! – krzyknęła Babunia i cisnęła półprzezroczystą figurynkę z powrotem między pajęcze sieci. Od strony wioski już słyszała radosne granie myśliwskiej sfory. Jesienią Babunia popadała w nastrój nostalgiczny – lubiła siedzieć w filcowych kapciach przed kominkiem, gapić się w płomienie, smażyć śliwkowe powidła, pić na umór i wspominać dawnych kochanków. Wszystkim tym czynnościom zwykła oddawać się w ciszy i spokoju, toteż psie jazgoty, rycerskie pokrzykiwania oraz absurdalne dźwięki rogów straszliwie ją rozjuszały.

Zawiązała chustkę w czerwone róże, ze złości tak mocno zadzierzgnąwszy węzeł pod szyją, że ledwie mogła przełykać ślinę, po czym zamasyżuje wymaszerowała ze swojej sadyby. Tak czy inaczej, musiała się pozbyć intruzów z doliny.

Dobre kilkadziesiąt jardów od zasadzki stało się jasne, że rycerzom – a w każdym razie jednemu z nich – bardzo dzisiaj nie sprzyja szczęście. Wiedźma uśmiechnęła się wrednie i zaczęła pogwizdywać pod nosem. Wbrew gromom kaznodziejów, nic tak nie poprawiało jej humoru jak nieszczęście bliźniego.

Przystanąła tuż nad krawędzią wilczego dołu. Choć utopce bardzo wczoraj sarkały na Babcine niemiłosierdzie, wygrzebały jamę jak się patrzy, głęboką nad siedem łokci, i z własnej inicjatywy przydały jeszcze na dnie małe, błotniste bajorko. W samym jego środku, po pas w wodzie, tkwił rycerz. Zdążył się chyba już nieco zadomowić, bo nie wspinał się po stromistych

ścianach ani nie przeklinał, tylko zdjął hełm i spokojnie czekał na rozwój wypadków. Miał płomienście rudą czuprynę i wydatny nochal. – Co, koledzy zostawili? – uzaliła się nad nim obłudnie Babunia, wsuwając głowę do środka.

Rycerz uniósł ku niej twarz, nakrapianą jak indyjskie jajo.

– Mus im potwora ścigać, zanim coś straszliwego nabroi – odrzekł rażno. – A ja się stąd nigdzie nie ruszę.

Ale znać było, że jedynie maskuje gorycz, a rejterada kompanów mocno go dotknęła.

– Nie zimno tam aby waszej rycerskiej mości? W krzyżu od wilgoci nie łupie?

Woda zachlupotała, gdy rudy poruszył się niespokojnie i zerknął na starowinkę, szukając w jej twarzy szyderstwa. Nie dojrzał wszelako nic, prócz niewinności. Babunia nie miała zwyczaju psuć sobie zabawy przed czasem.

– No, łupie po trochu – przyznał w końcu – i strzykać w boku zaczyna, bo tam ranę mam świeżą, ledwo co zabliznioną. Ale co począć?

Babunia pokręciła z dezaprobatą głową.

– Oj, to bardzo niezdrowo dla rekonwalescenta po pustkowiu się uganiać. Tutaj w górach przeciągi straszliwe, łatwo się przeziębic. Nadto koń na wertepach wytrzęsie, może się rana otworzyć. Nie lepiej to w domu pod pierzyną siedzieć, pewnikiem nie samemu? Wszak tak urodziwy młodzian sam się do łoża nie układa – dodała chytrze. – Ani chybi tam w wielkim świecie ktoś na waszą rycerską mość czeka, rączki białe załamuje, oczki modre wypłakuje... Rycerz – po prawdzie pośledniej urody – łypnął na nią jeszcze bardziej nieufnie, ale znów postanowił wziąć jej słowa za dobrą monetę. Ostatecznie była tylko wiejską prostytutką. Wiejskie prostytutki mogły nie mieć większego obeznania w rycerskich sprawach. – E tam. – Westchnął ze smutkiem. – Nikt nie czeka. Ani panna nadobna, ani łoże wygodne.

– Olaboga... – zafrasowała się Babunia. – A cóż to się waszej rycerskiej mości przytrafiło?

– Co się miało przytrafić? – Rycerz wzruszył ramionami. Zbroja zaskrzypiała żałościwie. – Usiądźcie sobie, babciu, wygodnie, to wam wszystko opowiem. Co mi tam szkodzi – usprawiedliwił się przed sobą cichszym głosem. – Zawsze to przyjemniej przy jakimś ludzkim stworzeniu czas strawić.

Wiedźma umościła się zatem wygodniej na skraju jamy.

– Ano, było tak – zaczęła ryży. – Miałem włość na południowym kraju Gór Żmijowych. Niewielką, ledwie trzy wioski po kilkanaście dymów i dworzyszczce stare, co je jeszcze świętej pamięci pradziaduś postroił. Ziemia to tam słaba, ale jaka okolica piękna – zacmokał językiem. – Łąki, stawy, połoniny. Wszystko, czego dusza potrzebuje. Cudności, powiadam wam, cudności...

– To nie lepiej tam było siedzieć? – poddała Babunia.

– Ba! – Rycerz zmarkotniał. – Jeno za co, babciu, za co? Wszak wy nie wiecie, jak jest. Na dwór trzeba pojechać, sąsiadów ugościć, rząd nowy na konia położyć. Włość mała, potrzeby duże. Słowem, zadłużyłem się po uszy.

Wiedźma pokiwała głową. Domyślała się już reszty opowieści. – A kiedy jeszcze ta wojna nastąpiła – ciągnął rudy – zrazum sobie pomyślał, że bogowie dobrotliwi mi ją na zratowanie zsyłają. Bo siły zawsze dość miałem i do miecza dryg. Tom sobie pomyślał, zaciągnę się. Trzeba było kolejną pożyczkę na rynsztunek wziąć, lichwiarze trochę nosem kręcili, że majątek zadłużony, że gwarancje słabe. W końcu kwity im podpisałem, że jeśli za trzy lata wszystkiego co do grosza nie zwrócę, cała posiadłość w ich ręce przechodzi. Babunia westchnęła ciężko.

– Młody byłem, głupi – usprawiedliwił się rycerz. – Do chorągwi naszego dobrego spichrzańskiego pana wstąpiłem, bom sobie umyślił, że on gwarancja najlepsza łupów i wojennego szczęścia. Pociągnęliśmy Książęce Wiergi oblegać, co się w nich starego burmistrza córka zawarła. Radem był temu wielce, bo przecie wiergowskie kupce zasobne jak mało kto. – Z żałością pociągnął nosem. – I na co mi przyszło? – Zwiesił łeb na piersi.

– No, na co? – pogoniła go Babunia, którą zaczynała wciągać ta opowieść.



– Ja to szczęścia nie mam. – Rycerz rozzalał się coraz bardziej.  
– Trzeciego dnia oblężenia chłopstwo wedle murów ścigałem, kiedy mieszczankowie z góry świństwo jakoweś alchemiczne spuścili. Dym się z niego zrobił żółty i smród takowy, że koń dęba stanął, w błoto mnie zrzuciwszy. O mało się nie uwędziłem! Jeszczem dobrze tchu nie odzyskał, a chłopstwo, z natury do smrodów nawykłe, dalejże mnie w łeb kłonicą. A potem cap, na wózek cisnęli i przez bramę do środka zawlekli. I takem jeńcem zostałem! Babunia pokręciła głową. Coraz trudniej było jej skrywać uśmiech. – Straszna sprawa.

– Oj, straszna, straszna – zgodził się rudy skwapliwie. – Okazało się, że popadłem w niewolę u jakiegoś raka czy garbarza, człeka nikczemnej profesji i jeszcze gorszych obyczajów. Ani chciał słyszeć o rycerskim słowie! – Sapnął z oburzenia. – Nic, tylko gotowizny wołał. A jak groszy nie będzie, powiada ten cham, to do kieratu w garbarni zagonię. Wyobrażacie sobie, babciu? Tu nie jest pański dwór, gada, ja za darmo żreć nie dam. Tak mi powiedział! – Znów zaczął sapać gniewnie. Wiedźma odczekała, aż rycerz uspokoi się nieco. – I coście tedy poczęli?

– A co było począć? – obruszył się rudzielec. – Przecie nie mogłem za niewolnika robić. I u kogo jeszcze? U garbarza? Kazałem pchnąć posłańca do obozu – za to sobie też garbarz - kozojebca doliczył dwa srebrniki – i poprosiłem druhów o zrzutkę na poczet przyszłych łupów. A w dwa dni później ta suka Złociszka kazała uwolnić jeńców – dodał z rozgoryczeniem – i za darmo odesłała ich do obozu. Mówiłem wam, nie mam szczęścia...

– Ano, czasami tak się los na człowieka uweźmie – rzuciła dla podtrzymania rozmowy wiedźma.

– Uweźmie? – prychnął. – On mnie zrujnować postanowił, do nędzy ostatecznej przywieść. Bo nie dość, że po tej przygodzie wszyscy kpili ze mnie, że u chamstwa w niewolę popadłem. Na dodatek koń mój nogę złamał, więc do piechoty musiałem przystać. – W oblężeniu to niewielka udręka. Rudy spojrział na nią z politowaniem.

– Prestiż się liczy! Rycerz bez konia jak pies bez chwosta, nikt go w uważaniu nie ma. I jakeśmy wreszcie to miasto zdobyli, zaraz panowie szlachta co najlepsze łupy rozdrapali. A mnie się, razem z resztą ciurów, nabrzeże dostało. A co tam się dało zrabować? Ryby?

Oczywiście nie była to szczerza prawda, bo mieszkańcy Książęcych Wiergów, choćby i w ostatnich dzielnicach, opływali w dostatki.

– A potem jeszcze księżę łupić zakazał – dokończył rycerz, chyba wyczuwając powątpiewanie, które zaczynało gęstnieć ponad jamą.

– Taką piękną rycerską tradycję zmarnował. Ech, powiadam wam, wszystko na psy schodzi. A ja na dziady zeszedłem przez to całe wojowanie. Ledwie ze swojego udziału w zdobyczy ziomek zdołał spłacić, co się na mój okup złożyli.

– A dla lichwiarzy nie starczyło – odgadła Babunia.

– Skąd? – Machnął ręką. – Konia jeszcze musiałem kupić, żeby się w dyrdy po gościńcu nie włóczyć. Ale co to za koń? Chabeta nędzna, źle ułożona. Sami widzicie, że mnie przy marnym skoku w dołek zrzuciła.

Rzeczona chabeta pasła się pogodnie nieopodal, próbując szochrać siodło o niskie sosenki. Faktycznie, była to przyciężkawa, koścista klacz o dziwnie złośliwym pysku. Kiedy Babunia spojrzała na nią uważniej, kobyłka ostrzegawczo obnażyła zęby i uciekła dopiero, kiedy wiedźma pogroziła jej kułakiem. – Ano, niepięknie – zgodziła się Babunia.

– Zrujnowany jestem – poskarżył się ryż. – Za trzy niedziele termin wykupu mija, a ja, ot, gołodupiec. Nawet w rodzinne strony nie chciałem wracać. Tylko wstyd większy będzie, pomyślałem sobie. Niechże już sobie lichwiarze ten majątek biorą, ale zaocznie. I pociągnąłem nad morze, byle dalej... Aż tu się taka okazja trafiła. – Nagle jego piegowate oblicze rozpromieniło się jak małe słońce. – Taki dar od bogów. – Smok – dopowiedziała wiedźma. Rycerz wyprostował się dumnie w swoim bajorku.

– Potwór straszliwy, ludzkiego narodu największy nieprzyjaciel. Babunia Jagódka aż się zachłysnęła. – A widzieliście go może? – zagadnęła po chwili.

– Dotąd się nie trafiło – wyznał z zawstydzaniem rycerz. – Ale druhowie przestrzegali, że gadzina przewrotna i zła, aż trudno uwierzyć. Semięgowi, księżęciu, co wedle Turznii siedzi, córkę zeżarł, choć piękność była w całym świecie sławna.

Wiedźma z udawanym przejęciem przyłożyła obie dłonie do policzków.

– Straszność!

– Ano, straszność – potaknął rudzielec. – Dlatego książe nagrodę za smoka naznaczył. Ten mianowicie, kto mu łeb smoczy przyniesie, tyle srebra dostanie, ile ten łeb waży. A gadają, że taka gadzina czasami nie jeden łeb ma, ale siedem... – rozmarzył się. A, tu cię mam, bratku! – pomyślała Babunia. Wreszcie wszystko jasne. I zaraz się jej zebrało na śmiech, bo przypomniała sobie nikczemny rozmiar ściganego potworka. Rycerz faktycznie nie miał szczęścia. Chociażby mu się udało szczęśliwie zwierza przydybać, za jego główkę nie zdoła wykupić ani jednej wioski.

Znów łypnęła w dół, ale owładnięty marzeniem rudzielec nie zwracał już na nią uwagi. Tkwił pośrodku bajora, z uśmiechem wpatrując się w przestrzeń. Nie wydawał się zbyt bystry, lecz to może i lepiej. Bystrzy rycerze bywali zbyt dokuczliwi. Wygrzebała z sakwy zwój liny, przywiązała jeden koniec do najtęższej z sosen, a drugi powoli spuściła do dołu i pogwizdując radośnie, ruszyła w swoją stronę.

Miała nadzieję, że przed nocą rycerz dostrzeże sznur. O zmierzchu utopce wychodziły na polowanie. Zwykle trzymały się linii tataraku, ale coś jej mówiło, że mogą potraktować ten dół jak swój teren łowiecki.



Jeszcze przed północą do chatki Babuni Jagódki przydyrdyła zaaferowana Rozalka. – Oj, jaka bieda, jaka bieda! – krzyczała od

furtki.

– Utopce rycerza zeżarły – zgadła wiedźma, skutecznie wytrącając przybyłą z rytmu biadoleń.

– No co też wy, Babuniu! – oburzyła się gospodyni plebana. – Przecież ich przestrzegliśmy, żeby nad staw nie leźli.

Wiedźma skryła starannie uśmiech zadowolenia. Nie lubiła marnotrawstwa. Rudy rycerz zawsze mógł się jeszcze do czegoś przydać.

– Lećmy, Babuniu. – Rozalka porwała ją za rękaw od koszuli. – Czasu nie mitrężmy, bo się tam pozabijają.

Zwykle plebanicha zachowywała spokój, więc cokolwiek zdziwiona wiedźma bez dalszych swarów narzuciła na głowę kwiciastą chustę i wdziała wатовany kubrak.

– Rycerze? – zapytała jeszcze, gdy odbijała od płotu ulubioną sztachetę.

– Gdzieżby tam rycerze! – ofuknęła ją proboszczowa kochanica, sadowiąc się za jej plecami. – Intendent, Babuniu. Intendent!



Wylądowały na głównym placu, naprzeciwko kościoła. Chociaż noc nastąpiła już ciemna, w wiosce było jasno jak w dzień od zapalonych latarni i pochodni. Od strony karczmy dobiegały wściekle pokrzykiwania, ale to akurat nie zdziwiło Babuni: po trudach polowania na smoka rycerze musieli odpocząć i trunkiem splukać smak porażki. Bardziej zafrapował ją gęsty tłum, zgromadzony wokół świątyni. Natychmiast zdała sobie sprawę, że podnoszone przez wieśniaków okrzyki bynajmniej nie są częścią dziękczynnych modłów, a pałki i kłonicie, dzierżone w rękę przez co bardziej zajadłych obywateli, nie zostały przyniesione li tylko dla ozdoby. Spojrzała z wyrzutem na Rozalkę. Powinna ją była uprzedzić o tumulcie. – Co się tu dzieje? Księża gospodyni otarła rąbkiem fartucha łzy.

– To ten intendent! – Chlipnęła żałośnie. – Zaraza na niego.

Wiedźma ze zrozumieniem skinęła głową. Urzędowe osoby, osobliwie zaś poborcy podatkowi i inni wysłannicy okolicznych ksiąząt, z dawien dawna nie cieszyły się w Wilżyńskiej Dolinie poważaniem.

– Na niego się zasadzają?

– A skąd. On ich podjudził.

Wiedźma rozpoznawała w tłumie coraz więcej znajomych twarzy. Zbiegła się cała wioskowa biedota, co jej nie zdziwiło, bo większość z nich nie przepuściła dotąd żadnej okazji do bijatyki. Widziała więc czterech drwali, niegdyś grasantów, bezlitośnie uwięzionych w Dolinie przez wiedźmę, koniokrada, utrzymującego się obecnie z gry w kości, paru opilców, kilkunastu pasterzy, co najmowali się do prowadzenia stad przez góry i całe mrowie zwyczajnych ubogich wieśniaków, którzy szczęśliwie zebrali już z pól mizerne zbiory i teraz oczekiwali godziwej rozrywki. Ale wśród ciżby pobłyskiwały też rumiane, podlane tłuszczkiem twarze wiejskich bogaczy. Otóż byli tam bracia Jewki – potężni młynarczykowie górowali nad resztą, a każdy z nich dzierżył w dłoni solidną pałkę. Był kowal, uzbrojony w żelazny drąg własnej roboty, i bednarz z widłami. Był nawet karczmarz, z racji profesji zaprawiony w burdach, ale nieskłonny do przesadnego ryzyka.

Zastanowiło ją to po trochu. Mało co mogłoby zjednoczyć tak różne indywidua, a na dodatek podszczuć ich do zbrojnej awantury.

Rozalka pociągnęła ją za kozuch w kierunku zbitego tłumy. Babunia zaczynała już rozpoznawać pierwsze okrzyki.

– Na stos! – darł się na całe gardło najstarszy z młynarczyków.  
– Błuznierstwo! – wtórował mu koniokrad.

– I zabór mienia! – wrzeszczał piskliwie karczmarz.

Wiedźma gniewnie zmarszczyła brwi. Nie lubiła, kiedy w jej bliskości tłuszcza zaczynała bredzić o stosie. Gospodyni plebana znów się rozszłochała.

– Bo on ciągle liczy – wykrztusiła przez łyżę. – Ten intendent. Ni na chwilę nie przestaje, ścierwo. Powiada, że nie potrafi się

powstrzymać.

Babunia Jagódka próbowała ją gestem uciszyć, żeby lepiej się wsłuchać we wrzaski tamtych, ale było to tak, jakby próbowała zatamować wezbrany topniejącymi śniegami górski potok. – Wedle kapliczki intendent wziął na wóz starego Kulasa – paplała Rozalka. – Niby się to uzalił, że zgrzybiały staruszek o lasce kuśtyka, ale ja swoje wiem. – Zacięła ze złością wargi. – Rozmyślnie tak zrobił, widać wyczuł, parszywiec, że to największy w dolinie plotkarz. I wykładacie sobie, co on zrobił, ten intendent? Owce wszystkie policzył, co się przy drodze na łąkach pasły. Owce, tryki, jagnięta, jak leci. Niczego nie opuścił.

Babunię zdjął niechętny podziw. Stado przy ścieżce miał pod opieką Osek, najlepszy owczarz w okolicy. Większość wioskowych gospodarzy powierzała mu swoje zwierzęta, więc musiał się intendent nieźle zwijać, żeby je wszystkie zrachować.

– I ten intendent wyliczył, że na jedną dorosłą owcę wypada...  
– kobieta zawahała się. – Jak on to powiedział? Trzy piąte jagnięcia.

A stary Kulas, ledwo się za bramę wturlali, poleciał roznieść tę rewelację po obejściach. Zaraz się znalazło kilku krewkich parobków. Co sił z nogach pognali do szałasów Oseka...

Wiedźma uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– I wyszło na jaw, że podbierał jagnięta?

Rozalka skinęła głową.

– I wełnę kradł. Tak go chłopcy kijami pobili, że chyba ze dwie niedziele z łóżka się nie podniesie.

Babunia wzruszyła ramionami.

– No, to chyba dobrze. Wyszło szydło z wora, ku pospólnemu pożytkowi.

Gospodyni plebana znów zaczęła zawodzić.

– Kiedy on dalej liczył! – wyrzuciła wśród szlochów. – A że z rycerzami chciał gadać, w świątyni się na nich zasadził, bo jako nabożny naród zwykle po polowaniu na smoka modły odprawiają. Trzech drwali tymczasem oderwało się od cizby i

boczkiem pobiegło na tyłu świątyni, ku szopce, gdzie proboszcz zgromadził opał na zimę. Po chwili pojawili się znowu, taszcząc okazały, oczyszczony z gałęzi pień. Powitani przez ziomków entuzjastycznymi okrzykami, przepychali się do wejścia na plebanie.

Na ich widok Rozalka stanęła jak wryta i tylko zawodziła tak donośnie, że się wrony z płotów płoszyły.

– No! – Babunia Jagódka niecierpliwie bodnęła ją łokciem w bok. – Gadaj, byle prędko, co się tu dzieje?

– Ano, on tam wszystko policzył! Kamyczki na sukience świętego obrazu, wota srebrne i te insze, co po obu stronach ołtarza wiszą. Nawet świece za zmarłych zapalane, gad jeden, przeliczył. Taki bezbożnik!

Wiedźma uniosła brew. Już się domyślała, co wzburzyło bogobojny wilżyński narodek.

– A tam Jewka w kruchcie się skryła – ciągnęła kobieta. – Sami, Babuniu, wiecie, jaki z niej giez obrzydły, jeno patrzy, jak by kogoś ukąsić, nieszczęścia mu przysporzyć. Gdy tylko usłyszała, co tam intendent do siebie pod nosem szepcze, zaraz poleciała do wsi i wszystkim rozpowiedziała. I po co? – Zacisnęła pięści w świętym oburzeniu. – A bo to komu ubyło od tego, że kilka kamuszków z sukienki obrazu wydziabano? A bo to różnica, czy sznur pereł podwójny, czy pojedynczy? Patrzajcie, Babuniu – mówiła, coraz bardziej rozgniewana – tyłu ludzi do świątyni zachodzi, przed ołtarzem pokłony bije, a nikomu dotąd przez myśl nie przeszło, żeby wota liczyć. Albo sprawdzać, ile się świeczek przed figurą pali.

Babunia uśmiechnęła się pod nosem. Wilżyński pleban był człkiem wielce swej pracy oddanym, wszelako czasami rozmywała mu się delikatna różnica między dobrem własnym a pożytkiem boga, któremu służył. W takowych momentach bez skrupowania spieniężał świątynny воск albo podmieniał srebrne wota na żelazne. Ostatecznie, mawiał, mój pan nie przywiązuje wagi do dóbr tego świata. Jemu żadna różnica. A mnie wręcz przeciwnie. Owszem, może z tymi wotami pleban

nieco przesadził, zdecydowała po chwili. Ale nie będzie mi tu żadnych samosądów. Energicznym krokiem ruszyła w kierunku zebranych chłopów. – Wszystko przez tego smoka! – pisnęła za nią cieniutkim głosem Rozalka.

Wiedźma kolnęła paluchem w plecy najbliższego wieśniaka. – Auu! – zawył młynarczyk.

Odruchowo zamierzył się pałą do ciosu, ale wnet opuścił mordercze narzędzie, spostrzegłszy Babunię. Natychmiast zdjął czapkę i grzecznie zaszurał w piasku nogami. Bracia Jewki nie byli może za bardzo rozgarnięci, lecz darzyli wiedźmę należytyym uszanowaniem. Jak wszyscy w dolinie zresztą. Jakby obdarzone jedną wolą, głowy zaczęły się same ku niej obracać. Opadały uniesione do ciosu kułaki, cichły plugawe okrzyki. Kilka kamieni jakby mimochodem upuszczono na ziemię; jeden trafił prosto w stopę Rębala, najbogatszego kmiecia w okolicy.

Drwale zamarli z wielkim dylem w rękach. Widać roztropnie uznali, że nawet wiedźma nie może od nich wymagać, żeby rzucili go sobie na buty.

Babunia Jagódka szybko przeszła pomiędzy zmartwiałymi wieśniakami. Nawet nie musiała się rozpychać łokciami. Chociaż wciąż wściekli, kmiecie rozstępowali się przed nią niczym łąn zboża. Drzwi plebanii zaparto na głucho. Wiedźma zastukała w nie donośnie, a skoro nikt nie odpowiedział, poprawiła kułakiem. Dalej nic. Zakłęła pod nosem. Z tyłu zawtórował jej pełen złości szmer. Świadoma, że wieśniacy śledzą każdy jej gest, spięła się w sobie i wymierzyła drzwiom delikatny prztyczek. Solidne dębowe deski zatrzęsły się, a potem wypadły razem z framugą. Tłum runął do przodu.

– No! – Wiedźma odwróciła się błyskawicznie i uniosła palec. Włóścianie zatrzymali się jak wryci, a Babunia już się odwróciła i w grobowej ciszy przekroczyła progi plebanii. Rozalka ciszką wsunęła się za nią.

Proboszcz kulił się za stołem w kącie jadalni. Ze strachu oblał się zimnym potem, bo na jego nalanym obliczu perliły się grube krople. Rozalka przypadła do niego ze stłumionym szlochem i



podźwignęła go z podłogi.

– Co, nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka? – zaszydziła wiedźma. – A nie mówiłam, że w końcu was ta chytrość do nieszczęścia przywiedzie? Pleban tylko jęknął. – Wszystko przez smoka! – powtórzyła Rozalka.

– Ale wyście durni – zeźliła się Babunia. – Cięgiem tylko na smoka wyrzekacie, zamiast korzyść z niego jakąś wyciągnąć. Tyle że do tego głową trzeba ruszyć, a nie jeno jęzor po próżnicy strzępić. – Odwinęła się tak żwawo, że aż zafurkotały spódnice. – Ciemięgi! Pleban i Rozalka wytrzeszczyli ze zdumienia oczy, a Babunia wzięła się pod boki, wparła obcasy w zdefasonowany próg i popatrzyła twardo na rozjuszonych wieśniaków.

– No, czego tu szukają?! – ryknęła, aż posypały się liście z drzew. – Smok wota święte zeżarł. Zapadła głucha cisza. Włóścianie desperacko usiłowali przetrwać tę nieoczekiwaną nowinę. Wreszcie ktoś – chyba koniokrad, który nie grzeszył nadmiernym rozumem – rozdarł się przeraźliwie:

– Huzia na smoka!

– Huzia! – zawtórował mu radośnie wioskowy pijaczyna. – Bij zabij zaprzańca!

Głowy zafalowały jak łan na wietrze i nagle cała ta ciżba zerwała się do szaleńczego biegu. Kilka tuzinów stóp – bosych, odzianych w łykowe łapcie, drewniane kozaki, a nawet wystawne skórzane trzewiki – zatętniło po ubitej ziemi majdanu, żwawo kierując się ku ciemnej ścianie lasu, a kilka tuzinów krzepkich ramion w morderczej furii wystawiło naprzód kosy, widły i siekiery. Wkrótce przed plebanią zostało zaledwie trzech drwali, coraz bardziej przygiętych do ziemi pod ciężarem pniaka. Wreszcie jeden z nich dał głową znak pozostałym i bardzo cichutko położyli drzewo na ziemi.

– To my już sobie pójdziemy – oznajmił grzecznie, po czym co prędzej czmychnął wraz z kompanami.

– A kto to posprząta?! – krzyknęła za nim Babunia.

Jednak nawet nie liczyła, że skłoni ich do powrotu. Niebawem krzyki ścichły na dobre i za plecami słyszała tylko ciężkie

sapanie proboszcza, który w końcu zebrał się na odwagę i przydreptał ocenić rozmiar zniszczeń. Rozalka przypadła Babuni do ręki. – Niechże wam wszyscy bogowie wynagrodzą! – Cicho! – ofuknęła ją niecierpliwie wiedźma.

Teraz, kiedy pozbyła się rozwrzeszczanej hałasty sprzed wejścia, coraz wyraźniej słyszała dobiegające od strony karczmy od  
głosy awantury.

– A tam znów co się dzieje?

– Ano ten intendent zapowietrzony – prychnęła gospodyni plebana. – Zaraza na niego i jego nasienie – dodała mściwie. Ale Babunia już nie wysłuchiwała klątw. Zakasawszy spódnicę, ruszyła poznać człeka, który tak straszliwie rozjuszył spokojny wilżyński ludek.



Pod nieobecność karczmarza interesem zawiadywała Szczerbata Kryska, jedna z wielu chudych, młodocianych sierot, które przygarniał na przednówku, a potem wykorzystywał bez żadnej litości. Zwykle zastraszona i cicha jak myszka, najwyraźniej okazała się mało odporna na rycerską perswazję, bo pozwoliła wytoczyć z zaplecza beczkę z najmocniejszą okowitą. Teraz, na wpół pijana, warząchwią rozlewała trunk do kufla, a jeden z rycerzy, chyba dotknięty chwilowym zaćmieniem pamięci, obmacywał ją tak zajadle, jakby nigdy nie ślubował zachować czystości na czas polowania na smoka. Babunia wzruszyła tylko ramionami. Kiedy karczmarz wróci, ani chybi znajdzie sposób, aby sobie powetować straty, przy czym z pewnością bardziej go zaboli wypita gorzałka niż nadszczerbiona cnota Szczerbatej Kryski.

Jej uwagę przyciągnął drobny człeczyna w ciemnym surducie, który siedział na szynkwasiu. Co dziwne, wydawał się zupełnie trzeźwy, a w każdym razie niepozbawiony rozsądku, bowiem przystępu do niego broniło pięciu krzepkich pacholków. Kubraki mieli ozdobione herbem, ale Babunia nie umiała rozpoznać czarno-żółtego bohomaza. Rozpoznawała za to bardzo dobrze

partyzany, którymi odpychali co bardziej nachalnych rycerzy.

– Powiadam, wara od smoka – perorował tymczasem intendent. – Smok waszmościom nie przynależy, bo on nie jest byle bezpańska gadzina, jeno od ogona aż po łeb jego książęcej mości własność. Dlatego ja jemu krzywdy nijakiej nie dam wyrządzić i ani odrobiny nadwerężyć nie pozwolę, ponieważ on do ostatniej łuski i ostatniego kłęba pary zapłacony przez jego książęcą mość... – Którą? – wtrąciła Babunia, ignorując pełne wściekłości pokrzykiwania niedoszłych pogromców smoka.

Wyrwany ze środka tyrady, intendent obrócił na nią nieco nieobecne spojrzenie. Prędko jednak się pozbierał.

– Jaśnie oświeconego księcia Siemięga – wyjaśnił z godnością. – Pana mego i dobroczyńcy.

– Tego, co mu smok córkę zezarł? – Babunia ucieszyła się, zadowolona, że może błysnąć znajomością spraw wielkiego świata. Rycerze jak jeden mąż łypnęli ku niej nieżyczliwie, a intendent pokraśniał i odął się na gębie jak purchawka.

– Ile razy mam powtarzać, że nijakiej córki książę pan nie ma, nie miał i mieć nie będzie! – ryknął, aż wiedźma zadziwiła się, że taki wrzask zmieścił się w równie niepokaźnym człeczynie. – Nie trza wierzyć, babciu, we wszystko, co ludzie bajdurzą – dorzucił po chwili łagodniej. – Księżna jaśnie pani trzech chłopyszków powiła i nikogo więcej. Wszelako złe języki uknuły bajędę o tej pożartej księżniczce, żeby nią śmierć smoka usprawiedliwić i tym łatwiej książęce dobro zagarnąć. Ale ja nie dozwolę! – Walnął się kułakiem w chudą pierś. – Jakem Cebula, książęcy intendent, nie dozwolę.

– I sami tak przeciwko wszystkim staniecie? – zapytała z powątpiewaniem.

Człowieczek uśmiechnął się filuternie i przymrużył oczy.

– A kto powiada, że sam? – zapytał, bardzo z siebie zadowolony. – Jakbym ja sam się tu zapuścił, toby mnie te baranie łby – machnął lekceważąco na otaczających go zbrojnych mężów – ciszką poszatkowały jak główkę kapusty. Nie, nie, mam dość doświadczenia z tymi rycerskimi

oczajduszami i zawczasu nająłem sobie półtuzina Servenedyjek do ochrony. Tuż pod wioską obozem stoją, bom tu nie chciał w narodzie sensacji czynić. I niech mnie teraz który tknie! – Znacząco przejechał dłonią po szyi. – Krótka będzie ceremonia.

– Wstyďte się, mości Cebulo, takie brednie prawić – burknął któryś z rycerzy – jakbyśmy was chcieli zbójeckim obyczajem na gałęzi powiesić. Nic to, jeno potwarz plugawa.

– Ano – przytaknął mu inny, z wyglądu dość wiekowy i o twarzy przyozdobionej sumiastymi wąsiskami. – I przeciwko naszej czci rycerskiej zniewaga.

– A kto wie, kto wie, jak by było? – zaperzył się intendent. – I wy mi się, mości Kolibo, nie zapierajcie, bo znam ja was dobrze, drapichrusty. Najprędzej własnąście gębą tę opowieść o straszliwym smoku, co na księżniczki dybie, rozpuścili.

– Ja? – obruszył się wąsacz. – Czyście, mości Cebulo, z rozumu zeszli?

– Tego przy występku szukaj, czyja korzyść jest – wygłosił sentencjonalnie intendent. – A kto większą korzyść z tego smoka odniesie niżli wy, mości Kolibo? Już teraz minstrele zaczynają sławę waszą głosić, żeście potwora przez pół świata gonili.

– Boć prawda szczerą! – Rycerz donośnie huknął się w zapadłą pierś. – Wszak gonilem.

– Umykaliście raczej. – Książęcy urzędnik skrzywił się szydyczko. – I nie za smokiem, jeno przed licytatozem, co wam cały majątek odebrał, a teraz chciał konia i całe oprzyrządowanie rycerskie spieniężyć za długi wasze karciane. – Łeż, leż! – zagulgotał wściekle wąsacz.

Próbował się wysforować do przodu i ucapić intendenta za kubrak, ale inni przytomnie go powstrzymali. Partyzany w rękach pachółków zniechęcały do lekkomyślnych wyskoków.

– No, to powiedzcie mi jeszcze, mości Kolibo – kontynuował nie bez uciechy urzędnik, bezpiecznie ukryty za plecami swoich ludzi – co byście uczynili, gdyby wam się osobliwym trafem udało smoka tego przydybać. Rycerz wybałuszył oczy ze zdumienia.

– Zabiłbym gadzinę – oznajmił.

Intendent zachichotał piskliwie.

– Ajuści byście zabili! Chyba żeby ze śmiechu pękła na wasz widok. Przecie wy, mości Kolibo, ledwo miecz dźwigacie. Dech macie krótki, w krzyżu was strzyka, w boku kłuje, pachółkowie na koń podsadzają.

– Oj, trzymajcie mnie, braciaszkowie, bo nie zdzierzę! – rozdarł się wąsaty, ale pozostali rycerze, posłuszni wezwaniu, wykręcili mu ramiona i unieruchomili.

Szlachetny Koliba szarpał się chwilę, ale bez przekonania. Zaraz zgiął się wpół i złapał za krzyż.

– Kudy wam do smoka! – Intendent zarechotał donośniej. – Pod pierzyną wam siedzieć i gnaty stare grzać, nic więcej.

– Nieszlachetne wasze słowa, mości Cebulo – napomniał go inny zbrojny mąż, wysoki, przeraźliwie chudy człek; spod zbroi wystawały mu czerwone, połatanne pantalone.

– Ja nie muszę być szlachetny, tylko skuteczny – oznajmił niestropiony intendent. – A wy mnie, mości Szkarłupo, nie strofujcie, boście sami nie lepsi. Wszak nie za smokiem tu przygnaliście, lecz przed babą uciekacie. I nie dziw żaden, bo ona od smoka paskudniejsza i bardziej plugawa... – krzyki rozjuszonego pana małżonka zagłuszyły jego dalsze słowa.

Babunia Jagódka z aprobatą uniosła brwi. Nigdy wcześniej nie spotkała intendenta, ale wydawał się jej równie jadowity jak piaskowa żmija. Z namysłem rozejrzała się po pomieszczeniu. Rycerze srożyli się, przeklinali plugawo, wygrażali kułakami, ale żaden z nich nie ośmielił się porwać na pachółków. Widać opowieść o Servenedyjkach, czających się gdzieś pod wioską, była prawdziwa, co zresztą wcale nie cieszyło Babuni. Nie lubiła, kiedy się jej po podwórzu szwendali zamiejscowi.

– I ze wszystkimi wami tak samo! – Głos intendenta przebił się przez wrzawę. – Gołodupce! Rycerze bezrolne!

– A wy jakie niby macie prawo do smoka? – rozdarła się wiedźma, z łatwością zagłuszywszy wszystkich innych. – A może

on tutejszy? Rycerze popatrzyli na nią z nagłą nadzieją. Ale intendent się wcale nie stropił.

– Jaki tam tutejszy – prychnął pogardliwie. – Książę pan ma zwierzyniec przeogromny, najświetniejszy w całej Turznie. Dlatego kiedy tylko się dowiedział o owym monstrum zamorskim, własną osobą u kapitana go zamówił, zza południowych gór kazał na statku sprowadzić i szczerym srebrem za niego zapłacił. Starczy? Wiedźma podrapała się szponiastym pazurem po głowie.

– To skoro on taki zamówiony i zapłacony, to czemu u księcia na zapiecku nie siedzi, a się po górach pałęta? – zapytała z powątpiewaniem.

– Bo go imć Szkarłupa wykraść próbował – rzekł z przekąsem książęcy urzędnik. – Ale powinęła mu się noga, pigule przebrzydłemu. Tyle że zwierz uciekł, a ta zgraja zaraz za nim pognęła... Rycerz znów zaczęli coś krzyczeć w odpłacie za zniewagę, ale Babunia ziewnęła i ciszką wycofała się do wyjścia. Miała nadzieję, że jutro sobie w spokoju upolują smoka – za jedno, rycerze czy intendent – i Wilżyńska Dolina powróci do swych dawnych obyczajów.



Następnego dnia smok był równie sztywny jak wcześniej: widać bazyliżek postarał się jak nigdy dotąd. Rozgoryczona wiedźma wybrała się z wyprawą odwetową do drewni. Wyrwała potworkowi okazały pęk piór z kupra, ale nic poza tym nie udało się jej osiągnąć. Ze złością zawiązała na głowie chustkę i poszła przerzucać gnój na stertę. Była tak wściekła, że z wideł trzaskały iskry. Deszczowa chmura, która zawisała nad zagrodą, zawróciła spieszenie i podrażowała spuścić deszcz gdzieś w bezpieczniejszej okolicy. Przerażone kury zbiły się w gromadkę w przeciwległym krańcu obejścia pod płotem i nawet nie śmiały gdakać.

Jednakże i tak koło południa – widać po wczorajszym pijaństwie rycerze nieco dłużej zabarłżyli w gospodzie – błogą

ciszę zmąciły wrzaski, dobiegające od strony wioski. Dźwięk trąbki wwiercał się jak świder w umysł, psy poszczekiwały wściekle. Babunia cisnęła widły z taką złością, że aż po trzonek wbiły się ścianę chaty, i zebrała w garść spódnicę. Zamierzała wybrać się na wycieczkę do osady i rozpędzić całe towarzystwo, kiedy hałas umilkł na chwilę, potem znów wybuchł przeraźliwym jazgotem, a na końcu zaczął szybko się oddalać. Wiedźma odczekała jeszcze trochę, nasłuchując czujnie, ale skoro nic już nie mąciło pogodnego ćwierkania ptaków, powróciła do przerwanej roboty.

Wszelako zanim słońce dobrze przechyliło się na zachodnią stronę, do wiedźmiej chatki przydreptał sołtys. Chociaż zmachany i spocony, ani próbował bez zaproszenia pchać się na cudze podwórko. Zatrzymał się grzecznie przy furtce i z desperacją zaglądał przez sztachety, nawołując tubalnym szeptem:

– Babuniu? Jesteście tam, Babuniu? Babuniu? Zlitujcież się, Babuniu...

Przy czwartej "Babuni" wiedźmie puściły nerwy. Sołtys słynął z uporów, jeśli przydyrdał tu w takim pośpiechu, zapewne nie pozwoli się odesłać z kwitkiem i w razie potrzeby będzie tkwił przy płocie choćby do jutra. Wychylnęła zatem zza sterty gnoju i machnęła ręką na furtkę. Skobel odemknął się z potępieńczym zgrzytem, a sołtys pomknął ku niej pomiędzy kurami, które – przejąwszy nieprzychylny nastrój Babuni – dziobały go po łydkach i puszczały z dziobów ostrzegawcze obłoczki dymu. Jako że sołtys był człekiem korpulentnym, posiadaczem wielkiego brzuszyska oraz trzech podbródków, wyglądało to dość pociesznie. – Czego? – zapytała majestatycznie wiedźma.

Na wszelki wypadek stanęła na przyzbie, zagradzając mu drogę do izby. Zamierzała się pozbyć gaduły jak najprędzej.

– Pomijujcież, Babuniu! – wysapał sołtys, wyszarpując jakiejś wyjątkowo zajadłej kurze nogawkę. – No, żyć się już nie da z tą inwazją!

Gospodyni pokręciła głową. Wiedziała, że z tego całego

polowania na smoka nic dobrego nie wyniknie.

– Co się znów stało?

– Ano, rycerze za smokiem pogonili, jak co dnia czynią – rzekł sołtys ponuro. – Ale tuż za opłotkami zaczął się na nich intendent ze swoimi Servenedyjkami. Zrazu się znów kłócili straszliwie, czyje prawo do smoka większe. Potem za łby się wzięli na polu przy Wdowim Lasku. Babuniu – załamał rękę – dobrze, że już po zbiorach, bo całe ściernisko stratowali, powiadam wam, jakoby je dziki zryły. Dwóch rycerzy z rozbitymi łbami potem do karczmy przyniesiono, a reszta się gdzieś tam z Servenedyjkami po lasach gania. – No, to może się po cichońku wybiją i znów spokój będzie – poddała wiedźma.

– E, gdzie by się tam wybili! – prychnął. – Już się odgrają, że po kuzynów i pociotków poślą, żeby intendentowi dać należytą odprawę. Mówię wam, zanim się to wszystko skończy, jedno pobojuwisko z Wilżyńskiej Doliny zostanie. I po to my się po wojnie ze zgliszczy podnieśli, żeby nas teraz jeden smok wykończył? Babunia przygryzła wargę. Rozmyślała, jak by tu doczekać, póki smok się wreszcie nie ocknie z pobazyliżkowego odrętwienia. – Jakie nieszczęście, jakie nieszczęście – biadał tymczasem sołtys. – Nie mógł ten smok gdzie indziej czmychnąć, tylko do nas? A będzie jeszcze gorzej – dodał na koniec – bo za nim wciąż nowa hałastra ściąga. Właśnie kupiec jakowyś na wozie się przyturlał, Szkarłupa się każe wołać. I też powiada, że ten smok jest jego. Aż lękam się zgadywać, co to będzie, kiedy się o nim intendent dowie... Błagam was, Babuniu, pomóżcie. W was nasza ostatnia nadzieja...



Tuż za wioskową bramą, przed obejściem Szyszka, wiedźma wypatrzyła znajomego rycerza. Głowę miał owiniętą czyścusięnką, białą ścierką, ale wydawał się całkiem zadowolony. Siedział na przyzbie, pogryzał placek ze śliwami, a ponieważ lewą rękę miał unieruchomioną na temblaku, córka Szyszka, Honorcia, raz po raz poila go z cynowego kubka piwem.



Była to dorodna, hoża dziewczyna o dwóch kruczonych warkoczach, które opadały jej aż za tyłek. – O, witajcie, babciu! – uradował się na jej widok rycerz. – Co to, za chlebem po kmieciach chodzicie?

Honorcia zbladła jak ściana na podobny brak szacunku, ale wiedźma uciszyła ją krótkim machnięciem ręki. Nie lubiła, gdy wyjawiano obcym, kim naprawdę jest.

– Jesień idzie – powiedziała trzęsącym się, starczym głosem. – Trza się przed mrozami zaopatrzyć, bo tu wnet śniegi spadną i na dobre dolinę zawrą, razem ze wszystkimi, co w niej zostaną – dodała znacząco.

Rycerz pomarkotniał. Zdrową ręką gładził koniec Honorkowego warkocza, a po chwili dłoń omsknęła mu się na pobliskie obłóci.

– Ano – bąknął – pewnie się wcześniej z tym smokiem zdołamy uwinąć.

– Ale wy to chyba ani dzisiaj, ani jutro na koń nie wsiadziecie – zawyrokowała wiedźma. – Któż was tak poturbował? Niedźwie dzia w lesie naszłicie albo insze licho?

Rudy stropił się odrobinę.

– Nie – wyznał wreszcie mężnie. – Z Servenedyjkami mieliśmy sprawę, co je intendent przywłókł. Ale jakże tak na niewiasty zbrojno się zasadzać? Wszak nierycerska to rzecz i niehonorowa. Próbowałem tedy przemówić im do rozsądku, ale anim się obejrzał, jak mnie jedna w łeb szabelką dosięgła.

– I żyjecie? – zdumiała się wiedźma, która lepiej od rycerza znała obyczaje południowych wojowniczek.

Honorcia przysunęła się do niego obronnym gestem.

– Na płask baba biła – burknął, podczas gdy kruczowłosa dziewczyna ocierała mu z brody krople piwa. – Ale ja następnym razem nie będę – dodał mściwie.

Babunia skinęła głową. Widać intendent miał posłuch wśród najmitek, skoro próbowały bezkrywawo sprawę całą załatwić. Zwykle nie zostawiały żywych na poboju.

Honorcia, wyraźnie przestraszona perspektywą dalszej zwady, ukradkiem słała jej rozpaczliwe spojrzenia.

– No, ale takie uderzenie to dotkliwa rzecz – powiedziała Babunia, starannie ukrywając kpinę. – Rozum się może obłuzować i przez uszy wyciec. Musicie się pierwszej wykurować, zanim znów do boju staniecie. Lepiej tutaj przeczekać, niżbyście się mieli w karczmie poniewierać. Tam hałas, zwady, tumulty, a tu sobie w cichości wypoczniecie. Lepsze będzie o was u Szyszka staranie.

Dziewczyna uśmiechnęła się z ulgą, a rycerz wielkopańskim gestem skinął wiedźmie na drogę. Oj, coś mi się zdaje, pomyślała Babunia, że prędko ci te wielkopańskie maniere wywietrzeją z głowy. Szyszek jest człek konkretny, przy czym najzamożniejszy we wsi gospodarz. Nie zamydli mu oczu polerowany szyszak ani napierśnik z ryngrafem, przy tym czujny, umie swego dobytku pilnować. Jak mu córuchna dorosła, jak się na nią miejscowe parobki zaczęły zasadzać, duby smalone prawić i do igraszek na sianie zachęcać, to sprawił se cztery brytany i tak je dobrze wyszkolił, że ni mysz mu się teraz po obejściu bez pozwolenia nie włóczy. I ciebie też, panie rycerzu, rychło wyszkoli, może nawet boleśniej niżli te Servenedyjki.

No, chyba żeby nie... – dodała w myślach, widząc, że Honorcia chyłkiem spoziera na rudego, a z takim rozmarzeniem niczym kot na sperkę. Jak się córka prawdziwie uprze, nic ojciec nie poradzi...



Na podwórcu, naprzeciw wejścia do świątyni, stał wóz kolebiasty, kryty brunatnym płótnem. Z jednej strony uniesiono je na dwa łokcie i Babunia z daleka widziała wystające ze środka ostrza. Przed wozem, w półkolu, stali pachołkowie intendenta i czterej rycerze, którzy najwyraźniej szczęśliwie przetrwali starcie z Servenedyjkami. Wszyscy nad czymś żarliwie deliberowali, a nad wrzawą górował piskliwy głos intendenta.

– Ja was w dyby każę wsadzić! – darł się. – Ręce wam każę

wedle łokciów uciąć!

– Pomiarkujcie się, waszmościowie. – Pleban śmiało stanął pomiędzy wzburzonym tłumem a wozem i usiłował mitygować zwaśnionych. – Toć nie uchodzi.

– A mnie za psie jaje, co uchodzi, a co nie uchodzi! – Książęcy urzędnik splunął i plwocina opadła tuż obok buta proboszcza. – Mam prawo tego smokokrada pojmać i za zbrodnię przeciwko książęcemu majestatowi pokarać. I swego nie ustąpię, choćbym go musiał własnymi rękoma na gałęzi obwiesić.

– Smokokrada?! – Z wnętrza wozu wysunęła się czyjaś pyzata gęba, przyobleczona w coś w rodzaju czerwonej szlafmicy z pozłocistymi chwostami. – Jako pies łziecie, mości Cebulo. Samiście wszak smoka ukradli, wbrew prawom wszelkim i poczciwości zwyczajnej. Intendent aż podskoczył z wściekłości. – Ja? Chybaście się szaleju najedli. Ja ukradłem?

Właściciel szkarłatnej szlafmicy jeszcze bardziej wysunął się z wozu i Babunia ujrzała niskiego, pękatego człowieka, odzianego w kapiący od złocistego haftu kubrak.

– A co? Kto nocką smoka ze statku uprowadził, hę? Kto go w klatkę wsadził i sukmem dla niepoznaki ją przybrał, coby nikt złodziejstwa nie spostrzegł? – Coraz bardziej podnosił głos, skutecznie zagłuszając protesty intendenta. – Kto wreszcie zwierza w piwnicy najgłębszej zawarł, żeby się wieść nie rozeszła o tym bezprzykładnym gwałcie?

– Bo mu kwarantannę należało uczynić! – zawołał mości Cebula. – Jako się zwykle z zamorskimi zwierzami czyni, żeby jakowegoś plugastwa po kraju nie rozniosły. Zresztą nie wasza rzecz, imć Szkarłupo. Choćby go jaśnie książę pan postanowił głodem umorzyć, byłby w swoim prawie. Bo go kupił! Za szczere srebro kupił!

Babunia chyłkiem przesunęła się do plebana, który cofnął się do wejścia świątyni i w oszołomieniu przysłuchiwał się kłótni. – Długo to już trwa? – zagadnęła go szeptem.

– Odkąd tylko intendent wrócił z polowania – odparł po cichu. – Tak sobie do oczu skoczyli, że tylko dzięki bożej łasce trupów

nie musieliśmy z ziemi zbierać. Z obrazem świętym musiałem ze świątyni wychodzić i to ich trochę powściągnęło. Kupiec do wozu czmychnął i stamtąd się odgryza, niczym skrzeczek w jamie przez psy prześladowany.

– Kupił? – rozdarł się tymczasem imć Szkarłupa. – Jakże mógł go księżę kupować, skoro on mój był? Mój, powiadam! – jego głos wzniósł się oktawę wyżej. – Zamówiony, zapłacony i...

– ...i zwędzony przez was podstępnie z księżęcej piwnicy – wszedł mu w słowo mości Cebula. – A kto się nocką ciemną do cudzej komory zakrada? A złodziej! – wrzasnął triumfalnie. Imć Szkarłupa wziął się pod boki.

– Przed kim niby miałem sprawiedliwości dochodzić? Przed księciem oczajduszą, co po cudze dobro rękę wyciągnął? Woląłem sam sobie zadośćuczynienie uczynić i majątek odzyskać. Intendent parsknął śmiechem.

– No, toście się nachapali! Aniście dnia jednego nie potrafili tego smoka w garści utrzymać, zaraz precz od was uciekł. I nic dziwnego – dodał szyderczo. – Takiście szachraj i psubrat, że nikt z wami nie potrafi wytrzymać, nawet pospolita gadzina.

– Aha! – Imć Szkarłupa powoli stawał się czerwony jak jego szlafmyca. – A kiedy ów zwierz czmychnął? Ano, gdy księżęcy pachółkowie dom mój plądrowali, drzwi wprzód wyłamawszy. – W prawie swoim byli! – przekrzykiwał go mości Cebula. – Wyście z rozmysłu smoka wypuścili, żeby księciu jaśnie panu na złość zrobić.

– Taką fortunę miałbym luzem puścić z powodu byle panka? – zapytał z przekąsem posiadacz szkarłatnej szlafmycy. – Jakiegoś chudopachołka, co na spłachetku ziemi siedzi, ot, nie większym niż ta dolinka, i księciem się każe nazywać, choć tyle dobra ma jeno, żeby sobie ten kościsty tyłek owinąć w wytarte gronostaje? – Podobno ten Szkarłupa to straszliwy bogacz – pleban konfidencjonalnym szeptem zwierzył się Babuni. – Któryś z rycerzy mi powiedział, że ma w kieszeni pół Turzniei.

– Oj, trzymajcie mnie, ludzikowie! – Intendent wyrwał się z pięściami do przodu i byłby potężnie grzmotnął adwersarza,

gdyby go pacholankowie nie złapali za ramiona. – Trzymajcie, bo nie zdzierzę, jak sobie ta gnida dalej będzie gębę wycierać godnością jego książęcej mości.

– Właściwie należałoby im pozwolić wziąć się za łby i choćby pozabijać – odparła równie cicho wiedźma. – Ale są jeszcze Servenedyjki... A one na pewno nie popuszczą, jeśli coś się stanie z ich pryncypałem. Będą nas tu gnębić, póki z wioski kamień na ka  
mieniu nie zostanie.

Pleban poskrobał się po karku.

– Może to jakieś nieporozumienie – rzekł z nadzieją. – Toć nie może tak być, żeby obaj kupili tego samego smoka...

Jak się okazało, imć Szkarłupa miał słuch ostry niczym świstak. – Nieporozumienie? – prychnął pogardliwie. – Jakie nieporozumienie? Ja mam dokumenty.

Zanurkował do wnętrza wozu i zaraz pojawił się z karteluszem w ręku.

– O, tu wszystko czarno na białym napisane. – Rozwinął kartę i zamachał nią, triumfalnie wodząc palcem po rzędach liter. – Pokaż! – Intendent bez ceremonii wyrwał mu z ręki dokument i zaczął łapczywie czytać. – Niemożebność! – wykrzyknął po chwili. – Zwyczajny bezsens! Teraz imć Szkarłupa zaśmiał się z triumfem.

– No co wy, mości Cebulo? – zakpił. – Kontraktu nie potraficie rozpoznać? To może się lepiej u księcia za koniucha najmijcie, większy z was odniesie pożytek. Babunia bodnęła łokciem plebana.

– Dajcie no to pisanie – syknęła. – Inaczej będą się tak kłócić do rana.

Proboszcz posłusznie wyjął intendentowi z palców dokument: na szczęście urzędnik tak się zaciętrzewił kłótnią, że bez sprzeciwu pozwolił go sobie odebrać. Wiedźma szybko przebiegła kontrakt oczami. Faktycznie głosił, że imć Szkarłupa, kupiec korzenny, syn dwojga rodziców, pan na licznych włościach, obstalował u kapitana Pośmieciucha smoka, sztuk

jedna, płci obojętnej. Jako zapłatę wyznaczono dwie kupy srebrnych groszy – tu Babunia uniosła brew, szczerze zadziwiona, że ktoś zmarnowałby podobną fortunę na byle gadzinę, na dodatek pokurcza. Smok miał zostać dostarczony jeszcze przed zimą, najszybciej jak pozwolą morskie prądy i wichry, co kapitan świadczył własnym podpisem i odciskiem rodowego sygnetu.

– Wygląda na prawdziwy – przyznała.

– I jest prawdziwy! – Imć Szkarłupa prychnął. – Pokwitowania też mam, za zadatek i całą resztę.

– To jakiś obłąd – wybełkotał słabo intendent, w którym zaufanie do słowa pisanego walczyło z niedowierzaniem. – Zwyczajny obłąd.

Wiedźma machnęła z lekceważeniem ręką.

– Zaraz tam obłąd. Po prostu kapitan was oszukał jak kmiotów. Tego samego smoka dwa razy sprzedał, ot, i całą tajemnicę. A teraz pewnie się z was śmieje, wino słodkie daleko na południu pije. Intendent i kupiec spojrzeli sobie głęboko w oczy. Babunia uśmiechnęła się szyderczo. – Co? Pozwoliliście mu czmychnąć?

– Jeszcze tego samego wieczoru odbił z portu – rzekł cicho intendent. – Zaraz po tym, mu zapłaciłem. – Jak ja mu zapłaciłem! – poprawił imć Szkarłupa.

– Pospołuście się dali wywieść w pole jak ślepi – skonstatowała wiedźma, z satysfakcją przyglądając się ich zawstydzonym obliczom. – A tego smoka aby dobrze sobie obejrzelicie? Bo może to nie smok był, ale zwyczajna jaszczurka dla niepoznaki farbą umazana?

– O nie! – Intendent i kupiec oburzyli się jednocześnie.

– Prawdziwy smok to był – zawtórowali mu rycerze. – Bestia straszna i pełna podstępów.

– No! – odezwał się z głębi tłumu jakiś nowy głos. – I ja ją na wieczystą pamiątkę skrupulatnie opiszę.



Kiedy Babunia ciemną nocką dowlokła się wreszcie do swej chatki, była zmęczona, jakby cały dzień w kamieniołomach machała kilofem, i na wpół głucha od wrzasków. Ostatkiem sił opadła na kolana i wydobyła spod łóżka przyczynę całego zamieszania. Jednakże niewdzięczny zwierzak nadal ani drgnął, tylko małe oczko połyskiwało filuternie zza skrzydła i wiedźmie wydało się, że jawnie się z niej naigrawa.

Przelotnie rozważyła, czyby nie można go w takim stanie oddać intruzom – niechże tam sobie potem sami czekają, aż bazylijszkowy czar odpuści, może w tym czasie dojdą, komu się ten smok najbardziej należy. Ale nie, uznała po chwili, nie nabiorą się. Figuryńka smoka to jednak nie smok.

– Na nikogo już nie można liczyć! – wyrzuciła z siebie gorzko i ze złością cisnęła stworka na powrót między pajęczyny. Smok zabrzączał dźwięcznie na posadzce i znikł, a wraz z nim nadzieje wiedźmy na odzyskanie spokoju.

Zrezygnowana, padła na fotel, zakłębieniem roznieciła ogień w kominku i długo leżała bez życia, kontemplując swoje nieszczęście. Jutro wszystko zacznie się na nowo, myślała. Serwenedyjki wezmą się za łby z rycerzami, a pacholkiwie imć Szkarłupy z pewnością przyłączą się do burdy. A jeśli w zamęcie ktoś czerwonego kura puści po zagrodach albo kmieciowi łeb czekaniem rozłupie, to przecież nie ich kłopot. Ostatecznie nie są u siebie. Co im szkodzi.

Siedziała w ponurym milczeniu, popijając okowitkę, gdy błogą, nocną ciszę zmącił przeraźliwy hałas. Nietopyrki z piskiem poderwały się spod powały, pająki pospiesznie pochowały się w szpary w podłodze, a wiedźma aż podskoczyła w fotelu.

– Ani chybi jakiś wilczek się wściekł – wymamrotała, po czym dźwignęła się z trudem, złapała miotłę i choć nogi się jej plątały po trochu, dziarsko ruszyła bronić swej chudoby przed kolejną inwazją.

Stała u płotu, zamierzyła się miotłą i czekała na nadejście

drapieżnika. Skowyty bowiem się przybliżały. Na dodatek wtórowało im jakieś przedziwne rzępolenie.

– Aleście, babino, popili – poprzez opar okowitki przedarł się czyjś głos.

Babunia zamrugła powiekami, z trudem ogniskując wzrok na stojącej przed nią postaci. Nigdy wcześniej nie widziała tego człeka. Nosił pstrokaty kaftan, pełen wielobarwnych cer i łąt, wytarty aksamitny biret, z którego zwieszało się smętnie niemal łyse pawie pióro, oraz żółte nogawice. Koloru pantofli nie umiała odgadnąć, błoto i kurz pokrywały je grubą warstwą. Kiedyś do Wilżyńskiej Doliny zaplątał się żak, przypomniała sobie wiedźma, i on też nosił podobne, ni to dziadowskie, ni to pańskie przebranie. Ale ten przybysz wydawał się jej zanadto wiekowy na żaka. Spod biretu wyglądało bowiem oblicze wyschłe na wiór i pomarszczone przez upływające lata. Włosy, opadające na plecy w zmierzwionych kosmykach, przybrały barwę zsiadłego mleka, a ręce, zaciśnięte na lutni, wyglądały jak pożyczone od kościotrupa.

Przybysz nastawił ku niej nos, wydatny jak u sępa, i chwilę wietrzył w skupieniu.

– Okowitka – rzekł w końcu z uznaniem. – A nie zostało wam tam jeszcze krzynę, moja kobiecino?

Wiedźma wytrzeszczyła oczy na podobną bezczelność i wytrzeźwiała nieco.

– Wyście tak po chaszczach wyli? – zapytała cierpko.

– Oj, wstyd, babo, wstyd. – Przybysz pogroził jej palcem. – Nic się na sztuce nie wyznajecie. Pieśń nową żem składał. O smoku straszliwym, co go rycerz prawy usiekł, księżniczce cudnej urody na ratunek przychodząc. – Toć smok wciąż żywie! – prychnęła wiedźma.

– I dobrze – przytaknął radośnie. – Żadna sztuka pieśń pisać, kiedy zwierz już zdechły. Kunsztu prawdziwego trzeba, żeby ją skomponować, póki jeszcze dycha, coby gotowa była, kiedy go usieką. I żeby mnie żaden psubrat nie ubiegł. – W czym? – zdziwiła się Babunia.



Chuderlak z namaszczeniem pogładził się po siwiuteńkiej bródce, która upodabniała go do swawolnego kozła.

– Widzicie, babciu, taka pieśń o smoku to nie byle co. To bogactwo i pozycja na książęcych dworach, i sława nieśmiertelna. Dlatego ledwie mnie wieść doszła, że smok się pokazał, w te dyrdy na chabetę wsiadłem i huzia w góry. Nie wiedzieć, kiedy się znów taka gratka trafi.

– Zdaje mi się – rzekła z przekąsem wiedźma – że gratka może wam przejść koło nosa, bo tu się coraz mniej zanosi na rycerskie polowanie. Pierwej potwora Servenedyjki albo pachółkowie tego Szkarłupy gdzieś ciszką złapią i wywiozą. Przybysz bynajmniej się nie stropił.

– E, Szkarłupa też chce go zaszlachtować – oznajmił pogodnie. – Widzicie, babko, niby on korzeniami handluje i jest wielkie państwo, ale przecież wiecie się ze starej aptekarskiej rodziny i z natury ciągnie go do zysku. Dlatego umyślił sobie, żeby tego smoka co rychlej przerobić na piguły, maści i balsamy, bo ponoć są w nim ingrediencje osobliwie korzystne dla wzmocnienia sił męczyńskich. A wypchaną skórę nad własną kamienicą chce powiesić, bo też w całym świecie nie znajdziesz lepszej reklamy dla jego usług niżli smocze truchło.

– Ohyda – mruknęła Babunia, bo nagle się jej zrobiło żal psotnego tęczowego stworka. Chudzielec wzruszył ramionami.

– Takie życie – oznajmił obojętnie. – Jak my smoka nie ubijemy, to on nas zeżre. Tyle że lepiej po rycersku to uczynić. Jak należy, z ceremonią. Ech, zdałaby się jeszcze jakowaś księżniczka piękna – rozmarzył się – albo chociaż kasztelanka, aby ją z rąk smoka wyratować...

– Tutaj najbliższa kasztelanka pod żalnicką granicą – usadziła go Babunia. – Cztery dni z okładem stąd, jeśli szybko będziecie giczołami przebierać.

– A, co mi tam! – oświadczył rażno mężczyzna. – Najwyżej się ją dopisze, a co? Hej, babciu, a was jak wołają? Dajcie trochę okowitki, to was uwiecznię!

Babunia Jagódka łypnęła na niego z takim przerażeniem, jakby się na jej oczach obmienił w nocną zmore, po czym obróciła się na pięcie i pędem uciekła do domu.



Następnego dnia, jeszcze przed świtem, przywlokły się na skargę utopce, którym Servenedyjki zmaciły wodę w stawie, bezczelnie pławiąc w niej konie. Południowe wojowniczkę nie dały się zastraszyć hukaniem i chlupotaniem, nie zlekły się wodnych wirów ni mamideł z pary. A kiedy najodważniejszy z utopców zakradł się do nich poprzez tatarak i znienacka uszczypał jedną w tyłek, nie dość że spuściły mu łomot, to jeszcze mściwie zżęły całe szuwały. – Tak nie może być, Babuniu. – Przywódca utopców stał tuż za progiem, mnąc czapkę w dłoniach. Woda z kapoty ściekała mu strumyczkami na podłogę z sosnowych desek. – W dzień wyspać się nie idzie, taki hałas czynią. I nic się nie boją. Jak po grzeczności próbowałem, prosiłem, żeby gdzie indziej się wyniosły, jedna taka kamieniem mi oko podbiła. – Z goryczą siąknął nosem. – Zwyczajne chamstwo.

– A teraz jeszcze gorzej będzie. – Jeden z najstarszych utopców, bardzo już opuchnięty i pozieleniały, pokiwał głową. – Bo nad strugą też obóz rozbili i brzeg nam grodzą. To gdzie my się podziejemy? W lesie mamy siedzieć, jak jakie bobaki?

– Właśnie, właśnie – jęły sprzed progu potakiwać te potworki, które nie odważyły się wejść do siedziby wiedźmy.

Wiedźma potarła skronie, bo nagle rozboleła ją głowa. – Zaraz. Kto obóz rozbił nad strugą?

– No, czeladź kasztelanki – wyjaśnił przywódca utopców. – Tej, co ją smok porwał.

Kiedy wreszcie udało się jej uspokoić potworki i wyprowadzić je z powrotem, Babunia Jagódka bez ducha opadła w fotel i długą chwilę siedziała nieruchomo z zamkniętymi oczami, rozpamiętując nieszczęścia, które na nią spadły za sprawą jednego maleńkiego smoka. Oczywiście zwierzak był nadal sztywny jak kamień. Maleńkie oczko połyskiwało z kpiną.

– A żebyś zdechł – wysyczała przez zęby i cisnęła go z powrotem pod łóżko.

Ale wściekłość wciąż nią trzęsła, a taka dojmująca, że zebrała spódnice i ruszyła prosto do drewnitni. Tam złapała za gardło bazyliuszka, który w spokoju ducha drzemał na grzędzie, i tak go ścisnęła, aż stwór posiniał i zaczął rzeźnić.

– Jak mi jeszcze raz – wiedźma przybliżyła do niego wykrzywioną złością twarz – bez pozwolenia na coś popatrzysz, to wszystkie pióra z kupra powyrywam, a resztę na żerdź nadzieję i nad wrotami zawieszę. Odtąd ziarno będziesz żarł, jak insze kury, bo rozum masz dokładnie taki sam, jak one. Rozumiemy się?

Przerażony bazyliuszek zaczął bardzo gorliwie posykiwać, że zgadza się i w ogóle zrobi wszystko, co trzeba, może się posilić ciętym sitowiem albo robakami, jeśli tylko Babunia chce. Ale wiedźma już nie słuchała. Rozjuszona jak rzadko, bez śniadania pomaszerowała do nowego obozu.

Istotnie, z daleka dojrzała białe płótno rozbitych nad strugą namiotów – i tylko resztki przytomności umysłu powstrzymały ją przed wypaleniem ich do żywej ziemi zaklęciem. Niby rozumiała, że nie powinna się zanadto obnosić ze swoją mocą przed przybyszami, bo kiedy rozniesie się wieść o wiedźmie, znów do Wilżyńskiej Doliny zlezie się cała masa rozmaitych oczajduszów: jedni będą próbowali ją ubić, inni wykorzystać, a jeszcze inni po prostu zechcą się gapić. Zgarbiła się więc, przybrała jak najbardziej głupawy wyraz twarzy i podpierając się na lasce, wkroczyła do obozu.

– A kto wy jesteście? – zagadnęła pyzată na buzi dziewczuskę, która siedziała na czerwono-żółtym kocu i wyszywała jakiś złoty wzór na rozpiętej na tamborku tkaninie.

Panna podniosła na nią niebiesciutkie oczy i uśmiechnęła się przyjaźnie, choć po prawdzie sękate, naznaczone zakrzywionym nosem oblicze Babuni nie wyglądało całkiem niewinnie. – Książniczki naszej szukamy – wyjaśniła. – Cóż z nią?

Dziewuszka zaczęła kręcić w palcach koniuszek złotego

warkocza.

– Smok ją porwał straszliwy – westchnęła i nawet udało się jej wydusić z modrych oczek dwie łezki – i w niewoli okrutnej trzyma, póki jej jakiś dzielny rycerz nie uwolni.

– Aha – powiedziała tępo wiedźma, zbyt skonsternowana, by zapytać, jakimże sposobem taki malutki smok mógłby uwięzić sporą dziewczoję. – A wy kto jesteście?

– A ja – odparła panna – jestem służką naszej księżniczki.

Babunia Jagódka zmierzyła spojrzeniem złote nici, wyszywany wzór, wreszcie delikatne palce dziewczyny.

– Może ja jestem stara – rzekła sarkastycznie – ale nie głupia. Panienska zachichotała, dwornie zasłaniając usta dłonią. Paznokcie miała wypielęgnowane i starannie wyczyszczone.

– Co mi tam szkodzi? – oświadczyła wesoło. – Przecie nikomu nie rozpowiecie. A jak rozpowiecie, to i tak nikt nie uwierzy obłąkanej starowinie.

– Pewnie, że nikt – potaknęła zgodnie wiedźma. – Swoją drogą, co za psie czasy nastały, że księżniczka, niby przez smoka porwana, włóczy się za nim po kraju, za własną służkę się podając? – Nie księżniczka, lecz kasztelanka – sprostowało dziewczę. – A czasy prawdziwie psie nastały, moja dobra babciu. Ani sobie wykładacie, jak teraz trudno o rycerza, co byłby czystego serca, a w pięści mocny.

– Zalotnicy nie dopisali? – zdumiała się Babunia. – Dziw to prawdziwy, boś przecie z oblicza gładka. Panna się skrzywiła.

– Oj, dopisali, dopisali nad podziw. Od dwóch lat u ojca we dworze nieustannie siedzą jakieś darmozjady.

– I co, żaden na ciebie nie patrzy, tylko na dobytek rodziciela się łaszczą? – domyśliła się wiedźma, ta historia była bowiem znana i nad wyraz powszechna w Krainach Wewnętrznego Morza. – Właściwie nawet nie – odparła kasztelanka. – Właściwie na mnie też patrzą, może nawet zanadto. Tyle że jacyś tacy... niezdatni. Aby uczyły, gonitwy i tańce. Żaden radzić nie potrafi, żaden w sądzie nie zasiadał. Nawet na polowaniu z tyłu się

trzymają, żeby kubraka posoką nie pobrudzić. – Skrzywiła się z dezaprobatą. – Jak jeden z drugim w potrzebie wojsko poprowadzi? A my na pograniczu siedzimy, u nas oręż w pochwach nie rdzewieje...

– No, dobrze – przerwała jej wiedźma, zanim panienkę nadmiernie poniosła złość na zanik cnót rycerskich. – Ale skąd ten smok?

– Ha! – Kasztelanka uniosła palec i spojrzała na nią z triumfem. – Gdzież łacniej prawego rycerza spotkać niżli na polowaniu na bestię? Wszak byle chłystek się z mieczem na smoka nie zasadzi, do tego trzeba chęci, krzepy i męznego serca. – A rozum? – spytała półgębkiem Babunia.

– Rozum mam ja – rzekła twardo panna. – Ale jak dotąd nie przyjęły się białogłowskie rządy, a mnie na stos niespieszno. Dlatego chłopą potrzebuję. Najlepiej takiego, coby mnie własną ręką ze smoczej paszczy wyratował. Bo jak w to uwierzy, i w inszą inszość też uwierzy. Poza tym chłop bardziej ceni, co innym wydrze.

Wiedźma zastanowiła się chwilę nad matrymonialnymi planami kasztelanki.

– Może i racja – zgodziła się w końcu pogodnie. – Tylko jeszcze smoka trzeba przekonać. Bo a nuż nie zechce cię porwać? Może blondynek nie lubi?

– Pies go trącał i gusta jego! – prychnęła kasztelanka, zapominając na moment o dworskich manierach. – Smok się ma dać zarznąć, i tyle. A jak tam wszyscy będą nad truchłem deliberować, wtedy z krzaków wyskoczę i zabójcy na szyję się rzucę, aby mu za wyratowanie od śmierci podziękować. Myślicie, że się oprze? – Uśmiechnęła się chełpliwie. – Coś mi się nie zdaje. Na razie zaś grunt, żeby się wieść rozeszła o księżniczce przez smoka porwanej, o co już moi pacholki na jarmarku zadbają.

– Gdzie?! – ryknęła wiedźma, aż kasztelanka podskoczyła z przestachu.

Szybko jednak wróciła do równowagi i spytała z pańską pobłażliwością:

– Co wy, babino, głuchaście? No przecie, że w wiosce na jarmarku. Wszystko się tam zbiegło, jak to zwykle w czas polowania na smoka. Kuglarze, przekupnie, wróże, dziwki, kaznodzieje, żebracy, akrobaci...

Babunia Jagódka nie dosłyszała już końca wyliczanki. Co tchu w piersiach pognała do wioski.



Odkąd pierwszy osadnik – wedle miejscowej legendy przemytnik, który po przyłapaniu przez klientów na mieszanii sinoborskiej gorzałki ze szczyną postanowił się schronić w jakimś spokojnym, odludnym miejscu, póki wzburzone umysły nie uspokoją się nieco – wykopał sobie ziemiankę pomiędzy niebosiężnymi szczytami, Wilżyńska Dolina nie oglądała podobnego zbiegowiska. Nieopodal świątyni, tuż przy murku cmentarza, ustawiono w kwadrat cztery wozy kryte kolorowym sukniem. Jeden z nich miał opuszczony bok i jego odsłonięte wnętrze służyło za coś w rodzaju sceny: dwaj mężowie w pasiastych fartuchach przekrzykiwali się, śpiewając sprośne kuplety. Nieco dalej, na prowizorycznej platformie z desek, jakiś mnich o wygolonej głowie wrzaskliwie napominał naród do opamiętania.

– Bogowie zesłali smoka – darł się nieco już schrypniętym głosem – w karze za wasze grzechy!

– Oj, tak – przytaknęła mu Babunia, z niedowierzaniem rozglądając się po dziedzińcu.

Miała wrażenie, że uwięzła w jakimś niepojętym koszmarze.

Nieopodal jacyś ludzie pospiesznie rozbijali kramy. Dalej ktoś wytaczał z wozu beczki z piwem. Kilka niewiast w bardzo wydekoltowanych sukniach przechadzało się rozkołysanym krokiem między ciżbą. Przy świątynnej bramie przekupnie prezentowali cudowne obrazki i flaszeczki z cudowną wodą, co leczy wszelkie dolegliwości. Niepewnie postąpiła jeszcze kilka kroków dalej, gdy ktoś złapał ją za rękaw i uwiesił się całym ciężarem.

– Dokąd?! – zionął jej w twarz nieświeżym oddechem.

Obok stała jakaś starowinka o chytrych, kaprawych oczkach i gapiła się na nią nienawistnie.

– Dokąd, matka? Ten jarmark ludzie Kostura obstawiają, więc ani mi się waży zebrać. Nawet marnego miedziaka. – Podsunęła jej pod nos zaciśnięty kułak. – Rozumiesz czy mam przyłożyć? Wiedźma wybulgotała coś niezrozumiałego. – Z drogi! – ryknął ktoś tuż nad jej uchem.

Odskoczyła w tył i boleśnie wyrznęła plecami w płot, podczas gdy trzech połykaczy ognia pognało dalej na wielgachnych szczudłach. W rękach dzierżyli zapalone pochodnie. Wiejska dzieciarnia gnała za nimi w radosnym upojeniu, a tuż za nimi pędziła gromada kundelków, ujadając donośnie. Jeszcze głośniej darła się sołtysowa. Stała na pieńku do rąbania drewna i desperacko tłamsiła derką płomienie, tłące się na strzesze. Trzej połykacze ognia z niewinną miną przyglądali temu z bezpiecznej odległości, jednostajnym rytmem przerzucając się zapalonymi pochodniami. Gdzieś w głębi tłumu mignęła Babuni kwiecista spódnica Rozalki. Podążyła za nią wzrokiem i zaraz gniewnie zacięła wargi. Gospodyni plebana ewidentnie zmierzała do kramu, na którym dwie babiny w szpiczastych czapkach sprzedawały rozmaite uzdrawiające remedia. Wprawdzie Rozalka szła powoli, rozglądając się tchórzliwie po bokach, ale jej zdrada była niewątpliwa: czcigodny proboszcz najwyraźniej postanowił skorzystać z okazji i sięgnąć po tańsze medykamenty na trapiącą go dolegliwość.

Kmiecie również wykazali się zaradnością. Przy wielu płótkach powystawiano stoliczki, a gospodynie poustrajane w odświętne fartuchy serwowały przybyszom flaki i grochówkę w glinianych miskach. Pleban urządził przy wejściu do świątyni malutki kramik i sprzedawał odpusty, wesolutki jak szczygiełek. Koniokradzi też nie wytrzymali wobec zmasowanego ataku cywilizacji i postanowili wrócić do dawnego zajęcia – wiedźma widziała, że zakradli się do zagrody, gdzie kupcy zegnali konie, i ukradkiem wyprowadzali dwie śliczne kobyłki. Przy karczmie rażno rżnęła orkiestra, skompletowana naprędce z dwóch

skrzypków, bębniarza i dudziarza. Co młodsze dziewczuchy, nie bacząc na pełne przygany spojrzenia plebana, pospolitowały się z obcymi w pobliżu szopki z wioskowym sianem. Tylko Honorcia zapobiegliwie pilnowała zdobyczy, uczepiona rękawa ryżego rycerza.

Wiedźmę ze zdumienia wbiło w ziemię. Patrzyła w osłupieniu, jak odmieniono jej spokojną, zapyziałą osadę.

– Precelka? – zagadnęła jakaś kobiecina, podsuwając jej pod nos dość wiekowy specjał.

Wyrwana ze stuporu wiedźma porwała się za głowę. – Co się tu dzieje?

– A co się ma dzieć? – Jejmość wzruszyła ramionami. – Po prostu jeszcze jedno polowanie na smoka.

– I ostatnie tutaj – rzekła z mocą Babunia. – Już ja o to zadbam.



Następny dzień na długo zapadł w pamięć mieszkańców Wilżyńskiej Doliny. Mijały lata, świat się zmieniał, a stare babki przy darciu pierza kiwały wciąż z zadumą głowami i powtarzały: – A pamiętasz, jak to było, kiedy upolowano smoka?

Smok bowiem pojawił się o poranku, kiedy słońce uniosło się już ponad bory, a na dziedzińcu wilżyńskiej wioski na nowe rozpętała się zabawa. Potwór jednak z początku oszczędził osadę. Łopocząc tęczowymi skrzydliskami, zatoczył tylko krąg nad połoniną, po czym zeżarł dwa barany ze stada starego Osęka, bezlitośnie przyczyniwszy się do dalszego upadku najlepszego w okolicy pasterza. Kiedy z tryków ostały się już ledwie kiszki, na odległość rzutu włócznią rozwleczone po kosodrzewinie, smok ruszył dalej. Z przeraźliwym rykiem rozgonił towarzystwo kłębiące się na wioskowym placu. Osmalił tyłki połykaczom ognia, doszczętnie zwęglił kram przekupniów cudownymi remediami i rozpedził żebraków – na pewną jałmużniczkę tak się wziął, że ścigał ją przez całą osadę, smagając ogniem po łydkach, aż wreszcie, na wpół żywa ze strachu, padła u wrót



świętyni, gdzie zabarykadował się wylękniony proboszcz z gospodynią. Smok srożył się jeszcze jakiś czas. Podpalił sołtysią oborę – osobliwej szpetoty budynek, który Babunia już dawno przykazała właścicielowi rozebrać – rozwalił kilka płotów, śmiertelnie przeraził bydło na pastwiskach. Potem zniknął, ku rozgoryczeniu rycerzy, którzy w desperackim pośpiechu wdziewali właśnie ostatnie części rycerskiego oprzyrządowania. Jak się okazało, gadzina nie zniknęła na dobre, bo rychło ujrzano ją w obozowisku kasztelanki. Zanim ktokolwiek zdołał ją zauważyć, opadła z błękitnego nieba, pochwyciła dziewczynę w wielgachne szpony i spiesznie pofrunęła ukryć się w leśnym legowisku – niechybnie aby nieszczęśnicę zeżreć. Ale rycerze już siodłali konie. Kilku przedsiębiorczych parobków, co najwyraźniej zbyt wiele nasłuchali się bajek o księżniczce poślubiającej głupiego Jasia i od wczoraj piło dla kurazu, przyłączyło się do nich z ojcowskimi sulicami. Czeladź intendenta i zaciężnicy imć Szkarłupy, nieobciążeni żelaznymi pancerzami, wysforowali się do przodu, wciąż kłócąc się zajadle, komu powinien przypaść honor pochwycenia smoka. Pogodziła ich ciężkozbrojna rycerska kawaleria, która przejechała się w morderczym zapale, wszystkich równo wbijając w błoto. Tylko Servenedyjki, nie wiedzieć czemu, na widok smoka natychmiast wymówiły intendentowi służbę, zwinęły namioty, zasypały ślady po obozowisku, starannie zebrały śmieci i w zastanawiającym pośpiechu opuściły Wilżyńską Dolinę.

Reszta odbyła się jak należy. Krzyki przerażonej kasztelanki niosły się ponad lasem. Rycerze galopowali, wyciskając resztki sił z wierzchowców. Proporce powiewały na wietrze. Rogi grały. Psy szczekały. Wieśniaczki biadoliły i załamywały ręce. Pleban szykował szarpie, karczmarz – gorzałkę.

Im głębiej w las, tym zajadlej rycerze smagali konie. Każdy chciał dopaść zwierza przed innymi i zdobyć w boju nieśmiertelną sławę. Przepychali się na wąskich, kamienistych ścieżkach, pokrzykiwali groźnie. Pierwszy spadł z konia rudzielec, na nowo rozkrwawiwszy sobie starą ranę i na dodatek skręciwszy nogę w kostce. Próbował jeszcze kuśtykać za towarzyszami, ale w końcu rozsądnie wzruszył ramionami i

zawrócił do wioski. Właściwie już znalazł swoją księżniczkę, Honorcia przekonywała go o tym każdej nocy, a jej ojciec zaczynał przebąkiwać, że mógłby wyłożyć za swego zięcia gotowiznę na wykupienie rodzinnej posiadłości.

Po nim z konia spadł szlachetny Koliba, który mimo chęci nie mógł dotrzymać kroku młodszym konkurentom. Dwóch następnych rycerzy zważyło się w dół, który dwa dni temu sami wykopali jako pułapkę na smoka i dla niepoznaki przykryli chrustem i murawą. Piątego poniósł koń. A kiedy dwaj ostatni szczęśliwcy wpadli na polanę, gdzie między skałami ział czarny otwór, wejście do jaskini smoka, okazało się, że parobczaki, lepiej obeznane z okolicą, wyprzedziły ich na krętych górskich traktach.

Otaczali teraz bestię, kłując ją sulicami i pokrzykując przeraźliwie, a na widok rycerzy kilku przezornie zagrodziło drogę konkurencji. Smok wywijał się jeszcze trochę, smagał ziemię ogonem, ryczał i ział ogniem, ale jakoś niemrawo. Wreszcie nadział się na sulicę Wielkiego Sułka i zdechł.

Wielki Sułek poskrobał się z namysłem po głowie i na wszelki wypadek wyrwał sulicę ze ścierwa, bo mu od małego wbijano do łba, że majątek swój należy szanować. Był to parobczak krzepki i całkiem urodziwy na swój prząsny sposób, ale niezbyt lotny, a teraz dodatkowo otumaniony gorzałką. Stał więc bezradnie i gapił się na martwego smoka, z każdą chwilą coraz bardziej strapiony. Na szczęście niewola nie pozbawiła kasztelanki przytomności umysłu. Z piskiem przebiegła obok smoka, który puszczał z nosa pośmiertne kłęby dymu, ogarnęła wzrokiem pobojowisko i natychmiast wyłuskała spomiędzy innych chłopaka ze zbroszoną smoczą posoką sulicą. Wystarczył jej rzut oka na jego szerokie bary – opasała mu ramionami szyję i wykrzyknęła na całe gardło: – Mój wybawco! – I ucałowała go w rumiane policzki.

Chłopak przygarnął ją odruchowo, a ponieważ nie miał doświadczenia z dobrze urodzonymi pannami i nie wiedział, co należy w podobnej sytuacji uczynić, serdecznie klepnął ją w tyłek. Kasztelanka pisnęła cienko i zarumieniła się, lecz tylko

odrobinę. Ostatecznie wychowała się na dworze i nie takie rzeczy oglądała. – Wyśmienicie. – Niepostrzeżenie przysunął się do nich zadyszany pogonią imć Szkarłupa.

Kupiec zatarł pulchne ręce, trącił czubkiem buta truchło smoka i skinął na swoich pacholków.

– Dobra, bierzcie ścierwo, chłopaki – zarządził. – Kiedy zeszywnieje, trudniej będzie na wóz zarzucić. Od strony przecinki nadjeżdżał już intendent.

– Co wyście zrobili? – lamentował. – Jak ja wytłumaczę, że byle durny pachol smoka księciu jaśnie panu ubił? Co mu powiem? – Prawdę – rzekł z satysfakcją imć Szkarłupa. – Że od początku wasz nie był, a kradzione nie tuczy. Los rękoma tego chłopca – wskazał na Wielkiego Sułka – sprawiedliwie nas rozsądził, bo wam martwy smok na nic, a mnie, przeciwnie, bogactwa przyczyni. – A taki smok to wiele wart? – zagadnęła ich zniecka kasztelanka.

– Oj, panienko. – Intendent tylko pokręcił głową, patrząc, jak dwóch pacholków imć Szkarłupy z wysiłkiem usiłuje podźwignąć smoczy ogon. – Jaśnie księżę pan dwa worki srebra za niego dał, a ten piguła drugie tyle. Dziewczyna wzięła się pod boki.

– No, proszę. No, proszę – powtórzyła, po czym nabrała powietrza w płuca i wrzasnęła tak, że i wiedźma by się nie powstydziała:

– Wara od smoka!

Wszyscy podskoczyli.

– Co wy? – spytał zdumiony imć Szkarłupa. – Pogłupieliście? – Ja? – krzyknęła z oburzeniem panna. – A kto chce smoka ukraść? Majątek mojego szlachetnego małżonka zrabować? Intendent uśmiechnął się z satysfakcją. – Co? – ryknął kupiec. – Wszak zapłacony!

– A skądże mnie wiedzieć – kasztelanka wykrzywiła się brzydko – czy bestia, która tutaj leży, jest tą samą, którą u was oglądano? – Jakże by nie, skoro całą drogę znad morza za nią gonimy? – rzekł ogłupiały imć Szkarłupa.

– Aleście jej wcześniej nie widzieli? – drążyła dziewczyna. – I nie przysięgniecie, że to ta?

Uśmiech na twarzy intendenta pogłębiał się z każdą chwilą.

– A przysięgnę – obruszył się kupiec – jasne, że przysięgnę!

– A nie żaliliście się przypadkiem po gorzałce – wtrącił intendent – że smok konus, że psy od niego okazalsze się trafiają.  
– Ajuści – jęli gorliwie przytakiwać parobczacy – rychtyk w rychtyk tak wczoraj gadaliście.

Imć Szkarłupa rozejrzał się z nadzieją po zebranych, ale znikąd nie doczekał się pomocy.

– Tymczasem ten tutaj – ciągnął intendent – jest wyrośnięty jak trzy wołu i skrzydliska ma szerokie jak stodoła. Znaczy się, nie wasz.

– Może się przez te parę dni tak upaśł – rzucił rozpaczliwie kupiec.

Kasztelanka tylko prychnęła z pogardą.

– Bądźcież rozsądni – jął perswadować jej imć Szkarłupa. – Na co wam ten smok? Toć zgnije tutaj, nikt z niego pożytku nie odniesie.

– Chyba żartujecie? – Uśmiechnęła się słodko. – Wszak muszę mieć pamiątkę po tym, jak mnie mąż wspaniale ze smoczycich łap ocalił. Dla dzieci i wnuków, sami rozumiecie. Łeb się na ścianie przybije, naprzeciw kominka. A skórę wygarbuje. Mamy na dworze dobrych rzemieślników. Imć Szkarłupa zaczął rwać włosy z głowy.

– Takie marnotrawstwo, takie marnotrawstwo – powtarzał w kółko.

– Fakt, coś tam pewnie zgnije – zgodziła się z nim pogodnie dziewczyna. – Chyba że... Jak to przed chwilą mówiliście? Dwa worki srebra?



Po zmroku Babunia Jagódka raczyła się gorzałką w

towarzystwie bazyliuszka, który na ten wieczór awansował na jej kompana do kieliszka. Ale potworek wyraźnie nie doceniał zaproszenia. Desperacko nastroszony, z całej siły wbijał pazury w oparcie krzesła i zezował po bokach, starannie omijając wzrokiem zwierciadło. Może nie był zbyt bystry, ale pamiętał, jak padł jego nieszczęsny kuzynek.

– Tylko koguta szkoda. – Babunia Jagódka pociągnęła nosem.  
– Piękny miał grzebień. I jak donośnie piał.

Bazyliuszek siedział cicho jak trusia. Tak na wszelki wypadek. – Właściwie – ciągnęła wiedźma – ciebie powinnam zakląć za te szkody, których narobiłeś. Ale jeszcze byś, durniu, znów na kogoś popatrzył i cała rzecz by się wydała. A kogut istota prosta. Kazali latać, to latał.

# Maja Lidia Kossakowska

## SMOK TAŃCZY DLA CHUNG FONGA

**Niniejsze opowiadanie jest fikcją literacką, a wszelkie podobieństwo do osób, nazwisk, nazw i wydarzeń jest czysto przypadkowe. Prawdziwy może być tylko smok.**

Śmierć ma kolor starego złota. Teraz to zrozumiałem. Trochę za późno, fakt. Ale widziałem wiele śmierci, co dało mi powód, żeby sądzić, że wiem o nich wystarczająco dużo. Myliłem się. Taki dżos, jak powiada Chung Fong. I śmieje się. Lubi się śmiać. W ogóle pogodny z niego facet. Zdążyłem go poznać, a nawet polubić. W pewnym sensie, oczywiście. Bo między nami jednak stoi dobre osiem ton pięknej jak cholera, całkiem niemożliwej śmierci. A o tym nie wolno zapomnieć. Zwłaszcza gdy jest się w takiej sytuacji, jak moja.

Dobra, pewnie powinienem się wycofać, kiedy pojawiły się znaki. Eleganckie ostrzeżenia, które przyprawiłyby o palpitację każdego zabobonnego mieszkańca Dalekiego Wschodu. Tylko że ja jestem przedstawicielem zgniłej kultury Zachodu i dżos zrządził, że pracuję w takiej branży, w której nie można sobie pozwalać na czytanie znaków. Gdybym umierał na widok każdego czarnego kota lub odmawiał wejścia do samolotu, jeśli przede mną na pokład ładuje się grupa zakonnic wybierających się w pielgrzymkę do Santiago de Compostela, w krótkim czasie nadawałbym się w sam raz do Bedlam. Albo umarł z głodu.

Prawdę powiedziawszy, nie poczułem nic, kiedy odebrałem zlecenie. Żadnego nagłego dreszczu niepokoju, wrażenia, że

życie ludzkie jest jak pył na wietrze, drżenia kolan albo ckliwego zapatrzenia w szczęśliwe czasy dzieciństwa. Jeśli mam być szczery, pomyślałem tylko o pieprzonych jedenastu godzinach w samolocie. Dlatego podałem odpowiednio wysoką stawkę, która natychmiast została zaakceptowana. W porządku. Jadę więc do Tajlandii. Czemu nie? Dwa w jednym, biznes i wakacje naraz, niczym w reklamie szamponu.

Deszcz tłukł w szyby jak potężnieniec dobijający się o odpust, wielka, czarna bryła twierdzy Spielberg przypominała tort na przyjęciu u Drakuli, a całe Brno tonęło w jesieni niczym w mrocznym, lodowatym oceanie. W tej sytuacji morze w kolorze kurtki Wranglera, czerwone i złote pagody, plaże z bielutkim piaskiem, a nawet korki w Bangkoku nabierały dodatkowego znaczenia. Nie powiedziałem jeszcze definitywnie "Tak", ale w głębi duszy już wiedziałem, że wezmę tę robotę. Sprawdziłem więc zleceniodawcę. Wbrew temu, co można przypuszczać, sukces w mojej profesji sprowadza się przede wszystkim do doskonałego rozeznania. Ów zawód opiera się na tym, żeby wiedzieć. Wszystko. Oczywiście w granicach możliwości. Jeśli wiesz, potrafisz prawidłowo zareagować, a to znaczy, że przeżyjesz.

Nie jestem z natury pedantem. Ale musiałem nim zostać. W moim domu wszystkie przedmioty leżą na swoich miejscach, nie ma zbędnych mebli, blokujących z góry wytyczone trasy odwrotów i ucieczek, nie ma dywanów, o które można się potknąć, ani mosiężnych posążków, odlanych z myślą, żeby dać im szansę posłużenia jako maczugi. Za to znajdują się tu liczne poręczne schowki, nieduże półki kryjące pożyteczne rzeczy, choć obcy przybysz nie widzi, co na nich leży, judasz w drzwiach, patrzący rybim ślepiem na całą klatkę schodową, nawet tę wnękę przy oknie, i kolekcja jednookich, doskonale pasujących do dłoni przyjaciół, czuwających, żebym spokojnie spał. Moje mieszkanie z pięknym widokiem na katedrę to przytulna, schludna warownia. Drugą, podobną, utrzymuję w Kolonii. Miałem kiedyś jeszcze trzecią, najprzyjemniejszą, w Tunisie, wśród kolonialnej bieli koronkowych kamienic w Alei Stanów Zjednoczonych, ale musiałem ją opuścić, gdy w Afryce popsuł się klimat. Cóż, wojna.

Teraz będę miał okazję zobaczyć postrzępione czupryny palm w Tajlandii.

Zleceniodawca, pan Sutham Tamakorn, okazał się niezłą szyczą pracującą w branży chemicznej. Barwniki, odczynniki, surowce do produkcji leków, co tam sobie kto zamarzy. Ale największą kasę robił na specyficznych chemikaliach, które pozwalały strudzonym ludziom na chwilę prawdziwego odlotu, okupionego, jeśli się nie uważało, pewnymi poważnymi kłopotami. O tak, pan Tamakorn siedział naprawdę głęboko w branży chemicznej i coś mi mówiło, że nie miał zamiaru ustąpić pola jakiemuś agresywnemu konkurentowi. Pozostawało pytanie: czemu nie załatwił sprawy własnymi siłami? Bez wątplenia musiał mieć sporo niezłych specjalistów. Ale to jego wybór, a mój zysk.

Wyciągnąłem walizkę, spakowałem piaskowe i oliwkowe koszule, płócienne spodnie, a po namyśle zdecydowałem, że polecę do Bangkoku jako Adrian Faber.

Już na początku powinienem zacząć się wahać. Kiedy sypały się te wszystkie drobiazgi, które absolutnie nie miały prawa nie działać. Czytałem kiedyś o genialnym malarzu, który stracił wzrok. Nie mógł już, co prawda, malować, ale nie zarzucił sztuki, gdyż znaczyła dla niego więcej niż życie. Zaczął rysować. Nie potrzebował do tego oczu, przenosił na papier wizje kłębiące się w głowie. Widziałem reprodukcje tych rysunków. Były perfekcyjne w proporcjach i detalach. Niewidomy artysta nie mógłby stworzyć żadnego z nich, gdyby nie miał absolutnej kontroli nad otoczeniem. Każdy ołówek leżał w ściśle określonym miejscu, wystarczyło tylko sięgnąć. Znajac twardości i właściwości grafitów, ślepiec potrafił tworzyć swoją sztukę. Ja też jestem takim ślepcem. Gdybym poruszał się w przestrzeni nieoznaczonych przypadków, nie mógłbym pracować. Splot niefortunnych wydarzeń oznaczałby mój koniec. Dlatego zawczasu powinienem się głęboko zastanowić. Ale nie zrobiłem tego, co samo w sobie daje do myślenia.

Sprawdziłem za to podstawowe wiadomości o Tajlandii.



Mają tam króla, do kupy jakieś sześćdziesiąt milionów ludzi i bahty, które stoją mniej więcej czterdzieści jeden i pół do dolara. Mają także plaże, przy których serwują drinki z małymi parasoleczkami.

Ustaliłem sobie trasę przelotu, zarezerwowałem bilety. Powiadomiłem też pana Tamakorna o terminie przyjazdu. Chyba zapalił ze szczęścia trociczki, bo odwrotny mail brzmiał niczym radosna pieśń króla Dawida. Widocznie jednak nie miał tak dobrych specjalistów, jak przypuszczałem.

Zajrzałem do skrytki na dnie szafy, żeby odnaleźć paszport na nazwisko Faber. Perfekcyjny, nowiutki, zaopatrzony we wszystkie idiotyczne, nowatorskie rozwiązania, łącznie z brzydkim kleksem mojego odcisniętego kciuka. Stary Archie naprawdę się postarał.

A teraz pan Faber (pośrednictwo handlowe) mógł bez przeszkód udać się do kraju słoni i Szmaragdowego Buddy. Alleluja. Wyciągnąłem szufladkę, wyjąłem paszport i zacząłem czytać dane. Tak na wszelki wypadek, z przyzwyczajenia. Mówiłem już, że musiałem stać się człowiekiem ostrożnym. Trzeba pamiętać wszystkie swoje daty urodzenia oraz imiona całego korowodu ojców. A potem wymazać z głowy te, które nie dotyczą Adriana (pośrednictwo handlowe).

Czytałem sobie spokojnie, póki mój wzrok nie natrafił na rząd cyfr na dole. Równiutki, elegancki, pieprzony rząd cyfr, który zaczął właśnie wyglądać jak kod odliczający sekundy przed wybuchem bomby. Wziąłem głęboki wdech i przeczytałem jeszcze raz. Znów nie uwierzyłem. Sięgnąłem po ołówek, precyzyjnie zaostrzonym grafitem dźgałem każdą cyfrę po kolei. Nie było wątpliwości, ale powtórzyłem operację.

Przygryzłem wargę, odłożyłem paszport na stół i odchyliłem się głęboko na fotelu. Potem wstałem, nalałem sobie szkockiej, a z szuflady wygrzebałem paczkę marlboro. Nie muszę pić, żeby się uspokoić. Nie jestem nałogowym palaczem. W ogóle staram się do minimum ograniczać wszystko, co muszę robić. Tak jest bezpieczniej. Ale właśnie dotarło do mnie, co z pewnością będę zmuszony zrobić staremu Archiemu. Otóż: rakiernicę do

fajerwerków z jego tłustej, zasranej dupy.

Z tym pieprzonym paszportem pojechałem do Belfastu. I do kraju Basków. Dobry Jezu w cierniowej koronie, do Iranu też z nim pojechałem. Fantastycznie.

Upiłem łyk whisky, postukałem szklaneczką o zęby.

Jak to się, cholera, mogło stać? Mój piękny, perfekcyjny paszport stracił ważność jakieś pół roku temu. OK, Archie się pomylił. Nieprawdopodobne, ale prawdziwe. Ma już swoje lata, choć to najlepszy fachman, jakiego znałem. Ale ja? Jakim cudem nie zauważyłem, że data się nie zgadza? Skoro Koleś Chodząca Perfekcja dał ciała, to może powtórzyć swój wyczyn jeszcze raz. Albo kilka, aż wyląduje w brudnej wodzie Mekongu, czy co tam płynie przez ten parszywy Bangkok.

Menam, odpowiedziała usłudźnie pamięć. Długość około tysiąca dwustu kilometrów, żeglowny od ujścia rzeki Meping, po tajsku nazywa się Chao Phraya.

Usiadłem, ukrywając twarz w dłoniach, i siedziałem tak długą chwilę. Niełatwo zaakceptować fakt, że wizerunek absolutnego perfekcjonisty, który budujesz od lat, zaczyna się trochę sypać. OK, w porządku. Stało się. Pojadę do Bangkoku jako Hans Pavelka, Austriak z czeskimi korzeniami.

Sięgnąłem do szufladki po stary wyświechtany paszport. Dane wyrecytowałbym na Sądzie Ostatecznym, upierając się, że to moje prawdziwe nazwisko. Popłakałbym się na wspomnienie wesołej mamusi, zawsze w za ciasnych, kolorowych kieckach i poczciwego, brzuchatego ojca, który najbardziej na świecie kochał piłkę nożną oraz piwo. Mimo to otworzyłem dokument. Ze zdjęcia spojrzało na mnie jedno oko z kawałkiem policzka. Resztę pokrywały czarne plamy, wywołujące wrażenie, że fotografię cyknięto trupowi unoszącemu się w wodzie, pośród atramentowych wytrysków kałamarnicy. Tekst był prawie nieczytelny. Pojedyncze litery ocalałe z pogromu sterczały szyderczo spomiędzy kałuż tuszu.

I ten paszport odłożyłem.

Nie wiem, co się stało. Do dziś tego nie wiem. Nigdy nie noszę

przy sobie piór, które mogłyby wylać.

Wróciłem na fotel, do ciepłej whisky i wałeczka popiołu, w który zmienił się mój papieros. Przymknąłem oczy. Jako Aaron Weltman zdecydowanie nigdzie nie mogłem pojechać. Chyba że na cmentarz. To nazwisko było definitywnie spalone. Paszport powinienem zniszczyć jeszcze przed podróżą do Tajlandii. Został Jean Louriniac, przez krótki czas najemnik w Afryce, potem ochroniarz pól naftowych i lewych przedsięwzięć na Bliskim Wschodzie. Odpada. Westchnąłem.

W takim razie Kant. Jasne, że nie Immanuel. Nie wolno rzucać się w oczy, a takie nazwisko łatwo zapamiętać. Wilhelm Kant, poczciwy mieszkaniec Kolonii, urodzony i wychowany w Londynie, syn uciekinierów z Enerdówka. Tylko że ostatnio cholernie często go wykorzystywałem. Trudno. Innego wyjścia nie było. Sięgając do schowka, dłonie miałem pewne niczym pylony podtrzymujące Golden Gate. Gapiłem się na kartki dokumentu chyba z dziesięć minut. Wydawał się czysty. "Wydaje się", "chyba" oraz "prawdopodobnie" awansowały teraz na moje ulubione słowa.

Sam nie rozumiem, dlaczego nie napisałem do pana Tamakorna, żeby poszukał sobie innego frajera. Czy parszywa pogoda za oknem mogła mieć jakieś znaczenie? Albo bunt, który nagle wybuchł mi w środku głowy? Bo co to, kurwa, miało właściwie znaczyć?! Jestem niezwykle ostrożny, gdy chodzi o sprzęt od pracy. Do domu nikt nie wtargnął. Sprawdziłem pułapki. Czary? Pieprzone bzdury. Raczej zmęczenie materiału. Nawet Pan Czyściutka Perfekcja mógł zapomnieć cienkopisu w kieszeni albo nie zwrócić uwagi na datę nowiutkiego paszportu. Dlatego postanowiłem zrobić sobie wakacje. W gorącej, zielonej Tajlandii.



Samolot spóźnił się cztery godziny, więc straciłem następne połączenie. Wszystkim było bardzo przykro. Mnie też. Musiałem

zrobić niezłą awanturę, żeby znaleźli mi zastępczą trasę, dłuższą o jakieś pięć godzin, ale trudno. W efekcie wylądowałem na Heathrow. Siedząc już w samolocie, na miejscu przy oknie obserwowałem, jak suną do luku bagażowego trzy ołowiane, zapieczętowane trumny. Kto, do cholery, chce zostać pogrzebany w Tajlandii? Byli jeńcy obozu nad rzeką Kwai? Piętnaście minut po planowanym terminie odlotu zaaferowana stewardesa oznajmiła, że start się opóźni, ponieważ kapitan nagle zasłabł. Zastanowiłem się ponuro, czy przypadkiem nie na widok raportu mechanika o stanie maszyny. Już myślałem, że do lotu nie dojdzie, ale ściągnęli cudem jakiegoś innego pilota. Jednak wznieśliśmy się w powietrze. Alleluja. Spodziewałem się co najmniej przymusowego lądowania w Mongolii, lecz do żadnych wypadków nie doszło. Tylko moje piaskowe koszule i spodnie khaki poleciały do Kuala Lumpur. Biorąc pod uwagę poprzednie niedogodności, zniosłem cios pogodnie. W końcu szczoteczkę do zębów można kupić wszędzie. – **Welcome in Thailand** – powiedziała uśmiechnięta panienska z obsługi. Moje wakacje się rozpoczęły.

Hotel "Four Wings", konsekwentnie nawiązując do nazwy, zbudowano na planie krzyża greckiego. To mi się podoba. Lubię, gdy rzeczy znajdują się na właściwych miejscach. Orchidei w holu było chyba więcej niż w dżungli. Spoza gąszczu kwiatów wychynęła prześliczna maleńka recepcjonistka, która podała mi kartę otwierającą drzwi pokoju numer 387, a potem znikła za kontuarem wśród uśmiechów, ukłonów i kolorowych płatków. Wjechałem na wskazane piętro. Oczywiście moja karta nie działała. Za cholerę nie mogła jej uruchomić ani pokojówka, ani ochroniarz. Maleńka Tajka z recepcji o mało nie zemdląła ze zgrozy. Składała rączki, strzelając pingwina za pingwinem, aż się przestraszyłem, że rozwali sobie czoło o kontuar. Dali mi inny pokój, stokrotnie przepaszając, że muszę chwileczkę poczekać, aż skończą sprzątanie. Wypiłem w barze drinka i udało mi się nie zakrztusić oliwką z martini. Byłem zmęczony jak diabli, ale postanowiłem chociaż przejść się po ulicy, przy której stał hotel. Ledwo zamknęły się drzwi klimatyzowanego holu, upał walnął

mnie po przyjacielsku w kark. Uśmiechnąłem się. Lubię gorąco. Tłum samochodów sunął dostojnie jezdnią, niczym stado delfinów w drodze na brzeg, krzaki o ciemnych, sztywnych liściach dosłownie wybuchały fajerwerkami czerwonych, różowych i szafranowych kwiatów, a koszarne tuk -tuk taxi śmigły we wszystkie strony, niczym gondole na kółkach, pyrkocząc rachitycznymi motorkami.

Nabrałem w płuca gorącego, wilgotnego powietrza, popatrzyłem na szpaler rozczochranych palm. Podobało mi się tutaj. Dużo bardziej niż ponura bryła twierdzy Spielberg w deszczu. Naprzeciw hotelowego wejścia stała szkarłatna niczym ugotowany homar kapliczka. Przypominała skrzyżowanie londyńskiej budki telefonicznej z miniaturową strzelnicą. Spośród złotych frędzli i pęków wszechobecnych orchidei wyzierały wystraszone buzie barwnie ubranych laleczek, na których widok każda szanująca się mała dziewczynka zaczęłaby pisać ze szczęścia. Kukielkom asystowały niezliczone słonie różnej wielkości, od przypominających gabarytami myszki japońskie, do osiągających rozmiar sporego spaniela. Pif -paf, dla paniutki dzielna księżniczka Cho czy raczej słonik?

Szkarłatną strzelnicę otulał welon z kadzidlanego dymu. Gdybym miał trochę rozumu, ukloniłbym się i poprosił o pomoc dobre bóstwa. Chociaż nie sądzę, żeby to coś pomogło.

Wróciłem do hotelu. Na szczęście pokój był już gotowy. Na poduszce leżała żółta niczym odłamany promień słońca orchidea. Zastanowiłem się przelotnie, czy nie pójść popływać w basenie, jednak ostatecznie postanowiłem się zdrzemnąć. Wiem, że nie powinno się tego robić, ale ja naprawdę mam wprawę. Z Suthamem Tamakornem byłem umówiony na kolację, zostało mi więc sporo czasu na sen.



Bangkok nocą widziany z drugiej strony Chao Phraya wygląda jak coroczny zjazd robaczek świętojańskich albo hurtownia konstelacji gwiazdnych. Usypane w nieregularne kopczyki

sznury i piramidy świateł za kratownicą wielkiego mostu. Wody Menam, czarne jak ropa naftowa, płyną sobie leniwie, omywając taras restauracji.

Pan Tamakorn podnosi do ust kieliszek z winem. Stara się uśmiechnąć, ale jego twarz jest czujna i zmęczona. Widywałem wiele takich twarzy. Oblicza starych lwów, które zgarnęły dla siebie całą pulę, a teraz obsesyjnie boją się jej utraty. Typowy wizerunek zleceniodawcy.

Sutham Tamakorn okazał się nienagannie ubranym, szczupłym Azjatą w nieokreślonym wieku, który zwykle się nazywa średnim. Mówi niewiele, z niezłym akcentem dobrej londyńskiej uczelni. Przyszedł z dwoma ochroniarzami i sekretarzem, przypominającym mi brzuchomówcę bez lalki. Asystent mojego pracodawcy dudni gdzieś z głębi okazałego niczym beka torsu przerażającym głosem trolla i chyba wydaje mu się, że wypowiada się po angielsku. Jego nazwisko przywodzi na myśl bojowe miauczenie starego kocura, więc naprawdę nie sposób go powtórzyć. Kojarzy się odlegle ze słowem "Wariatu". Uważam, że świetnie do niego pasuje. Jak większość Tajów, nie widzi różnicy między głoskami "w" i "b" oraz "g" i "k". W ogóle podchodzi do angielskiego w bardzo twórczy sposób.

– Zje pan coś, panie Kant? – pyta Tamakorn uprzejmie. – Chętnie – odpowiadam.

Popijam swoje wino, a tymczasem chyba ze stu kucharzy, stojących wewnątrz ogromnego, kolistego baru za naszymi plecami, wrzuca do oszałamiającej liczby woków wszystko, co się nadaje, lub zupełnie nie nadaje, do jedzenia. Na szczęście restauracja jest wiatą bez ścian, nie trzeba więc zdejmować butów. Nie czułbym się dobrze, negocjując warunki kontraktu w samych skarpetkach.

Mój zleceniodawca robi zapraszający gest dłonią.

– Proszę sobie wybrać. Polecam owoce morza. Mają tu naprawdę wyśmienite.

Podchodzę do kontuaru, na którym konają poukładane wytwornie na lodzie niezliczone ryby, krewetki i homary. Kraby,

wielkie jak przeciwczołgowe miny, mają szczytce powiązane taśmą klejącą, żeby nie biły się ze sobą. Wzruszające, że nawet w tak ekstremalnej sytuacji mają jeszcze ochotę na ustawki. Ich czarne paciorkowate oczy zachodzą bielmem szronu. Wybieram jednego średniej wielkości i kilka langustynek, żeby nie czuł się za bardzo samotny.

Kiedy wracam do stolika, Wariatu grzmi z głębi trzewi: – Jeszcze bina?

Nie mam szczególnej ochoty na bino, wolałbym bhisky, ale nie odmawiam. Sekretarz usłużnie przechyla butelkę. Przyjemna, biznesowa kolacja. Tylko że niedługo ktoś podzieli los mojego kraba. Raz, dwa, trzy, kogo dziś wybierze pan Tamakorn? Śmiało, proszę się nie wahać. Wrogich konkurentów mamy dziś bardzo świeżych.

– Chciałbym się czegoś dowiedzieć o moim zadaniu – mówię. – Kim mam się zająć?

– Nazywa się Fong. – Tamakorn wypłuwa to nazwisko z obrzydzeniem, niczym tarantulę wygrzebaną z kaczkę po pekińsku. – Chińczyk?

Mój pracodawca kiwa głową. Wariatu krzywi się, jakby natrafił na łuskę pocisku w swojej cytrynowej zupie. Wygląda na to, że pan Fong nieźle zalał im za skórę.

– Proszę mi o nim szczegółowo opowiedzieć. – Pochyliam się nad stolikiem. – Wszystko, co panu tylko przychodzi do głowy. Nawet jakieś na pozór nieistotne drobiazgi. To może mi się potem przydać.

– Powinien pan wiedzieć – zaczyna – że nie został wynajęty tylko przeze mnie. Jestem przedstawicielem większej grupy przedsiębiorców, których łączą wspólne interesy.

O ładnie, zaczynam nabierać szacunku dla tego Chińczyka.

– Proszę zrozumieć – w głosie Azjaty słychać napięcie – budowaliśmy nasze firmy przez lata, czasem przez pokolenia. Nie stać nas na nieoznaczony element chaosu. Dlatego sięgamy po ostateczne rozwiązanie.

Brzmi coraz ciekawiej. Do tej pory jeszcze nie zabiłem żadnego nieoznaczonego elementu chaosu. Czego on chce? Żeby rozstrzelał asteroidę?

Uśmiecham się zachęcająco.

– Proszę kontynuować. Słucham.

Opowieść, która się właśnie zaczyna, przypomina trochę "Baśnie z Tysiąca i Jednej Nocy" ale bardziej "Kwaidan". Sutham Tamakorn, dotąd opanowany i dystyngowany, zaczyna się rozkręcać i mógłbym przysiąc, że odrobinę gestykuluje.

Gdybym lepiej znał się na ludziach, już wtedy odkryłbym, że obaj, mój szef i jego sekretarz, boją się Chung Fonga bardziej niż tego, że nigdy nie osiągną nirwany.

Fong zjawił się w Tajlandii jakieś dwadzieścia kilka lat temu. Był bardzo młodym, bardzo biednym uciekinierem z kraju środka i zbiorowej odpowiedzialności. Prawdopodobnie nie przekroczył nawet szesnastu lat. Nie bardzo wiadomo, co robił przez pierwsze dwa, trzy lata. Pewnie starał się najmować jako robotnik sezonowy, zebrał lub kradł, a najpewniej próbował wszystkiego po trochu. Na szersze wody wypłynął, kiedy zaczął dilować na najniższym szczeblu drabinki, gdzieś w jakiejś dziurze na północy kraju. I już wtedy zaczynało się objawiać jego niesamowite szczęście. Traf chciał bowiem, że szef miejscowego gangu narkotykowego, zasuszony staruszek o nazwisku brzmiącym jak ciąg pomiaukiwań, stracił w ciągu roku wszystkich swoich synów. Młody Fong zaś jakoś tak przypadł mu do serca, że praktycznie go adoptował i uczynił swoim następcą. Zdążył jeszcze wprowadzić Chunga w tajniki zawodu, a potem wyruszył w wielką podróż za swoimi rodzonymi dziećmi. Fong opłakał dobroczyńcę rzetelnie, następnie zaś wziął się do pomnażania schedy, co szło mu nadspodziewanie dobrze. Już po kilku latach pozakładał filie w okolicznych miastach, a nie minęło dziesięć lat, jak zrobił nalot na stolicę. I z miejsca wziął najlepsze karty. Jego nieludzkie wprost szczęście stało się w



Bangkoku przysłowiowe. Nie przepadła mu nigdy żadna partia towaru, nie zatonął ani nie został przechwycony żaden okręt. Zakrojona na szeroką skalę akcja Interpolu narobiła przedsiębiorcom z branży prawdziwych spustoszeń, ale magazyny i laboratoria Fonga pozostały nienaruszone. Natłukł wtedy kasy, bo swobodnie dyktował ceny na dotkniętym posuchą rynku. Owszem, starano się go przejąć, podporządkować lub nawet zniszczyć, ale wszystkie takie akcje kończyły się fiaskiem. Chcąc czy nie, grube ryby musiały zaakceptować istnienie u swego boku niesłychanie fartownej płotki. Bo interesy Fonga, w porównaniu z ich własnymi, nie były jakoś szczególnie duże. Zresztą Chung się nie wychylał. Zawarł sojusze, wpasował się w strukturę, układając własne małe klocki obok milowych kamieni konkurentów. Zajął swoją niszę i siedział grzecznie przez jakieś pięć lat, aż wszyscy odetchnęli. A potem uderzył. Wojna była krótka i miała zaskakujące zakończenie. Fong wjechał do ogródków swoich starszych kolegów, niczym czołg Merkava do obozu uchodźców. A kiedy wszyscy otrząsnęli się z szoku, nie było co zbierać. Owszem, wielkie i od lat istniejące firmy ciągnęły dalej siłą rozpędu, ale na fundamentach, które starannie podkopał ten piekielny Chińczyk.

Przez pięć kolejnych lat próbowano zgładzić Fonga wszelkimi prostymi i wymyślnymi sposobami. Bezskutecznie. Sukinsyn z każdego zamachu wychodził obronną ręką. Legenda więc rosła, a strach się szerzył. Szeptano, że Chińczyk jest faworytem bogów, że to nieśmiertelny demon, że każdy, kto podniesie na niego rękę, umrze. Doszło do tego, że żaden hitmen nie podjąłby się zadania zgładzenia Fonga. Dlatego padło na mnie. Głupi, prymitywny białas ma szansę załatwić dziecko szczęścia, bo jest zbyt toporny, żeby wierzyć w klątwy.

Oczywiście pan Tamakorn nie powiedział tego wprost, ale mój biały europejski mózg okazał tyle subtelności, że sam zrozumiał. Niestety, nie wystarczyło mi bystrości, żeby wstać i oznajmić przedstawicielowi grupy przedsiębiorców, w którą część dupy może mnie ewentualnie pocałować.

Czułem się trochę jak gwiazda ringu, a trochę jak neandertal

w krainie homo sapiens.

I przyjąłem to cholerne zadanie, nie bacząc, że smok tańczy dla Chung Fonga.

Broń, którą zamówiłem u Tamakorna, odebrałem w kompleksie świątynnym otaczającym pagodę Szmaragdowego Buddy, pod niebem błękitnym jak emalia, wśród porażającego spokoju czerwonych i złotych dachów, między krzewami azalii, w ciszy przepojonej cichutkim szczebiotem nieodłącznych dzwoneczków. Kazałem sobie załatwić dwa pistolety – Glock 33 kaliber 357, poręczną, małą kłamkę zwaną czasem kieszonkową rakieta, i Heckler & Koch czterdziestkępiątkę, w wersji V1. Chłopcy Tamakorna wydziwiali trochę, że łatwiej byłoby im dostarczyć bardziej popularny sprzęt, ale pozostałem nieugięty i w końcu dostałem, co chciałem. Torbę przekazał mi wysoki, milczący Taj, prawdopodobnie jeden z hitmenów mojego pracodawcy, przybyły w towarzystwie nieodstępnego Wariatu.

– Gdzie mogę znaleźć jakieś ustronne miejsce, żeby wypróbować sprzęt? – spytałem.

Killer popatrzył na mnie wzrokiem głodnego gada, a Wariatu zrobił taką minę, jakbym nagle zaczął cuchnąć niczym coś, co leżało miesiąc poza lodówką. Widocznie złamałem jakieś cholerne tajskie tabu.

– Pan nam nie ufa? – wydudnił z urazą w głosie sekretarz.

– Muszę sprawdzić, jak niesie, jak leży w dłoni, jak kopie. To niezbędne, żebym mógł pracować – wytłumaczyłem cierpliwie.

Wariatu westchnął ciężko.

– Yote bskaże panu miejsce – burknął.

Skinąłem głową.

Dzwonki chichotały na wietrze, ogromny demon, strażnik świątyni, łypał na nas podmalowanym emalią okiem, a złoto na dachach pagód wyglądało jak płynne słońce. Przechodzący obok buddyjski mnich uśmiechnął się do mnie. Wiatr wydał jego szatę barwy szafranu.

Ująłem rączkę torby, zacisnąłem palce.

– Na razie – rzuciłem moim towarzyszom.

Wariatu chwycił mnie za rękaw.

– Dokąd pan idzie? – spytał zdumiony.

Wyszczrzyłem w uśmiechu zęby.

– Obejrzeć Szmaragdowego Buddę. W końcu jestem turystą z Europy, nie?

Sekretarz Tamakorna rozdziawił usta, ale nic nie powiedział. Budda był ogromny, roześmiany, calutki z zielonego nefrytu. Siedziałem przed nim na podłodze, z nogami niewygodnie wykręconymi do tyłu, w Tajlandii bowiem wskazywanie czegokolwiek stopą, szczególnie zaś świętych wizerunków, uchodzi za wielką nieprzyzwoitość i przejaw niesłychanego chamstwa. Zastanawiałem się, czy Budda zechce udzielić swojej protekcji mnie, czy raczej Chińczykowi nazwiskiem Fong. Nie udzielił mi odpowiedzi, więc zabrałem ciężką od przyczajonej śmierci torbę i wróciłem do hotelu.



W ciągu najbliższych dni zdążyłem przyzwyczać się do nowej broni i uważnie przyjrzeć domostwu Pana Mamy, Cholera, Problem. Żeby nie rzucać się w oczy, postanowiłem postąpić jak rasowy turysta. Wynająłem małą łódkę, coś w rodzaju tramwaju wodnego, którym popłynąłem na słynny Floating Market. Kiedy znaleźliśmy się w porcie, spomiędzy ciężkich brzuchów masowców wypłynęły jak ławica rybek maleńkie dżonki z towarami. Podpływały do mojego wodnego tramwaju, natarczywie trącając burty nosami. Kupiłem słomkową panamę i trochę rambutanów, więc potem mogłem z czystym sumieniem zarządzić mały rejs w głąb Menam. Płynęliśmy szeroką, leniwie rozlaną rzeką, mijając domki na palach, które niczym chłopki, podwinąwszy spódnicę tarasów, wkraczały po kolana w nurt. W Bangkoku na rzece toczy się głównie życie biedaków, ale też ludzi całkiem zamożnych. W wodach Chao Phraya kobiety myją włosy i piorą, dzieciaki grają w pływającego berka, a mężczyźni

łowią ryby. Niektórzy stawiają w nurcie ogrodzenia, jakby otaczali płotem przydomowe ogródki. Dom Chung Fonga znajdował się w dobrej dzielnicy willowej, tuż nad rzeką. Przyjrzałem się uważnie rozległemu, płaskiemu budynkowi, białemu niczym myśli kolonizatorów. W ogrodzie rosły mangowce, których dojrzewające owoce ktoś starannie zawinął w gazety, by ochronić je przed żarłocznością papug. Między krzewami kwitnących azalii przechadzały się pawie, a po żwirowych ścieżkach biegała sfora pekińczyków – ich liczba i tusza sugerowały, że są przeznaczone na obiad dla gości. Samego Fonga nie dostrzegłem. Nie szkodzi. I tak udało mi się zgromadzić sporo informacji o Jego Chińskiej Wysokości.

Po pierwsze, nie bał się. Jakby wiedział, sukinsyn, że nic mu nie grozi. Chodził po mieście kiedy chciał, oczywiście z obstawą. Nie miał żony, stałej konkubiny ani dzieci. Pojawiał się od czasu do czasu w świątyni, a na wakacje i dłuższe wyjazdy nie wybierał się prawie nigdy. Uchodził za hojnego i lojalnego pracodawcę. Lubiano go. Urósł do symbolu szczęściarza, swojego chłopaka, któremu się powiodło. Chyba nigdy nikogo osobiście nie zabił. Nie należał do Country Clubu i nie udawał, że jest wielkim przedsiębiorcą. Lubił się bawić, z lubością oglądał popisy tresowanych słoni, bywał, jak zwykły turysta, na farmie krokodyli, gdzie śmiał się do łez, oglądając młodzieńców w czerwonych, wyszywanych cekinami gatkach, którzy pakowali głowy w rozdziawione paszcze sennych gadów lub dosiadali ich niczym trytony delfinów. Jak wszyscy Azjaci, był zapalonym hazardzistą. I często pojawiał się na Potpongu.

A ja postanowiłem to wykorzystać, żeby przyjrzeć się temu dziecku szczęścia z bliska.

Potpong jest trochę ulicą, trochę dzielnicą, a trochę osobnym światem. Żyje tylko nocą, między dziewiątą wieczór i ósmą rano. Można tu kupić podróby każdej marki świata. Gdyby Indianie Yanomani zastrzegli nazwę handlową dla produkowanych przez siebie tykw, na Potpongu bez trudu dostalibyście fałszywki. Co noc kłębi się tu nieprzytomny tłum, a ja za każdym razem

odnoszę wrażenie, że trafiłem na inaugurację jakiegoś szalonego roku szkolnego w Elitarnym Gimnazjum Seksu i Hazardu, bo wszyscy mężczyźni noszą białe koszule i czarne spodnie. Dzięki temu wydają się jeszcze bardziej identyczni niż zwykle.

Wyżej, ponad kramami, jak dziuple w starych olbrzymach z puszczy, otwierają się niezliczone boksy oferujące rozrywki dla ciała i duszy. Miniaturowe bary, gdzie bez trudu można dostać hasz, kokę i herę, saloniki masażu erotycznego, gogo w komórce wielkości szafy, rozkosze burdelu w pomieszczeniach przypominających pudełka od butów, kasyna o gabarytach mniejszych niż wafel pod piwo oferujące karty, kości i ruletę, albo okrojone do minimum ringi, gdzie adepci sztuki tajskiego boksu i kick boxingu starają się usilnie kopnąć przeciwnika w głowę. A wszystko to za pieniądze, z możliwością stawiania zakładów. Gdyby prawdziwy Taj dowiedział się na sto procent, że jutro nastąpi koniec świata, założyłby się z każdym, o której godzinie to nastąpi.

Prześliczne dziwki, wyglądające jak cała sfera sióstr bliźniaczek, ze śmiechem ciągnęły mnie za rękawy i poły koszuli. Oganiałem się od nich jak od rozbawionych szczeniaków, tłumacząc, że muszę pozostać wierny swojej dziewczynie. Chichotały zachwycone dowcipem, świergocząc koszmarnym angielskim: "Dobła zabawa! Postaw dlinka ładna dziewczynka. Ty bardzo szczęśliwy! Choć zobacysz!". Uwolniłem się dopiero, kiedy trzech autentycznych niemieckich seksturystów rozpoczęło negocjacje z prawdziwego zdarzenia.

Nie liczyłem specjalnie, że spotkam pana Fonga, ale też nie zdziwiłem się, gdy zobaczyłem, jak kroczy w asyście dworu. Uśmiechnięty, drobny, średniej postury, przywodził na myśl ojca, który wybrał się na przechadzkę w towarzystwie rozchichotanych, podekscytowanych córek i mrocznych, nabzdyczonych synów. Wyjątkowo kuso ubranych córek i pakernych synów w garniakach od Prady.

Zatrzymał się ledwie paręnaście metrów ode mnie, przed kantorem bukmachera, a nad jego głową, niczym niebiańscy Dioskurowie, okładali się pięściami dwaj identyczni, złotoskórzy

młodzieńcy. Kiwał głową, pokazując coś palcem swojemu stadku luksusowych dziwek, a tymczasem profesjonalnie ponurzy ochroniarze gapili się zupełnie nie tam gdzie trzeba. Żaden nie zwrócił uwagi na Europejczyka w obszernej hawajskiej koszuli, stojącego przed ogromną jak lotnisko ladą zarzuconą istną hałdą broni wszelkich rodzajów, rozmiarów i kalibrów. Roześmiani ludzie celowali do siebie wzajemnie, sprawdzali magazynki, gapili się w oczy celowników, nakręcali tłumiki. Drogie, porządne bibigany firmy Tamiya mieszały się z tandetnymi podróbkami z Tajwanu i Chin. Rajska sytuacja. Wszędzie śliczne, plastikowe i metalowe zabawki strzelające kolorowymi kulkami, dokładne repliki prawdziwych pistoletów różnych marek. Dla niewprawnego oka kompletnie nie do odróżnienia. Czego więcej chcieć?

Pozwoliłem sobie na leciutki uśmiech, bo szczęście pana Fonga za moment miało się rozprysnąć jak dojrzały arbuz.

Dalej komentował walkę, wymachując rękami przed twarzami popiskujących z zachwytu azjatyckich barbetek.

Fartowne sytuacje czasami po prostu się zdarzają, a doświadczenie uczy, że trzeba je wykorzystywać. Kto się waha, traci szansę. Nie miałem zamiaru się wahać. Spokojnie, dyskretnie sięgnąłem do torby na kamerę, odpiąłem rzep i wyciągnąłem klamkę. Płynnym ruchem wyjąłem z kieszeni spodni tłumik, nakręciłem i zważyłem broń w dłoni, udając, że sprawdzam jak leży. Obejrzałem dokładnie, pomacałem co trzeba i wycelowałem w najbliższą turystkę, blondynkę gapiącą się w skupieniu w lufę wielkiego jak lokomotywa desert eagla.

Uśmiechnąłem się do niej, a ona w odpowiedzi wyszczerzyła zęby ujęte w metalowe wędzidło aparatu. Uniosła kciuk i powróciła do skrupulatnych oględzin plującego plastikowymi kulkami olbrzyma, a lufa mojego glocka podjechała do góry, wskazując jednego ze złotych młodzieńców pocących się na ringu. A potem zjechała spokojnie, zatrzymując się na okrągłej, krótko ostrzyżonej głowie Chung Fonga. Żaden z jego ochroniarzy nie zareagował. Prężyli klaty, wysuwając do przodu szczęki, przekonani, że wyglądają przynajmniej jak Brudny

Harry. Dobranoc, przyjacielu, pomyślałem.

Wysoki, ostry krzyk przeciął powietrze, przebijając się przez gwar rozmów i wszechobecne tajskie disco lejące się z niezliczonych tranzystorów.

A wtedy tłum zafalował, wzburzył się niczym woda w kiblu, jakiś kram upadł z trzaskiem, sypiąc wokół zegarkami mniej więcej Roleksa i cyfrówkami marki powiedzmy, Kodak, ludzie rozstępowali się wkurzeni lub wystraszeni, przekupnie zaczęli wrzeszczeć. Za to pan Fong zniknął. Zasłonił go mur barczystych pleców i szerokich jak drzwi stodoły klatek piersiowych przyobleczonych w eleganckie garnitury od Prady. Zblazowani pretorianie zamknęli się nad nim niczym rzymski żółw, pozostawiając na zewnątrz tylko tupiące obcasikami dziwki, jak wystraszone jelonki Bambi. Zacisnąłem zęby i powoli opuściłem broń.

Taki dzos, pomyślałem sobie, czując, jak mięśnie szczęk drgają mi pod skórą. Trochę się jednak wkurzyłem, prawdę powiedziawszy.

Bałagan na bazarze osiągał zenit, a ja mogłem tylko patrzeć, jak żywy czołg wynosi mojego Chińczyka ze strefy zagrożenia. Za chwilę wiedziałem już, co się stało. Chudy chłopak o trupiej twarzy okolonej skudlonymi dreadami, biegł środkiem Potpongu niczym wskrzeszona z martwych gorgona, powiewając zdechłymi wężami włosów. Za nim pędziła maleńka Azjatka, wymachując kijem do wieszania ubrań. Wykrzykiwała coś po tajsku i w mieszaninie różnych, kaleczonych niemiłosiernie języków. – Lapaj! Kradła! Kradła! – zakrakała łamanym angielskim.

Dzieciak, prawdopodobnie narkoman, z rozszerzonymi przez głód i przerażenie oczami gnał prosto na mnie, a ja byłem tak wściekły, że przez króciutki moment, mgnienie, pragnąłem położyć palec na spuście i posłać go do Krainy Wiecznych Łowów. Zamiast tego zrobiłem mały krok do przodu i pieprznałem go serdecznie w pysk, kiedy mijał mnie w przelocie. Potknął się z wdziękiem nieustępującym popisom kota Dżinksa i zarył dziobem w ziemię. Natychmiast otoczył nas tłum Tajów w

białych koszulkach polo, wylewnie okazujących mi wdzięczność.

– Nie ma za co – burknąłem i poszedłem, zostawiając za sobą rosnące z każdą chwilą zbiegowisko.

Za moimi plecami sprawiedliwość uosobiona przez rozczochraną, zdyszana Azjatkę okładała kijem chudego narkomana, skrzecząc złowieszczo:

– Kradła!



Kiedy wróciłem do hotelowego pokoju, na poduszce leżała piękna czerwona orchidea. Wziąłem prysznic, zszedłem do baru i zacząłem myśleć. Nadszedł czas, żeby porządnie wziąć się do roboty. Postanowiłem złożyć mojemu Chińczykowi wizytę.

Telefon zadzwonił wczesnym rankiem. W słuchawce zadudnił basowy głos Wariatu.

– Kant? Chcę się z panem dzisiaj spotkać b sprawie biznesowej. Może być przed południem b parku rozrybki Samutprakarn? Ulica Taiban numer 7. Będą pokazy tresury słońi.

Zgodziłem się. Nie jestem specjalnym miłośnikiem słońi, ale niech tam.

Wariatu się spóźniał, więc dałem sobie zrobić zdjęcie z tygrysem. Wielki kot wyglądał, jakby się do końca nie obudził. Leżał na wyliniałym dywaniku, niczym ogromna pręgowana kanapa, tylko koniec kosmatego ogona drgał nerwowo. Jego sierść była w dotyku bardziej sztywna, niż można się było spodziewać. Rozdziawił imponującą paszczę, ziewając szeroko, i ukazał światu różowe podniebienie pełne długich jak palec kłów, ale na mnie wcale nie zwracał uwagi.

Schowałem zdjęcie. Będę miał przynajmniej pamiątkę z wakacji, niczym rasowy turysta.

Samutprakarn okazało się kompleksem parkowym z wielkim ZOO i słynną farmą krokodyli. Spacerowałem alejkami, pośród rzesz zwiedzających i całej gromady rozanielonych dzieciaków,



karmiących mały i gapiących się na egzotyczne zwierzęta. Na małej arenie przybrane w kolorowe czapraki słonie krążyły sennie w kółko, trzymając się za ogony, albo wdrapywały na kolorowe stolki. Poganiacze ciągnęli je za uszy i ściskali grube karki bosymi piętami, chcąc skłonić zwierzęta do sprawniejszego wykonywania sztuczek.

Wariatu zjawił się wreszcie zdyszany i skruszony, już z daleka przeprasząc za spóźnienie.

– Panie Kant, nasz bspólny przyjaciel urządza przyjęcie dla sboich partnerób biznesobych. B domu. Krill, hostessy, drinki w okrodzie, pokaz sztucznych okni – powiedział, kiedy wreszcie przestał mnie przepraszać. – Pomyślałem, że pobinien pan biedzieć.

– Kiedy?

Podrapał się w kark.

– Byślę, że dziś.

– Nie jest pan pewny?

Pokręcił głową.

– Przyjdą tam jacyś biali? Europejczycy albo Amerykanie, czy w razie czego będę wyglądał jak Czarny na wiecu Ku -Klux -Klanu? – Przypuszczam, że pobinni. Fong probadzi interesy z zakranicą.

– Przypuszcza pan? Tego też nie udało się wam ustalić?

– Nie – burknął.

Westchnąłem.

Na arenie poganiacze rozkładali właśnie coś w rodzaju pościeli i zapraszali widzów, żeby się położyli na posłaniach, które mnie nieprzyjemnie kojarzyły się z azjatyckim rodzajem mar. – Dobra – mruknąłem. – Może ta informacja na coś mi się przyda. Co potrafipan powiedzieć o zabezpieczeniach w domu Fonga? Wariatu spuścił wzrok. Wydawał się zmieszany i jakby przestraszony.

– On nie ma zabezpieczeń, panie Kant – odrzekł cicho po chwili milczenia.

– Jak to, nie ma? Kamery, alarmy, drut kolczasty, elektryczny pastuch? Cokolwiek?

Znów pokręcił głową.

– Nic z tych rzeczy. To zwykły dom z okrodem, może pan sprawdzić.

Spojrzałem mu w oczy.

– Z pewnością tak zrobię. O której zaczyna się przyjęcie?

Rozłożył bezradnie ręce.

– Nie wiem. Chyba o zmroku.

Za moimi plecami szare kolosy ciężko przełaziły nad leżącymi pokotem ludźmi. Jak dla mnie, rozrywka mocno przereklamowana.

– Dziękuję – powiedziałem do Wariatu. – Spróbuję wykorzystać pańską informację.

Sekretarz Tamakorna spojrział na mnie niepewnie. Wyglądało na to, że się waha. Wreszcie odezwał się stłumionym głosem. – Niech pan lepiej przejdzie pod słońcem, panie Kant. Trzy razy, na szczęście.

Odwróciłem się i zerknąłem na sznureczek rozbawionych turystów, którzy, chichocząc i popychając się, przebiegali pod brzuchem największego słońca.

Machnąłem ręką.

– Nie trzeba. Mam swoją króliczą łapkę. – Mrugnąłem do niego. Rozdziawił usta ze zdumienia, a ja poszedłem sprawdzić, czy rzeczywiście Fong tak bardzo ufa swojemu szczęściu.

Ufał. Oprócz kilku krążących po posiadłości ochroniarzy nie zdołałem znaleźć żadnych innych zabezpieczeń. Dziwny facet z tego Chińca. Zobaczymy, jakie urządza balangi. Jeszcze dziś wieczorem.



Czerwona orchidea na poduszce ma przyjaciółki. Sypią się po całej pościeli, szkarłatne i wilgotne. Chyba powinienem zaprać te cholerne prześcieradła, ale na razie nie mam do tego głowy. Siedzę na łóżku, zastanawiając się, jak do kurwy nędzy, mogło do tego dojść?

"Dla niego tańczy smok", powiedział Chińczyk, którego zabiłem. Uśmiechał się cały czas, a w oczach miał coś szalonego, nienormalnego, jakby mówił o jakimś pieprzonym bogu. Smok tańczy dla Chung Fonga. Nie dostaniesz go, białasie. To chiński król Artur, bohater legend, nieśmiertelny Superman wykarmiony na ryżu i zupkach udon. Cholerny Doktor No. Chyba świruję. Dość mam tego gówna, ale coś mi mówi, że nie wyplączę się łatwo. Chiński bóg już mnie zauważył.

Przesuwam po włosach ręką lepką od czerwieni. Powinienem się wykąpać. Powinienem się napić, przespać, zebrać myśli. Albo dać na mszę. Na jedno pewnie wyjdzie.

Coś mi się jednak zdaje, że cokolwiek bym zrobił, pan Fong pozostanie bezpieczny w cieniu ogromnych, błoniastych skrzydeł swojego szczęścia.

Papierowe lampiony rozświetlały ogród łagodnym, złotawym blaskiem. Węgłe pod ogromnym grillem rozgrzały się tak, że przypominały rubiny. Na ruszcie skwierczały kawałki wieprzowiny, kurczaki i wielkie tygrysie krewetki owinięte liśćmi bananowca. Piękne dziewczyny kręciły się między gośćmi, rozdając drinki i uśmiechy. Kwiaty w gęstych czarnych włosach wyglądały jak kolibry, które tam na chwilę przysiadły. Niektórzy goście już zrzucili garniaki i pluskali się w basenie. Pawie wzywały gdzieś w ciemności swymi wysokimi głosami kogoś, kogo imię brzmiało prawie jak Leon, a kosmate, krzywonogie pieski łąziły gościom pod nogami, gapiąc się wypukłymi ślepiami na smakołyki z grilla. Zapowiadała się niezła impreza.

Wariatu miał rację. Dostać się do domu Fonga nie było trudniej niż wsiąść do tramwaju. Ochroniarze sprawiali wrażenie zbitych z tropu liczbą gości. Wydawało się, że

gospodarz urządził przyjęcie dla całej okazałej chińskiej prowincji. Na szczęście przybyło też sporo Europejczyków, a ja mam dobrze opanowany system nierzucania się w oczy, zwłaszcza na takich imprezach. Zdobyłem już sporo przygodnych znajomych, którzy byliby w stanie przysiąc, że znają mnie przynajmniej z widzenia, choć dopiero niecałą godzinę temu przelazłem przez płot, starając się nie pognieść porządnego tropikalnego garnituru.

Dyskretnie obserwowałem Fonga. Królował przy grillu, ubrany w zielony sarong dla ochrony przed moskitami. Wyglądał jak dobroduszny papa z komedii o perypetiach rodzinnych.

Uwielbiam to słowo. Perypetie. Trudno o coś bardziej banalnego i nudnego. Zabawne perypetie pana Fonga w branży narkotykowej.

Impra wyglądała na kolejną wymarzoną sytuację, stworzoną, by wykonać zadanie. Dlatego pierwotna, zabobonna częśćka mojej duszy zaczęła się trochę niepokoić.

Tylko trochę, bo chłopaki od ochrony zachowywali się jak aktorzy z kiepskiego serialu. Nie potrafiłem pojąć, jakim cudem ich pracodawca jeszcze żyje. Musiał naprawdę mieć fart.

Popijałem drinki, szczyrzyłem zęby do lasek, wymieniałem zdawkowe uwagi z opalonymi na heban, wysokoprocentowymi biznesmenami lub królami koki z odległych kontynentów, czekając, aż gospodarz zniknie choć na chwilę w głębi domu.

Wtedy poszedłem w ślad za nim, cichy, niewidzialny, nieistotny i gotowy.

Ale zaskoczył mnie. Przeszedł spokojnie przez salon, a potem odwrócił się i uśmiechnął. Nie mógł mnie widzieć. Przysięgam, że nie mógł. A jednak.

– Zdaje się, że nas sobie nie przedstawiono – powiedział po angielsku, patrząc prosto w ciemność, która mnie okrywała. Wiedziałem, że w każdej chwili może zacząć wrzeszczeć. Ciężko za filarem zrobił się nagle nieznośnie ciasny. Heckler & Koch leżał mi w dłoni pewnie i ufnie, gotowy przemówić. Zgiąłem palec. Rozległ się głuchy trzask. I tyle.

Fong nadal milczał, choć zdawało mi się, że jego uśmiech się pogłębił.

Backup. Natychmiast schyliłem się do kostki po backup.

Kiedy wyciągnął do mnie rękę, byłem pewien, że trzyma w niej broń. Jeszcze zanim zdążyłem wyszarpnąć glocka, zobaczyłem sztywny, osmalony nad ogniem liść bananowca. – Poczęstuje się pan? – spytał.

Zdaję sobie sprawę, jak to brzmi, ale przysięgam, że właśnie to powiedział.

Krewetki pachniały apetycznie, a Fong wcale nie zamierzał krzyczeć.

Nacisnąłem spust, chociaż wiedziałem już, co usłyszę. Klick.

Wciąż mogłem go zabić. Nożem, gołymi rękami, ale na te kilka sekund po prostu mnie sparaliżowało. To nie był świat, który znałem. Rzeczywistość wywinęła fikołka, a ja znalazłem się nagle po drugiej stronie lustra. Ruch, dostrzegalny ledwie kątem oka.

Zareagowałem instynktownie i tym razem glock przemówił. Kaszlnął głośno jak mówca, starający się zwrócić uwagę niesfornym słuchaczom. Rosły ochroniarz zwałił się na posadzkę. Drugi wyrósł tuż za nim, krzycząc coś rozpaczliwie do chlebowdawcy. Strzeliłem do niego, upadł, ale ruszał się jeszcze, więc poprawiłem. Przyskoczyłem do wędnącego błyskawicznie ciała, odkopnąłem upuszczoną klamkę gdzieś w kąt. Odjechała po posadzce z ostrym chrobotem.

Przylepiłem się plecami do filaru, obrzucając okna i drzwi prędkim spojrzeniem.

Czysto, lecz Fong zniknął.

Nagle za szybą wybuchła kolorowa łuna. Przez chwilę myślałem, że wybuchło niebo. Ale to wystrzeliły fajerwerki Wielkiego Szczęściarza.

Jak symbol jego triumfu.

Na zewnątrz chłopaki z ochrony dostali już pewnie niezłej szajby. Jeśli chciałem przeżyć, musiałem się szybko zmywać. Nieważne, co stało się ze światem oraz konstrukcjami panów

Hecklera i Kocha. Nieważne, który diabeł osobiście odpowiadał za szczęście Chung Fonga. Teraz pozostało mi tylko wyjść.

Szept brzmiał ochryple, upiornie niczym wołanie wprost z dna piekła:

– Nie... dostaniesz go... dla niego tańczy... smok... uważaj... biały... on...

Słowa jakby wylewały się z krwią z ust umierającego Chińczyka, pękały niby bańki na posiniałych ustach. Ostatnie ostrzeżenie rzucone przez trupa. Triumfalne słowa fanatyka, gotowego oddać życie za swego cholernego boga, który, ubrany w zielony sarong, grilluje sobie w najlepsze krewetki.

Blask szaleństwa w oczach Azjaty przygasł. Skonał, zanim zdążył dokończyć. Gapiłem się na niego przez mgnienie oka, zanim zdołałem ochłonąć.

Wyskoczyłem oknem do ogrodu. Na razie sztuczne ognie były moimi sprzymierzeńcami. Śmignąłem w ciemność wstrząsaną wybuchami złota, szkarłatu i cynobru. Goście Fonga wydawali pełne zachwyty okrzyki, ochrona miotała się niczym ryby w kubelku wędkarza, a ja, trzymając się najgłębszych cieni, biegłem w głąb ogrodu, między wystraszone pawie.

Żaden człowiek mnie nie zauważył. Ale przekłete tłuste pieski tak. Rzuciły się za mną ujadającą piskliwie sforą, wyciągając ile sił krótkie, parszywe łapki. Chłopaki Fonga odwrócili się jak na komendę i pognali w moją stronę. W jaskrawych wyładowaniach sztucznych ogni przypominali ożywione potwory Frankensteina. Na szczęście bali się strzelać w tłumie gości swojego Chińczyka. Puściłem się w długą, wiedząc, że mam przewagę i prawdopodobnie zdołam uciec. Dopadłem płotu, wdrapałem się po kutym, ozdobnym parkanie, a wtedy czubek buta ześlizgnął się ze szczególnie bogatej arabeski. Poleciałem w dół, czując, jak rozdierający ból eksploduje w lewym przedramieniu. Zawisłem na płocie, nadziany rękawem na ostry pręt na szczycie ogrodzenia. Zamachawszy rozpaczliwie nogami, zdołałem zaczepić stopy o jakiś ozdobny element sztachety. Wtedy koło ucha gwizdnęła mi pierwsza kula, a huk wystrzału poszybował w

pękające od fajerwerków niebo.

Szarpnąłem wściekle ramieniem w górę. Przed oczami zobaczyłem wszystkie konstelacje bólu, ale rękaw nie puścił. Kolejny pocisk zrykoszetował o metalowe pręty ogrodzenia. To była naprawdę niezła motywacja. Szarpnąłem jeszcze raz i materiał rozdarł się z trzaskiem.

Rzuciłem się w ciemność, biegiem ku rzece. Gonili mnie, lecz poza terytorium Fonga już nie ośmielili się strzelać, jakby płot stanowił jakąś cholerną magiczną zasłonę. Nie bolałem nad tym zbyt. Wkrótce udało mi się zgubić pościg. Naprawdę jestem niezły, nawet jeśli ostatnio nic na to nie wskazywało.

Zdyszany, łapałem z trudem powietrze, oddychając mulistym, gorącym odorem rzeki.

W głowie wciąż tłukło mi się jedno, powtarzane niczym w pozytywnie pytanie. Jak, kurwa, mogło do tego dojść?

Odpowiedzi nie potrafiłem znaleźć ani podczas wędrówki brzegiem, ani w taksówce, ani w zacisznym pokoju hotelowym. Siedzę teraz ponuro na brzegu łóżka, krwawiąc i próbując podsumować straty.

Superimpreza. Uciałem sobie pogawędkę z trupem, facet, którego magicznym sposobem nie zdołałem zabić, poczęstował mnie krewetkami, a potem nadziałem się na parkan niczym jakiś pieprzony strach na wróble. Wspaniale. Gratulacje, panie Kant. Wciągam głęboko powietrze. Może i mam nad sobą gwiazdziste niebo, ale żadne prawa moralne czy logiczne za cholere nie chcą tu działać.



Zielone, rozległe pola koją wzrok. Postrzępione fryzury palm kołyszą się w rytm lekkich powiewów wiatru. Kolorowe papugi polatują nad nimi, skrzeczając, podobne do kawałków porwanej bibułki. Jest gorąco, spokojnie i elegancko.

Po ścianach leniwie łażą gekony, półprzejrzyste, niczym dziecięcy przysmak, galaretki z żelatyny.

Siedzimy na tarasie Country Clubu. Pan Tamakorn, Wariatu, ja i jeszcze jeden zażywny Taj w średnim wieku. Dep Shienngthong, przyjaciel mojego zleceniodawcy. Jemy śniadanie.

Tamakorn siorbie w milczeniu ryżankę z krewetkami, a ja grzebię w talerzu pełnym czegoś, co przypomina gotowane oczy w sosie na bazie spermy. Podobno bardzo odżywcze.

Rozharatana ręka boli koszmarnie, a wściekłość buzuje we mnie niczym para w kotle.

– Nie doszłoby do czegoś takiego, gdybym dostał porządny sprzęt, a nie jakieś pieprzone gównno, które rozleciało się, ledwo go dotknąłem – mówię dobitnie. Tamakorn podnosi wzrok znad ryżanki.

– Otrzymał pan dokładnie taką broń, jakiej żądał. Udostępniliśmy panu miejsce do ćwiczeń i tyle czasu, ile pan zechciał... – Świetnie, ale w akcji to kurestwo się zacięło i doskonale zdaje pan sobie z tego sprawę! – przerywam gniewnie. – Oba pistolety, Tamakorn! To chyba o czymś świadczy. Milczą.

Wariatu gapi się z nietęgą miną na własne ręce, a mój zleceniodawca i jego przyjaciel wymieniają znaczące spojrzenia. Wreszcie odzywa się Shienngthong. – Rozumiem, że chce pan zrezygnować z misji?

Jasne, że nie mam zamiaru rezygnować. Nawet mi to przez myśl nie przeszło. – Nie – warczę ze złością. – A skąd taki pomysł?

Wypuszczają wstrzymywane powietrze, z mieszaniną ulgi i zdziwienia na twarzach.

– Jesteśmy gotowi podwyższyć stawkę – zaczyna ostrożnie Tamakorn.

Kiwam głową.

– Oczywiście. Będę potrzebował broni. Dwa sigsauery i uzi. Poza tym wszystko, co tylko uda się zgromadzić na temat Fonga. Wszystko, rozumiecie?

Wygląda na to, że rozumieją. Spoglądają na mnie z powagą i jakby lekkim niedowierzaniem.



Zaciskam zęby, patrząc na zielony przestwór golfowych pól. Właśnie wypowiedziałem panu wojnę, Fong.

Dostałem obsesji na punkcie Chińca. Próbowałem go stuknąć jeszcze cztery razy, bez powodzenia. Zawsze zdarzało się coś nieprzewidzianego, co rozwalalo starannie zaplanowaną akcję. A to akurat przewrócił się wózek z owocami i zbiegowisko uniemożliwiło mi pracę, a to kierowca tuk -tuka władował się pod ciężarówkę, w banku zarządzili nagle ćwiczenia przeciwpożarowe, ktoś dla żartu podał informację o podłożeniu bomby i tak dalej. Cholerny zółtek był nie do wyjęcia. Staralem się go rozgryźć, znaleźć słabe punkty, poddać sekcji i złożyć z powrotem. Pracowałem bez wytchnienia w dzień i w nocy, chorobliwie, gorączkowo, wściekle. Nie odkryłem niczego szczególnego. Niczego poza starym magazynem na portowym nabrzeżu, oznaczonym numerem 29876 oraz literami tajskiego alfabetu, który wygląda jak grupka dżdżownic ćwiczących aerobik. Fong chodził tam regularnie, mniej więcej raz na dwa tygodnie. Zamykał się w środku, a po kilku godzinach wychodził. Nie zabierał ze sobą żadnych przedmiotów, jedzenia ani broni. Po prostu siedział w starym, zardzewiałym magazynie. Czego tam szukał? Więził kogoś? Medytował? Oddawał się jakimś paskudnym perwersjom? Ćpał?

Odpada. Wszystko to mógł robić z powodzeniem w domu albo gdziekolwiek indziej.

Im dłużej o tym myślałem, tym głębszego nabierałem przekonania, że rozwiązanie zagadki Fonga kryje się w metalowym pudle na portowym nabrzeżu Menang.

Nazwisko Fong po tajsku brzmi Fongamornkul, niczym imię czarownika z tandetnej fantazy. Ale Chińczyk nie jest żadnym magiem, tylko zwykłym gangsterem, cholernym bossem narkotykowym. Może i ma fart, ale kiedyś karty muszą się odwrócić. A ja postaram się w tym pomóc.

Port w Bangkoku jest brzydki jak wszystkie porty. W niebo sterczą zardzewiałe szubienice dźwigów, woda ma kolor i konsystencję oleju, śmierdzi szlamem i zdechlą rybą. Wielkie kadłuby statków przypominają z lądu wywrócone wieże.

Wybrałem drugi z kolei dzień po wizycie Fonga. To powinno zapewnić mi spokój. Przed magazynem 29876 stanąłem, czując dziwny niepokój, który już od rana zamieszkał w mojej klatce piersiowej. Nabrzeże było puste, od lat nikt tu niczego nie składował. Czarna woda przywodziła na myśl Styks. Wokół konały porzucone przed wiekami ciężarówka, wały się sterty pustych beczek, rdzewiały graty niepodobne już do niczego, paskudne wypływki morza. Nie podobało mi się tutaj.

Przynajmniej nikt się nie kręci w pobliżu, pomyślałem, obchodząc magazyn.

Właściwie nie magazyn, ale potężny, wrośnięty w beton kontener, pewnie zdjęty za dawnych czasów z pokładu jakiegoś statku. Stał cichy, ciemny i rdzawy, brzydki, zwykły kubus z blachy, ale dla mnie nieprzyjemnie mroczny, jakby emanował ciężkim, piżmowym zapachem strachu.

W zasadzie nie bałem się, choć przez chwilę poczułem ucisk w gardle i chęć, żeby zawrócić, machnąć ręką, wrócić do hotelu, a może nawet wyjechać z Tajlandii.

Zamiast tego obejrzałem dokładnie drzwi. Solidne, zamknięte na trzy potężne sztaby zabezpieczone okazałymi kłódami. Cokolwiek znajdowało się w środku, miało pozostawać słodką tajemnicą pana Fonga.

Stałem, bezwiednie zaciskając dłonie, kiedy wewnątrz kontenera coś się poruszyło. Drgnąłem gwałtownie, bo wyraźnie usłyszałem szuranie, jakby ktoś ciągnął po podłodze wielką, ciężką płachtę. Niemal w tym samym momencie rozległ się niski, przeciągły syk, przypominający spust pary.

Jednak dranie coś tam kombinowali. Produkowali narkotyki? Mało prawdopodobne. Znałem lokalizacje wszystkich laboratoriów Fonga, nawet tych położonych poza Bangkokiem. Każdej wspartej na bambusowych kołkach wiaty, w której

mieszano i pakowano proszek.

Teraz myśl, żeby opuścić miasto, nie wchodziła w grę. Musiałem się dowiedzieć, co Chung Szczęściarz trzyma w tym cholernym magazynie.

Jeszcze raz obszedłem blaszane pudło. U samej góry, pod płaskim dachem znalazłem wąską, zakratowaną szczelinę. Okno. Bingo. Tego właśnie szukałem.

Zdjąłem z ramion plecak, wyciągnąłem kupioną w żeglarskim sklepie linę, zakończoną kotwiczką. Wiedziałem, że siedzą w środku, ale prawdę mówiąc, głównie mnie to obchodziło. Byli wyraźnie zajęci, a ja potrafię się zachowywać naprawdę cicho. Zresztą, co mogli mi zrobić, zamknięci od zewnątrz na trzy solidne sztaby? Zadzwoić do szefa? Skorzystać z telefonu zaufania?

Zarzuciłem kotwiczkę. Dwa razy spadała z brzękiem, za trzecim załapała. Opasałem się linką i zacząłem wlaźić po ścianie kontenera. Szło mozolnie, zraniona ręka rwała jak diabli, ale wspinałem się cierpliwie. Pełniąca obowiązki okna szczelina przybliżała się z każdym krokiem. W końcu znalazła się na linii mojego wzroku. Czułem, jak tłukące się między żebrami serce przyspiesza nie tylko z wysiłku. Podciągnąłem się ostatni raz, zaparłem stopami i spojrzałem w mrok magazynu. W pierwszej chwili nie dostrzegłem niczego prócz ciemności. Cuchnącej mułem i rybami ciemności, w której coś się wolno poruszyło. Skupiłem wzrok, czekając, aż oczy przywykną do nikłego światła w środku.

Widziałem jakieś oleiste błyski, bliki blasku, przesuwające się po czymś ogromnym i gładkim. W uszach zabrzmiał suchy szelest, szuranie i głuchy bulgoczący syk. Zmrużyłem oczy, spojrzawszy nagle w lśniące rubinowe latarnie, przecięte wąską gadzią źrenicą. Stopy obsunęły się bezwiednie, palce poszorowały boleśnie po linie, serce podskoczyło do gardła. Zleciałbym, gdyby nie pętla. Krztusiłem się własnym oddechem, nie wierząc wytrzeszczonym ze zdumienia i strachu oczom. Patrzyłem prosto w ślepią ogromnego smoka.

Zwariowałem. Jasne, to jedyne rozwiązanie. Ale on tam był. Wielki, złocisty i szkarłatny, identyczny jak na chińskich rycinach. Poruszał się, syczał bulgotliwie, kiwał łbem, zaniepokojony tłukł skrzydłami i śmierdział.

Gapiałem się na niego, zawieszony na ścianie niczym jakiś pieprzony Batman. I tak się czułem. Superbohater z komiksu. Nieprawdziwy, niemożliwy, kołyszący się na linie w równie niemożliwym świecie.

Kurwa mać, smoków nie ma.

Z wyjątkiem tego.

Ten miewa się wyśmienie i nawet wiem, jak ma na imię. Nazywa się "Szczęście Chung Fonga".

Jasne, że zrozumiałem, jak tylko go zobaczyłem. Olbrzymiego chińskiego gada prosto z niebios, który siedzi w opuszczonym magazynie, pilnując, żeby nic złego nie spotkało pewnego małego, złotego cwaniaka. Jednak zrozumieć a uwierzyć to dwie różne sprawy.

Wiedziałem już, odkryłem tajemnicę, na której mi zależało, ale nie wierzyłem w to, co widzę. Nie mogłem, cholera. Po prostu nie mogłem.

Pisk hamulców brzmiał w moich uszach niczym wrzask banshee. Oderwałem wzrok od mrocznej szczeliny w ścianie i zacząłem zjeżdżać. Nie zastanawiałem się, skąd Fong wiedział, że tu jestem. Pewnie smok mu powiedział. Nadał morsem, stukając ogonem. Nieistotne. Od dziś nigdy już nie będę umiał się dziwić. Zdążyłem wylądować, zanim chłopaki Chińczyka wysypały się z wozów niczym schludne, identyczne karaluchy. Złapałem torbę, wskoczyłem między beczki i zabrałem się do jedynej rozsądnej rzecz w tej sytuacji. Do ucieczki.

Przemykając pod osłoną strupieszalnych ciężarówek, rdzewiejących kontenerów lub gratów nieznanego pochodzenia, zobaczyłem jeszcze, jak ochroniarze obstępują uśmiechającego się Fonga, wyraźnie starając się wepchnąć go z powrotem do samochodu. W tym momencie jeden z psów wyciągnął rękę, a za

moimi plecami zaklekotała seria, więc na głowie miałem inne sprawy niż bezpieczeństwo Chińca. Śmignąłem między złom, zajęty ratowaniem własnego tyłka.

Ratowanie tyłka nie idzie mi najlepiej. Mówiąc prawdę, nie jest dobrze. Chłopaki Chunga miotają się po całym nabrzeżu, robiąc mnóstwo hałasu, a ja siedzę w brudnej beczce, niby pieprznięty Diogenes, zastanawiając się usilnie, jak wrócić do mojego zacisznego mieszkania z widokiem na brneńską katedrę i ponury masyw twierdzy Spielberg.

Cokolwiek bym zrobił i tak się nie uda. Nigdy nie byłem niczego tak pewny. Jestem lepszy od wszystkich tych głupków wymachujących klamkami, ale to im się powiedzie, nie mnie. Jeśli wyjdę i zacznę się przebijać, tknie mnie nagły paraliż, dostanę zaniku pamięci, będę celował jak ślepa kura, potknę się o własne nogi albo nieumyślnie zwiążę sobie sznurowadła. Wszystko przez tego cholernego gada, który zasysa szczęście niczym czarna dziura światło. Cały fart należy teraz do małego Fonga, cokolwiek byś zrobił, chłopie. Czas się z tym pogodzić i spróbować wywinąć innym sposobem.

Mam dwa sigi, kanciasta bryła uzi uciska mi kolana, a ja nie potrafię wymyślić nic rozsądnego. Jedyne pomysły, na który mnie stać, wydają się wprost groteskowo głupi. Przypomina film dla dzieci, nie wiedzieć czemu nazywany familijnym. **Free Willy. Free dragon.**

Idiotyczne? Wiem, i co z tego? Przecież tu nic nie trzyma się kupy. Smok jest szczęściem Fonga. Jeśli go uwolnię, poszybuje wysoko do nieba, zabierając ze sobą fart mojego żółtka. A wtedy może, powtarzam: może uda mi się wrócić do domu.

Szukają mnie, przetrząsają portowe rupiecie, ale na szczęście nie przychodzi im do głowy, że mogę cofnąć się znów do magazynu. Nikt normalny by tak nie postąpił. To ponura konkluzja, lecz podjąłem już decyzję.

Pieprzyć Fonga. Chcę wyjść z tego żywy. Idę wypuścić smoka.

Stoję sam przed drzwiami magazynu. Kłódki wiszą na sztabach niczym brzydkie, pokurczone owoce. Nic mnie już nie obchodzi. Złocisty gad to moja ostatnia szansa. Nie przebiję się przez gangsterów Fonga. Potrafię ocenić sytuację. Wyszedłbym, ale potrzebowałbym chociaż odrobiny szczęścia, a ten skurwysyn zagarnął całość.

Wiem, że odgłos strzałów sprowadzi mi na łeb chłopaków w drogich garniakach. Trudno. I tak nie pozostaje mi nic innego, tylko rozstrzelać kłódki. Jakies ostatnie życzenia, przyjaciele? Nie? Dobra, wasza strata.

Seria rozwala kłody, pruje drzwi. Nie szkodzi. Nawet jeśli zabiję przypadkiem smoka, osiągnę cel. Wolny czy martwy, nie będzie już chronił tego piekielnego Chińca.

Wielkie metalowe wrota poddają się niechętnie, lecz w końcu ulegają. Smok żyje. Słyszę, jak syczy wściekle. Wali ogonem o ściany, blacha rezonuje niczym dzwon na pogrzeb.

Mrużę oczy i wsuwam się do środka. Czas, żebyś uleciał w niebiosa, stary. No, dalej, jesteś wolny.

Ale ogromny gad się nie porusza. Spoglądam w rubinowe ślepie i wiem już, dlaczego wszystko stracone.

Śmierć ma kolor starego złota. Waży pewnie z osiem ton, cuchnie mułem i rybami, szczelnie wypełnia prowizoryczny magazyn z falistej blachy. Teraz wreszcie, w blasku tajskiego słońca, wdzierającym się przez rozwalone drzwi, mogę się dobrze przyjrzeć. Stare złoto, karmazynowa czerwień i jaskrawa, trawiasta zieleń, jak wodorosty płynące pod prąd w górze rzeki Kwai. To barwy, jakie nosi śmierć. Chłopcy Fonga pędzący ku nam po nabrzeżu, wbici w drogie garnitury od Prady czy Lagerfelda, z żelem lśniącym na czarnych jak muł włosach, nie są śmiercią, mimo że tak im się wydaje. Mam pistolet maszynowy i dwa sigi pod pachami. Gdyby chłopcy Chunga stanowili jedyny problem, wyszedłbym stąd. Wyszedłbym z tego żywy, zjawił się w biurze Tamakorna i obiema rękami podał mu głowę

czarownika Fongamornkula owiniętą w origami z bibułki w złote żurawie. Ale nie wyjdę.

Osiem ton śmierci wijącej się w magazynie, trzęsące cienkimi, rozprażonymi ścianami to nie kwestia amunicji, celnego oka ani wyszkolenia.

To, jak mawia pewnie Chung, dzos. Mam wrażenie, że musi szczególnie lubić to słowo.

Poznałem już jego tajemnicę. On nie umrze ani dziś, ani jutro. W tym magazynie za chwilę, albo kilka chwil, umrę ja. Teraz. Dzisiaj. W ten upalny, lepki zmierzch barwy starego złota. Jutro moje ciało wypłynie grzbietem do góry na Floating Market. Tak, jak powiada I-Ching. Przesilenie, przyjacielu. Moment, kiedy fart się odwraca. Nie smuć się, bądź jak słońce w południe.

Tyle że dla mnie właśnie zaczyna się noc. Słońce zachodzi w rubinowych ślepiach smoka.

Głupota drogo kosztuje, Wilhelmie Kant.

Szczęście to nie więzień, lecz przyjaciel. Jest z tobą dobrowolnie. Nie można go schwytać, zmusić, by ci służyło.

Olśnienie przyszło za późno. Fong nie schwytał tego smoka, nie zwabił podstępem ani czarami w pułapkę, żeby zapewnić sobie powodzenie w życiu i interesach. On po prostu urodził się farciarzem, a jego szczęście było tak wielkie, tak niesłychane, że któregoś dnia zrodziło smoka. Wypromieniowało swój własny symbol. Symbol, tylko tyle.

Nie wiem, w jaki sposób się objawił. Po prostu nagle sfrunął z nieba, zmaterializował się z wiatru, chmur, wody, czy z czego tam powstają smoki. Wypełzył ze snów Chunga, ogromny, złoty, lśniący szkarłatem. Teraz to nieistotne.

Fong trzyma go tu i karmi z sentymentu. Olbrzymi, węzowy, skrzydlaty gad, z grzywą i wąsami mieniącymi się tęczą jest czymś w rodzaju domowego zwierzątka.

Nie zginę za jego przyczyną. Zabije mnie dzos. Ślepy los, który jednym pozwala wygrać, a drugim przegrać.

Uśmiecham się, patrząc na osiem ton śmiertelnego piękna. Gigantyczny łeb kolebie się, długie szkarłatne i szmaragdowe wąsy falują niczym wodorosty w nurcie rzeki. Rubinowe ślepa przymykają się ciężko, jakby gad słuchał rozbrzmiewającej tylko dla niego muzyki. Smok z wolna, rytmicznie przestępuje z łapy na łapę, wężowe cielsko zwija się, pręży. Ogon tłucze o ściany. Tańczy. Tańczy dla Chung Fonga.

Ja też przymykam oczy. Po drugiej stronie rzęs uśmiecha się do mnie drobny, niemłody mężczyzna w zielonym sarongu. Odwzajemniam uśmiech.

Niech ci się dobrze wiedzie, przyjacielu. Twoje szczęście znów dzisiaj zwyciężyło.

**Warszawa, październik 2006**



# Iwona Surmi

## ŁZY SMOKA

Góra wyrastała pośrodku lasu. Już z daleka wyglądała na niepasującą do otoczenia, jakby przypadkiem porzuconą i całkiem samotną. Była szara, ale kiedy słońce kryło się za chmurami, przybierała odcień czerni, a obmyta deszczem lśniła niezwykłą barwą zieleni. Rosnącą wokół bujną roślinność przetrzebiły okoliczne plemiona, bo opływająca górę rzeka i liczne naturalne źródła pozwalały na osiedlenie się. Ludzie wycinali niedużą przestrzeń, budowali chaty, orali i siali proso, hodowali bydło. Rzadko spotykali się z mieszkańcami innych wiosek, jeszcze rzadziej wyruszali do miasteczka, żeby sprzedać albo wymienić owoce swojej pracy. Tak naprawdę niewiele potrzebowali – parę garnków, ciepłych derek, materiału na ubrania, żelaznych grotów do włóczni i strzał, ostrzy do noży.

Plemię Waho od wieków żyło w cieniu góry i szanowało ją. Nikt nie ośmieliłby się odłupać nawet kamyczka, grozić ogniem czy biegać po skałach. W zamian góra, na swój kamienny sposób, strzegła ich przed niebezpieczeństwem. Na jej grzbiecie wyładowywały swój gniew pioruny, z jej zboczy spłynął wodospad, który ugasił pożar, w jej trzewiach mieściła się jaskinia, miejsce ostatniego spoczynku zmarłych. Była też swojego rodzaju wyrocznią i sądem. Starannie zbierane okruchy skał, sproszkowane i dodane do wody sprowadzały wizje, a napojeni taką mieszanką podejrzani o przestępstwo wyznawali swoje winy lub oczyszczali się z zarzutów.

Góra miała też swój sekret, który ujrzeli nieliczni – jezioro ukryte między wypukłościami. Waho wierzyli, że to źródło mądrości, i pokolenia przywódców wyruszały na pielgrzymkę, by dostąpić objawienia.



Przycupnięta pod południowym stokiem wioska składała się z kilkunastu chat, zbudowanych z bali i krytych strzechą. Najważniejszym miejscem był plac z olbrzymią hikorą. Tu gromadzili się mężczyźni, żeby omówić istotne kwestie, w jej cieniu gwarzyły kobiety i bawiły się dzieci.

Stojące na wprost drzewa domostwo wyróżniało się werandą. Plecione krzesło wodza Waho było puste. Ansi umierał, a jego trzy tłuste żony krzątały się wokół, jakby wymiecenie podłogi czy zmielenie mąki na zapas mogło zatrzymać go dłużej.

Starzec miał grubą, szarą, pooraną zmarszczkami skórę, czarne oczy i mocno zarysowane łuki brwiowe, które nadawały mu wyraz surowości. Najmłodsza żona, Pawa, czuwała nad nim nieustannie i podawała chłodną wodę do picia, a drobny młodzieniec – wnuk o imieniu Kabu – starał się zapamiętać każdą wskazówkę mamrotaną przez Ansię w chwilach przytomności. Niezdolni do pracy członkowie plemienia czuwali na zewnątrz, kołysali się w przód i w tył, i mruzcili pieśń ułatwiającą umierającemu przejście na drugą stronę.

Upiorny monotony zaśpiew przynosił ulgę śmiertelnie choremu Ansiemu. Mimo to nie był jeszcze gotów, żeby opuścić świat żyjących i dołączyć do przodków.

– Okaż jej szacunek. Obiecuj... – szepnął, kiedy Kabu z tobołkiem na plecach szykował się do wyjścia.

– Obiecuję – przyrzekł Kabu i po raz ostatni uścisnął drżącą rękę dziadka.

Starzec zamknął oczy. Powiedział już wszystko, teraz mógł tylko czekać.



Na górę dało się wejść wyłącznie od północnej strony, przeciwnej niż ta, w której leżała wioska Waho. Przetarty niegdyś szlak zarósł i Kabu musiał przedzierać się przez splątane poszycie, wycinać gałęzie, przekraczać powalone wiatrem

olbrzymy. Pozostawiał za sobą znaczoną krwią ścieżkę, jęki i złorzeczenia poranionych drzew i krzaków. Z zemsty szarpały kolcami odzienie, chłostały witkami, wystawiały korzenie, żeby się potknął. Kabu słyszał, jak ptaki przekazują wiadomość o jego wyprawie i prorokują porażkę, może nawet śmierć, czuł spojrzenia skradających się za plecami zwierząt. Jednak żadne nie ośmieliło się go zatrzymać. Kroczący pewnie na dwóch nogach, uzbrojony w dzidę z żelaznym grotem, osłonięty zrogowaciałą skórą był przeciwnikiem trudnym do pokonania.

Wędrówka zajęła mu cały dzień, a tuż przed zmierzchem znalazł ślady dawnego obozu – osmalone ogniem kamienie i zmurszałe resztki zeriby. Wykorzystując ostatnie promienie słońca, Kabu przyciągnął nowe gałęzie i ułożył je w półokręgu; plecy chroniła góra. Jadł podpłomyki i owoce, i nasłuchiwał. Ansi mówił, że jeśli się skupi, góra do niego przemówi, lecz Kabu łowił uchem jedynie szum wiatru, skargę drzew, prześmiewcze nawoływania ptaków i pogróżki wilków. Nieco zawiedziony owinął się derką i zasnął.



Cisza dzwoniła w uszach, jakby Kabu przekroczył granicę między dwoma światami. Wszystko na dole żyło, rodziło się i umierało, krzyczało albo szeptało, a góra tylko trwała. Nie widział ptaków, owadów, wygrzewających się na kamieniach jaszczurek. Kamienie stały nagie, bez osłony mchów czy frywolnych ozdób ze źdźbeł trawy i kwiatków.

Młodzieniec przestraszył się tej martwoty, dlatego zaczął nucić. To była pogodna piosenka o sprytnym myśliwym polującym na lisa. Najpierw śpiewał bardzo głośno, potem ciszej, a końcówkę, w której myśliwy chełpi się zdobyczą, ledwie wymamrotał. Cisza pochłonęła słowa i zamiast się rozproszyć, stała się głębsza. Dopiero po chwili Kabu zrozumiał dlaczego. Nie słyszał echa – głosu, który powinien wzmocnić dźwięk, ponieść go między skały i wrócić, ogłaszając triumf myśliwego.

Brakło mu odwagi, by podjąć następną melodię, zamiast tego

przysiadł na naturalnym stopniu i zaczął grzebać w tobołku. Wyruszył o świcie, kiedy szarość ledwie rozjaśniła mrok, i nie marnował dotąd czasu na posiłek.

Głodny Kabu z zapalem szarpał zębami twarde kawałki mięsa pachnącego jałowcem i dymem z ogniska. Pokrzepiony znajomym zapachem i smakiem podjął wędrówkę.

"Będiesz wiedział, którądy iść", mówił mu dziadek.

Miał rację. Nikt nigdy nie wydeptał ścieżki, mimo to Kabu szedł pewnie, jak po wytyczonym szlaku. Wspinał się coraz wyżej i wyżej w jednakowym rytmie. Podciągał się na rękach, szedł na czworakach, kroczył wyprostowany. Dopiero kiedy stanął na przełęczy i spojrzał w dół, okazało się, że przebył jakby wykute dla olbrzyma schody: prawie płaskie platformy i spadki, w niektórych miejscach łagodniejsze, lecz częściej wysokie i strome. Jeszcze dziwniejsze wydało się Kabu, że szlak nie wiódł wprost na szczyt, tylko okrężał beczkowato wypiętrzone wzniesienie. Nie było jednak innej drogi. Przecinająca skały siatka szczelin okazała się za płytka, by zmieścić w nich palce czy nawet zaczepić pazur.

Przełęcz wieńczyła brama, z prawej strony prosta, pocięta pionowymi pęknięciami, z lewej wychylała się do środka, tworząc łuk. Rzucany przez nią cień przynosił ulgę po ostrym słońcu na zboczu. Kabu wodził dłońmi po chłodnej skale, pozostawiając na niej kropelki krwi.

Natrafił na szczelinę i obrysował jej kształt. Wydał mu się znajomy, więc spróbował jeszcze raz.

## ANSI

"Wyryłem swoje imię obok imion Menena, Okiego, Segmuta i innych", wspominał z dumą dziadek.

W przejściu było ciemno i Kabu macał palcami jak ślepiec, szukając śladów dawnych mędrców. Czy ta podwójnie załamana kreska przecięta poziomą linią oznacza Menena -Puszczyka? Od

czasu gdy wielki wódz wspiał się na skałę, upłynął wiek, jednak Kabu, dotykając ledwie wyczuwalnych rys, miał wrażenie, jakby dotknął swojego przodka, słyszał oddech, czuł zapach skór i potu, którym przesiąkły.

Skoro sam dotarł tak daleko, zasługuje, by jego imię znalazło się między czczonymi imionami dziadka, pradziadka, prapradziadka...

Twarde, wrośnięte w ciało pazury pozostawiły mało widoczne zadrapania, więc Kabu wyrył ideogram nożem.

Choć wyszło trochę krzywo i znaki były zbyt rozstrzelone, Kabu poczuł dumę. Odetchnął głęboko, gotów do dalszej wędrówki. Teraz schodził ze skały i musiał bardzo uważać, żeby się nie pośliznąć; z opisu Ansiego wiedział, że stromizna kończy się przepaścią. Ten etap okazał się bardziej wyczerpujący niż wspinaczka. Kabu głośno sapał, złamał szpon, dłonie miał śliskie od potu i krwi, poranione stopy. Kręciło mu się w głowie, marzył o łyku wody, ale nie mógł się zatrzymać.

Zerknął na bezchmurne niebo i ze zgrozą uświadomił sobie, jak niewiele czasu mu pozostało.

"Jeśli nie dotrzesz do jeziora, nim słońce minie światło bramy, musisz zawrócić", ostrzegał dziadek, a on o tym zapomniał i zabawiał się w wykuwanie imienia.

Zdenerwowany spróbował opuszczać się szybciej. Stracił koncentrację, nie sprawdził uchwytu i zaczął się obsuwać. Szorował brzuchem po kamieniach, a rozcapierzone palce czepiały się najmniejszych szczelin. – Głupiec, głupiec!

Odłamki skał sypały mu się na głowę. Zabolalo, kiedy stopa zaklinowała się w ciasnej szparze, a plecy uderzyły o chropowatą powierzchnię. Kabu wyteżył wszystkie siły, żeby odzyskać równowagę.

Zatrzymał się na iglicy wystającej z wąskiej platformy. Czuł, jak się chwieje, i niemal wtopił się w skałę przed sobą, by nie przeważyc ciężaru i nie opaść w dół.

Wreszcie lawina się skończyła, a iglica przestała dygotać. Wstrzymując oddech, Kabu powolutku odwrócił się i rozejrzał.

Był dokładnie tam, gdzie powinien. Występ sterczał nad przepaścią niczym trampolina. Kabu wychylił się lekko.

Z przerażenia zawirowało mu w głowie, bo oglądał świat do góry nogami. Kopulaste wierzchołki miał teraz u stóp. Dopiero gdy znów spojrział na wprost, zrozumiał, że odbijają się w tafli jeziora, tworząc iluzję rzeczywistości. By się upewnić, zebrał w garść spadłe okruchy i rzucił. Spodziewał się plusku, rozbryzgu wody, kolistych refleksów, ale zobaczył jedynie drgnięcie, które na moment zburzyło fałszywy świat. A może tylko mu się zdawało, może akurat mrugnął albo oczy zaszyły mu łzami, bo odwrócony krajobraz znów trwał na swoim miejscu.

"Kiedy ujrzysz jezioro, zrozumiesz", uprzedzał dziadek.

Kabu patrzył, niczego jednak nie rozumiał. Słuchając Ansiego, spodziewał się, że w owej chwili dozna objawienia, pojmie istotę świata, zrozumie sens życia i śmierci, a przynajmniej dowie się, czy Oja przychylnie spojrzy na jego dary i zostanie pierwszą żoną; tymczasem nie stało się nic. Pytania pozostawały bez odpowiedzi, sens życia zaczynał się i kończyć na Oji, która jednego dnia wabiła go uśmiechem, a następnego odstręczała złośliwymi uwagami.

Rozczarowany Kabu westchnął i zaczął planować drogę powrotną. Powinien dosięgnąć uchwytu, nieco w prawo, wetknąć stopę w szczelinę, a drugą zaczepić o wystający odłamek. Zerknął na niebo, by się zorientować, ile upłynęło czasu. Słońce minęło zenit, ale jeśli wyteży wszystkie siły, na pewno zdąży przed nocą. Wtedy dostrzegł kątem oka chmurę, wielką i ciężką od deszczu. Poruszała się bardzo szybko i zakryła lśniący dysk.

Świat się odmienił. Otaczającą go szarość zastąpiła czerń, odbicie zniknęło, a pod stopami Kabu ujrzał jezioro w pełnej krasie. Miało kształt soczewki, było mroczne, nieruchome, nie naśladowało rzeczywistości, lecz obserwowało ją. Kabu nie mógł powstrzymać dreszczu strachu. Jezioro wydało mu się żywe, czujne, niebezpieczne. Wiedziały o tym zwierzęta, dlatego omijały górę. Czy to był sekret, który Kabu miał poznać? Jeśli tak, nie zamierzał czekać, aż jezioro zauważy intruza, i zaczął się

wspinać. Najtrudniejszy okazał się pierwszy krok, potem poszło łatwiej. Może to strach dodał mu sił? W chwilach odpoczynku, kiedy przylegał do ściany, słyszał łomot serca i szum krwi w uszach. Miał uczucie, że to nie jego serce, nie jego krew, ale pulsowanie kamieni.

Wrażenie pogłębiło się na przełęczy. Przejście już nie przypominało bramy, lecz paszczę ze straszliwym, zakrzywionym kłębem. Mimo zmęczenia, głodu i pragnienia Kabu biegł, bo zdawało mu się, że plecy owiewa mu gorący oddech, a kiel zaraz go rozszarpie. Gdy wynurzył się z tunelu, cień zniknął. Chmura odpłynęła, kamienie odzyskały przyjazną, szarą barwę. Kabu odetchnął, a potem się roześmiał. I wraz z tym śmiechem uleciał strach.

Posilił się, bo czekał go najdłuższy, męczący odcinek. Znów za bardzo marudził, ale już się nie martwił, miał pewność, że zdąży na równinę przed nocą. Zarzucił lekki tobołek na plecy i zaczął schodzić. Siedem kroków po prawie płaskim gruncie, ostry spad, za wysoki, by z niego zeskoczyć, musiał więc opuszczać się na rękach, siedem kroków i znowu spadek. Był dopiero w połowie grzbietu, kiedy stopnie zmniejszyły się do pięciu kroków, potem do trzech, a wysokość pozwalała na nieco karkołomne skoki. A Kabu bardzo chciał już opuścić górę, posłuchać melodii lasu, poczuć zapach ziemi i drzew, ochłodzić twarz na wietrze.

Przy którymś lądowaniu pośliznął się na luźnym kamieniu i stłuczona nad jeziorem, nadwerżona kostka nie wytrzymała, a stopa wygięła się pod nienaturalnym kątem. W dodatku złamał ząb. Miał usta pełne krwi i odłamków, na czole wielkiego siniaka, a ból sparaliżował go i wycisnął z oczu łzy.

"Nie możesz nocować na górze", ostrzegał dziadek.

Kabu wypluł krew i przepłukał gardło odrobiną wody, usztywnił nogę oderwanym strzępem koszuli i niezdarnie ruszył dalej. Drżał, mięśnie protestowały przeciwko kolejnemu wysiłkowi, pot zalewał mu oczy, mimo to pokonał trzy stopnie. Kiedy zbierał siły do zejścia z następnego, poczuł nagłą słabość. Zemdlął. Zachodzące słońce oświetliło nieruchomą sylwetkę rozciągniętą na kamieniach.



Kabu odzyskiwał i tracił przytomność. Wpełzł do szczeliny pod nawisem, lecz nie było go stać na nic więcej. Trwał zawieszony między jawą a snem, z policzkiem wtulonym w kamienną poduszkę. Odcięty od zewnątrz, pozbawiony świadomości własnego ciała umysł otworzył się na inne bodźce.

Góra żyła, jej serce biło bardzo, bardzo powoli, lecz wyczuwalnie. Wspomnienia z życia, którego nie przeżył, zalewały Kabu jak fale. Doświadczał przyjemności ze smakowania krwi i rozszarpywania drgającego zwierzęcia, niepohamowanej rozkoszy spółkowania, niedającego się z niczym porównać szybowania w przestworzach, przepelniających całą istotę doznań płynących z posiadania mocy i władzy, powstałych dzięki połączeniu siły z magią. Poznał także uczucia towarzyszące uwięzieniu, samotności w świecie, który tak bardzo się zmienił, oraz powolnemu pogrążaniu się w bezruchu, beznadziejnemu trwaniu między życiem a śmiercią.

Kabu nieświadomie wtulił się w skałę, jakby chciał przekazać jej swoje ciepło, a poranione, skrwawione palce gładziły szorstką powierzchnię. Ostatecznie odrzucił strach, zastąpiła go litość.



Krążąca nad wierzchołkami chmura zaczepiła o iglicę. Bezskutecznie próbowała się uwolnić i ze złością cisnęła gromem. W blasku oślepiającego światła obruszony przez Kabu kamień runął w dół. Jednocześnie rozległ się grzmot; góra wrzasnęła z bólu. Usatysfakcjonowana chmura plunęła na pożegnanie jeszcze jedną błyskawicą i odpłynęła.

Tafla zakołysała się, kiedy ostro zakończony głaz zderzył się z powierzchnią. Woda przelała się przez krawędzie niecki, znalazła prześwit i spłynęła w dół. Góra oślepla, po jeziorze pozostał pusty oczodół przebity iglicą.

Woda parowała w zetknięciu z rozgrzanymi słońcem kamieniami. Mgła snuła się nisko nad ziemią, przebyła las i



otuliła szarym całunem pastwiska, poletka i chaty.



Kabu krzyczał, jakby to jemu wymierzono cios, zwijał się z bólu, płakał, bo płakała góra. Wreszcie wylała wszystkie łzy i umilkła, a letarg Kabu zmienił się w sen. Koszmar, który przypominał o zmęczeniu, skrzywanej kostce, pragnieniu, gorączce. Zmaltretowane ciało domagało się odpoczynku i Kabu obudził się dopiero po wschodzie słońca. Wsunął do ust ostatnią porcję mięsa i podjął mozolną wędrówkę. Szczęśliwie poprzedniego dnia przebył najbardziej stromy odcinek, ale i tak nie było mu łatwo. Podskakiwał, kuśtykał, potem pełzł i wreszcie dotarł do podnóża góry.

Żadne zwierzę nie naruszyło ogrodzenia. Kabu wyciągnął z zeriby dwa solidne, rozwidlone kije i przyciął je na odpowiednią długość. Na granicy lasu obejrzał się po raz ostatni. Kamienie, pod którymi obozował, wydały mu się podobne do podkulonej łapy ze szpikulcami pazurów, stopnie do postawionego na sztorc grzebienia, płytkie szczeliny układały się we wzór łusek. Kabu zamrugał i wrażenie zniknęło. Góra była tylko górą – posiekana deszczem, poszarpana wiatrem, szarą i martwą.

Pewność, że już niedługo dotrze do domu, dodała mu sił. Kuśtykał przez las szlakiem, który sam wcześniej przetarł. Drzewa stały ciche, jakby zamyślane. Skryty pod zielonym baldachimem Kabu nie zauważał ruchu słońca, stracił poczucie czasu.

Oślabł. Już nie szedł, ale włókł się na czworakach, z podkuloną nogą. Język zwieszał się z ust, oczy zachodziły mgłą. Zatrzymał się przed tarasującym drogę pniem. Wcześniej pokonał go bez trudu, teraz zwałił się, ciężko dysząc, obok omszałego olbrzyma. Nie myślał o niebezpieczeństwie – wilkach, niedźwiedziach czy polującej nocą pumie. Musiał odpocząć.

Wyruszył rankiem. Zaspokoił pragnienie, spijając rosę z liści, oszukał głód garścią jagód. Zauważył, że droga upływa szybciej, jeśli pokonuje ją etapami – wpierw do kępy paproci, potem do

rozłupanego przez piorun dębu, strumyka, wielkiego mrówczego kopca.

Język wciąż badał puste miejsce po zębie i kaleczył się o ostrą krawędź. Ból w nodze stał się nieodłączną częścią marszu i nie dokuczał aż tak bardzo, jak na początku. Kabu starał się go zepchnąć jeszcze głębiej. Myślał o tym, jak wkroczy do wioski, o pełnych uznania okrzykach współplemieńców, zawiedzionych minach rywali, którzy kolejno mieli odbyć pielgrzymkę na górę, jeśli poprzednikowi się nie powiedzie. O dziadku. O Oji.

Oja była najpiękniejszą dziewczyną we wsi. Miała niebieskie oczy okolone długimi rzęsami i pełne wargi. Włosy splatała w cienkie warkoczyki, które falowały w rytmie kroków i zabawnie podskakiwały, gdy biegła albo tańczyła.

Kabu westchnął. Mógłby przez wieczność patrzeć na taniec Oji. Tak zmysłowo kołysała biodrami, tak prowokująco podnosiła ogon...

Postanowił sobie, że już jutro pošle jej zaręczynowe dary. Wcześniej zwlekał, bojąc się porażki, wytykania palcami i docinków. Skoro jednak wszedł na górę, nie poddał się strachowi, nie złamał go ból, to śmiech czy ironia nic nie znaczą.

Pogrążony w marzeniach, nawet nie zauważył, że las się przerzedził. Dopiero gdy minął jaskinię przodków, zrozumiał, że jest prawie w domu.

W stromym zboczcu otwierała się pionowa szczelina, niby rana uczyniona gigantycznym mieczem. Wiodła do pieczary pełnej nisz i zakamarków, w której Waho chowali zmarłych. Góra chroniła ich szczątki. Kabu pomyślał ze smutkiem, że niedługo spocznie tu dziadek, przyodziany w swe najlepsze szaty, w ozdobionej piórami czapce, uzbrojony w nóż, łuk i strzały. Wypełnione piwem i ziarnem dzbany staną obok, by Ansi godnie przywitał grono szacownych przodków.

Kabu uklonił się przed jaskinią i pokuśtykał dalej. Wygodniej byłoby mu na czworakach, ale nie zamierzał wchodzić do wioski jak zwierzę.

"Jesteśmy ludźmi", powtarzał często Ansi. "Dla tych, którzy o

tym zapomnieli, nie ma miejsca pomiędzy Waho".

Rzeczywiście, nie było. Ostatnio rodziło się coraz więcej dzieci pozbawionych ludzkich cech. Nigdy nie nauczyły się mówić, jadły tylko surowe mięso, pełzały bądź biegały na czterech łapach. Powierzano je drzewom. Kabu westchnął, wspominając brata. Byli z jednego miotu, a jednak zupełnie odmienni. On sam miał zrogowaciałą skórę, mocne szpony i szczątkowe skrzydła, Brel – duma i nadzieja Waho – wyprostowany, o delikatnej bladej cerze i migdałowych oczach zabił rodziców i pożarł ich ciała, a potem uciekł do lasu. Nigdy więcej nie pokazał się w wiosce. Może zginął, a może objął przywództwo stada podobnych jemu i płodził człekokształtne szczeniaki?

Krajobraz skąpany w zachodzącym słońcu tchnął spokojem, przynosił ulgę pogrążonemu w ponurych myślach Kabu. Strzępki chmur rzucały cienie na trawę, bliżej lasu bujną, o ciemnofioletowym zabarwieniu, dalej wyblakłą i niską. Na jej tle odznaczały się białe i rude plamy bydła spędzającego letnie noce na łące, pod opieką pastuchów. Strzegli oni stad przed dzikimi zwierzętami i nie dopuszczali zbyt blisko lasu, by krowy nie zabłądziły. Powolny zmierzch był najprzyjemniejszą częścią dnia. Strudzeni pracą mężczyźni wracali do wioski, by zjeść przygotowany przez kobiety posiłek. Po jedzeniu zbierali się w grupki, palili fajki i gwarzyli. Obarczone małuchami kobiety zwierzały się sobie z babskich sekretów, dziewczęta iskały się, chichotały i wodziły wzrokiem za młodzieńcami, dzieci popychały patykami drewniane kółka albo naśladowały dorosłych – wystawiały groźnie malutkie kły, rzucały do celu krótkimi, nieostrzonymi dzidami. Gwar rozmów, śmiech, wygrywana na piszczałce melodia brzmiały niczym kołysanka. Słońce groteskowo wydłużyło cień Kabu. Roześmiał się na ten widok i choć był jeszcze daleko od domu, krzyknął, oznajmiając swoje przybycie. Nikt nie odpowiedział, ale i tak przyspieszył kroku. Ból zniknął, stłumiony radością i dumą.

Widział już spleciony z gałęzi szalas pastuszków, więc zawołał ponownie. W powietrze wleciała chmara czarnych ptaków. Kracząc głośno, zakręciły w locie i opadły na trawę.

To zwiastuny śmierci. Ansi umarł i wszyscy go oplakują, dlatego tak tu pusto i cicho. Gdybym był ostrożniejszy, może zdążyłbym się z nim pożegnać, pomyślał z żalem Kabu i zaczął kuśtykać najszybciej jak potrafił.

Przy ścieżce leżała martwa krowa. Ścierwo obsiadły muchy, kruki wydziobały oczy i nozdrza, rozszarpywały mózg. Na widok intruza odfrunęły i przysiadły opodal. Nie zamierzały rezygnować z uczyty.

Kabu zatrzęsł się z oburzenia. Padłe zwierzę także miało wartość – skórę, rogi, kości. A skoro ptaki tak je zmasakrowały, musiało leżeć przynajmniej od rana. Co z pastuchami? Dlaczego nie zajęli się krową?

Wrzasnął na całe gardło i nagle z łąki poderwały się setki ptaków. Otoczyły go roztrzepotane czarne skrzydła, upiorne krakanie zagłuszyło szelest trawy i wieczorny koncert świerszczy. Dwóch młodych chłopców leżało przed szałasem obok garnka wypełnionego jedzeniem, trzeci siedział wsparty o plecioną z gałęzi ścianę. Rojące się owady stworzyły kożuch na zimnej, cuchnącej zepsutym mięsem strawie.

– Obudźcie się – szepnął załamującym się głosem Kabu. – Wstawaj, Beva.

Potrząsnął siedzącym. Wciśnięty na oczy kapelusz spadł i potoczył się po trawie. Beva osunął się, zza koszuli wypełzła zielona jaszczurka.

– Mani, Jes...

Kabu wołał ich po imieniu, ale żaden nie odpowiedział. Odwrócił Maniego na plecy, szukając obrażeń, lecz pastuch nie był ranny. Wyglądał, jakby uciął sobie drzemkę w oczekiwaniu na posiłek. Tak samo Jes i Beva.

Przerażony i załamany Kabu zostawił martwych i poszedł dalej. Na pustych o tej porze poletkach było widać ślady wykonanej pracy – ciemne łaty wylewionej ziemi między główkami kapusty, ścięty i pozostawiony do wyschnięcia łubin, skoszona lucerna. To podniosło Kabu na duchu, odeгнаło przerażające wizje. Za miedzą stały chaty ze ślepyimi ścianami i

wejściem skierowanym w stronę wioskowego placu. Kabu zajrzał do wnętrza, dotknął zimnego paleniska.

Strach powrócił, zatamował oddech, spowolnił kroki.

Waho wypełniali cały plac. Pogrążeni w upiornej ciszy leżeli albo siedzieli oparci o sąsiadów, zwrócenie w stronę domu wodza. Mieli na sobie odświętne stroje, na twarzach wyraz powagi. Ciało nie były okaleczone, ale rozkład już się rozpoczął. – Nie, nie!

Kabu wszedł do chaty Ansiego. Wpierw znalazł Pawę z głową szarą od popiołu, pośród rozsypanych placków i owoców, zapewne poczęstunku dla żałobników, dalej dwie starsze żony – Aminę i Zedę. Leżały w kałuży piwa, skorupy z rozbitego dzbanka chrzęściły pod stopami. Dziadek spoczywał na łóżku, przygotowany do pochówku. Pióra ozdabiające czapkę falowały wokół sonej twarzy, oczy były otwarte. Przez drzwi przedostał się ostatni promień zachodzącego słońca i rozświetlił pionowe źrenice krwawym blaskiem. Kabu zdawało się, że Ansi patrzy wprost na niego i oskarża go.

– To nie moja wina – szepnął Kabu. – Spieszyłem się jak mogłem... To nie moja wina!

Wybiegł z okolonej werandą chaty i stanął na wprost umarłych. – To nie moja wina!

Waho spoczywali nieruchomi, głusi na krzyki i tłumaczenia.

Kabu obejrzał wszystkie ciała, rozpoznawał krewnych, przyjaciół i wrogów. Jego młodszy brat Dina miał na nogach buty, mocne buty z cholewkami, które Kabu dostał w zamian za dwa worki ziarna. Nie włożył ich na wyprawę, bo świętokradztwem byłoby deptanie kamieni nabijanymi gwoździami podeszwami, ale przydawały się zimą. Dina nie miał prawa ich zabierać!

Nagle zamarł. Na skraju placu wypatrzył splecione w warkoczyki włosy. Oja, tam leżała Oja, a wokół rozsypały się korale z wypolerowanego rogu. Na kolanach wciąż trzymała swego małego braciszka. Tłuściutki, nieznośny Basi zaciskał w małej piątce zerwaną bransoletę, głowę ułożył na piersiach siostry. Oczka miał zamknięte i Kabu przez chwilę wierzył, że

słyszeli jego posapywanie. Ukląkł obok, delikatnie wyjął spleciony sznurek z dziecięcej rączki i musnął Oję w pocałunku. A potem się rozpląkał – głośno i żałośnie. Szlochał, krzyczał, zawodził i przeklinał.

Waho nie bali się zmarłych. Cztili ich pamięć, wspominali imiona, prosili o błogosławieństwo przed rozpoczęciem orki czy żniw. Wyczerpany, złamany bólem Kabu zasnął przy boku Oji i jej małego braciszka, jakby wciąż żyli, oddychali, uśmiechali się. Było prawie tak jak w marzeniach – on i Oja razem, policzek przy policzku.

Hikora szumiała kołysankę, snująca się znad rzeki mgła otulała leżących delikatną pierzynką. Prawda o tym, co tu nastąpiło, zawierała się w szeleście liści, w ziemi, w kamieniach, w kroplach wilgoci osiadłej na rzęsach. Kabu śnił.

Dziadek umarł po południu. Zabrakło mu sił, by dłużej czekać na wnuka. Jego żony posypały głowy popiołem i głośnym płaczem oznajmiły smutną nowinę. Śpiew starców zawodzących pieśń przejścia ucichł. Kobiety zostawiły bulgoczącą w garnkach zupę, zdjęły z ognia placki, żeby się nie spaliły, pomogły obmyć i świętecznie odziać ciało, przygotowały stypę, pocieszały zrozpaczone żony. Kiedy z pola wrócili mężczyźni, Ansi był gotów na ich przyjęcie. Waho wchodzili do chaty grupkami, zdejmowali czapki i wypowiadali parę słów, dziękowali staremu wodzowi za jego mądre rady, pomoc, za to, że towarzyszył im tak długo. Dzieci naśladowały dorosłych, kłaniały się i mówiły z powagą: "Dziękuję, Ansi".

Potem wszyscy zebrali się pod hikorą i w improwizowanych zwrotkach pieśni opowiadali o Ansim. O tym, jak powalił niedźwiedzia, o sidłach na zające i haczykach na ryby, o tym, jak uprawiał pole, jak wziął sobie za żonę Aminę, która urodziła mu sześcioro dzieci, o drugiej żonie i czwórce maluchów, którymi się opiekował, gdy jego brat zginął zakłuty przez odyńca, o najmłodszej Pawie, wykupionej z wioski za rzeką, o tym, jak się twardo targował. To nie była smutna pieśń, lecz pochwała dobrego życia, które wiódł Ansi.

Nikt nie zauważył mgły, która bezszelestnie spłynęła z góry.

Rozsnuła się na pastwiskach i polach, aż dotarła do wioski. Pawa wzięła talerz z gorącymi plackami, Amina i Zeda przelewały piwo do mniejszych dzbanków. Zmieszany potępiającym spojrzeniem Oji Dina podkulił nogi w buciorach zabranych z chaty brata. Rozłoszczony mocnym uściskiem siostry Basi szarpnął za bransoletę. Łaciaty prosiak taplał się w błocie i nieświadomy podniosłej atmosfery pochrząkiwał radośnie.

Nagle uspokojony Basi zamknął oczy i położył głowę na piersiach siostry. Pawa upuściła placki, z rąk Aminy wysunął się dzbanek i rozbił się na podłodze. Oja opadła łagodnie, trzymając w ramionach braciszka. Prosiak przewrócił się na grzbiet, kury pospadały z grzęd. Dzieci, kobiety i mężczyźni, starsi i młodszy nie marli, lecz zapadali w sen, z którego mieli się już nie obudzić.

Mgła rozwiała się, na niebie świeciły gwiazdy, hikora szeleściła, pluskała rzeka. Nic się nie zmieniło. Odmieniło się wszystko. – To góra cię zabiła – wyjaśnił Kabu spoczywającej przy nim nieruchomo Oji. Czuł narastającą, wszechogarniającą wściekłość. – Szanowaliśmy ją, słuchali jej rad, powierzyliśmy jej bliskich, a ona zamordowała wszystkich Waho.

Pragnął zemsty, ale ważniejsze było pochowanie zmarłych. Postanowił nie oddawać ich górze, czekała go więc ciężka praca. W chatach zostało mnóstwo jedzenia i picia, a on potrzebował dużo siły. Zjadł, zrobił sobie porządny opatrunek z ziół wyciągających opuchliznę i odszukał łopatę. W ciągu trzech dni wykopał grób, głęboki i suchy. Musiała się w nim zmieścić ponad setka ludzi wraz z pogrzebowymi darami. Żegnał każdego po imieniu, dbał, by małżonkowie i dzieci leżeli razem, opróżnił chaty z ulubionych drobiazgów i zapasów. A kiedy zasypał mogiłę, zaśpiewał pieśń żałości i zemsty.

**Byliście silni i szczęśliwi, wiedliście dobre życie. Pola, które obsialiście, czekają na zżęcie, kłosa uginają się od ziarna, lecz nie ma nikogo do tej pracy. Zabiła was góra.**

**Wasi synowie nie upolują jelenia, nie złowią pstrąga, nie spłodzą dzieci. Wasze córki nie urodzą dzieci, nie przygotowują**

**strawy, nie zatańczą nigdy więcej. Zabiła ich góra.**

**Ojo, byłaś piękna i zdrowa, gotowa, by rodzić mi synów. Chciałem posłać ci zaręczynowe dary i przyjąć cię pod swój dach, a teraz nie żyjesz.**

**Zabiła cię góra.**

**Waho umarli, zostałem tylko ja, Kabu. Żegnam was, krewni i przyjaciele. Wasze ciała przyjęła ziemia, lecz ja nie zapomnę. I zemszczę się. Góra już nikogo nie oszuka i nie skrzywdzi. Ja, Kabu, obiecuję, że zniszczę górę!**

Ostatnie słowa wykrzyczał, bo z bólu i nienawiści pękało mu serce. Nie wiedział, jak dokona przyobiecanej zemsty, ale skoro góra żyła, mógł ją zabić.

Przygotował się starannie, uzbroił w nóż, dzidę, łuk i strzały, spakował zapasy jedzenia i wody, linę i siekiere, włożył buty, które zdjął z martwego brata. Były jego, Dina nie miał prawa ich zabierać. Nie dbał o nakazy, zapomniał o ostrzeżeniach. Góra nie zasługiwała już na szacunek.

Gotowy do drogi Kabu po raz ostatni spojrzął na puste, ciche chaty, pokłonił się na mogile i ogarnął wzrokiem pola. Nad łąką unosił się smród gnijącego mięsa. Purpurę traw pokryły czarne łaty kruczych stad i robactwa. Kabu rzucił kamieniem w najbliższego ptaka, któremu z dzioba zwisał cuchnący strzęp. Kruk odfrunął na niewielką odległość, z urazą trzepocząc skrzydłami, a w powietrze wzbija się brzęcząca chmara much. Kabu musiał przełknąć ślinę, żeby nie wymiotować. Choć tłumok był ciężki, przebiegł całą drogę do lasu. Odetchnął dopiero pośród drzew, które zasłoniły koszmarny krajobraz.

Szczelinę wiodącą do jaskini przodków zasnuwała pajęczyna. Kabu zerwał ją, czując na twarzy i rękach lepkie pasma, zapalił drzazgę i wszedł do środka.

Pochodnia przygasła w zatęchłym powietrzu. W słabym świetle było widać nisze i występy, na których leżały zwłoki. Z niektórych zostały tylko szkielety w skrawkach odzienia; te leżące w głębi pieczary, najstarsze, zachowały się najlepiej.



Czaszki osłaniała skóra, na palcach pozostały paznokcie, a ubrania błyskały barwami.

Kabu wyjął z tłumoka kłąb zaszuszonych ziół i podpalił je. Jaskinię wypełnił dym. Gryzł w oczy, drapał w gardle i stłumił woń stęchlizny. Kabu uklonił się i przemówił:

– Szacowni przodkowie, wybaczcie, że naruszam wasz spokój, ale potrzebuję rady. Góra, którą szanowaliśmy, w której trzewiach spoczywacie, zabiła wszystkich Waho. Muszę ich pomścić, inaczej nie zaznaję spokoju. Manenie, Oki, Segmucie, Baju byliście najmądrzejsi pośród Waho, sprawiliście, że żyli dostatnio i bezpiecznie. Leżycie tu od wieków, poznaliście sekrety góry. Powiedzcie, jak ją pokonać?

Kabu siadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, zamknął oczy. Czekał. Pochodnia zgasła, otoczyła go ciemność.

Dym unosił się, opływał martwe ciała, snuł w zakamarkach. Kabu kołysał się w przód i w tył, jego myśli rozpiezchły się, przypominały sen, w którym człowiek przebywa w kilku miejscach jednocześnie, a wydarzenia nie są logicznym następstwem zdarzeń, lecz zbiorem przypadków.

...Patrzył w wodę. Tafla odbijała sylwetkę smoka z rozłożonymi skrzydłami. W słońcu łuski lśniły zieloną poświatą, postawiony na sztorc grzebień biegł od łba do ogona, zęby jednym kłapnięciem przepołowowałyby krowę, a pazur przebił serce. Był potężny, straszny, piękny. Przerazał i fascynował...

...bestia krążyła nad lasem, wolno poruszała skrzydłami, wypatrując miejsca, gdzie mogłaby wylądować. Ostatecznie jednak nie osiadła dostojnie, lecz spadła. Ziemia zatrzęsła się, złamane ciężarem olbrzymiego ciała młode, zdrowe drzewo przebiło łuski, przeorało bok. Chlusnęła posoka i popłynął czerwony, gorący strumień. Wsiąkł w ziemię, zatrzał rzekę, na zawsze odmieniając rośliny, zwierzęta i ludzi...

...smok już się nie podniósł. Obserwował przepływające po niebie chmury, wygrzewał się w słońcu, kąpał w deszczu. Łuski zmatowiały, przybierając szarą barwę. Czas mijał, bujnie rosnący las zatarł ślady dawnej katastrofy, a potężne cielsko spoczywało

nieruchome pośród zieleni – niby martwe, a jednak świadome. Gdzieś w jego wnętrzu ciągle tliła się iskra, jak żar przysypany popiołem. Jeśli ją zgasi, bestia umrze...

Kabu drgnął. Leżał w ciemności, mokry od potu, drżący. Głowa pękała mu z bólu, ciało wydawało się rozdarte na strzępy i na powrót niezdarnie pozszywane. Dusił się, szamotał, próbując się uwolnić, ale nie mógł nawet otworzyć oczu. Musiał wyśnić swój sen do końca.

– Potwór! Mamo, to potwór... – płakało dziecko.

– Ciii... To Waho z Krwawiącego Lasu – wyjaśniła szeptem kobieta, lękliwie spoglądając na idącego przodem Ansiego. – Nikomu nie zrobią krzywdy – dodała, lecz w jej głosie brakowało pewności.

Kabu był wtedy jeszcze maluchem kołyszącym się na plecach matki. Z ust wystawał mu rozdwojony języczek, pazurkami czepiał się jej grzbietu i z ciekawością patrzył na nieznaną świat. Ludzie zamieszkujący miasteczko wyglądali inaczej niż Waho – wszyscy wyprostowani, owłosieni, bladzi i cuchnący strachem. Nie mieli skrzydeł, ogonów, pazurów. Kabu jednak dostrzegwał podobieństwo: błyszczące oczy z pionowymi źrenicami, wargę z wystającym kłem, ostry szpon. Choć się tego wypierali, oni również zostali skażeni smoczą posoką. Tylko handlarze traktowali ich obojętnie. W zamian za futra, łuskowate skóry, rzeźbione wieczorami drewniane figurki czy wyplatane z purpurowej trzciny kosze i kapelusze dawali im narzędzia, derki, garnki.

Do jaskini przesączała się szarość poranka. Kabu obudził się. Ciągle odczuwał działanie narkotyku – zawroty głowy, nudności, drżenie, ale nie zapomniał podziękować przodkom za pomoc. Na dworze orzeźwiły go chłód i wilgoć rosy. Posilił się, napił. Siedział na trawie oparty o pień i rozpamiętywał wizję.

Musi znaleźć serce góry... Którędy do niego dotrzeć? Odpowiedź była oczywista.

Spakował rzeczy w ciasny toból, zapalił kolejną pochodnię i na powrót zanurzył się w pieczarze. Szedł między szczątkami,

omijał dzbany z ziarnem i świecił po ścianach. Były pełne wypukłości, zwisających z sufitu bloków, wyrastających z podłogi szpikulców. Przejście stawało się coraz ciaśniejsze, pochodnia jarzyła się nikłym płomyczkiem i Kabu bał się, że przeoczy jakiś tunel czy szczelinę, które wydadzą się kolejnym cieniem, więc wodził dzidą po kamieniach i aż się krzywił na dźwięk nieprzyjemnego zgrzytu. Światło zgasło. Kabu otoczyła nieprzenikniona ciemność, ale nie przestraszył się ani nie zawrócił. Dokona swojej zemsty albo zginie. Nie ma innego wyboru.

Stąpił ostrożnie z wyciągniętymi rękami, aż dotarł do ściany i przyłożył ucho. Wpierw słyszał tylko swoje wysilone dyszenie i oszalałe bicie serca, dlatego spróbował się wyciszyć, opanować lęk, uspokoić oddech. Tkwił wtopiony w skałę i nasłuchiwał. Tuk. Cisza. Tuk.

Cisza.

Słabe, powolne uderzenia rozlegały się całkiem blisko. Musi znaleźć ich źródło.

Kabu posuwał się powolutku. Palcami wymacywał przeszkody i badał każde pęknięcie, zagubiony w ciemności, zamknięty w kokonie skał, gdzie czas się nie liczył. Zgrzyt żelaza niósł się upiornym dźwiękiem, urywał, kiedy grot podskakiwał na wypukłościach, i znów otaczał go ze wszystkich stron. A potem nagle ucichł. Kabu stracił równowagę i poleciał do przodu, rozbił nos na kamiennej przeszkodzie, starł skórę na dłoniach. Nawet nie poczuł bólu. Wciąż na nowo dotykał kamieni, szukając wejścia do prześwitu. Spod stóp stoczyła się lawina, Kabu pośliznął się, kostka przypomniawszy o niedawnym zwichnięciu.

Podciągał się na rękach, wbijał pazury w najmniejsze szczeliny, czepiał się ściany i pełzył niczym jaszczurka. Wtedy na twarzy poczuł podmuch ciepłego powietrza.

Tunel był wąski i niski, ale drobny Kabu zmieścił się w nim, kiedy odrzucił garb tłumoka i łuk. Zostawił sobie dzidę i nóż, który skryty w pochwie uciskał mu bok. Pełzył na brzuchu, a gdy korytarz zakręcił, musiał się posuwać na plecach. Było mu

niewygodnie, pot zalewał oczy, ręce i nogi drżały z wysiłku. Ciągle otaczała go nieprzenikniona czerń. Chwilami słyszał tylko łomot własnego serca, w następnym momencie bicie serca góry nakładało się z jego rytmem. Wtedy zdawało mu się, że są jednością. Zbliżał się do celu, bo hałas stawał się głośniejszy, potem się oddalał i Kabu raczej go wyczuwał, niż słyszał. Mimo to pełzył uparcie, nie dopuszczając myśli, że tunel może być ślepy.

Korytarz zwęził się, a potem niespodziewanie rozszerzył. Łoskot nasilił się, jakby ktoś walił młotem w czaszkę Kabu. Zalała go fala gorąca, a czerń rozjaśniła krwawa poświata.

Nagle stracił oparcie, bo tunel ostro opadł w dół i Kabu jechał na plecach, głową naprzód, niczym na zjeżdżali. W następnej chwili leciał w powietrzu – ślepy od czerwonego blasku, ogłuszony, zdezorientowany. Zabrakło mu tchu, bo gorące powietrze parzyło gardło i płuca. Spadł na twarde podłoże, znów coś chrupnęło mu w kostce. Całe ciało miał jakby oprószone purpurowym pudrem. Otrzepał się, ale nie mógł się wyprostować, więc pozostał na czworakach. Pionowe źrenice zwęziły się w wąskie szpareczki, rozwidlony język wysunął się z ust, a szerokie nozdrza rozdęły. Uświadomił sobie, że tunelem niegdyś płynęła krew, teraz skamieniała jak reszta bestii. Musiał naruszyć strukturę, bo podłoże zapadło się pod jego ciężarem. Na szczęście, inaczej bowiem wylądowałby w samym buzującym energią centrum.

To było serce góry, osłonięte kamienną skorupą, na przemian przygasające i rozpalające się w długim błysku czerwieni. Zafascynowany Kabu podpełzł bliżej. Prawie mimochodem podniósł dzidę, która spadła razem z nim. Zrobione z twardej hikory drzewce nie pękło, grot ciągle tkwił na miejscu. Wykorzystał ją jak laskę i wstał, nie odrywając oczu od pulsującego serca. Umysł wypełnił się obrazami, wspomnieniami, doznaniem.

...Był otoczony stadem, młody, pijany mocą... Zabijał, palił, wykorzystywał ludzi, by mu służyli. Wzniesli przeciwko niemu oręż, a on poprzysiągł zemstę...

...pożądał, nienawidził i bał się. Walczył, cierpiał, umierał,

trwał w niewoli. Poznał upokorzenie i bezsilność. Pragnął już tylko śmierci, znalazł ukojenie...

Potem nie zostało nic... Dawne uczucia zgasły, obrazy rozmyły się. Przetrwała jedynie iskra pierwotnej magii – na tyle silnej, by nie pozwolić mu ostatecznie odejść, zbyt słabej, aby mógł żyć... Kabu nie czuł żaru, nie słyszał rozrywającego czaszkę łomotu. Przyciągany niewidzialną siłą, kuszony wizjami, krok po kroku zbliżał się do zamkniętej w skamieniałym sercu mocy. Pragnął się w niej zanurzyć, posmakować, zapanować nad magią. Jednym słowem mógłby odmienić świat, jednym gestem zniszczyć go i stworzyć na nowo. Czerpałby z ziemi, powietrza, wody i ognia, władał żywiołami i wszelkim stworzeniem. Byłby niezwyciężony! Gruba, szara skóra pomarszczyła się od gorąca, oczy osłепły, krew popłynęła ze spiczastych uszu. Kamienie drżały, czerwień pulsowała w coraz szybszym rytmie. Na skorupie pokazały się pęknięcia i wąskie języki wydostały się na zewnątrz, oplatając Kabu niby pajęcza sieć.

Niespodziewanie, pośród skowytu magii gotowej opuścić swe więzienie i łoskotu spadających głązów, usłyszał cichą melodię. To była kołysanka, którą zasypiającemu Kabu śpiewała matka, a bratu nuciła Oja. Piosenka przynosząca ukojenie drzemiącej bestii. Przypomniała o uśmiechu zastygłym na twarzy Oji, zerwanej bransolecie w rączce Basiego, rozsypanych plackach, jaszczurce za koszulą Bevy, krukach nad pastwiskiem. W jednym, ostatecznym zrywie Kabu uchwycił płonące drzewce dzidy i rzucił.

Serce góry się rozpadło, pierwotna magia wylała się jak z pękniętej czary i pochłonęła Kabu. Wypełniła skamieniały szkielet, trysnęła paszczą, spłynęła niczym łzy ze ślepego oczodołu. Rozedrgana ziemia skryła w swym wnętrzu człekokształtne istoty o naturze bestii, krwawiące drzewa, łąki o purpurowych trawach, zmieniła bieg rzeki, zasypała poletka i wioskę. Smok i Waho pospołu spoczęli na pogrzebowym stosie rozpalonym przez Kabu. Przetrwała tylko legenda.

# Izabela Szolc

## I TO MINIE

**I to minie** – napis wyryty na wewnętrznej stronie pierścienia  
chińskiego cesarza.

**Mężczyźni mają żelazne serca, natomiast serca kobiet  
zrobione są z wody.**

Przysłowie chińskie



Jestem nikiem – niechcianą dziewczyną. Ponadto pochodzę z narodu Kin. Urodziłam się w wiosce, która leży na skraju rozległego imperium, a przynajmniej tak mówią o niej cesarscy posłańcy, którzy znają i początek, i koniec Państwa Nieba. Wioska ma obowiązek utrzymywać dwa łaciate konie o krótkich, ale rącznych nogach. Stanowią wypoczętą zmianę dla znużonych gońców. Edykty i polecenia cesarskie są rozwożone po całym kraju w dzień i w nocy, bez wytchnienia. Cesarz jest bardzo dumny z tego systemu imperialnej poczty. Nam – wieśniakom – pozostaje tylko ich słuchać. Nazwa "Kin" oznacza "Złoty". Podobno dawno, dawno temu przez tereny graniczne przepływała złotonośna rzeka, z której cenny kruszec wydobywali moi przodkowie. Jednakże pewnego dnia, z kaprysu bogów, koryto rzeki zmieniło bieg, a później jej wody schroniły się w piasku albo wyparowały do nieba. Naród Kin stracił źródło utrzymania, ale nazwa ludu pozostała, by wiecznie naigrawać się z nas, biedaków.

Mówią na mnie Nu. "Nu" znaczy "dziewczyna". Nie mam innego, osobistego imienia, bo nikt dotąd mi go nie nadał. Mój ojciec jest nieznany. Moją matkę mieszkańcy wioski przezywają Przekłątą. Nie przeszkadza im, że już umarła. Nienawiść, którą do niej czują, przekroczyła granicę śmierci. Prawdopodobnie moja matka jest upiorem, gdyż nie pochowano jej zgodnie z zasadami, tylko wywieziono ciało na pustynię. Nie nakarmiono jej ducha ryżowym kleikiem. Kiedy słyszę, jak zawodzi wiatr, to czasem myślę, że to duch mojej matki płacze z głodu.

Ja również nienawidzę swojej matki – martwej bądź żywej – i dlatego w Święto Wiosny, kiedy zaświaty są najbliżej ziemi, nie wystawiam dla niej miski z jadłem. Niech jej duch cierpi. Ludzie, jeżeli w ogóle odzywają się do mnie, mówią, że gdyby matka mnie kochała, to zabrałaby mnie ze sobą... Po chwili dodają, że rodzaj śmierci, jaki sobie wybrała, był karygodny, bo naraził wioskę na jeszcze większą nędzę. I plują na mnie, nie mogą bowiem dosięgnąć ducha.



Na urodziny niechcianych dziewcząt naród Kin ma swoje sposoby. Ludzie mówią: "Karmić dziewczynkę to jak karmić stado wróbli". Kiedy pojawi się żeński noworodek, bywa, że w ogóle nie pokażą go matce. Położna albo najbliższa krewna rodzącej chwyci dziewczynkę za tył głowy i zanurzy jej buzię w przygotowanym zawczasu popiele. Podobno jest to bardzo łatwe. Możliwe, że nie boli.



Znaleziono mnie przy solnej studni. Płakałam, nikt jednak nie zwracał na mnie uwagi, a kiedy wreszcie ktoś postanowił to zmienić, zdążyłam już zniknąć. Nikogo to nie zmartwiło – problemem był raczej mój powrót. Pewnego dnia zmaterializowałam się na ulicach wioski, zupełnie jakby podrzuciły mnie demony. Urodziłam się w Roku Konia (fatalna wróżba dla dziewczynki), więc tamtego dnia musiałam mieć

około siedmiu lat. Byłam jednak tak mała, że wyglądałam na pięć. Nie mówiłam, a kiedy w końcu różgi przekonały mnie do wyduszenia jakiegoś kalekiego słowa, okazało się, że nie pamiętam nic ze swojego dotychczasowego życia. Byłam naga i bardzo brudna, ale gdy zostałam wykąpana, wyszło na jaw, że niczego mi nie brakuje. Rozczesano i wymyto moje włosy, dotąd matowe i pełne robactwa. Po tym zabiegu były śliskie jak węgorz. Kiedy ktoś za nie szarpnął, żaden kosmyk nie opuścił swojego miejsca w skórze. Oznaczało to, że jestem silna i zdrowa. Wieśniacy postanowili mnie sprzedać.



Najpierw wszyscy się bali, że znowu zniknę, i dlatego często przywiązywano mnie do płotu, jakbym była krnąbrnym wieprzem. W końcu jednak wieśniakom się to znudziło i bardzo dobrze, bo od sznurka miałam na nodze owrzodzenia. Moja skóra jest delikatna. Byłam wolna, a rana mogła się goić, choć później pozostała blizna.

Ludzie unikali mnie tak bardzo, że nie znalazł się nawet ktoś w takiej potrzebie, by dać mi coś do roboty. Patrzyłam na swoje rówieśniczki, które ścinały trawę i wyrywały korzenie dla świń, a przede wszystkim opiekowały się młodszym rodzeństwem. Nosiły niemowlęta w płachtach materiału zarzuconych na plecy. Jeśli ktoś zabierał od nich dziecko, to natychmiast odrywały się od innych zajęć, aby poskakać przez sznurek. Spotkałam taką grupę bawiących się, rozchichotanych dziewczynek i chciałam się do nich przyłączyć, ale kazały mi iść precz.

Zapytałam Starca, który mnie kupił, dlaczego to zrobiły. Odpowiedział, że jestem dla nich **na guo ning**, czyli Obcą. Mojej sytuacji nie poprawiał fakt, że jestem córką Przeklętej.

**Na guo ning?** Spytałam Starca, czy będzie tak na mnie wołał, bo nie ośmieliłam się poprosić go, by nadał mi imię. Odparł, że jemu wystarczy samo Nu. Do niego miałam się zwracać **anda**, czyli wychowawca, albo po prostu nazywać go Starcem. Starzec i Dziewczynka – dobrana z nas była para.





Starzec mieszkał w Smoczach Górach, które pięły się za wioską. Wieśniacy zapuszczali się tam w ostateczności, gdy trzeba było się ukryć przed prymitywnymi najeźdźcami w labiryncie jaskiń albo poprosić Starca o pomoc. A teraz ja miałam pomagać Starcowi. I bałam się: najmniej tego, że skoro kupił sobie dziewczynkę, to będzie chciał z nią sypiać. Większy lęk czułam przed duchami, a Starzec uchodził za egzorcystę, i to najlepszego na wiele dni drogi wokół; był tak dobry w tym, co robił, że o pomoc proszono go w ostateczności, bojąc się, czego zażąda w zamian.

Starzec mawiał, że jest lekarzem i że będę pomagała mu kruszyć zioła. Uwierzyłam z pewnymi oporami, bo jeszcze w wiosce spotkałam dwóch lekarzy całkowicie się od niego różniących. Jeden wyrywał zęby żelaznymi szczypcami, drugi obijał chorego kijem, żeby wygonić z niego gorączkę. Do obu medyków ustawiała się kolejka. No i żaden nie był tak stary jak Starzec. Nosili czarny kolor mędrców, a proste szaty Starca były białe. Biały to kolor żałoby, kolor śmierci – kiepska reklama dla kogoś, kto żył z leczenia... Tamci lekarze nie podpierali się kosturem. Ich czaszki były gładko ogolone. Mój **anda** zaś miał siwą brodę tak długą, że musiał wciskać ją sobie za pas. Włosy zaś spinał w kok na czubku głowy, a kiedy je rozpuszczał, miałam wrażenie, że naszą grotę mieszkalną zalewa słony wodospad.



Solanka jest siwa. Kiedy złotonośna rzeka cofnęła się od narodu Kin, wieśniacy odkryli, że nie są tak do końca przeklęci, jak im się zdawało. Ze Smoczach Gór były słone jeziora, które później biegły w dół doliny, tyle że już głęboko pod gruntem. Wieśniacy natknęli się na nie, szukając jeziorów zagubionej złotonośnej rzeki. Nauczyli się kopać studnie (jak już wspominałam, Smocze Góry były dla nich niedostępne) i wydobywać słoną wodę. Wlewają ją do naczyń, które później stawiają na rozgrzane paleniska: woda paruje, a sól osadza się na

dnie i ścianach garnków. Topki soli kupuje od narodu Kin sam cesarz.



Cesarz nie może mieć żadnych wad, bo jest Synem Niebiańskiego Smoka. Ma jednak swoje słabości – na przykład jest strasznie łakomy na preparowane kacze jaja. Świeże jajka wkłada się do słoï z wapnem i solą, a później zakopuje. Po wielu tygodniach wapno i sól przesiakają przez skorupy. Białko twardnieje i zielenieje, żółtka czernieją. Dla cesarza nie ma większego przysmaku niż te czarne żółtka. Według cesarskiego kucharza na ich specyficzny smak ma wpływ nasza sól.

Moją matkę ludzie Kin nazywają Przekłętą i głodzą jej ducha, ponieważ popełniła samobójstwo, dusząc się w studni z solanką. Słona woda utrzymywała jej ciało na powierzchni, ale to jedno konkretne źródło było już zbrukane gorzką śmiercią. Matka naraziła wioskę na znaczne finansowe straty. Mieszkańcy milczeli o okolicznościach jej śmierci i tylko dlatego ominął ich cesarski gniew.



Nigdy dotąd nie widziałam cesarza, ale to normalne. Nawet ludzie z jego najbliższego otoczenia mają z tym pewien kłopot – kiedy usłyszą szelest szat cesarza, od razu padają na twarz, aby oddać Smokowi wcielonemu we władcę głęboki pokłon. Trudno sobie wyobrazić to wszystko, chociaż Starzec twierdzi, że mam bujną fantazję. Niemniej on – w przeciwieństwie do innych – nie uważa tego za wadę. Sam marzy, ale ponieważ jego myśli sztywnieją ze względu na zaawansowany wiek, do przywołania wyobraźni używa opium. Ma do niego słabość tak wielką, jak cesarz do kaczych jaj. Pierwszą czynnością, której mnie uczy i której ode mnie zawsze wymaga, jest nabijanie fajki. Bez końca ugniatam kleiste kulki opium; fajkę przetykam długim szpikulcem z kości słoniowej, jeśli się zapcha. Wtedy napełniam ją i od razu podaję mojemu zniecierpliwionemu **anda**.

Kiedyś pochyliłam się nad nim z kolejną fajką – jego oczy były już całkiem czarne, jakby narkotyk rozlał mu źrenice. Leżący Starzec nagle schwycił mnie i pociągnął. Byłam chyba gotowa na wszystko, ale on tylko wskazał pieprzyk na mojej twarzy.

– Czarne znamię na policzku ciągnie człowieka do przodu – powiedział.

Wiedziałam, że podobne mam na karku, i pokazałam mu, ale już się nie odezwał. Czyżby tamten ciągnął w tył? To chyba jeden z drugim się równoważą?

Zapytałam Starca, czy dużo za mnie zapłacił, a on od razu odparł, że nie. Zapytałam: czy to dlatego, że nie ma ze mnie pożytku? Czy to dlatego, że moja matka jest Przeklętą?

– Nie. Twoją jedyną wadą jest to, że jesteś dziewczynką.

– To dlaczego zapłaciłeś za mnie tak mało? Dlaczego nie powiedziałeś o "pieprzyku, który ciągnie do przodu"? – Bo wtedy zapłaciłbym więcej. – Roześmiał się.

– Ale i w oczach innych byłabym więcej warta. Czy to dla ciebie źle, czy dobrze, skoro jestem twoją własnością, **anda**?

– Cudze oczy mnie nie interesują. A wioska Kin to wioska skąpców i pazernych miernot.

– **Szy** – odpowiedziałam. – Tak.

Wtedy po raz pierwszy śmialiśmy się razem.



Nigdy dotąd nie widziałam cesarza, ale jakimś boskim cudem spotkałam jego córkę. Dokładniej jedną z jego córek, bo cesarz może pozwolić sobie na utrzymywanie wielu niepotrzebnych dziewczynek. Trasa jej orszaku prowadziła przez naszą wioskę. Nim się pojawił, usłyszeliśmy odgłos trąb, a wiatr niósł zapach kadzidła. Wiedzieliśmy, że nie zatrzyma się w wiosce Kin. Dla cesarzówny byliśmy jeszcze mniej realni niż duchy. Jej szkarłatny palankin płynął pomiędzy domami, a wszyscy wieśniacy moczyli twarze w błocie, by oddać jej cześć. Wtedy już od dawna mieszkałam ze Starcem i starałam się w niczym nie

naśladować tubylców. Ukryłam się za węglem, na ścieżce przejazdu, i patrzyłam. Cesarzównę dopadła potrzeba i orszak się zatrzymał, aby mogła oddać mocz. Podano jej złoty nocnik, a kiedy na moment uniesiono woal lektyki, aż się spociłam, wyteżając wzrok. Tyle wysiłku, żeby zobaczyć, jak inna dziewczynka załatwia "te sprawy"! Starzec śmiałyby się ze mnie czy raczej zrozumiał? Wieczorem opowiedziałam mu o czerwonej skarpecie cesarzówny, którą ujrzałam w wąskiej smudze słonecznego światła. Była haftowana w smoki, a każdy z nich trzymał w pysku idealnie okrągłą perłę. **Anda** skarcił moją ciekawość i pouczył, że to bardzo niebezpieczne, kiedy zwykły człowiek wystawia się na towarzystwo Córki Smoka. Może wtedy stracić swoją największą zaletę, czyli przeciętność.



– Pomożesz mi je przygotowywać. Po to cię kupilem – powiedział Starzec, wskazując na rząd flakonów i puzder stojących na omszałej półce w głębi jaskini.

Były pośród nich ziele sadzca i olejek z bukwicy, oczyszczający drogi oddechowe, cynobrowa maść na oparzenia, a także Pigułki Harmonii i Tabletki Dobre Na Wszystko. Oraz Napój Trzech Nieśmiertelnych, ułatwiający trawienie.

– I musisz częściej się kąpać, bo śmierdzisz. Jesteś jeszcze małą dziewczynką, ale jednak śmierdzisz. Na starość – dotknął nosa –

węch bardzo się wyostrza. – **Szy** – zgodziłam się. Sama nie wiem dokładnie z czym.

– I musisz się jakoś nazywać.

– Wszyscy mówią na mnie Nu – zaprotestowałam.

– Samo Nu tutaj nie wystarczy. Co powiesz na...

Czekałam, on tymczasem intensywnie skubał swoją brew, aż zląkłam się, że niechcący wyrwie swój siwy włos długowieczności. – Od dziś, dziewczyno, nazywasz się Gink -go. – Gink -go? – To znaczy Srebrna Morela.



Kiedy Starzec miał pójść na wiejski pogrzeb, zamknął mnie w drewnianej komórce.

– Chcę iść z tobą! – zaprotestowałam przenikliwym głosem dziecka; nie wiedziałam, że jeszcze go mam.

Starzec też się zdumiał, że potrafiłam wydobyć z krtani taki pisk, i uderzył mnie w twarz, po raz pierwszy i ostatni w naszym wspólnym życiu. A później pogłaskał mnie po rozpalonym policzku, również ten jeden jedyny raz.

– Jesteś krnąbrna. Masz to w kościach.

– Nie rozumiem. – Zasepiłam się.

– To dokładnie znaczy, że masz krnąbrny charakter – wyjaśnił i zatrasnął mnie w komórce.

Słyszałam bębny, które miały uchronić Zmarłego przed atakiem demonów w drodze do żółtych źródeł. Czułam zapach srebrnego papieru palonego na niebiańską łąpówkę. Pianie koguta, którego przywiązano do wieka trumny, aby dusza mogła wejść w ptaka i odlecieć... Nigdy tego nie potrafiłam pojąć, bo żaden wiejski kogut, którego znałam, nie latał.

Rozmyślałam o Końcu Świata, gdzie idą źli ludzie. Trafiają do bezdennej przepaści, w której nikt ich nie odnajdzie ani oni nie zdołają odnaleźć siebie. Snują się tylko, bardziej niż martwi, z pozlepianymi krwią włosami długimi do samej ziemi.

Bawiłam się myślą o ogromnych pałacach, z wielką liczbą pustych komnat, gdzie służący eunuchowie krzyczą, nim popchną czy przesuną drzwi, by nie stanąć twarzą w twarz z zaskoczonym duchem i nie stać się ofiarą jego okrutnej zemsty.

Czekałam, a drzwi komórki pozostawały zatrzęsnięte, więc sama czułam się jak zjawka, która szepcze: "To minie, to minie". W końcu Starzec wrócił, bo tak obiecał.

Przyniósł ze sobą owiniętą w papier monetę (na szczęście), cukierek (aby pozbyć się gorzkiego smaku śmierci) oraz wilgotny ręcznik, którym oczyścił ciało. Przyprowadził też białego psa, a

moja fantazja natychmiast podsunęła obraz piekielnych ogarów, które Zmarły mógł zjednać kulkami ryżowymi albo przegnać kijem. Mój **anda** miał taki kij.



Białemu psu ktoś niedawno usunął język i wciąż miał brodę poplamioną krwią. Starzec obwiązał mu łeb szmatą. Skrępował łapy i za tylne zawiesił na młodym, ale mocnym drzewie. Zbił go grubym kijem, a na koniec dobił mocnym uderzeniem w głowę. Tak ludzie Kin zabijali psy. Z radością przyjąłem miskę z parującym mięsem, które jest dla nas największym przysmakiem. Ten luksusowy dar oznaczał, że Starzec zaakceptował mnie ostatecznie. Byłam nasycona i wdzięczna.

Tymczasem dotarła do nas wiadomość, że żałobnicy musieli nie dopełnić jakiegoś rytuału, bo Zmarły wrócił do wioski.



– To przez te dwie perły, których nie włożyłaś mu pod policzki! – Dał mi je, nim wydał ostatnie tchnienie. Powiedział, żebym oprawiła je w kolczyki!

To kłóciły się ze sobą kobiety Zmarłego. Za życia był najbogatszym wieśniakiem w wiosce Kin. Miał wóz z wołami i całe stado tłustych, czarnych świń. Stać go było na cztery żony i drugie tyle konkubin. Teraz wszyscy – zarówno zwierzęta, jak i kobiety – byli przerażeni. Zmarły kręcił się z pobladłą twarzą po obejściu. Wyrzucał żony z łóżek i tłukł ich bezcenną porcelaną o ściany. Hałasował, zaproszył ogień, sprowadził czerwone czerwce do zapasów ryżu. Usiadł na piersi najmłodszemu synowi, który leżał w kołysce, i chłopiec już więcej nie otworzył oczu.

– To nie przez kolczyki – orzekł Starzec. – Może Szanowny Zmarły o czymś zapomniał? A może Szanowny Zmarły jest głodny? Nakarmienie ducha wydawało się sprawą najprostszą. Wysłuchawszy wskazówek Starca, ugotowałam gar owsianki, a każdy członek rodziny bądź lokator musiał w nim zamieszać

chochłą. Później, zgodnie z rytuałem **sa pai jer**, domownicy rozbiegli się nocą, z gorącym pokarmem, by porozstawiać pełne naczynia na drogach i w okolicy cmentarza. Duchy miały się posilić tym pokarmem umarłych. To jednak nie pomogło.

– Co Szanowny Zmarły kochał najbardziej? – zapytał Starzec, czym wywołał kolejną awanturę.

**Anda** oznajmił, że wróci dalej egzorcyzmować, kiedy kobiety dojdą ze sobą do ładu. A przy okazji niech pobielą wapnem ściany i zmyją podłogi... Mnie wytłumaczył, co jest widowym znakiem, że śmierć stoi już za progiem: kiedy uszy chorego stają się miękkie i zaczynają ciasno przylegać do głowy, na wszelkie leczenie jest już za późno.

Co jednak począć, kiedy śmierć na dobre zadomowiła się w obejściu?

Najmłodsza Żona poroniła, kiedy znalazła poduszone w kurniku ptactwo. Na ocalałych jajkach wyskoczyły czarne plamy zarazy. Jedyną kobietą, która spodziewała się jeszcze pogrobowca Szanownego Zmarłego, była dwunastoletnia konkubina – Starzec radził jej, żeby wróciła do matki, ale ona nie chciała.

– Póki nie ustalimy pragnień ducha, Zmarły nie odejdzie. – Nigdy nie miał dość pieniędzy...

– Objadał się ryżem jak wieprz!

– Sam był rozpustnym wieprzem i kobiet mu było za mało!

– Kochał moje stopy – powiedziała Mała Konkubina, siadając na taborecie i wyciągając swoje idealne lotosy przed oczy nas wszystkich.

Należała do narodu Han i w dzieciństwo skrępowano jej nogi ciasnymi bandażami, by kości gruchotały się przy każdym kroku, aż przyjmą formę boskiego kwiatu.

– Nic go tak nie pobudzało jak widok moich czerwonych pantofelków kontrastujących z bielą skóry – dodała i zamachała nogami, które drgały jak odnóża owada. – Był dumny z mojej techniki miłosnej.

Starzec bardzo uprzejmie poprosił o jeden czerwony pantofel. Podziękował uniżenie, kiedy bucik znalazł się w jego dłoni, przy nim dziwnie wielkiej i topornej.

Egzorcysta wrzucił pantofelek do dzbana, w jakim zwykle trzyma się oliwę.

– Duchu, duchu, mam tu coś dla ciebie – powiedział.

Zastanawiałam się, czy to wystarczy i czy nie trzeba będzie konkubinie uciąć nogi.

Płomienie świec przygasły i pochyliły się, a oliwny garniec zadygotał, jakby do środka wskoczyło jakieś zwierzę.

– Łaaa! – ryknął **anda**.

– Łaaa! – krzyknęłyśmy wszystkie.

Starzec nakrył otwór dzbana odpowiednim talerzem i zalał parafiną, zupełnie jakby miał do czynienia z marynowanymi kaczymi jajami, a nie Czcigodnym Zmarłym.

– Nie stłuc, bo ucieknie – powiedział do konkubiny.

– Ale ja chcę z powrotem mój pantofelek – pisnęła.

– Bądź cicho, bo inaczej tak cię obijemy, że poronisz – zagroziła Pierwsza Żona. – Starcze. – Odwróciła się w naszą stronę. – Nie chcemy tutaj tego dzbana.

– Sprzedajcie go więc. – **Anda** pokłonił się i wyszedł. Pobiełam za nim.

– Wolę już nastawiać kości – westchnął.

Tak rzeczywiście było. Wszelkie dolegliwości typu "kości piekące", "gorączka rąk", "skwaszone stawy", "noga jak wąż" Starzec leczył z zamkniętymi oczami.

Próbowałam rozpalić ogień pod paleniskiem, kiedy Starzec pojawił się w wejściu do groty. Stał tam nieruchomo przez kilka chwil. Nie widziałam wyrazu jego oczu – było zbyt ciemno.

– Chcę cię uczyć, Nu. Chcę być twoim **po -szi**. Czcigodnym



Nauczycielem. Odłóż te drwa i powtarzaj za mną: pięć rzeczy, które cenimy najbardziej to: Niebiosa, Ziemia, cesarz, rodzice i nauczyciele...



Nauczyłam się, że:

Pięć pierwiastków, z których składa się świat materialny, to: metal, drewno, woda, ogień, ziemia.

Wspomnienia życia mają dla ludzi pięć smaków: słodki, kwaśny, gorzki, ostry, słony.

Rzeczy, które czynią ziemię zamieszkaną, to: wschód słońca, zachód słońca, upał, zimno, kurz i upał, kurz i wiatr, kurz i deszcz.

Rzeczy, które budzą strach: szybkie kroki w nocy, odgłos powolnego rozdzierania tkaniny, szczekanie psa, milczenie świerszczy.

– Trzy najważniejsze potęgi to: Niebiosa, Ziemia i Człowiek. Trzy wielkie źródła Światła to: Słońce, Księżyc i Gwiazdy – recytowałam, robiąc porządek na półce.

Tymczasem Starzec przyniósł mi świeże płócienne ubranie. Białe. Biel to kolor śmierci. Biel to kolor pecha. Kolor nieszczęścia. – Po kim mam nosić żałobę? – zapytałam.

– Może po samej sobie?

– Nie chcę – odpowiedziałam, choć byłam już posłusznie przebrana.

– Gink -go, musisz nosić kolor swojego **po -szi**, a moim kolorem jest biel. Biel biała jak kość.

– Bo jesteś nastawiaczem gnatów? Bo jesteś mędrcom, prawda? A mędracy przyjaźnią się ze śmiercią.

– Jeśli chcesz w to wierzyć, Nu. – Poprawił mi kosmyk warkocza. – Kości rzeczywiście są białe, a odpowiednio przyrządzony eliksir ze smoczycz kości potrafi uleczyć każdy ból, z wyjątkiem bólu smutnego serca.

– Masz coś takiego? – Powiodłam wzrokiem po półkach.

– Tak. Ale ten eliksir jest bardzo drogi, droższy od hałdy soli. Choć dla wielu i tak pozostanie bezwartościowy.

– **Po -szi**, widziałeś kiedyś smoka?

– Chyba tak – odpowiedział.

– A jak wyglądał?

– Był biały.

– A gdzie to było?

– Tutaj. Na tej płaskiej skale.



Wciąż bałam się burzy. Kiedy przetaczała się nad górami, gdy pioruny spacerowały po ich szczytach, chowałam głowę pod ciepłym kocem przeplatany sierścią psa. Mistrza chyba to irytowało, o ile oczywiście istniało cokolwiek, co mogło go zirytować. Natychmiast ściągał ze mnie derkę.

– Mistrzu Biały, Mistrzu Biały... – błagałam o spokój. – Bóg Piorun karze leniwe smoki.

– Nie ma leniwych smoków.

– Tygrysy rządzą wiatrem. Smoki wodą. Mądry człowiek nie wchodzi pomiędzy jednych i drugich – przymilałam się, kiedy nie zważając na wichurę, ordynował ćwiczenia na wolnym powietrzu.

– Walcz!

Nasze kije uderzały o siebie tak gwałtownie, że ich dudniące spotkania brały górę nad szumem ulewy. Ustupując przed ciosem, oparłam stopę o mokry kamień i przewróciłam się.

– Masz więcej urody niż umiejętności i więcej odwagi niż sił

życiowych – powiedział Starzec. – Ale czy nie jest tak ze wszystkimi dziewczętami?

Mimo to nie przestawał mnie uczyć. A nawet sprawił mi łuk (zgubiłam go bardzo szybko) z uchwytem z laki i podarował pęk strzał, które notorycznie słałam w chmury. Jednego mi odmówił: umiejętności spoglądania w przeznaczenie. Nie potrafiłam czytać ze słoików drewna, a wola łopatką pozostawała dla mnie tylko wola łopatką, a nie wróżebnym narzędziem Bogów Losu.



Starzec medytował, obserwując niebo. Kiedy podeszłam cichutko, nie chcąc przeszkadzać, odwrócił się i pociągnął za mój biały rękaw.

– Chodź. – Wskazał ścieżkę biegnącą w dół, do wioski.

– Po co?

– Srebrna Morelo, będziemy ratować świat.

– Ale przed kim?

– Oczywiście, że przed żabą. I może jeszcze przed ciemnością. Zakołatał do każdej chaty, wygarnął wieśniaków na zewnątrz i nakazał im zabrać ze sobą wszystkie metalowe naczynia. – Patrzcie – uniósł głowę ku niebu, które chwilę wcześniej wyglądało tak samo jak zawsze, a teraz błyskawicznie zaczynało ciemnieć. – Wielka Żaba chce pożreć Słońce. Musimy ją odstraszyć. Róbcie hałas! Róbcie hałas!

Nie wiadomo było, czy to wściekle brzęczący i jazgoczący tłum zagłuszył okoliczne ptaki, czy też one same umilkły, widząc zapadający mrok pośrodku dnia. Pokrywki biły o pokrywki, chochle o denka.

Kiedy Wielka Żaba wypłuła Słońce i uciekła, w swej radości ja i Starzec poczuliśmy się niezbywalną częścią wioski. Ale trwało to tylko jedno uderzenie serca i znów wszystko wróciło na swoje miejsce. My do groty, ludzie do domów, gwiazdy na firmament, a kumaki do stawów.



Pewnego dnia po przebudzeniu znalazłam na macie plamę krwi. Starzec dał mi gorzkie zioła, by złagodziły skurcze, i szmaty na opatrunek, po czym oznajmił, że to krwawienie będzie się powtarzało co miesiąc.

– Ćwicz teraz ostrożniej, Nu – powiedział i po chwili dodał: – Jeszcze tego nie widzisz, nie wiesz, ale masz u nogi czerwoną nitkę, łączącą cię z tym, którego poślubisz. On żyje gdzieś na drugim końcu tej nici. W tamtej godzinie poczułam, że coś się zmieniło, nie tylko we mnie, ale wokoło. To dlatego ośmieliłam się zapytać:

– Miałaś żonę, **po -szi?**

– Nie.

– A konkubinę?

– Nie.

Ucieszyłam się z jego odpowiedzi, a w nocy miałam wizję, że jest moim nieznanym ojcem. Że Przekłęta znalazła w sobie tyle odwagi, by przyjść do stóp Smoczej Góry i dać się zapłodnić siwowłosemu mężczyźnie o mądrej głowie.

Przez kolejne tygodnie śniły mi się koszmary. Ten najbardziej uporczywy i wciąż powracający dotyczył historii, którą opowiedziała mi jedna z dziewczynek w naszej wiosce. Wybrała się z matką do ogromnej świątyni, w której był dzwon, oblepiony od wewnątrz pasmami czarnych kobiecych włosów.

"W przyszłym świecie – mówił kapłan tamtej świątyni – wszystkie kobiety, które kiedyś rodziły, będą po czubki głów zanurzone w morzu krwi. W morzu, jakie zebrało się z ich porodów, poronień i miesiączek. Dzwon taki jak ten miał ulżyć umarłym kobietom. Zwłokom obcinano pukiel włosów i odrobiną syropu ryżowego przyklejano go do brązu. Po każdym uderzeniu tego dzwonu jedna kobieta mogła się wynurzyć z czerwieni i zaczerpnąć tchu na ułamek wieczności". "Jak zatem uniknąć tej krwawej łaźni?"

"Urodzić syna, żeby w każdą rocznicę śmierci matki składał

ofiary duchom podziemi".

"A... córka?"

"Córka nie jest obdarowana taką błogosławioną mocą przebłagiwania demonów".

"Co z kobietami bezdzietnymi?"

"Te po śmierci przestają istnieć".

– Chciałabym nie istnieć – powiedziałam tej dziewczynce.

Rozmyślałam o własnej matce, o tym, że ona też wciąż tonie w Podziemiach. Tyle że jej morze nie jest złożone z krwi, lecz z solanki. Nie ma żadnego serca dzwonu, które mogłoby wydobyć ją na powierzchnię.



Starcowi skończyły się zasydzone koniki morskie. Były niezbędne dla wielu ważnych mikstur, więc wyruszyliśmy na targ. Jako osoba "dorosła" mogłam mu już towarzyszyć. Co ciekawe, choć strasznie cieszyłam się na myśl o tej wyprawie, mój nauczyciel i tak próbował kupić moje towarzystwo, obiecując mi księżycowe ciasteczka, kostki tofu, żabie udka na patyku...

Nigdy nie widziałam tylu ludzi w jednym miejscu. Byli pośród nich zarówno żonglerzy, akrobaci, sprzedawcy lampionów, jak i oszuści czekający na hazardystów oraz zwyczajni złodzieje czekający na wszystkich. Pośród tych kolorów, obcych pieśni i atakujących zapachów poczułam się jak zwykła wieśniaczka w tanich spodniach. Starzec udał się na Ulicę Aptekarzy, a ja – harda i ciekawska – skręciłam na targ ptaków. Obejrzałam cesarskie Kanarki

O Złoty Gardłach i zwyczajny drób wiszący na żerdziach łebkami w dół. W jednej z klatek to, co wzięłam za puchatego kota, okazało się śnieżnobiałą sową, o której mówiono, że umiejętnie ubłagana spełnia dziewczęce życzenia. Ja nie miałam życzeń aż do tego dnia.

– Kim ty jesteś? – spytałam ptaka w klatce.

– Miau – miauknęła sowa przyjacielsko.

Stało się: byłam zakochana.



Duch Białej Sowy nie opuszczał mnie we dnie i w nocy; było to jedyne pragnienie na tyle silne, abym była go w pełni świadoma. W końcu pomogłam pewnej wieśniaczce spędzić płód (czego Starzec nie pochwalał, przynajmniej dopóki nie było wiadomo, czy na świat gotuje się chłopiec, czy niepotrzebna dziewczynka), a ona dała mi w zamian papierowy pieniądz. Jeden z tych, które cesarz reformator wprowadził do obiegu, by zastąpić srebrne sztabki. Pokłoniłam się, a kiedy noc miała ustąpić miejsca brzaskowi, byłam już przygotowana do podróży na targ. Chciałam Białej Sowy!

Zamiast ptaka na pustym jeszcze trakcie spotkałam Bandę Trzynastego Brata, która mnie obija kijami, założyła knebel, a później obraziła swymi skurczonymi wróblami o kędzierzawym pierzu. – Ona należy do mnie – oznajmił Trzynasty Brat, a jego rozbójnicy odstąpili, robiąc mu miejsce.

– Trzynasty Bracie, pozwól mi ze sobą zostać – powiedziałam, kiedy chował swoje mokre prące do spodni i zrozumiałam, że nie zamierza mnie zabić.

Rozbójnik się roześmiał (kilka miesięcy później jego roześmianą głowę cesarscy żołnierze obnosili zatkniętą na pice). – To nie będzie możliwe, dziewczyno.

Na granatowym niebie, które za parę chwil miało zjaśnić od wschodu, pojawiła się spadająca gwiazda. Starzec przestrzegwał mnie, że są to w rzeczywistości topniejące ciała duchów, a ich widok zwiastuje nieszczęście.

Szarpnęłam Trzynastego Brata za szarą, pobrudzoną trawą nogawkę, bo wszyscy mówili, że kiedy pomyśli się życzenie w obliczu spadającej gwiazdy, ono z pewnością będzie spełnione. – O czym marzę? O stroju dworskim i lektyce wyściełanej na

zielono – przyznał szczerze, a jego twarz przybrała dziwny dziecięcy grymas.

Otrzymałam kolejną nauczkę, zwlokłam się i ruszyłam na targowisko.

Oczywiście białą Orlą Sowę o gardziołku kota kupił już ktoś inny.



Wezwano nas do starej kobiety, o której wieś wiedziała, że pod ciężarem wieku zaczęła się brudzić, a do swoich prawnuków zwracać imionami martwych braci i sióstr.

– Zaniepokoiłiśmy się nie na żarty, kiedy Szanowna Babcia przestała robić pod siebie, a postanowiła milczeć – tymi słowami powitał nas wnuk.

Mój **po -szi** pochylił się nad nagimi stopami obłożnie chorej i dokładnie je obwąchał. Kiedy zakończył oględziny, jego wzrok mówił wyraźnie: "Nic tu po nas". Ale to, co było w oczach, nie zostało wypowiedziane. Ludzie Kin najbardziej na świecie cenią swoich starców i każda ich śmierć (śmierć wiedzy, śmierć wspomnień) sprowadza na rodziny głęboką żałobę.

– Szanowna Babcia – rzekł Starzec – ma zimne wiatry, a jej puls jest jak prąd zimowego strumienia. Musicie karmić ją ciepłymi potrawami. Musicie dawać jej gorzki melon z sosem z czarnej fasoli, aby wzmocnić jej serce.

– Tak, **po -szi**. Jak radzisz. Dla Szanownej Babci zrobimy wszystko, co trzeba.

– Wszystko w tym przypadku znaczy już bardzo niewiele – mruknął Starzec, kiedy wracaliśmy.

Zastanawiałam się, jak bardzo on sam jest stary. Nie byłam doskonałym lekarzem, jednak na tyle dobrym, by się zorientować, że czasem jego dłonie i nogi puchną, jakby krew miała trudności z trafieniem do serca. Ta obserwacja przeraziła mnie, a następnego poranka własnoręcznie uwarzyłam mu rosół z łapek kurcząt, z dodatkiem mojej krwi.

– Powinnaś się oszczędzać – powiedział, kiedy opróżnił miskę.  
– W twoim stanie nie możesz sobie pozwolić na rozrzutność, Nu.  
Zrozumiałam, że on wie, że jestem w ciąży za sprawą Trzynastego Brata, choć ja sama wtedy jeszcze nie byłam tego pewna.



Moją córkę urodziłam piętnastego dnia siódmego Księżyca. W tę jedyną noc, podczas której wszystkim duchom wolno swobodnie chodzić po ziemi. Już sam czas narodzin był tragiczną wróżbą. Płeć noworodka była drugą sprawą. Nie sprawdzałam nawet, czy dziewczynka odziedziczyła po mnie pieprzyk. Zawczasu przygotowałam skrzynkę z popiołem i zrobiłam to, co powinnam. "Idź do Babci, dziecko. Idź do swojej Babci i pociesz ją. Bo mnie pocieszyć już nic nie zdoła".

Rodziłam pod gołym niebem, a kiedy wróciłam do grotty, zobaczyłam, że starzec właśnie się obudził. Ostatnio spał coraz dłużej i przeczuwałam, że jego ciało powoli szykowało się do wiecznego bezruchu.

– Trzeba było mnie zawołać. Pomógłbym ci, Nu – westchnął. – Nie ośmieliłabym się przerywać twego snu, Starcze. – Skłoniłam się.

– Szkoda, Nu. Zapal kaganek i połóż się, to zobaczę, czy trzeba szyc.

– Dziękuję, **po -szi** – rzekłam i poszłam krzesać ogień.



To nie był dobry rok. Ale który Rok Kłótniwego Koguta jest dobry? Trzeba było czekać na Ognistego Psa.

Nad polami przeleciała szarańcza i cesarz musiał wypłacić poddanym zapomogi. Później przyszła epidemia stawowej gorączki i mieliśmy ze Starcem pełne ręce roboty, aż w końcu nam samym popuchły palce i kolana. Czara goryczy przelała się ostatecznie, kiedy wraz z gońcami nadbiegła informacja, że



hordy barbarzyńców posuwają się w stronę Cesarstwa. Pan Niebios i Syn Smoka obiecał wznieść na granicy Wielki Mur, by odgradzał Państwo Środka od najeźdźców, ale swych planów jeszcze nie zrealizował. Wieśniacy się bali, a najbardziej solarze Kin, bo wieś leżała na samym skraju Cesarstwa. Nasi dziadowie budowali labirynty tuneli w Smoczycach Górach, lecz wtedy były one niezamieszkane i bezpieczne. Teraz tylko my – Starzec wraz z uczennicą Gink -go – i nasza magia łupek do krępowania kończyn broniliśmy przed wieśniakami tego kamiennego plastra miodu. Starzec przeczuwał, że pewnej nocy najodważniejsi mogą przyjść pod Usta Góry i zgładzić nas, aby kryjówka znowu stanęła przed nimi otworem. – Niewdzięczne świnie!

– Czy możesz im się dziwić, Gink -go? – zapytał Starzec. Mogłam, a to wyraźnie odróżniało mnie od reszty. – Będziemy musieli im pomóc – oznajmił. – Ale jak, **po -szi**? Jak?! Jesteś już taki słaby i... stary. Roześmiał się, a później rozkaszłał.



Barbarzyńscy zwiadowcy napadli na karawanę solną. Zabrali drogocenny biały plon, zabrali ścięte głowy Kin. Krąg się zaciskał, a Starzec gorączkował.

– Musimy stąd uciekać, **po -szi**!

– Wiesz, że nie dam rady. Zresztą Biały Smok, któremu służę, nigdy by mi tego nie wybaczył.

– Nie ma tu żadnego Smoka! Tylko chory starzec i dziewczyna! – Gink -go... – złapał oddech w obolałe płuca. – Nie tego cię uczyłem, Córko.



Kiedy wiatr znad Kin oprócz drobiny soli zaczął nieść odór barbarzyńców, odzianych w futra i pojonych skwaśniałym mlekiem karłowatych klaczy, Starzec przywołał mnie do siebie.

– Gink -go, oto maść zawierająca pył ze Smoczycach Zębów.

Mój najcenniejszy dar: **liung tse**. – Podał mi słój. – Twój Los upomniał się o ciebie, dziewczyno. Musisz wspiąć się na szczyt góry i wetrzeć grudę mazidla w pieprzyk, który nosisz na karku... Później zejdziesz dowioski i poprowadzisz ludzi, tak jak ja poprowadziłem ich na Łakomą Zabę.

– I ocalę świat?

Milczał.

– Dobrze, **po -szi**. Zrobię, jak mówisz.

Przygotowałam się do drogi.

– Niech Kuang Kung, Bóg Wojny i Literatury będzie z tobą – rzekł cichym głosem ze swojej maty.



Weszłam na główny szczyt Smoczyc Górn. Z całkowitym spokojem otwarłam słój i zrobiłam, co kazał **po -szi**. Nagle język stanął mi w ustach kołkiem. Opadłam na kolana, nie czułam wymiocin, choć ich kałuża rozciągała się przede mną. Smaki życia ode mnie odeszły, a kiedy podniosłam się na miękkich nogach, zobaczyłam tego, którego obudziła i przyciągnęła moja jałowość.

Był biały, bo całe jego ciało składało się jedynie z nagich kości. Bielą lśniły sownie pióra, które puchatą kryzą otulały jego kręgi szyjne. Na grzbiecie wielkim jak pałac nosił purpurowe siodło dla jeźdźca. Popatrzył na mnie – w jego oczodołach tkwiły dwa matowe, oszronione kamyki. Pokazał kły: jeden z zębów był ukruszony. Pusta, ażurowa paszcza wołała wprost do mego serca: "Nakarm mnie, jestem twoim głodnym duchem". Posłuchałam, wiedząc, że nie liczy na owsiankę. Czekał na krew.

Później cesarscy skrybowie zapisali taką historię:

**Skoro solarze Kin usłyszeli syczenie Białego Smoka, nie zwlekali wcale, lecz natychmiast rzucili się na barbarzyńców i ich małe koniki. Niebo się rozwarło i spadł grad, ale lodowe**

kacze jaja omijały swoich by uderzać w obce głowy ukryte pod futrem. Działo się tak z nakazu Smoka, który latał nad polem i ział straszliwie, aż z ognia i lodu podniosła się głęboka mgła, która zdezorientowała tylko obcych. Lud Kin słuchał bowiem poleceń Srebrnej Moreli, która dosiadała obudzonego Smoka, i widziała wszystko dokładnie co i jak, z wysokości chmur. A towarzyszył jej magiczny łuk, który sam siekł strzałami w nieprzyjaciół, a każda strzała nasączona była smoczym jadem i nawet draśnięty tylko grotem, śmierci nie umknął. A towarzyszył Gink -go magiczny kij, który rozdawał celne ciosy i przewodził armii ożywionych drewnianych łupków, równie bezbłędnych w uderzeniu. A im wszystkim towarzyszyły zastępy magicznych mieczy, oręża, które nie potrzebowało sprawnej dłoni, aby walczyć. I było przede wszystkim z nimi Przekleństwo Białego Smoka, który nasycony chciał wrócić do skały i ciszy.

I widziałeś licznych mężów martwo padających na ziemię i liczne konie, też martwe. Wrzała walka tak okrutna i sroga, że litość brała patrzeć; tyle że Smoki i wojowniczkami litości nie znają, bo ich życiu Bogowie odebrali smaki, tak, że tylko krew mogą rozpoznać. A krwi było wiele. Jakby wylała Czerwona Rzeka; stąpać inaczej nie można było jak po trupach. Zaprawdę w złą godzinę tę bitwę rozpoczęto, gdyż wiele niewiast wdowami zostało, a wiele dzieci sierotami. Tak jest kiedy Smok i Kłótniwy Kogut zawierają przymierze, a wiedźma Gink -go będzie im powozić. Jeno wcześniej okazało się, że barbarzyńcy dobrze Cesarstwu nie życzą wcale, że wrogami się okazują dla nas śmiertelnymi. Tak zapisano. Trzeba więc chwalić Srebrną Morelę na Białym Smoku, że takich cudów dokonywali w bitwie. Aż szaty i ziemia i smocze kości straciły barwę pod krwią. Gink -go cudów odwagi dokonała i jeszcze ludzi gorąco zagrzewała, nawet wtedy, gdy do krojenia pozostały jedynie trupy. Nie zdawała się być człowiekiem, lecz piorunem i burzą. I to w końcu Smok powstrzymał ją przed dalszą rzezią, której musiałaby już dokonywać na swoich; a ona nazwała Go leniwym, tak, że obraził się i zrzucił ją z grzbietu, aż zadudniło. Ale bitwa Kin

z barbarzyńcami była wygrana, a Gink -go przeżyła, Smok znikł we mgle nad górami, a Rok Koguta miał się ku końcowi. Com zapisał na chwałę Cesarza. Ja – pokorny sługa<sup>2</sup>



Kiedy wróciłam z pobojuwiska, coś powstrzymało mnie przed prędkim wejściem do groty. Był to zapach. Inny od woni krwi, którą niosłam na ciele. Zapach słodko -mdlący i senny. Zapach ledwie uchwytny, bo szybko wchłaniany przez krystaliczne powietrze z gór.

Starzec był martwy. Uklękałam przy jego ciele, które już ostygło. Zesztywnienie zwłok zdążyło nieco zelżeć, więc w łagodny sposób mogłam zamknąć powieki trupa i zatrzaskać szczękę. Zamknąć pustkę w rozpadzie.

– Do widzenia, serce i wątrobo mojego istnienia – ośmieliłam się wyznać mu miłość. Dopiero teraz, kiedy byłam pewna, że nie usłyszy. – Spotkamy się w następnym świecie.

Później wpadłam w histerię i zaczęłam targać tą pustą skorupą, jakby samą brutalnością można było ją jeszcze pobudzić do życia.

– Byłeś moim domem! Moim domem! Gdzie ja się teraz podzieję?!



Na imię mam Gink -go, czyli Srebrna Morela. Jestem kobietą wojownikiem. Mój **po -sz**i wiedział o tym od początku, teraz wiem o tym ja. To jakby niechciany sekret dwojga, z których jedno jest już martwe.

Dla wieśniaków jestem **nuwu**, czarownicą. Nieważne, że nie noszę szat haftowanych w czarne pająki, a we włosy nie wplatam końskich ogonów... Strach dyktuje im myśli i nie chcą mnie w wiosce. Chodzę po grocie odziedziczonej po Starcu i wszędzie czuję jego zapach. Jego cienie chwytają mnie dłońmi za serce,

wyciskając zamiast krwi wrzącą wodę. Kropla po kropli, słyszę ją i poddaję się tej torturze, a później przywołuję w pamięci śmiech mojego **po -szi** i zapamiętany głos, który powtarza: "Jeśli nie masz nic innego do roboty, zawsze możesz wybierać robactwo z ryżu".



Kiedy wydawało mi się to jeszcze możliwe, chciałam przeprowadzić się do wioski. Nawet już wyobrażałam sobie parterową chatę zbudowaną z wysuszonych wiatrem i słońcem mulastych cegieł – o pochyłym dachu, z dachówkami ułożonymi na kształt skrętów smoka... Rogatym, żeby duchy mogły się po tych rogach wznieść do nieba.

– Ukochana Nu, człowiek powinien wiedzieć, jak coś się zaczęło. Początek prowadzi zwykle do określonego końca.

– Kochany Starcze, wcale nie pragnę mieć domu z rogatym dachem, wcale nie pragnę, byś wbiegł po dachówkach do nieba. Rozmawiałam z nieżyjącym Mistrzem i na krótką chwilę odzyskiwałam spokój. Wędrowałam nocą pośród Smoczyczych Gór, by na tle granatowego nieba wypatrywać nietoperzy, będących przewodnikami śmierci. Natomiast w języku pisanym – do którego kobiety nie mają dostępu – ideogram "nietoperz" oznacza jednocześnie "łaskę".

Od śmierci Starca przez wiele tygodni nikt nie przyszedł do mnie z żadną chorobą, z żadną pogruchochaną kością. W końcu, zamiast patrzeć na nietoperze, zaczęłam rozstawiać na nie sidła i ich skórzastymi ciałami oszukiwać głód. A stałam się łakoma jak smok, dniem i nocą marzyłam o prążkowanej rzepie. O **la -la**, czyli marynowanej bulwie w occie z paprykami, cukrem oraz solą. Przyszło mi do głowy, że być może moja utopiona w popiele córka wróciła do mnie i ponownie rośnie w moim łonie, z nadzieją na nową szansę dla matki i córki.



Kiedy wiedziałam już, że moje przeznaczenie zablądziło, że

moja droga jest drogą zagubioną, przybyli cesarscy posłańcy. List, którego nie potrafiłam przeczytać, wskazał mi nowy kierunek. Córka Niebiańskiego Smoka chciała spotkać się ze Srebrną Morelą, sławną wojowniczką. Byłam przekonana, że spotkam się z tą samą dziewczyną, której nocnik i haftowaną skarpetę widziałam przed laty. Zastanawiałam się też, czy ma to jeszcze dla mnie jakieś znaczenie?

"Musisz sama znaleźć odpowiedź, Gink -go", przepowiedział mi kiedyś Starzec.



Nieżegnana przez nikogo wsiadłam do cesarskiego palankinu. Każdy krok kulisów poprzedzał zapach palonego, pachnącego drewna i dźwięki dzwonków przymocowanych do żółtego sztandaru, który dźwigał pierwszy herold. Traktowano mnie z wielkim szacunkiem i z wielkim smutkiem. Sama nie czułam radości, tylko brak wyboru. Pragnęłam cesarzównie opowiedzieć o dziewczynkach, które nie pozwoliły mi skakać przez sznurek, o komplecie wróżebnych pieprzyków, o tym, jak sękaty palec Starca spłotły mi śliski warkocz. Ona rzecz jasna będzie chciała słyszeć tylko o smoku. Zyskałam imię i legendę, ale przestałam istnieć dla siebie.



Na ostatnim postoju przed spotkaniem z Córką Smoka stara kobieta zbadała mnie dokładnie na obecność wszy i pcheł. Zatrzymaliśmy się w pielgrzymim zajeździe. Do wielkiej wanny nalano mi świeżej wody i nakazano się wykąpać. Jeszcze nagiej namaszczone włosy, które później próbowano upiąć nefrytową zapinką w kształcie motyla. Łazienka była przerażona, kiedy jej się to nie udało, ale mimo to nie chciała się zgodzić na prostszą fryzurę. Widząc jej rumieniec zdenerwowania, obiecałam, że postaram się przy cesarzównie nie wykonywać gwałtownych ruchów głową. Spojrzała na mnie z wdzięcznością i podziękowała wylewnie. Sama, choć należała do przystojniejszej

rasy Han, nie prezentowała się przy mnie korzystnie. Zbywało jej na zwykłym makijażu, a kiedy, podając mi ręcznik, uniosła dłoń, poczułam zapach potu. Również mężczyźni z naszego orszaku – nieogoleni i kudłaci – wyglądali jak przybici nieszczęściem żałobnicy. Nikt nie skomentował koloru moich szat, nikt nie przestrzegł mnie, że biel ubrań przywołuje śmierć, która może zakamuflować się na tle tkaniny dzięki barwie swoich kości. Na koniec jednak wydano mi nowy komplet odzieży. Od starego różnił się tylko tym, że był czysty, a bawełnianą nitkę zastąpił jedwab. Na powrót wsiałam do palankinu.

Gdy opuszczałam go po raz ostatni, na niebie świecił okrągły księżyc. Przy gruncie unosiła się gęsta mgła. Kłębiła się jak przyśpieszone oddechy walczących ze sobą smoków wody i ognia. Stałam wreszcie na własnych nogach i zamknęłam oczy, bacznie nasłuchując. Żadnego syku. Czułam jedynie doskonałą ciszę, zdumiona, że w ogóle coś takiego potrafię.

"Sroka Przeznaczenia – szepnął do mnie Starzec, kiedy w asyście cesarskiej straży przedzierałam się przez wilgotny opar. – Jej ofiarą jest zawsze ktoś albo coś, co przyzywa! Co promieniuje światłem albo miłością". Nie mnie miał na myśli, a sam był martwy.



Stałam przed olbrzymią bramą krytą złotymi dachówkami. Przekraczałam ją, czując na plecach oddechy strażników. Gładki trakt wiódł do pawilonu, którego tył krył się w ziemnym kurhanie. Jakby tysiąc schodów prowadziło do góry, a po przekroczeniu frontu budowli tysiąc i jeden stopni biegło w dół. Zatrzymaliśmy się przed potrójnymi kamiennymi drzwiami o podwójnych skrzydłach, wzmocnionych miedzianymi okuciami. Otwierały się na marmurowy korytarz oświetlony ogniem płonącym w niezliczonych dzbanach z oliwą. – Dalej musisz iść sama.

Starłam się nie słyszeć grzmotu zatrzaskiwanych wierzei, starałam się nie widzieć konstrukcji z kamiennych kul i żłobów,

która inżynierską magią pieczętowała trzewia pawilonu na zawsze. Próbowалаm nie ulec uczuciu irracjonalnej nadziei, kiedy zobaczyłam, że kamienne kule jeszcze nie drgnęły. Ani one, naśladujące kształt ziemi, ani posągi żołnierzy -strażników o głowach małp, naśladujące kształt ludzkiej wyobraźni.



Zboczyłam z marmurowej drogi. W przylegającej do niej komnacie znalazłam wannę w kształcie lotosu. Odmownie, większą, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić. Przypominała jeziorną nieckę. Dotknęłam jej dna i poczułam, że jest suche jak pieprz. Nigdy nie zaznało pieśczozy wody.

Obok stało równie dziewicze łóże. Łóże dla dziewicy, choć było tak szerokie, że mogło pomieścić dziesięciu ludzi.

Dalsze pokoje były wypełnione martwymi pawiami i ciałami gołębi. Pawie leżały pokotem, z ogonami poskładanymi jak milczące wachlarze.



Marmurowy korytarz kończył się ośmiokątną salą. Kopuła jej sklepienia była ozdobiona rytami dziewięciu błyszczących smoków. Dziewięć jest liczbą odpowiadającą wieczności...

W centralnym punkcie, na kamiennym leżu spoczywała cesarzówna. Jej ojciec zadbał o wszystko. Otaczały ją perły, szmaragdy, diamenty i preparowane kacze jaja, niosące smak soli Kin. Na niewielkim stoliku z laki stała szkatuła z przyborami do makijażu, wymalowany wachlarz, sztabki srebra ułożone w piramidę. W doniczkach rosły dwa zielone bambusy.

– Jestem Srebrna Morela. Kobieta wojownik – przedstawiłam się. – Wezwalaś mnie, Córko Smoka, więc jestem.

Cesarzówna miała na głowie koronę ze złotego drutu; na wiotką dłoń wsunięto jej plecionkę z wielkiego kwiatu chryzantemy, którego płatki już zwiędły. Do drugiej ręki przywiązano buławę odpędzającą demony, wyrżniętą w całości z



jednego gwoźdźca szmaragdu. Na piersi spoczywała gałązka brzoskwini, przed którą umykają duchy, a spod haftowanej narzuty wystawały smocze pantofelki. Nie musiałam sprawdzać, czy pod nakryciem leży srebrne lustro, w którym może przejrzeć się wszechświat i umknąć przed swoim odbiciem.

Zwłoki zamoczono w miodzie i obłożono plastrami złota. Zanim cesarzówna wystygła, wiano w nią dzban roztopionego srebra, dla zachowania kształtu ciała.

– Jestem Srebrna Morela. Pozostanę tu tak długo, aż mnie usłyszysz, Córko Smoka – obiecałam, bo nie miałam nic innego do roboty.

Mogłam tylko czekać. Powinnam poczytywać sobie za zaszczyt fakt, że cesarzówna wzięła mnie ze sobą w drogę do Zaświatów. I tak też było.

Jeśli ktoś kiedyś otworzy ten grobowiec, znajdzie nas obok siebie, jakbyśmy były ziemskimi siostrami, a wtedy my będziemy już smoczymi na firmamencie wiecznego nieba.



Nie czułam strachu, tylko głód, który jest aktywnością ciała, nie ducha. Jak długo można przeżyć, jedząc martwe pawie? I po co? Ktoś zostawił dla mnie bulwę pochrzynu, licząc, że coś takiego wystarczy zwykłej wojowniczkę w jej ostatniej drodze. "Pochrzyn, pawie i kacze jaja", przypomniałam sobie. Reszta pokarmu była z wosku lub drewna. Leżały więc atrapy bułeczek ze "słodką" pastą z czerwonej fasoli, "pieczone" przepiórki, kaczkę, tygrysie mięso w cieście, homar, śliwy, niedźwiedzie łapy i dziewięćdziesiąt dziewięć innych dań. Stały też wazy, które pod pokrywami kryły pustkę.

A na każdym talerzu, na każdej miseczce leżała srebrna nitka chroniąca przed trucizną.

– Umrę z głodu – powiedziałam głośno.

Nie chodziło mi o to, że nie podobała mi się tak zaszczytna śmierć, ale sposób, w który miała do mnie przyjść...

– Starcze! – krzyknęłam, łamiąc brzoskwiniową gałąź. Tylko wtedy mógł przyjść.

– I to minie. – Usiadł obok mnie, a wokół zapachniało opium. – Kto wtedy się zorientuje, że cokolwiek było? – Nikt, Gink -go.

"Nikt" brzmiało dobrze. Coś za nami huknęło: to kamienne kule wtaczały się z łoskotem w granitowe leża.



– Chciałabym, żeby wszystko się skończyło – mruknęłam. – Kochana Nu, nie jesteś już dziewczynką.

Zgodziłam się ze Starcem, ale później wzięłam sznurek i zaczęłam przezeń skakać.

– Nie. To jest rzecz bardziej odpowiednia dla ciebie – wskazał mi przedmiot, którego wcześniej z pewnością tu nie było. – Dziękuję ci, **po -szi**. – Podniosłam wspaniały miecz, o rękojeści inkrustowanej wizerunkami nietoperza i ryby, obciążonej czerwoną skórą rekina. – **Szy** – zgodził się. – Czy zapamiętałaś lekcje?

– Oczywiście. Mam serce z wody, a woda wchłania wszystko. – I wszystko zabiera ze sobą.

– Ryba potrafiła przeskoczyć nad tamą. Ten wysiłek zamienił ją w smoka.

– **Szy**, moja Córko. Na co więc czekasz...



Na co czekam? Na co ty czekasz? To już ostatnia lekcja.



Poruszyłam się, jeszcze raz, z sentymentu do głodnego ciała. Moja dusza była nasycona i czekała, aż ją uwolnię. W przyległym pokoju znalazłam miot małych rudych piesków, o płaskich pyszczkach i wypukłych żabich oczach. To od nich czułam zapach Starca. Obok stała jeszcze miedziana miseczka, w której

podano im sucze mleko z opium – właśnie ta mieszanka zabiła pieski. Wszystkie najsilniejsze. Najmłodszy i najdrobniejszy ocalał, bo inne przegoniły go w wyścigu do pokarmu. Żeby wziąć w ramiona tę popiskującą złocistą kulkę, musiałam odłożyć miecz. Przed oczami stanęło mi pudełko wypełnione po brzegi popiołem i na to wspomnienie moje serce gwałtownie zabiło. Uderzało w tym samym rytmie, co maleńki organ szczeniaka.

Pomyślałam, że jeszcze dzień czy dwa, a pojawi się tutaj złodziej mający ochotę na klejnoty. Może znajdzie się chciwy strażnik, spragniony pereł jak życia. Albo to, co wzięłam za kamień zatrzaskujący wejście, było tylko dudnieniem krwi w moich uszach.

Wiedziałam od **po -szi**, że cesarskie grobowce mają ukryte wyjścia, tunele wykopane w tajemnicy przez architektów, na wypadek gdyby cesarz zapragnął zamknąć ich w środku, dla zachowania tajemnicy grobu i jego bogactwa.

Zaczęłam opukiwać ściany. Czułam, że znajdę drogę do światła. Dla siebie i swojego psa.

# Maciej Guzek

## ZMIANA

### 1.

Nauczono mnie zabijać bestie. Taki jest fach mój i mojego oddziału, i taki pozostanie.

Nie jesteśmy herosami, nie mamy szczególnych umiejętności, a cała nauka trwała śmiesznie krótko, tyle ile trwa przyuczenie rekruta, ot szkolono nas w podstawach taktyki, wpojono wiedzę najpotrzebniejszą i najprostszą. Weryfikował front.

Nie czujemy się wcale wyjątkowi – takich kompanii jak nasza jest wiele, a służba nie wiąże się z dużym prestiżem. Postrzegają nasz kawałek frontowego chleba jako łatwiejszy, a to nie przysparza popularności. Zabijamy każde gównno, które wysła na nas druga strona – a wysyła ich mnóstwo, rozmaitych. Zwierzyńce tamtych pełne są wszelakiego tałatajstwa – wolałbym nie wiedzieć, gdzie też ono się rodzi. Może w owych puszczech, których, jak powiadają, bronią, na uroczyskach lub w dębowych gajach, co to mają być, rzekomo, zagrożone przez cywilizację. A może na bagnach, pośród mgieł i pajęczyn, na mokradłach dostępnych tylko największym z wielkich Uczonych? Lecz cóż oni mają za Uczonych, brak tam porządnych uniwersytetów, ośrodków badawczych, dyskusji, nie ma nic prócz mistrzów i uczniów! I cóż oni mają za naukę? Nauki tajemne, magię, gusła, hu -ha przy ognisku. Tfu!

Miast zgłębiać tajniki natury, miast gonić świat, który odjeżdża im w rytmie regularnych posapywań lokomotyw, brną

w mistycyzmy, cały ów Elfor, ich duma, metropolia na kilka milionów mieszkańców, mieni się czarownym blaskiem.

Jakby, jego mać, nie mogli zamontować sobie lamp gazowych.

Elfy.

Znów spluwam.

Jednak, nawet mimo tych różnic, mimo rowów między nami, wierzę w egalitaryzm, wierzę w to, że my im, a oni nam są równi – wszak i my, i oni obdarzeni jesteśmy inteligencją. Dlatego nie chcę ich zabijać i cieszę się, że służba podczas wojny przypadła mi w ezoterach, jednostce parającej się walką z wszelkim stworzeniem, które choć paskudne i groźne, nie wykazuje samo z siebie krzty rozumu. Niestety, ja i mój oddział – Trzecia Ezoteryczna – jesteśmy, rzecz by można, wyjątkowi.

Na pierwszego tego dnia trupa natykamy się przed południem, ledwie na dobre wchodzimy w pas ziemi niczyjej. Ów pas rozciąga się pomiędzy linią naszych umocnień – bunkrów, gniazd z kulomiotami, pozycji artylerii, głębokich transzei, wież obserwacyjnych, stanowisk inkantatorów, ognisk przeciwmgłowych, czujek, nasłuchujących i wypatrujących kolejnych bestii szturmowych i kabli telegrafu – a elfitami ze strony drugiej.

Nie można powiedzieć, byśmy się trupów nie spodziewali. Gdy wojna, znaleźć trupa żadna to dziwność. Mimo wszystko ten nas zaskakuje – pierwsza myśl jest taka, że trafiliśmy na nieewidencjonowane torfowiska, na orkowy matecznik. Wiadomo: orki rodzą się z błota, elfy ze światła, a pozostałe rasy z kobiety. No i tak to właśnie na pierwszy rzut oka wygląda – jak gdyby rodził się ork. Wzgórek błota i gliny, oblepiający postać do połowy zanurzoną w brudnym bajorze, ręka wyciągnięta do góry, w stronę słońca... Zerkam na podkomendnych, widzę, że podobne przypuszczenia chodzą im po głowie, bo choć orki, to, w rzyć waleni, sojusznicy nasi, prosty żołnierz wie swoje i swoje pamięta. Lepiej tedy przetrzeć bagnet, odbezpieczyć karabin czy położyć dłoń na uspokajająco chłodnej rękojeści granatu. Orki to wszak dzikie stworzenia, mały ledwie krok dzieli je od zwierząt.

Przypatruję się więc wzgórkowi błota uważnie i dopiero przy bliższym oglądzie poznaję, że mam przed sobą trupa. I to nie byle jakiego – elf, nikt inny. Idę dalej, podbite gumą buty rozdeptują mętne bajoro, końcem bagnetu zdrapuję przyschnięte do jego munduru grudy błota. Mus, że oficer – tych elfickich choler jest tak niewiele, że za szeregowców służą u nich inne rasy. Dalej zdrapuję błoto, lecz wciąż nie można dostrzec szarzy.

– Musiał od kuli paść. Albo od gazu – mruczy Markus, chłop o szerokich barach i pyzatej twarzy, która po prawdzie ostatnio mocno się zwężyła, bo nam, frontowym, niezbyt się przelewa, a i z żarciem nie jest za dobrze, po tym jak Pani na Elforze zarządziła morską blokadę Kontynentu.

Całe szczęście, że my, snale, nosimy brody, nie straszymy przynajmniej skórą bladą na papier i wyostrzonymi przez głód kośćmi. – Oczywiście, że musiał – potwierdzam to, co widać gołym okiem.

Z pewnością nie zabił elfa wybuch, który osmalił pień pobliskiego dębu, zerwał dach z sagraady stojącej po mojej prawej ręce i wyźłobił ów głęboki lej, w którym zbiera się deszczówka. Nie, to nie wybuch, bo wtedy rozerwałoby zarazę na strzepy, a kałuża mieniłaby się błyskami, rzucanymi przez elfią świetlistą posokę. Lecz kiedy elf pozostaje w jednym kawałku, umiera inaczej – kamienieje, zastyga w posąg. Takie umieranie, nim duch ostatecznie opuści ciało, może, w wypadku gdy dany elf to znaczniejsza figura i moc u niego duża, potrwać wiele, wiele lat. Ci szaleńcy, bywa, ustawiają nawet swych padłych królów czy dowódców przed pałacami – iście nadają się na pomniki.

Których miejsce, wedle mojego uznania, jest w muzeum.

Z kieszeni wyciągam szmatę, służącą mi za czyściwo do karabinu. Maczam ją w kałuży i myję umarłakowi twarz oraz pagony. Nikt ważny, poznaję. Dwie i pół strzały na lewym ramieniu – wprawdzie, tak jak sądziłem, oficer, ale mało ważny, starszy eomer pola. Przez moment spoglądam na wciąż jasne oblicze, na długie blond włosy, na światłość, która emanuje z całej postaci, gdy się zeszkobie dostatecznie dużo błota. I w oczy, ciągle, zda się, żywe, tak charakterystyczne dla tej rasy, tak pełne

wyższości i poczucia misji, że aż chce się rzygać. Światłość, kurwa! Misja!

Gdyby ta światłość cokolwiek znaczyła, tysiące nie ginęłyby na froncie. Po obu stronach.

Pluję elfowi w twarz.

Po chwili, kiedy już się uspokajam, ponownie chwytam za szmatę – czas dowiedzieć się czegoś więcej. Obmywam więc mundur na piersi. Elfy noszą się po dawnemu, ich mundury są starego kroju, tu i tam wzmocnione pozłacaną blachą, by przypominały starożytne pancerze. Na piersi mają emblemat jednostki. Oczywiście taka konstrukcja ubioru bojowego utrudnia im walkę, bo całe odzienie staje się mało wygodne, ale ich dowództwo nie zdecydowało się na zmiany ze względu na blichtr, splendor, honor oficera... I tym podobne pierdoły.

Pomaga mi Raan, jedyny rudobrody w mojej kompanii. Dołącza się z nożem, wywija nim zawzięcie, zdrapuje z bogatej tkaniny szare i płowe pryszcze brudu. Mimochodem zauważam, że oni, elfy znaczy, więcej chyba wydają na szaty niż na uzbrojenie, bo pod błotem kryje się materiał przedniego sortu. U nas, na targu w Unterbergu, za łokieć powierzchniowy takiego zapłacić by trzeba fortunę. Skrobiemy dalej i wreszcie – widzimy rezultat.

Czerwona plama, którą spostrzegłem już wcześniej, okazuje się okiem, a czarna krecha pazurem. Obrazek ten jest wpisany w literę D, równie czerwoną jak oko. Dziwne.

Znam wszystkie oznaczenia, którymi posługują się elfy. Są pośród nich białe łuki skrzyżowane ze strzałami, miecze rozmaitego kształtu, gwiazdy, a nawet, w przypadku artylerzystów, ogniste kule, jest głowa jednorożca, jest pięść, jest skrzydło stanowiące oznaczenie owych jednostek specjalnych, huzarów, co rzeczywiście groźni są niby bestie. Długo można by wymieniać.

Lecz takich emblematów, na jakie właśnie patrzę, wcześniej nie spotkałem.

Oko i pazur.

I litera D.

Dziwne.

Wówczas Rudi, półgłom, fizjonomią i dowcipem przypominający zeschnięty kołek, podchodzi do mnie i pyta:

– Ekkehard, czemu ty mu naplułeś w gębę? No, to trup...

Rudi to jeszcze dzieciak, chyba tylko on cieszy się, że nosi na ramieniu dwugłowego gryfa o jednej głowie białej, a drugiej czarnej – godło naszego imperatora, panującego nam bynajmniej nie miłościwie. Ojciec chłopaka, sam kaleka, okulawiony podczas tapnięcia Długiego Chodnika w Unterbergu, jako niepełnosprawny przez lata czuł się wykluczony z górniczej społeczności. Wraz z nastaniem wojny pojawiła się szansa na społeczną akceptację i teraz papa Rudiego przechadza się po Górnych Pokładach, zamienionych na karczmy, okryty chwałą syna, co poszedł na wojnę. Wojnę, która ma przynieść Unterbergowi i całemu Zagłębiu niezawisłość. Tak przynajmniej sądzi ojciec Rudiego, tak sądzą wszyscy w Unterbergu, bo każdy ma w pamięci Odezwę, skreśloną własnoręcznie przez cesarza.

Niezawisłość. Sam w nią wierzyłem, póki nie stanąłem na froncie. Póki nie stanąłem...

Potem wiele się zmieniło. Poprzez dymy i krzyki, poprzez krew i fontanny piachu świat wygląda inaczej.

– No, czemu? – Rudi nie może zrozumieć, dlaczego ślina spływa po policzku elfa.

Dla niego, choć przebywa na froncie już parę miesięcy, wojna to wciąż romantyczna przygoda, a przeciwnicy szanują się nawzajem, salutują sobie i toczą długie pojedynki na szable. Prawda wygląda jednak inaczej – nim elfia falanga dobiegnie do naszych linii, koszona jest bezlitośnie przez kulomioty i rwana przez granaty. A my, walczący po przeciwległych stronach, nienawidzimy się całym sercem. O bohaterach szybko się tutaj zapomina.

W masowych grobach nie odróżnisz, czy to tchórz, czy rycerz.

I kule też ślepe.



Wzdycham tylko w odpowiedzi.

Rudi, chłopcze, ty oczekujesz kilku słów wyjaśnienia, a tu trzeba by wykładu, na który teraz, podczas zwiadu, nie ma czasu. Należałoby cofnąć się w przeszłość, gdy elfia koalicja parcelowała kraj twoich przodków i niewoliła narody, sadzając samą siebie na tronach. Trzeba by myślał przenieść się do elfich posiadłości i pałaców, porównując to z nędzą komór, w których śpimy my, w Unterbergu. Nie od rzeczy byłoby opisać strukturę społeczną, gdzie na szczytach wszelkich instytucji nic, tylko elfokracja. Nawet nasz cesarz, zwany Renegatem, ma w sobie sporą domieszkę elfiej krwi, inaczej by wszak nie dopuszczono, żeby przed kilkudziesięciu laty nałożył koronę. I jeszcze to trwające wieki embargo na technologię – ilu śmierci można by uniknąć, gdyby wcześniej zaczęto na poważnie zajmować się mechaniką, gdyby sztucznie nie hamowano postępu! Do listy elfich grzechów należałoby dodać i to, że nam w Zagłębiu nie wolno się samym rządzić, bo, jak mawia się w Elforze, idea państwa narodowego to niebezpieczny miazmat. I ostatnia rzecz – okrucieństwo w czas wojny. W tej dziedzinie elfy przechodzą same siebie, choć nie powiem, byśmy pozostawali daleko z tyłu. Oto są przyczyny, dla których ja, Ekkehard Roog, inżynier i wykładowca Akademii Górniczej Unterbergu, przez długi czas zdeklarowany pacyfista i zagorzały socjał, pluję martwemu elfowi w twarz.

Odchodzimy od trupa, przeszukawszy uprzednio kieszenie, w których nie ma, niestety, niczego istotnego, żadnych listów, komend, planów. Nie ma też, co gorsza, niczego do jedzenia. Ja i moi podwładni jesteśmy jednako rozczarowani.

Wtem od strony nadpalonej sagrady rozlegają się dzikie wrzaski – to Alp i Har, bracia bliźniacy znaleźli świątynne zapasy. Cali weseli taszczą kosze chleba i solonego mięsa. Śmieją się przy tym i opowiadają, jak to zbezczęścili święte miejsce. Marszczę brwi i z punktu daję im po głowach. Takie zachowanie nie przyniesie niczego dobrego. Zły omen. Podczas wojny, gdy twoje życie zależy w większym stopniu od ślepego losu niż od własnych poczynań, stajesz się przesądny.

Niemniej przyznaję, że mięso jest smaczne, choć nieco żylaste i przesolone. Słyszałem, że i elfy mają problemy aprowizacyjne, do tego stopnia, że zaczęto u nich bić jednorożce.

Żując krojone bagnetem kawałki polędwicy, krok za krokiem zagłębiamy się w okolicę, którą przykazano nam zbadać. Jest tak spokojnie, że aż dziwnie, jest też ponuro i złowrogo, bo otaczają nas ślady krwawej bitwy.

Zwykle nie wykonujemy rozpoznań, to robota innych, lecz tym razem rozkaz jest wyraźny, a z rozkazami się nie dyskutuje. Zapytany, czego mamy szukać, pułkownik tylko się uśmiechnął. – Sam zobaczysz – powiedział. – Poznasz od razu.

Dolina Wagu to miejsce, gdzie kilka miesięcy temu obie armie zderzyły się, zwały i zaległy w okopach. Pierwotnie nasze oddziały stały dalej, kilka mil w stronę elfiej granicy – tam pobudowano fortyfikacje, porządne forty z grubymi murami, przykryte na dodatek kołdrą ziemi. Wzniesiono liczne bastiony i samodzielne reduty z czerwonej cegły – cały kompleks zwano twierdzą Wag. Jeszcze do niedawna, jak sądziłem, były tutaj nasze wojska, a twierdza Wag powszechnie uchodziła za linię umocnień nie do zdo bycia. Kroczymy pomiędzy fortyfikacjami, rozglądamy się i ogarnia nas przerażenie. Twierdza Wag nie została zdobyta. Została zniszczona. Pogruchošana.

Największe wrażenie robią osmalone mury. Cegła, niegdyś czerwona, nosi teraz czarne znamiona. To, co pobudowano z drewna, spaliło się do szczytu, to, co z metalu – stopiło. Zastanawiam się, jakich mocy użyli elficcy magowie, by uzyskać taką temperaturę. Przez kilka chwil stoję przed metalowymi drzwiami bunkra, drzwiami, które w części spłynęły po ścianie.

Co to było?

Zastanawia jeszcze jedno. Mury – solidne, wykonywane według najlepszych wzorców; podejrzewam, że to dzieło inżynierów z Unterbergu. Takich umocnień nie skruszyłyby najpotężniejsze młotki, nie pomogłaby i Wielka Wolwa, której pociski biją na kilkadziesiąt wiorst. Żeby skruszyć te mury, potrzebny byłby wielodniowy, zmasowany ostrzał artyleryjski.

Szkopuł w tym, że elfia artyleria jest marnej próby i prawdę rzekłszy, stanowi pośmiewisko innych armii. Ich cesarze i królowie tak długo wzbraniali się przed nowoczesnym uzbrojeniem, że zostali daleko w tyle. Elfy nie mają ani dobrych dział, ani dobrych artylerzystów. Kropka.

Szkopuł w tym, że fortyfikacje w wielu punktach są jednak pokruszone, jedną małą redutę dosłownie zrównało z ziemią, gdzie indziej odłupało potężny kawał muru, w jeszcze innym miejscu w gruz obrócona została cała ściana. Co to mogło być?

Ślady nie wyglądają na stare. Mój adiutant, bystrooki Sadr stwierdza, że bitwa rozegrała się tutaj nie dalej jak tydzień temu. Przyznaję mu rację. Przed oczyma stają mi kolumny rannych, wracające z frontu, całe furgony, ciągnięte przez muły, całe zgrupowania furgonów. Te szare, ponure twarze, te paskudne rany, to milczenie – wszystko to wbijało się w pamięć. Nas kilka dni wcześniej cofnięto na tyły, musieliśmy uzupełnić sprzęt, ludzi, na zastępstwo poszła Czwarta Ezoteryczna pod dowództwem Erika. Siedziałem przy drodze, jadłem chleb namoczony w rosole z żarptaka i patrzyłem na tych, co ocaleli. Nie mówili, skąd jadą, nie mówili, co zaszło, na wszelkie pytania odpowiadali wymijająco lub wcale. Prosił tylko o kawałek chleba, o łyk destylatu, który uśmierzy ból, lub, ci co cierpieli najbardziej, o kulę między oczy. W tych oczach zaś – zajrzałem w nie – krył się strach.

Teraz, gdy patrzę na pogruchotaną linię umocnień, sędzę, że wracali stąd, spod Wagu. Zaczynam rozumieć ich spojrzenia.

Co ich tutaj spotkało?



Co rusz przychodzą do mnie żołnierze, raportując. Przeważnie przynoszą mundury zabitych elfów, bardzo dużo już się tych mundurów zbierało. Na wszystkich jest to nieznanne dotąd oznaczenie – litera D.

Czyżbyśmy natknęli się na jakąś jednostkę złożoną z samych czarowników? Szlag...

Nagle spostrzegam, że Raan daje mi znaki ręką. Przystanął pomiędzy spaloną do szczytu jabłonką a ścianą bunkra. Podchodzę do niego i staję obok. Patrzą w kierunku wskazanym przez rudobrodego żołnierza. Początkowo widzę tylko deszczówkę, która zebrała się w przejściu pomiędzy dwoma fortami. Zwykła kałuża, choć o niecodziennym kształcie. ...Kształcie... W następnej chwili wstrzymuję oddech. Na Ducha Sztolni!

Mimowolnie chwytam się muru. Chwilę zajmuje mi dojście do siebie, na szczęście Raan, wierny druh, jest przy mnie. Daje mi łyk destylatu z metalowej manierki. Płyn smakuje paskudnie, pali gardło, ale pomaga mi się ocknąć. Wtedy Raan pokazuje kolejne kałuże – ciągną się daleko, przerażająco regularną linią i wszystkie mają jednakowy kształt.

Wołam kilku najbardziej zaufanych żołnierzy, zaprawionych w bojach, takich, którzy nie raz patrzyli w pyski chimerom, mantikorom czy innym elfickim szturm -bestiom. Nakazuję dokonać pomiarów. Klękają, rozwijają miary, sporządzają szkice, opisują znalezione ślady. Pozostałych odsyłam, by spatrolowali prawe i lewe skrzydło. Staram się unikać ich wzroku.

Nie chcę, by którykolwiek z tych młodych chłopaków – kilkunastu jest dopiero od trzech, czterech dni na froncie – widział moją minę.

Nie chcę, by widzieli, że ich dowódca się boi.

2.

Spokój.

Coś, co na wojnie jest prawie że nie do wyobrażenia. Brak nieustannych huków, pomruków, błysków i wołań inkantatorów. Brak tysięcy skamieniałych sylwetek martwych elfów. Brak

rowów pełnych gnijących ciał ludzkich czy snalskich. Nigdzie nie terkocze regularnie karabin, nie pokrzykują granaty, nie ryczą szturm -bestie.

Jest tak normalnie, że aż dziwnie. Czasem myślę, że kiedy wojna się skończy, a ja, da Duch, wrócę do Unterbergu, oszaleję. Przegrupowanie. Ledwie kilkanaście wiorst od frontu, a już znajduję się w innym świecie. Błoto nie pryska dookoła, nie musimy przemykać płytkimi transejami, znajdzie się nawet coś do żarcia. Toż to raj. Kocham przegrupowania!

Drżącą ze szczęścia dłonią chwytam małą łupinę wypełnioną destylatem. Destylat przynosi mi Albert, chłopak z Pierwszej Ezoterycznej, z którą spotykamy się podczas przegrupowania. Wygląda na to, że zostaną rzućeni na ten sam odcinek, co my. Albert przeczesuje palcami brodę, jeszcze rzadką, jak to u młodzika, mruży oczy i pyta, jakby od niechcienia:

– Tam na zwiadzie... Martwy elf... Świeży całkiem i dobrze zachowany. Twój wspominali. Nie spuściłeś może juchy? Chociaż flakonik. Moglibyśmy pohandlować. Moglibyśmy.

Albert zdecydowanie nie nadaje się na żołnierza – to urodzony handlowiec, skarbnica wszelakiego towaru i wszelakiej wiedzy, jednoosobowe centrum wymiany, które koordynuje przepływ dóbr w wielu przyfrontowych oddziałach. Pamiętam, kiedyś chciał sprzedać mi moździerz w pakiecie z żywym jednorożcem, którego nikomu nie mógł wcisnąć. Wyjaśniał później, że zwierzę tak go urzekło, że nie miał serca przerobić go na kiełbasy. Zwykle bywa jednak mniej sentymentalny – swego czasu przekupił oficera, podsuwając mu pod nos pieczeń z gryfa. Bądź co bądź gryf to nasze godło, należy mu się szacunek, ale na taką uwagę Albert tylko wyszczerzył zęby. – Byś widział, jak mlaskała ta gruba świnia. Czy jest lepszy wyraz szacunku? Teraz nagabuje mnie Albert o krew. Krew elfów.

Towar to cenny. Czasami uda się go trochę zebrać w kałuży, gdzie rozerwało jakiegoś huzara czy innego wojownika, lub, nacinając szyję, upuścić z elfa, który dopiero co umarł, skamieniał, choć serce jeszcze od czasu do czasu uderza, jeszcze

tłoczy świetlistą posokę. Zażywa się jej niewiele, ledwie kilka kropel. Dodają je do rozwodnionego destylatu, do piwa, nawet do herbaty. Piją małymi łyчками, starczą ponoć cztery, pięć, a nikomu nie udało się wypić więcej niż dziewięć. Mnie wystarczyły niegdyś trzy. Trzy łyki zapomnienia.

Krew elfów nie działa tak samo jak destylat, piwo lub zioła sprowadzane z południa. Tamte specyfiki trochę cię rozweselą, trochę zakręcą w głowie, spowodują, że uśniesz bądź stracisz hamulce i oddasz się nieobyczajnym igraszkom. Lecz z krwią elfów jest inaczej. Dzięki niej zapomina się naprawdę – duch, czy raczej umysł, wskakuje na wyżyny, wspina się po drabinie bytów i pozwala odczuć choć ułamek tego, co przypisane istotom utkanym ze światła, istotom, które, jak same lubią się nazywać, są istotami wyższymi. Skala doznań staje się nieporównywalna z naszą i w zasadzie teraz nie mam jak jej opisać, bo brakuje mi słów. Jestem więźniem języka!

Powiada się, że elfy, jako istoty półboskie, widzą światło, to światło, które stworzyło nas wszystkich, drzewa, trawy, wody i ziemię, zwierzęta lądowe i ptaki powietrzne. Światło, z którego emanuje siła, moc i nadzieja. My, snale, nazywamy je kagankiem w ręku Ducha Sztolni.

To prawda, nawet łyk mocno rozwodnionej elfiej juchy podnosi na duchu. Lecz jest w tym pułapka – stan euforii trwa dopóty, dopóki krew działa, czyli nie za długo. Później wpada się w dół jeszcze większy, później każdy okop wydaje się bardziej zabłocony, każde słowo jeszcze bardziej bez znaczenia, a każdy szturm jeszcze bardziej beznadziejny. Kontury naszej rzeczywistości, tej wojennej, brudnej i pełnej bólu, wyostrzają się tak, że kłują w oczy. Tak, elfia krew to pułapka. Są tacy, co się od niej uzależnili, sam widziałem oficerów skręcających się z głodu lub rzucających pod łapy chimer tylko po to, by umrzeć. Nie mogli znieść powrotu do prawdziwego świata.

Mówią też, że jeśli pije się elfią krew długo, a stężenie jest właściwe, samemu nabywa się pewnych cech elfich. Stajesz się elfem!

Dlatego nigdy więcej nie wezmę jej do ust. Zmienić się w elfa?

Paskudztwo.

Albert tymczasem nieodmiennie rozpoznaje, co jest w cenie, co idzie w górę, co warto zdobyć, i odprzedać z zyskiem.

– No, Ekkehard. – Szturcha mnie i nagabuje coraz natarczywiej. – Chociaż kilka kropel. Mam zamówienie... Mógłbym ci załatwić babę. Prawdziwą, wiesz, tę śpiewaczkę, która była na plakatach, nie jedną z tych, tutaj...

Ruchem głowy wskazuje na obszerny namiot, przed którym tłoczą się szeregowcy. Namiot kiedyś był czerwony, później się upaprał, ale na to nikt nie zważa. Najważniejsze że w środku... w środku są rozkosze, o których tylko można pomarzyć na froncie. Wprowadzie te, które owych rozkoszy udzielają, nie należą do najpiękniejszych, bywają niedomyte i często, ze względu na przytłaczającą liczbę klientów, są tak znudzone, że podczas stosunków jedzą jabłka, palą ziele, czytają zwoje lub rozmawiają między sobą (łóżek w środku jest wiele, głowa leży przy głowie). Nam to jednak nie przeszkadza – ani brak intymności, ani znudzenie, ani nawet brud. Na Górnych Pokładach, w Unterbergu przez myśl by nam nie przeszło korzystać z takich rozrywek. Lecz front od Unterbergu się różni, Unterberg jest daleko, a wraz z nim nasze żony i kochanki. Stary świat odgrodzono barierą rozkazu, a nam zostały brudne łona kobiet złych.

Śpiewaczka, myślę, to wszakże zupełnie inna para ciżm.

Widziałem afisze – i jeśli w rzeczywistości jest choć w dziesięciu procentach taka, jak na plakatach, byłoby warto. Te nóżki zgrabne, te kabaretki, spódniczka, ten uśmiech i piersi – wspomnienie jej działa prawie tak dobrze, jak krew elfów. Cóż, że ze mnie snal, mały i nieproporcjonalny; wiem, że Albert ma kontakty i ma pieniądze. On, myślę, faktycznie mógłby ją załatwić, to tylko kwestia ceny. Dopiero po chwili przychodzi refleksja, że tam, pod górą, na Górnych Pokładach nigdy bym się tak nie rozmarzył. Lecz to było w innym życiu. Tutaj, wśród trupów i wybuchów, w obliczu niedoboru wszystkiego, nawet nadpleśniałego chleba, można się sporo nauczyć.

– Nie mam, Albert – mówię. Z prawdziwym smutkiem, wciąż widząc przed oczyma śpiewaczkę. – Za późno przyszedliśmy. Zastygł już na dobre. A kto złożył zamówienie?

Mój rozmówca, młodzik, uśmiecha się, jak gdyby był rekinem finansjery czy może wielkim jakimś prawnikiem.

– Tajemnica handlowa – odpowiada śmiertelnie poważnie, po czym wyciąga zza pazuchy pomięte nieco kartki.

– Rzyciorysy mam jeszcze. Same kobiety, prawdziwe, ludzkie, nie nasze. Nie chciałbyś?

Oglądam rozebrane panie w buduarach, wdzięczące się, w haleczkach, w pończoszkach. Skąd też, zastanawiam się, on to bierze? Gmeram po kieszeni i jednocześnie mruczę: – Ile za sztukę?

– Muszlę. Jedna mi starczy. Wiem, że przywiozłeś tego więcej, a chętnie posłucham, co się tam, w domu, dzieje.

Więc i Albert bywa sentymentalny? Wyjmuję muszlę, na kawałku tektury kreślę ołówkiem runy, tak by mógł uruchomić urządzenie. To nasz, snalski wytwór i nasze zaklęcia, wszyscy nam go zazdroszczą, nawet Elfor. Przykładasz artefakt do ucha, aktywujesz zaklęcia, a potem... Informacje, pieśni snalskie, odczyty starych sag – nasz nadajnik w Unterbergu jest bardzo interesujący. Wprawdzie tutaj, na froncie, trzeszczy okrutnie i szumi, ale zawsze jest to jakiś kontakt z domem.

– Dzięki. – Albert chowa muszlę do kieszeni, zapamiętuje wszystkie runy, potem wskazuje na ognisko, przy którym siedzi może z sześćdziesięciu żołnierzy, przeważnie snali, gnomów i orków, ludzi jak na lekarstwo, i dodaje: – Tam sprzedam więcej rzyciorysów. Przejdziemy się?

Kiedy podchodzimy, spostrzegam, że wielu naszych trzyma w dłoniach pomięte kartki. Druk jest rozmazany, bardzo kiepski, wygląda na robotę pijanego zecera. Względnie elfów.

"Czarny Cesarz, Mider, pcha do wojny masy! Niewinny lud! Dla jego zachciankom ginie tysiące. Zbuntujcie się, ludu, przeciw tyranowemu, który przedstawia uosobowienie zła...".



Tak, ulotka to z pewnością dzieło elfów. Wykonana z typowym dla nich lekceważeniem – nie chciało im się nawet sprawdzić, czy nie ma w niej błędów, dokonać konsultacji językowych. Zgniatam podniesiony z ziemi świstek (wala się ich tu sporo, niedawno musiał nastąpić nalot orłów) i ciskam kulkę do ogniska. Pośród zgromadzonych rozchodzi się szmer aplauzu. Nie lubią oni elfitów i nie zmieni tego żadna agitka.

Zatrzymujemy się z Albertem przy ognisku, grzejemy się, bo od deszczu (zapewne zesłanego przez elfy, niech je szlag) namokły nam mundury. Tłok spory, jedni czyszczą szmatami karabiny ze zbrylonego czarowidła, inni dopiero smarują nim mechanizmy, żeby zabezpieczyć broń przed zabójczym działaniem magii. Do wielkiej blaszanej puszki z ochronnym smarem wciąż ktoś podchodzi. Szeregowcy dzielą się skrętami ziela, krążą manierki z destylatem, ten i ów coś tam żuje, a wszyscy słuchają starca. Starzec to snal. Nie widzę jego twarzy, bo, jak na snala przystało, nosi długą brodę, poza tym płomienie skaczą nerwowo, rzucają cienie, tak więc mówcę widać niewyraźnie. Nie w tym jednak rzecz, by widzieć, tylko słyszeć, co starzec opowiada. A słyhać go dobrze – ma głos tubalny, głęboki, przypominający mi głosy najlepszych skaldów z Zagłębia. Opowieść zaś, choć niewesoła, płynie jak saga i jak saga wciąga, ma magiczną moc. Starzec mówi o bestii.

– Rodzi się tedy z cienia. – Przegarnia brodę, wodzi wzrokiem po twarzach szeregowców, w większości przerażonych. – Z mroku, ze zła. Wojna to dla bestii wymarzony czas, zło wtenczas wylewa się jak z czary, pełno jest bólu, pełno cierpienia. To bestię wabi. I nie sądzcie – unosi palec – że ją poznacie. Niełatwo ją zobaczyć, z rzadka pokazuje prawdziwe oblicze. Już prędzej ukryje się za maską piękną czy szlachetną i nikt wtedy nie pomyśli, że to właśnie jest przeciwnik, zło wcielone. Zmiana następuje niezauważenie, w jednej chwili mamy porządnego snala, w drugiej, choć wygląd ten sam – potwora. Tylko wciąż to tu, to tam, znajdować będą trupy, z których bestia wyssała soki.

Starzec przerywa, a ten i ów zaczyna się podśmiechiwać – to jedyna obrona, jaka im została, choć w głębi duszy drżą pewnie z

lęku. Prosty żołnierz jest przesądny i nie ma co od niego oczekiwać, by takim nie był. Zbyt dużo w jego życiu przypadku, zbyt dużo ryzyka, dlatego chwyta się wszystkiego i wierzy we wszystko. – Niby jak ona się rodzi? Ta twoja bestia? – pyta ktoś z tłumu. – To wojna – odpowiada niezrażony skald. – Wojna zamienia ludzi i snale w bestie. Zło rodzi się okopach, kiedy umiera nadzieja, kiedy umiera litość dla tych, którzy są po drugiej stronie. – A skąd ty możesz to wiedzieć, starcze? – zapytuje jeden z rekrutów, jeszcze zuchwały, jeszcze pewny siebie, bo nie liznąwszy frontu, nie miał dotąd do czynienia ze szturm -bestiami, z nalotem orłów, z fruującymi wszędy kulami karabinów i świstem bełtów z zaklętych elfickich kusz wielostrzałowych. – Czy owa bestia to aby nie wytwór twojej wyobraźni? Głupia żołnierska legenda? Na jedną, krępującą chwilę zapada cisza. Lecz stary skald wcale nie wygląda na zażenowanego. Patrzy beczelnie w oczy rekruta, przekrzywia głowę i wycharkuje odpowiedź: – A stąd!

Szybkim ruchem odchyła brodę, ukazując szyję, poszarpaną i całą we krwi. Zgromadzeni odskakują, chwytają za karabiny, jakiś inkantator, przekonany, że skald to widmo, sabotaż ze strony elfów, zaczyna recytować zaklęcie neutralizujące. – Strzeżcie się bestii – charczy starzec. I znika.

Wtedy dopiero przypominam sobie historię o Gormie Niemłodym, frontowym duchu oficera i patrioty, który zginął w noc po zdobyciu Wzgórz Ealed. Gorm wiódł szturm, ciągnęły za nim doborowe jednostki snalskie – to był znany dowódca i snal oddany całym sercem sprawie niezawisłości Unterbergu. Mówiono, że żołnierze skoczyliby za nim w ogień. I rzeczywiście, pod Ealed skakali. Walki były zaciekle, a pod koniec trzeciego tygodnia tych, co ocaleli, nazywano szczurami spod Ealed, bo aby przeżyć, należało się wykazać iście szczurzą żywotnością. Kiedy wreszcie zdobyto redutę bronioną przez huzarów, kiedy wreszcie ci, którym udało się podejść pod mury, wymordowali obrońców, kiedy wydawało się, że sytuacja została opanowana i że teraz punkt oporu jest w ich rękach, nadeszła noc. Noc, z której nie obudził się nikt. Zginęli wówczas zdobywcy Wzgórz – wszyscy. Z gardłami rozszarpanymi jak kawały mięsa, które

padły pomiędzy dwie wygłodzone suki. Nie znaleziono tylko zwłok oficera sztabowego, człowieka, którego przysłano jako "politycznego" – ktoś musiał wszak mieć baczenie na poczynania śmiałej snalskiej dywizji.

Kilka dni później po raz pierwszy snalskim żołnierzom objawił się Gorm, czy raczej zjawa przypominająca Gorma, o mord oskarżając owego sztabowca. Człowieka. Od tamtej chwili duch, powiadali, pojawiał się to tu, to tam, zawsze blisko linii frontu, zawsze blisko krwi. Cholerne widziadło to była zła wróżba.

– Idziemy. – Albert szturcha mnie pod bok, spluwa śliną fioletową od południowego ziała. O dziwo, nie wygląda na zbyt poruszonego zjawą. Zupełnie jak gdyby miał ważniejsze sprawy i silniejsze przeżycia. – Do Sternego.

Sterne? Przyjaciół i mój, i Alberta, dusza snal, nieustraszony saper, a zarazem bardzo łagodna osobowość. Służy pod Erikiem. Nie widziałem go długi czas i zacząłem się już obawiać, czy jego również nie pokąsała wojna. Kolejne słowa młodego handlowca i jego mina udowadniają, że się nie pomyliłem. – Do lazaretu.



### 3.

Zapach chemikaliów – oto co zapada w pamięć, gdy odwiedza się przyfrontowy szpital. Nie jęki, bo jęki słychać wszędzie i nie stanowią one wyjątku zastrzeżonego dla szpitala. Nie zafrasowane miny – bo i to w czas wojny nie jest żadną rewelacją. Nie obskurne wnętrza i mdłe światła lamp olejowych – bo czy baraki żołnierzy są bardziej wygodne, a oświetlenie w nich lepsze?

Chemikalia zaś to domena szpitala. Stoją w wielkich kadziach

u wejścia do każdej sali, dodatkowo dym odkażający sączy się z miseczek rozwieszonych nad co trzecim łóżkiem. Ci, którzy leżą długo, zapewne są z owym zapachem zaznajomieni, a może nawet zaprzyjaźnieni, lecz tacy jak ja, odwiedzający lazaret z rzadka i niechętnie, kręcą nosem. Bo chemikalia śmierdzą. Parszywie. Ledwie można oddychać. Wiem, to zabezpieczenie przed chochl -wampirami. Wiem, te małe chichoczące cholery przyczepiają się do każdej rany, jątrzą ją, ssą krew, przenoszą choroby, hałasują strasznie, tak że ranni nie mogą spać. Wiem też, że stosowanie takiej broni, jak chochl -wampiry, zostało zakazane przez konwencje międzynarodowe – jeszcze wtedy, gdy ktokolwiek ich przestrzegał. Wskutek nieprzestrzegania przez elfy międzynarodowych zobowiązań w szpitalu śmierdzi.

Łapię powietrze ustami i idę wzdłuż rzędów łóżek, z których dobiegają jęki rannych i posapywania gorączkujących. Widzę twarze sinozielone, prawie martwe – to ci, których ogarnęła elfia mgła, gdy nierozważnie rozbili obóz w leju po pocisku. Głupki, myślę, wiadomo przecież, że mgła osadza się właśnie w takich miejscach. Gdy nadciąga elfi, śmiercionośny opar, trzeba do góry – na drzewo, mur, pagórek. Tam gęstość jest mniejsza i szanse przeżycia rosną. Ale ci, oceniam, sądząc po ich twarzach, nie przeżyją. Nie ma takiej możliwości.

Mimo wszystko żal mi ich – to w większości młode snale, nawet nie mają jeszcze porządnych bród, mogliby być moimi studentami w Unterbergu. Starczy rzut oka i poznają świeżego rekruta. A cała ich wina to brak doświadczenia i brak wiedzy o wojnie, brak znajomości frontowych mądrości i żołnierskich przesądów. Szlag, niby gdzie mieli się tego nauczyć?

Odwracam głowę i wbijam wzrok w plecy idącego przede mną Alberta. Skupiam się na ogniku skręta, który dymi pomiędzy jego palcami, pochłania mnie mało oryginalny, brązowozielony układ maskujących plam na jego mundurze, nucę melodię stanowczych Albertowych kroków – po to tylko, by nie myśleć o snalach, których mijam. By zająć się czym innym. By się nie zastanawiać, czy aby zadowolenie Imperatora i niejasna perspektywa niepodległości są warte tych zaciągniętych

śmiercią twarzy.

Naraz ustaje rytm wybijany gumowymi podszewkami, zastyga w miejscu ogień czający się pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, przestaje skrzypieć brudna, drewniana podłoga. Słyszę, że Albert coś do mnie mówi, wskazując na leżącą niedaleko płataninę krwawych bandaży. Dopiero gdy powtarza po raz trzeci, rozumiem jego słowa. – Sterne. Tak, no cóż. Co mam, do cholery, powiedzieć?

Sterne, ogłędnie mówiąc, nie przedstawia imponującego widoku.

Najpierw noga – owinięta bandażami przesiąkniętymi krwią, środkami dezynfekującymi, balsamami gojącymi i nie wiem czym jeszcze. Wygląda to źle i szczerze wątpię, czy kiedyś ujrzę jeszcze Sternego chodzącego na obu nogach. O ile w ogóle będzie chodził. Moje wątpliwości biorą się z odcienia jego skóry, która jest szara. Szara niczym zimna i niesmaczna zupa, którą podają nam co rano, a gotują bodaj ze szczurów. Szara jak frontowy świt, zmacony przez dymy dział. Jak szare są twarze tych młodzików, którzy leżą w korytarzu. Szara jak śmierć.

Albert chwytając mnie za rękaw, powstrzymuje, kiedy chcę podejść do łóżka rannego.

– Gorzej z nim... – mówi, jakoś tak dziwnie, urywając słowom końcówki. Czyżby płakał? – Gorzej, niż myślałem.

Chwilę trwa cisza, w której obaj stawiamy krzyżyk nad naszym kompanem, bo oto druh od destylatu, kart i śmiałych natarć na szturm -bestie odchodzi z tego świata. Wreszcie Albert, wpatrzony w leżącą kilka kroków od nas postać, pyta:

– Myślisz, że mogę wziąć jego amulet? Wygląda na to, że jemu... Urywa, by nie zwerbalizować myśli, która zagnieździła się również w mojej głowie.

Jemu nie będzie już potrzebny, konkluduję, i gdy chcę odpowiedzieć Albertowi, że proszę, że ja nie mam nic przeciwko, chociaż nie wiem, ile ów kawałek bursztynu jest rzeczywiście wart, bo Sternemu najwyraźniej pomógł niewiele, jeśli w ogóle, rozlega się głos: – Nie!

Głos jest słaby, rwie się, lecz brzmi stanowczo. Ja i Albert przecieramy z niedowierzaniem oczy.

– Jeszcze nie – powtarza Gerd Sterne, unosząc powoli głowę.

Dopadamy do jego łóżka, przepraszamy, życzymy zdrowia. Albert wyciąga z kieszeni dwa cygara, skręcone z południowego ziela, owija je w swój najlepszy rzyciorys i wciska pod poduszkę Gerda, mówiąc coś, co zdumiewa mnie równie mocno jak nagłe zmartwychwstanie naszego przyjaciela. Albert, mianowicie, oznajmia: – Za darmo!

Sterne dziękuje, lecz niemrawo, widać, że jest bardzo osłabiony. W jego wzroku czai się strach – ten sam, który dostrzegłem w oczach żołnierzy wracających spod twierdzy Wag. Zaraz, czy on przypadkiem nie brał udziału w tamtych walkach? Uświadamiam sobie, że przecież służył u Erika, a to właśnie oni zostali rzućeni jako nasza zmiana. Może Sterne wie coś o elfach noszących na piersi dziwny czerwony znak? Może potrafi wyjaśnić, jak to się stało, że stalowe drzwi spłynęły po ścianie jednego z bunkrów? Może...? Zadaję Gerdowi pytania i z każdym kolejnym tracę nadzieję. Czy Sterne coś wie? O, to wielce prawdopodobne. Tyle że nie może powiedzieć. Został – teraz staje się to dla mnie oczywiste – zaklęty. Wszystko, co uda mu się wydusić, to strzępki informacji, bełkotanie osobnika pogrążonego w gorączce, nie wiadomo, co jest warte uwagi, a co nie.

– Twór...! – wykrzykuje i blednie, najwyraźniej przerażony samym wspomnieniem. – Szturm -bestia! Zabije...

Milczenie.

Dreszcze.

Głowa unosi się nad zabrudzoną poduszkę. Spojrzenie Gerda napotyka moje.

Kolejny krzyk.

– Uważaj na tych, co nie patrzą ci w oczy!

Milczenie.

Bładość.

Tak, myślę, walki o twierdzę Wag to nie mogło być miłe przeżycie.

W tym momencie pojawia się przede mną wiedźma oddziałowa, fuka gniewnie, że niby niepokoiśmy rekonwalescentów, wymienia chemikalia z zasobnika, gąbką sączy w gardło Gerda wywar wzmacniający. Stara się nie okazywać niepokoju, rzuca nam zapewnienia, że wszystko jest w porządku, ale po sposobie, w jaki zerka na obandażowaną nogę, wnoszę, że jeśli Gerd z kłopotów wyjdzie, to tylko o drewnianej protezie.

Gdyby nie idiotyczne embargo, myślę, gdyby nie zakaz używania magii innej niż rodzima, można by wiele zdziałać. Elfy, te z zachodu, mają osiągnięcia, jeśli idzie o uzdrowienia. Lecz nie, szlus, nie wolno, koniec, kropka. Kiedy ktoś złamie to prawo, zajmie się nim imperialna policja polityczna, a wierzcie mi, ona potrafi zajmować się swymi ofiarami. W ten oto sposób krótka, całkiem niewinna noga Gerda stałaby się ofiarą wielkiej polityki.

Z zamyślenia wyrывa mnie Albert, szarpiący moje ramię i wskazujący wejście do sali, w której leży Sterne. Mrużę oczy i w słabym świetle dostrzegam dwie postaci. Jedna to z pewnością znachor oddziałowy, nie może być inaczej – długie, czarne szaty, przyszyty do rękawa pęk ziół, a w dłoni biała apteczka. Obok niego stoi snal w mundurze, sporo niższy od znachora, choć, jak na snala, i tak dość wysoki. Przyglądam mu się, nie wierząc własnym oczom. Tak, to Erik, dowódca oddziału, w którym służył Gerd Sterne. Ten sam Erik, o którym krążyły już opowieści, który robił błyskawiczną karierę w armii i był uważany za wielką nadzieję Unterbergu, gdy po zakończeniu wojny przyszłoby wymusić obiecaną niezawisłość Zagłębia. Ten sam Erik, na którego wspomnienie apatyczny Sterne jął pluć obelgami.

Mężczyźni dyskutują chwilę w drzwiach, a po gestach poznaję, że dyskutują o Gerdzie. Potem znachor znika, Erik natomiast rusza w naszą stronę. Sterne, którego Albert zdążył już poinformować o niespodziewanym gościu, z nagłą traci siły i zemdłony opada na pościel. Dowódca czwartej kompanii ezoterów staje więc przy nas bez słowa, zapewne z nadzieją, że

Sterne jednak obudzi się z letargu. Wreszcie, zniecierpliwiony oczekiwaniem, wita się z nami, rzuca kilka luźnych uwag na temat podłych szpitalnych warunków, spogląda z ukosa na niższego szarżę Alberta. Widać nie w smak mu rozmowa ze znanym w całej armii spekulantem, więc bierze mnie pod ramię i odciąga na stronę.

– Ciężko z nim – mówi, wskazując na Gerda. – Konsultowałem się ze znachorem. Obiecał, że potraktuje sprawę priorytetowo, dałem mu nawet łapówkę. Lecz szanse, wedle znachora, są marne. Sterne prawdopodobnie umrze. Szkoda.

– Ale, Erik – chwytam rozmówcę za rękaw, na którym dumnie pręży się dwugłowy gryf Imperatora – co tam się stało? Byłeś w twierdzy Wag? Co się tam wydarzyło?

Nieustraszony Erik milknie, traci rezon, traci pewność siebie. Przez moment widzę chmurę zmartwienia, która pokrywa jego twarz. Daje mi znak głową, byśmy opuścili szpital. Idziemy w milczeniu.

– Dowiesz się – mówi wreszcie, gdy już straciłem nadzieję, że powie mi cokolwiek. – Wzywają do sztabu. Ciebie. I mnie też. Idziemy.

Droga do kwater dowództwa wiedzie przez obozowiska, między namiotami wypełnionymi obolałymi snalami, orkami i, w mniejszej części, ludźmi. Mijamy ogniska, mijamy krzaki, w które całymi grupami chodzą szeregowcy za potrzebą, mijamy składy broni, a ja wciąż myślę o tym, co wykrzyknął Sterne, gdy Albert wspomniał o Eriku. "Posłał!". "Pod ogień!". "Pod łapy!". I na koniec: "On się zmienił!".





Zawsze, gdy spoglądam na mapę, dopada mnie banalna myśl – doświadczam swojej małości w obliczu świata. Z jego ogromu zdaję sobie sprawę dopiero, kiedy mam przed oczyma odwzorowanie. Teraz też spoglądam na mapę, rozwieszoną w namiocie, w którym mieści się kwatera główna generalicji. Wbijam wzrok w płataninę czarnych linii skreślonych węglem na białych zwojach, śledzę czerwone i niebieskie prostokąty, strzałki, okręgi. Czerwień, ta krwista, to my, błękit, świetlisty, fluorescencyjny – oni. Jest jeszcze dziwna wielka kropka, której zieleń kłuje w oczy. Nie wiem, co oznacza.

Znów doświadczam małości, lecz tym razem to nie świat mnie przytłacza, przecież mapa pokazuje ledwie mały wycinek frontu. Tym razem czuję się przytłoczony liczbą błękitnych pól. Jeśli mapa mówi prawdę – a niby czemu miałyby kłamać? – Elfor zgromadził przeciwko nam siły dwakroć liczniejsze, niż posiadamy my sami.

W pewnej chwili dociera do mnie, że gwar w namiocie nieco przycichł, odkąd pojawiliśmy się w nim Erik i ja. Tak jak ja w mapę, większość oficerów wpatruje się we mnie, choć moja szarża jest niska i z pewnością nie elektryzuję tłumów, czym może się pochwalić choćby Erik. To jednak do mnie pierwszego podchodzą – kilku ludzi, sprawujących dowództwo nad naszymi armiami. Znam ich, widziałem wszystkich, prócz jednego. Tego najwyższego, w masce.

Przez moment zastanawiam się, kim on jest, pierwszą myśl bowiem odtrącam, jest zbyt śmiała, by okazała się prawdziwa. Bo przecież to nie może być jeden z trzech gandalfów sztabowych, ten, który w walkach o Kopalnię Czarnej Wody stracił połowę twarzy od wybuchu oleju. Ten, który sam szedł przeciw falandze elfów. Ten, który przeżył masakrę pod Kolumnami Uzurpatorów i przeprawę przez nurty Isy. – Mamy więc pat – mówi zamaskowany.

Odwracając się ode mnie i chwytając kawałek węgla, zbliża się do tablicy. Idąc, utyka na prawą nogę, jak gdyby była krótsza lub nie do końca sprawna. Zapewne postrzał lub elficka szabla.

To jednak on, myślę. Oszpecony w Kopalniach.

– Brak zmian... – Robi długą pauzę, spogląda na mapę, na której, poznaję, przedstawiono linię umocnień wzdłuż Wagu, na północ od twierdzy. – Raz oni nas, raz my ich przesuniemy o wiorstę, a jeśli zdobędzie się jakiś bunkier, to już święto. Tylko transeje wciąż spływają krwią...

Umie gadać, myślę, nie ma co, umie gadać. Widzę oczy dowódców innych jednostek snalskich, słyszę pełne uznania ryki oficerów z Autonomicznego Regionu Orkijskiego. Wszystkich ten odcinek frontu mocno poszczerbił. Kosztował dużo krwi.

– Oba sztaby generalne, i ich, i nasz, pojęły, że sytuacja dojrzała do tego, by podjąć kroki znacznie bardziej radykalne. – Zamaskowany milknie, pozwalając, by opadły głosy aprobaty, po czym mówi dalej: – By doprowadzić do przełomu. Obecnie fabryki Górskiego Okręgu Przemysłowego pracują pełną parą, wypluwają tysiące sztuk amunicji, konstruuje się coraz doskonalsze wozy bojowe, alchemicy zmieniają skład czarowidła tak, by nie trzeba było co noc czyścić karabinów. Na front zmierzają właśnie transporty nowych dział, a kolejna runda mobilizacji zwiększy nasze siły o jakieś dwieście tysięcy rekrutów. Krótko mówiąc, dowództwo postanowiło zgnieść siły wstecznego reżymu i zapewne nam się to uda. A raczej mogłoby się udać.

Znów zapada cisza, której nikt nie ośmiela się przerwać. Słuchacze są zahipnotyzowani, bo zaiste, Oszpecony ma dar wymowy wykraczający poza zwykłą retorykę. To prawdziwa magia słowa, i gdyby nie ekrany, wszechobecni ŁowCzy i odczynniki, sam pomyślałbym, że w swoich przemowach zamaskowany posługuje się magią, i to nie naszą, autoryzowaną.

– Jest jednakże problem. – Wskaźnik, skierowany dotąd czubkiem ku noskom butów, unosi się w kierunku mapy. – Elfy były szybsze. Czubek wskaźnika, pokryty kurzem podłogi, przesuwa się od jednej błękitnej plamy do drugiej, łączy je w dywizje, brygady, armie, opisuje ich ruch, rysuje przewidywane linie natarcia i reakcję naszych jednostek. Wszystkie scenariusze zbiegają się w jednym punkcie – na płaskowyżu Höd.

– Jeśli przejdą – bohater kryjący oszpeconą twarz za maską zawiesza głos – wiecie, co jest dalej. Wiemy.

Szeroka droga prowadząca prosto do Zagłębia, do Górskiego Okręgu Przemysłowego, do Unterbergu. A jeśli kolumny elfów skręcą nieco na południe, to dotrą do ARO i wtedy kłopot będą miały orki. Stają mi przed oczyma nasze miasta, które nie są przystosowane do obrony, w wyobraźni widzę zatłoczone orkijskie czworaki pod ostrzałem, ulice puchnące od biegających w przestrachu tłumów, tratujących się nawzajem, wyobrażam sobie elfich bombardierów sprowadzających na nasze miasta deszcz ognia i przechodzą mnie ciarki.

– To bitwa – mówi oficer w masce, spoglądając w twarze snali i orków – o wasze domy i rodziny. Jeśli przebiją się przez tę linię frontu, nim nadejdą posiłki, nic ich nie powstrzyma.

Przecież w pobliżu są też miasta ludzi, zauważam, liczne i duże. Im również grozi niebezpieczeństwo. Chcę zaprotestować, lecz zamaskowany kontynuuje przemowę, jak gdyby czytał w moich myślach.

– Wywiad zdobył informacje – wyjaśnia. – Elfy po przerwaniu naszych linii chcą iść na południe, by zniszczyć bazę przemysłową Cesarstwa. A zatem ARO i GOP. Pięknie, kurwa, pięknie.

– No dobrze. – Z tłumu występuje stary snal, dowódca kirasjerów. Wreszcie ktoś odważny wchodzi w słowo człowiekowi w masce, aby powiedzieć to, co myśli wielu. – Widać, że mają przewagę liczebną, ale co z tego? Stosują archaiczne technologie, przestarzałe sposoby walki. My dysponujemy nowymi rodzajami broni, a oni... – A oni? – przerywa mówcy zamaskowany.

Wtedy właśnie, po raz drugi tej nocy, spogląda na mnie.

– Ekkehardzie – gestem zachęca, bym podszedł do niego – czy mógłbyś zdać relację z ostatniego zwiadu? Napisałeś poruszający raport.

Idę chętnie. Od wielu tygodni nie występowałem przed

publicznością, a tęsknota za Akademią, za salą pełną studentów, jest jednak silna. Pozostajemy więźniami swych nawyków. Gdyby nie temat, który przychodzi mi zreferować, powiedziałbym, że czynię to z radością.

Mówię długo, z detalami opisując to, co zobaczyłem w twierdzy Wag. Wreszcie przychodzi czas na konkluzję.

– To nie mogła być chimera – stwierdzam. – Choć kształty są podobne, rozmiar śladów zupełnie nie pasuje. Zbyt duże są... – Yyy tam. – Wielgachny ork przepycha się między oficerami i kładzie upazurzoną łapę na ramieniu Erika. – Wy, snale, też nieduzi, a ten, o, jaki wyrósł. Zdarza się.

Kręcę głową z dezaprobatą, zupełnie tak, jak zwykłem to robić w zaciszu sal wykładowych, kiedy głos zabierał zbyt pewny siebie i przemądrzały student.

– Anomalie, oczywista, się zdarzają – potwierdzam. – Ale nie w takiej skali. Rozmiary śladów nie były większe o dziesięć czy dwadzieścia procent. Nawet nie o pięćdziesiąt...

– No, gadajże jaśniej – warczy ork, nieobyty z uniwersyteckim sposobem wypowiedzi. – Ile?

– Trzy i pół razy – odpowiadam, spoglądając w wielkie szare oczy, prawie pozbawione białek.

Widzę, jak ork mruga z niedowierzaniem, słyszę, że w gardle więźnie mu ryk. Znać po nim, że wielokrotnie miał do czynienia z chimerami. Gdyby nie sierść na gębie i brązowa skóra tam, gdzie prześwitują łysiny, zapewne zobaczyłbym, że błędnie.

– Trzy i pół razy? – Orkowi, który zaniemówił, przychodzi w sukurs gnom, od artylerzystów.

Przepycha się do mnie, chwytając za rękaw munduru i patrzy błagalnie, jak gdyby chciał usłyszeć, że coś mi się pomyliło, że to nieprawda. Niestety, druhu, nie mam dla ciebie dobrych wiadomości.

Przez chwilę milczę, czekając, aż opadną emocje wzbudzone moją wypowiedzią. Oficerowie głośno dyskutują, gestykują, kręcą głowami. Nic dziwnego, chimery stanowiły jedną z

najgroźniejszych elfich broni. Sporo czasu upłynęło, nim poznaliśmy ich słabe punkty, wypracowaliśmy sposoby zabijania, a i tak była to w każdym przypadku krwawa operacja. Ileż razy owe szturm-bestie przerywały nasze linie, niszczyły umocnienia, w pojedynkę rozbijały kolumny wojska.

Pokryty twardą niby żelazo łuską, łeb o lwim kształcie, lecz trzykroć większych rozmiarach, łapy jak kamienne kolumny, paraliżujący smrodogaz wydobywający się z gardzieli, no i ogłuszające ryki – oto krótkie, acz niepełne opisanie potwora. Moją rolą jest jednak nie opisywać bestie, lecz eliminować, co szło mi całkiem nieźle. Niemniej – wtedy gdy ja i mój oddział nie daliśmy którejś rady, jeśliśmy ją przepuścili dalej – zbierała krwawe żniwo. Zatem nie dziwota, że gardłują. Trzy i pół razy!

Pośród tego morza wzburzonych głów dostrzegam dwie postaci trwające spokojnie, niewrażliwe na powszechny rozgwar i strach. Pierwszą jest zamaskowany oficer, drugą Erik. Stoją obok siebie i zachowują się, rzekłbyś, jednako. Milczą, rozglądają się po zgromadzonych, lecz nikomu nie patrzą w oczy, uciekają wzrokiem, jak gdyby można było z niego coś wyczytać. Sprawiają wrażenie, że wiedzą więcej niż pozostali.

Wreszcie, zniecierpliwiony przeciągającymi się dyskusjami, Oszpecony unosi dłonie i klaszcze. Raz, dwa... – i wszyscy milkną. Ależ on ma charyzmę, myślę, a w tej samej chwili zamaskowany wskazuje na Erika i oznajmia: – Usłyszeliście dopiero wstęp.

Erik chrząka w pięść, przeciera czoło i rozpoczyna opowieść. O twierdzy Wag.

Na początku jest nudno i bez sensacji, zwykłe frontowe epizody – ot, ktoś zamienił się w kamień, trafiając na elfią minę inkantacyjną, z gąszczu lasu wyskoczyło stado kościńców, potem znów nastąpił atak ożywców, odparty nadzwyczaj sprawnie przez miotacze ognia. Niespodziewani nasi napotkali wojska elfów, wywiązała się strzelanina, której celem – jak zakładał plan – było wciągnięcie oddziałów wroga w głąb systemu naszych umocnień. Tamci, wedle słów Erika, byli wyjątkowo nieostrożni, rzucili się w pogoń za naszymi, mając najwyraźniej chętkę na zwycięstwo szybkie a łatwe. – Po

zlikwidowaniu ożywców i kościonogów ja i mój oddział staliśmy z boku. – Głos Erika jest matowy niczym tkanina maskująca, z której uszyto nasze namioty. – Dlatego jeszcze żyję. Erik robi przerwę. Sądzę, że chce wyrzucić na słuchaczach lepsze wrażenie. Zawsze zdradzał skłonności do efekciarstwa. – Przez pewien czas toczyła się zwyczajna bitwa – mówi. – Z naszych bunkrów szedł ciągły ogień, elfy mimo strat napierały, jeden z bastionów został przez nich zaklęty i runął pod własnym ciężarem, ale któryś z naszych snajperów sprzątnął zaklinacza. Pomyślałem wówczas: już wygraliśmy. A wtedy... – znów przerywa. – No co, kurwa, wtedy? – krzyczy zniecierpliwiony rudy ork.

Po raz kolejny konstatuje ze smutkiem, że nie mamy sojuszników, jakich można by sobie wymarzyć.

– Wtedy zadrżała ziemia.

Po tych słowach Erik bierze głębszy wdech, zapala skręta. Wznosi wzrok, patrzy na plamy, którymi jest upstrzony namiot. – Za pierwszym razem pomyślałem, że to nasza artyleria – kontynuuje – że może przerzucono na ten odcinek frontu Grubą Wolvę. Później, kiedy rozpoznałem już, że ogień idzie od drugiej strony, doszedłem do wniosku, że to elfy, że zbudowały jakieś porządne działo. Był jednak pewien fakt, co przeczył temu, przyznacie panowie, odważnemu założeniu. Pociski... nie spadały. – Coś chyba pan widział?

Nawet ludzie, zwykle powściągliwi i zachowujący pełen rezerwy dystans w stosunku do "ras niższych", z którymi się z konieczności sprzymierzyli, zaczynają tracić cierpliwość, myślę, słysząc pytanie bladego, wysokiego blondyna o błękitnych oczach. Jest dwakroć wyższy ode mnie, ale kiedy staje niedaleko Erika, uświadamiam sobie, że mojego krajana i człowieka nie dzieli znów tak wiele. Dziwne, cholera, zawsze mi się zdawało, że Erik nie różni się zbyt wiele ode mnie. Przez głowę przemyka mi głupio, że urósł tak od sukcesu.

– Początkowo nie widziałem – odpowiada Erik, a głos jego brzmi równie chłodno, jak głos człowieka. – Najpierw rzuciło mnie na ziemię. Wybuch – wyjaśnia, widząc pytające spojrzenia.

– Zadrżały budynki, buchnęły płomienie, rozszedł się dym, a podmuch był tak silny, że upadłem. Kiedy wstałem, jeden z bunkrów był cały czarny, okna miał wypalone, podobnie drzwi, ze środka sączyły się smugi dymu. Z któregoś z okien zwisała czarna szmata. Dopiero gdy tam podbiegłem, zrozumiałem, że to zwłoki któregoś z obrońców. Spalone. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem... – Namyśla się przez chwilę. – Przyczynę. Wychodził z lasu, roztrącając drzewa tak, jak gdyby to były źdźbła trawy. Stwór. Podobny trochę do chimery, ale tylko trochę. Używam tego porównania, bo nic innego nie przychodzi mi na myśl. Na plecach miał grzebień z łusek, ciągnący się aż do ogona. Przy czym szturm -bestia potrafiła się owym ogonem posługiwać znakomicie, ścinając nim naszych niby zboże lub uderzając w bunkry. Pod tymi uderzeniami...

– Kruszył się mur – kończę za Erika, nagle rozumiejąc, jak powstały zniszczenia w pasie umocnień. – Pękały ściany.

– Jednak to nie rozmiary bestii były najgorsze – mówi Erik. – Nie ogon, nie skóra odporna na nasze pociski niczym pancerz. Najgorsze było to, że stwór pluł ogniem. Czy raczej plwocina, która, spadając, wybuchała i wzniecała pożary. W kilka chwil obrócił kompleks bastionów w pogorzelsko.

– Nic pan nie zrobił? – pyta człowiek, karcąco spoglądając na snala. – Przecież od tego pan jest.

Drzę. Za taką obrazę, za sugerowanie niedbalstwa, a może nawet tchórzostwa, honorowy snal potrafi zabić. Erik jednak dojrzał nie tylko fizycznie, ale i mentalnie, poznaję, że przystosował się do ludzkich kąśliwości. Stoi spokojnie, nie drgnie mu powieka, kiedy odpowiada:

– Zrobiłem. Stąd trzy czwarte mojego oddziału nie przeżyło. Choć przyznaję, ani ja, ani moi snale na coś takiego nie byliśmy przygotowani. Moździerze, przenośne armatki, granaty zakłete i cały nasz pozostały arsenał nie wywarły na stworze żadnego wrażenia. Wszystko odbijało się od niego jak od skały. Łańcuchów zaś nie mogliśmy zastosować, bo pod osłoną szturm -bestii biegły elfy, wycinając tych, co podeszli zbyt blisko. Nowa jednostka, świetnie wyszkolona i uzbrojona lepiej niż inni. Ich

broń palna nawet się do czegoś nadawała, a prócz tego wiadomo, zakłete bagnety i szable, kusze wielostrzałowe, trójzęby... łatwo ich poznać, bo na piersiach...

– Na piersiach mają czerwone oko, przecięte pazurem, wpisane w literę D – dopowiadam po raz kolejny, nie mogąc się po wstrzymać.

– To dragoni – objaśnia Erik.

– Dragoni? – pyta któryś ze zgromadzonych. – A cóż to znaczy? Zamaskowany unosi prawą dłoń. Wszyscy milkną, a ja pojmuję, że oto doszliśmy do kolejnego punktu znakomicie wyreżyserowanego przedstawienia. W całym namiocie przygasają żarówki. – Nasz gość nie przepada za zbyt jaskrawym światłem – tłumaczy Oszepeony, wskazując na dwóch adiutantów, którzy prowadzą jakąś postać.

Postać jest wysoka, podejrzenie wysoka, odziana w habit przypominający szaty kapłanów, których można zobaczyć w elfich sagradach, a jej twarz zakrywa kaptur. Przybysz stąpa lekko, jak gdyby płynął w powietrzu. Niczym duch. Niczym...

Nieznajomy, stanąwszy pośrodku namiotu, szybkim ruchem zdejmuje kaptur, a ja poznaję odpowiedź, której i tak się spodziewałem. Na nasze twarze pada lekki, seledynowy blask. Elf.

Słyszę wzbierający w gardle orka ryk, słyszę odbezpieczony dyskretnie pistolet, słyszę, że moi rodacy zgrzytają zębami. Tylko oficer w masce pozostaje nieporuszony. Kłania się przybyszowi, co jeszcze bardziej nas rozsierdza i podburza, po czym oznajmia: – Oto najlepszy z naszych agentów. Oto człowiek.

– Elfia krew... – wyjaśnia pospiesznie przybysz, który bynajmniej nie jest tak spokojny jak Oszepeony. Nasze twarze, co tu kryć, nie wyglądają przyjaźnie. – W dużych ilościach. Chodziło o to, by się upodobnić. By przeniknąć...

– W elfie struktury... – wtrąca zamaskowany. – Nasz przyjaciel przeniknął głęboko. I to zarówno w znaczeniu metaforycznym,



jak i, ha, dosłownie.

Elf -nieelf kiwa głową.

– Byłem w Cavach – mówi.

Nie wiem, czy ludzie lub orki wiedzą, co to takiego, ale my, snale, znamy to słowo bardzo dobrze, choć pochodzi z elfiego. W dodatku to południowy dialekt, zza Półwyspu wysuniętego hen, w Bezmiary. Znamy je, ponieważ "cava" oznacza jaskinię.

Kiedyś, w dalekiej przeszłości, cavy były zamieszkane, jak chce legenda, przez nas, przez snale, lecz wraz z elfią inwazją wyrzucono nas stamtąd. Ponieważ jednak elfy nie przywykły do ciasnych, mrocznych przestrzeni, do wilgoci i braku świeżego powietrza, większość cav opuszczono. Tylko nieliczne pozostały zasiedlone, przy czym zagnieździły się tam indywidua tyleż dziwaczne, co niebezpieczne. Czarownicy. Ci najwięksi.

Przybysz wpatruje się w mdły blask jedynej zapalanej żarówki. Mruży oczy i stara się za wszelką cenę nie odwracać głowy. – Odwykłem – mówi wreszcie. – W Caves de Drach nie było światła, prócz tego, które emanowało od elfów. Słyszeliście kiedy o Drachu? Nie, widzę, że nie – mruczy, spostrzegając nasze zdziwione spojrzenia. – Mało kto o nim słyszał, dba on bowiem o to, by świat nie wiedział o jego istnieniu. Lecz poznaliście jego dzieła. Mięsożerne jednorożce, orły o szponach ze stali, chimery... W stworzeniu wszystkich tych maszkar Drach brał czynny udział. Jednakże to były produkty uboczne. Na wiele lat przed wojną rozpoczął on badania nad bronią, która w ewentualnym konflikcie miała zapewnić elfom zwycięstwo. Nie tak dawno wysiłki te dobiegły końca. Przybysz robi przerwę, dyszy ciężko.

– Dziwne tu macie powietrze – ciągnie. – Świeże. Kiedy kilka lat spędza się pod ziemią, przywyka się do oddychania mieszkanką dymów z kadzi, wyziewów bijących z gejzerów, przywyka się do woni nietoperzy i zmurszałych kości. Do zapachu krwi i odoru gnijących ciał zwierząt. Bo Drach, trzeba wam wiedzieć, prowadził doświadczenia na zwierzętach. Aby stworzyć bestię nad bestiami, korzystał z żywych stworzeń – i

były to zarówno ogromne, pustynne lwy szablatozębne, jak i małe węże zamieszkujące bagna. Były rzeczne jaszczury, były gryfy i hydry, i jeszcze wiele, wiele innych. W kotłach, których ścianki zostały pokryte pradawnymi inskrypcjami magicznymi, wciąż bulgotały roztwory, na paleniskach bez ustanku buzował ogień, lała się sprowadzana w wielkich ilościach elfia krew. Drach krzyżował zarodki, przeszczepiał tkanki, zespałał mocą magii to, czego natura zespolić nie mogła, zmieniał i wpływał, aż wreszcie powstał stwór, którego świat wcześniej nie widział. Monstrum, mające zapewnić elfom przewagę. Od imienia Dracha zwą go dragonem, choć jest też i nazwa krótsza, sięgająca do starych legend, z których zresztą Drach zaczerpnął swój pomysł. Smok. Przez długą chwilę panuje cisza. Wszyscy czekają na dalszy ciąg opowieści, na dalsze wyjaśnienia, wszyscy też zastanawiają się, czy to koniec wojny, czy stoimy na straconych pozycjach, czy za moment falanga smoków runie na nasze linie i rozbije wojska w pył. – Skąd masz te informacje? – pyta któryś z ludzi. Oni zawsze pozostają podejrzliwi i pełni wątpliwości. – Magowie elfów to samotnicy, zazdrośnie strzegą swoich tajemnic.

Elf -nieelf spogląda na pytającego wzrokiem, którego nie powstydziliby się najbardziej jadowity z węży. Opanowuje jednak emocje i odpowiada cicho, spokojnie:

– Przez kilka lat byłem jednym z asystentów Dracha. Zaufał mi. Zapominasz, kim się stałem...

Człowiek splota na piach w namiocie, pogardliwie wydyma wargi i parska.

– Elfem. Elfem się stałeś, a elfy...

Nie kończy, widząc tuż przed sobą stalowe oczy Ospeconego, który nic nie mówi, lecz starczy sam żelazny wzrok, by oficer umilkł i opuścił głowę jak skarcony uczeń.

Znów zapada cisza. Nikt nie wie, co teraz robić. Wreszcie ktoś rozpoczyna dyskusję, bezsensowne słowa płyną kaskadą. – Ale przecież...

– Nie, nie, tak nie można, nasze działa są zbyt słabe...

- Wybuchy...
- Może mur?
- Bzdury! Bzdury!
- Ja wiem...

Kręcę z niesmakiem głową, widzę bowiem, że nic, absolutnie nic nie wynika z owych rozmów, nikt nie ma pomysłu na walkę, mówią, by mówić, by zagłuszyć rodzący się gdzieś w okolicach podbrzusza paraliżujący strach. Powoli i mnie ogarnia przerażenie, bo z nagłą nasze zgrupowanie wojsk, broniące dostępu między innymi do mego ukochanego Unterbergu, zaczyna przypominać okręt bez sternika, który obraca się, okrąg za okręgiem, porwany przez wir. Sternik na szczęście jednak jest, jest kapitan. Na głośne klaśnięcie Oszpeconego milkną wszyscy. Przed oficerem w masce staje Erik.

– Wag to był test, przygrywka. Główne natarcie pójdzie na płaskowyż. Bitwę wydamy tam, gdzie się kończy płaskowyż Höd – oznajmia zamaskowany, uderzając wskaźnikiem w mapę tak mocno, że dziurawi papier. – Tam stawimy czoło elfom i ich smokom. A najważniejsza rola w bitwie przypadnie ezoterom.

Zamaskowany spogląda wymownie na mnie, na pozostałych dowódców kompanii, walczących ze stworami mroku, po czym kładzie dłoń na ramieniu stojącego przed nim Erika, a ja wiem, co za moment usłyszę.

– Oto osoba, która będzie odpowiedzialna za działania południowego skrzydła. Tam, przewiduję, skierują smocze uderzenie. Tam zastawimy pułapkę. I pamiętajcie – zwraca się do orków, i do nas, snali – pamiętajcie, że walczyacie nie tylko o wolność naszą, ludzi. Bijecie się też za wolność waszą, własną, za wasze domy i wasze żony. Pamiętajcie Odezwę cesarza. Pamiętamy. Czy dlatego ma nam się lżej umierać?



## 5.

Destylat, tanie kobiety, śmiech. Wagony zapchane wojskiem. Jedziemy stłoczeni jak bydło, spoceni, ale weseli, bo oznacza to brak zagrożenia choć przez kilka dni. Front zostaje za nami, chroniony przez siły symboliczne. Większą część naszej armii przerzucają kilkadziesiąt wiorst dalej, na płaskowyż Höd, spotykamy się tam, jak wszystkie strumyki spotykają się w jeziorze u podnóża góry. Jest nas wielu, jesteśmy pijani i dlatego pełni nadziei.

Po przybyciu na miejsce dowiadujemy się, że elfy są daleko, że mamy jeszcze trochę czasu. Wprawdzie tylko jeden z trzech balonów zwiadowczych wrócił (pozostałe dwa rozerwały orły, kosze roztrzaskały się na górskich zboczach; paskudna śmierć), ale wieści i tak jest sporo. Po pierwsze, armie elfów są nieprzebrane, po drugie, liczba szturm -bestii przekracza nasze oczekiwania, a po trzecie, elfy rzeczywiście wiodą jakieś dziwne stwory. Tych ostatnich jednak zwiadowcy nie widzieli dokładnie i nie potrafią ich opisać.

Nie muszą. Ja i tak wiem, co to jest.

Ledwie udaje nam się nieco wytrzeźwieć, przystępujemy do realizacji planu, opracowanego podczas nocy pełnej rozmów, toczonych w namiocie Oszepeconego. Najpierw umocnienia, stanowiska artyleryjskie, gniazda karabinów, podkopy i miny. Równamy powierzchnie, żeby mogły wjechać tam nasze maszyny, opancerzone, najeżone działkami i kaemami. Wreszcie kompanie inżynierskie zabierają się do torów, które w czasie pokoju przecinały Höd i dochodziły aż do Elforu. Teraz, już od kilku lat, droga ta jest nieużywana, a tory...

Ech, idę się im przyjrzeć. Pamiętam, że mój pierwszy dyplom zrobiłem nie z górnictwa, ale właśnie z kolejnictwa. Patrząc na tory i załamuję ręce. Minęło raptem parę lat, podczas których ich nie konserwowano, ledwie kilka lat, a magia elfów działała bez

przeszkód i szyny są kompletnie do niczego. Powykręcane, pogieęte, spękane, wyglądają żałośnie. Uświadamiam sobie, jak ważne jest czarowidło, jak ważne są codzienne, z pozoru bzdurne rytuały polegające na nacieraniu broni i każdego innego mechanicznego sprzętu ochronnym smarem. Bez tego nie mielibyśmy z elfami szans, dowolne urządzenie odmówiłoby posłuszeństwa w krótkim czasie. Nie bez przyczyny za prawdziwy przełom, kamień milowy na drodze rewolucji przemysłowej uznaje się opracowanie syntetycznego czarowidła. To prawda, że wkrótce potem Mider zniósł embargo na technologię, lecz co mógł zrobić? To dzięki czarowidłu powstały pierwsze maszyny parowe, które się nie rozwalają, mimo że nie były wspomagane magią. To wtedy, myślę, w jakiejś obskurnej piwnicy, w oparach zwierzęcego tłuszczu, ziół i destylatu elfy straciły władzę. Teraz chcą ją odzyskać.

Rzut oka na pokieroszowaną linię kolejową upewnia mnie, że nie możemy do tego dopuścić. Rządy elfokracji muszą się skończyć raz na zawsze. Świat powinien zapomnieć o magii. Musi nastąpić zmiana.

Setki gnomów z oddziałów inżynieryjnych kręcą się przy torach, mną w brudnych od czarowidła palcach karteczki z wyrysowanymi na nich runami, szepczą pod nosem antyzaklęcia i smarują każdy łokieć torowiska, każdą śrubę, każdy podkład. Już niebawem, za dzień, może dwa, tory odzyskają sprawność. Pytanie tylko: czy elfy dadzą nam czas? Torowisko odgrywa w naszym planie rolę główną.

Wszędzie napotykam świeżych rekrutów. Patrzą na nich ze smutkiem, bo ich spojrzenia wciąż są ufne, twarze wciąż niezepsute. Jeśli coś przeszli, coś przeżyli, była to fala w koszarach, było poniżanie przez dowódców, było sto okrążeń dookoła baraków... Cóż to takiego? Oddałbym majątek, by znów móc biegać dookoła baraków. Lecz nic im nie mówię. Po co mącić ich spokój, po co psuć ich dobre samopoczucie, po co podkopywać dumę? To i tak runie, niech tylko zagrzmia działa, niech pojawią się pierwsze trupy. Niech więc się jeszcze cieszą. Choćby dwa dni.

Na widok tych transportów młodego mięsa armatniego nachodzi mnie jeszcze jedna, nieprzyjemna refleksja: kto, na Ducha Sztolni, upomni się o niezależność GOP-u? Kto, jeśli wszyscy zginą na froncie?

Spluwam w piach. Spoglądam na błyszczącą w słońcu plwocinę, w której pobłyskują czerwone nitki. Krew. Nie ja, myślę, ja z pewnością nie upomnę się o Unterberg, nie zamacham Odezwą, nie poprowadzę rozgniewanego ludu na pałac Midera. Jeśli w ogóle wrócę, będę wypalony jak wrzucony do ogniska pień. Spluwam raz jeszcze, kaszlę w pięść, łykam destylat, który teraz noszę przy sobie w manierce. To od mgły, nawdychałem się jej nieco, kiedy nasza kompania pełniła nocną straż, polując na potwory i zjawy.

Czas upływa nam na przygotowaniach, stukają kilofy, brygady żołnierzy zamienionych w robotników wznoszą umocnienia, kopią doły w miejscach, które wcześniej oznaczyliśmy, ja natomiast nadzoruję. Przygotowania nie są złe, mógłbym się przygotowywać tak wiecznie, byle tylko nie doszło do walki. Karmią nas przed bitwą dobrze, rzucili nowe konserwy i choć wiem, że w głębi kraju szaleje kryzys, a spekulanci potrafią dorobić się fortuny, handlując chlebem, nie narzekam. Podsmażam w menażce tłuste mięso, dodatkowo okraszone masłem, i maczam w tłuszczu pieczywo. Siadam z posiłkiem pośród moich żołnierzy, którzy tak samo jak ja objadają się ile wlezie, na zapas, wiedząc, że jutro, najdalej pojutrze, sen się skończy.

Mimo wszystko i oni, i ja nie do końca umiemy się weselić, choć nawet destylatu kwatermistrzostwo dziś nie żałuje.

Powiedziałem im bowiem, z czym przyjdzie się nam zmierzyć. Milczeli długo, kiedy to usłyszeli, przestraszeni, tylko Raan, który już domyślił się, po co to właśnie nas posłano na zwiad, nie stracił pewności siebie.

– Jakoś to będzie – powiedział, splunąwszy przezutym zieleń pod nogi. – Poradzimy sobie.

Teraz też, po kilku łykach destylatu, wszyscy powtarzają

"poradzimy sobie", a ja modłę się do Ducha Sztolni – w którego przecież nie wierzę – by to oni, z tą ich naiwną wiarą, zaszczerpioną przez Raana i procenty zawarte w destylacie, mieli rację.

Czas płynie jednak szybko, kiedy nie walczy się o życie. Pierwszy, a potem drugi dzień spokoju mijają niezauważenie. Meldunki od zwiadowców, ostrzeżenia, jakie napływają z balonów obserwacyjnych, wreszcie tajne depeche docierające ze sztabu nie pozostawiają cienia wątpliwości. Jutro.

Wieść szybko rozprzestrzenia się pośród żołnierzy, którzy, usłyszawszy ją, zachowują się rozmaicie. Jedni się modlą, inni ze skupieniem czyszczą i smarują broń, wielu pije na umór i korzysta z usług frontowych dziwek. Ja, po odprawie z dziesiątkami innych oficerów, nie mogę znaleźć dla siebie miejsca w całym obozie. Chodzę pomiędzy namiotami, liczę je bezwiednie i zastanawiam się, ile z nich zostanie pozbawionych mieszkańców. Noc jest wyjątkowo ciemna i ponura, co poczytuję za elfią robotę lub za złą wróżbę. Nie podoba mi się żadna z możliwości.

Przez tę ciemnicę zauważam go w ostatniej chwili. Krył się dotąd w cieniu, pod drzewem stojącym nieopodal wejścia do mojego namiotu. Dopiero teraz się ujawnia i nim zdążyłem wejść, krzyknąć czy zareagować, odciąga mnie w mrok. Postać jest zakapturzona, lecz to nie elf ani człowiek. Jest zbyt niski. Sądząc po wzroście, to snal. – Cicho – warczy.

Głos jest zniekształcony przez tkaninę, mimo to wydaje mi się znajomy. Napastnik odciąga mnie jeszcze kilka kroków, między skałki, rozgląda się na wszystkie strony, sprawdzając, czy nikt nas nie śledził.

– Masz! Inaczej byś nie uwierzył, pomyślałbyś, że mimikrant. – Wciska mi w dłoń coś obłego, jakiś mały okrągły przedmiot, w dotyku przypominający kamień.

Zastanawiając się wciąż, skąd znam ten głos, spoglądam na swoją dłoń. Nieznajomy wyciąga flakonik z elfią krwią, rozpraszając ciemności.

Mrugam z niedowierzaniem.

To nie kamień. To bursztyn.

Amulet.

– Sterne?! – Gdyby nie przyłożył mi szmaty do ust, mój krzyk byłoby słycać w obozie. – Przecież ty... Ty...

– Nie żyjesz? – Sterne zdejmuje kaptur, śmieje się triumfalnie, pokazuje jedną nogę, a potem drugą. Obie całe, obie zdrowe. – Wiem, skreśliliście mnie. Sam też prawie siebie skreśliłem. A byli i tacy, którzy chcieli w tym dopomóc...

– Nie chrzań... – zaczynam, ale Gerd przerywa mi obcesowo:

– Wiem co mówię. Wtedy, gdy przyszliście do mnie, ty i Albert, a Erik gadał ze znachorem... Myślisz, że czego chciał, co? Uratować? Gówno! Proponował znachorowi pieniądze, proponował zwolnienie z frontu i przeniesienie do szpitala w głąb kraju, byle tylko się mnie pozbyć. Szczęście, że znachor, uczciwy, wpierw przyjął łapówkę od mojego papy i czuł się zobowiązany.

No tak, zapomniałbym. Papa Sterne. Jeden z najbogatszych snali w całym Unterbergu, fabrykant, który dzięki wojnie jeszcze pomnożył swą fortunę. Gerd wcale nie musiał trafić na front, ale był dla swojego ojca niczym usprawiedliwienie w oczach pozostałych rodaków. Stary Sterne, planując po wojnie odegranie znaczącej roli w wybijaniu się Unterbergu na niepodległość, musiał dawać przykład. Lecz, oczywista, nie znaczyło to, że o swego syna przestał się troszczyć..

– Ale czemu, chłopie? – pytam, wciąż nie za wiele rozumiejąc.  
– Czemu Erik miałby się ciebie pozbyć? Wiadomości o smoku już przeciekły, mówi o nim połowa armii...

– Nie o to idzie... – warczy Sterne. – Erik jest zły. Zły, pojmujesz? Ty pamiętasz starego Erika, z Unterbergu, lecz teraz coś się z nim stało. Zmienił się. Widziałem, jak bezrozumnie posyła na rzeź pół kompanii, choć to w ogóle nie było potrzebne, widziałem, że cieszy oczy przelaną krwią. Widziałem, w jakiej jest komitywie z ludzkimi oficerami, widziałem wreszcie, jak sam dobija jednego z rannych snali. Myślisz, że takie świadectwo, jak



moje, przysporzyłoby mu popularności? A ta świnia dba o swą karierę! O, o to dbać potrafi! Milknie i wpatruje się w gwiazdy.

– Gdyby oni stamtąd nie przyszli – dodaje smętnie po chwili, strzykając palcami. Bezwiednie sięga do kieszeni i wyjmuje dwa skręty. – Gdyby zostawili nas samym sobie...

Tak, myślę, wtedy byłoby lepiej. Dużo lepiej. Ale stało się... Elfy.

– Słyszałeś te opowieści, powtarzane przy każdym ognisku i każdej kuchni polowej? Te o bestii? – pyta, z pozoru bez związku, błyskając gazową zapalniczką pośród ostrych skał.

Podaje mi skręta. Zaciągam się i od razu domyślam, że to przesyłka od papy Sternego. Cóż za znakomity gatunek ziela! Jaki aromat!

– Słyszałem – potwierdzam, delektując się dymem.

Uśmiecham się, bo nieczęsto się zdarza nam, frontowym, mieć w ustach produkty zarezerwowane dla fabrykanterii. Uśmiech jednak znika, kiedy słyszę następne słowa Gerda: – Sądzę, że Erik jest bestią.

Być może z nogą Gerda już w porządku, konkluduję, infekcja zażegnana, lecz z głową... Nie wiedziałem, że został postrzelony również w głowę.

– Gerd – odpowiadam, nie kryjąc oburzenia. – To jakieś gówno... Bzdura jakaś. Przecież Erik...

– Wiem, wiem – wchodzi mi w słowo, a w jego głosie jest coś, co nie pozwala mu przerwać. – Wszyscy uważacie go za bohatera. Ale powiedz mi, tylko szczerze, jak odróżnisz bohatera od szaleńca? Jak poznasz, czy rzuca się na wroga z racji ideałów, czy też by poczuć zapach jego krwi, jej smak? A jeśli chodzi o krew... – Bierze głęboki oddech. Noc jest zimna, dostrzegam obłok pary przy jego ustach. – Jest jeszcze inna sprawa. Wiesz, że niektórzy oficerowie piją elfią krew? Wiesz, że są uzależnieni? Erik, sądzą, jest jednym z nich. I to sedno problemu. Bo, uważasz, elfia krew jest skażona. Brałeś ją, he? Widzę, że tak, wszyscy tego próbowali. Nie zauważyłeś czego? Nie zauważyłeś aby cienia? Elfy od dawna już nie stoją po stronie światłości. Skąd wiesz, czy

to, co objawia się w transie, co kształtuje twego ducha, to stworzyciel? A może... może ktoś inny?

– Jeśli tak – wreszcie decyduję się mu przerwać – to dlaczego nie doniesiesz o tym Łowcom Czarownic?

– ŁowCzy – burczy Gerd. – Myślałem o tym. Ale tych oficerów jest więcej i Erik z pewnością ma koneksje wyżej. Muszę mieć niezbite dowody. Potrzeba na to czasu, a tego mam akurat mało. Patrzę zdziwiony na przyjaciela.

– Mało czasu? Przecież dopiero co ozdrowiałeś, jako rekonwalescent nie masz obowiązku brać udziału w walkach... – A ty co, głupka udajesz? Myślisz, że nasza medycyna dokonała przez dwa dni niespodziewanego skoku i teraz bez problemu leczą zakażenia, gangreny? Nie, Ekkehard, nic z tego. Wybór miałem prosty – albo do piachu, albo złamanie prawa. Ponieważ ja byłem półprzytomny, papa zdecydował za mnie. ŁowCzy już mnie szukają.

– Magia elfów – w jednej chwili pojmuję, skąd to nagłe ozdrowienie.

Niedobrze. Bardzo niedobrze. To oznacza śmierć cywilną, to oznacza wyjęcie spod prawa. Teraz Gerda może obecnie zabić każdy i nie spotka go za to nawet upomnienie.

– Całe szczęście, że do papy nie dotrą – mówi. – Cała wina spada na mnie. Ale wolę żyć. Żyć, rozumiesz? A te wszystkie odezwy, orędzia, te dezyderaty i kreślone przez Midera plany przyznania snalom niezawisłości kładę między bajki. Im chodzi tylko o bagnety, o mięso armatnie, o nasz przemysł. To dzięki fabrykom Zagłębia wygrają wojnę. Papa mówi, że w tej chwili patriotyzmem jest przeżyć i doczekać zawarcia pokoju. Bo oprócz tego, by Unterberg był wolny, ważne jest, by miał kto w nim mieszkać.

– Żeby Unterberg był wolny – mówię przez ściśnięte gardło – trzeba go najpierw obronić przed elfim uderzeniem.

– Może, może... – Sterne wzrusza ramionami. – Ale powiedz, czemu tylko my stajemy w linii? Czemu tak mało tu ludzi? Papa twierdzi, że to świadoma polityka. Ekkehard – Gerd łapie mnie za

ramię, spogląda w oczy. – Opuszczam front. Uciekam w głąb kraju. Silnik obieżyświata wciąż jest na chodzie, szofer czeka. Papa zapewni schronienie, pozwoli przetrwać do końca wojny. Jedź ze mną, Ekkehard. Po to właśnie przyszedłem, po ciebie. Ekki, przecież tu tylko śmierć. Najpierw – zapamiętuje się w tym snuciu planów – pojedziemy w stronę twierdzy Wag, by zmylić pościg. Tam teraz jest bezpiecznie, bo i nasi, i elfy koncentrację mają na płaskowyżu. A potem... Niechętnie zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie, Gerd – mówię, a Duch Sztolni mi świadkiem, że mówię szczerze. – Nie mogę.

Sterne sapie, kopie ze złością w skałę, pluje zielem i dziesiątką przekleństw. Unosi głowę, patrzy na mnie i pyta drżącym głosem:

– Idziesz? Ekki, więcej powtarzał nie będę. – Nie potępiam cię – odpowiadam. – Ale ja...

Odwraca się i bez słowa niknie w oparach nocy. Gdyby nie intensywny zapach znakomitego ziele, pomyślałbym, że to był koszmar, wynik zbyt mocnego destylatu. Długo jeszcze tak patrzę w stronę, w którą odszedł mój przyjaciel. Wreszcie, czując, że chłód nocy kąsa mi stopy, idę do namiotu, kładę się pod ciepły, choć nieco śmierdzący i zawszony koc, mrużę powieki. Czekam, aż przyjdzie upragniony sen. Zamiast snu przychodzą jednak oni.

Przychodzą, kiedy trwam w przyjemnej drzemce. Przypominają zjawy – bladzi, wychudzeni, odziani w szaty, które wcześniej, w czasach pokoju, zostałyby wyśmiane, bo są żywcem przeniesione z epoki już minionej i niechlubnej. ŁowCzy.

Bez słowa budzą mnie, zwlekają z siennika na ziemię, wyciągają z namiotu. Wszystko to robią w takiej ciszy, że nie budzą żadnego z pozostałych żołnierzy. Wciąż milcząc, prowadzą mnie przez pogrążony już we śnie obóz. Wkrótce docieramy do ich namiotu, tak samo czarnego, jak odzienia ŁowCzych.

– Kiedy z nim rozmawiałeś? – pyta najwyższy, łysiejący człowiek. Bładość jego twarzy ostro kontrastuje z czernią szaty.

Zerknąwszy na podsunięty mi pod nos rys portretujący Gerda, zaprzeczam ruchem głowy, co wprawia we wściekłość całą czteroosobową grupę śledczych.

– Wiemy, że był w obozie. Dziś w nocy. To twój druh.

– Myślałem, że nie żyje. Wtedy, w szpitalu, wyglądał...

– Jak kawał gówna – przerywa mi łysawy, śmiejąc się nieprzyjemnie. – I tak by pewnie skończył, gdyby nie przestępstwo ezoteryczne.

– Daj spokój. – Inny ŁowCzy, snal, odciąga przesłuchującego na stronę. Mówi jednak celowo na tyle głośno, bym wszystko słyszał. – Nawet jeśli się z nim widział, nie powie. Nie teraz. Trzeba nad nim nieco popracować. Podsmażyć szczypcami. Podpiec... – Gerd i przestępstwo ezoteryczne – dukam, udając zdumienie, co wychodzi chyba nawet przekonująco. – Niemożli...

Nie kończę, bo dostaję silny cios w szczękę. Potem drugi. I trzeci. Spadam z krzesła, na którym mnie posadzili.

– Gadaj, pierdolony karzełku – warczy nade mną dwójka śledczych, którzy dotąd milczeli. – Gadaj, albo ci powyrywamy z dupy te krótkie nóżki.

Nie czekając, czy coś powiem, czy nie, zaczynają mnie kopać metodycznie, raz za razem. Potem, wytarzanego w piachu, obolałego, znów sadzają na krzesło, znów spoglądają groźnie, znów nachyla się nade mną ten z łysiną.

– To było preludium tylko. Żebyś zrozumiał. Zrozumiałeś?

Skwapliwie kiwam głową, lecz na kolejne pytanie o wizytę Gerda daję odpowiedź przeczącą. Jestem przekonany, że na mojej głowie za moment ponownie wyląduje but któregoś z oprawców, gdy poły namiotu rozsuwają się jak kurtyna w teatrze. Wchodzi Erik. – Co wy, kurwa...? – Podbiega do mnie, odpycha śledczych, wymachuje szpicrutą. – Coście mu zrobili, orcze syny? To jeden z moich najlepszych dowódców. Mieliście z nim porozmawiać, a nie znęcać się nad nim.

– W porządku – dyszę. – Erik, to właśnie jest ich sposób prowadzenia rozmów. Najpierw trzeba poznać się

interlokutora. Erik podtyka pod nos ŁowCzych rozkaz, którym został wyniesiony do rangi dowodzącego południowym skrzydłem operacji, prychna i mówi:

– Zabieram go stąd. Bądźcie pewni, że porozmawiam z waszymi przełożonymi!

Łysiejący szczerzy bladą gębę w półuśmiechu i odpowiada:

– Jesteśmy pewni. My sami nie mamy prawa przesłuchiwać oficerów!

Erik zbywa tę uwagę wyniosłym milczeniem, wyciąga mnie z namiotu i chwytą pod ramię.

– Sadyści. – Pogardliwie wygina wargi. – Przyszli do mnie w nocy, z wiadomością, że zlokalizowali Sternego, który zbiegł ze szpitala. Powiedzieli, że chcą cię przepytac! Przepytac, a nie wziac na tortury. Dowódcę kompanii! Skandal.

Przystajemy obok składu amunicji. Erik coś tam mruczy, coś kręci. Poznaje, że chce o coś spytać.

– Słyszałeś? Słyszałeś o Gerdzie? Zwiął ze szpitala. Najpierw zastosował magię elficką, by uzdrowić sobie nogę, a potem, żeby przestępstwa nie wykryto, uciekł z lazaretu.

Milczę, udając, że wciąż mam problemy z mówieniem po laniu otrzymanym od stróżów prawa i sprawiedliwości.

– Powiedz mi. – Erik kładzie dłoń na mojej dłoni. – Nie jak podwładny przełożonemu, ale jak kumpel kumpłowi. Był u ciebie? Nie uwierzyłem w te brednie, które usłyszałem od Gerda, tłumaczyłem je sobie szokiem bitewnym albo efektem ubocznym działania magii elfów, lub zbyt dużym stężeniem chemikaliów. Uznałem za bzdurę twierdzenie, że Erik to zło, że niepotrzebnie wytracił pół kompanii. Mimo to, słysząc pytanie Erika, mówię to, co mówię. Nie wiem, dlaczego. Sam się sobie dziwię.

– Nie widziałem go, Erik. Myślałem, że umarł w szpitalu.



## 6.

Dum!

Ziemia drży.

Mógłbym długo opowiadać o bitwie. Widzę bowiem, jak ze wzgórz spływają elfie kawalkady, jak horyzont zagęszcza się głowami, jak sznury wojska wrzynają się w płaskowyż. Mógłbym opowiadać o chóralnych, przejmujących śpiewach tych z drugiej strony. Mógłbym mówić o przecinających niebo olbrzymich orłach, do których szyje nasza artyleria. I o towarzyszących im gryfach, znacznie łatwiejszych do zestrzelenia, lecz jeszcze straszniejszych w walce. Mógłbym. Dadum!

Manierka podskakuje mi w dłoni, uderza w zęby, wychlapuje destylat na brodę i mundur.

Wiele jest tu, na płaskowyżu Höd, rzeczy, które należałoby opisać. Choćby stanowiska naszych moździerzy – otoczone umocnieniami z kamienia i ziemi prężą się lufy wielkich kalibrów, spoglądają w słońce, gotowe, by rozpocząć koncert. Lub pancer-jazdy, nowy wynalazek prosto z Unterbergu, zapewne zaprojektowany przez starego Sternego, broń, która, jak liczymy, zaskoczy naszych wrogów i da nam zwycięstwo. Można by też – półgębkiem, tak by nie usłyszał tego żaden szpieg – opisać drążone przez nas doły i tunele, dyskretnie znaczone przez czarne kamienie. Podkopy kryjące mnóstwo materiałów wybuchowych, czekających tylko na impuls płynący z detonatora. Nie dobiorą się elfy do wkopanych głęboko kabli, nie zdążą zabić tych, co obsługują detonatory, bo oni są dobrze chronieni, mają rozkaz nie wychodzić z bunkrów. Tak, elfy, przyszykowaliśmy wam wrażeń bez liku. I wy nam. Dum! Kamyki na skalistym podłożu drżą.

Mógłbym opowiedzieć o ostrzale, który właśnie się zrywa gromkim huraganem, bo pierwsze elfie zagony weszły już w zasięg naszej artylerii. Mógłbym opowiedzieć o owym koncercie,

który choć mało ma melodii, cieszy uszy. I oczy, poprawiam się, spoglądając na setki jaskrawych błysków i obłoczki dymu. Można by mówić o deszczu granatów, jaki sypie się na elfie pozycje z kilkudziesięciu naszych balonów. Ci lotnicy to prawdziwe bestie, niestraszny im wicher, który jak wiadomo poddaje się czasem woli elfów, niestraszne im szpony orłów. W każdym koszu jest operator kaemu mający chronić pozostałych – którzy robią z maszerujących elfów miazgę – przed ptakami. Nie obywa się, niestety, bez wypadków i nieporozumień. Dostrzegam, że jeden z karabinierów skosił właśnie całą załogę w sąsiednim koszu, inny znów sprawił, że czasza pięknego balonu, herbowego, bo na tkaninie wymalowano wielkiego dwugłowego gryfa, zajęła się ogniem, a przerażona załoga wyskakuje i rozbija się o skały. Widok ten przypomina mi boleśnie, że mamy wojnę. Dadum!

To, niestety, nie grają nasze działa. Nie mogę już dłużej ignorować tego, co słyszę. I tego, co widzę.

Zauważam go wtedy, kiedy zderzają się nasze armie, kiedy na linii, gęsto już usianej lejami po pociskach i trupami, milkną karabiny, a w ruch idą bagnety i granaty. Dzieją się tam rzeczy straszne, nasi giną tysiącami, także elfy, które gasną jak świece w podmuchu wichru. Dobrze, myślę, naszych trochę umrze, lecz kto zostanie po tamtej stronie? Przecież ich rasa od wielu lat notuje ujemny przyrost naturalny! Jednakże szybko porzucam te rozważania. Naprawdę interesuje mnie tylko smok.

Jest gigantyczny, sam nie wiem, do czego powinienem go porównać. Do sagrady? Do zamku? Do góry? Nie wiem, jakim cudem mogło powstać coś tak wielkiego. Nie wiem, jakim cudem nasze oddziały jeszcze trwają, jeszcze trzymają linię. Dlaczego, zastanawiam się, nie uciekają? Dlaczego? Dum!

Potwór zahipnotyzował mnie swym majestatycznym chodem, spokojnymi ruchami, które mimo olbrzymiej masy wywołują złudzenie, że bestia płynie w powietrzu. To ślad po węzach, domyślałam się. Szpieg wspominał, że w Cavach mag wykorzystywał do krzyżówek również węże. Dadum!

Monstrum roztrąca zgrupowanie skałek, wysokich na

kilkadzieśiat łokci każda. Jest coraz bliżej. Gdy głosy przy mnie cichną, zdaję sobie sprawę, że nadszedł czas działania. Spoglądam przez ramię – tak, Pierwsza Ezoteryczna. Tak to zaplanował Erik. Dostrzegam Alberta, który jest blady niczym nasze perspektywy na zwycięstwo, lecz wciąż stara się zgrywać chojraka.

– Udało mi się – szepcze na odchodnym. – Dostałem tę krew elfów. I od razu obróciłem w pieniądź. Jestem bogaty. Niech no tylko wojna się skończy...

– Nie powiesz, kto? – pytam.

Jedną z cech, które nabywa się podczas pobytu w akademii, jest ciekawość posunięta do wścibstwa.

– Powiem... – Macha mi ręką na pożegnanie i odbiega z pozostałymi członkami oddziału.

Muszą się spieszyć, bo smok zaczyna dziesiątkować naszą południową flankę. Pełen złych przeczuć nakazuję kolejnej kompanii szykować się do uderzenia.

Dum!

To właśnie został zmiażdżony największy z naprędcie wzniesionych bastionów. Widzę, jak rozsypują się ściany, jak kurz kłębami dusi tych, którzy ten atak przeżyli. Widzę elfy w tych dziwnych mundurach, które pierwszy raz zobaczyłem w rejonie Wagu. Ci żołnierze są sprawni i szybcy. Husarzy, których miałem za jednostkę pośród elfów najlepszą, to przy nich partacze. Dragoni prezentują prawdziwą maestrię w uśmiercaniu i każdy żołnierz, co ma więcej doświadczenia niż pogodny rekrut, musi te kompetencje docenić, musi spojrzeć na nie z podziwem, jak na sztukę. Mimo że uśmiercają naszych. Dadum!

Smok grzęźnie naraz w jednym z przygotowanych przez nas wykopów. Noga zapada się dość głęboko. Czekam, aż pierwszy oddział, ten z Albertem, dotrze pod osłoną artylerii na odległość, z której będą mogli strzelać podłuskowcami. Podłuskowce – kolejny wynalazek inżynierów z Unterbergu – były wprowadzone na zwierzyne znacznie mniejszą, lecz zasada, jak



tłumaczył nam konstruktor, gdy oglądał szkic smoka, winna być ta sama. Najpierw dzięki czarowidłu przełamuje ochronne ezopole, jakie charakteryzuje każdą szturm -bestię, potem metalowe, spłaszczone ostrze wchodzi między łuski, następuje detonacja tylnej części pocisku, który wbija się w ciało, pomiędzy łuskami, a wtedy eksploduje drugi ładunek, ukryty na przodzie podłuskowca. Nie samym podłuskowcem walczy snal. Dotykam kciukiem zimnej powierzchni detonatora, liczę w myślach do dziesięciu, czekam, aż w stronę bestii pomkną pierwsze podłuskowce, i naciskam przycisk.

Z jamy, w którą wpadła łapa monstrum, tryskają dym, płomienie, gruz. Bestia ryczy tak, że przez chwilę mam wrażenie, że ją dostaliśmy. Nieważne, że bębunki w uszach pękają, nieważne, że nie słyszę tego, co mówi osoba, która siedzi obok mnie. Trafiliśmy ją. A ona trafiła nas.

Na nieszczęście wybuch rozrywa ściany wykopu, umożliwiając smokowi uwolnienie kończyny. Nieco osmalonej, przyznaję, lecz niezbyt poważnie uszkodzonej, sądząc z chodu, miarowego i nawet rześkiego. Ci z podłuskowcami nie zdążyli dobrze się skalibrować, wciąż jeszcze chybiają, gdy smok odwraca ku nim swe przekrwione ślepie. Pluje ogniem.

Pozycje pierwszej ezoterycznej dzieli od bestii kilkaset kroków, lecz to nie jest, jak się okazuje, żadna przeszkoda. Przez chwilę na naszych liniach pali się dosłownie wszystko. Przykładając oko do dalnety, oglądam przygnębiający widok topniejących dział – ich lufy krzywią się, zginają i kapią na skały. Snale, ci których mogłem dostrzec, po prostu wyparowali, podmuch gorąca był tak silny, że spłonęli, nim zdali sobie z tego sprawę. Na Ducha Sztolni! Albert! Aaalbeeeert! Dum!

Idzie dalej. Przeklęta maskara idzie dalej! Walkę podejmują zwykli żołnierze, nie ezoterzy, lecz kończy się to dla nich nie najlepiej – zostają zmieceni smoczym ogonem, rozdeptani, zniszczeni. Ich granaty, ich kule, ich bagnety nic nie znaczą wobec smoka. W myślach przeklinam Dracha, w myślach przeklinam – ja, snal, pierwszy raz w życiu – jaskinie, te na południu, z których wyszła owa cholera. Zgodnie z instrukcjami

otrzymanymi od Erika, posyłam do boju Drugą Ezoteryczną. Moja jest trzecia. Dadum!

Na moment odwracam głowę, popatrując na pozostałe odcinki frontu, gdzie z naszej perspektywy sytuacja wydaje się dużo lepsza. Elfy, oczywista, pędzą całe zagony szturm -bestii, lecz bije w nie artyleria, biją w nie karabiny, i ta czarowna, pierdolona menażeria pada raz za razem. Przynajmniej one nie są odporne na nasze kule.

Całkiem nieźle radzą sobie też pancerni jazdy. Wzbudzają popłoch w elfich szeregach i zaiste, choć nasi też giną legionami, wszystko to wygląda obiecująco, bo jednak elfów, i tych, którzy służą w elfich jednostkach, ginie więcej, znacznie więcej. Ja wiem, że są tam snale, że są tam ludzie i orki, i jeszcze inni, wiem, że Elfor to królestwo wielu ras. Nie mogę jednak opanować satysfakcji, żwawego bicia serca, nie mogę się nie cieszyć, gdy nasze oddziały, idąc jak burza, skaczą po głowach wrogów, sieją zniszczenie. Ja, socjał i pacyfista, cieszę się każdym trupem, który pada po tamtej stronie. Zmieniłem się. I nie bardzo podoba mi się ta zmiana. Dum! Ta dziura to przed chwilą był bunkier.

Oko wciąż mam przyklejone do dalnocy, która teraz przybliża mi tragedię Drugiej Ezoterycznej. Nie skutkują kubły z czarowidłem, ładunki wybuchowe ani srebrne łańcuchy, którymi próbują pętać nogi bestii. Nic nie daje to, że monstrum po raz kolejny zostaje unieruchomione, grzęznąc w następnym z przygotowanych przez nas wykopów. Ogon smoka wciąż pracuje, z nozdrzy bucha dym. Co rusz krople ognia wypluwane przez maskarę dziesiątkują nasze oddziały. Cóż z tego, że na pozostałych odcinkach nam się wiedzie? Że się szczęści? Starczy smok, jeden jedyny, by zmienić losy bitwy. Dadum!

To strzelają dragoni. Nie wiem, co to za broń, pierwszy raz ją widzę, ale zaczynam rozumieć, że tam, w elfich kuźniach pod górami, gdzie kują te ich magiczne cudeńka, też nie próżnowano. I w magii możliwy jest postęp. Znamienne, że nastąpił on dopiero na potrzeby wojska. Czasami myślę, że inteligencja – niezależnie od rasy – najpełniej objawia się, gdy idzie o metody uśmiercania

przeciwnika.

Dragoni wyglądają na inteligentne elfy. Druga Ezoteryczna zo staje właśnie wybita do nogi.

Dum!

Tym razem to my grzmimy. Zza moich pleców, kiedy chwilowo pole jest wolne od naszych, bo na smoczym odcinku wszyscy oni zginęli, idzie palba za palbą, kładąc do grobu wielu dragonów. Teraz nasza strona popisuje się inteligencją.

Obiecuję sobie, że jeśli przeżyję, przejdę się pomiędzy tymi zastygłymi, martwymi już dragonami, i jak soku z brzoź, upuszczę z nich trochę elfiej krwi.

Dla ciebie, Albert!

Dadum!

No tak, prawie bym zapomniał. Znowu wylazł!

Spoglądam za siebie – żołnierze są poważni, spięci, wiedzą, co się stało z dwiema poprzednimi kompaniami. My, jako ostatni, jesteśmy delegowani do zabicia smoka. Jeśli się nie uda... Dotąd sądziłem, że ścian Unterbergu nic nie sforsuje – przecież miasto jest zlokalizowane wewnątrz góry – lecz obecnie nie jestem już taki pewien. Wyobrażam sobie, że płonie Akademia, że wyplute przez bestię płomienie dostają się do biblioteki, pustoszą laboratoria... – Teraz my, snale! – wrzeszczę. Odpowiadają mi chórem. – Teraz, kurwa, my!

Uśmiecham się, bo smok dotarł do następnego z kamieni znacznikowych.

– Sięgnie go – mówię cicho, a zza naszych pleców rozlega się potężny świst i następujący po nim stukot. Tadamtadam... tadamtadam... – to toczą się koła. Po szynach, wyprostowanych wysiłkiem tysięcy robotników. Pociąg pancerny.

Ktoś krzyczy, ci, którzy byli przy mnie, wskakują do wagonów, dołączając do pozostałych, czekających już w pociągu. Wskakuję i ja, intonując "Podgórze" – nieformalny hymn Zagłębia. Inni chwytają prostą, smutną melodię, drzemy gardła,

starając się przekrzywić bitewny zgiełk, stukot kół i zagłuszyć strach, który rodzi się w naszych piersiach na widok bestii. W myślach liczę łokcie, jeszcze kilka kroków, a smok ugrzęźnie w jamie, większej niż pozostałe i przyszykowanej specjalnie dla niego.

Pociąg świszcząc, nabiera rozpędu, pluje dymem tak, że z trudem łapię oddech. Spoglądam na ręce, które są całe czarne od sadzy. Dwóch snali, obnażonych do pasa, ładuje węgiel do brzucha lokomotywy. Kolejny świst przeszywa uszy, bucha para, a my jedziemy naprawdę szybko. Oddziały elfów, te, które szalały na południowej flance, przystają, patrzą na pociąg, chowają się w wykopy i naturalne zagłębienia. Ja tymczasem obserwuję smoka, który właśnie wpada w pułapkę. Dum!

Jest nasz, myślę, oby tylko wystarczyło ładunków wybuchowych. Oby...

W tym momencie owiewa nas chmura gorąca. Czuję, że płonie moja broda, brwi, mundur. To smok – choć uwięziony w wykopie, nie zapomina o nas. Pluje ogniem, lecz na szczęście jest daleko. Nie na tyle jednak, by ocaleli ci, którzy prowadzili lokomotywę. Nie schronili się zawczasu, nie schylili głów, teraz leżą martwi, a pociąg z chwili na chwilę zwalnia. Przemyka mi przez myśl, że to koniec, ale wtedy dostrzegam Raana, który skacze z jednego wagonu na drugi.

– Kierowałem czymś takim w kopalniach! – wrzeszczy do mnie. – Za Unterberg!

– Za Unterberg! – odpowiadam, nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia.

Raan, ten cynik, który powtarzał mi dzień w dzień, że jedynym zwycięstwem, jakie może odnieść na wojnie przeciętny snal, jest przeżycie, ten właśnie Raan zaczyna gorączkowo szufłować, manipuluje zaworami i pociąg znowu przyspiesza, pędząc w stronę śmierci.

Owiewa nas kolejny obłok ognia, Raan jednak jest bardziej przezorny, chowa się za metalowymi osłonami, które rozgrzewają się do czerwoności, lecz wytrzymują. Pociąg gna, a

smok... smok w dalszym ciągu jest unieruchomiony. Wychylam się i znów liczę łokcie. Jeszcze dwadzieścia i, tak jak to było zaplanowane, wyskakujemy. Wszyscy. Prócz maszynisty.

Dragoni, początkowo zaskoczeni, pojmują, jaki jest nasz plan, i rzucają się w stronę pociągu. Krzyczę, zdzierając sobie gardło. Komenda obiega całą Trzecią Ezoteryczną, skaczymy pojedynczo, grupami, turlamy się po kamykach i trawie, strzelamy do nadbiegających dragonów, którzy próbują zdjąć Raana, co im się jednak nie udaje. Pociąg wciąż pędzi, wciąż szybciej i szybciej, a smok wciąż pozostaje uwięziony.

Znajduję się teraz w centrum chaosu, trwa bezładna walka z dragonami, a wszystko to dzieje się przy akompaniamencie stukotu kolejowych kół i smoczych ryków. Widzę, jak Rudi dostaje postrzał w brzuch. Idzie kilka kroków, niby pijany, chwiejnym krokiem podchodzi do śmiejącego się dragona, klęka... Odpala granat. Dum!

Płaskowyż wybucha. Stwierdzam, że ten wybuch to nie granat odpalony przez Rudiego, po czym wstrząsa mną ból. Niebo ciemnieje. Słyszę jeszcze, że ktoś z mojej kompanii wrzeszczy: – Dostaliśmy go! Dostaliśmy!

Nie starcza mi sił, by odwrócić głowę w stronę smoka. Świat zmienia się przed moimi oczyma. Blaknie. Czernieje.

W ustach czuję krew pomieszana z trawą i gruzem.



## 7.

Żyję – oto pierwsza myśl po przebudzeniu. Jednak żyję! Chcę krzyczeć z radości, lecz kiedy próbuję, czuję straszny ból i pluję

krwią. Żyję, to prawda. Lecz nie wiadomo, jak długo to potrwa. Uświadamiam sobie, że ktoś na mnie leży – szturcham go raz, drugi, wreszcie, zrozumiawszy, że to trup, z wysiłkiem spycham z siebie zwłoki. Ta operacja kosztuje mnie tak wiele sił, że na moment tracę przytomność. Kiedy ją odzyskuję, jestem bardzo słaby i cały obolały, jak gdyby ogon smoka pogruchotał mi wszystkie kości. Z trudem rekonstruuje ostatnie chwile walki, wtedy gdy maskara została śmiertelnie trafiona, kiedy poznaliśmy, że długo nie pożyje, gdy w przedśmiertnym akcie plunęła ogniem. Właśnie wtedy musieli mnie trafić.

Spoglądam w niebo – jest jasne i obojętne. Czasami myślę, że jeśli gdzieś tam faktycznie jest jakiś Stwórca, Duch Sztolni czy Świat łość, jak go zwał, tak zwał zresztą, nasze konflikty, nasze wojenki i nasza krew są dlań nieważne. Czyż inaczej po tak krwawej bitwie niebo byłoby tak pogodne?

Tylko zapach, dziwny, mdły i nieprzyjemny, świadczy o tym, ile istnień znalazło swój kres tutaj, na płaskowyżu.

Chcę podjąć kolejną próbę podniesienia się na łokciach, kiedy do moich uszu docierają głosy. Nie wiem, nasi to czy elfy, wolę więc leżeć bez ruchu, udając trupa, co w tej masie ciał, które leżą tuż obok, nieodwołalnie martwych, pokrwawionych i poszarpanych, nie jest wielką sztuką. Słucham.

Mówią po naszymu, lecz początkowo nie rozumiem, o czym rozmawiają. Nie rozpoznaję też głosów.

– Straty... – dociera do mnie. – Bardzo poważne. Osiemdziesiąt procent batalionów złożonych ze snali i orków zostało rozbitych. Doszczętnie.

Serce rwie mi się z bólu, łzy płyną po policzkach, lecz nasłuchuję dalej.

Osiemdziesiąt procent! – A więc sukces – rozlega się inny głos.

Sukces? Czyżby elfy? Dlaczego więc mówią w naszym języku? – I to podwójny – odzywa się pierwszy, właściciel głosu chłodnego jak łuska pocisku. – Nie dość, że elfy zostały odepchnięte, a ich cudowna broń zniszczona, to na dodatek zapewniliśmy sobie spokój po wojnie. Bo nie sądzę, by snalskie i

orkijskie kobiety podniosły sztandary niepodległości.

Dreńwieję na te słowa. Pozbyć? Chcieli się nas pozbyć? Rozmawiający przybliżają się do mnie, słyszę ich coraz wyraźniej, a stalowy głos brzmi znajomo. Niepokojąco znajomo.

– Podwójny sukces – powtarza stalowy. – A to twoja zasługa. To ty opracowałeś plan. Czeka cię wspaniała przyszłość, Eriku.

Eriku?

Czuję nagłe uderzenie zimna.

Eriku?

Zaraz, zaraz, myślę. Erik to popularne imię. Bardzo popularne. To nie może być ten Erik. To nie może być Erik z Unterbergu, mój student, zagorzały działacz ruchów niepodległościowych. Przecież on wszystko zawdzięcza pomocy snali – i awans społeczny, i wykształcenie, i to, że został dowódcą kompanii. Nie ten.

Czekam bez ruchu, aż cienie, które dostrzegłem kątem oka, przesuną się tak, bym zyskał pewność, że obaj nieznajomi są zwrócenii do mnie plecami. Wreszcie są, a ja, ignorując ból, lekko unoszę tułów. Muszę wiedzieć! I wiem.

Jako wykładowca, nie raz i nie dwa wpajałem studentom prawdę, że nawet najbardziej gorzka wiedza jest lepsza niż jej brak. Teraz jednak nie jestem już co do tego przekonany. Erik. I Oszpecony.

Jadą na koniach pośród morza trupów, zupełnie jak gdyby napawali się tym, ilu naszych poległo. Tak, kurwie syny, myślę. To wasze dzieło! Pieprzona polityka, lekce sobie ważąca szaraczków. To wasze dzieło.

W dłoniach trzymają... Co właściwie? Żarówka? Co za brednie, przecież to niemożliwe. Więc? Pojmuję dopiero po chwili. Flakony z krwią. Krwią elfów.

Zaciskam zęby, spomiędzy których sączy się krew, z bólu mrużę powieki i sięgam dłonią po karabin, który leży tuż obok. Powoli, bardzo powoli sprawdzam, ile zostało mi jeszcze pocisków. Dwa. Akurat. Wtedy, właśnie wtedy się odwracają.

Pierwszą rzeczą, którą zauważam, wcale nie są ich zaskoczone miny, nie ich oczy pełne przerażenia. Najpierw dostrzegam twarz Oszpeconego, który o dziwo nie nosi maski. A więc nadszedł moment, w którym odkrywają się tajemnice, myślę. Widzę przed sobą twarz piękną, foremną, kształtną. Bije od niej światłość. Jak od elfa.

Widzę twarz, na której nie ma śladu szpetoty, prócz bezwzględnej spojrzania.

Oblicze Erika też prezentuje się inaczej niż wcześniej. Jest mniej snalskie, bardziej wyniosłe i zacięte. Przez chwilę szukam w pamięci porównań, wreszcie staje mi przed oczyma zarozumiały oficer, który brał udział w naradzie kilka dni temu. Tak, Erik teraz znacznie bardziej przypomina człowieka niż snala. Domyślam się już, komu Albert dostarczał elfią krew. Czy dlatego szedł w pierwszym szeregu, przeznaczony na śmierć?

Przeskok ewolucyjny, poprzez wszystkie stadia, poprzez subrasy – aż do ideału. Do czego dążysz, Eriku? Gdzie jest cel ostateczny? A co będzie, myślę, przypominając sobie słowa Gerda, jeśli elfia krew jest zatruta?

Ruszają w moją stronę. Naiwnie sądzili, że pośród trupów nic im nie grozi, zabrali więc tylko broń białą. To nie wystarczy. Dobrze, że biegną. Dzięki temu mogę dokładnie zobaczyć ich oczy. Mogę się przekonać, że Gerd miał rację. Wiem już, kogo mam przed sobą. Trzeba patrzeć im w oczy. Tam dostrzeżesz zmianę. Czuję, że to nie potrwa długo, że ręka słabnie, że w głowie się kręci. Uderza we mnie gorączka. Tak, to nie potrwa już długo. Ale zdążę!

Drętwiejącymi ustami powtarzam credo naszej kompanii, naciskając spust.

– Nauczono mnie zabijać bestie. Taki jest mój fach i taki pozostanie.



# Tomasz Kołodziejczak

## SMOCZY BIZNES

Darlan powoli jechał na swoim biegaczu, skutecznie uśpiony monotonnym kołysaniem wierzchowca, szumem otaczającego lasu i łagodnym powiewem wiosennego wiatru. Rycerz zamknął oczy i zapadł w lekką drzemkę, w ten przyjemny stan półjawy, gdy człowiek może śnić, a jednocześnie nie traci w pełni kontaktu z rzeczywistością. Szeroka, piaszczysta droga jasno wyznaczała kierunek wędrówki, więc Darlan mógł w pełni zaufać instynktowi biegacza. Nie przeszkadzało mu też, że zielonowłosy wierzchowiec czasem przystawał na poboczu i podskubywał kępki młodej trawy. Nigdzie im się nie śpieszyło.

Po prawdzie to Darlan tęsknił już za jakimiś nowymi ekscytującymi przygodami. Zimą spędził w portowym mieście Oczka i choć widział tam mnóstwo niezwykłych budowli, okrętów i marynarzy z dalekich krain, a nawet wziął udział w kilku pomniejszych awanturach, to jednak brakowało mu solidnej, dobrze zbudowanej przygody. Takiej z zaskakującym początkiem, pełnym niebezpieczeństw rozwinięciem i wymagającym wysiłku, lecz szczęśliwym zakończeniem.

Był już wprawdzie w drodze dobry tydzień, ale nie natknął się choćby na jej ślad. Tak jakby wszystkie przygody pochowały się w najciemniejsze zakamarki na wieść o tym, że zbliża się on, Darlan, rycerz co prawda błędny, ale w fechtunku obłądny, a ortografii bezbłędny.

Tak jak rolnik i kret nie mogą żyć bez ziemi, jak dzbanowi i zającowi potrzebne jest ucho, a rekinom i sztucznym szczękcom zęby, tak wędrownemu rycerzowi niezbędne są przygody. Bez nich marnieje, usycha, a czasem wręcz się żeni.

Tego pięknego, wiosennego dnia pogrążony w drzemce Darlan nie od razu zauważył nadciągającą przygodę. Tym bardziej że objawiła się ona niezbyt intrygująco i okazale – pod postacią chałupy i króla.

Stary dom stał obok piaszczystej drogi, lekko cofnięty między drzewa, obrośnięty zielskiem, krzywy i garbaty. Moglibyśmy prezentować go jeszcze dokładniej, ale wiemy, że takie szczegółowe opisy nużą wielu czytelników, więc pójdziemy na skróty. Powiemy tylko, że wyglądał bardzo chałupowato, a resztę wyobraźcie sobie sami. O królu będzie za chwilę.

Kiedy biegacz dostrzegł budynek, zwolnił kroku i zarżał cicho, wrywając Darlana ze snu.

– O, chałupa! O, król! – trafnie rozpoznał rycerz, kiedy na dobre otworzył oczy.

Nie wiedział, że wypowiadając te słowa, rozpoczął nową, niezwykłą przygodę.

Tym czytelnikom, którzy nie lubią długich opisów, powiemy tylko, że będzie to przygoda bardzo przygodowata! Koniec. Pa, pa. Dziękujemy za uwagę. Idźcie oglądać telewizję.

Ale może chcecie wiedzieć, co król robił obok chałupy i dlaczego miał zły humor? Jak dobry rozbójnik zszedł na złą drogę? Kto pod kim dołki kopie? Co jest lepsze od dziewicy? Jeśli tak, to ta opowieść jest właśnie dla Was. Zapraszamy.



Przed chałupą, na przewróconym pieńku, siedział król. Wyglądał marnie. Był ubrany w wypłowiałe spodnie i kubrak, które osoba o sokolim wzroku mogłaby określić czerwonymi, a ludzie o mniej wyrobionym spojrzeniu – burymi. Okrywał się szarym płaszczem, kiedyś pewnie purpurowym, obecnie wielokrotnie cerowanym i pozaszywanym łątami. Na nogach miał kamasze, które w czasach swojej świetności zapewne lśniły jak czarny kryształ. Teraz jednak były poobcierane, a lewy dodatkowo wzmocniony kawałkiem rzemienia, żeby trzymał się na nodze. Król miał długą brodę i gęstą siwą czuprynę, przyciętą

trochę krzywo, przez co nadawała jego twarzy bardzo zawadiacki charakter. Na głowie nosił złotą, ozdobioną cudnymi kamieniami koronę.

Jak łatwo się domyślić, właśnie po tej koronie Darlan poznał, że ma przed sobą króla, a nie zwykłego znużonego wędrowca. Tkwiła ona na głowie mężczyzny w sposób szczególny, wiarygodny i niewzbudzający wątpliwości. To nie był uzurpator, który ukradł diadem prawdziwemu monarsze. Ani zbieracz złomu, który natrafił w śmietniku na wyrzuconą – ot tak, przypadkiem – z pałacu koronę. Ani handlarz podróbkami, co ma takich koron ze trzysta i usiłuje je sprzedać kolekcjonerom sztuki albo uzurpatorom właśnie. O nie, siedzący mężczyzna wyglądał jak władca, mimo że był ubrany co najmniej skromnie. Wszak nie szaty zdobią króla czy cesarza (choćby to były i nowe szaty), tylko przyrodzona godność i ładna królowa.

Król przeniósł wzrok z czubków swoich butów na Darlana, ale widok rycerza najwyraźniej nie poprawił mu humoru, bo minę nadal miał kwaśną. Nie pomogło i to, że nasz bohater zeskoczył z biegacza, skłonił się dwornie i przedstawił. – Witaj, najjaśniejszy panie. Jestem rycerz Darlan.

Król nie odpowiedział od razu. Przyglądał się przybyszowi w milczeniu, bez cienia uśmiechu czy zainteresowania.

– Hm, widzę, żeś rycerz, rycerzu. No i co z tego? – spytał w końcu. Mówił powoli, niskim, dźwięcznym głosem, w którym było jednak słycać zmęczenie i... smutek.

– Eee... To znaczy... – Nieco speszony Darlan zawahał się. – To znaczy, że wędruję po świecie w poszukiwaniu sławy i przygód. I jak na razie, przygód to nawet kilka znalazłem, tylko z tą sławą gorzej.

– I nie znajdziesz jej w moim królestwie – powiedział król ponuro, na powrót kierując wzrok na czubki swoich butów. – Wracaj, skąd przyszedłeś, a unikniesz kłopotów.

Bywają lepsze sposoby na odprawienie błędnego rycerza niżli stwierdzenie: "Idź stąd, a unikniesz kłopotów". Chcesz się takiego pozbyć? Powiedz raczej: "Ale tu nudno". Albo: "Kiedy to

widzieliśmy u nas ostatniego bazyliuszka? Chyba uciekł w popłochu ze trzydzieści lat temu". Ewentualnie: "Chcesz poznać moją kochaną córkę jedynaczkę? Wiesz, to ona ostatnia widziała tego bazyliuszka". Ale tylko użyj określeń takich, jak: "Kłopoty, problem, ratunku! Wywiad dla prasy. Mamy ładne dwórki", a nie przegonisz błędnego rycerza przez najbliższy kwartał!

Darlan zareagował na słowa króla w sposób właściwy dla swej profesji. Poprawił pas z mieczem, podkreślił wąsa i przyjął godną postawę.

– Czy mogę ci jakoś pomóc, najjaśniejszy panie? Ja i mój biegacz uczynimy to z ochotą.

Gdyby Darlan spojrział w oczy swego wierzchowca, wyczytałby w nich "mów za siebie!". Nie oszukujmy się, większość biegaczy jest znacznie mądrzejsza od swoich właścicieli.

– Nie sądzę, byś mógł coś dla mnie zrobić, rycerzu. – W głosie króla zabrzmiała pierwsza sympatyczniejsza nuta. – Ale dziękuję za propozycję.

"No dobra – wyczytałby Darlan w oczach biegacza – zgłosiłeś się, nadgorliwcze, grzecznie ci podziękowano, wskakuj więc na mnie i zjeżdżamy stąd. Nawet nie będę specjalnie marudził, że cię muszę dźwigać, choć warto wspomnieć, że w podróży mógłbyś się nieco mniej obżerać".

– Ponawiam ją, najjaśniejszy panie. Jestem rycerzem doświadczonym i szczególnie zainteresowanym sprawami trudnymi. Co cię trapi? Demon porwał ci córkę? Nie ma sprawy, odbiję ją, a pół królestwa i tak mnie nie kusi. A może córeczka zamieniła się w strzygę i trzeba ją odczarować? I z tym dam sobie radę, tylko wskaż mi drogę do jej grobowca. Uciekła z fałszywym księciem? Złapię go i tak wygrzmocę zadek, że odechce mu się podrywać księżniczki. A może córeczka ma kłopoty z nauką? Tu też gwarantuję pomoc, bo ostrzem wiedzy władam równie dobrze, jak sztychem miecza... Zatem...? – Darlan zawiesił głos i zamarł w oczekiwaniu. – Nie mam kłopotów z córką. – Król znowu podniósł na niego zmęczony wzrok. – Ja w

ogóle nie mam córki. Nie mam też syna, konia, zamku. W zasadzie nie mam już mojego pięknego państwa. Zostały mi tylko wspomnienia i to... – dotknął dłonią korony. – Taki właśnie jest mój problem, rycerzu Darlanie, że jestem królem bez królestwa. Za to prawdopodobnie mam smoka. Nie sądzę, byś mógł mi pomóc, choć doceniam twoje intencje.

– Straciłeś całe państwo? – zapytał z niedowierzaniem Darlan.  
– Jak do tego doszło? Obcy najazd, wojna domowa, kłótnie rodzinne? A może bunt poddanych?

– Tak jakby wszystko po trochu. Straciłem moje piękne królestwo przez reketing. Reketing i zarządzanie.



Król nazywał się Christian Adolf Karol Harald Tovenssonsvenon VI i rządził niewielkim krajem Fiordlandią. Było to królestwo na tyle małe, że na niektórych mapach nawet zapomniano je narysować. Ludziom żyło się tu jednak spokojnie i dostatnio, a to dzięki obfitości ryb, całkiem urodzajnej ziemi i niewielkiej liczbie trolli zatruwających powietrze. Jak twierdził Christian VI, wszystko szło dobrze, albo i jeszcze lepiej, kraj się rozwijał, dzieci przybywało, kultura ludowa kwitła. Niestety, osiem lat temu zdarzyło się nieszczęście.

Żył w owej krainie baron, Alfred Kant. Mieszkał w małym zameczku stojącym na szczycie skalistej góry i trudnił się łupiestwem. Wraz synami, Baniotryksem, Cepelionem i Dermatronem, napadali na kupców oraz wymuszali haracze od karczmarzy i sklepikarzy. Ciągnęli też zyski z innych, teoretycznie legalnych interesów. Na przykład kontrolowali latające cyrki (zarządzane przez ludzi-węże z klanu Pytona), automaty do gry (kontrolowane przez zatrudniający niepełnosprawnych tak zwany gang jednoręki bandytów) i jaskinie hazardu (prowadzone przez największych fachowców od podziemnego życia, czyli krasnoludy, oczywiście). Ogólnie wykonywali ciężką i niewdzięczną pracę, od której jednak odprowadzali regularne podatki do królewskiego skarbcza. Byli

koncesjonowanymi reketierami. Wielu przybyszów (szczególnie kupców z dalekich krain), którzy mieli okazję trafić na rodzinę Kantów, dziwiło, że rabunki są oficjalne i że na dokumencie, każdorazowo okazywanym napadniętym przez napadających, widnieją królewskie pieczęcie i zezwolenia. Trzeba im było tłumaczyć, że to taka odwieczna fiordlandzka specjalność. Wszak co kraj, to obyczaj, czyż nie? W niektórych krainach działają oficjalni piraci na usługach króla, zwani kaprami. W innych państwowi grabieżcy wypracowanego przez obywateli majątku, zwani fiskusami. A w pewnym egzotycznym kraju – choć trudno w to uwierzyć człowiekowi o zdrowych zmysłach – barbarzyńcy sami sobie na władców wybierają grupę złoczyńców, a potem dobrowolnie oddają im sporą część zarobionych przez siebie pieniędzy.

Tak więc zwyczaj utrzymywania królewskich reketierów wcale nie wydaje się taki znowu oryginalny. Tym bardziej że rodzina Kantów, od pokoleń specjalizująca się w zbójckim rzemiośle, profesję swą wykonywała sprawnie, grzecznie i z niezwykłym taktem. Raz na miesiąc łupili kupiecką karawanę, a dwa razy do roku ściągali haracze z karczem i innych centrów rozrywki. I już. Majątku się na tym wielkiego nie dorobili, ot tyle, żeby godnie utrzymać rycerską rodzinę na jako takim poziomie.

Problemy zaczęły się kilka lata temu. Nikt oprócz Alfreda Kanta i jego synów nie zna szczegółów tej niezwyklej sprawy, ale królewscy szpiedzy zdobyli w swoim czasie nieco informacji, które umożliwiły odtworzenie całej historii.

Właśnie osiem lat temu w górach na północy Fiordlandii pojawił się smok. Jego imię do dziś pozostawało tajemnicą, choć są tacy, którzy twierdzili, że był to gad zza morza, niejaki Kotlet. Król jednak miał tu spore wątpliwości, bo powiedzcie sami: czy potężna bestia może mieć na imię Kotlet? Zapewne więc ktoś przekręcił to imię, które w oryginale musiało brzmieć zdecydowanie bardziej magicznie. Podobno smok był zielony w czerwone kropki, ale mimo niepoważnego wyglądu zachowywał się po smoczemu. Przynajmniej tak się z początku wydawało. Osiadł w jaskini, zażądał złota i dziewic, a także – tu króla aż

zatkąło z oburzenia na samo wspomnienie, był bowiem królem mało postępowym – młodzieńców.

Przestraszeni mieszkańcy okolicznych osad wygarnęli z chałup i stodoł stosowną liczbę młodych ochotników i podeszali smokowi.

– A on ich nie zeżarł! Wyobrażasz sobie?! – Darlan nie był pewien, czy w królewskim głosie wyczuwa radość, czy oburzenie. – Nie spróbował także A. Kanta i jego synalków, kiedy ci przybyli pod grotę smoka, by spełnić swoją rycerską powinność. I tu właśnie w miarę dokładne informacje króla się kończyły. Nie wiadomo, jak potoczyła się ta potyczka. Czy smok się bronił, czy uciekł? Czy spuścił Kantom bęcki, czy sam dostał baty? Czy rzucił na nich klątwę, czy też oni podsunęli mu jakiś niezwykle magiczny artefakt? Tajemnica.

Natomiast nie było sekretem, co stało się potem. Stary Alfred Kant oświadczył, że czajenie się przy gościńcach już go nie interesuje i że teraz zajmie się interesami systemowo i nowocześnie. "Świat się zmienia", powiedział. "Kto nie stoi, ten siedzi... nie, zaraz... kto nie siedzi, tego wsadzą... nie, jak to szło? Kto nie siedzi, ten nie siedzi? Aha, już wiem – kto nie biegnie, ten stoi!" – Też mi nowina! – kontynuował swą opowieść król. – Ale baron Kant właśnie takiego zdania użył, a potem ogłosił wszem wobec, że od walki lepsze są negocjacje nastawione na współpracę, że nawet ze smokiem można się dogadać i że ujrzał przed sobą zupełnie nowe perspektywy oraz tak zwaną ścieżkę kariery. Gdzie on tę ścieżkę zobaczył, pojęcia nie mam, bo tam w górach same urwiska i wertepy. No i pod patronatem smoka Kotleta założył uniwersytet. Imaginuj sobie, Darlanie, rycerz, który sam się podpisać umiał jedynie inicjałami, założył Wyższą Szkołę Reкетинgu i Zarządzania! I tak zaczął się koniec mojego królestwa. – A mówią, że edukacja to dobra rzecz dla kraju. – Darlan pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Ciekawe, kto tak mówi?! – zdenerwował się król. – Daj no mi tu tego mądralę, to mu skórę wygarbuję bardzo edukacyjnie i wychowawczo, tak że mu się raz na zawsze odechce głupoty gadać! – I co się później stało? – spytał Darlan, którego historia

króla mocno zaciekała.

– Później było jeszcze gorzej. Szkoła stała się modna, wszyscy młodzieńcy i dziewice jęli się do niej zapisywać. A kiedy ich zabrak ło, to i starsi poddani, na pewno dawno temu rozdziejczeni. Żacy opuszczali inne uniwersytety, klerycy – zakony, a czeladnicy – zakłady rzemieślnicze. I dawaj się uczyć, a potem reketować i zarządzać tym, co zreketowali. Trzeba przyznać, że pierwszym studentom nawet się powiodło – było ich jeszcze niewielu, a ludności kraju do obrabowania sporo. Tak więc nieźle się obłowili. Jak się domyślam, część łupów oddawali Kantom i smokowi. Przykład podziałał. Mieszkańcy Fiordlandii porzucali swe zawody i sprzedawali majątki, by opłacić chesne w Wyższej Szkole Reкетинu i Zarządzania. A ci, którzy tego szybko nie zrobili, wkrótce byli reketowani i też musieli się wziąć do rozboju. Kraj zmienił się w pole bitewne – każdy napadał każdego, próbował jakoś zarządzać tym, co ukradł, ale wkrótce sam był ograbiany. Stolarze przestali robić meble, murarze stawiać domy, a rycerze pojedynkować się. Wszyscy uznali, że najlepiej zarobią na reкетинu i zarządzaniu. Mają zresztą dobitny tego dowód – majątek Kanta cały czas rośnie, bo on ciągle szkoli nowych studentów.

Gospodarka dołowała, rzemiosła także, kraj zaczął popadać w ruinę. Bo jeśli nikt nie doi krów, nie sieje zboża, nie buduje domów, karczem i młynów, to kogo można reketować i czym zarządzać?! Christian IV miał nadzieję, że ludzie się opamiętają i wrócą do dawnego stylu życia. Ale gdzie tam, coraz bardziej pogrążali się w szaleństwie, które w końcu ogarnęło także służbę króla i jego osobistą ochronę.

W kraju zapanował chaos, wreszcie wędrownie bandy zreketowały nawet zamek królewski. No i Christian IV został sam. Wtedy też zdecydował się przenieść do tej tu, przydrożnej chałupy, teraz zapomnianej, a za czasów ojca Christiana pełniącej funkcję domku myśliwskiego i nazywanej żartobliwie Pałacem Zimowym (choć Christian dodał, że ta nazwa budzi w nim jakiś ciągły – zapewne irracjonalny – niepokój, że to chyba nie jest najbezpieczniejsze miejsce dla króla).



– To rzeczywiście osobliwa historia – przyznał Darlan. – Czy masz, panie, jakieś podejrzenia? Co jest przyczyną tego szalonego zamieszania? I jak można by mu zaradzić?

– Nie mam żadnych pewnych informacji. Tylko plotki, z czasów gdy moje służby wywiadowcze jeszcze działały. Sądzę, że całą tę aferę napędza jakiś zły czar rzucony przez tego dziwnego smoka Kotleta. Choć, szczerze powiedziawszy, to ja nawet nie wiem, czy ten smok jeszcze żyje, bo od tamtych czasów nikt go nie widział. Może więc to wszystko jest jedynie sprytnym wymysłem barona A. Kanta, który posiekał smoka, a teraz udaje, że działa w jego imieniu? Nie mam pojęcia. Żeby sprawę wyjaśnić ostatecznie, trzeba by się wkraść do szkoły, zbudowanej nad jaskinią bestii, i tam przeprowadzić śledztwo. Może by się znalazł wtedy jakiś ratunek dla mnie, moich poddanych i naszego nieszczęsnego kraju? Tylko kto się odważy na taki czyn? – zadumał się król.

Nagle spojrzął na Darlana. Na twarzy władcy po raz pierwszy tego dnia pojawił się niepewny uśmiech.



Na nic zdało się biegaczowe posapywanie, kręcenie głową i ciamkanie językiem. Darlan uznał, że oto właśnie natrafił na zadanie warte rycerskiego wysiłku, i wyruszył na zamek A. Kanta. Stwierdził, że musi sprawę na miejscu zwizualizować, zanalizować i zwerbalizować, a najpewniej także komuś wklepać.

Pozostawił więc króla w Pałacu Zimowym, pół dnia jechał traktem, aż dotarł do rozstajów. Tu przecinało się kilka dróg. Na szczęście nie miał problemu, gdzie skręcić, bo przy skrzyżowaniu wbity w ziemię dwa słupy, rozwieszono między nimi kawał płótna, a na płótnie tym wymalowano:

a) wielką strzałę,

b) czerwony napis: Wyższa Szkoła Reкетингу i Zarządzania,

- c) dwie niewiasty ubrane raczej skąpo,
- d) drugi napis: 23 staje (ale lepiej nie stawać, tylko jechać),
- e) uśmiechniętego młodzieńca patrzącego na niewiasty,
- f) osiem razy słowo PROMOCJA i sześć razy słowo GRATIS.

Darlan zatrzymał biegacza i spokojnie obejrzał reklamę, nie zawieszając na niewiastach wzroku dłużej, niżli wypadało. Wtedy właśnie usłyszał tętent wierzchowców. Ani się obejrzał, jak jedną ze ścieżek wyskoczyło na skrzyżowanie kilku mężczyzn na biegaczach. Byli uzbrojeni i wyglądali dość groźnie. Sądząc po mieczach, herbach na tarczach i rasowych rumakach, musieli być niegdyś świetnymi rycerzami. Ale nie teraz. Ubrania mieli brudne, włosy potargane, a zbroje zmatowiały i gdzieś pordzewiały. Równie źle wyglądały ich wierzchowce – wychudzone, zabłocone, o skołtunionej sierści. Z podziwem patrzyły na Darlanowego biegacza – wyczesanego, sytego i najwyraźniej lubiącego swego jeźdźcę. – Ha! Ha! – pokrzykiwali głośno, otoczywszy Darlana, najwyraźniej dodając sobie odwagi i próbując go przestraszyć. – Witam panów uprzejmie. Czym mogę służyć? – spytał rycerz grzecznie, lekko pochyliwszy głowę, ale nie spuszczać łobuzów z oczu ani na chwilę. Domyślił się bowiem, że to jedna z band reketujących, a król radził na nie uważać.

– Swoją sakiewką! – Herszt z rozbójników podniósł dłoń, uciszając kompanów.

– A czemuż to miałbym się jej pozbywać? Jestem do niej nader przywiązany – powiedział Darlan, choć po prawdzie to raczej sakiewka była przywiązana do jego paska.

– Bo wkroczyłeś na mój teren, wędrowcze – odrzekł przywódca bandy. – No i dlatego, że nas jest więcej.

Jego koledzy zachichotali, a dwóch nawet zarechotało.

– A z kimże mam przyjemność? – Darlan wciąż grzecznie pytał. – Ha! Nie rozpoznajesz mnie?! Jestem Baniotryks Kant, zwany B. Kantem. Syn wielkiego A. Kanta, brat C. Kanta i D.

Kanta, równie niemałych. A ty kto?

– A ja jestem jedynakiem raczej – powiedział Darlan. – I udaję się do Wyższej Szkoły Reкетинu i Zarządzania, której, jak rozumiem, panowie jesteście absolwentami.

– Tak jest! – krzyknął Baniotryks. – Jako żywo! A jakże! I dlatego, właśnie, drogi wędrowcze, musimy tobą pozarządzać i cię zreketować. Zostaniesz naszą, że się tak fachowo wyrażę, finansową krową, którą musimy wydoić.

Biegacz Darlana zastrzygł uszami, obrócił łeb, spojrział na swego pana, a jego mina wyrażała coś, jakby uśmiech.

– Zdrajco – syknął do niego rycerz przez zaciśnięte zęby. – Nawet sobie tego nie wyobrażaj!

– Rozumiesz – kontynuował Baniotryks – każdy produkt, w tym wypadku ty, wędrowcze, ma swój cykl życia, czyli mówiąc wprost: raz na wozie, raz pod wozem. Ty, jako nasz target, czyli cel, aktualnie jesteś pod wozem, choć w zasadzie siedzisz na biegaczu. Jasne?

– A nie mógłbyś mówić prościej, szanowny panie Baniotryksie? – Nie można. To w reкетинu i zarządzaniu jest zakazane. Ale dla ciebie zrobię wyjątek: dawaj sakiewkę, bo w końcu się zezłoszczę i spuszczę ci łomot! – Rzeczywiście, proste – mruknął Darlan.

Ścisnął biegacza kolanami, wrzasnął tak, że dzielny wierzchowiec skoczył do przodu, rozpychając dwóch jeźdźców. A potem pogalopował gościńcem.

Baniotryks i jego rabusie ruszyli w pościg, ale nie mieli szans. Przez jakiś czas Darlan słyszał jeszcze ich dobiegające z oddali pohukiwania, groźby, prośby, na koniec łoskot, brzęk i kilka wyrazów, bardzo, ale to bardzo nierycerskich. Potem wszystko ucichło, a on jechał bezpiecznie w stronę zamku.

No bo powiedzcie sami, czy któryś z wierzchowców bandy B. Kanta mógłby dopuścić, żeby tak dbający o swego biegacza Darlan wpadł w ręce rozbójników? O nie! Honor biegacza na to nie pozwala. Szczególnie jeśli zostanie wzmocniony suszonymi śliwkami, rozrzuconymi na drodze przez umykającego Darlana.

Przy każdej takiej śliwce należy się przecież zatrzymać, pomlaskać i pożuć. A jeśli rycerz na siodle krzyczy, wierzga i grozi? Hm, trzeba zrzucić rycerza, niech nie przeszkadza. Bo stres przy jedzeniu źle wpływa na biegaczowe żołądki.



Siedziba Wyższej Szkoły Reketingu i Zarządzania mieściła się u podnóża góry, w której ponoć znajdowała się niegdyś jaskinia smoka. Mury obronne i domy zbudowano nad wejściem do groty, blokując je całkowicie, i było to cokolwiek dziwne. Smoki lubią siedzieć na swoim złocie, ale przecież muszą czasem wyłazić na dwór, żeby coś upolować, spalić albo ukraść. No, chyba że cała ta historyjka o smoku była fałszywką rozpowszechnianą przez starego A. Kanta, mającą zabezpieczać szkołę przed atakiem ewentualnych konkurentów czy gwardii królewskiej (kiedy jeszcze istniała). Kto by tam chciał mierzyć się ze smokiem?! Jeśli tak, w grę wchodziły dwie opcje. Smoka nie było nigdy. Smok był, ale go A. Kant wraz z synalkami utłukł i teraz jedynie czerpie z jego sławy. Półkolisty mur wspierał się krańcami o skalne ściany, ponad jego krawędź wystawały dachy kilku domów i donżonu. Znajdowały się w nim trzy bramy. Przed położoną najbardziej na prawo, małą i wąską, stała długa kolejka osobników różnego autoramentu. Niektórzy trzymali biegacze za uzdy, inni dźwigali tobołki, wielu było pod bronią. Wrota otwierały się co jakiś czas i grupka przybyszów wchodziła do szkoły. Kolejka jednak nie skracała się specjalnie, co chwila bowiem pojawiały się nowe osoby, które zajmowały miejsce na końcu. Darlan domyślił się, że stoją w niej kandydaci na żaków.

Druga, środkowa brama, była największa – wysoka i okratowana, chroniona basztami. Pilnowało jej kilku strażników i celników, pobierających opłaty od wjeżdżających do środka uczniów i absolwentów szkoły. Ruch odbywał się w obie strony, bo twierdzę opuszczało wielu reketierów ruszających na poszukiwanie zysków i obrotu.

Trzecie, położone po lewej stronie drzwi były małe i wąskie. Wymalowano na nich znaki kółka oraz trójkątka.

Darlan podjechał bliżej murów, ocenił ich wysokość i jakość wykonania, a także przyjrzał się strażnikom. Wszystko wyglądało dość solidnie. Odrzucił więc pierwotny zamysł, przewidujący: nocne czuwanie, maskowanie, wspinaczkę, obezwładnianie, podduszanie, a być może nawet wsadzanie worka na głowę i cedzenie cichych przekleństw. Uznał, że nie chce mu się realizować planu, co prawda fascynującego, ale też nader męczącego.

Zsiadł z biegacza i wyjął z tobołków najpotrzebniejsze i najcenniejsze rzeczy. Chwilę podrapał wierzchowca za uchem, umówił się na spotkanie "za dwa dni góra" i puścił go luzem.

Sam grzecznie zajął miejsce na końcu kolejki kandydatów do Wyższej Szkoły Reketingu i Zarządzania.

Przed nim stał chudy wysoki chłopak, o potarganej czuprynie i w mocno znoszonym ubraniu. Darlan poznał, że ma przed sobą rybaka – a to po specyficznej sztormiakowej czapce i zapachu. Ogonek posuwał się dość szybko. Żelazna furta w zamkowym murze otwierała się jak gardziel ludojada, w ciemny korytarz wkraczało kilkunastu chętnych, po czym wrota zamykały się ze zgrzytem i trzaskiem.

Oj, przydałby się ślusarz! – pomyślał Darlan, ale zaraz się zreflektował, że pewnie większość ślusarzy grasuje teraz po gościach i jeśli ma do czynienia ze swą dawną profesją, to co najwyżej oliwi broje kamratów.

Trzeba przyznać, że niektórzy kandydaci na reketierów trochę się denerwowali, by nie powiedzieć – panikowali. Po kolejce niosły się plotki. A to taka, że selekcji na studia dokonuje zawsze osobnik zwany "łowcą głów", specjalista od tak zwanego "haru". Co dokładnie oznaczają te określenia, nikt nie wiedział. Gadano więc, że groźny ów człowiek haruje od rana do nocy, ścinając ludzkie głowy. Inni utrzymywali, że on po prostu telepatycznie (albo palcami) zmniejsza czaszki i mózgi studentów, żeby to oni harowali bez wytchnienia. Byli i tacy, co twierdzili, że "łowca głów" robi najpierw selekcję, na głowy dobre i głowy złe, zadając wiele podstępnych pytań i każąc rozwiązywać dziwne układanki. No i że potem składa dziwne

propozycje i że to jest potworne. Albo że nie składa i że to jest jeszcze gorsze.

Byli i tacy, co mówili, że to zwykłe przejęzyczenie. I że "łowca głów" nie jest specjalistą od żadnego "haru", tylko od "chóru", i że jak już kogoś przyjmie do zespołu, to musi on z tym zespołem śpiewać – równo, posłusznie i bez zadawania zbędnych pytań. Ta wersja wydarzeń najbardziej zaniepokoiła pewnego głuchego zduna. Chciał się nawet wycofać z kolejki, ale koledzy przekonali go, żeby nie rezygnował.

– Każdy może się poznać na reketingu i zarządzaniu – mówili jedni.

– Nie musisz znać matematyki, umieć poprawnie pisać ani składnie posługiwać się naszą piękną fiordlandzką mową. Ba, nawet możesz być głuchy. Każdy ma szansę zostać młodym, zdolnym, atrakcyjnym! – dodawali inni.

Głuchy zdun nic oczywiście z tego nie usłyszał, ale został, a wraz z nim ośmiu cieśli, trzech braci murarzy wyglądających na bliź niaków, dwóch rolników, jeden szlachcic mocno podupadły, kilku mieszczan, hrabia bardzo niewyraźnie wymawiający "r" (co dało kolejkowiczom pretekst do kilku dowcipów, nie tylko głupich, ale i starych jak Śpiąca Królewna), no i cała masa innego luda, a nawet nieluda, bo Darlan przyuważył dwa krasnoludy, kurzymisia i rodzinę gadających kuców szetlandzkich.

Tak to sobie płynął czas w kolejce: na niewybrednych dowcipach, ponurych plotkach i przyjacielskich pogawędkach. Aż drzwi skrzypnęły ponownie, otworzyła się ciemna gardziel korytarza i Darlan, wraz gromadką innych kandydatów, wkroczył do twierdzy. Korytarzyk zakręcił raz i drugi, tak że na moment znaleźli się w niemal zupełnej ciemności. Zaraz jednak znów zabłysło światło słoneczne i wyszli na spory dziedziniec.

– Dziesięć talarów! – usłyszał niespodziewanie nad głową mocny głos.

Odwrócił się i zobaczył trzech osobników postury znacznej, razem wyglądających jak trzydrzwiowa szafa. Gadał wyłącznie środkowy, prawy tylko groźnie łypał, a lewy pozgrzytywał

zębami dla podkreślenia wagi słów centralnego. Siłę perswazji wzmacniały długie i grube dębowe pały, które ściskali w dłoniach. I gęby, które w przeszłości musiały wielokrotnie testować zasady dynamiki słynnego naturalisty Olddźwięka, gwałtownie uderzając w duże twarde przedmioty. Konkretnie – zasadę trzecią: o siłach, akcji i reakcji, oraz czwartą: o wpływie maczugi na kształt czaszki maczugowanego.

– Za co? – spytał Darlan, była to bowiem dla niego kwota całkiem pokaźna, a poza tym chciał zyskać na czasie, żeby się zorientować, o co chodzi i któremu z nich najpierw przygrzmocić w nos, jakby co.

– Za pęd do wiedzy, kochaniutki. Czesne trzeba zapłacić. – Środkowy uśmiechnął się słodko jak niemowlak (miał o trzy zęby więcej niż przeciętny noworodek).

– Aha, a zniżek nie ma? – drażył Darlan.

– Znaczą rabatów i promocji? – podpytał środkowy. – Dla wielodzietnych rodzin? W ramach akcji afirmatywnej dla elfów? Dla niepełnosprawnych centaurów? Dla weteranów? – No właśnie, ja... – Nie ma żadnych rabatów dla nikogo!

– A promocje?

– Tylko trzech pierwszych klientów po każdej równonocy letniej. Rany, co się tu wtedy dzieje! Tłumy, powiadam, tłumy – rozentuzjasmował się środkowy. Lewy i prawy pokiwali głowami. – Depczą się, gniołą, ścigają, wyrrywają sobie włosy, podcinają, gubią sakiewki. Jest widowisko, powiadam, okazałe. No dobra, dawaj te dziesięć talarów, bo mi wstrzymujesz kolejkę.

Darlan z wielkim żalem wysupłał z sakiewki złote monety. Środkowy każdą solidnie sprawdził zębami. Robił to profesjonalnie i z pełnym zaangażowaniem, mocno kłapiąc szczęką, co poglądowo wyjaśniło Darlanowi, czemu użębienie strażnika wykazywało tak poważne braki.

Lewy dał Darlanowi małą karteczkę, prawy zardzewiałą szpilkę. Środkowy kazał napisać na tym świstku imię ("Mogą być tylko krzyżyki, jak nie znasz liter. Sporo tu takich łazi, krzyżaków skubanych, chłe, chłe, chłe"). Potem rycerz musiał przypiąć sobie

świsstek na piersi i dołączyć do grupy innych kandydatów na studentów. Teraz mógł się przez chwilę spokojnie przyjrzeć dziedzińcowi szkoły.

Kłębił się na nim tłum, składający się z głównie z ludzi, ale także innych istot. Załatwiano tu wiele spraw: handlowano, szykowano biegacze do drogi, kłócono się, wygrzewano na słońcu. Reketierzy poruszali się bardzo pośpiesznie, krążyli po wybrukowanym kamieniem placu, machali rękami, pokrzykiwali na siebie. Czasem zderzali się ze sobą i wtedy wybuchały prawdziwe kłótnie. Inni dla odmiany snuli się wyraźnie bez celu, ze spuszczonej głowami, coś tam sobie mamrocząc pod nosem. Byli i tacy, którzy po prostu siedzieli na ziemi, miarowo kiwając głowami i zawodzącymi głosami wyśpiewując mantry. Z tego zawodzenia, krzyków i szeptów Darlan był w stanie wyłuskać tylko pojedyncze, najczęściej powtarzane słowa. – Bu-bu-bu-buuudżet! – darł się jeden.

– Lancz! Lancz! Lancz! – wrzeszczał drugi, najwyraźniej bardzo głodny.

– Praca uświęca środki! – deklamował kolejny. – Jak sobie pościelesz, to cię zwolnią. Póty nosisz ucho, póki cię nie wyleją na pysk. Jeszcze inny podśpiewywał:

**Zawsze sprawny jest i zdrowy przedstawiciel nasz handlowy, hej!**

**Czy sobota, czy niedziela, on znów rącho popierdziela, hej!**

**Wam wciska kichę, wam wciska chłam, żeby obrót zrobić nam, hej!**

**A gdy pęknie mu pikawka, to wyrośnie na nim trawka, hej!**

Coś – poza oczywistym faktem utraty kilku klepek – łączyło tych wszystkich ludzi. Początkowo Darlan nie za bardzo potrafił to zidentyfikować. Nagle jeden z osobników stanął naprzeciw rycerza i gromkim głosem wyrecytował taką oto sentencję: – Gorszy od smrodu sera jest zapach menedżera!



Po czym demonstracyjnie złapał się za nos, zrobił w tył zwrot i odmaszerował. Ale zanim się odwrócił, Darlan wreszcie odkrył, co wspólnego mają wszyscy ludzie na placu, a przynajmniej ci, którzy właśnie zakończyli wykłady.

Ich oczy pokrywała delikatna zielona mgiełka, czająca się nawet w czerni źrenic. Tego przebarwienia nie dostrzegł Darlan u swoich nowo przybyłych towarzyszy.

Czary, pomyślał. W czasie wykładów studenci są opętywani. Większość po prostu rusza na gościńce reketować, ale co słabsze umysły nie wytrzymują tego wyścigu i popadają w jakąś formę paranoi. Tych A. Kant trzyma tutaj, w szkole. Może, żeby się uspokoili, a może, żeby nie robić uczelni złej renomy.

Trzydrzwiowy strażnik zebrał już czesne od wszystkich nowych, kazał się im ustawić parami i poprowadził ich w stronę niskiego budynku.

– Szczęściarze, farciarze, fuksiarze – powtarzał przy tym środkowy, a boczni posapywali ze wzruszenia. – Ale wam się powodzi, no, no. Za chwilę wkroczycie w precudowny świat reketingu. Oraz zarządzania, rzecz jasna.

W sali na studentów czekało trzech facetów. Każdy miał przypięty do piersi kartonik z wypisaną sprawowaną funkcją, ale bez imienia. Menedżer Światła ścisnął pudełko zapalek. Senior Egzekutor Operacji, starszy jegomość z różgą w ręku, wyglądał dość groźnie. Przywitał wszystkich Promo Vice Menago – osobnik o gębie równie gładkiej jak jego wypomadowana fryzura, w dziwnym czarnym stroju składającym się ze spodni, przykrótkiego fraka oraz kolorowego kawałka materiału przywiązanego do szyi i zwisającego mniej więcej do pasa.

Studenci zaczęli zajmować krzesła, a Menedżer Światła zajął się gaszeniem świec w kandelabrach. Darlanowi aż zakręciło się w nosie od zapachu dymu, jeden z uczniów zaś nie wytrzymał i głośno kichnął. Natychmiast za jego plecami pojawił się Senior Egzekutor Operacji i pacnął go różgą po plecach.

Rycerz usiadł z brzegu, na krześle stojącym najbliżej drzwi. Nie zamierzał spędzić tu dużo czasu.

W pomieszczeniu zapanował półmrok, jedynym źródłem światła była lampa ustawiona w tyle sali i rzucająca promień na ścianę przed oczami słuchaczy. W ten snop światła wkroczył Promo Vice Menago. Jego oczy lśniły zielono.

– Niech będzie pochwalony reketing i zarządzanie – zaczął. – Oto słowo Kotleta: "Określcie potrzeby, kształtujcie produkt, budujcie popyt...".

W tym momencie kolistą plamą światła na ścianie się rozmazała, a po chwili pojawił się w niej niewyraźny napis:

4P REKETINGU:  
PUŁAPKA \* PIĄCHA \* PAŁKA \* PRZEPRASZAM

Litery drżały, rozlewały się, przesuwały. Darlan zerknął do tyłu i zobaczył Menedżera Światła trzymającego przed lampą kawałek przezroczystego pergaminu, na którym je wypisano. Na ścianę padał ich powiększony cień.

Promo Vice Menago mówił dalej, głosem monotonnym i sennym, a jednak zdania, które wygłaszał, wnikały do mózgu, utrudniały racjonalne myślenie. Zaczął od objaśnienia słynnego aksjomatu 4P reketingu:

– Zapamiętajcie to sobie: PUŁAPKA \* PIĄCHA \* PAŁKA \* PRZEPRASZAM. Oto podstawa! Dobra zasadzka, cios w nos, efektowna demonstracja narzędzi do spuszczenia łomotu, a na koniec odrobina grzeczności sprawią, że i wy osiągnięcie swoje cele osobiste, i klient będzie zadowolony (w stopniu, w jakim może być zadowolony w takiej sytuacji). Niektórzy próbują zastąpić ten model systemem 4 CI: CIEMNOŚĆ \* CIOS \* CIUPAGA \* CIAO, ale przy uważnej analizie zobaczymy, że tak naprawdę chodzi dokładnie o to samo.

Czyli jak najskuteczniej złupić ofiarę (dla niepoznaki nazywaną "klientem") – pomyślał Darlan.

– A teraz powtarzajcie za mną – Promo Vice Menago odrobinę podniósł ton głosu – święte reguły reketingu: KUPIĆ NIE KUPIĆ,

POTARGOWAĆ WARTO! MY PANEM KLIENTA! CZASOWNIK JEST WSZYSTKIM! BEZ PRACY SĄ KOŁACZE! DRZWI TO DRZWI, A BIZNES TO BIZNES!

Po wypowiedzeniu każdej sentencji czekał chwilę, aż studenci powtórzą jego zdanie. Mówili je głośno i miarowo, dziwnie zsynchronizowani, jak na grupę ludzi, która robiła to wspólnie pierwszy raz, w ich głosach było słycać wiarę i zaangażowanie. Darlan zerknął na swojego sąsiada po lewej. W jego oczach dostrzegł już zielone iskierki magii. Jednocześnie zauważył, że nawet pracownicy szkoły ulegli czarowi reketingowych mantr i powtarzali je głośno, stojąc na baczność, z oczami półprzymkniętymi niczym w transie. Kiedy doszli do zdań typu "Makroekonomiczna funkcja produkcji opisuje zależność wielkości wytworzonego produktu od ilości zużytych czynników produkcji", Darlan uznał, że zdecydowanie powinien stąd zmykać.

Rozwagał dwa sposoby opuszczenia sali. Pierwszy polegał na wykorzystaniu półmroku – bezszelestnym wstaniu z krzesła, przesunięciu się ku drzwiom, następnie ich cichemu otworzeniu i niezauważonemu wyjściu na zewnątrz. Tak, to mogło się udać, zważywszy na pogrążenie pozostałych osób w reketingowym transie.

Ale Darlan wolał nie ryzykować i użył drugiej metody, która dawała mu większe szanse na sukces. Z całej siły popchnął swojego sąsiada, potem to samo zrobił ze studentem przed sobą, za sobą i na ukos. Nie zareagowali od razu, bo nie mogli, pogrążeni w otępiającym rytmie wykładu. Przewracali się, wpadali na swoich kolegów, pod kimś złożyło się krzesło. Wreszcie zaczęli wracać do rzeczywistości. Ktoś się poderwał i niechcący stuknął łokciem sąsiada. Ów oddał. Ktoś kogoś popchnął, sam dostał w nos, wrzasnął. Potem wszystko poszło już bardzo żwawo i rozpoczęła się naprawdę piękna bijatyka.

Wreszcie ocknęli się również pracownicy szkoły. Menedżer Światła rozpaczliwie chronił przed tumultem lampę, pokrzykując cienkim głosikiem. Senior Egzekutor lał różgą na prawo i lewo, aż się zasapał. Tylko Promo Vice Menago cofnął się w ką

pomieszczenia, wyraźnie się obawiając, że w zamieszaniu może ponieść szkodę jego wyprasowana gęba, fryzura albo strój. I byłoby mu się pewnie udało wyjść cało z opresji, gdyby nie został trafiony latającym krzesłem. Ale tego Darlan już nie zobaczył, bo właśnie zamykał za sobą drzwi sali wykładowej.

Spytacie, czy gryzło go sumienie za sprowokowanie bijatyki? A i owszem, spodziewał się etycznego kaca, bo wiedział, że wielu porządnych ludzi nabawi się dziś przez niego guzów i siniaków. Ale tak jak bolący baniak i ściśnięty kałdun są czasem ceną za nocne pohulanki, tak nieodłącznym kosztem niektórych dobrych uczynków jest mała bójka. Kto tego nie rozumie, ten na pewno się nie nadaje ani na błędnego rycerza, ani na policjanta, ani na harcerza.

Darlan przemykał więc korytarzami szkoły, starając się uniknąć wzroku strażników i studentów. Musiał znaleźć źródło magii, centrum emisji owej zielonej mocy ogarniającej wszystkich Fiordlandczyków. Nie wiedział, ile ma czasu na spokojne działania, tamci mogli już opanować sytuację i doliczyć się, że brakuje im jednego studenta.

Przebiegł salę, w której kilkunastu żaków ćwiczyło manewr relanczu, jedząc drugi obiad. Przeszedł obok pomieszczeń oznaczonych kolejno: monopol, dupol, oligloopol. Zza pierwszych drzwi dobiegały pijackie śpiewy, zza drugich odgłosy gry w salonowca, spod trzecich wiało chłodem. W bocznym korytarzu natknął się na dwa wielkie, zakurzone kosze, prawdopodobnie jakieś dawne pomoce naukowe. Oba były oznaczone mosiężnymi, mocno pociemniałymi od tłuszczu i kurzu tabliczkami informacyjnymi. Na pierwszej wygrawerowano: KOSZYK DÓBR, na drugiej: KOSZYK ZŁÓW. Darlan zajrzał do koszyków, ale były puste.

Minęła go grupka studentów, głośno dyskutująca, czy lepiej podarzyć popyt, czy popytać podaż.

– Nie mówi się "podarzyć", tylko "podarować" – mruknął.

Nie mając pewności, gdzie iść, Darlan zdał się na nos. Ten solidny organ, wierny towarzysz wielu podróży i awantur, z

zasady go nie zawodził, no, chyba że w trakcie przygody był zakatarzony. Teraz nos dawał znać, że to właściwa droga. Stopniowo rycerz zagłębiał się w coraz rzadziej odwiedzane korytarze, bez okien, ledwie oświetlone z rzadka rozmieszczonymi pochodniami. Nieruchome powietrze śmierdziało stęchlizną. Na podłodze leżała gruba warstwa kurzu, aczkolwiek środek korytarza był wyczyszczony przez podeszwy chodzących tędy ludzi. A więc zapuszczano się tu regularnie, nie był to duży ruch. Jakby ktoś raz na kilka dni przechodził tędy, by coś sprawdzić czy załatwić. Rycerz miał też wrażenie, że cały czas posuwa się w dół. W końcu zorientował się, że ściany korytarza nie są już zbudowane z cegły czy kamienia. Wykuto je w skale.

Ha, takich wskazówek nos Darlana nie mógł zlekceważyć. Było jasne, że ta droga prowadzi do dawnej jaskini smoka. I do źródła tajemnicy. To przeczucie szybko zostało potwierdzone. Oto z naprzeciwka szło dwóch ludzi. Darlan przywarł do ściany, mając nadzieję, że nie zobaczą go w ciemnościach. W ich sylwetkach i tonie głosu rozpoznał znajome cechy i szybko zrozumiał, że ma przed sobą dwóch pozostałych braci Kantów. Klócili się. – Mówię ci, Dermatronie, że on ma za duże potrzeby i wymagania.

– Tak, tak, Cepelionie, jego popyt może nawet przewyższyć naszą podaż.

– Może by go tak posegmentować? Nooo... pokroić na kawałki.  
– Cepelionie, chcesz go zreketować? Nie damy rady.

– Damy, jak go dobrze spozycjonujemy. Nazwijmy to... na przykład... reketing-smox.

– Dlaczego nie reketing-smok?

– Tak mi brzmi jakoś lepiej, bardziej markowo...

Błędemu rycerzowi niełatwo jest się upodobnić do skalnej ściany, szczególnie rycerzowi o – jak już powiedzieliśmy wcześniej – dużym nosie. Na szczęście, zagadani i speleologicznie niedouczeni bracia Kantowie nie zwrócili uwagi na fakt, że z jaskiniowych ścian zwykle nie wyrastają ani stalaktyty, ani

stalagmity i minęli przyciśniętego do skały Darlana, wciąż rozmawiając.

Rycerz odczekał, aż ich głosy ucichną, po czym ruszył w dalszą drogę. Za następnym zakrętem korytarza usłyszał dźwięk, który pierwotnie wziął za szum podziemnego strumienia. Dopiero po chwili zorientował się, że to chrapanie. I że chrapiący musi posiadać bardzo duże nozdrza. Jak, na przykład, smok.

Korytarz rozszerzył się gwałtownie, a w oczy Darlana uderzył złoty blask. Pod stopami brzęknęły monety. Rycerz przycisnął się do ściany i ostrożnie wsunął do groty. Starał się stąpać na palcach i za bardzo nie pobrzękiwać zbroją, bo szczerze mówiąc, nieco się scykał. Wprawdzie błędni rycerze rzadko kiedy się boją (gdyby nie byli odważni, to wykonywaliby inny zawód, na przykład sprzedawali warzywa), a jeszcze rzadziej dają po sobie poznać ewentualny napływ paniki, jednakże tym razem możemy absolutnie usprawiedliwić Darlana. Każdy by się przeraził, widząc to, co ujrzał nasz bohater.

No bo wyobraźcie sobie górę złota – monet, garnków, koron upadłych królestw, pasów cnoty upadłych dwórek, bransoletek, naszyjników, nocników, rzeźb, lichtarzy i innych świecidełek (w tym pokażnej liczby złotych zębów).

U jej podnóża leżało całkiem sporo zupełnie niezłotych kości. Kości jak najbardziej kościanych. Kości z kości, jak krew z krwi, a marchew z marchwi. Tu żeberka, tam czaszka, ówdzie udowy gnat. Z góry, z jakichś szczelin w ścianach do groty wpadało światło. Odbijało się od zgromadzonych kosztowności, tańczyło na gładkiej powierzchni tarcz, przeskakiwało po monetach, wyblyszczalo haftowane złotem suknie. Oświetlało właściciela wszystkich skarbów. Smoka o bardzo niesmoczym imieniu Kotlet.

Smok zajmował czubek góry. Był wielki jak stodoła chciwego sołtysa, zielony w czerwone krople, bardzo łuskowaty, bezwzględnie opazurzony i uzębiony lepiej niż stado wilkołaków. Leżał. Zwinął skrzydła, podparł łeb przednimi łapami, nozdrzami raz po raz wydmuchując nieco dymu, zamknął oczy. Uszy miał szpiczaste, nos mięsisty, pomiędzy

warg spływała gęsta ślina. Pochrapywał przez sen, a każde charknięcie dudniło o kamienne ściany jaskini wielokrotnie odbitym echem. Tylne łapy częściowo zagrzebał w złotej górze, chyba więc dawno się z tego miejsca nie ruszał, albo to właśnie był jego sposób na wygrzanie stóp.

Tuż przed jego pyskiem w powietrzu obracała się księga. Dość gruba, oprawiona w skórę, ozdobiona złotymi malunkami. Księga świeciła zielonym blaskiem, tym samym, który Darlan dostrzegł w oczach wielu uczniów Wyższej Szkoły Reкетинu i Zarządzania. Promieniowanie to spływało z niej niczym mgłą, snuło się po złotej górze, dotykało i oplatało cielsko Kotleta.

No to cię mam, pomyślał Darlan. Oto magiczna księga, która opanowała umysły tych wszystkich ludzi, a kto wie, może i samego smoka.

Mógł zrobić tylko jedno. Powoli, ostrożnie, niemal na paluszkach zaczął piąć się po złotym kopcu. Wyciągnął miecz z pochwy i podpierając się nim jak laską, brnął w górę, ku księdze. Ciężko było. Tu osypał się strumień gotówki, tam zabrzączał trącony dzbanek lub stara korona poturlała się w dół stosu. Ale smok wciąż spał, nie zmieniając rytmu oddechu. I naszemu rycerzowi może by się nawet udało, gdyby nie pech. Miecz trafił na pustą przestrzeń, Darlan stracił równowagę i rymsnął na twarz, jakby się poślizgnął na skórcie banana, pozłacanej oczywiście. Poczł drżenie podłoża, usłyszał ciche stęknięcie, a po plecach przebiegł mu gorący oddech.

Rycerz wsparł się na rękach, spróbował wstać, lecz noga obsunęła się na śliskim zboczu i ponownie pacnął na twarz, bezradnie szukając oparcia. Kiedy znów się podniósł, zobaczył tuż przed sobą wielki smoczy pysk.

O rany, rany, rany! – pomyślał Darlan raczej mało konstruktywnie. Spróbował też błyskawicznie przypomnieć sobie całe swoje życie, a w szczególności wszystkie miłe chwile i jeszcze miłsze dwórki.

– Kszsz, szszszsz, krzykszyyyyyy – sapnął smok w zadziwiający, na pewno nieznanym w tych stronach sposób zestawiając głoski. –

Jesteś moim branczem? – Kim, przepraszam? – spytał zdumiony rycerz.

– Śniadaniobiadem albo obiadowokolacją... Nie pamiętam dokładnie.

– Nie sędzę. – Darlan zdołał już wstać, otrzepać się ze złotego pyłu i nawet wyszarpnąć miecz.

– A może podwieczorkiem? – spytał z nadzieją smok. – Uwielbiam podwieczorki!

– Nie sędzę – powtórzył spokojnie rycerz, choć czuł, że jego nogi mają zdecydowaną ochotę zrobić w tył zwrot i biec bardzo, bardzo szybko.

– No tak, wobec tego będę cię musiał zjeść bez żadnego powodu, jako zwykłą przekąskę. Nie szkoda ci?

– Czego?

– Nooo, jak to czego? Że zakończysz życie jak chips albo jak batonik.

– Lubię batoniki w polewie czekoladowej – przyznał Darlan.

– A ja w polewie zbrojowej, he, he – zarechotał smok, najwyraźniej zadowolony ze swojego dowcipu. – No chodź tu bliżej, capnę cię na raz, obiecuję, że nie będzie bolało.

– Dobra, dobra, po co ten pośpiech? Nie możesz konsumować tak łapczywie. Zdążysz. Może najpierw porozmawiamy? – Gra wstępna, tak? – Smok nieco cofnął łeb, ale wciąż patrzył na Darlana uważnie swoimi różowymi oczami. W ich środku lśniły ledwie widoczne czarne kreseczki źrenic. – Może być. A po wszystkim to nawet chyba sobie zapalę, he, he. – Smok znów się uśmieł, zionąc z pyska pomarańczowym ognikiem.

Darlan poczuł pieczenie na twarzy, mimo że stał kilka kroków od granicy ognia.

– No to cudownie – powiedział głosem tak słodkim, jak kawałek tureckiego ciasta popijany mrożoną białą czekoladą z bitą śmietaną. – Powiedz mi, panie smoku, co ty tu właściwie robisz? – Jak to co? – Smok nie wahał się ani chwili. – Leżę na kupie złota. Zawodowo i profesjonalnie. Jestem w tym naprawdę



dobry. Mam medale. – Za leżenie?

– Nie, za łyżwiarstwo figurowe. Dwa złote i jeden srebrny, o tam są, koło twojej nogi.

– Ale skąd ty to całe złoto wzięłeś? Od lat nikt cię widział na niebie. Nie rabowałeś, nie podpalałeś, nie ganiałeś niewiast za stóg. Wylegujesz się tu tylko, pojedasz prosiaki i słabszych studentów swojej szkoły, a robotę za ciebie musi odwalać ktoś inny. – I o to chodzi! O to właśnie chodzi! – wykrzyknął radośnie smok.

Z jego nozdrzy buchnął kłęb różowego dymu, pewnie na znak, że poruszyli ulubione tematy Kotlecia.

– O co?

– Żeby leżeć do góry brzuchem, ewentualnie do dołu... Taaak, to jest rzecz gustu właściwie, do góry czy do dołu... No taaak... można też leżeć brzuchem na boku... oraz tak trochę na boku, a trochę do góry, tylko wtedy mnie zawsze ogon swędzi, nie wiem właściwie dlaczego...

– Reasumując? – ponaglił go Darlan.

– Reasumując, jesteś luźny. Oni reketują, ty nimi zarządzasz i złoto płynie strumieniami. Co jest celem życia smoka? Żarcie i złoto, oczywiście. Nie wierz w te bajki o naszej wiekowej mądrości. Jesteśmy jak mężczyźni – chcemy jedzenia i gołych kobiet (które zresztą też od razu zjadamy). Dawniej i ja latałem po niebie wolny jako ten niebieski ptak... czyli zielony smok. Straszylem ludzi, porywałem krowy, paliłem owce i dziewczęta. Przyjemne to było życie, ale i niebezpieczne. A to jakiś durny rycerz na mnie najeżdżał i kłuł kopiać po zadku (bo od przodu żaden nie odważył się zaatakować). A to zmyślny sołtys napychał siarką i smołą brzuch wioskowego głupka i podtykał mi go na spróbowanie. A to znowu jakiś pisarzyna udowodniał naukowo, że mnie nie ma. Jak on się nazywał? Warańczyk? Marańczyk? Hm... Chyba Karańczyk i właśnie kara go spotkała, bo go zjadłem. Ale przyznaję, że do końca trzymał się scjencycznego paradygmatu i utrzymywał, że ja tak naprawdę nie istnieję. Smok zawiesił głos, uważnie spojrzął na Darlana.

– Czy ty w ogóle rozumiesz te trudne wyrazy, którymi cię brifuję.

– Tak jakby... – Rycerz kiwnął głową.

– Pewnie bardziej "jakby" niż "tak" – mruknął smok, ale zaraz wrócił do opowieści. – Któregoś razu w moje łapy wpadła ta księga. Napisał ją pradawny mag zza morza, wielkiej ponoć mądrości człek. To on nazywał się Kotlet, a nie ja. Przeczytałem ją, a jakże, bo umiem i lubię czytać – smok zawiesił głos – w przeciwieństwie do większości przedstawicieli twojego fachu, droga przekąsko. I doznałem wglądu, czyli eureka. Po co się wysilać? Po co się narażać? Po co tracić energię? Zamiast polowania, latania i walki mogę całe życie przeleżeć na czubku wielkiej góry złota i czerpać dochody z inwestycji, a nie z podboju. I to stokroć większe. Zarządzanie i reketing to potęga!

Smok się rozkręcał, a im dłużej mówił, tym wyraźniej zmieniał się kolor jego oczu. Różowe ślepia zieleniały, a pionowa źrenica grubiała i wyginała się, przyjmując kształt podobny do litery S. S jak smok zapewne, pomyślał Darlan. A więc i on jest zaczarowany! Ta księga to podręcznik reketingu i zarządzania. Opanowała umysł smoka, a następnie wszystkich ludzi, którzy przychodzą do szkoły. Żeby ich uwolnić, muszę ją zniszczyć.

A że u wędrownego rycerza, co w głowie, to i w nogach, Darlan powoli zaczął się przesuwac w stronę księgi.

– A jak ty tak naprawdę masz na imię? – spytał, próbując zagadać smoka.

– Eufrozy, po stryjecznym dziadku.

– A ten... tego... rodzinę masz? – Kroczek, następny kroczek. – Nie, rodzina przeszkadza w karierze zawodowej.

– To może chociaż jakieś jajko? Znaczy... zniesione... przechowujesz? – Trzeba przejść obok wielkiej skrzyni ze złotem. Zauważy czy nie?

– Nie popieram rozmnażania in vitro. Jak już osiągnę odpowiedni pułap, wtedy zastanowię się nad ab ovo.

– Wiesz, wtedy może już być za późno. Zegar biologiczny tyka:

tik-tak, tik-tak, itepe, itede, et cetera.

Darlan też postanowił pochwalić się znajomością języków obcych. Obcych i martwych – to skojarzenie ponownie przypomniało mu, że się boi. Ale księga była tuż-tuż. Eufrozy nie reagował, najwyraźniej zamyślił się nieco nad swoją przyszłością, ewentualnym ojcostwem i zegarową metaforą. Nawet na moment zamgłiły mu się oczy. Krótki, jak to z momentami bywa. Smok wzdrygnął się, splunął, warknął.

– Co ty mi tu o jajkach... – Zawiesił głos. – Ejże, przekąseczko, a co ty chcesz zrobić?!

Darlan nie miał zamiaru odpowiadać. Skoczył do przodu, kilkoma susami dopadł do księgi i mocnym pchnięciem wbił w nią miecz.

A potem się zaczęło.

Smok ryczał, zionął strugami ognia, walił łapami, próbując rozgnieść Darlana. Góra dygotała, przewalały się po niej wodospady monet, osuwały lawiny złotych przedmiotów, otwierały lśniące wiry-pułapki.

Przebita księga płakała. Wykrzykiwała coś o bankructwie, spadku kursów, hiperinflacji, deficycie, niskim grp, wysokich podatkach, złej koniunkturze i zwolnieniach grupowych – Darlan zrozumiał z tego tylko tyle, że powinien szykować się na niemałą apokalipsę. Księga umierała i traciła swą moc. Oczy smoka na powrót stały się różowe, zielona mgła wypełniająca jaskinię rzedła i znikła. A Darlan? O, niełatwo rycerzowi w zbroi skakać jak pasikonik. Unikać ogniowej flegmy, smoczych łapsk, osuwających się kosztowności (szczególnie nefajne są ciężkie, wysadzone diamentami berła spadające na głowę, mówię wam). Nasz bohater dzielnie sobie jednak dawał radę, tu kicnął, tam hopsnął, gdzieś się ślizgnął. Tymczasem księga jęknęła, skrzypnęła, zaszeleściła i dawaj więc się i podrygiwać, przesuwając ku czubkowi miecza. Darlan, zajęty ratowaniem życia, nie zwrócił na to uwagi. Pędził w dół, ku wyjściu z jaskini, cały czas bacząc na srożącego się smoka. I nagle – hop, księga zsunęła się z ostrza i wykorzystując resztki zielonej energii, trzepocząc

kartkami niczym tysiącskrzydły owad, poszybowała ku Eufrozemu.

Miała pecha. Przypadkowa smuga smoczego ognia musnęła jej okładki, a był to płomień smoczy – złośliwy, przyczepny, głodny. Ostatnim dźwiękiem, jaki wydał z siebie magiczny podręcznik reketingu autorstwa Kotleta, było ciche "PSSSSYYT!". Zielona mgła zniknęła ostatecznie.

Smok ryknął straszliwie. Wyzwolona z czaru jego prawdziwa natura, tłumiona tak długo, zażądała wypłaty za lata postu. – Dziewic! Rycerzy! Owiec! – zadudnił smok, wygrzebując się ze złotego stosu, rozkładając skrzydła i prężąc grzbiet.

Ten hałas i ruch rozchwiały cały złoty stos. Na dno jaskini zaczęły walić się skalne okruchy o wielkości może niezbyt groźnej dla smoka, ale dla Darlana jak najbardziej śmiertelnej. Rycerz już nie kombinował. Gnał w dół na złamanie karku, byle tylko wydostać się z pułapki. I udało mu się.

Przebiegł podziemny korytarz, przemknął przez szkołę, wypadł na podwórzec.

Za nim dygotała góra. Wokół panikowali zdziwieni ludzie. Oni też już wyzwolili się spod wpływu księgi. Biegali po dziedzińcu, przerażeni i półprzytomni, często się zderzając, pokrzykując na siebie i innych.

- Co ja tu robię?!
- Gdzie ja jestem?!
- Skąd wieje wiatr?!
- Trzęsienie ziemi! Na pomoc!
- Gdzie jest król? Niech żyje król!
- Trzeba budować! Trzeba siać! Trzeba orać!
- Uciekajmy! Uciekajmy stąd!

I uciekli. Przez otwartą na oścież bramę Wyższej Szkoły Reketingu i Zarządzania wypłynął tłum cieśli, szlachciców, szewców, pokojówek, ślusarzy, rolników, dam dworu i innych obywateli królestwa Fiordlandii. A gdy ten teren opuścił ostatni z nich – jak to zwykle w opowieściach bywa – do końca zawaliły

się i wszystkie budynki, i otaczający je mur, i góra, przywalając swym ciężarem smoka Eufrozego i jego złoto.



Barwny i pyszny pochód jechał traktem – od Pałacu Zimowego do fiordlandzkiej stolicy. W otoczeniu rycerzy król Christian Adolf Karol Harald Tovenssonsvenon VI miał powrócić do swego zamku. Zamiast połatanego stroju nosił bogato zdobiony, gustowny kubrak, purpurowy płaszcz i może nieco zbyt bufiaste spodnie. Koronę podróżną miał przypiętą pod brodą paskiem, żeby nie spadła na wybojach. Wokół niego tłoczyło się wielu szlachciców, koniecznie chcących pokazać, że z minionym okresem błędów i wypaczeń w traktowaniu jego królewskiej wysokości nie mieli nic wspólnego.

Kiedy z bocznej ścieżki wyjechał na drogę rycerz na zielonym biegaczu, straż przyboczna zareagowała szybko i z wprawą. Króla osłonięto, ku intruzowi skierowały się naładowane kusze. Jednakże władca powstrzymał swoich rycerzy gestem dłoni. Kawalkada podjechała bliżej.

– Witam, mości Darlanie. Panowie – zwrócił się do swych rycerzy. – Oto ów przybysz dalekiego kraju, który pokonał smoka i ocalił naszą Fiordlandię. Wiwat na jego cześć!

– Wiwat! Wiwat! – huknęli przyboczni, a najgłośniej darł się Baniotryks Kant.

– Witaj, miłościwy królu. Dziękuję za podziękowanie. I poproszę o pieniądze!

Na te słowa rycerze zaszemrali, a Cepelion Kant krzyknął nawet: – Jak śmiesz reketować władcę naszej krainy?! Czy masz aby na to stosowną licencję?

– Ależ oczywiście, że nie mam. I dlatego nie reketuję, tylko proszę o zwrot sumy, którą musiałem wydać na ten głupi kurs. Być może z małymi odsetkami.

Król uśmiechnął się. Odpiął od pasa sporą sakiewkę i podał Darlanowi. Uścisnęli sobie prawice.

– Widzę, że wszystko wraca do normy, panie.

– Tak, rycerzu, mam nadzieję, że moi dobrzy, ale niezbyt mądrzy poddani zrozumieli tę lekcję. Kraj potrzebuje rycerzy i cieśli, rybaków i poetów, nauczycieli i królów... No, powiedzmy, jednego króla. Niech będzie, nawet kilku reketierów. Ale jeśli wszyscy zaczynają studiować jedną naukę, wierzą w to samo i chcą zarabiać tak samo – no to wtedy czeka nas ruina. Gorsza niż działalność choćby i pięciu wypasionych smoków.

– Cóż, moda... Nie jesteście jedyni. – Darlan jeszcze raz zważył w dłoni otrzymaną sakiewkę.

– À propos szkół. Jesteś niezły w rachunkach, rycerzu. Wiesz, że mamy pod smoczą górą sporo stezauryzowanego złota, czyli kapitału. Trzeba by się tym zająć, a ty już coś wiesz na ten temat: jaki tam jest bilansik, jaki parytet, czy aby gotówka nie jest płynna po podgrzaniu jej przez smoka. Może zechciałbyś założyć u nas wyższą szkołę, powiedzmy "Biznesu, finansów i kopactwa"? To może być ciekawy kierunek.

Darlan nie odpowiedział. Przypomniawszy sobie właśnie, że pewna miła wróżka przepowiedziała mu przygodę – sześć dni drogi i dwa królestwa dalej. I już go nie było.

# **Marcin Mortka**

## **SMOK, DZIEWICA I SALWY**

### **BURTOWE**

Są takie dni, kiedy wszystko, po prostu wszystko musi pójść źle, a diabeł morski do spółki z Neptunem zaciera ją z uciechą łapska. Pierwszy tydzień sierpnia Roku Pańskiego 1750 zdecydowanie do takich dni należał.

Zacznijmy od tego, że jako angielski korsarz -renegat na służbie gubernatora Francji hrabiego de Truesse, obłożony wyrokiem śmierci dowódca około dwustu wilków morskich o szerniałych i splugawionych duszach oraz notoryczny, nieuleczalny pechowiec, generalnie nie miałem wielu powodów do zadowolenia z życia. Nienawidziłem ścieżki wytyczonej mi przez los równie szczerze i zawzięcie jak mojego obecnego mocodawcy, rozkochanego w opium sadysty, oraz byłego dowódcy, którego podłość i kunktatorstwo zmusiły mnie w końcu do dezercji z Royal Navy. Nienawidziłem Francuzów, którym musiałem salutować, nienawidziłem konwojowania statków z niewolnikami na sprzedaż, nienawidziłem nawet moich przyjaciół, którzy bezustannie namawiali mnie do kolejnej dezercji. Tych ostatnich głównie za to, że mieli rację. Kiedy więc nadeszło nowe zadanie, a tym razem było to dostarczenie ważnych meldunków do rąk własnych królowi Francji, podjąłem się go z ochotą, widząc wreszcie szansę wyrwania się z kręgu monotonii. Nie doceniłem jednakże mojego pecha, który wyslizgnął się z Port-Au-Prince tuż za moją dumną fregatą o nazwie "Magdalena", swego czasu zdobytą w mrocznych okolicznościach na Hiszpanach. Zaczęło się od tego, że jak na wygodnego dowódcę przystało, postanowiłem przyuczyć jednego

z marynarzy do roli kapitańskiego stewarda. Na termin przyjąłem niejakiego Johna Grommeta, który szczyił się tym, iż kiedyś służył w przydrożnej karczmie w Devonshire. Doprawdy nie wiem, czym się Grommet w owej karczmie zajmował, gdyż pierwsze zadanie, jakim było usmażenie jajek na bekonie, przerosło nieszczęśnika całkowicie. Kiedy już ugasiliśmy płomień w kajucie kapitańskiej, a pierwszy oficer Vincent Fowler zdołał oderwać moje dłonie od szyi marynarza, okazało się, że spłonęły rozłożone na biurku mapy. Niestety, nie tylko moje. Płomień pożarły bowiem również doskonałe, bardzo cenne mapy nawigatora fregaty, Jean -Pierre'a Millarda, które pożyczyłem poprzedniego dnia, by porównać z moimi, cokolwiek już wyświechtanymi. Mój pech polegał jednakże na tym, że Millard, aczkolwiek genialny nawigator, był również najwredniejszym sukinsynem, jakiego kiedykolwiek wypluło piekło. Co przesądniejsi marynarze twierdzili potem, że paskudny sztorm, jaki nas dopadł następnego dnia, był bezpośrednim rezultatem wściekłej kłótni, którą stoczyliśmy na pokładzie rufowym wśród kłębow dymu z dogasającego pożaru.

Nikt jednak nie zdążył powiedzieć ani słowa, bo kolejna awantura wybuchła już w chwilę później, gdy zapędziłem załogę do przygotowań do burzy. Okazało się wówczas, że bosman O'Neil po kryjomu sprzedał zabojadom zarówno najlepsze olinowanie, jak i większość płótna sztormowego. Wszelkie wysiłki skupiłem na próbach zabicia O'Neila, co do tej pory przejmuję mnie dreszczem, gdyż bosman zawsze słynął z umiejętności łamania czołem ławy w karczmie. Bosmana oczywiście nie zabiłem, ale okręt stanął do walki z burzą rozpaczliwie nieprzygotowany i wyszedł z niej w opłakanym stanie, z porwanym takielunkiem, zerwaną fokstengą, strzaskanym relingiem i zgruchotaną prawoburtową szalupą, że o drobniejszych uszkodzeniach nie wspomnę.

Potem już niczemu się nie dziwiłem. Ani temu, że podczas burzy rozbiła się moja osobista baryłka z malagą. Ani temu, że cieśla Sanchez, który ciężko odchorowywał wszelkie uszkodzenia "Magdaleny", postanowił zabić Grommeta. Ani nawet temu, że dowódca piechoty morskiej, porucznik Edward Love, znów



zgubił swego psa. Po prostu doszedłem do wniosku, że Neptun ma wobec mnie jakiś plan, chce mnie przetestować, a potem da mi spokój. Gdybym choć w części przewidział, co dla mnie przygotował, na pewno nie popadłbym w odrętwienie, jak wówczas. Zapewne uległbym panice i po prostu skoczył do morza.



Kajuta kapitańska na mojej fregacie nie była miejscem ani szczególnie przestronnym, ani gustownie umeblowanym czy nawet przytulnym. Aż do tej pory jednakże zawsze udawało mi się w niej dobrze wyspać. Niestety, pirotechniczno -kulinarne zapędy Grommeta odebrały mi i tę przyjemność – duszący smród spalenizny nie opuszczał kajuty mimo otwarcia wszystkich okien rufowych, tak więc po zaledwie trzech godzinach niespokojnego ciskania się w koi wyszedłem na pokład, masując wściekle skronie. – Dzień dobry, panie Millard – warknąłem do ponurego nawigatora, który na mój widok przybrał minę towarzyszącą z reguły przełknięciu porcji ekskrementów jednej z naszych pokładowych papug.

– Tradycja nakazuje mi odpowiedzieć w ten sam sposób, ale nie chcę zostać uznany za hipokrytę – rzekł Millard. – Proszę zatem wybaczyć, ale przejdę do kolejnych punktów naszej rozmowy. Otóż nie mam, kurwa, pojęcia. – O czym nie masz pan pojęcia? – Zdębiałem.

– O, masz ci los! – Francuz udał zdumienie. – A byłem przekonany, że po tak paskudnym sztormie spyta pan o położenie okrętu. Cóż za rozczarowanie...

Rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiegoś ciężkiego przedmiotu, którym mógłbym rozwalić Millardowi czaszkę, lecz jak na złość na okręcie dobiegał już końca rytuał szorowania pokładu i usunięto z niego wszystko, czym można skrzywdzić jakiegokolwiek człowieka lub Francuza. Marynarze zbierali się mesami na śniadanie, z niewyraźnymi minami oczekując na kolejny wytwór wyobraźni kuka Butchera.

– Mapy, jak pan pamięta, szlag trafił – ciągnął zadowolony z siebie nawigator – a na ustalenie pozycji okrętu wedle gwiazd czy słońca trzeba będzie poczekać.

Spojrzałem na niebo, które zakrywały nisko wiszące, niemalże nieruchome szare obłoki. Słońce powinno właśnie wznosić się zza horyzontu, lecz na drobne, oleiste fale, cicho omywające burty okrętu, nie padał najmniejszy nawet błady blask – na wschodzie rozciągał się bowiem gęsty, nieprzenikniony tuman mgły. Zerknąłem na maszty, na połatany takielunek i martwo zwisające żagle, potem na ślamazarny kilwater i znów na Millarda. Z wściekłością. – Po pierwsze, Millard – syknąłem cicho – spieprzaj pan z mojej burty. Po drugie, chcę usłyszeć raport. Pełny raport.

Francuz pobladł ze złości i przygryzł wargę, ale usunął się z burty nawietrznej rufy, tradycyjnie przynależnej dowódcy, i zasalutował, patrząc ponad moim ramieniem.

– Dzień dobry, sir! – huknął tak głośno, aż stojący przy kotłach marynarze odwrócili się ze zdumieniem. – Kurs okrętu północny wschód ku wschodowi, prędkość dwa węzły przy ostatnim rzuceniu logu. Wiatr wschodni malejący. Podczas ostatniej wachty załoga zakończyła łatanie porwanego takielunku, z założeniem zapasowej fokstengi czekaliśmy na powrót światła słonecznego. O falach też mam powiedzieć, że są niewielkie?

Najprawdopodobniej chciał jeszcze dorzucić jakąś kąśliwość, lecz nagle zawahał się, ponownie przygryzł wargę i pochylił nad tabliczką kursową. To zaś mogło oznaczać tylko jedno. – Dzień dobry, Vincent – powiedziałem bez odwracania się. – Dzień dobry.

Potężnie zbudowany, wiecznie pochmurny pierwszy oficer fregaty był jednym z najbardziej nieprzejeđnanych, stanowczych i dzielnych ludzi, których kiedykolwiek poznałem. Posiadał również naturalny talent budzenia lęku u każdego człowieka, od majtka pokładowego po admirała. Czasami aż nie mogłem się nadziwić, jak ktoś taki jak Vincent Fowler mógł sobie wybrać na przyjaciela akurat mnie.

Obaj oparliśmy się o reling rufowy i zapatrzyliśmy we mgłę. Z innym oficerem zapewne porozmawiałbym o konieczności założenia nowej stengi, o słabym wietrze, o trudnej do ustalenia pozycji i bliskiej już mgłę, ale w przypadku Vincenta nie było to konieczne. Rozumieliśmy się dobrze i w niektórych sytuacjach słowa okazywały się po prostu zbędne.

– Powinieneś inaczej traktować Millarda – odezwał się po dłuższej chwili.

– Wiem – wykrztusiłem, z całych sił powstrzymując się przed udzieleniem odpowiedzi przeczącej. – Ale to on zaczął! – Mniejsza o to, Billy. Załoga nie może ciągle przysłuchiwać się pyskówkom z pokładu rufowego. To fatalnie działa na morale. – To Millard źle działa na morale!

– Nie zapominaj jednak, że jest świetnym nawigatorem. A nawet gdyby nim nie był, wciąż należy do twojej załogi.

– Dobrze już, dobrze. – Westchnąłem. – Zresztą niebawem i tak będziemy mieli większe problemy.

Z tymi słowami wskazałem zamglony horyzont. Mleczny całun wyglądał, jakby pęczniał i nabrzmiwał, chcąc rychło pożreć maleńką "Magdalenę".



Mgła ogarnęła fregatę około południa, tuż po tym, jak wiatr ucichł niemalże całkowicie. Przez kilka godzin nadzorowałem pracę nad naprawianiem wywołanych przez burzę uszkodzeń, osobiście sprawdzałem też każdą nową linę, każdy blok i żagiel – wyskok bosmana O'Neila wstrząsnął bowiem moją wiarą w kompetencję załogi. Zastosowałem również wszystkie możliwe sztuczki, by wykorzystać ostatecznie tchnienia gasnącego wiatru, ale bez większego powodzenia. W miarę jak zbliżaliśmy się do mlecznej ściany mgły, wiatr gasł i cichł, aż wreszcie leciuteńkich podmuchów ledwie wystarczało, by okręt zachował względną sterowność.

– Jak tak dalej pójdzie, to zostanie nam holowanie na szalupach – oznajmiłem w pewnym momencie. – To znaczy, na

tych dwóch, które się jeszcze do czegokolwiek nadają.

– Zawsze jeszcze można spróbować przywołać wiatr gwizdaniem – rzucił Vincent. – Albo poprosić jakąś pokładową dziewicę, by podrapała piętę grotmasztu. To ponoć niezawodny środek. Wiedziałem, że próbuje żartem rozładować napięcie, zmusiłem się więc do krzywego grymasu.

– Dziewice na okrętach wojennych to wymarły gatunek – powiedziałem, siląc się na wesoły ton. – Podobnie jak jednorożce, smoki, krakeny i...

– Wąż morski! – krzyknął piskliwie ktoś na dziobie.

Pokład fregaty zatętnił pod krokami biegnących. Kto żyw rzucił robotę i gnał na dziób, gdzie momentalnie wybuchły sprzeczki o lunetę, nawet cieśla Sanchez przestał warować pod masztem, na którym schronił się przerażony Grommet, i pocwałował w ślad za resztą. Podekscytowani marynarze wychylali się za reling i okrzykami pomagali sobie znaleźć miejsce, gdzie zanurzył się legendarny morski potwór. Ponad wrzawą unosił się piskliwy głos marynarza, który jako pierwszy dostrzegł potwora.

– Mały łeb miał! Mały łeb, kiej dwie pięści albo jedna pana bosmana, szacuneczek, panie bosman! Mały łeb miał, ale długi był,  
ho ho...

– Wąż morski – prychnąłem teatralnie.

Pokusa była zbyt silna i oczywiście uniosłem lunetę do oka, lecz bacznie uważałem, by przez cały czas zachować sceptyczny wyraz twarzy. Przeczesałem powierzchnię morza skrupulatnie, lecz wśród pęczniejących strzępów mgły, unoszących się tuż nad nieruchomymi falami, nie dostrzegłem niczego podejrzanego.

– Ktoś powinien uświadomić Tomowi Platterowi, że za dużo pije – powiedziałem, próbując zamaskować rozczarowanie. – Tak, jasne – powiedział pierwszy oficer i złożył szybko lunetę z czymś na kształt zażenowania.



Tak naprawdę zacząłem się martwić dopiero dwie godziny później, kiedy mgła zakryła nawet największą szalupę "Magdaleny", holującą okręt ledwie o kilka kabli od bukszprytu. Podbiegłem na dziób i z niedowierzaniem wpatrywałem się w końce długich lin, niknące wśród mlecznobiałych tumanów, i nasłuchiwałem pokrzykiwań wioślarzy, nagle głuchych i przytłumionych. Równie osobliwie, niemalże irytująco brzmiał głos marynarza z sondą na ławie wantowej. Potworna mgła jakby wysysała wszelką radość i entuzjazm z ludzkich serc, a jej kłęby falowały niczym fałdy tłuszczu morskiego lewiatana. Czułem się nieswojo, bardzo nieswojo. – Wypytałem Plattera – burknął cicho Fowler. Był jedynym człowiekiem, któremu nie udzielił się ponury nastrój, głównie dlatego, że Vincent bywał ponury zawsze, nawet po pijanemu. – Mam dziwne wrażenie, że nie kłamie.

– Vincent, z prowadzonych przez ciebie ksiąg werbunkowych wyczytałem, że Tom Platter ma wyrok za uprawianie szarlatanerii i bigamię – syknąłem, zahipnotyzowany widokiem znikającej liny. – A po skreśleniach przy jego nazwisku wnioskuje, że okłamał cię także co do swego wieku, profesji i pochodzenia. Tymczasem uwierzyłeś, że zobaczył węża morskiego, tak? Vince, nawet najstarsi, najbardziej doświadczeni marynarze biorą grzbiety wielorybów, płynące w szeregu foki, czy nawet ptaki morskie, za lewiatany! Pamiętasz, jak...

– W istocie – rzekł sucho pierwszy oficer. – Dziękuję za naukę. Niewątpliwie przyda mi się jeszcze niejednokrotnie podczas służby pod twoim dowództwem.

– Wiem, o co ci chodzi – zmitygowałem się. – Być może Platter nie kłamie, być może naprawdę wierzy w to, że coś tam widział, ale...

– Dzień dobry, kapitanie. Dzień dobry, poruczniku Fowler.

Chłodny głos porucznika Edwarda Love'a, dowódcy pokładowego oddziału piechoty morskiej i wzoru dla każdego dżentelmena od Edynburga po Kapsztad, uciał rodzącą się sprzeczkę. Żołnierz jak zwykle miał na sobie idealnie odprasowany mundur, a do boku przytroczył ulubioną szpadę. Z

absolutną obojętnością zmierzył kłębiące się tumany nieprzeniknionej mgły i najwyraźniej uznał ją za niegodnego siebie przeciwnika, gdyż skrzywił się, zdjął kapelusz, ujął go pod pachę i powiedział:

– Szukałem was tam z tyłu, ale na próżno. Ciekawe, że od czasu do czasu potraficie zapomnieć o tych waszych trywialnych okrętowych przyzwyczajeniach.

– Z tyłu? – Zamrugalem. – Pewnie masz na myśli rufę? Och, tak, zadania dowódcy i pierwszego oficera wymagają wiele elastyczności. Bywa, że się przemieszczamy. Jak twój pies, Edwardzie? – Winston odnalazł się w komorze lin kotwicznych i, o dziwo – Love zmarszczył lekko brwi, jakby borykał się z trudnym do przyjęcia faktem – nie okazał na mój widok należytej radości. Rzekłbym nawet, iż wyciągnięcie go z tej cuchnącej nory kosztowało mnie sporo zachodu. A tak na marginesie, Billy, mógłbyś w wolnej chwili wysłać kilku ludzi, by wysprzątało to miejsce? Doprawdy, przytłaczająca nora. Czy ktoś tam w ogóle kiedykolwiek zagląda?

– Zajmę się tym, Edwardzie – powiedziałem z głęboką powagą. Najgłębszą, na jaką było mnie stać.

– Doskonale. Wstyd, żeby na takim ładnym statku śmierdziało jak... Jak... – Dokończenie owej figury retorycznej okazało się dla Edwarda poważnym wyzwaniem, ponieważ jako dżentelmen nie miał prawa i możliwości pamiętać żadnych miejsc kojarzących się ze smrodem. – Reasumując, przez najbliższe kilka dni mogę być nieco zajęty, gdyż nieszczęsny Winston jest roztrzęsiony i zupełnie stracił apetyt. Wyobraźcie sobie, że bezustannie powarkuje i kuli się w kącie! Liczę jednakowoż na to, że moja opieka oraz pudełko z najlepszymi bristolskimi biszkoptami wnet postawią go na nogi. A tak przy okazji, Billy, czy mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego od jakiegoś czasu marynarze zachęcają mnie, bym zszedł gdzieś tam i poklepał jakąś piętę masztu? – Cisza! – syknął niespodziewanie Vincent.

Zaskoczony, dopiero po chwili zrozumiałem, że jego słowa skierowane były do marynarza z sondą, jedynej głośnej osoby na pokładzie fregaty. Na okręcie natychmiast zapadła całkowita

cisza. Zerknąłem na twarz Fowlera, a po plecach spłynął mi rój mrówek. Pierwszy oficer wpatrywał się w linię łączącą okręt z szalupą. Jeszcze przed momentem napięta niczym struna, opadała coraz bardziej, aż w końcu zanurzyła się w wodzie. Przerażony, uświadomiłem sobie, że od paru chwil nie słyszałem pokrzykiwań wioślarzy.

Czarny kontur szalupy wraz ze znieruchomiałymi sylwetkami marynarzy wyłonił się kilka uderzeń serca później, ale nawet na niego nie spojrzałem. Niespodziewanie mgła, jakby sterowana ręką demonicznego dyrygenta, uniosła się niczym kurtyna i ukazała nam wszystkim przerażająco bliską, wysoką burzę potężnej fregaty, holowanej ku zachodowi przez własne szalupy. Zwisający z rufy, zapomniany przez wiatr Union Jack nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jej tożsamości.

– To HMS "Niobe" – szepnął Vince. – Chyba nas nie zauważyli... – Szlag by to trafił... – Zacisnąłem mocno powieki. – Cisza na okręcie.



Załoga "Magdaleny" składała się z dwóch setek szajbusów, przestępców i ofiar losu, z których niemal każdy był na bakier z prawem i żaden, absolutnie żaden nie miał powodu, by darzyć Royal Navy jakimikolwiek cieplejszymi uczuciami. Marynarze więc bardzo skrupulatnie przestrzegali rozkazu zachowania ciszy na okręcie, nawet cieśla Sanchez chwilowo zaprzestał wywarkiwania gróźb pod adresem Johna Grommeta. HMS "Niobe" wkrótce znikła we mgle, odprowadzona dwustoma bezgłośnymi westchnieniami ulgi, a ja zmusiłem się do kilku tryumfalnych uśmiechów, klepnąłem Vincenta w plecy i zszedłem do swej śmierdzącej spalenizną kajuty, która naraz wydała mi się przedsionkiem raj.

Mimo że w każdej bazie brytyjskiej groził mi wyrok za dezercję z HMS "Merkury", zawsze czułem się upokorzony, kiedy musiałem salwować się ucieczką przed okrętem Royal Navy. Tym razem jednak poczułem się znacznie gorzej. Wcześniejsze

wydarzenia – pożar w kajucie, kłótnia z Millardem, uwięzienie we mgle, a nade wszystko przekłety francuski patent kaperski – zamieniły mój żal w wyjąca depresję, która z kolei skierowała mnie na poszukiwanie czegoś mocniejszego do picia.

Znaleziona butelka rumu najpierw uwolniła lawinę przekleństw i złorzeczeń, następnie namówiła mnie do wylania kilku łez nad marnością żywota, by w końcu znieczulić na trudy egzystencji na tym padole. Wsłuchując się w ciszę na pokładzie, wysysałem ostatnie krople jamajskiego trunku, wreszcie obojętny na kwestie kursu, prędkości bądź misji, zlecone nam przez odurzonego opium kawalera de Truesse. Zignorowałem nawet to, że fregata dostała się w zasięg jakiegoś prądu i z wolna ruszyła w nieznanym mi kierunku. Zaalarmował mnie dopiero meldunek marynarza wysłanego przez Vincenta. – Wyspa na horyzoncie, sir!

Gdy wypełznięm na pokład rufowy i wycelowałem lunetę, tajemniczy dyrygent znów rozsunął kurtynę mgły. Naszym oczom ukazał się najpierw ostro ścięty czubek wulkanu, następnie zielone kobierce lasów porastających jego łagodne zbocza i na samym końcu poszarpane skały, broniące falom przystępu do urwistych brzegów. Milczeliśmy, bo prawdziwe cuda natury – a na takowe właśnie patrzyliśmy – odbierają mowę nawet najbardziej zatwardziałym morskim wilkom. Pchana dryfem fregata wolno sunęła ku brzegom zapomnianej przez Boga krainy; tumany mgły rozwiewały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odsłaniając kolejne partie groźnego, najeżonego skałami wybrzeża. – Zastanawiam się, Billy... – zaczął stojący obok Vincent.

– Później będziemy się zastanawiać, Vince – przerwałem mu, a wypity rum pomógł mi zmusić mięśnie twarzy do uśmiechu. – Najpierw wprowadź okręt do tej niewielkiej zatoczki. Potrzebujemy dogodnego miejsca na wstawienie fokstengi.

Prąd delikatnie popychał fregatę ku trzem czarnym, wyrastającym z morza i oblepionym rojami ptactwa skałom, za którymi kryło się wejście do małej zatoki. Okalały ją wysokie, soczyście zielone wzgórza, urywające się niemalże pionowo tuż



nad nieruchomą taflą wody. W oku lunety widziałem ich stalowoszare, masywne cielska, ale wydawało mi się również, że dostrzegam u ich stóp wąską, kamienistą plażę i wiodącą w górę ścieżkę. – Skąd wiesz, czy to bezpieczne?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. Rum znów okazał się nieocenionym pomocnikiem w obmyśleniu nonszalanckich odpowiedzi. – Wokół nie widać żadnych statków, budynków, masztów flagowych ani nawet dymów. Jeśli więc to czyjeś terytorium, nikt nawet nie zauważy naszej bytności. A jeśli jest niczyje, to cóż...

Przy tych słowach uśmiechnąłem się szelmowsko i przez dłuższy czas lustrowałem wybrzeże w nadziei, że uda mi się pobudzić ciekawość Vincenta. Jak zwykle, spotkało mnie rozczarowanie – pierwszy oficer "Magdaleny" był człowiekiem pozbawionym wszelkich uczuć z wyjątkiem gniewu, wściekłości i furii.

– Jeśli ta wyspa nie należy do nikogo, Vincent, to z chęcią poszukam tu jakiejś kryjówki dla nas – zakończyłem. – Bo nie wiem jak tobie, ale mnie brzydnie już nadskakiwanie żabojadom. Pora rozpocząć działanie na własny rachunek.



Wspinając się zboczem wzgórza, gratulowałem sobie w duchu pomysłu, który wpadł mi do głowy podczas rozmowy z Vincentem, a do tego zabrzmiał tak realistycznie, że przekonał nie tylko jego, ale również mnie. Dlatego też nie miałem żadnych skrupułów, by zrzucić na Vince'a zadanie wstawienia nowej fokstengi i rozesłania grup zwiadowców po wyspie. Sam zaś porwałem pełną do połowy flaszkę rumu i rozpocząłem wspinaczkę dostrzeżoną z pokładu ścieżką.

Pełna do połowy, pomyślałem, zasapany. Znów obudził się we mnie optymista.

Co było dość dziwnym odkryciem, zważywszy na to, że prawdziwym powodem rzucenia kotwicy przy nieznanym mi wyspie była przemożna ochota, by ukraść chwilę samotności, być jak najdalej od okrętu i jego załogi.

Doskonale zdawałem sobie sprawę, że rozczulam się nad sobą i popadam w kapryśne nastroje, ale liczba problemów, jakie pociągało za sobą dowodzenie korsarską fregatą, czasem zwyczajnie mnie przerastała. No dobrze, nie czasem. Często mnie przerastała. Już wystarczająco ciążyło mi to, że okoliczności losu zmusiły mnie do dezercji z Royal Navy, w której tradycji zostałem wychowany, i przejścia na służbę do Francuzów, czyli ulubionych wrogów kapitanów okrętów Jego Królewskiej Mości. Moje przygnębienie potęgowały dodatkowo problemy, które niosło ze sobą dowodzenie zgrają oczajdusz, huncwotów i biesich synów oraz monotonia samej służby. W takich chwilach wystarczał drobny incydent, choćby zaciekle kłótnia czy konieczność uciekania przed angielskimi okrętami, a moja depresja sięgała zenitu. Od momentu opuszczenia Port -Au - Prince takich incydentów było aż za wiele. No, a teraz wreszcie miałem trochę czasu dla siebie. Przemierzyłem wzgórze i strudzony ułożyłem się na jego przeciwnym zboczu. Miałem stamtąd wspaniałą widok na morze, nadal spowite nieprzebranym całunem śnieżnobiałej mgły, oraz na przesłonięte lekką mgiełką lasy u stóp wulkanu. Przez chmury przebijało już słońce, przypominające wielką białą kulę, a w powietrzu zawisała dusząca wilgoć, ale nawet to mi nie przeszkadzało. Leżałem sobie wygodnie na trawie, popijałem rum z przezornie zabranej szklanicy i przyglądałem się sylwetkom ogromnych ptaków, kołujących wokół czubka wulkanu.

– Wyglądają mi na albatrosy – powiedziałem głośno sam do siebie. – Ale te fruują tylko na morzach południowych... Niezłe jaja... Czyżby wywiało nas aż tak daleko?

Skojarzenie wywołało u mnie niepowstrzymany atak wesołości, uwieńczony tryumfalną czkawką.

Ciekawe, czy Millard zdążył coś wykombinować, pomyślałem, rozglądając się za szklanicą z rumem. Powinien był już obliczyć naszą pozycję, ślimakojad cholerny. Słońce przecież widać od dawna. Ech, sam bym ją wyliczył, ale mi się nie chce i nic na to nie poradzę.

– Niech szlag trafi Francuzów! – ryknąłem chrapliwie.

Znów sięgnąłem po szklanicę, którą mój rozkołysany wzrok namierzył na płaskim gładzie nieopodal. Nagle znieruchomiałem – powierzchnia rumu drgała leciutko w regularnych odstępach czasu, zupełnie jakby pod wpływem odległych salw armatnich. Zaniepokojony, poderwałem się z pewnym trudem i wtelepałem na szczyt wzgórza, z każdym krokiem wypacając wypity trunek. Z góry spojrzałem ku fregacie i odetchnąłem z ulgą. Wokół kadłuba nie było żadnych kłębow dymu armatniego, a uwaga wszystkich skupiła się na skomplikowanej operacji wstawienia fokstengi. Spod pokładu dobiegło wycie Winstona, co stanowiło swoisty ewenement, zważywszy na to, że pies temperamentem dorównywał rozdeptanym meduzom. Zlustrowałem również powierzchnię morza, ale jeśli gdzieś w pobliżu wyspy toczyła się jakaś wymiana ognia, mgła zazdrośnie ukryła swój sekret. – Pa... Paaanie ka... kaaapitaanie!

Odwrociłem się na pięcie. W moją stronę pędził Bambo, ogromnej postury czarnoskóry marynarz, którego Matka Natura wyposażyła w niezwykle potężne mięśnie i odwrotnie do nich proporcjonalny wielkością mózdzek.

– Och, Bambo! – sapnąłem uspokojony. – Ależ ty tupiesz, chłopie... Doprawdy, myślałem, że...

Dopiero w ostatniej chwili dostrzegłem popielatą barwę twarzy Murzyna i wytrzeszczone z przerażenia oczy. Bambo wyhamował tuż przede mną, pochwycił mnie w swe ogromne łapska i potrząsnął niczym wytrzepywaną serwetką.

– Złeee! – wył, wywracając gałkami ocznymi. – Złe mziimu! O kurwa, jakie złeee! – Spo... spo.... spokoj... nie, ma... ma... marynarzu!

Próbowałem ofuknąć roztrzęsionego Bambo, ale częstotliwość wstrząsów i podrzutów uniemożliwiły mi płynne wyartykułowanie choćby jednego słowa. Niespodziewanie Bambo, najwidoczniej nie mogąc doszukać się u mnie pociechy, cisnął mną na trawę i rzucił się do dalszej ucieczki.

Złe mziimu, pomyślałem oszołomiony, wpatrując się w

migające pięty pędzącego przed siebie Murzyna. To już drugi raz w tym miesiącu.

Nikt w całej załodze nie miał bladego pojęcia, czym było owo mżimu, ale dla Bambo najprawdopodobniej uosabiało całe zło tego świata i tamtego zapewne również. Raz na kilka tygodni, z nikomu nieznanymi przyczynami, czarnoskóry marynarz popadał w stan maniakalnego obłądzenia i wrzeszcząc: "Złe mżimu!", pisał się na top grota, gdzie spędzał cały następny dzień, dygocząc ze strachu i wyjąc jakieś klątwy. Załoga już dawno przywykła do owych ataków szaleństwa, a jedyną reakcją na znajomy wrzask było usunięcie mu z drogi co poważniejszych przeszkód na danym terenie. Lekarz okrętowy doktor Pollock sugerował co prawda, że źródłem psychozy Bambo była postać straszliwego kuka pokładowego, truciciela tłumów Samuela Butchera, ale nawet on nie zebrał się na odwagę, by poczynić niezbędne naukowe obserwacje.

Naraz – deus ex machina! – z krzaków wyskoczył sam Butcher.

– Świeże mięso! – zaryczał i wymachując tasakiem, pocwałował ku mnie.

A więc to prawda, westchnąłem w duchu, podnosząc się szybko i otrzepując mundur z trawy. Ten cholerny kuk w istocie napędza stracha nieszczęsnemu Bambo...

– Panie Butcher! – huknąłem, marszcząc brwi niczym Zeus Gromowładny. – Doprawdy, nie czas to na krotochwile! Znajdujemy się na nieznanym terenie i nie przystoi...

Nawet najbardziej naiwni marynarze na "Magdalenie" nie zbliżali się do Butchera na mniej niż dwa metry, lub pięć, gdy ten dzierzył swój tasak. Ja sam do naiwniaków nie należałem i nie wierzyłem, by autorytet kapitana mógł mnie obronić przed furią króla pokładowych szajbusów. Widząc, w jakim tempie Butcher przebiera swoimi krzywymi, kozimi nóżkami, postanowiłem powtórzyć tyradę raz jeszcze, a potem wykonać szybki uskok w losowo wybranym kierunku.

– Panie Butcher, jeszcze raz pana ostrzegam! – krzyknąłem

ostro, lecz naraz dotarło do mnie, że nigdy dotąd nie widziałem kuka w biegu.

– Panie Butcher? – bąknąłem niepewnie. – Zechce pan...

– Świeże mięsooo! – Zbliżający się chyżo Butcher zawył tak przejmująco, że na moment ujrzałem nawet jego drgający język w czarnej przepaści gardzieli.

Ziemia dygotała raz za razem, coraz prędzej. W oddali zawtórowało mu echo wystrzału z działa, a po nim kolejne. Czyżby "Niobe"?

– Co się, do kurwy nędzy, dzieje? – zdołałem tylko wyszeptać. A potem prawie zemdląłem.

Nieoczekiwanie wstrząsy ustały, a ze ściany drzew wysunął się wielki, olbrzymi gadzi łeb. Stwór rozejrzał się z zaciekawieniem po okolicy. Paszcza monstrum, przepastna niczym luk na liniowcu, rozchyliła się na moment, a z ogromnych, ostrych kłów pociekła ślina. Przysięgłbym, iż nastąpiło to w chwili, gdy spoczął na mnie wzrok malutkiego, czerwonego ślepiec potwora.

– Boże w niebiesiach... – zakwiliłem. – Panie Butcher, nie zostawiaj mnie pan tutaj!

Nigdy, absolutnie nigdy w życiu nie biegłem w takim tempie. Pędziłem na oślep przed siebie, a łoskot walących się drzew i rytmiczne, coraz głośniejsze wstrząsy ziemi świadczyły, że stalowoszare smoczysko uległo ciekawości świata i postanowiło obejrzeć mnie z bliska. W mig prześcignąłem wrzeszczącego przeraźliwie Butchera i kierowany pierwotnym instynktem samozachowawczym rzuciłem się ku ścieżce prowadzącej na plażę. Gorączkowo modliłem się w duchu, by uciekający ze stałego lądu marynarze – a sądziłem, że Fowler mógł wysłać na zwiady dobre parę tuzinów – nie zapomnieli przypadkiem o swoim ukochanym kapitanie.

Gdybyś ostatnio tyle nie marudził, Billy, szepnął mi jakiś złośliwy głos w głębi duszy. Gdybyś tak nie dopiekł wszystkim swoimi przekłętymi humorami, poczekaliby na pewno... – Pomocy! – darłem się. – Złe mżimu! – Tutaj, kapitanie! – wrzasnął

ktoś.

Kątem oka dojrzałem ogromną, rozszerzoną na końcu lufę bukanierskiej rusznicy, wysuwającą się z załomu skał. Niespodziewanie rozległ się straszliwy huk, skały spowił siny dym, a mnie nad uchem zaświstał rój kartaczy. Padłem na kolana i nie bacząc na godność dowódcy okrętu, pocwałowałem na czworakach ku skrytym wśród nieprzejrzystych kłębow skałom. Oślepiiony, wybrałem zły kierunek, ale twarde, żylaste łapska marynarzy "Magdaleny" natychmiast wciągnęły mnie w bezpieczne schronienie. – Dziękuję, chłopaki... – sapnąłem, z trudem łapiąc oddech. – Co wy... Co wy tu właściwie robicie?

– Nic takiego, sir! – bąknął da Silva, do spółki z Mullhollandem nabijający rusznicę. – Porucznik Fowler wysłał nas na zwia... zwiady. Sporośmy już zwiedzili, tedy se o... odpoczywamy.

– Od czasu do czasu pierdykniemy w coś tam z grubej rury, sam pan rozumie – dodał filozoficznie Danny Baryła.

Próbował zasłonić własnymi plecami autentyczną baryłkę, ani chybi podprowadzoną z magazynku tuż pod okiem porucznika Fowlera. Dziki błysk w oczach całej trójki i niepewne ruchy podsypującego proch Mullhollanda utwierdziły mnie w przekonaniu, że bynajmniej to nie była woda.

Niewiarygodne, pomyślałem, próbując się uspokoić. Mam w załodze samobójców... Wynieśli beczkę w przytomności Vincenta. Następne chwile udowodniły mi jednak, że definicji pojęcia "samobójca" również nie znałem.

– Dobra, chłopaki! – Dźwignąłem się na nogi. – Czas stąd spieprzać, póki...

– Gotowe! – Rozochocony Mullholland czknął. – No, da Silva. Dawaj tę rurę. Tym razem spróbujemy przycelować...

– Słuchajcie, wy durne osły, synowie holenderskich cichodajek! – warknąłem ze strachem. – Czyście się z własnymi kutasami na mózgi pozamieniali? Ja tam nie wiem, czym jest to wielkie bydlę, ale starczy mi to, że jest jakieś dziesięć razy większe od wszystkich nas razem wziętych, a na dodatek na pewno gustuje w mięsie!

– Po mojemu to smok – wytłumaczył mi Baryła. – Wie pan, kapitanie, zupełnie jak ten od świętego Jerzego, co go...

– Zamknij mordę! – ofuknął go da Silva, zataczając szerokie łuki lufą rusznicy. – Bo się s... skoncentrować nie mogę!

Nagły podmuch wiatru uniósł ostatnie strzępy dymu prochowego i wszyscy czterej ujrzeliśmy smoka wyraźnie. Poruszał się na masywnych, tylnych nogach, czasami wspierając się na gigantycznym ogonie, a gdy uniósł wysoko łeb i wyprostował sylwetkę, był wyższy od masztów fregaty. Każde jego stąpienie wprawiało ziemię w drgania, ale mimo to w ruchach bestii była dostrzegalna pewna gracja. Z narastającym przerażeniem uświadomiłem sobie, że bez wątpienia jest zdolna do błyskawicznego, a zarazem miazdzącego ataku. Poza tym pociski da Silvy najwyraźniej nie wyrządziły jej żadnej szkody. Na stalowoszarej skórze nie było widać nawet najmniejszej ranki.

– Chybiłeś, cyckożuju. – Mullholland doszedł do tego samego wniosku i pokręcił z potępieniem głową. – Oddaj mi to ustrojstwo... Teraz ja wypierd...

– Cicho! – syknął z zachwytem Baryła. – Patrzcie, co ten kulfon chędożony wyczynia...

Smok nagle opuścił łeb tuż nad ziemię i ze świstem wciągnął powietrze przez ogromne nozdrza. Byłem już bliski paniki, ale mimo to dostrzegłem, że obwąchuje rozciągnięte pośród traw, nieruchome ciało Butchera.

– Doktor Pollock gada, że w jego rodzinnych stronach to wszystkie smoki tak powybijali – oznajmił Baryła.

– Czyli niby jak? – zaciekawiał się da Silva.

– No, przynosili im jakieś wypchane siarką bydlaki i czekali, aż smoki to zeżrą. A te żarły co popadło, a potem zdychały. Jak ten tu konus zeżre naszego kuka, to go chyba na kawałki rozsadzi. Siarki ci w nim dostatek, no nie?

Okazało się, że nasz pokładowy smokolog był w grubym błędzie. Smok naraz cofnął się gwałtownie, a na gadzim pysku pojawił się niemalże ludzki wyraz obrzydzenia. Przez całe,

przeogromne cielsko przeszedł dreszcz, który uwieńczyło potężne walnięcie ogonem w ziemię, aż zadygotał grunt. Poczułem, jak na powrót budzi się we mnie lęk, ale tym razem wzbogacony o nowy, niepokojący aspekt, przypominający złe, bardzo złe przeczucie, które na morzu kazałoby natychmiast przypaść do koła sterowego, a podczas uczyty wylać zawartość kieliszka jeszcze przed zamoczeniem ust. Po plecach spłynął mi lodowaty dreszcz i na moment całkowicie zapomniałem o wstrząsanym torsjami smoku.

– Widzisz, Butcher, jakżeś marnie skończył? – Mullholland westchnął. – Nawet smok nie chce cię zeżreć, bo się sraczki boi. – Trzeba by mu w takim razie dziewicę jakąś podrzucić – stwierdził rozczarowany Baryła. – Od tego też wybuchnie? – Nie. Ale się zafrapuje, bawić zacznie, a my...

Nigdy nie zdołałem poznać planu Danny'ego Baryły, gdyż moje mroczne przeczucia się skryształizowały. Niespodziewanie zerknąłem bowiem ku niebu i ujrzałem, jak owe drobne punkciki, które swego czasu wziąłem za zabłąkane albatrosy, rosną w oczach w przerażającym tempie. Z każdym uderzeniem serca dostrzegałem kolejne szczegóły – wystające z błoniastych skrzydeł ostre pazury, długie, rozchylone drapieźnie dzioby, podkurczone, gotowe do uderzenia szpony – już po chwili nie miałem wątpliwości, że kierują się prosto na nas.

– Da Silva! – ryknąłem rozdzierająco. – Nad nami! Nad nami, ty nieszczęsny pierdowachu!

Zanim zaskoczony bukanier pojął skalę zagrożenia, spojrział w górę i poderwał lufę rusznicy, minęło kilka drogocennych sekund. Rzekome albatrosy pikowały już ku nam ze świstem i z szeroko rozwartymi, zębatymi dziobami. Pobladły da Silva wypalił z możliwie najbliższej odległości.

Śmiercionośna chmara kartaczy poszatkowała najgłodniejszego z latających potworów i pocięła skrzydła kilku najbliższym. Pozostałe z rozdzierającym bębenki w uszach wrzaskiem czmychnęły na boki. Wśród wirujących kłębow dymu widziałem, jak zdezorientowane kołują po niebie, atakując wściekle swych rannych pobratymców. – Teraz! – wrzasnąłem. –



Teraz mamy szansę!

I nagle poczuliśmy, jak ziemia zaczyna drgać coraz mocniej, w bardzo krótkich odstępach czasu. Jasne. Trudno przecież, by potworny huk wystrzału z bukanierskiej rusznicy nie rozbudził smoczej ciekawości na nowo.

Moment później gnaliśmy już jak opętani wśród wzgórz – Danny i da Silva obciążeni wielką rusznicą, Mullholland baryłą, której nie chciał zostawić, a ja wagą mojego zadania. Musiałem uratować siebie i trójkę podległych mi popaprańców, a tymczasem kraina, do której przywiódł nas złośliwy los, zaczęła odsłaniać swój majestat w całej krasie i prezentować kolejne koszmary. Za nami rażno sadył susami smok, poprzedzany przez niewielkie trzęsienie ziemi, a ku niebu znów pomknęły rozdrażnione, zębate albatrosy. Gdzieś od strony lasu dobiegały kolejne ryki i trzaski pękających drzew, "Magdalena" nie przestawała strzelać, a my naraz znaleźliśmy się nad brzegiem zamulonego bajora, w którym taplało się garbate bydlę o rozmiarach przydrożnej gospody, z niezmiernie długą szyją i niewielkim łbem. Zaalarmowane, poruszyło się gwałtownie, aż po wodzie przeszła niewysoka gęsta fala. Kątem oka dostrzegłem, że z pyska zwisają mu pęki wilgotnych wodorostów, ale ulga trwała tylko krótką chwilę.

– Gdzie my jesteśmy? – rozejrzałem się w panice. – Przecież to nie droga do brzegu! To nie jest ścieżka na plażę, do ciężkiej cholery!

– Tam! – Zdyszany Baryła wskazał łąkę wysokich traw, ciągnących się aż po linię lasów u stóp wulkanu. – Ścieżka idzie tamtędy, sir, ale zrobimy sobie skrót przez trawy i... – Uwaga! – ryknął Mullholland.

Zdążyłem jedynie paść na ziemię. Ułamek sekundy później owionął mnie pęd powietrza, a gdy uniosłem głowę, ujrzałem jedną z owych latających bestii, która zataczała właśnie łuk nad morzem traw. W szponach ścisnęła mój kapelusz kapitański.

– Ty skur... – Chciałem się podnieść, lecz w tym samym momencie przywalił mnie Baryła.

– Z całym szacunkiem, sir! – stęknął. – Ale...

Odpowiedź uzupełniły wystrzały z pistoletów Mullhollanda i da Silvy, którzy poszatkowali kolejnego z latających napastników. Nadal przygnieciony przez sternika, obróciłem głowę i ujrzałem, jak pozostałe ptaszyska zawracają, wystraszone hukami. Jedno z nich znalazło się zbyt blisko nadbiegającego smoka – potwór odwrócił się błyskawicznie i kłapnął straszliwymi szczękami. Po ptaszysku został jedynie strzęp błony, wystający spod wargi smoka. – Złaź, Baryła! – jęknąłem. – W nogi!

Nie wiedziałem, czy zdążymy odnaleźć ścieżkę, o której mówił Danny, ale liczyłem, że zdołamy schować się wśród traw, gdyby smok okazał się za szybki. Zadanie nie było łatwe, goniliśmy już bowiem resztą sił, a ostatni odcinek prowadził ostro pod górę wśród skał i kamieni. Parłem jednak niezłomnie naprzód, przepełniony nową nadzieją, a za mną pięli się sapiący i przeklinający marynarze. Od skraju łąki dzieliło nas ledwie kilkanaście kroków, gdy nagle dobiegł mnie przeraźliwy jęk Mullhollanda. Ogarnięty lękiem, odwróciłem się na pięcie.

– Co się dzieje?! – krzyknąłem.

– Baryła! – ryknął rozdzierająco marynarz.

– Co z nim?

– Nie z nim, ale z nią! Bieda! Gore!

Beczka z rumem toczyła się w dół, podskakując na kamieniach, aż znieruchomiała u stóp smoka, który się pochylił i skrupulatnie ją obwąchał.

– Oddawaj, ty gadzino! – wył zrozpaczony marynarz. – Oddawaj, bo... Bo porucznik Fowler dowie się o wszystkim! Potwór popatrzył na niego i przekrzywił lekko łeb, a pazurzysta łapa zacisnęła się na głazie, na którym natychmiast pojawiły się pęknięcia. Latające stwory jeden po drugim nabierały wysokości i szykowały się do ataku.

– Mullholland, ty durniu! Natychmiast się pozbieraj! – darłem się. – Natychmiast! Trawy! Musimy schować się wśród traw!

Marynarz zerkał to na utraconą beczkę, to na bliskie już trawy, najwyraźniej nie mogąc się zdecydować, czy bardziej ceni sobie bezpieczeństwo, czy zamroczenie. Jego dylemat rozwiązał sam smok, który nagle rozwarł paszczę, ujął beczkę zębami i wrzucił ją sobie prosto w gardziel. Następnie splunął drzazgami i spojrzał na mnie. I chyba się uśmiechnął.

– Szuka zagrychy – wyszeptałem. – Trawy... Tam będziemy bezpieczni!

Z uporem maniaka odwróciłem się ku łące, wabiącej zielenią i spokojem, zdecydowany od tej pory nie przejmować się niewdzięcznikami i dbać tylko o siebie. Ledwie zrobiłem pierwszy krok, gdy w bębenki uszne wbił mi się przeraźliwy wrzask latających bestii, tak silny, że aż się zatoczyłem.

Trzeba było dłużej zwlekać, dodał ten sam zgryźliwy głos w głębi mojej duszy. Trzeba było jeszcze usiąść z Mullhollandem i przytulić biedaka do serca...

Naraz wydało mi się, że usłyszałem jakieś głosy, a potem powietrzem targnęły kolejne wystrzały, bardzo bliskie. Wrzask ptaszydeł przerodził się w pisk bólu i strachu.

– Szacuneczek, kapitanie! – huknął bosman O'Neil i przerzucił dymiącą jeszcze króćcę do lewej dłoni, by pomóc mi wstać. – Porucznik Fowler przesyła pozdrowienia oraz wyrazy tęsknoty. Kazał nam tu przyjść, żeby... O kurwa...

Douglas O'Neil. Niezniszczalny, niepowstrzymany i całkowicie nierdzewny bosman, dezertor z Royal Navy, który za cel swego życia obrał nawalenie po gębie przynajmniej jednego marynarza z KAŻDEGO okrętu Jego Królewskiej Mości. Moja złość na niego wyparowała w jednej chwili – rozpostarłem szeroko ramiona, chcąc go wyciskać i ucałować, ale wtedy zrozumiałem nowy błysk w jego oku.

– To ci pokażny skurwieli... – Bosman stęknął z zachwytu, wpatrując się w stalowoszarą bestię. – No co, chudzielcu! – ryknął. – Chcesz się popробować z prawdziwym twardzielem, ty wymoczku z krzywymi kłami? Wskoczmy na gołe klaty, co?

– Na litość boską, O'Neil – jęknąłem. – Musimy się schować...

Schować w trawie!

– Co? – Rozpinający koszulę bosman spojrzał na mnie półprzytomnie. – Chcesz pan, to się chowaj. Może nawet dobrze pan na tym wyjdiesz, bo tu zaraz polecą flaki!

Miałem wrażenie, że znajduję się w jakimś nierealnym śnie. Pólnagi bosman szedł w kierunku znieruchomiałego smoka, prężąc wytatuowane ramiona i lżąc go straszliwymi słowy, a reszta marynarzy wraz z Mullhollandem, da Silvą i Baryłą dopingowali go coraz głośniej. Mullholland zaczął już nawet przyjmować zakłady.

Zębate ptaszycy kołowały w pewnym oddaleniu, jakby nie śmiały zakłócać szykującej się bójki.

– Chromolę was wszystkich – szepnąłem. – Ja tam idę się schować w trawie...

Tym razem przeszkodził mi Bambo.

Przeszkodził? Marynarz z Czarnego Łądu przemknął między mną a skrajem łąki, piskliwym głosem wzywając duchy przodków. Jego wrzask wywabił spośród traw wąziutkie, niezmiernie zaciekawione pyszczki, jeden, dwa, pięć... Oszołomiony, przestałem liczyć, a potem zalała mnie podła ulga, gdy przypominające koraliki oczka stworzeń spojrzały za umykającym Bambo. Bestyjki nie były bowiem duże – wzrostem nie dorównywały dorosłemu człowiekowi – ale ostre kły w rozchylonych ze zdumienia pyskach w mig rozwiały wszelkie nadzieje, że i one gustują w zielsku. Jeden po drugim potworki jęły wyskakiwać z zarośli i gnać w ślad za Murzynem. Ostatni zatrzymał się i zerkał na mnie zaintrygowany. – Pomocy... – bąknąłem sparaliżowany strachem. – Bosmanie... Wrzask Bambo najwyraźniej wyrwał smoka ze stanu odrętwienia, wywołanego przełknięciem całej baryłki okrętowego rumu na raz. Potrząsnął ogromnym łbem i zaryczał straszliwie, a przyglądający mi się bacznie stwór pisnął, podskoczył i zniknął wśród traw. Co ciekawe, ogłuszający ryk smoka przywrócił zdolność oceny sytuacji również O'Neilowi. Bosman przystanął, zagryzł wargę i zmarszczył brwi, a jego klaka umilkła, także nagle przytomniejąc. – Zaraz, zaraz... – burknął niepewne bosman. –

Porucznik Fowler coś mówili... Że jakoś tak... Całkiem mi z głowy wyleciało... – Mówili, że zaraz po znalezieniu kapitana trza wiać na okręt – rzu cił któryś z przytomniejszych klakierów. – Z kapitanem, jak się uda.

– Bo się rozeźlą – dodał inny, nieco drżącym głosem. – Okropnie się pan porucznik rozeźlą.

Chciałem wstać i wesprzeć ich słowa autorytetem kapitana, gromkim głosem nakazać wszystkim natychmiastowe wycofanie się na okręt, ale nie zdążyłem. Ktoś, chyba Smitty, bezceremonialnie ucapił mnie za fałdę kurtki mundurowej, ktoś inny mu dopomógł i tak oto znalazłem się w centrum wrzeszczącej ze strachu, strzelającej z pistoletów, przeklinającej, śmierdzącej potem, rumem i smołą tłuszczy, która pogalopowała ku brzegowi zatoki, goniona przez zataczającego się, roztrzaskującego ogonem skały smoka. Na każdy ryk smoka odpowiadaliśmy zbiorowym wrzaskiem przerażenia, nic więc dziwnego, że czujny porucznik Fowler przywitał nas tak, jak należało.

Pierwszym, co ujrzałem po wyswobodzeniu się z żelaznego uścisku Smitty'go, była przepiękna, pomalowana na czarno burta "Magdaleny", szczerząca się ku nam dwunastoma przepastnymi, wciąż dymiącymi lufami dział. – Do łodzi! – wrzasnąłem. – Do łodzi!

Nie było ani sekundy do stracenia. Wiedziałem, że działa fregaty wypalą, gdy tylko smok wyłoni się z za wzgórz, ale istniały dwie możliwości rozwoju wydarzeń. Jeśli działa wycelował sam Fowler, pociski przejdą nad naszymi głowami. Jeśli natomiast ogniem kierował maniakałny, uzależniony od zapachu prochu artylerzysta Zeeman, pociski polecą w stronę smoka. Obojętnie jakim torem. Ja zaś właśnie uświadomiłem sobie, że miałem w tym życiu jeszcze mnóstwo do zrobienia.

Świadomość ta zmobilizowała mnie do jeszcze większego pośpiechu, przez co w mig znalazłem się przy wyciągniętej na brzeg szalupie, którą O'Neil przybył nam na odsiecz. – Raz i dwa, chłopaki! – darłem się. – Spychamy!

Nie musiałem nikogo zachęcać do dodatkowego wysiłku. Bosman, Mullholland i jeszcze paru tęgich marynarzy zepchnęli łódź z taką werwą, że ledwie ją złapaliśmy, nim zdryfowała na szerokie wody zatoki. Błyskawicznie wdrapaliśmy się do środka i w panice, drżącymi rękami złapaliśmy za wiosła. Woda po obu burtach szalupy aż się zakotłowała.

Działa fregaty otworzyły ogień w chwili, gdy zanurzona aż po okrężnicę, odrzucająca wysoką falę dziobową łódź znalazła się jakieś dwa kable od brzegu. Najpierw huknęła dziobowa pościgówka, a po niej kolejno odzywały się armaty ustawione wzdłuż burty. Okręt znikł w kłębach białego dymu, co rusz rozdieranego kolejnym ognistym jęzorem, kule zaś z gwizdem przelatowały nad naszymi głowami i siały spustoszenie na brzegu. Stado ścigających Bambo stworzeń rozbiegło się z dzikimi piskami, a pociski uderzały w ślad za nimi, rozrywając jednego na kawałki i wysyłając drugiego szerokim łukiem w powietrze. Kilka pocisków uderzyło też u stóp naszego smoka, obsypując monstrum szerokimi fontannami piachu. Ostatnia walnęła go prosto w pysk. Potwór zatoczył się raz i drugi, rozdeptując kolejnego z prześladowców Bambo, lecz w końcu znieruchomiał i zwrócił łeb ku nam. Żuchwa smoka wyglądała, jakby wypadła z zawiasów, ale w jego czerwonych ślepiach tętniła żądza mordy.

Dlaczego sądziłem, że na okręcie będziemy bezpieczni? – pomyślałem z rozpaczą, patrząc jak smoczysko zdecydowanie wchodzi do wody.

– Kapitanie! – Ktoś szturchnął mnie w ramię i wskazał na okręt.

Przy milczącej już, przesłoniętej kłębami dymu burcie fregaty z pluskiem opadła na wodę niewielka łódź – ani chybi moja własna, kapitańska jolka – na którą zsunęło się kilka osób. Nie dostrzegłem twarzy, ale wystarczyło usłyszeć stłumione, trwożliwe skomlenie psa i złapać błysnięcie purpurowego munduru, by wiedzieć, że tylko skończony naiwniak mógłby mieć nadzieję na rychły kres tej szaleńczej awantury.

– Oto jest i dziewczica dla smoka! – Od dziobu dobiegł mnie

autorytatywny głos Danny'ego. – Szast prast i zaraz będzie po problemie.

Porucznik Edward Love był ubrany jak na audiencję u króla. Starannie ogolony, wystrojony w najlepszy mundur i kapelusz zsunięty zawadiacko na czoło, stał na rufie jolki i mierzył z trzymanego w jednej ręce pistoletu w plecy wiosłujących w panice, przerażonych marynarzy. Drugą ścisnął smycz rozdygotanego, próbującego wepchnąć się pod ławkę Winstona. Przysięgłbym, że w chwili, gdy wypłynęli spoza zasięgu dymów, tłumaczył mu coś cierpliwie. Kilka pociągnięć wiosła później zauważył już nas i wesoło zamachał ręką zbrojną w pistolet.

– Ahoj, kapitanie! – zawołał z niekłamana radością. – To ci dopiero wspaniały dzień, nieprawdaż?

– Edwardzie, co ty, do cholery jasnej, wyprawiasz? – wykrzyknąłem z rozpaczą znad swego wiosła. – Przecież tam jest... – ...smok! – Edward niemalże przytupnął w miejscu, jolka aż się zachybotła. – Najprawdziwszy smok. Zaiste, od zawsze marzyłem o szansie stoczenia honorowego pojedynku z którymś z tych stworzeń! Niczym Perseusz, stający naprzeciw Meduzy, niczym Bellerofont przeciwko Chimerze, Apollo przeciwko Pytonowi, tak ja ruszam do boju z tym straszliwym rumakiem ciemności, ja Edward Love z Królewskiego Korpusu Piechoty Morskiej!

– Na łeb ci padło! – wrzeszczałem. – Zwiewaj na okręt, ty cholerny molu książkowy, bo w przeciwnym razie...

Nasze łodzie zbliżały się do siebie z wielką prędkością i po chwili mogłem już dostrzec szczere zdumienie, malujące się na obliczu Edwarda.

– Doprawdy, Williamie! – rzekł oburzony. – Cechuje cię potępienia godna amoralność, podobnie zresztą jak porucznika Fowlera oraz resztę załogi tego statku, nie wyłączając owych dwóch, skądinąd przemiłych, młodych ludzi. – Przy tych słowach wskazał lufą pistoletu obu sterroryzowanych wiosłarzy. – Przedstaw sobie, iż wykazali całkowitą obojętność wobec wiecznej sławy! Musiałem ich siłą przymusić, by spuścili tę łódkę

na wodę.

Nagle rozległ się donośny plusk, a zanurzona głęboko łódź aż zakołysała się na idącej od brzegu fali. Odwróciłem się instynktownie i ujrzałem, jak najwyraźniej zdeorientowane smoczysko podnosi się z wody i potrząsa gwałtownie głową. Przez moment potwór próbował kłapnąć szczękami, trwale rozregulowanymi salwą burtową fregaty, po czym ryknął głośno i znów się przewrócił. – Oto jesteśmy świadkami rytualnego tańca smoków, który zawsze poprzedza walkę z godnym siebie przeciwnikiem – zauważył Love, z trudem utrzymując równowagę na rufie podskakującej jolki. Winston znów zaskomlął z niewysłowionym strachem. – Gdzie tam taniec, panie poruczniku! – oznajmił Baryła. – Słabuje bestyjka, ot co! Każdemu by się rzygać zachciało po obwąchaniu Butchera i wychlaniu beczki rumu!

– Słabuje? – Edward zmarszczył nos. – A zatem trzeba dać mu fory. Winstonie – zwrócił się do skamlącego zwierzęcia, próbującego rozpląszczyć się na dnie łodzi. – Gdy będziesz wystawiał mi smoka, nie podchodź do niego zbyt agresywnie, nie próbuj też gryźć go przez pierwszy kwadrans walki. Ja zaś...

"Magdalena" znów grzmotnęła salwą burtową, tym razem na przeciwnej burcie. Nie widziałem przeciwnika, do którego teraz strzelał Fowler, lecz dostrzegłem jego rozpaczliwe machanie z pokładu rufowego oraz linę kotwiczną, wolno wpełzającą do kluzy. Vincentowi cholernie się śpieszyło, a ja nie wątpiłem, że nie żartuje. Musieliśmy jak najszybciej znaleźć się na pokładzie fregaty! Od jolki Edwarda dzieliły nas tylko kable, widziałem już wyraźnie blask w jego oczach, który nawet świętego Jerzego wpędziłby w kompleks niższości. Głos rozsądku mówił mi, że nikt i nic nie zdoła go zmusić do rezygnacji z misji, która opanowała jego świadomość. Musiałem więc skorzystać z fortelu. Ale jakiego? Niespodziewanie rozwiązanie podsunął mi sam Winston. Tradycyjnie darzyłem tego spasionego, tchórzliwego, wiecznie obślinionego buldoga niechęcią wprost proporcjonalną do miłości, którą otaczał go Edward, ale w tym momencie zapalałem do niego stokroć gorętszym uczuciem. Zauważyłem



bowiem, że po dostrzeżeniu naszej łodzi pies zmienił taktykę. Już nie próbował udawać niewidzialnego na dnie jolki, ale zaczynał z wolna przesuwać się w stronę dziobu, jakby testując długość smyczy. Nie spuszczał z nas przy tym spojrzenia swych malutkich, mokrych ślepi, w którym odczytałem bezbrzeżną tęsknotę.

– Mullholland! – szepnąłem do marynarza trzymającego rumpel. – Steruj na jolkę! Smitty i Sanders, łapcie za jakiś worek, a pan, bosmanie, proszę przygotować knagę.

Marynarze posłuchali bez wahania. Mullholland wychylił rumpel, a szalupa, pchnięta nagłym uderzeniem wiosła, ostro skręciła ku jolce. Edward, który wyprężył pierś i przymknął oczy, najprawdopodobniej deklamując w myśli ustępy z "Pieśni o Rolandzie", nawet tego nie zauważył. Nie zwrócił również uwagi na to, że Winston podpełzł na dziób jolki, obejrzał się na swego pana i spał mięśnie do skoku.

Nigdy w życiu nie zapomnę chwili, gdy obleśnie tłuste psisko wzbiło się w powietrze i poszybowało ku naszej szalupie, zostawiając za sobą rozkołysaną jolkę oraz zdumionego Edwarda, spoglądającego na dłoń, z której wyslizgnęła się smycz. Czas jakby zaczął płynąć wolniej – patrzyłem na rozkołysane fałdy cielska buldoga, na jego rozwartą szeroko pysk i strużki śliny, unoszące się za nim na podobieństwo babiego lata i naraz zwątpiłem, czy uda nam się go w porę złapać. Na szczęście pies wycelował dobrze. Grzmotnął idealnie w okrężnicę, pozbawiając tym samym siebie przytomności, a bosmana zastosowania dla ściskanej w garści knagi. Tymczasem Smitty i Sanders sprawnie złapali zwierzę do worka. – Do wiosła! – wrzasnąłem. – I nie ociążać się!

– Wiiiinston! – zawył rozdzierająco Edward. – Billy, natychmiast oddaj mojego psa, niegodziwcze!

– Z miłą chęcią, Edwardzie! – odkrzyknąłem. – Pozwolisz jednak, że jak na dżentelmenów przystało, transakcji dokonamy na pokładzie okrętu, siedząc przy stole!



Bywało, że przez cały długi rok pod rozkazami znieprawionego gubernatora de Truesse Vincent Fowler nie wyrzucił z siebie tylu bluzgów, co tego jednego popołudnia, gdy "Magdalena" wypływała już z owej feralnej zatoki. Większość owych inwektyw – od siebie dodam, że całkiem niezasłużonych – była skierowana pod moim adresem, a wywrzeszczana została publicznie, co wskazywało na jawną niekonsekwencję porucznika w kwestii troski o morale załogi. Wytknąłem mu to oraz wiele innych spraw równie głośnym wrzaskiem.

– Jestem ci niepomnie wdzięczny! – darł się Vincent Fowler. – Cholernie wprost wdzięczny za niebywałą szansę przetestowania dział fregaty w walce z pieprzonymi węzami morskimi! Czuję ogromną ulgę na myśl, że mogłeś choć przez moment odpocząć wśród zieleni tej cudownej wyspy, dając mi tym samym szansę zajęcia się kwestiami tak prozaicznymi jak obrona twojego okrętu!

Myślałem, że go uduszę, teraz zaraz, na oczach wszystkich.

– Odpocząć! – wysyczałem. – W istocie, zaznałem wywczasów co niemiara! W pewnym momencie zacząłem się nawet nudzić, tak więc wymyśliłem sobie tego wielkiego smoka, żeby coś się zaczęło dziać!

Drżącym palcem wskazałem coraz mniejszego potwora, który z zacięciem łupał łbem w przybrzeżne skały, próbując wstawić szczękę na miejsce. Przerzedzone stadko latających ptaszydeł krążyło tuż nad jego głową, najwidoczniej mając nadzieję, że w którymś momencie uderzy zbyt mocno.

– Smoka! – Vincent wybuchnął pogardliwym śmiechem. – Widziałem tego twojego smoka! Ledwie na nogach mógł ustać! A my tu mieliśmy totalne piekło! Zewsząd wynurzały się węże morskie, syczały, pluły, przepływały pod kilem... Już myślałem, że po nas! Że rozwalą ten nieszczęsny okręt! Waliliśmy salwa za salwą, a one nic! Tylko za kulami nurkowały, gdy te odbijały się rykoszetem od fal!

– Bo to pewnie młode były – stwierdził Baryła. – Młode węże morskie tak mają, ciągiem im zabawa w głowach...

– Stul pysk! – ryknęliśmy obaj z taką siłą, że wystraszony Danny odskoczył w tył.

– Nigdy nie przerywaj swemu dowódcy, gdy ten się kłóci z pierwszym oficerem! – dodał z wściekłą miną Vincent. – Bo to jedyna okazja, gdy może poznać prawdę o sobie!

Darliśmy się na siebie jeszcze dobry kwadrans, aż okręt na powrót wniknął w ścianę białej mgły. Wtedy to podszedł do nas Millard i zapytał, jaki ma obrać kurs. Widać było, że przeżycia u brzegów smoczey wyspy i nim wstrząsnęły, tak więc dołożył wszelkich starań, by pytanie zostało zadane możliwie najbardziej neutralnym tonem. Rzecz dziwna, jego wysiłki przyniosły skutek i niemal natychmiast poczułem, jak wraca do mnie spokój. Vincent również odetchnął głęboko i rozwarł zaciśnięte mocno pięści. – Wracamy na poprzedni kurs – powiedziałem cicho. – Millard, zostawi pan jedynie zrefowane marsle. Proszę też posłać na dziób człowieka z sondą i wywiesić francuską banderę.

– Francuską banderę? – zdumiał się Millard, a w jego głosie tradycyjnie zgrzytnęła złośliwość. – Jeśli chce pan tym samym oddać cześć najinteligentniejszemu żeglarzowi na pokładzie, to pragnę pana poinformować, iż jest on nieczuły na takie gesty. – Bynajmniej, Millard. – Skrzywiłem się. – Gdzieś w tej mgle włóczy się HMS "Niobe" i liczę na to, że dostrzegłszy francuską banderę, puści się za nami w pościg na otwarte morze, gdzie będziemy mogli ją zgubić. Nie pałam zbytnią miłością do Royal Navy, ale wolałbym oszczędzić swoim rodakom losu, którego sami z trudem uniknęliśmy.

– Francja nie jest w stanie wojny z Anglią – wycedził Millard. – Czyżby? Masz ci los. Na szczęście mało jest oficerów Royal Navy, którzy pamiętali o polityce na widok flagi ze złotym liliami, nieprawdaż?



Mam osobliwe wrażenie, że nikt z całej załogi nigdy nie opowiedział nikomu o zdarzeniach na owej feralnej wyspie.

Nie do końca wiem dlaczego, bo przecież przechwalanie się i

snucie zmyślonych opowieści jest integralną częścią mentalności każdego żeglarza. Sądzę jednak, że o wiele łatwiej jest opowiedzieć historię wymyśloną czy zasłyszaną aniżeli taką, którą przeżyło się osobiście. Czy można bowiem czerpać przyjemność z opowiadania o doznanym strachu, o panicznej ucieczce i próbach ukrycia się? Chyba nie. Kilkakrotnie, gdy rum osłabił już moją czujność w którejś z zapadłych tawern Port -Au - Prince czy Port Royal, miałem zamiar opowiedzieć kompanom o spotkaniu ze smokiem, ale zawsze rezygnowałem. Nie wiem dlaczego, naprawdę. Może dlatego, żeby co bardziej szaleni żeglarze nie zaczęli owej wyspy szukać? Vincent Fowler, jeden z najodporniejszych na przesady, trzeźwo myślących żeglarzy pod słońcem, przemilczał historię o smokach z obawy przed wyśmianiem. Edward Love, który zresztą nie odzywał się do mnie przez dwa miesiące, obrażony o porwanie psa i odebranie mu szansy zdobycia wiecznej sławy, przemilczał ją ze wstydu, że nie udało mu się odegrać roli bohatera. Ale czemu milczy załoga? Może zabronił im bosman O'Neil, który nie chciał, by ucierpiała jego reputacja człowieka nigdy niecofającego się przed bójką?

Doprawdy nie wiem. A czasem nawet myślę, że cała ta awantura była jednym wielkim, koszmarnym snem. Następnego dnia o świcie, gdy ściana mgły dawno znikła na horyzoncie, a ja szykowałem się do wygłoszenia kazania na marynarskim pogrzebie Bambo i Butchera, okazało się, że ogromny Murzyn jak zwykle siedzi na topie grota i mamrocze coś na temat swoich mżimu. Moja radość szybko przeszła w zgrozę, gdy nagle spod pokładu wychynął sam Butcher, nieco poobtłukiwany, ale w dobrym nastroju, charknął, splunął, zaklął, tupnął racicą i zaryczał: – Świeże mięęsko!

Następnie podał nam jajecznicę z niezwykle wielkich jaj.

Jedynym, co wciąż przypomina mi o zajściach na przeklętej wyspie smoków, jest inwencja artylerzysty Zeemana, który, załamany nieskutecznością artylerii okrętowej w walce z węzami morskimi, rozpoczął pracę nad skonstruowaniem specjalnego pocisku do niszczenia celów podwodnych. Moim zdaniem traci tylko czas, ale mu nie przerywam. Mam bowiem dziwne

przeczenie, że jeśli mu się mimo wszystko uda, to kiedyś w przyszłości ten wynalazek może się jeszcze bardzo przydać.

# Jacek Piekara

## ŚMIETNIKOWY DZIADEK I WŁADCA WSZYSTKICH SMOKÓW

Grunt to mieć dobre oko. I szczęście. Kiedyś pracowałem z Pitbullem, ale Pitbull w końcu nie wytrzymał. Gdy się trafiły stare dzinsy ze zgniecioną w kulkę studolarówką w małej kieszonce, to ja właśnie pierwszy je wypatrzyłem. A zardzewiała skrzyneczka z kompletem srebrnych sztuców? A nowiuśki telefon komórkowy ze wszystkimi bajerami? A wieczne pióro ze złotą stalówką? A pożółkłe, poplamione kartki wypełnione bazgrołami, które okazały się rękopisem Mahlera? Wszystko to wyłapywałem ja. Miałem oko i miałem szczęście. Pitbull w końcu się wkurzył (zazdrosna była z niego menda, ot co!) i zostałem sam. Może i lepiej, bo od tej pory nikt mi nie brzęczał nad uchem i nie starał się naciągnąć na flaszkę. Niby we dwóch było bezpieczniej, ale ja jakoś nigdy się nie bałem. Pamiętam, że kiedyś takie jedne czarne zakapiory wyraźnie chciały się ze mną zabawić za pomocą noża i łańcucha, ale kiedy podeszli (a zamurowało mnie ze strachu i nawet nie próbowałem uciekać), to zobaczyłem w świetle latarni, że największemu z nich dziwnie zmieniła się twarz. Patrzył na mnie i patrzył, ja patrzyłem na niego, bo niby co miałem robić, skoro za plecami miałem ścianę, a po obu stronach jego koleżków? Później wyjął pudełko papierosów i rzucił mi je prosto w ręce. – Popal se, dziadek – burknął.

I poszli. Słyszałem, że jeszcze tej samej nocy zakatowali starego Zrzędę. Pocięli mu twarz brzytwą i połamali kości łańcuchem. Wiem, że to oni, bo w gazecie zobaczyłem zdjęcie tego czarnucha, który dał mi papierosy. Miałem więc, po prostu,

kurwa, szczęście. I tak było zawsze. Byłem jak ten zaginiony pies z plakatu. "Poszukujemy psa bez tylnej prawej łapy. Nie ma jednego oka, ma naderwane lewe ucho, a z ogona wypadła mu sierść. Reaguje na imię Szczęściarz". No to właśnie ja taki byłem. Po prostu szczęściarz, kurwa jego mać! Nic dodać, nic ująć...



W sobotnią noc można znaleźć mnóstwo fajnych rzeczy, jeśli się wie gdzie szukać. Ludzie gubią po pijaku portfele, torebki, płaszcze, parasole i marynarki, wściekłe dziewczyny wyrzucają na ulice rzeczy swoich facetów, którzy nie wrócili na noc (albo odwrotnie: faceci wywalają rzeczy lasek), dzieciaki urządzą balangi, korzystając z tego, że w domu nie ma rodziców (a wtedy potrafi się sypnąć z okien, oj, potrafi).

Przeszukiwałem właśnie plastikowe worki w ciemnym zaułku (no, w miarę ciemnym, bo docierało tu żółte światło latarni) i obok znalazłem kilka pobrudzonych jednodolarówek, rzuconych niedaleko niezastygniętego jeszcze gówna. Najwyraźniej kogoś przypiliło i wytarł sobie dupę tym, co miał w portfelu. Umyje się, spoko, spoko... Nie takie rzeczy widziałem, żebym miał się brzydzić kału zaschniętego na banknotach. A kiedy uniosłem głowę, ujrzałem tę parę w prześwicie prowadzącym na ulicę. On był barczysty, wysoki, ubrany w popielaty płaszcz, ona miała czarne, opadające na ramiona włosy i takie cycki, że byłem pewien – gdybym złapałbym ją za sutki, to uniósłbym się w górę jak laleczka przyczepiona do dwóch zeppelinów. Też była ubrana w popielaty płaszcz, ale niezapięty, dlatego więc mogłem dokładnie podziwiać, jakież to skarby chowa pod żakietem. Kiedy zbliżyli się, zobaczyłem, że oboje są piękni. Nie ładni, przystojni czy ciekawi. Po prostu piękni. Jakby wyszli z kolorowego pisma o modzie albo z telewizyjnej reklamy.

– Ja cię kręcę – mruknąłem pod nosem.

Nie zaniepokoiłem się, bo nie wyglądali na ludzi, którzy mieliby ochotę na zaczepianie kogoś, kto przeszukuje śmietniki. Pewnie wysiedli z taksówki nie w tym miejscu co trzeba i chcieli

zapytać o drogę. Podejrzywałem, że jeśli będę wystarczająco uprzejmy, to kopsną mi kilka dolców.

– Pan Tobias Cutter? – zapytał grzecznym tonem mężczyzna. – Czy mamy przyjemność z panem Tobiasem Cutterem? Przez chwilę musiałem pomyśleć. Cholera jasna, już od dawna nie słyszałem, żeby ktoś mówił do mnie "Tobias" albo "Cutter", a tym bardziej nie: "Tobias Cutter". Ale faktycznie, tak właśnie się nazywałem, i zatkało mnie, skąd on to wie. No i jeszcze to eleganckie sformułowanie: "Czy mamy przyjemność...". Od wieków nikt nie zwracał się do mnie w ten sposób. – A jeśli tak? – spytałem ostrożnie. – Wybacz pan, ale...

– To on – przerwała mu kobieta – poznaję, że to on.

Uśmiechnąłem się. W odróżnieniu od większości moich znajomych mam niemal doskonałe uzębienie, więc lubię się uśmiechać. – Pani raczy wybaczyć, ale jestem przekonany, że się nie znamy. Raz dwa zapamiętałbym taką ślicznotkę – odparłem grzecznitko. Zerknęli na siebie. Dziwnie spłoszonym, niepewnym wzrokiem. Tak jakbym powiedział coś bardzo niewłaściwego, a ja przecież tylko starałem się być uprzejmy.

– Przepraszam, że nazwałem panią ślicznotką, ale proszę mi wierzyć, nie miałem nic złego na myśli... – dodałem szybko, gdyż oboje wyglądali jak świeżutkie studolarówki, a ja nie chciałem, by te studolarówki dostały nóżek i odbiegły.

– On nic nie wie – stwierdziła i w jej głosie zabrzmiał smutek zmieszany ze zdumieniem. – Nawet nas nie wyczuł.

– Nic nie wiem o czym, proszę pani? Zawsze mogę się dowiedzieć, jeśli trzeba... – podpowiedziałem gorliwie.

Mężczyzna przyglądał mi się z wyraźnym współczuciem. Znam ten wzrok nie od dziś. Żli ludzie łypią na podobnych do mnie w ten sam sposób jak na parszywego psa, którego chcieliby kopnąć, lecz wstydzą się reakcji przechodniów. Tacy sobie ludzie przemykają obok, udając, że nic nie widzą. Że niby oni i ja należymy do dwóch światów, których zupełnie nic nie łączy. Dobrzy ludzie patrzą ze współczuciem. Najwyraźniej ten koleś był dobrym człowiekiem. – Jak to się mogło stać? – zapytał cicho.



– Nie mam pojęcia. Ale przecież to on! – Odwróciła się w moją stronę. – Prawda, że to ty? Ty nazywasz się Tobias Cutter? Zresztą – machnęła ręką i znowu spojrzała na swego partnera – przecież oboje doskonale wiemy, prawda? Czujemy to! Sebastianie, czujesz, prawda? To on...

O czym oni w ogóle gadali? Jedno w tym wszystkim się zgadzało. Nazywałem się Tobias Cutter, chociaż żadnego z tych dwojga nigdy dotąd nie widziałem i mogłem tylko zgadywać, skąd znali moje imię. A o co jej, do cholery, chodziło z tym czuciem, to już naprawdę nie rozumiałem.

– Nie wiem, w czym mógłbym państwu pomóc – byłem tak grzeczny jak szczeniaczek czekający na kość.

– Ha! – Mężczyzna nazywany Sebastianem rozłożył dłonie. – Jak mam mu to powiedzieć? – Zerknął na swoją towarzyszkę. Widziałem, że jest wyraźnie zaskoczony całą sytuacją. Tylko dlaczego miałem niby wiedzieć, kim oni są? Co ja, wróżka jestem? – Zapewne trudno będzie ci w to uwierzyć, Tobiasie, ale zostałeś spadkobiercą pewnego tytułu. Umarł twój stryjeczny dziadek, i ty jesteś jego najbliższym krewnym...

– Ile? – spytałem, a w głowie zaczęły mi grać anielskie surmy, bo coś mi mówiło, że facet nie kłamie ani nie żartuje.

Czyżby był adwokatem albo prywatnym detektywem, któremu polecono mnie odszukać? Jasna cholera, takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach albo na stronach brukowców.

– To nie jest dziedzictwo, które można wyrazić w konwencjonalnym znaczeniu sformułowania "stan posiadania" – odparł po dłuższej chwili.

Nie jestem głupi i rozumiem słowa mające więcej niż trzy sylaby. W końcu kiedyś nawet studiowałem, choć było to tak dawno temu, że jakby w innym życiu. Niemniej dziedzictwo nieliczone w konkretnych sumach nie wydawało mi się pociągające. Też mi się stryjeczny dziadek trafił! Czy nie mógł zostawić zamku w Szkocji i siedmiocyfrowego konta?

– No to dupa – oznajmiłem smutno, a potem szybko zerknąłem na kobietę. – Bardzo panią przepraszam...

– Odziedziczyłeś jednak tytuł oraz związane z nim prawa i przywileje.

– Jaki tytuł?

– Władcy Wszystkich Smoków – odpowiedział.

– Mój dziadek był Indianinem? Wiecie, Siedzący Byk, Szalony Niedźwiedź i tak dalej...

– Nie. – Mężczyzna westchnął. – Twój stryjeczny dziadek był smokiem.

– To jakieś nazewnictwo pełnionej funkcji? Tak jak Wielki Czarownik w Ku -Klux -Klanie? – pochwaliłem się swoją wiedzą.

– To określenie rasy. – Znowu westchnął, jakby rozmowa ze mną sprawiała mu autentyczną przykrość. – Znaczy, że co?

– To znaczy, że jesteś smokiem. Choć, patrząc na ciebie, ciężko w to uwierzyć. – Westchnął po raz trzeci.

– Daj spokój – odezwała się kobieta – zapomniano o nim, nie kształcono go, nie pomagano mu. To nie jego wina...

– Jestem smokiem – powtórzyłem wolno – czyli taką wielką jaszczurką o błoniastych skrzydłach. – Wyciągnąłem przed siebie dłonie. – Jakoś na to nie wygląda...

– Posiadasz zdolność transformacji, tylko nie zdajesz sobie jeszcze z tego sprawy – wyjaśniła kobieta.

I wtedy wszystko zrozumiałem. Byłem bohaterem nowego programu telewizyjnego. Rzuciłem okiem tu i tam, lecz nie dostrzegłem ukrytych kamer. Zresztą całym przedstawieniem na pewno zajmowali się fachowcy, nie miałem więc prawa ich zauważyć. Oni już tak potrafią wszystko przygotować, że uczestnik programu budzi się z ręką w nocniku dopiero wtedy, kiedy krzykną: "Hej, jesteś w ukrytej kamerze!".

– Dobra! – zawołałem radośnie, postanawiając zagrać w tę grę. – Jestem smokiem! I co dalej?

– Nie jesteś zwykłym smokiem – powiedział uroczyście mężczyzna. – Jesteś Władcą Wszystkich Smoków. Naszym panem i suzerenem.

Przyklęknął na jedno kolano i pochylił głowę. Na asfalcie było

pełno śmieci, ale najwyraźniej nie przejmował się tym, że pobrudzi eleganckie i zapewne piekielnie drogie spodnie. Kobieta co prawda nie uklękła, ale zastygła w głębokim ukłonie.

– Jesteśmy zaszczyceni, że to właśnie my mogliśmy obwieścić ci dobrą nowinę, nasz panie – rzekła.

W tej całej szopce był jakiś cel, którego jeszcze nie znałem. Ale wiedziałem, że dla dobra show powinienem wejść w buty, które dla mnie przyszykowali. Bo, widzicie, uczestnikom programów telewizyjnych zawsze się coś płaci. Musiałem tylko okazać się na tyle interesującym gościem, by nie wycięto moich kwestii przy montażu.

– Powstańcie, wierni poddani – postarałem się wyrzec te słowa tak uroczyście, jakbym był królem Arturem przemawiającym do Rycerzy Okrągłego Stołu. Sean Connery byłby ze mnie dumny – i chciałbym was prosić, żebyście wyjaśnili mi tę całą sprawę. Mów, mój chłopcze – wskazałem na mężczyznę gestem godnym monarchy.

Nawet się nie uśmiechnął. Oboje świetnie odgrywali swoje role, ale cóż, przecież do takich zadań telewizja zawsze zatrudnia doświadczonych aktorów, choć oczywiście nieogranych w filmach, żeby przypadkiem ofiara żartu ich nie rozpoznała.

– My, smoki, żyjemy pośród ludzi od niepamiętnych czasów. Staramy się czuwać nad losami tej cywilizacji, gdyż nasi przodkowie sami siebie nazwali Pasterzami Ludzi. Szkoda, że zostało nas tak niewielu, że świat wymyka się nam spod kontroli...

– Dawno się wymknął – przerwała mu kobieta.

– Przybieramy ludzkie kształty – mówił dalej, nie zwróciwszy uwagi na jej wtręt – żyjemy pośród ludzi i wpływamy na nich dzięki swym zdolnościom...

– Zdolnościom? – zapytałem szybko, bo na pewno wymagał tego scenariusz.

– Mamy umiejętność jednania sobie stronników. Jedni się nas boją, inni szanują lub szaleńczo kochają. Słowa, które wypowiadamy, brzmią jak objawione prawdy. Całe armie

maszerowały do walki tylko dlatego, że nasz szept niósł się razem z wiatrem. To jeden z naszych talentów.

– Jestem pacyfistą – oznajmiłem od razu, gdyż wojna w Iraku była coraz mniej popularna wśród moich rodaków i sądziłem, że po tej deklaracji szefowie programu, w którym uczestniczyłem, poważnie wezmą mnie pod uwagę, jeśli chodzi o decyzję wpuszczenia na antenę.

– To bardzo ładnie – skwitował – lecz nie sądzę, by pacyfizm pokonał na przykład Hitlera.

– Z szacunkiem wspominam naszych chłopców, którzy zginęli na europejskim i japońskim froncie – znowu pozwoliłem sobie na uroczysty ton, wiedząc, że przeciętnemu zjadaczowi telewizyjnej papki zwykle przypada do gustu wizja gwiazdzistego sztandaru łopoczącego w podmuchach wiatru.

– Ale nie o to chodzi, Tobiasie. Na dokładne wyjaśnienia przyjdzie czas później. Będziesz musiał wiele, wierz mi, bardzo wiele, nadrobić. Chodzi o to, byś przyjął swój spadek. – Powiedział pan przecież, że nie ma spadku. – Jest tytuł.

– Szczerze mówiąc – odparłem powoli i z namysłem – chętnie odstąpiłbym ten zaszczyt komuś, kto bardziej ode mnie na niego zasługuje.

Zagryzłem usta. Teraz zaczynała się wielka gra. W każdym reality show organizatorzy mają pewną pulę kasy do wydania. Ile mieli oni?

– Odstąpiłbyś tytuł? – Na twarzy mężczyzny odbiło się zdumienie tak naturalne, że znowu pogratulowałem mu w myślach zdolności aktorskich. – To... to się jeszcze nigdy nie zdarzyło. – A jednak prawo dopuszcza taką możliwość – dodała po chwili kobieta, lecz widziałem, że ją również oszołomiły moje słowa. – Nie chciałbyś się niczego o nas dowiedzieć? W zasadzie powinienem powiedzieć nie "o nas", lecz o sobie samym. O misji, którą mamy do spełnienia i którą zawsze kierował Władca. O powinnościach i obowiązkach.

– Ja już zdecydowałem – rzekłem twardo. – Jestem zwykłym facetem i niepotrzebne mi są żadne ważne tytuły. Ot, żyj, by nie

szkodzić innym, i módl się, żeby inni nie zaszkodzili tobie. Oto moje motto. Poza tym tak w ogóle to ja mam dużo obowiązków... Na pewno byście się tylko rozczarowali. – Cóż, skoro właśnie tego sobie życzysz...

Zauważyłem, że nie zwraca się do mnie słowami "nasz panie", a w jego głosie nie słychać już szacunku.

– Zrozumiałe jednak, że chciałbym otrzymać coś w rodzaju rekompensaty – powiedziałem, starając się, by nie zabrzmiało to ani chytrze, ani przebiegle, ale po prostu szczerze i prostolinijnie. – Zrozumiałe. – Skinął głową, a ja się zastanawiałem, czy naprawdę usłyszałem lekką nutę ironii w jego głosie.

– Jaka rekompensata wyda ci się odpowiednia? – zapytał chwilę później.

– Dziesięć tysięcy dolarów. – Aż zmrużyłem oczy, porażony własną bezczelnością.

I teraz to ja się zdumiałem. Bo Sebastian znowu tylko skinął głową, jakby wcale nie przejął się wysokością sumy, i sięgnął do kieszeni po portfel. Och, jak ja uwielbiam ten gest, kiedy ludzie sięgają po portfel! Trzeba wtedy stać w stosownym oddaleniu (żeby nie wydać się namolnym), a na twarz przywołać wyraz równie stosownego szacunku. Wyliczył sto lśniących, sztywnych studolarówek. Starłem się nie chwycić ich zbyt zachłannie, nie mogłem jednak nie zauważyć jednego. Mężczyzna miał zgrabny, cienki portfel. W jaki, kurwa, sposób zmieściło się w nim sto banknotów? Przy stu nowiutkich, jak prosto z banku, studolarówkach jego portfel powinien wyglądać niczym krowa w ostatnich dniach ciąży. A tu nic z tego! Wydawało mi się, że wyciąga je z powietrza!

– Czy mam podpisać jakieś dokumenty? – spytałem, kiedy już upchnąłem wszystkie pieniądze po kieszeniach (a część władowałem sobie za koszulę i czułem teraz, jak mi szeleszczą na brzuchu). Wokół unosił się upajający zapach papieru i farby. Mój Boże, jak pięknie pachną pieniądze! Piękniej niż cokolwiek innego na świecie. Piękniej niż kobiece perfumy i niż dobrze wysmażony stek z ziemniaczkami! Nawet piękniej niż

dziewczęca cipka! – Nie – odparł – wystarczy tylko, że powiesz w naszej obecności: "Ja, Tobias Cutter, z własnej i nieprzymuszonej woli rezygnuję z tytułu Władcy Wszystkich Smoków".

– W porządku. – Zatarłem ręce, bo ten wieczór był chyba najbardziej udany w moim życiu. – Ja, Tobias Cutter, rezygnuję z własnej i nieprzymuszonej woli z tytułu Władcy Wszystkich Smoków. Już w trakcie mówienia zorientowałem się, że pomyliłem szyk wyrazów, ale nie miało to raczej znaczenia, gdyż żadne z nich nie zwróciło mi uwagi. – To wszystko. Żegnaj, Tobiasie.

– Już? A może zrobilibyśmy jakieś piwko z takiej okazji?

– Niestety, nie. Obowiązki. Mamy następne nazwisko na liście i może tym razem pójdzie nam lepiej.

Ja, oczywiście, bym nie narzekał, że źle mi poszło, choć teraz zacząłem się zastanawiać, jaką górną granicę w puli pieniędzy na nagrody wyznaczyli im producenci. Cholera, może dałem się oszwabić? Trzeba było powiedzieć pięćdziesiąt tysięcy. A ja jak ten osioł, za marnego dziesiątaka... Porzuciłem te zachłanne myśli i dopiero wtedy zorientowałem się, że odchodzą w stronę ulicy.

– Hej tam! – zawołałem. – A co może Władca Smoków?

Odwrócili się. Spojrzeli na mnie takim wzrokiem, jak patrzy się na kolesi rozdających reklamówki na ulicy. Tak naprawdę nie dostrzega się ich, lecz czasami niektórzy ludzie są dla nich uprzejmi.

– Wszystko – odparli grzecznie i chórem, choć chyba już mnie nie widzieli.

Obrócili się i pomaszrowali dalej.

"Wszystko" – powiedzieli. Też mi coś! Wszystko to miałem ja. Dziesięć tysięcy dolców upchane po kieszeniach. Wynajmę sobie pokój w dobrym hotelu, nakupię tyle flaszek, ile tylko będę mógł udźwignąć, i zadzwonię po naprawdę rasową dziwkę! A i tak zostanie mi jeszcze kupa kasy. Czy można dostać więcej od życia? – I niech ktoś ci powie, że nie jesteś szczęściarzem! – zawołałem sam do siebie.

Potem rozejrzałem się, w poszukiwaniu gościa, który wyskoczy ze słowami "Mamy cię!" albo czymś w tym stylu. Zaulek był jednak cichy i pusty. Zerknąłem w stronę, w którą zmierzali moi niedawni rozmówcy, i ku swojemu zdumieniu nie zobaczyłem już nikogo. Tylko wiatr szarpał rozwłóczonymi na asfalcie gazetami. Dziwne, bo nie mogli przecież tak szybko dojść do rogu ulicy i zniknąć za nim, a bramy były pozamykane.

– Pewnie odlecieli – prychnąłem. – Smoki, też coś... Ta telewizja, jak coś wymyśli.

Pokręciłem głową i schyliłem się po zabrudzone kałem jednodolarówki, które wypatrzyłem wcześniej. Niby miałem w kieszeniach dziesięć tysięcy, lecz człowiek rozsądny korzysta z każdej szansy, którą ofiaruje mu los.

# Krzysztof Piskorski

## DAR DLA CESARZA

Stuk strzał, uderzających o kamienie tuż przy głowie Potockiego, przypomniawszy mu odgłos rzuconych kości. Czy to Bóg grał gdzieś w niebiosach o jego życie? Z kim? Bez wątpienia z diabłem, gdyż na nic lepszego hrabia nie zasłużył. Jednak, mimo myśli o śmierci i mogących go wkrótce czekać piekielnych mękach, nabijał pistolet pewną, spokojną dłonią człowieka, któremu nieobcy był zapach prochu.

Inaczej sprawa się miała z resztą nieszczęśników z batalionu. Ci próbowali ukryć się przed ukąszeniami strzał pośród skalnych załamów. To było młode wojsko. Paryska biedota, dopiero co odziana w mundury. Aż dziw, że dano im najnowsze, błyszczące jeszcze corrgi 1777, bo mało który robił z broni dobry użytek. Choć ładowanie na dwanaście taktów wpajano im batem, pod ostrzałem wroga zapomnieli wszystkiego. Sypali na panewkę zbyt mało lub zbyt wiele. Połykali kule, rozsypywali proch z patronów. Ci zaś, którym udało się nabić karabin, stali przykurczeni ze zbiełałymi palcami na lufie i modlitwą na ustach. Nikt nie chciał się wychylić, by oddać strzał – nie, gdy kilkudziesięciu łuczników zasypywało ich kryjówkę nieustanną nawałą białopiórych szypów. Potocki tymczasem skończył nabijać. Odciągnął kurki, przygryzł wargę, potem wysunął nad głaz swój kostropaty od francy nos. Sytuacja wyglądała źle. Zasadzka, w którą kolumna trafiła po wyjściu z Bramy Morthienowskiej, była dobrze przygotowana. Łucznicy siali strzałami z niedużego wzniesienia, a garbate dziwolągi z nożami, którymi dowodził olbrzym w gotyckiej zbroi, obległy wozy.

Zapewnienia doktora La Ferre'a, który twierdził, że mieszkańcy tego świata padną na kolana po wystrzale z flinty,



okazały się niewarte taniego papieru, na którym je spisano. Pierwsza karabinowa palba trochę zmieszała przeciwników, ale zaraz potem rozpędzili batalion po okolicznych skałach. Tylko grupka polskich żołnierzy wciąż broniła wozów, na których leżały zapasy wyprawy oraz skarb najcenniejszy – para trójfuntówek.

Stary kanonier Świeradowski nie odstępował armat na krok. Odpędzał od nich wrogów, trzymając za lufę długi karabin. Kilku grenadierów stało za taborem, dając co chwila ognia to w stronę pokurczonych dziwołągów, to w stronę łuczników. Potocki mruknął z podziwem, bo grenadierom robota wprost paliła się w rękach – nigdy nie widział, by ktoś umiał tak szybko załadować długą i nieporęczną pruską rusznicę. Strach widocznie dodawał Polakom skrzydeł. Mimo to raz po raz któryś osuwał się na ziemię przebity strzałą i dla Potockiego stało się jasne, że walka przy wozach nie potrwa długo. Tym bardziej że spomiędzy głązów wyłonił się wysoki brodacz w dziwnie haftowanym płaszczu, który zaczął coś mamrotać, kręcąc dłońmi w powietrzu. Chwilę potem jeden z wozów wybuchł, jakby podpalono na nim beczkę prochu. Podmuch obalił Świeradowskiego, ten jednak zerwał się zaraz na nogi, rozjuszony niczym niedźwiedź po przyjęciu w zad porcji kaczego śrutu. – Szlag! Wysadzili Zosię! – wydarł się ktoś.

– Narewicz! – krzyknął w odpowiedzi hrabia. – Pal w tego w szlafmycy!

Strzelcowi wyborowemu nie trzeba było powtarzać. Miał dobrą gwintówkę, w kilka sekund złożył się do strzału i dał ognia w stronę brodatego człowieka. Ów nakrył się zaraz nogami, co tylko rozwścieczyło resztę. Naparli na ludzi Świeradowskiego ze zdwojoną siłą.

Hrabia Potocki rozejrzał się – po jego lewej jakiś młody Francuz płakał cicho. Nieco dalej kapitan -adiunkt Carnote, teoretycznie dowódca batalionu, darł się wniebogłosey, próbując zmusić swoich ludzi, by choć od czasu do czasu dali ognia. Po prawej z kolei jakiś strzelec kłął z podhalańskim akcentem, siłując się z zaciętym spustem. Obok niego łkała cicho

Czarnogłówka. Choć zdjęła z czoła obręcz Farii, to i tak za każdym razem, gdy kogoś przeszła strzała lub kula, dziewczyna kurczyła się w spazmie tak głębokim, że wyglądało, jakby jej wątła pierś miała załamać się do środka. Do hrabiego dotarła straszna prawda: jeśli czegoś nie zrobi, nie zrobi tego nikt. Klnąc na czym świat stoi, chwycił mocniej pistolety, po czym spiął się, by wyskoczyć zza osłony. Wiedział, że przy swoim parszywym szczęściu pewnie zaraz naszpikują go strzałami, ale z drugiej strony nie dbał o to. Jeśli do prawdziwego bohaterstwa zdolni są tylko idioci, Potocki był kandydatem idealnym. Choroba, tocząca mu od wielu lat mózg, poczyniła wystarczające spustoszenia, by nie bał się roju grotów.



Hrabia nigdy nie słynął ze szczęścia – w rzeczy samej mógł uchodzić za wzór człowieka pechowego. Rodziców stracił we wczesnej młodości, przeto nie miał mu kto wybić z głowy pomysłu wstąpienia do armii księcia Poniatowskiego. Może gdyby papa z mamą byli przy życiu, spraliby Piotrusia Potockiego różgą i przetrzymali w dworku siłą. Stało się jednak inaczej: Potocki w szeregach nieprzeliczonej armii cesarza Francuzów ruszył na zgonną kampanię roku 1813.

Tam sprawił się dzielnie, więc gdy resztki sił Napoleona wróciły do Niemiec, Potocki, podobnie jak wszyscy oficerowie, którzy wytrwali u boku cesarza, oczekiwał awansu. Zgubiło go jednak umiłowanie hazardu, przez które siadł do karcianego stolika z samym księciem Berthierem, prawą ręką cesarza. Nie wiadomo, czy monsieur Berthiera rozzłościła astronomiczna kwota, którą przegrał u Polaka, czy też niepochlebne słowa o Francuzach, które parę razy wyrwały się z ust pijanego Potockiego. Efekt jednak był prosty: hrabiego ominął awans, stał się też osobą niemile widzianą w towarzystwie francuskich oficerów. Tylko dzięki temu, że jak mało kto radził sobie z pistoletami, nie zasypały go wyzwania do pojedynków.

Potem był Lipsk, pamiętny dzień roku 1814. Gdy książę Poniatowski, podówczas już francuski marszałek, prowadził

szarżę na baterie wroga, a kulomioty Morthiene'a, sprowadzone dopiero co z Saint -Etienne, pruły nocną ciemność błękitnymi smugami etheru, Potocki wraz z grupą saperów strzegł mostu na Elsterze. W efekcie był jednym z garstki oficerów, którzy nie zdołali niczym wsławić się podczas lipskiej wiktorii.

Wkrótce podpisano rozejm. Księstwo Warszawskie przeszło pod opiekę Aleksandra I, a polskie pułki stanęły przed wyborem: czy na mocy kruchego porozumienia wrócić do kraju, czy zostać w garnizonach, które wskazał im we Francji cesarz. Potocki wybrał tę drugą możliwość, bo cesarstwo słynęło już wtedy w całym świecie z cudów techniki, jakie powstawały w Paryskiej Akademii. Niestety, powietrze stolicy nie służyło hrabiemu. Przegrał i przehulał większość pieniędzy, a na dokładkę zaraził się francuską chorobą. Następne lata spędził, w dosłownym znaczeniu tych słów, w rynsztoku. Ominęła go kolejna wojna, pokój wiedeński. Do zamroczonego chorobą i alkoholem umysłu ledwie dotarły wieści o proklamacji cesarskiej, co wprowadziła euforię w Księstwie, jak również o koronowaniu Józefa Poniatowskiego na króla in spe (dziewięć dziesiątych Polski wciąż było wtedy w rękach rosyjskich). Gdy Paryż huczał od wieści o stworzeniu pierwszej Bramy Morthienowskiej, Potocki myślał tylko o tym, skąd zdobyć pół napoleondora na czynsz i parę butelek wina. Mało co pamiętał z kampanii o Nową Francję i cudów, które ekspedycje przywoziły zza bram. Całe dni spędzał w rynsztokach, podczas gdy nad jego głową niebo zarastała żelazna pajęczyna rur pneumatycznej poczty i trakcji kolejki etherowej. Nie zdawał sobie sprawy, że na to, czemu poświęcił ledwie jedno zamroczone spojrzenie, w napięciu patrzy cały świat. Wiatr zmiany gnał po Europie, biorąc swój początek w śmierdzących moczem salach i korytarzach Paryskiej Akademii. Tylko samotni wariaci pokroju Alessandro Volty czy monsieur Ampère'a wierzyli jeszcze w swoją elektryczność. Resztę uczonych całkowicie pochłonęła wizja energii łatwiejszej w uzyskaniu czy kontroli. Wizja energii próżni – etheru.

Potocki został przywrócony życiu dopiero na wiosnę roku 1821, kiedy to, idąc po pijaku Rue de Saint -Germaine, wpadł pod powóz przyjaciela z czasów kampanii rosyjskiej. Ów Polak był

już wtedy majorem gwardii, miał rozległe posiadłości i dwie manufaktury. A że był naiwny na sposób pobożnych, dobrze wychowanych arystokratów, postawił sobie za cel wyciągnięcie Potockiego ze społecznych nizin, a wprowadzenie tam, gdzie było jego miejsce jako patrioty i weterana, czyli na salony i w szeregi armii. Zadanie okazało się tak trudne, że w trakcie kolejnych prób dobroczyńca zdążył zwątpić w sens usiłowań. W końcu jednak Potocki stanął na nogach i – choć choroba oraz pijaństwo poczyniły w nim niemałe spustoszenia – zgłosił się z rekomendacją w dłoni do sztabu cesarskiej armii.

Wkrótce okazało się, że fortuna, która znów wciągnęła mu na grzbiet oficerski mundur, jest zmienna niczym paryskie kokietki. Potocki został co prawda mianowany na porucznika, lecz wkrótce potem otrzymał misję, jaką sztab mógł przydzielić tylko człowiekowi, którego strata nie będzie bolesna. Człowiekowi takiemu jak Potocki.



Istnieje moment, znany każdemu wiarusowi, w którym bitwa staje się tak chaotyczna, że zmysł żołnierza przestaje ją ogarniać. Pod zasłoną krzyków i strzałów zostaje stłumiony dryl, jaki wyniósł ze szkolenia. Zostaje tylko jedno, krótkie, kołaczące się po głowie zdanie: "Biją naszych!".

Ta prosta prawda dotarła do podwładnych Carnote'a, gdy zobaczyli, jak Potocki wypada zza skał, błyskając ogniem z obu luf. I jeszcze nim hrabiego spowił dym, a trafiony przez niego w łeb rycerz runął na trawę, kilkunastu polskich strzelców z przeciwległej strony polany wypadło na wroga. Za nimi zaś posypali się następni – byli mniej odważni, lecz nie chcieli zostać w tyle. Krótkie staccato karabinowych strzałów zdziesiątkowało przeciwników, którzy właśnie wspinali się na wozy po obu stronach Świeradowskiego.

– Bagnety! – rozkazał polski sierżant. W jego czaku tkwiły już dwie strzały.

– Za króla i ojczyznę!

– **Pour l'empereur!** – rozległo się ze skał po drugiej stronie.

Potocki aż przystanął w zdziwieniu, jak dziecko, które, wyjąwszy kamyk z tamy na strumyku, patrzy na wodę, niespodziewanie wyrrywającą się na wolność. Jednakże szybko się otrząsnął, przyklęknął i sięgnął po prochownicę, by ponownie nabić pistolety. Nim zdążył to uczynić, walka już dobiegała końca. Grenadierzy zalali całą polanę, a przetrzebiony ogniem, pozbawiony dowódców wróg zaczął się rozpierzchać. Kilku łuczników szło jeszcze z wysoka, więc Narewicz zatrzymał jeden eszelon, ustawił w zgrubny szereg i kazał ładować broń. Mimo że jeszcze nie oddali salwy, dwóch łuczników zachwiało się, a potem padło, kwicząc wibrującym głosem. Trzymali się przy tym za głowy, jakby te miały im zaraz pęknąć. To Czarnogłówka, przewyciężywszy strach i ból, włączyła się do walki.

Wkrótce wrogowie zniknęli na stromych, zadrzewionych stokach. Lekki wiatr powoli rozwiął dym, sierżanci zaczęli zbierać swoje plutony. Kanonier Świeradowski stanął z żalną miną nad wysadzonym wozem. Nadtopiona mosiężna lufa łyssała jasno pośrodku wraku – jak kość w ciele trupa.

– Biedna, biedna Zosiu – Świeradowski westchnął ciężko, po czym wyciągnął zza pazuchy piersiówkę i wziął solidny łyk, na ukojenie serca.

Nie dane było mu jednak długo żalić się nad losem trójfuntówki, bo ledwie kilka chwil potem nadszedł Carnote. Zły jak bąk, ściągnął z głowy kapelusz i miał go nerwowo w dłoni. Mimo to w jego minie i postawie było coś zabawnego. Ze swoją chłopięcą urodą nie potrafił złościć się groźnie, jak przystało oficerowi. Wyglądał raczej na panicza ze szkoły dla bogatych chłopców, któremu podano zepsutą leguminę.

– I co teraz powiecie, Szweradoski?! – krzyknął Carnote po polsku z mocnym akcentem. – Jedna armata poszła w diabły. To niedopuszczalne!

– A bo to moja wina, panie kapitanie? Widzieliście, że z ludźmi bronilem do ostatka. Gdyby nie ten dziwoląg, co miał na

sobie **dessous** w gwiazdki, nic by się nie stało.

– Trzeba było wziąć ze sobą kulomioty etherowe zamiast waszych armatek! Jedna porządna seria rozpedziłaby tych dzikusów w diabły!

– Monsieur, nawet zakładając, że psiekrwie by się nie zacięły, i tak nie zdążylibyśmy rozłożyć ich na czas.

– Bo tacy z was artylerzyści! Polscy artylerzyści! Dają wam automatyczne kulomioty, wy bierzecie stare ćwierćfuntówki! – Trójfuntówki, panie kapitanie. – Nie pouczaj, bo każę wychłostać. Dość, że...

W tym momencie przerwał, widząc nadchodzącego adiutanta, za którym człapał niezdarnie hrabia Potocki.

– Sir, mam raport o stanie batalionu – rzekł adiutant, ocierając z czoła pot oraz sadzę. – Dwudziestu trzech zabitych i trzydziestu rannych w eszelonie francuskim, trzydziestu pięciu zabitych i dziewiętnastu rannych w eszelonie polskim. Spłonęły też dwa wozy, w tym jedna...

– Widzę przecież! – krzyknął w irytacji Carnote. – Czy otaczają mnie sami idioci?

Młody Francuz wyprężył się jak struna i odszedł. Potocki tymczasem westchnął, patrząc na szczątki armaty. Następnie wskazał lufą pistoletu jednego z pobliskich trupów.

– Przyjrzałem się tym dziwactwom. Na rękach noszą ślady kajdanów, na plecach blizny po bacie. Byli chyba niewolnikami – jak mniemam, rycerza w zbroi.

– To nie... Zaraz, zaraz – zastanowił się Carnote. – Niewolnikami?

– Proszę obejrzeć. Sam się pan przekona. Ciekawi mnie też, dlaczego czekali tu na nas i czemu atakowali z taką furią? Może to hipnoza? Sądzę, że Czarnogłówka mogłaby...

– Dość spekulacji, monsieur Potocki – przerwał mu kapitan. – Zbierzcie lepiej swój eszelon w kolumnę, musimy ruszać. Doktor Le Fevre zbada trupy i rannych, a potem przygotowuje raport. Następnie oddalił się energicznym krokiem.

– Dureń – sarknął kanonier, po czym splunął pod buty czarną od tytoniu śliną. – Mówi, że potraciliśmy ludzi, bo nie mieliśmy kulomiotów etherowych. Ale te, co mieliśmy dostać, to prototypy, z czasów niemieckiej kampanii. Jakbyśmy potrzęśli nimi w wozach, zaraz by się rozpadły na garść zębatach kólek.

– Spokojnie, drogi Antoni. Zrobiliście dobrze, a Carnote niech gada, co chce. Powiem wam coś: jego ojciec to był stary jakobin z Comité de Salut Public. Potem przefarbował się i współpracował z dyrektoriatem, a gdy ten padał, przeszedł do stronnictwa Bonapartego. Teraz młody Carnote próbuje udowodnić, że jest wierny, a w każdym razie wierniejszy od ojca, który zmieniał strony jak rękawiczki. Nadgorliwością zyskał sobie wrogów w sztabie armii i pewnie dlatego otrzymał dowództwo nad tą misją. Carnote ma przy tym nieszczęście być na tyle domyślnym, że zdaje sobie z tego sprawę. Nie dziw się, Antoni, że jest ciągle zły.

– Łatwo wam mówić, hrabio, ale ja też jestem wściekły. Kapitan najpierw wyciągnął mnie z legii, gdzie miałem pod komendą całą baterię, potem dał dwie armatki, a teraz jeszcze lży. Na dodatek nie rozumiem, po co to wszystko! Nad Wisłą, tam jest prawdziwa wojna! Tam mógłbym się przydać, a nie w jakiejś obcej dziczy za kolejną bramą. Powiedzcie, panie hrabio, wiecie chociaż, co my tu robimy? – Wiem – odparł Potocki. – Ale was ta wiedza nie uraduje.



Wszystko zaczęło się na balu, który z okazji imienin cesarza wyprawiono w Luwrze. Zjechało nań wielu znacznych gości, choć brakło i Murata (który na czele armii włoskiej pozostał w Wiedniu), i Poniatowskiego (który walczył w nowej kampanii pod Warszawą). Przybyli też wszyscy profesorowie akademii: stadko Napoleona, jak mawiano o nich złośliwie, bo każdy żył z pensji, którą cesarz wypłacał ludziom nauki.

Bonaparte nie miał w zwyczaju zapominać o tych, którzy mu pomogli, więc po niezwykłym zwrocie, jaki dokonał się na polach pod Lipskiem, stał się gorącym propagatorem techniki.

Inżynierska pasja, jaką zawsze wykazywał, zmieniła się w obsesję, tym bardziej że druga miłość – wojna – zawiodła go i niemal zniszczyła. Dzień, w którym zadziałała pierwsza Brama Morthienowska, cesarz nazwał najszcześniejszym dniem swego życia i rozkazał natychmiast ogłosić świętem. Morthiene dostał tytuł księcia Burgundii, a na jego pogrzebie cesarz pierwszy szedł za trumną.

Odłamki chwały tego wynalazcy – strzaskanej przedwczesną śmiercią w eksplozji, która zrównała z ziemią pół akademii – starał się rozchwycić tłum uczniów i naśladowców. Często z dobrym skutkiem. Cesarska szkatuła otwierała się szeroko dla tych, którzy potrafili przedstawić jakieś odkrycie czy choćby techniczną ciekawostkę.

Bal imieninowy był ku temu doskonałą okazją, dlatego od pierwszych chwil Napoleona oblegli wynalazcy, hipnotyzerzy, wojskowi inżynierowie oraz szaleńcy, z których każdy przygotował dla cesarza Francuzów prezent. Liczba upominków i darczyńców była tak wielka, że aby udało się doprowadzić do końca oficjalną część spotkania, musiała interweniować gwardia. Potem zaś chętnych ustawiono wedle zasług, urodzenia i majątku. Doktor Le Fevre miał szczęście być jednym z pierwszych. Gdy zbliżył się do Napoleona swoim dziwnym, kolebiącym krokiem (powiadano, że doktor cierpi na ciężką chorobę stawów), wyciągnął zza pazuchy tubę z dokumentami. Książę Berthier podał je cesarzowi, a ten skłonił się Le Fevre'owi w podziękowaniu, po czym rzucił okiem na karty. Wyglądały, jakby osnuła je ciemna pajęczyna, ale po bliższym przyjrzeniu okazywało się, że to prowadzone cieniutką linią litery oraz szkice doktora.

Choć przybocznicy cesarza zerkali mu przez ramię, żaden nie potrafił zrozumieć, co jest na karcie. Cesarz jednak najwyraźniej nie miał z tym problemów – wprost przeciwnie, był tak zaabsorbowany, że marszałek Ney pozwolił sobie zauważyć, iż cesarz sprawia wrażenie, jakby lustrował wojskowe mapy.

– I te nastawy działają, mój drogi doktorze? – spytał po chwili Bonaparte, podnosząc wzrok znad kart.



– Tak, sir. Choć przyznam, że się tego nie spodziewaliśmy. Wszelako ostatnia karta to raport panów Dubier i La Souri – geografa i zoologa, których pozwoliłem sobie posłać na rekonesans. Spędzili po drugiej stronie niemal tydzień.

– Naprawdę widzieli tam jednorożce? – spytał z niedowierzaniem cesarz. – Jednorożce, a nawet smoki! – odparł Le Fevre.

Niebieskomundurowy zagajnik wokół cesarza zaszumiał, jakby dmuchnął weń wiatr.

– Smoki? Wybornie! – Napoleon roześmiał się, by zamaskować konsternację. – To muszą być piękne zwierzęta!

I tak sprawa by się skończyła, gdyby nie czujne ucho księcia Ludwika Kickiego, które złowiło powyższe słowa. Kicki nie opuszczał na krok świty Bonapartego, zawsze gorliwie wypatrując sposobności, by przypomnieć mu o sprawie polskiej.

Wschodnia część kraju wciąż była zajęta przez wojska cara. Prawie co roku jego generałowie próbowali zdławić młode królestwo, choć nie raz i nie dwa skończyło się to rzezią rosyjskich wojsk. Święta Ruś była jednak wielka i ludna – zgromadzenie nowej armii nie nastęczało trudności. Napoleon zaś, zwróciwszy oczy ku Nowej Europie i cudom francuskiej nauki, nie chciał wielkiej wojny z Rosją. W starym świecie trzymał tylko tyle wojsk, ile było konieczne do obrony granic cesarstwa, stąd Polacy musieli sami radzić sobie z zakusami Aleksandra. Król Józef I zgodził się zapłacić tę cenę za niepodległy kraj. Wciąż jednak ludzono się, że zagrożenie ze strony cara da się oddalić raz na zawsze, jeśli tylko cesarz zdecyduje się wystąpić przeciw Rosji całą potęgą.

Nic przeto dziwnego, że na dworze działały stale dwie, trzy polskie koterie, które starały się wpłynąć to na cesarza, to na jego otoczenie. Kicki, przebywając najbliżej władcy, był szczególnie aktywny – choć złośliwi powiadali, że nie z patriotyzmu, ale po to, by nie rozzłościć rodaków. Tak czy inaczej, ledwie małe drgnięcie cesarskiej brwi, wywołane przez słowo "smoki", wystarczyło Kickiemu, by usnuć wielki plan. Już następnego dnia

przedstawił go w sztabie armii, a dwa dni potem zbierał ludzi gotowych udać się na ważną, polityczną misję. Łowy na smoka, który miał stać się ozdobą paryskiego ogrodu zoologicznego.



Kraina okazała się półdzika i słabo zaludniona – na dodatek starała się uporczywie przegnać batalion. Tak jak ropa próbuje wypłukać z rany drzazgę, tak zacinająca ulewa i huraganowy wiatr usiłowały wypchnąć gości z powrotem za bramę. Carnote martwił się, bo choć schwytano jednego łuczника, którego przesłuchała zaraz Czarnogłówka, to mapa narysowana z jego pomocą zdawała się bezużyteczna. Potockiemu zaś nie dawał spokoju fakt, że karabiny jego grenadierów były całkiem mokre, a wiele pak z prochem okazało się nieszczelnych i nasiąkło wodą.

Czwartego dnia podróży przed wyprawą wyrósł zameczek, u stóp którego leżała malutka, uboga wieś. Carnote rozstawił batalion przy krawędzi lasu i rozkazał atakować, ale gdy tylko żołnierze debuszowali, mieszkańcy osady pierzchli, wraz z załogą fortecy. Widać wieści o dziwnych wojownikach szły szybciej niż oni, obarczeni ekwipunkiem i grzęznącymi w błocie wozami.

Zbadawszy opuszczone budowle, kapitan dał rozkaz do dalszego marszu. Kolumna wkroczyła na dość szeroki, niezłe utrzymany trakt. Humory dopisywały, bo nie dość, że po raz pierwszy od dawna zaświeciło słońce, to jeszcze droga była znacznie łatwiejsza niż przez lesiste bezdroża. Tylko Potocki zdawał się zafrasowany. Tarł co chwila kostropaty nos i mrucał coś; dla idących wokół grenadierów było to zwykłe mamrotanie syfilityka, lecz kanonier Świeradowski, który znał dobrze hrabiego, zbliżył się i spytał: – I cóż tak dumacie, poruczniku Potocki?

– Myślę sobie o tym, co właśnie robimy, i mam złe przeczucia. Pamiętasz, jak kapitanowi zaświeciły się oczy, gdy usłyszał, że dzikusy spod bramy były niewolnikami? Powiedz mi też, dlaczego, szukając smoka, kierujemy się do serca tej krainy, choć

na zdrowy rozsądek powinniśmy krążyć gdzieś po ostępach?

– Może ten smok pod stolicą siedzi i zjada dziewice?

– Tak, a wampiry piją krew – zadrwił Potocki. – Żyjesz w epoce rozumu, kanonierze. Czas myśleć jak francuscy doktorowie. Smok to przecie jeno wielki gad. Nic mu po miastach, prędzej już na wsi by się jaki uchował. – Więc co może planować monsieur Carnote?

– Jeszcze nie wiem, mam tylko przeczucia, drogi Antoni...

Chciał coś dodać, ale dźwięczny, srebrzysty śmiech kobiety przeszył na wylot jego ponure myśli. Potocki obrócił głowę. To Czarnogłówka szła właśnie między dwoma grenadierami, trzymając każdego pod ramię. Żartowała z nimi, a jej krótkie, ciemne loki tańczyły, podskakując w takt śmiechu. Żołnierze, wyraźnie zażenowani, patrzyli, czy w okolicy nie ma sierżanta. Widać było, że dziewczyna próbuje namówić ich na wypad w zarośla z boku gościńca.

– Hańba i sromota, panie hrabio. – Świeradowski splunął na ziemię. – Nie wiem, dlaczego to młode dziewczę puszcza się, jak panienki z **maison de rendez -vous**. Nie ma dnia, żeby nie sparzyła się z jakim strzelcem. Nie rozumiem, na Boga.

Potocki potrząsnął głową, bo nazwa "dom spotkań" utoczyła z wnętrza jego schorowanego mózgu kaskadę kolorowych, przyjemnych wspomnień. Potem rzekł sucho:

– Obręcz Farii.

– Co, panie hrabio?

– Obręcz, kanonierze. Dzięki niej Czarnogłówka i inne dziewczęta, które urodziły się z talentem czytania myśli, mnożą swą moc ponad stokrotnie.

– To wiem, ale...

– A teraz wyobraź sobie, Antoni, że przy cielesnym obcowaniu czujesz nie tylko swą przyjemność, ale i całą przyjemność drugiej osoby. Lub nawet dwóch czy trzech innych osób, jeśli taka twoja wola. Nic dziwnego, że dziewczęta z obręczą szybko popadają w

uzależnienie, a potem wymyślają rzeczy, o których by się tobie nie śniło, drogi przyjacielu.

Stary kanonier, słysząc to, poczerwieniał jak burak i otarł pot z czoła.

– Czarnogłówka... – zaczął Potocki, ale urwał zaraz.

Kanonier czekał cierpliwie, aż hrabia podejmie wątek. Wiedział, że w miarę postępów choroby coraz częściej zdarza mu się zapominać w pół słowa, o czym właściwie mówił. Gdy jednak dalsza część zdania nie nadeszła po dłuższej chwili, Antoni spytał: – Co z Czarnogłówką, hrabio?

– Nic, nic. Po prostu wpadła mi do głowy pewna myśl.

Marsz trwał do późnego wieczora. Gdy pluton dragonów znalazł odpowiednie miejsce, Carnote nakazał rozbić obóz. W zamieszaniu, wśród rozładowywanych wozów i rosnących w górę namiotów, Potocki wyszukał Czarnogłówkę. Rozmawiali jakiś czas, żywo gestykulując, aż w końcu dziewczyna przytaknęła i oddaliła się w stronę namiotu kapitana.

Następnego dnia hrabia przyłapał ją o świcie, gdy zmierzała do pobliskiego strumienia. Tylko jeden, zaspany wartownik widział, jak Czarnogłówka zwymyślała hrabiego, a potem uciekła, on zaś stał z głupią miną jeszcze długo, jakby nie rozumiał, co się właśnie wydarzyło. Dla wartownika było to jasne: ot, stary syfilityk, chciał poużywać sobie z młódką, a ta go odrzuciła.

Nie mógł wiedzieć, że przed jego oczyma rozegrał się pierwszy akt tragedii, która miała pochłonąć jego życie oraz życie większości batalionu.



Minął tydzień. Wyprawa dotarła głęboko do serca królestwa, walcząc tylko raz – ze stuosobową zbieraniną prostego żołnierstwa, wyposażonego w miecze i topory oraz żelazne kolczugi. Wróg rozpierzchnął się po kilku celnych salwach, a dowódcy batalionu nabrali pewności, że najcięższa bitwa tej

kampanii została wygrana pod bramą.

Tym razem udało się schwytać paru jeńców. Czarnogłówka, dzięki obręczy, dowiedziała się, że są to królewscy gwardziści, a stolica, w której skrył się władca, leży niedaleko. Droga do niej stała otworem, bo baronowie z dalekich prowincji nie zdążyli nadciągnąć z posiłkami. Carnote nie potrzebował dalszych zachęt. Nakazał forsowny marsz w kierunku miasta.

Okazało się ono cudem, na widok którego nawet paryżanie przecierali ze zdziwienia oczy, Potocki zaś poważnie zwątpił w resztki swojej przytomności. Oto bowiem stolica wznosiła się na dużym stoku, który kończył się klifem omywanym wodami jeziora. Podróżnika witała dzięki temu cała perspektywa pochyłego miasta, włącznie z placami i uliczkami, widziana jak na pruskich rycinach. Największe wrażenie robił jednak królewski zamek. Tak nieprzystępnej fortecy nie spotkał żaden z cesarskich żołnierzy – zbudowano ją na skalistej szpicie, wyłaniającej się z wody nieopodal klifu, a z miastem połączonej za pomocą kamiennego mostu. Tylko Świeradowski patrzył na miasto bez emocji. Pykając leniwie fajkę, oznajmił, że jedna dobra mina tuż nad linią wody mogłaby zwalić iglicę wraz z zamkiem w odmęty jeziora. Potocki jednak wiedział, że taka architektura mogła powstać tylko dzięki siłom nadprzyrodzonym. Z nimi zaś wolał nie walczyć, używając prochowych min.

Wkrótce z miasta wyjechało im na spotkanie kilkunastu jeźdźców – rycerzy we wspaniałych zbrojach, ale mających przerażone twarze – którzy zaprosili Carnote'a na rozmowy z królem. Długo trwało ustalanie odpowiedniego miejsca, bo Francuz nie godził się wprowadzać batalionu do miasta, gdzie wróg mógł zaatakować strzelców w wąskich uliczkach. Obawa o własną skórę nie pozwalała mu zaś wjechać tam bez ochrony. W końcu zaaranżowano spotkanie wewnątrz bastionu, który górował ponad główną bramą miasta.

Postać władcy okazała się nieprzyjemnym kontrastem dla urody stolicy. Był niski, gruby, o chytrym wyrazie twarzy i dłoniach jak u rzeźnika. Rozmowy trwały długo, ale prowadzono

je nie tylko za pośrednictwem Czarnogłówki. Władca przywiódł ze sobą kilku nadwornych czarodziejów. Patrzyli na dziewczynę jak na wcielonego demona, bo sami z trudem dokonywali tego, co Czarnogłówka robiła bez problemu. Pięciu magów -tłumaczy kolejno odeszło od stołu rokowań zamęczonych prawie na śmierć, a wychowanka Farii zdążyła w tym czasie tylko lekko się zaczerwienić. Pracy było dla tłumaczy pod dostatkiem, bo król okazał się nad wyraz sprytny i ostrożny. Bardzo dokładnie wypytał Carnote'a o "magiczny sposób", dzięki któremu przybyli do jego królestwa, o intencje i plany. Próbował nawet wykorzystać cesarski batalion do walki z własnymi wrogami. W końcu jednak przyjął do wiadomości, że sprawa dotyczy nie jego, czy też tronu, lecz tylko smoka. Zgodził się przydzielić wyprawie własnych przewodników, którzy mieli poprowadzić batalion w góry, gdzie grasowały te wielkie zwierzęta. Kapitan Carnote w zamian sprezentował władcy trzy rusznice z prochem i oprzyrządowaniem. Na tym oficjalna część dobiegła końca.

Potem, gdy rozpoczęto sutą ucztę, Potocki namówił zmęczoną już Czarnogłówkę, by poszperała dyskretnie w myślach dworzan. Dowiedział się tym sposobem, że władca to uzurpator, który własnoręcznie udusił króla z poprzedniej dynastii. Nie było to jednak dla tuziemców nic nowego, bo i poprzednia dynastia wywodziła się od pewnego buntowniczego generała. Nerwowość i podejrzliwość króla stały się dla Potockiego zrozumiałe, tym bardziej że spiskowali już przeciw niemu magnaci z prowincji. Po powrocie z uczy hrabia przykazał swoim grenadierom, by pozostali nadzwyczaj czujni. Francuzi tymczasem zmniejszyli warty i poluzowali obozowy rygor, ugoda z władcą była dla nich bowiem wystarczającym gwarantem bezpieczeństwa.

Minęły kolejne trzy dni, ale w tym czasie wyprawa nie ruszyła się ani o krok spod murów stolicy. Potocki z początku przyjął to radośnie, bo odnowiła mu się rana na łydce (jątrząca się z powodu choroby). Wkrótce jednak zaczął się niecierpliwić, tym bardziej że Czarnogłówka, w eskorcie paru ludzi i lokalnych czarodziejów, chodziła co chwila do miasta. Po powrocie zdawała Carnote'owi długie raporty o wszystkich aspektach tutejszego życia, o władcy i jego dworze. Potocki jął się tym

poważnie niepokoić. Wkrótce jednak obawy ustąpiły, ponieważ batalion znów ruszył na szlak. Celem były skaliste wzgórza, oddalone od stolicy o ponad dwa tygodnie drogi. Tam właśnie, jak zapewniali królewscy czarodzieje, najłatwiej spotkać smoka.

Wojsko szło w dobrym nastroju. Teraz, gdy wyprawa miała wsparcie lokalnego króla, pozostawało jedynie schwytać zwierzę i wracać do Francji – po sławę, zaszczyty. I tylko mieszkańcy mijanych wiosek patrzyli dziwnie na obcych, gdy dowiadywali się, że wyprawa ma złapać smoka. Potockiemu ów wzrok do złudzenia przypominał spojrzenia, jakimi ciekawski lud Paryża odprowadzał skazanych na gilotynę.



– Prawy pluton, równaj w dwuszeregu do ściany... Cel!

Wyduświwszy rozkaz, Carnote przetarł osmoloną twarz – dłoń zerwała mu przy tym płat skóry z policzka. Potem zatoczył się i zwymiotował. Odór spalonych trupów był tak intensywny, że kapitan czuł na języku ich smak.

– Lewy pluton, wstawać! – padł z za dymu rozkaz któregoś z poruczników. – Lewy, wstawać!

Z dalszych miejsc wykrzyczano jeszcze dwa czy trzy rozkazy, a potem wiatr zaczął powoli przerzedzać ciężki dym. Wkrótce czarna kurtyna podniosła się, ukazując batalion uszykowany w czworobok – taki na polach bitwy formowano tylko w obliczu przeważających sił wroga. Na dodatek czworobok był krzywy, porwany skalnymi ścianami i mrowiem narzutowych głazów. W jego środku stały dwa wozy, głośnie rzenie przerażonych koni odbijało się echem wśród okolicznych skał.

Żołnierze oddychali ciężko po niedawnym biegu. Krew kołatała im w skroniach, a dłonie ściskające karabiny drżały. Patrzyli w pas nieba tuż nad granicą skał, gdzie spodziewali się lada chwila dostrzec kształt smoka. Bezwzględny zabójca, który przegnał ich z serca górskiego labiryntu. Wokół, wśród głębokich wąwozów, dymiły sterty trupów, owiewając pozostałych przy życiu odorem śmierci.

Polowanie zakończyło się katastrofą. Zresztą Le Fevre przepowiadał to, gdy kapitan Carnote, znudzony wielodniowym czatowaniem na polach pod wzgórzami, zdecydował się wejść pomiędzy skały. Plan wydawał się niezły – batalion rozbity na pojedyncze, ubezpieczające się wzajemnie plutony, miał systematycznie przeczesać wąwozy i znaleźć leże bestii. Potem zostawało tylko złapać ją we śnie. Gdyby to okazało się niemożliwe, zawsze można było zasypać potwora karabinowym ogniem, a do Francji przywieźć jego wypchane truchło. Wyglądało więc na to, że niemal pół tysiąca strzelców nie da bestii żadnych szans.

Niestety, smok okazał się znacznie sprytniejszy od każdego zwierzęcia czy człowieka. Carnote nie mógł wiedzieć, że przeciw jego batalionowi staje stara smoczyca. Przeżyła ona już trzech kolejnych samców, a pamięcią sięgała dalej niż kroniki najstarszych królestw tego świata.

Zaatakowała, gdy plutony rozdzieliły się, wchodząc do kilku głębokich wąwozów. Nie spadła z nieba, jak atakowały młode, niedoświadczone smoki. Zamiast tego upodobniła kolor łusek do szarych skał i czatowała, przyklejona do jednej z turni. Oderwała się, gdy oddział był tuż pod nią, i załapała go falą ognia. W ciągu sekundy kilkudziesięciu strzelców z zielonych pól Normandii zostało zmienionych w popiół. Smok zaś przeszybował tuż nad granią do sąsiedniego jaru, nim musnęła go choć jedna kula. Chwilę potem uderzył znów. Piekło, jakie rozpętało się za jego przyczyną, było straszniejsze niż wszystkie pola bitwy, jakie widział Potocki. Żar, którym ziała smok, niemal topił kamienie, oślepiał i parzył ludzi odległych nawet o kilkadziesiąt metrów. Sucha trawa zaraz zajęła się ogniem, a dym nie miał gdzie ulecieć, dusząc ludzi pod grubym, szarym całunem. Na dodatek żołnierze zaczęli strzelać na ślepo i wielu zginęło od kul własnych towarzyszy. Carnote całkiem się pogubił i tylko dzięki podoficerom, którzy zaraz przejęli inicjatywę, batalion uniknął rzezi. Dowódcy plutonów i eszelonów wycofali ludzi z piekła, by na otwartej przestrzeni uszykować się do obrony. Potocki biegał jak szalony wśród dymu i ognia, by znaleźć każdy ze swoich pododdziałów i wskazać mu drogę ucieczki. Uratowano też wozy,



na których jechała wielka żelazna klatka i ostatnia armata oddziału.

Tymczasem chwile dłużyły się w nieskończoność. Dym podniósł się, szeregi przeładowały broń. Smok jednak się nie pojawił. – Uciekł? – spytał w końcu Czarnogłówkę Le Fevre. – Czujesz jego obecność?

– Taa -aak – załkała dziewczyna. – Jest tutaj, gdzieś blisko. Boję się, doktorze. Ona jest taka straszna. Tak nas nienawidzi... Zabije, zabije nas wszystkich.

– Ucisz tę histeryczkę! – krzyknął zaraz Carnote. – Teraz smok nic już nam nie robi.

Nastąpiła kolejna długa chwila milczenia i niepewności. Potocki podszedł ostrożnie do Carnote'a, wciąż mierząc w niebo z obu pistoletów.

– Kapitanie, obawiam się, że jesteśmy w bardzo złej sytuacji – szepnął mu na ucho.

– Wybaczcie, panie hrabio, ale zdaje mi się, że wam pomieszało zmysły. Jeśli ta bestia spróbuje wystawić łeb zza skał, zaraz go odstrzelimy.

– Ale smok tego nie robi, kapitanie. Proszę posłuchać, w młodości uczył mnie polowania stary łowczy ojca, który miał na nogach blizny od wilczych kłów. Kiedyś, zimą, zaatakowała go wataha. Poraniony, ostatkiem sił wspiął się na drzewo. Był bezpieczny, ale zwierzęta nie odstępowały od pnia przez niemal dwa dni. Cudem nie zamarł, nim nadeszła pomoc... – Potocki, co mi tu bredzicie o wilkach? Przecież...

– Sir. Jeśli zwykły wilk może czekać na ofiarę kilka dni, to proszę pomyśleć, jak cierpliwy może być smok, który przecież, wedle tutejszych, potrafi żyć i dwa tysiące lat. Proszę spojrzeć – jesteśmy na dobrej pozycji, ale otaczają nas wąwozy. Jeśli spróbujemy przez nie wrócić, gad znów nas dopadnie.

– **Merde!** Teraz ludzie będą ostrożniejsi. Dadzą ognia, jak tylko go zobaczą.

– Już raz wziął nas z zaskoczenia, kapitanie.

– Więc proponuje pan inne wyjście?

Hrabia Potocki prześlizgnął się wzrokiem po kamiennych ścianach, grotach, wąwozach i skalnych łukach.

– Tak – odparł w końcu. – Ale jeśli się nie uda, to będzie nasz ostatni błąd.



Czarnogłówka z trudem dała się namówić do współpracy. Była blada i roztrzęsiona, jakby sama obecność smoka odebrała jej wszystkie siły. Potocki nie chciał się nawet domyślać, jak straszny musiał być dla niej kontakt z umysłem wiekowej, potężnej bestii. Na całe szczęście, dziewczyna zachowała tyle mocy, by okazać się przydatną.

Stała, podtrzymywana przez doktora, i przymknęła oczy. Obręcz na jej czole rozjarzyła się błyskami jasnego etheru, żołnierze zaś wzdrygnęli się, gdy zaczął owiewać ich lekki wiatr. Ów podmuch przybrał szybko na sile. Okręzał cały, najeżony lufami czworobok, unosząc w powietrze pył i popiół, które zaraz utworzyły roztańczony kłęb wokół szeregów. Pod jego osłoną zabrzmiały rozkazy i rzenie koni. Świeradowski zabrał się z artylerzystami do wytężonej pracy, a w tym czasie żołnierze trzymali palce na spustach, gotowi dać ognia, jeśli tylko w kłębach dymu pojawi się sylwetka gada. Nim jednak to się stało, Potocki był już gotowy. – Wio! – krzyknął.

Kryty wóz wystrzelił spomiędzy szeregów, za nim pobiegły dwa plutony grenadierów. Grupa przedarła się przez burzę i zanurzyła w jeden z wąwozów – najgłębszy i najciemniejszy, po chwili zmieniający się w długi, wydrążony w skale tunel. Wóz wpadł tam, za nim ludzie z bronią wymierzoną w okrąg światła, który znaczył wyjście po drugiej stronie skalnego grzbietu.

Gdy wóz z ochroną znalazł się przed wyjściem, ogromny kształt spłynął na ziemię, przesłaniając żołnierzom światło. Na krótką chwilę serce Potockiego zamarło, gdy zobaczył po raz pierwszy każdy szczegół ogromnego ciała smoka. Łuski, które je pokrywały, mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Potężny gadzi

pysk był zarazem straszny i piękny w swej idealnej symetrii. Zdobila go korona kościanych płytek i rogów.

Wszystko to hrabia ujrzał w jednym mgnieniu oka, bo smok, nim jeszcze osiadł całkiem na ziemi, wziął wdech. Potocki dostrzegł, że coś złowieszczo żarzy się w jego przepastnej gardzieli. Padł jeden czy dwa strzały, ale większość żołnierzy nie poderwała jeszcze broni. Hrabia przymknął odruchowo powieki.

W tym momencie opadło płótno z przodu wozu, ukazując żelazną lufę działa. Dłoń kanoniera Świeradowskiego trzymała knot ćwierć palca od panewki.

Potocki zamarł. Wiedział wcześniej, że jeśli oddzieli się od grupy i odsłonią, potwór zaatakuje. Nie był jednak pewien, czy działo będzie szybsze od jego zionięcia. Czy bestia zrozumie, że jeśli spróbuje drgnąć, to zginie? Czy rzeczywiście jest tak mądry jak człowiek?

Bestia tymczasem zamknęła pysk, zrobiła krok w tył i zatoczyła się, jakby z trudem powstrzymując ognisty tajfun, który już rodził się w jej trzewiach. Potem skamieniała.

Długą chwilę patrzyli na siebie – smok i trójfuntówka, trójfuntówka i smok; jego czerwona paszcza naprzeciw jej czarnego oka. Dłoń kanoniera nie drgnęła nawet, knot dymił tuż nad panewką. Smok mierzył ją wzrokiem, jakby oceniał, czy ma szansę zionąć, nim działo wystrzeli i z bliskiej odległości pośle w jego pierś kilka funtów ostrego żelastwa. Kanonier mierzył wzrokiem smoka, zastanawiając się, do jak niezwykłej szybkości zdolne jest to zwierzę. I wreszcie – po chwili, która zdawała się wiecznością – smok opuścił łeb i usiadł na ziemi, tkwiąc bez ruchu pod lufą działa. Żołnierze krzyknęli z radości, a jeden pobiegł zaraz, by wezwać resztę batalionu.

Potockiemu zdawało się, że słyszy w głowie dziwny, kobiecy chichot. Zignorował go jednak, pewien, że to słaby od choroby umysł płata mu figle.



Transport smoka okazał się dość uciążliwy. Klatki musiało

strzec w dzień i w nocy kilku żołnierzy z nabitą bronią, bo nie ulegało wątpliwości, że smok zostawiony samemu sobie zaraz przetopiłby lub rozerwał pręty. Na dodatek problemy sprawiała Czarnogłówka, która wpadała w histerię, kiedykolwiek znalazła się blisko klatki. Kilka innych osób także narzekało na dziwne omamy, jakich podobno doznawali nieopodal gada.

Jednakże mimo problemów podróż płynęła szybko, a z każdą przemaszerowano milą żołnierze zostawiali za sobą coraz dalej przygnębienie, jakie jeszcze niedawno panowało z powodu strat. Nim dotarli do stolicy, ślady smoczej grozy i ciężkiej bitwy dawno znikły z ich twarzy. W zamian pojawiły się dumne miny tryumfatorów.

Tubylcy patrzyli na smoka w klatce z niezwykłym zdumieniem. Choć ten i ów spostrzegł, że obcych wojowników wróciło mniej, niż wyjechało, to przybysze zyskali wśród mieszkańców krainy jeszcze większy respekt. Nawet król musiał ugiąć się pod presją ludu i zgodził się wpuścić batalion do stolicy, by tam smok został wystawiony na jeden dzień pośrodku głównego placu. Potrzeba było aż czterech plutonów, by osłaniać klatkę przed ciekawską tłuszcą. Smok znosił miotane w swą stronę obelgi z niezwykłym spokojem.

Już następnego ranka podoficerowie przygotowali batalion do drogi ku bramie, ale – ku ich zdziwieniu – Carnote rozkazał, by zostać w mieście dłużej. Razem z Czarnogłówką i adiutantami chodził do pałacu na prywatne rozmowy. W końcu wymógł na władcy, by ten ugościł cały batalion w zamku, na pożegnalnej uczcie. Tłumaczył swoim, że bardzo chce zbadać cuda tutejszego budownictwa, by opisać je Napoleonowi.

Już sama miłość, jaką Carnote nagle poczuł do tutejszej architektury, powinna zdziwić Potockiego. Na dodatek przed uroczystością zaczęły się dziać dziwne rzeczy – Czarnogłówka gdzieś znikła na całe dnie, szpiedzy wkradali się do miasta, sierżanci zabrali się znowu do drylowania plutonów. Niestety, hrabia przeoczył to wszystko, bo leżał zmożony chorobą. Znowu dopadła go gorączka, która zelżała nieco, przy usilnych staraniach Le Fe vre'a, dopiero w przeddzień biesiady.

Potocki mógł więc wziąć udział w celebracjach. Niestety, z powodu bólu i maligny, która tłumiała mu wszystkie zmysły, z całej drogi przez miasto zapamiętał tylko niezwykle wrażenie, jakie wywarł na nim zamkowy most, rozpięty na otchłanią.

Potem była uroczystość, która skończyła się już przy pierwszym toaście. Carnote wzniósł go bowiem za pomyślność tego kraju, a potem jednym płynnym ruchem wyciągnął z pasa pistolet i wypalił zdziwionemu królowi prosto w twarz. Potocki patrzył niczym zahipnotyzowany, jak inni oficerowie, którzy byli na sali, z imieniem cesarza na ustach zrywają się, by dać ognia w stronę przybocznej straży. Dwóch czy trzech królewskich czarodziejów próbowało włączyć się do walki, ale zaraz padli, trzęsąc się jak epileptycy. To Czarnogłówka, ukryta gdzieś w ciemnym kącie sali, zaczęła działać.

Walka skończyła się gwałtownie, jak krzyk spadającego. Gdy wszyscy obrońcy króla byli już martwi, a żołnierze wydali z siebie gromki wiwat, Potocki podniósł się chwiejnie i przedarł przez prochowy dym do Carnote'a.

– Oszaaleliście, kapitanie?! – krzyknął. – Co to ma znaczyć?!

– Wielki dzień, monsieur Potocki. Lud tego kraju żył w ucisku tyrana, a my przyniesiemy im światło z Nowej Europy. Dostaną konstytucję, kodeks Napoleona, na tronie zaś cesarz Francuzów osadzi kogoś stosownego.

Potocki spojrzął z wściekłością pod ścianę sali, gdzie znoszono już rannych i zabitych w krótkiej walce.

– Do stu diabłów! – ryknął – Mieliliśmy tylko schwytać smoka, a nie marnować życie ludzi w głupiej rewolucji!

– Tu idzie o społeczną sprawiedliwość, hrabio. Ale wy, Polacy, tego nie zrozumiecie.

– Carnote! Sprawiedliwość nie ma nic do tego. Chcesz popisać się gorliwością, a przez siebie...

Kapitan spiorunował hrabiego wzrokiem.

– Uważaj, Potocki. Masz gorączkę i bredzisz, więc ujdzie ci to na sucho, ale lepiej zejdz mi z oczu. Poruczniku Becour? – Tak?

– Proszę odprowadzić hrabiego do namiotu. Bardzo źle się poczuł.

– Tak jest!

Potocki, choć czerwony ze złości, nie oponował. Gorączka odebrała mu wiele sił. Dał wyprowadzić się z sali i odeskortować przez miasto, którego mieszkańcy patrzyli w przerażeniu, jak plutony strzelców zajmują wszystkie ważne budynki i skrzyżowania. Smok także to obserwował – ze swojej klatki w podmiejskim obozie. Strażnicy, którzy zostali przy zwierzęciu, nie mogli pozbyć się wrażenia, że jego zębaty pysk wygiął się lekko, jakby w parodii ludzkiego uśmiechu.



Po kuble zimnej wody, jakim był niespodziewany zwrot wydarzeń, Potocki zaczął szybko przytomnieć i wracać do zdrowia. Tymczasem batalion rozlokował się na miejskich murach i w zamku, Carnote zaś wymusił posłuszeństwo na lokalnej straży i tych czarodziejach, którzy jeszcze żyli. Niepokornych lub niebezpiecznych magnatów posłano od razu na szafot, co wprawilo w przerażenie lud, dla którego masowe egzekucje szlachty były nie do pomyślenia.

Wkrótce kapitan wytrzasnął skądś tymczasowego władcę. Jego ludzie dotarli do dalekiego potomka poprzedniej dynastii, którego zaraz osadzono na tronie, lecz nie z tytułem króla, ale gubernatora. Marionetkowy władca, szczęśliwy z odzyskania królestwa, wydał kilka proklamacji do ludu i zaczął powoli wprowadzać reformy, które Carnote z doktorem Le Fevre'em praktycznie dyktowali mu punkt po punkcie.

Władza nad stolicą nie oznaczała jednak panowania nad krajem. Wkrótce stało się jasne, że Carnote popełnił w kalkulacjach jeden błąd. Nie wziął pod uwagę faktu, że choć ludzie tych ziem z pokorą znosili królobójstwa i nowe dynastie, to kolejni władcy zawsze wywodzili się z lokalnej szlachty. Obcy najeźdźcy oraz ich rząd wywołali w prowincjach nieopisaną wściekłość. Wkrótce do świeżo mianowanego gubernatora doszły

wieści, że szlachta rekrutuje wielką armię i zamierza ruszyć na stolicę. Carnote, mając w pamięci dwie wygrane bitwy z tubylcami, śmiał się tylko z tych zapewnień. Podoficerowie jednak nie byli już tak butni – batalion stracił prawie dwieście osób, a także jedno działo i większość zapasów prochu. Niektórzy próbowali namówić kapitana do powrotu za bramę, ale on nie chciał o tym słyszeć. Postanowił czekać w stolicy na wojska rebeliantów, by jeszcze jednym, wspaniałym zwycięstwem w imię cesarza utrwalić nową władzę.

Oficerowie batalionu zabrali się do fortyfikowania miasta i przygotowań do obrony. Pracował i Potocki, choć z dnia na dzień umysł coraz bardziej mu szwankował. Hrabia często omdlewał czy cierpiał na omamy, w nocy zaś nawiedzał go wciąż ten sam sen: piękna, złotowłosa dziewczyna szeptała mu słowa, których nie pamiętał po przebudzeniu.

W jakiś sposób wiedział, że dziewczyna nazywa się Istagher.



Obrona pękła szybciej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Żołnierze zbuntowanych magnatów zaatakowali mury z trzech stron, gdy tylko słońce zaczęło wstawać ponad falami jeziora. W ciągu kilku chwil przystawili do ścian tyle drabin, że rozproszone po blankach grupy strzelców nie zdołały powstrzymać nawałnicy ogniem karabinów. Nastąpił pospieszny odwrót, podczas którego jeden czy dwa plutony uwięzły w bastionach i na barbakanie. Wkrótce wroży żołnierze wyrznęli ich do nogi. Pocięte mieczami, poszatkiwane toporami ciała nawlekano na włócznie i niesiono dalej do ataku, jako upiorną wiadomość dla reszty obrońców.

Potem były barykady. Tu eszelony, uszykowane w dwuszereg, broniły się dłużej. Wąskie uliczki miasta nie sprzyjały atakującym. Jedna salwa potrafiła ich zmieszać i zatrzymać za murem z drgających ciał. Jednakże lud stolicy, o którego wierności gubernator zapewniał Carnote'a, zdradził. Mieszczanie pokazywali atakującym drogi przez podwórka i boczne ulice.

Sieć wzajemnie ubezpieczających się barykad, którą tak sprytnie naniósł na siatkę ulic Świeradowski, zaczęła się rozsypywać.

W tej sytuacji batalion wycofał się do zamku. Carnote ustawił ludzi na placyku za mostem. Cudem uratowane z pogromu działo zajęło centralną pozycję. Wkrótce na placyk po drugiej stronie wylały się gęste szeregi wroga. Piechota nie ruszała jednak do ataku, choć wyborowi strzelcy, dzięki gwintowanym karabinom, raz po raz kładli kogoś trupem.

Wkrótce przyczyna zwłoki okazała się jasna. Na głównej ulicy co bystrzejsi żołnierze zaczęli dostrzegać błyski metalu. Dobiegał stamtąd chrzęst pancerzy i rżenie koni. To ciężkozbrojne rycerstwo – głównie synowie wielkiej szlachty i bogaci ziemianie – szykowało się do szarży przez most.

Gdy konna nawałnica uderzyła, Carnote nakazał wstrzymać ogień. Był na tyle doświadczonego oficerem, że wiedział, iż jego ludzie nie zdążą przeładować, nim wpadnie na nich wróg. Stąd chciał, by jedna salwa, którą mógł dać, miała największy efekt. Potocki patrzył jak zaczarowany na wspaniałe, srebrzyste pancerze i piękne wierzchowce rycerzy.

– Ognia! – krzyknął Carnote, gdy jeźdźcy byli już w połowie mostu.

Sekundę później cały batalion bluznął ogniem. Karabinowe strzały i armatnia salwa zlały się w jeden przeraźliwy huk, od którego z okolicznych domów posypały się dachówki. Efekt był przerażający: stłoczeni w wąskim gardle rycerze zostali dosłownie rozniesieni na strzępy. Carnote roześmiał się szaleńczo i pogroził buntownikom pięścią, ale chwilę potem grymas radości znikł z jego twarzy.

Samobójczy zryw rycerstwa okazał się tylko preludium ataku. Gdy nad mostem rozwiął się dym, a w słońcu błysnęła warstwa obryzanych krwią, podziurawionych pancerzy, kryjąca pod sobą warstwę drgających jeszcze w agonii koni, miasto rozbrzmiało donośnym głosem rogów. Zaraz potem z uliczek wokół mostu wymaszerowały równe kolumny piechoty.

– Ładować kartaczami, do stu diabłów! – ryknął co się



Świeradowski.

Jego artylerzyści natychmiast ocknęli się ze zdumienia i zabrali do pracy.

Nacierający znów stanęli naprzeciw deszczu ołowiu. Parli jednak dalej, mimo przeraźliwych strat. Były ich w końcu setki, a nienawiść do obcych wojowników zwyciężyła strach przed śmiercią. Wreszcie, gdy było już pewne, że most jest nie do utrzymania, Świeradowski dał znak saperom, którzy odpalili długie lonty. Chwilę potem wspaniały łuk wyleciał w powietrze, a ogromne kamienie i krzyżący ludzie zwalili się pospołu w odmęty jeziora. Ten desperacki krok odciął batalionowi drogę ucieczki. W zamian żołnierze dostali tylko kilka sekund wytchnienia, bo już wkrótce stała się rzecz niewyobrażalna. Na drugim brzegu, wśród szeregów wroga, zaczęły się pojawiać purpurowe szaty królewskich magów. Czarnogłówka pisnęła żałościwie, a zaraz potem luźne kamienie oraz bruk z placu uniosły się w powietrze, by po chwili uformować nad przepaścią niesamowity, pozbawiony podpór czy barierek pomost.

– Zabijcie ich! Zabijcie czarodziejów! – krzyczał Carnote.

Strzelcy wyborowi przyłożyli broń do oka. Niestety, oprócz magów na placu pojawiło się też kilka szeregów łuczników. Zaczęli szyc ponad mostem, osłaniając nowe natarcie piechoty. Grad strzał spadł na batalion, a podoficerowie musieli rozłamać szereg i wycofać swoich ludzi pod kamienne arkady, które otaczały plac z trzech stron. Świeradowski przemieścił baterię pod główną bramę pałacu.

Rozpoczęła się desperacka, chaotyczna wymiana ognia. Nie strzelano już salwami, a plac i most spowiły kłęby dymu. Strzelcy wyborowi z poświęceniem próbowali wyłuskać z tłumu czarodziejów, lecz przy tym sami narażali się na wrogie pociski. Wielu padło, nim zdążyło pociągnąć za cyngiel. Tymczasem każdy kolejny szturm piechoty docierał coraz dalej, zostawiając po sobie wał trupów, niczym ślad fali na piasku, który zaraz rozmywała jeszcze mocniejsza fala.

– Zabijcie magów, za wszelką cenę! – krzyczał Carnote.

Potocki nie potrafił nawet zliczyć, ilu ich stało po drugiej stronie mostu. Przynajmniej kilkanaście razy wypatrzył wśród mas piechoty jedwabisty błysk ich szat. Na dodatek wokół mostu i nad pałacem zaczęły rozbłyskiwać co chwila tajemne wiry oraz łuki energii. Nie czyniły jednak nikomu krzywdy, hrabia zaś nie miał czasu nad tym rozmyślać, pochłonięty przez mechaniczny trans nabijania, celowania, strzelania. Dopiero po długiej chwili zdał sobie sprawę, że do jego uszu dochodzi skądś wysoki, wibrujący pisk, który co jakiś czas wyłaniał się z zamętu niby srebrna, cieniutka nić, obszywająca ciemną i brudną kotarę bitewnych dźwięków.

– Czarnogłówka – jęknął hrabia, poznając nagle ów tembr.

Wypalił po raz ostatni, a potem pobiegł wzdłuż kolumnady, przy każdym filarze mijając grupę skulonych grenadierów.

Białą, wątłą postać Czarnogłówki wypatrzył w nawie. Dziewczyna klęczała rozkraczona, mięśnie miała tak ściśnięte, że było widać każdą żyłkę i każde ścięgno. Z zapadłej piersi dobywał się ów wibrujący pisk, który sprowadził tu Potockiego. Krew ciekła jej z nosa, a jedna, mała strużka rzeźbiła sobie właśnie drogę po boku szyi, wypływając z ucha. Obręcz Farii grzała się. Co jakiś czas błyskało na niej wyładowanie etheru, a skóra pod obręczą była czerwona od oparzeń.

Nad ciałem dziewczyny stał zgarbiony doktor Le Fevre, który wyglądał jak stary ksiądz przy łóżku konającego. Nie robił jednak nic, by pomóc.

Potocki nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak bardzo Czarnogłówka cierpi. Podbiegł i spróbował objąć ją ramieniem. – Nie dotykaj jej, hrabio! – krzyknął Le Fevre. – Jeśli ją wytrącisz z koncentracji, zginie w mgnieniu oka. Wszyscy zginiemy. – Co za bzdury gadasz, bakałarzu? – Głos Potockiego łamał się na widok cierpień dziewczyny.

– Mała powstrzymuje teraz wszystkich czarodziejów wroga. Dzięki obręczy potrafi zatrzymać ich magię. Gdyby nie jej umiejętności...

– Do diabła, przecież ona już tego długo nie wytrzyma!

– To wasz problem, poruczniku. Powiedziałem Carnote'owi, że trzeba pozbyć się magów. Jeśli czegoś nie zrobicie, przegramy. Potocki zaklął. Rzucił ostatnie spojrzenie na Czarnogłówkę, po czym ruszył wzdłuż lewej strony arkad, przez dym i sypiące się zewsząd strzały. Biegł do swojego eszelonu, by zerwać ludzi do kontrataku.

Tymczasem oddziały wrogiej piechoty i pikinierów wkroczyły się już na plac. Choć ich kolumny zatrzęśły się zaraz, niby macka ośmiornicy dźgnięta lancetem, gdy spadł na nie ogień z trzech stron, sytuacja stała się ponura.

Antosia rzygnęła znowu ogniem, a kolejny kartacz rozerwał się w tłumie.

– Ładować, jeśli wam życie miłe! – zagrział Świeradowski.

– Ale nie ma już kartaczy, sir – odparł mu młodziutki Francuz o spoconej, ciemnej od sadzy twarzy.

– To kulą w nich!

– Nie ma też kul, sir.

Świeradowski przygryzł wąsa. Pikinierzy szli prosto w jego stronę, a nieregularny ogień muszkietów nie był w stanie ich powstrzymać. Carnote'a nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

– Guziki! **Les boutons!** – krzyknął Świeradowski, zrywając z głowy rogatywkę.

Widząc zdziwienie artylerzystów, krzyknął jeszcze raz:

– Na Boga, guziki. Węcki, obetnijcie wszystkim guziki, sprzączki, orzelki. A wy, nicponie, nabijajcie!

Francuzi wciąż stali zdziwieni, ale dwóch polskich kanonierów zabrało się do roboty. Z bagnetami w dłoni szybko ogolili okolicznych żołnierzy ze wszystkich kawałków metalu, które pakowali garściami do lufy Antosi. Kilka chwil potem armatka strzeliła we wroga gradem odłamków. Grenadierskie guziki, na wpół stopione od eksplozji, przepalały się dosłownie przez kolczugi i tarcze. Kilkunastu piechurów padło, kilkunastu innych wiło się z bólu. Kolumna zmieszala się.

– Ładować! Ładować drugi raz! – ryknął kanonier, nie

czekając, aż wróg podejmie marsz.

Załoga działa rzuciła się do pracy, lecz wiadomo było, że mosiężnego drobiazgu wystarczy jeszcze najdalej na dwie salwy. Tymczasem Potocki dopadł swojego skrzydła. Tam jednak zobaczył widok żaloszny – mocno przetrzebieni żołnierze kulili się za filarami. Mało który dawał już ognia, reszcie zabrakło prochu i teraz czekali z założonymi bagnietami, aż wrogowie dotrą do ich kryjówek.

Hrabia zdał sobie sprawę, że tych wymizerowanych niedobitków nie poderwałyby do boju nawet sam Poniatowski. Tymczasem gdzieś z dala dochodziły wołania o pomoc Carnote'a, coraz słabsze piski Czarnogłówek oraz przekleństwa Świeradowskiego, który nie miał już czym strzelać. Hrabia zamarł, nie wiedząc, co ma teraz począć. Nagle usłyszał w głowie cichy, kobiecy głos:

"Brak nam czasu. Za chwilę królewscy złamią waszą obronę. Jestem ostatnią nadzieją, Piotrze Potocki! Chodź do mnie, uwolnij mnie!"

Hrabia potrząsnął głową, jakby próbował przegnać omamy.

"To ja, hrabio. Istagher. Znam cię dobrze, rozmawialiśmy w twoich snach. Wiem, że mi pomożesz. Czekam w lewym skrzydle. Wypuść mnie".

– Smok – szepnął Potocki. – Jesteś smokiem!

"Jestem twoją ostatnią nadzieją. Uwierz mi, hrabio. Chcę żyć, podobnie jak ty. Ludzie z tej krainy nienawidzą smoków, zamęczą mnie, jeśli wpadnę w ich ręce. Wypuść mnie, to jedyna szansa. Przysięgam ci, że potem wrócę do klatki. Przysięga to rzecz święta dla smoka".

Krew załomotała Potockiemu w skroniach. Nogi nagle mu zmiękły, niemal załamując się pod ciężarem ciała. Wiedział, że wkrótce umrze, lecz mimo to coś burzyło się w nim na myśl, że ma się to stać teraz – z rąk prymitywnych tuziemców. Lepiej już w paryskim rynsztoku, lepiej w lazarecie, w szpitalu dla

syfilityków... "Czas ucieka! Biegnij, hrabio! Mamy jeszcze szansę, ale musisz zdecydować teraz!"

Po drugiej stronie dziedzińca Czarnogłówka zawyła po raz ostatni i umilkła.  
"Teraz, hrabio. Decyduj!"

Potocki odetchnął głęboko, po czym odbił się od kolumny i ruszył pędem w stronę bocznej sali, gdzie smok czekał na wolność, zaciskając niecierpliwe łapy na prętach klatki.



Sąd polowy był krótki. Trybunał, złożony z Carnote'a, Le Fevre'a i porucznika Becoura uznał Potockiego za winnego zdrady i narażenia na śmierć całego batalionu. Na nic zdały się zapewnienia Świeradowskiego, że gdyby nie smok, bitwa o pałac skończyłaby się rzezią. Carnote był nieubłagany – Potocki złamał rozkaz, opuścił stanowisko, uwolnił bestię. Co prawda po zwycięstwie wróciła ona pokornie do klatki, ale przecież tego hrabia nie mógł wiedzieć, gdy ją wypuszczał.

W efekcie Potocki uniknął rozstrzelania dlatego, że Le Fevre wytłumaczył jego postępek czasowym zaćmieniem umysłu. Sprawą porucznika miał zająć się sąd w Paryżu, a do tego czasu zamknięto go w jednej z zapasowych klatek i trzymano tuż obok smoka, w dzień i w nocy pod czujnym okiem kilku strzelców z naładowanymi karabinami.

Batalion ruszył w drogę powrotną. Z przeszło czterystu ludzi przy życiu zostało raptem około stu, a wśród nich było wielu ciężko rannych. Jechali stłoczeni na wozach, leżąc niemal warstwami. Między nimi była i Czarnogłówka, która od bitwy nie otworzyła już oczu, pogrążona w malignie. Carnote najwyraźniej postradał zmysły, bo całymi dniami mamrotał coś do siebie, a dowództwo nad kolumną musieli przejąć porucznicy.

Kilka dni potem gubernator uciekł z dworu, razem z rodziną i przyboczną strażą. Nie czekał, aż zbuntowani baronowie znów podejną pod stolicę, schwytają go i rozwłóczą na dziedzińcu.

Uchodząc z miasta w ciemną, dżdżystą noc, przeklął po stokroć wodza dziwnych wojowników z innego świata, który do końca nie dał sobie wytłumaczyć, że lud krainy będzie posłuszny nowej władzy tylko tak długo, jak długo będzie miał nóż na gardle.

Tymczasem Potocki, z nudów i braku lepszych zajęć, godzinami obserwował smoka. Pewnego razu, gdy obudziwszy się, postanowił spojrzeć, co z towarzyszką niedoli, aż sapnął ze zdumienia. Smoczyca zmieniła się. Teraz w rogu klatki siedziało skulone złotowłose dziewczę o urodzie delikatnej jak pierwiosnek, okryte tylko skrawkiem płótna.

– Przemieniła się w nocy, panie Potocki – wyjaśnił mu zaraz jeden ze strażników. – Kilka godzin kurczyła się i jęczała, aż w końcu zostało z niej to. Przeklęta bestia, pewnie próbuje wziąć nas na litość.

Hrabia mówił sobie to samo, lecz magnetyczna uroda dziewczyny była silniejsza od rozumu. Tym bardziej że smoczyca przysunęła się do niego najbliżej, jak pozwalały zetknięte bokami klatki, tak że mógł podziwiać każdy cal jej białej szyi i drobnej twarzy. Wkrótce usłyszał w głowie znajomy głos: "Podobam ci się, hrabio? Mogę być twoja". Potocki aż mruknął ze złości.

"Nie musisz odpowiadać słowami. Wystarczy, że pomyślisz. Wiem, na przykład, co pomyślałeś teraz: że jestem podłym gadem, nieludzką bestią, że próbuję cię omamić, że wybiłam dużą część twojego batalionu, a moje ciało to tylko pułapka na głupich i zwykłe złudzenie. To jednak nie magia, hrabio. Ja wyglądam tak jak chcę, jestem czym chcę. Teraz akurat kobietą, jakiej zawsze pragnąłeś. Jeśli chcesz, mogę zostać w tej postaci aż do twojej śmierci. Mogę dać ci zdrowie, szczęście, bogactwo, wszystko, czego brakowało ci w życiu". Hrabia roześmiał się gorzko.

– I oferujesz mi to za darmo? Zbyt dobry interes, żeby mógł być uczciwy, smoku.

"Nie za darmo. W zamian uwolnisz siebie, potem mnie, a następnie przeprowadzisz mnie za bramę".

– Do mojego świata? Czego tam chcesz szukać, gadzie?

"Nieładnie tak zwracać się do damy. Powiedzmy, że lubię dalekie, romantyczne podróże. Czy to ważne?"

– Nie ufam twoim intencjom. Zresztą i tak nie wyobrażam sobie, jak mógłbym nas wydostać na wolność. Jestem bezsilny... "Wiesz, że tak nie jest, hrabio. Gdybyś przestał uważać się nad własnym losem, tylko wezwał kanoniera Świeradowskiego, ten znalazłby sposób, żeby wyrwać cię na wolność. Polscy grenadierzy poszliby za nim i za tobą w ogień, a Carnote'a nienawidzą". – A jeśli nawet się uwolnimy? Co wtedy? – Potocki roześmiał się głośno. – Ucieknę? Będę tułał się do śmierci po obcym świecie? "Gdy zwrócisz mi wolność i uwolnisz od przysięgi, to o wszystko zadbam". Pięść hrabiego grzmotnęła w pręty klatki.

– Dość! Nie mąc mi w głowie! Już raz cię wypuściłem i...

"I dotrzymałam obietnicy. Gdy na podwórku były już tylko trupy buntowników, mogłam odlecieć w góry. Ale przysięga kazała mi wrócić do klatki. Czy to niewystarczająca rekomendacja, hrabio? Ilu waszych szlachciców miałoby odwagę zrobić coś takiego?" Potocki zamilkł na dłuższą chwilę. Smoczyca przysunęła się jeszcze bliżej, jej biała twarz znalazła się tuż przy owrzodzonym policzku hrabiego. Poczł delikatną woń skóry – pachniała wiatrem i słońcem, jak wiejskie dziewczęta, w których się kochał dawno temu, w majątku ojca.

"Hrabio – rzekła cicho Istagher. – Choroba zżera cię coraz szybciej. Życie wycieka z ciebie, sączy się z kilku niegojących się ran, wyrywa na zewnątrz pod postacią porannych womitów czy krwawego kaszlu. Spójrz tylko: byłeś kiedyś wspaniałym mężczyzną, a teraz umierasz. Mogę ci jednak pomóc – jako jedyna na świecie".

Potocki mruknął coś i zatkał uszy, by uwolnić się od natarczywego głosu. Ten jednak rezonował mu pod czaszką.

"Przecież nie chcesz jeszcze umierać! A już na pewno nie jako bełkoczący szaleniec, w przytułku dla chorych. Potrzebujesz mnie, hrabio! Otrząśnijże się wreszcie i pomóż mi, a ulecę cię i dam ci wszystko. Tu i teraz zdecyduje się twoja przyszłość. Stoisz

na rozdrożu: okropna śmierć lub wspaniałe życie. Powiedz tylko słowo!" Potocki przygryzł wargę do krwi. Długo siedział bez ruchu, a w jego schorowanym mózgu toczyła się straszliwa walka. W końcu udzielił odpowiedzi, głosem niepewnym i słabym jak u małego dziecka.



Cesarz miał na sobie swój zwyczajny surdut i zielony mundur z pąsowymi wyłogami. Szedł krokiem zdecydowanym, energicznym, przez co wydawał się wyższy, niż był w rzeczywistości. Za nim dreptała świta, przerażona widokiem stworzenia w klatce, do której zbliżał się władca.

– Wspaniale! Doprawdy wspaniale! – powiedział Bonaparte.

Smok miotał się i ryczał przeraźliwie. Próbował gryźć i szarpać kraty, jednak bez efektu – stalowe sztaby grubości dłoni trzymały mocno. Obok leżała martwa krowa, której nawet nie napoczął. Nieopodal klatki stali dumnie doktor Le Fevre, porucznik Bourc i księżę Kicki. Twarze mieli rozpromienione, bo widzieli, że prezent przypadł do gustu władcy.

Nieco dalej, w zacienionej przez akacje alejce, stali obok siebie Potocki ze Świeradowskim – umyści i wystrojony, w galowych mundurach. Szczególnie ten pierwszy robił wrażenie, bo ślady choroby cofnęły się niemal z jego twarzy, a posturę miał wyprostowaną jak dwudziestolatek. Obaj śledzili z daleka każdy gest cesarza. Świeradowski był zbyt niski rangą, aby znaleźć się wśród delegacji batalionu, Potocki zaś dopiero co został zdegradowany. Zajęli więc miejsca wśród zwykłych gapiów, choć to nie umniejszało ich radości. Widok smoka, który rzucał się w klatkę, najwyraźniej ich bawił.

Tymczasem Bonaparte rzekł:

– To będzie ozdoba naszego paryskiego ogrodu! Aleksander zzielenieje z zazdrości, moi panowie. Dzielnie się sprawiliście, to była nadzwyczajna wyprawa. Doktorze Le Fevre, spisze mi pan dokładne sprawozdanie. – Tak, sir.

– A pan, poruczniku Bourc, zda mi raport, dlaczego batalion



stracił tyłu ludzi. Czekam też na szczegółowe wyjaśnienia w sprawie zniknięcia kapitana Carnote'a.

– Oczywiście, sir.

Widać było, że cesarz chce coś dodać, ale w tym momencie z tyłu zbliżył się goniec w szaserskim mundurze. Wręczył jakieś pismo sekretarzowi Napoleona, który zaraz szepnął mu na ucho parę słów.

– Obowiązki wzywają, panowie. Gratuluję wam raz jeszcze – powiedział Bonaparte, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł w otoczeniu świty, zostawiając Le Fevre'a, Bourca oraz Kickiego do dyspozycji ciekawskich gapiów oraz żurnalistów.

Pod klatką wkrótce zaroilo się od ludzi i tylko Potocki ze Świeradowskim zostali w alejce. Chwilę potem do kanoniera dołączyła jego żona, niska, szeroka w biodrach kobiecina. Potocki zaś, wpatrzony wciąż we wspaniałe zwierzę, zorientował się, że oto wsuwa mu się pod ramię drobna dłoń. Poczul słodki zapach Istagher.

– Zostanie już tak na zawsze? – spytał, nie odwracając się.

– Ależ skąd. – Tuż przy jego uchu rozbrzmiał perlisty śmiech.  
– Moja magia nie była tak silna. Odmieni się za jakiś miesiąc. Jeśli oczywiście przez ten czas przezwycięży swoje wyrafinowane gusta i nauczy się jeść surowe mięso.

– Dobrze tak draniowi – rzekł oschle kanonier. – Wygubił cały batalion. Ale co się stanie z nami, panie Potocki, gdy Carnote wróci do swojej postaci?

– Nic – odparł hrabia. – Ponoć nie będzie wiele pamiętał, zresztą i tak miał pomieszane w głowie. Le Fevre pewnie pomyśli, że smok uciekł jeszcze po tamtej stronie, zamieniając się z kapitanem wyglądem. Poza tym – dodał po chwili – ty będziesz już wtedy z powrotem w legii, drogi Antoni, a ja w bezpiecznym miejscu. – Jeśli jesteśmy już przy tym temacie – rzekł Świeradowski – to chciałbym porozmawiać w cztery oczy. Gołąbeczko, przespacerujesz się może z hrabiną Potocką?

Kobiety zaśmiały się i chwyciły pod rękę, podczas gdy kanonier z hrabią siedli na jednej z żelaznych ławek i patrzyli,

jak obie się oddalają, idąc wzdłuż alejki.

– Jest bardziej ludzka niż wielu ludzi – powiedział w końcu Potocki. – Zobacz, jak dobrze się rozumieją. Twoja żona, drogi Antoni, nawet nie przypuszcza, że z moją może być coś nie tak. W ciągu trzech dni Istagher pojęła wszystko, co potrzebne do życia w tym świecie. Niezwykłe.

– Raczej straszne, hrabio. Przyznam szczerze, że na twoim miejscu bym się jej bał.

– Nie, gdybyś poznał ją tak, jak ja.

Kanonier wzruszył ramionami.

– Jeśli tak sądzisz, Piotrze. No, ale to już twoja sprawa, mnie powiedz jedynie, co sobie teraz umyśliłeś?

Potocki spojrział na Istagher, która właśnie przeszła pod kutą bramą ogrodu. Jej włosy, gdy tylko znalazły się w słońcu, wybuchły błyskiem najszczerzego złota.

– Szczęście trzeba chwycić, póki gdzieś nie uleci. Wyjedziemy na Podole. Tam mam wciąż dziedziczny majątek: dworek, trzy wsie. W górach, daleko od ludzi. Przynajmniej będzie tam mogła swobodnie latać – dodał po chwili z westchnieniem.

– Latać? Przecie raz -dwa kto ją zoczy, chłopci zaczną gadać... – Nie takie już rzeczy na Podolu plebs opowiada.

– Dobrze więc. Ale zważ na moje słowa, hrabio Potocki. – Kanonier splunął na ziemię gęstą flegmą. – Nie ma nic gorszego niż baba mądrzejsza od chłopca. Nic gorszego!

Hrabia roześmiał się i poklepał Świeradowskiego po plecach. Co prawda, przemknęła mu przez głowę straszna myśl, że smok mógł wszystko ukartować i wykorzystać go jako przepustkę do tego świata, ale szybko oddalił te podejrzenia.

Wstał i ruszył rozpromieniony aleją, wiodąc wzrokiem za piękną Istagher. Czuł, że to początek zupełnie nowego życia – w końcu tak szlachetne zwierzę, jak smok, nie potrafiłoby go oszukać... A może jednak?

# Michał Studniarek

## MÓJ WŁASNY SMOK

Stojące wzdłuż chodnika samochody eksplodowały nagle kulami ognia, zasypując przechodniów ostrymi, gorącymi fragmentami karoserii i wyposażenia. Ledwie zaszokowani ludzie zdążyli się podnieść, ulicą przeleciało gwałtowne uderzenie wiatru. Jakiś dzieciak zawołał: – Smok! Smok!

Z czarnego nieba spadła ogromna gadzia sylwetka. Uderzenia potężnych błoniastych skrzydeł wywoływały zawirowania powietrza porównywalne z uderzeniami najgorszej wichury, roznosiły kłęby dymu, przewracały ludzi, kosze na śmieci, łamały mniejsze i słabsze gałęzki okolicznych drzew.

Potwór sprawnie zaatakował od strony pobliskich, rzęsiście oświetlonych wieżowców, tak by ich blask oślepił ludzi, utrudniając obserwację jego ruchów. Wylądował wprost na samochodach; pod ciężarem gigantycznego ciała ich karoserie gięły się niczym papier. Wielkie, pazurzaste łapy orały i zrywały asfalt jak rozwałkowaną plastelinę. Rozległ się ostry pisk hamulców i łoskot blach – zaskoczeni kierowcy usiłowali zatrzymać się przed niespodziewaną przeszkodą, tworząc gigantyczny karambol. Niewielu miało dość rozumu, by czym prędzej uciekać, większość gapiała się na górującego nad nimi potwora.

Olbrzymia, wypełniona kłami paszcza otworzyła się, osadzony na długiej szyi łeb cofnął się nieco, a chwilę potem w kierunku poobijanych wozów, uwieczonych w nich ludzi oraz jadących na sygnale wozów policji i straży pożarnej pomknął szeroki strumień ognia. Samochody stawały w płomieniach jeden po drugim, kierowcy, pasażerowie i przechodnie ginęli

natychmiast. Rozświetlająca niebo luna stała się jeszcze większa.

Dopiero wtedy wybuchła panika, gapie rzucili się do ucieczki we wszystkie strony. Nikt nie próbował gasić wraków, nikt też nie próbował strzelać do potwora ani z nim walczyć. Niektórzy tkwili bez ruchu, nie mogąc oderwać wzroku od ogromnej bestii. Ludzi przygniatały połamane konary, raniły kawałki blachy oraz sypiące się z wystaw i okien szkło.

Smok wyprostował się, uniósł łeb i wydał z siebie przesywający, pełen wściekłości ryk. Dla wielu znajdujących się w pobliżu osób była to ostatnia rzecz, jaką usłyszeli, nim popękały im bębunki. Siedząc na środku ulicy, między nowoczesnymi biurowcami i starymi, betonowymi blokami, górował na tle nieba podbarwionego światłami miasta i łunami pożarów, potężny, niepokonany, wspaniały, straszny. Otworzył paszczę i zaryczał jeszcze raz.

Drgnąłem i zamrugąłem oczami. Przez chwilę leżałem sparaliżowany lękiem, na próżno usiłując przekonać siebie, że to był tylko sen. Znałem to uczucie, znałem aż za dobrze. Znowu się to wydarzyło. Znowu. Tym smokiem byłem ja.



Tamten dzień rozpoczął się w naszym muzeum pracownice. Zagranica poprosiła o pożyczenie kilku płócien i grafik, należało wyciągnąć je z magazynu i poddać standardowej konserwacji. Niestety, dwie grafiki skleiły się, zapewne nie zapakowano ich odpowiednio starannie, a trzecią trzeba było wieźć do Wilanowa na odgrzybianie w specjalnej komorze. Okazało się także, że jeden z obrazów został przy poprzedniej konserwacji przed trzydziestu laty sfuszerowany tak, że zbladła na nim cała ochra, a na innym popękał werniks. Przy rozdzielaniu roboty poprawianie ochry dostało się mnie.

Wziąłem obraz z kwaśną miną i położyłem na biurku. Tak to już jest, kiedy w całej pracowni ma się najlepszą rękę do malowania. Wygrzebałem z archiwum zdjęcie obrazu wykonane zaraz po konserwacji, która tak źle się dla niego skończyła,

odbębniłem wszelkie niezbędne prace przygotowawcze i zacząłem mieszać farby na starym talerzu, pełniącym rolę palety.

Uzyskałem pożądany odcień, nabrałem odrobinę na pędzel i znieruchomiałem z ręką w powietrzu. Rozmazane na fajansie pomarańczowo -czerwone farby ułożyły się w kształt smoczego łba. Bestia otwierała zębatą paszczę, jakby atakując wprost na niczego się niespodziewającą ofiarę. Gryźć, rwać, szarpać...

**Mam kły, mam pazury, jestem wielki, groźny i niepokonany.**

Hej, spokojnie, bo jeszcze sam się zamienię w smoka.

Myśl ta wydała mi się tak śmieszna i niedorzeczna, że aż zachichotałem w duchu. Smok? Jaki smok? Smoków nie ma. Oczyma duszy zobaczyłem go: wielką, pokrytą czerwoną łuską bestię z błoniastymi skrzydłami, piłą kostnych wyrostków wzdłuż grzbietu i łbem ozdobionym parą fantazyjnie wygiętych rogów.

**Mam kły, mam pazury...**

Wróciłem do swojego obrazu. Ostrożnie poprawiałem dzieło starego mistrza, jednak moją głowę bez reszty wypełniały myśli o smoku i o tym, że może to i fajnie byłoby zaryczeć, poczuć moc drzemiacą w potężnych mięśniach, jednym zionięciem zamieniać wszystko w kupkę popiołu. W wyobraźni wylatywałem na korytarz, niszcząc każdą przeszkodę, jaka tylko stała mi na drodze... Zaraz, chwileczkę. Przecież smoków nie ma, jak więc mogę zamienić się w jednego z nich? To wszystko fantazje.

No właśnie, zatem nie są szkodliwe. Zawsze mogę z nich wyjść.

Dlaczego więc, kiedy już mi się znudziły, wciąż nie mogłem przestać myśleć o smoku? Dlaczego w głowie wciąż słyszałem, jaki jest wielki, groźny i niepokonany? Skąd się wziął ten szarpiący duszę niepokój?

Dlaczego miałem wrażenie, że ten gad tylko przyczał się w jakimś zakamarku mojego umysłu?



Siedziałem w muzealnym bufecie nad szklanką herbaty i usiłowałem uporządkować myśli.

Przede wszystkim próbowałem dociec, skąd się to wszystko wzięło. Niechęć do pracy? Skądże, lubiłem to, co robiłem, nawet jeśli robota pchała mi się w ręce nieproszona. Kiedy w ogóle ostatni raz widziałem smoka, choćby na jakimś obrazie? I to takiego smoka? Wyglądał dość kiczowato...

**To ma być kiczowate?! – zaryczał z mojego wnętrza smok, ziejąc efektowną fontanną ognia.**

Zaraz, moment... dzieła sztuki raczej odpadają, może zatem film, telewizja, dostrzeżona kątem oka okładka jakiegoś pisma, może koszulka? Tak, to chyba najbardziej prawdopodobne... nie, nie wiem. Zresztą, czy to ma jakieś znaczenie? Ważne, że się we mnie panoszy i bruździ.

W tym momencie smok znowu wdarł się w moje myśli, a ja miałem wrażenie, że przy okazji rozrywa mi mózg.

Zaraz, to tylko złudzenie. To się nie dzieje naprawdę. Przecież smoków nie ma.

Poczułem, że obraz smoka znika, a świat znów wraca na właściwe tory. Odetchnąłem. Mogłem nad nim panować... przynajmniej przez jakiś czas.



Już sądziłem, że wszystko jest w porządku, kiedy smok ponownie dał o sobie znać, i to w sposób najmniej przewidywalny z możliwych.

Wchodząc w głąb mieszkania, mijałem zawieszony w przedpokoju lustro. Wróciwszy pewnego dnia z pracy, przypadkiem rzuciłem na nie okiem. To, co tam zobaczyłem, sprawiło, że aż się cofnąłem i uważniej przyjrzałem swojemu odbiciu.

Wydawało mi się, że moją głowę pokrywają łuski. Czerwone

łuski.

Złudzenie, podpowiadał rozum. Zawsze, jeśli przez chwilę dostrzeże się kątem oka własne odbicie, można ujrzeć rzeczy, które się człowiekowi nawet nie śniły.

Jakoś dziwnie zbieżne było to złudzenie z tym, co wcześniej przeżyłem.

No właśnie. Za dużo o tym myślę.

Właśnie, ciekawe dlaczego? Dlaczego aż tak bardzo się tym przejmuję?

Czyżby jednak było w tym ziarno prawdy?



Po kilku dniach przestałem mieć co do tego jakiegokolwiek wątpliwości; z nieznanego mi powodu rozgościła się we mnie wredna, podstępna bestia.

Przez jakiś czas obserwowałem ją, usiłując określić, czego chce i kiedy się pojawia; liczyłem na to, że może dowiem się czegoś, co pomogłoby mi w walce z nią. Daremnie – smok zjawiał się o różnych porach dnia i nocy, w najrozmaitszych sytuacjach. W tym chaosie nie sposób było doszukać się żadnych cech wspólnych. Atakował zniecka, wdzierał się do moich myśli w najmniej oczekiwanych sytuacjach, szalał, ryczał, podsuwał obrazy pełne zniszczenia. Prowokował mnie przy każdej nadarzającej się okazji, podpowiadając, jak wspaniałe rezultaty bym osiągnął, jak wielki strach i szacunek zacząłbym budzić, słuchając jego rad. Jakaś część mnie ostrzegła jednak, że jeśli do tego dopuszczę, to już nad nim nie zapanuję. Stanę się smokiem. A to, jak sobie szybko uświadomiłem, przerażało mnie najbardziej.

Jednak im dłużej i zacieklej z nim walczyłem, tym bardziej rozszerzało się jego działanie. Niemal za każdym razem, kiedy mijałem swoje odbicie w lustrze czy szybie wystawy, dostrzegałem a to łuski, a to czerwony odcień skóry, a to fantazyjnie wygięte rogi. Kiedyś na ulicy wydało mi się, że pod

kurtką rosną mi skrzydła. Zatrzymałem się jak wryty i ze strachem zacząłem przyglądać swemu odbiciu, jednak zaraz się zorientowałem, że to tylko kurtka źle się ułożyła na przygarbionych plecach. Mnóstwo czasu spędzam pochylony nad biurkiem, to i się dorobiłem. Wyprostowałem się, poprawiłem kurtkę i obejrzałem krytycznie. Cóż, na plecach nie dostrzegłem już żadnej fałdy, a i tak nadal czułem, że to zaledwie pozory, złudzenie. Tak naprawdę bestia przyczała się w moim wnętrzu i powoli przejmowała nade mną kontrolę. Niby wszystko w porządku, a nagle trzask, pewnego ranka obudzę się na resztkach łóżka, pokryty czerwona łuską, z paszczą pełną ostrych kłów. Potem pojawiły się sny, przechodząc od pojedynczych, wyrwanych z kontekstu scen do długich wizji, w których opanowany przez smoka latałem pod nocnym niebem, podbarwionym łunami wznieconych przeze mnie pożarów. Pałęm, niszczyłem i mordowałem, ziejąc ogniem i waląc potężnymi, uzbrojonymi w ostre szpony łapami. Kiedy nie spałem, mogłem kontrolować go przynajmniej na krótko, jednak we śnie smoka nic nie ograniczało i drań o tym dobrze wiedział. Zasypiałem z niepokojem, budziłem się ze strachem i przewracałem później z boku na bok, nie mogąc ponownie zasnąć, targany falami panicznego lęku. Najgorzej czułem się o świcie, kiedy noc powoli ustępowała miejsca dniowi, lecz było jeszcze za wcześnie, by wstać i zwalczać panoszącą się w mojej głowie bestię pozorami normalnej egzystencji. Zacząłem rozumieć, dlaczego tę porę nazywa się "godziną samobójców", i wcale nie cieszyłem się ze zdobycia tej wiedzy.

Przez jakiś czas zastanawiałem się, czy nie poprosić o pomoc rodziców. Odpada, nie będę przecież ich ciągnął z drugiego krańca Polski, i to do nieistniejącego smoka. Sam dam sobie z nim radę.

Mijały kolejne dni, łącząc się w tygodnie, a moja walka ze smokiem stawała się coraz bardziej zażarta. Rozum szybko zaczął mnie zawodzić – gad pojawiał się za często, by go lekceważyć albo zbyć stwierdzeniem, że tak naprawdę go nie ma. Dla mnie był realny i prawdziwy. Do tego okazał się przeciwnikiem inteligentnym i przewrotnym. Szybko się uczył,



orientował w myślowych mechanizmach i sztuczkach, jakie przeciwko niemu stosowałem, i uodparniał na nie niczym wyjątkowo złośliwy wirus. Usiłowałem pilnie go obserwować, analizując wszystkie sytuacje, gdy udało mi się przypadkiem nad nim zapanować, w nadziei, że znajdę na niego sposób. Dzięki temu odkryłem, że dobrze działa na mnie samo przypomnienie sobie takiej sytuacji. Po jakimś czasie wiedziałem, że właściwie ma to sens – nic tak nie dodaje sił, jak wspomnienie zwycięstwa. Metoda działała przez kilka dni całkiem nieźle; dla uczczenia tego faktu udałem się do swojej ulubionej kawiarni na filiżankę gęstej niczym świeży budyń czekolady. Kiedy parę dni później zaczęła zawodzić, poszedłem tam ponownie – tym razem, żeby się pocieszyć. Następnego dnia smok ostatecznie uodpornił się na wspomnienia dawnych zwycięstw, a do kawiarni ciągnęło mnie dalej, w rozpaczliwej nadziei, że znów poczuję się równie dobrze, jak za pierwszym razem. Może wpadnę na jakiś pomysł, mówiłem sobie.

Nie wpadłem, za to wyjścia do kawiarni zaczęły mi się kojarzyć z lekarstwem na stres i zamiast pomóc zapomnieć, tylko przypominały o kryjącym się w moim wnętrzu gadzie. Co gorsza, czekolada zupełnie straciła smak.



Pracownię dzieliłem z panią Heleną, przemiłą kobietą w starszym wieku, typem człowieka, że do rany przyłóż. Poza tym była znaną w kraju specjalistką od naprawy miśnieńskiej porcelany. Przy całym wachlarzu zalet miała też jedną wadę – lubiła w pracy słuchać radia. Samo w sobie nie było to jeszcze nic złego, niestety, zwykle prowadziła przy tym długie dyskusje z wypowiadającymi się na antenie osobami. Z reguły czyniła to na tyle cicho, że mi to nie przeszkadzało. Teraz jednak, męcząc się nad migoczącym mnóstwem odcieni pomarańcza kwiatem nasturcji z siedemnastego wieku, poczułem, że mam dość.

Nie wiem, co mnie tak wyprowadziło z równowagi. Na pewno przyczyniła się do tego przegrywana walka ze smokiem, który nie opuszczał mnie nawet przy pracy i szalał gdzieś w odległych

zakamarkach umysłu niczym natrętna, brzęcząca mucha. Być może wiązało się to z tematem audycji, co do którego miałem zdanie dokładnie odmienne niż moja koleżanka z pracy. A może chodziło o to, że nagle bardzo wyraźnie uświadomiłem sobie, że w przeciwieństwie do radia, pani Heleny nie da się wyłączyć.

W pewnym momencie zaczęło mi to przeszkadzać tak bardzo, że nie mogłem pracować. Odłożyłem pędzel i z wściekłością wbiłem spojrzenie w poplamiony farbami, porysowany blat stołu. Musiałem coś z tym zrobić, po prostu musiałem. Najprościej byłoby poprosić, jednak wszystkie zdania, jakie przychodziły mi do głowy, nie nadawały się do powtórzenia przy menelu spod sklepu, a co dopiero przy nobliwej, starszej damie. Złość bulgotała we mnie niczym woda w szczelnie zakrytym garnku, groziła wybuchem. Musiałem coś z tym zrobić, i to szybko. Ale co? Co?!

– Pani Heleno... – zacząłem ostrożnie, starannie ważąc każde słowo.

Chcąc się zmotywować, odruchowo zacisnąłem dłoń...

... i dotknąłem jej wnętrza ostrym czubkiem szponu.

W tym momencie starsza pani podniosła wzrok znad porcelanowej figurki.

– Ja... wychodzę na chwilę – wydukałem pospiesznie, przerażony tym, co zaraz może się wydarzyć. – Gdyby ktoś o mnie pytał. – Oczywiście. – Pani Helena kiwnęła głową z miłym uśmiechem. Uciekłem z pokoju i odsapnąłem dopiero, gdy zamknąłem za sobą drzwi łazienki. Wykonałem kilka głębokich wdechów, usiłując opanować szalejące we mnie emocje. Byłem przerażony, ale także wściekły. Nie potrafiłem poprawnie wykrztusić nawet jednego zdania! Do czego to podobne! Co się ze mną dzieje?! Stałem w takim miejscu, by nie odbijać się w zawieszonym nad umywalką lustrze, i popatrzyłem na swoją dłoń. Wyglądała absolutnie normalnie. Ponownie ją zacisnąłem i znów poczułem to dziwne ukłucie. Co, u licha?!

Sprawa wyjaśniła się przy kolejnej próbie. No tak, źle spiłowany paznokiec. Odetchnąłem z ulgą, wkrótce jednak lęk

znów dał o sobie znać i podpowiadał, że to on ma rację. Ten potwór żerował na moich instynktach, karmił się moim gniewem i złością. To było cenne spostrzeżenie. Musiałem się bardzo pilnować, kontrolować swoje emocje, aby nie uwolnić smoka.

Pilnowanie się doprowadziło do tego, że im bardziej się starałem nie denerwować, czy w jakikolwiek inny sposób powstrzymać smoka, tym bardziej mi się to nie udawało. Ponieważ nie mogłem znaleźć żadnego wyjścia, z rozpaczy sięgałem po metody, które kiedyś działały, w nadziei że wreszcie przy którejś okazji poskutkują jeszcze raz. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Zgnębiona pamięć przestała mi służyć. Gdybym nie notował wszystkiego w telefonie, nie pamiętałbym o najprostszych rzeczach. Czas mojego panowania nad smokiem stawał się coraz krótszy; wreszcie gad całkowicie zawładnął moim umysłem i właściwie nie mogłem myśleć o niczym innym. Nawet pochłonięty pracą czułem, jak się czai, przekrada, miota i ryczy gdzieś w głębi umysłu. Zauważyłem, że im bardziej to sobie uświadamiałem, tym silniej smok atakował. W ogóle nie potrafiłem sprawować nad nim kontroli, nie miałem na to dość sił. Błędne koło. Spirala w dół, z której nie potrafiłem znaleźć wyjścia.



To wydarzyło się po południu. Wracałem z pracy autobusem, mając nadzieję, że resztę dnia uda mi się spędzić w spokoju. Smok chyba uciął sobie drzemkę, bo w moim wnętrzu panowała dziwna, wręcz podejrzana cisza. Próbowałem skorzystać z okazji, odprężyć się, wzmocnić nadwątlone siły. Patrzyłem na zalany deszczem, ponury świat za szybą i zastanawiałem się, jak najlepiej odegnać jesienne przygnębienie. Przypomniałem sobie, że dawno nie byłem w żadnej galerii handlowej, bowiem kłopoty ostatnich kilku tygodni sprawiły, że poza znajomymi z pracy właściwie nie miałem kontaktu z ludźmi. Ciągnęło mnie do nich; pomyślałem o bezcelowym włóczeniu się po zatłoczonych korytarzach, oglądaniu wystaw, przeglądaniu książek w księgarni, zapachu kawy i herbaty z trafiki...

...ludzie, radośni, smutni, zabiegani, zajęci swoimi sprawami ludzie stali się nagle nieprzyjemną, skłębioną, napierającą zewsząd masą.

Z mojego gardła wyrwał się pełen wściekłości warkot.  
Oj, niedobrze, trzeba coś zrobić...  
RAAAR!

Nie! Nie! Zacisnąłem mocno powieki i usta, chwyciłem się za głowę, jakbym w ten sposób mógł powstrzymać to, co się we mnie działo. Czegoś takiego jeszcze nie przeżyłem, czułem się, jakby ktoś zdzielił mnie młotem w łeb. Skupiłem całą wolę, ze wszystkich sił starając się przeciwstawić atakowi. Daremnie, myśli smoka tłukły w mój umysł niczym sztormowe fale o skały. Skały, które pod ich naporem zaczynały już pękać.

Po chwili otworzyłem oczy i rozejrzałem się półprzytomnie. Pełne zdziwienia spojrzenia współpasażerów uświadomiły mi, że chyba musiałem wykrzyczeć swój sprzeciw na cały głos. Naprawdę? Zrobiłem to? Dlaczego więc tego nie pamiętam? A może tylko mi się zdaje? Lecz skoro tak, to czemu wszyscy się na mnie gapią? Czmychnąłem jak niepyszny na najbliższym przystanku. Przerażony, gnałem w stronę domu, jakbym miał szansę uciec przed smokiem. To było jednak niemożliwe: dokądkolwiek bym pobiegł, gad podążał cały czas ze mną, szalejąc w moim wnętrzu i usiłując przejąć kontrolę.

Resztę dnia spędziłem w domu, dygocząc i próbując dojść do siebie. Smok krążył w pobliżu, bawiąc się ze mną niczym kot z myszą, to atakując, to dając mi na jakiś czas spokój, a kiedy nabierałem nadziei, że najgorsze już minęło, uderzał znowu. Wciąż starałem się nie patrzeć w lustro – bałem się tego, co mogę tam zobaczyć.

Wtedy właśnie pomyślałem, że jednak mógłbym poszukać gdzieś pomocy.



– Cóż, ja tu za wiele nie zdziałam – powiedział ostrożnie psychiatra, wysłuchawszy opowieści o moich przeżyciach.

Wybrałem go z książki telefonicznej trochę na chybił trafił, głównie dlatego, że przyjmował w sporej specjalistycznej poradni, zakładałem więc, że ma odpowiednio duże doświadczenie. – Ale nie dziwi mnie, że się tak pan boi tych myśli. Dam panu coś na uspokojenie, jednak moim zdaniem tu potrzebny jest inny fachowiec...

W zapadłej po tych słowach ciszy było słycać tylko odgłos przesuwania długopisu po papierze. Siedziałem jak porażony. Skoro psychiatra mówi, że niewiele tu zdołała, to do kogo mam pójść?! – Proszę. – Lekarz podał mi kartkę z zapisanym nazwiskiem i telefonem. – To psycholog, terapeuta, naprawdę dobry specjalista. Porządny fachowiec. Ostrożnie wziąłem kartkę oraz receptę.

– Czy... jest pan absolutnie pewien, że... nie jestem groźny dla siebie i dla innych? Że nie zacznę nagle ziać ogniem albo skakać z dachu?

– Nie, proszę pana, nie jest pan dla nikogo groźny – odparł zdecydowanie lekarz. – Ale właśnie ze względu na takie myśli i to, co one z panem robią, powinien się pan jak najszybciej umówić z tym psychologiem.

No tak, pewnie nie wie, co ze mną zrobić, więc przerzuca gorący ziemniak do kogoś innego. Już chciałem zaprotestować, kiedy niespodziewanie przyszła mi do głowy dziwnie krzepiąca myśl: na pewno człowiek, którego pomoc mi sugeruje, jest do niego jakoś podobny. Skoro ten lekarz wzbudził we mnie zaufanie, to i tamten może.

Poza tym zawsze mogłem tu wrócić. Nie miałem zresztą wielkiego wyboru: gdzieś w głębi mnie kryła się wielka bestia, gotowa w każdej chwili wyrwać się na wolność. Nie wiedziałem, jak długo zdołam ją powstrzymać.



Myśl okazała się słuszna. Pan Andrzej Kosobudzki był mężczyzną dobiegającym czterdziestki, o szpakowatych, krótko przyciętych włosach, ogarniającym świat spokojnym

spojrzeniem szarych oczu. Oliwkowy polar, mocny uścisk ciepłej dłoni. W jakiś sposób budził sympatię, zaufanie i dodawał otuchy. Wskazał mi drzwi do niewielkiego pokoju, pełniącego w mieszkaniu funkcję gabinetu. Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, była stojąca na regale z książkami ślicznie napisana miniatura ikony świętego Jerzego walczącego ze smokiem.

W moim sercu zaczęła nieśmiało kiełkować nadzieja, że wreszcie trafiłem we właściwe miejsce.



– A zatem – zapytał Kosobudzki, kiedy już siedzieliśmy w miękkich, bardzo wygodnych fotelach, popijając herbatę, i gdy spisał moje dane do swojej kartoteki – jak mogę panu pomóc? Opowiedziałem mu wszystko, walcząc ze wstydem i skrępowaniem, przekonany, że uzna mnie za zbyt ciężki przypadek i odeśle z powrotem do psychiatry. Co jakiś czas zerkałem na ikonę; w jakiś sposób dodawała mi odwagi. Na pewno Kosobudzki to zauważył, ale było mi już wszystko jedno. Gdy wreszcie oderwałem od niej wzrok, zobaczyłem, że psycholog obserwuje mnie uważnie, bez śladu politowania czy rozbawienia, za to ciepło i, co najważniejsze, z pełnym zrozumieniem współczuciem. Kiedy skończyłem, przez długą chwilę siedział zamyślony, spoglądając na notatki, jakie robił podczas mojej opowieści. Spoglądałem na niego w napięciu, czekając na jego słowa jak na wyrok.

– To jest do wyleczenia – rzekł w końcu. – Nie mówię, że będzie łatwo, ale... Rzecz jasna terapia musi przebiegać przy pańskiej współpracy, bo bez tego nic nie zdziałamy.

Przytaknąłem gorliwie, czując zalewającą mnie falę ulgi. Miałem nadzieję, że usłyszę coś takiego i byłem gotów zrobić wszystko, czego tylko sobie zażyczy.

– Myślę – powiedział z namysłem, spoglądając na mnie – myślę, że powinniśmy go wypuścić.

Nie krzyknąłem, bo głos uwiązał mi w gardle. Nie uciekłem, bo nogi nagle odmówiły mi posłuszeństwa. Nie spadłem z fotela

tylko dlatego, że zbyt wygodnie na nim siedziałem.

– Czy pan oszalał?! – wychrypiałem w końcu ze zgrozą. – Nie słyszał pan, co mówiłem?! Przecież on właśnie tego chce! Nie słyszał pan, co mówiłem o lustrze?! Przecież wtedy zacznie się rzeź, masakra! Będę niebezpieczny! A co ze mną?! Nie obchodzi pana, że zamienię się w... w to coś?!

– Proszę się nie obawiać – odparł spokojnie psycholog, na którym moja reakcja nie wywarła żadnego wrażenia. – Zrobimy to tak, by nikomu nie stała się krzywda.



Tydzień, który upłynął od wizyty u psychologa, przeżyłem w nieprawdopodobnym chaosie. Gdyby ktoś mnie zapytał, co się wtedy dokładnie działo, nie potrafiłbym opowiedzieć. Pamiętam, że jadłem, piłem, spałem, jeździłem do pracy, robiłem co do mnie należało, nawet rozmawiałem z ludźmi, ale wszystko odbierałem jak przez mgłę. Równie dobrze mogło mi się to przyśnić. W rzadkich przebłyskach świadomości cieszyłem się, że martwa natura, nad którą siedziałem, wymagała tyle pracy – gdybym musiał się wziąć do jakiejś nowej roboty, pewnie bym ją spaprał. Teraz wystarczyło wskoczyć na wytyczone wcześniej tory i jakoś szło.

Przez cały ten czas w mojej głowie szalała prawdziwa burza uczuć i myśli, wypełniająca mnie niemal bez reszty. Żyłem nadzieją, że z pomocą pana Andrzeja pozbędę się tego cholernego gada, że coś z nim wreszcie zrobię. I wtedy natychmiast pojawiał się lęk, że coś pójdzie nie tak i trzeba będzie mnie odizolować. Albo że smok okaże się mocniejszy od nas obu i zacznie mną kierować.

Po pierwszym entuzjazmie przyszło uspokojenie i znów stary lęk zacisnął szponiastą łapę na moim sercu.

– Czy jest możliwe – zapytałem ostrożnie podczas kolejnego spotkania, bojąc się w ogóle wspominać o takiej ewentualności – że on... okaże się silniejszy od pana i ode mnie? Że opanuje mnie do reszty?

– Nie sądzę – odparł pan Andrzej spokojnie – żeby taki smok dał radę dwóm ludziom.

– Ale spotkał się już pan wcześniej... z czymś takim? – spytałem, przełykając ślinę. – Robił pan już coś takiego? Psycholog przyjrzał mi się uważnie.

– Jeśli powiem, że wyprowadziłem z innych pacjentów dwa takie smoki, to uspokoi to pana? Każdy z nich był osobnym przypadkiem, do którego należało podchodzić indywidualnie. Dlatego nie jestem pewien, czy zdołam do końca rozwiązać pańskie obawy. Nie miałem wyboru. Decyzja mogła być tylko jedna. Inaczej pozostawało mi usiąść w kącie i czekać, aż zacznę ziać ogniem. – Zauważyłem, że bardzo zainteresowała pana moja ikona.

– Owszem – przyznałem, czując się jak uczeń przyłapany na czytaniu książki pod ławką, i dodałem szybko: – To chyba normalne... w mojej sytuacji. – Jak najbardziej. – Psycholog uśmiechnął się.

Gad dawał mi się we znaki tak samo, jak wcześniej – wystarczyło na chwilę się odprężyć, rozluźnić uwagę, a już wynurzał się z głębi świadomości, rycząc i miotając się na wszystkie strony. To jeszcze dawało się jakoś znieść, najgorsze było przechodzenie koło wystaw, luster czy poranne golenie. Wciąż nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że mam dziwnie gadzie, wręcz bazyliżkowe spojrzenie, włosy wyglądają niczym rogowy grzebień, a dziwna fałda na plecach kurtki kryje szybko rosnące, błoniaste skrzydła. Bardzo starałem się nie denerwować, przekonany, że przy najmniejszym wybuchu zacznę ziać ogniem lub rwać szponami cel mojego gniewu. To tylko złudzenie, przekonywałem się za każdym razem, walcząc z niesforną fryzurą czy poprawiając kurtkę. I jakoś wciąż nie mogłem siebie przekonać. Mimo to posłusznie łykałem przepisane tabletki, choć zdawało się, że w ogóle na mnie nie działają. Doktor uprzedzał, że trochę potrwa, nim zacznę odczuwać skutki ich przyjmowania.

Bałem się wszystkich tych chwil, bałem tak samo jak dawniej, lecz nadzieja, którą zasiało we mnie spotkanie z panem



Andrzejem-smokobójcą, sprawiła, że znalazłem w sobie nowe siły. To nic, mówiłem sobie. Nie mogę oczekiwać, że po kilku spotkaniach wszystko się zmieni. Tu trzeba cierpliwości i czasu, bo chęci do współpracy mi przecież nie brakuje.

– Powinien go pan trochę poznać – powiedział podczas kolejnej sesji pan Andrzej. – Dowiedzmy się o nim czegoś więcej.  
– Po co? – burknąłem.

Nie chciałem się do tego gada zbliżać, a tym bardziej go poznawać.

– Choćby po to, żeby skutecznie go pokonać. Musimy znać jego słabe i mocne punkty.

No tak, o tym nie pomyślałem. Nie chodziło tu przecież o badanie zwyczajów nowego gatunku motyla, lecz zebranie informacji o wrednym i podstępnym wrogu, który mi zagrażał.



Byłem niczym statek w czasie sztormu – raz do góry, raz na dół.

Lekarstwa wreszcie zaczęły działać. Dzięki nim na nowo odkryłem znaczenie słowa "spokój". Dopiero teraz poczułem, jak bardzo był mi potrzebny. Rozkoszowałem się nim jak spragniony wędrowiec na pustyni pierwszymi łykami wody ze źródła. Oddychałem pełną piersią, począłem na nowo dostrzegać piękno świata wokół. Nareszcie mogłem spać spokojnie. Co prawda, moje sny przypominały skok w czarną, bezdenną otchłań, ale budziłem się wypoczęty, a o to przecież chodziło.

A smok? No cóż, smok po prostu... sobie był. Dalej pojawiał się w najmniej spodziewanych chwilach i szalał w moim wnętrzu, co jakiś czas przyprawiając o ataki panicznego lęku. Wiedziałem, że poprawę zawdzięczam tylko chemii, i nadal czasami miałem wrażenie, że od przemiany w smoka dzieli mnie tylko bardzo krucha bariera wspomaganej lekami woli, lecz nie bałem się już tak często jak dawniej. Zaczęła się we mnie umacniać nadzieja, że może jednak w tej walce uda mi się zwyciężyć.

Zgodnie z zaleceniami pana Andrzeja, obserwowałem reakcje bestii i swoje własne. Starannie notowałem w pamięci okoliczności, w jakich smok wyrwał się na swobodę. Może to dziwne, ale nie bałem się już tak bardzo – ani jego ryków, ani słów. Nawet myśl o tym, że mógłbym mieć szponiaste łapy, ziać ogniem, szerzyć śmierć i zniszczenie, nie wywoływała już takiego przerażenia jak kiedyś. Może się przyzwyczailem, a może to dlatego, że wreszcie coś z tym robiłem. Mogłem mieć tylko nadzieję, że spokój nie skończy się tak szybko, jak bywało wcześniej.

Wszystko to omawiałem potem na cotygodniowych spotkaniach z panem Andrzejem. Przychodziłem na nie w różnym stanie ducha – podekscytowany, zmęczony, zniechęcony bądź zaintrygowany, zawsze jednak pewien, że w taki czy inny sposób popycham sprawę do przodu. Opowiadałem dokładnie, wałkowaliśmy każdy szczegół, który tylko uznał za ważny. Często nie wiedziałem, do czego zmierzają jego pytania, zakładałem jednak, że facet wie, co robi, dlatego starałem się odpowiadać, jak umiałem najlepiej, zresztą czas pokazywał, że zwykle psycholog miał rację. Dyskutowaliśmy długo, niczym dowódcy przed ważną bitwą, starannie łącząc wszelkie informacje, tworząc z nich coraz pełniejszy obraz potwora. A potem wraz z panem Andrzejem zaczęliśmy powoli wypuszczać smoka.



Każdą wolną chwilę spędzałem w Internecie, przeglądając setki zdjęć krajobrazu, uwiecznionego o każdej porze dnia i nocy przez fotografów z całego świata. Wysokie, strome góry, pełne urwisk, głębokich przepaści i jaskiń stworzyłem, wzorując się na Górach Skalistych. Wśród skał posadziłem kosodrzewinę z Karkonoszy. Gęsty las strzelających w niebo sosen i przesycony ich mocnym zapachem, powstał z tajgi oraz lasów kanadyjskich. Wijąca się, błyszcząca w słońcu wstęga wielkiej rzeki była efektem połączenia różnych odcinków Donu i Dunaju. Rozległe, porośnięte wysoką trawą równiny podpatrzyłem z Mongolii, a białe, piętrzące się w fantastyczne kształty chmury – ze

wszystkich pięciu kontynentów, wybierając najciekawsze okazy. Rozpiąłem nad nimi błękitne, australijskie niebo. Zapewne każdy geograf czy botanik, widząc moje dzieło, zawyłby ze zgrozy, ale to mnie nie obchodziło.

Pracowałem powoli, nie spiesząc się, kiedy miałem ochotę albo do głowy przyszedł mi pomysł na zastosowanie jakiegoś elementu. Przykładałem się do tej roboty tak starannie, jakby chodziło o cenny renesansowy posąg lub średniowieczny obraz. Sporo czasu zajęło mi zakomponowanie całości, rozmieszczenie poszczególnych elementów. Gdzieś w głębi tkwiło mocne przekonanie, że im bardziej się przyłożę, tym lepiej będzie dla wszystkich. Gdybym zrobił to byle jak, mogłoby mu się tam nie spodobać i jeszcze by chciał wrócić. Nie wolno mi było do tego dopuścić. Miał się tam poczuć jak w domu, choć kto wie, jak wygląda idealny dom dla smoka?

Mimo to pracowałem zawzięcie, wkładając w to całe serce i duszę. W końcu ten smok siedział we mnie; pan Andrzej twierdził, że jeśli ktokolwiek umiałby odpowiedzieć na to pytanie, to właśnie ja.

Cały czas myślałem o tym, co się dzieje ze smokiem. Co ciekawe, od kiedy wziąłem się do roboty na poważnie, nie pojawiał się tak często i nie szalał tak mocno, jak wcześniej. Nie wiedziałem, co o tym sądzić; być może bestia po prostu wycofała się w głąb mnie i zasnęła, a może była to tylko cisza przed burzą. Bałem się, że pilnie podsłuchuje nasze narady, wie, o czym rozmawiamy, i w najmniej odpowiednim momencie wywinie jakiś paskudny numer. Kiedy już wszystko było gotowe, nadszedł czas na najtrudniejszą część – pod kierunkiem pana Andrzeja zabrałem się do wypuszczania smoka. Zgodnie z jego zaleceniami robiłem to powoli, etapami, codziennie. Troszeczkę tu, troszeczkę tam. Pozwalałem, by to gad decydował, jaki fragment siebie odsłoni, a wtedy od razu go uwalniałem.

Trwało to długo – miesiąc, może dłużej. Byłem cierpliwy niczym myśliwy albo fotograf dzikiej przyrody, tkwiący wiele godzin bez ruchu na swoim stanowisku. Czekałem na smoka, by wreszcie pojawił się w całej swojej okazałości. A ja zbierałem tę

wiedzę; wraz z panem Andrzejem składaliśmy pracownicy jedną informację do drugiej, dowiadując się coraz więcej o moim wrogu.



Którejś nocy, zamiast zasnąć jak zwykle kamiennym snem, stanąłem przed czerniejącym w skale otworem jaskini i pewnym krokiem wszedłem do środka. Nie odczuwałem strachu, raczej zdecydowanie i jakby odrobinę ciekawości. Sunąłem wyżłobionym w skale korytarzem bez potykania się, mimo że nie niosłem ze sobą żadnego światła. Otoczenie widziałem w czarno-granatowej tonacji, jakby wszystko spowijała filmowa noc amerykańska. Spojrzałem na swoje ciało – nadal byłem człowiekiem.

Korytarz wkrótce się skończył, a ja znalazłem się w dużej, tonącej w ciemnościach pieczarze.

Cielsko smoka wypełniało ją niemal w całości, gigantyczny łeb spoczywał na ziemi. Po raz pierwszy mogłem przyjrzeć mu się dokładnie i z tak bliska.

– Podziwiał mnie, póki jeszcze możesz – mruknął. – To będzie ostatnia rzecz, jaką w życiu zobaczysz.

Wzruszyłem ramionami – nie mówił tego z przekonaniem, chyba raczej usiłował podkreślić, kto tu rządzi. Czułem, że mogę porozmawiać z nim jak równy z równym, nawet jeśli jego żrenica mierzyła tyle, ile mój wzrost. – To już niedługo – powiedziałem spokojnie.

Byłem nastawiony na wszystko: gwałtowny atak, podstępne zionięcie, próbę długiej, pokrętej rozmowy. Tymczasem gad uniósł łeb i westchnął jak pies, który układa się wygodniej.

– Niedługo się rozstaniemy – stwierdził smutno. – Coś szykujesz, wiem to.

– Owszem.

– Szkoda...

– Jak komu. Nie oczekuj, że będę cię prosił, żebyś został. – Nie

lubisz mnie... chcesz się mnie pozbyć.

– Dziwi cię to? W końcu to nie ja niszczę twoje życie, tylko ty moje.

– Będę tam bardzo samotny...

Patrzyłem na niego i nagle pomyślałem, że wcale nie jest aż tak straszny, jak mi się wcześniej wydawało. Że nie boję się go tak bardzo jak kiedyś. Że przyglądam mu się z ciekawością, zainteresowaniem i że jest mi go nawet trochę żal.

W końcu czy mi się to podobało, czy nie, był częścią mnie.



Wreszcie pewnego dnia przyszedłem do psychologa z dodatkowym bagażem. Bardzo ważnym bagażem.

– I jak, jest pan gotów? – spytał.

– Bardziej już chyba nie mogę – przyznałem. Byłem stremowany jak przed obroną dyplomu.

Zaprezentowałem mu przyniesioną przez siebie tekturową rurę, zamkniętą dwiema plastikowymi pokrywkami. Nie używałem jej od czasów studenckich i zdążyła się nieźle zakurzyć na pawlaczu. Otworzyłem ją, ostrożnie wyciągnąłem ze środka zwinięty arkusz bristolu i podałem panu Andrzejowi. Rozwinął go i pokiwał z uznaniem głową.

– No proszę, wspaniale. Pięknie. Bardzo się pan przyłożył. Uczył się pan rysunku?

– Jak każdy konserwator.

– Rzeczywiście, zapomniałem.

Na karcie widniał narysowany kredkami pejzaż: po lewej gęsty sosnowy las, przechodzący w porośnięte kobiercem traw, lekko pofalowane równiny. W oddali, na horyzoncie, majaczyły skryte za mgłą i chmurami niebosiężne góry, wiła się migocząca, srebrzysta wstęga rzeki.

Na pierwszym planie smok rozpościerał skrzydła, odwrócony grzbietem w stronę widza, z długą szyją skierowaną w lewo,

jakby do skrętu. Dla równowagi, ogon był zawinięty w przeciwną stronę. Tutaj mógł wreszcie rozwinąć skrzydła, ryczeć i ziać ogniem, nie czyniąc nikomu krzywdy. Ograniczony ramami obrazka, bezpiecznie zamknięty w ich obrębie, wraz ze stworzonym dla siebie światem. Było to spokojne, pełne dzikiego piękna miejsce, nietknięte przez człowieka. Tylko skały, drzewa, ziemia, niebo, chmury i on. Otwarta przestrzeń, w której mógł szybować do woli.

Wskazałem jeden z fragmentów rysunku. Wpadłem na ten pomysł niemal w ostatniej chwili, już po rozmowie ze smokiem. – Zadbał pan o niego. – Pan Andrzej uśmiechnął się. – To dobrze.

– Czułem, że nie mogę go tak zostawić. Okej, bruździł mi strasznie, ale w końcu to mój smok. Stanowi w pewnym sensie część mnie, prawda?

– Prawda.

– Zatem, tak jak się umawialiśmy, oddaję panu to dzieło.

Psycholog pieczołowicie zwinął rysunek, okręcił gumką i włożył do jednej z szuflad w regale. Nie mogłem się nie zastanawiać, czy wśród zalegających w niej papierów nie siedzą pozostałe dwa smoki.

– Wie pan, że to dopiero początek? – spytał pan Andrzej, kiedy już zasiedliśmy w fotelach.

– Tak – odpowiedziałem całkowicie szczerze.

Czułem, że to naprawdę jest dopiero początek. Uwolniłem się od smoka, ale to stanowiło zaledwie pierwszy krok na nie wiadomo jak długiej drodze, którą mi przyjdzie pokonać. Jakoś nie przerażała mnie ta perspektywa, raczej pociągała. Wiedziałem, że będą mnie na niej czekać różne zakręty, że będzie prowadzić w górę i w dół, wśród stromych skalnych grani, przez słoneczne łąki, cieniste lasy i mroczne puszcze, ale cóż, w tym tkwił jej urok. Najważniejsze, że była prawdziwa. Moja.

Smok też nie powinien narzekać na nudę i samotność.

Na rysunku, w oddali, na bezkresnym niebie, zaznaczone zaledwie kilkoma kreskami, bujały zawieszony w przestworzach

trzy inne smoki.

# Wit Szostak

## RAPORT Z NAWIEDZONEGO MIASTA

### Dzień pierwszy

Musiał przybyć do miasta w porze sjesty, w tym czasie nieruchomym, co zastyga od gorącego powietrza i ludzkiej bezwoli. W czasie kiedy całe miasto pogrążone jest w bezdusznej, lepkiej drzemce, która nie przynosi snów, tylko mokre od potu zmęczenie i niechęć do jakiegokolwiek pracy. Z drzemki takiej człowiek budzi się jak oczadziały, z bólem głowy i niepewnością tego, czy już powrócił na jawę. W czasie tym całe miasto zamiera, skryte za ciężkimi okiennicami, a obywatele chowają się w najciemniejsze i najchłodniejsze kąty swych domostw. W tym czasie zamiera wszystko, zamykane są sklepy, w świątyniach ustają modły. Woda nie tryska z fontann, a nieliczne chmury zastygają na nieboskłonie. Nikt nie wychodzi na rozpalone słońcem ulice i rozżarzone kłęby powietrza mogą bezgłośnie wypełniać place i zaułki, przylegając szczelnie do kamieni i cegieł. W czasie tym zamierają nawet ludzkie myśli, zniewolone gęstą jak oliwa atmosferą. Cichną też, bez jakichkolwiek prób walki, wszelkie uczucia. Nikt nie wybiera tej pory na kłótnie, gdyż nawet gniew ustępuje pola bezruchowi. Nikt wówczas nie nienawidzi i nikt nie kocha. Oblubieńcy rozstają się na długie chwile, lecz rozłąka ta nie rodzi w nich żadnej tęsknoty. W czasie tym każdy ruch jawi się jako zdrada, jako nieudolna próba zaprzeczenia powszechnym prawom świata. Miasto obumiera, czekając na odpowiedni moment, by po dwu godzinach ponownie uruchomić tryby zwyczajnego bytowania.

I właśnie ten czas, kiedy obywatele pogrążeni byli w



bezsennych i bezdennych snach, wybrał na swoje przybycie. Zapewne pojawił się w mieście na drodze ze Sieny, wybierając wejście przez **Porta de gli Innocenti**. Łatwiej tamtędy wspiąć się na płaskowyż, sunąc w cieniu oliwnych gajów. Przemieszczał się wolno, niemal doskonale udając wszechobecny bezruch. Bezgłośnie i bezszelestnie przemierzał piaszczyste zakręty, mozolnie zbliżając się do murów. Strażnicy nie mogli go zauważyć. Pozlepiani snami nie do opowiedzenia zastygli na swoich posterunkach. A on przekroczył cień bramy i ruszył ulicami miasta. Skręcał, poddając się nieprzeniknionej logice zaułków i przewężeń, ocierał się o chropowate ściany domów i wież. Pewnie co jakiś czas unosił głowę i omiatał zwierciadlanym spojrzeniem skryte w mroku okiennic komnaty i korytarze. Jego oddech tchnął w tunele ulic jeszcze większy żar, gorąco nie do wyobrażenia, powolne fale upału, które kazały parować wodom z uśpionych fontann i wykrzywiać obrazy budowli w fantastyczne i nieistniejące w ludzkim świecie kształty. Wszystko to naruszało odwieczny bezruch tej pory, lecz nie było wówczas w mieście nikogo, kto zdołałby dostrzec to poważne pogwałcenie praw natury. Musiał poruszać się bezgłośnie, bez pozostawiania po sobie najmniejszego śladu. Ludzie, którzy godzinę później przeszli jego trasą, nie wyczuli niczyjej obecności, zastali swój świat takim, jakim pozostawili go przed sjestą.

W wężowych zakrętach **Via d'Inferno Vuoto** zapewne czuł się jak ryba w wodzie. A potem musiał prześlizgnąć się po dnie patelni, jakim wówczas było **Campo di Conchiglia**, i wspiąć stromą **Via Sangio vese** w kierunku **Piazza del Duomo**. Miał za sobą dziesiątki wyborów i wiele odrzuconych fałszywych skrętów i skrzyżowań. I zapewne nieomylnie wybrał drogę najkrótszą, nie ulegając pokusie zacienionych i chłodnych zaułków. Kiedy dotarł na plac przed katedrą, przystanął na chwilę przed kamienną fasadą. Nie wiadomo, czy się zachwycił majestatem **Duomo**, choć niewielu potrafi oprzeć się jego marmurowemu urokowi. A potem pokonał dwanaście stopni, minął zaryglowane od środka główne wejście i, popychając lekko spiżowe drzwi zamykające transept od południowej strony, zanurzył się w mrok katedry.

Miasto z wolna się budziło i każdy starał się wrócić do własnych spraw. Przerwane obowiązki dawały się podjąć, czyniąc to jednak z niekłamaną niechęcią. Wątki zawieszonych na czas sjesty rozmów zdążyły ulecieć ku niebu. Otwarto sklepy, z kuchennych kominów trattorii znów zaczęły się sączyć bielutkie wstążki dymu. Ulice napełniły się zapachem smażonego czosnku, rozgrzanej oliwy i wonnych ziół. Drożdżowe ciasta wyrastały w dzieżach. Stukot dochodzący z rzemieślniczych warsztatów mieszał się ze śpiewnymi nawoływaniem kobiet. Miasto, nieświadome niczego, starało się doprowadzić kolejny dzień do szczęśliwego końca. Wieczór przybliżał się z codzienną nieuchronnością.

I właśnie wtedy, kiedy sukiennicy zaczęli szykować się do wieczery, farbiarze rozwieszali płótna na sznurach, a kupcy korzenni zawiązywali worki z wonnościami, na **Campo**, główny plac Miasta, wbiegł szaleniec, wykrzykując, że w katedrze przyczał się smok. Większość sprawiedliwych obywateli Miasta przystanęła i mieszając niedowierzanie z zaciekawieniem, zaczęła wsłuchiwać się w jego słowa. A ten krzyczał tak, że nie można było wzruszyć ramionami i zwyczajnie go zignorować. Podbiegał do gromadzących się na **Campo** grupkę, roztrącał je, odbijając się od spracowanych mieszczan. I bez przerwy wył, powtarzając bezładnie wieści o smoku. Wielu obywateli znało twarz szaleńca. Jego oczy zwrócone w żebraczej prośbie rzucały im co tydzień wyzwanie, kiedy dumni ze swych chrześcijańskich cnót po niedzielnej mszy wychodzili z katedry. Szaleniec przenikał ich spojrzeniem pogodzone z cierpieniem i biedą. Teraz, potrząsając chudymi, odzianymi w łachmany ramionami tańczył między mieszkańcami Miasta, wykrzykując nowiny o bestii. Niektórzy zaczęli sięgać do sakiewek, chcąc uciszyć żebraka. Jałmużnę uznawali za niezawodny środek na zapewnienie sobie spokoju sumienia. Pobrzękiwały drobne monety. Szaleniec nagle zamilkł i sytuację uznano za zażegnaną. I zapewne nikt by się jego krzykami nie przejął, gdyby nie to, że w pewnej chwili żebraczyna stanął, wyrzucił ramiona ku niebu i znieruchomiał. A ci, którzy mu się przyglądali, zauważyli, jak rysy mu tężeją, twarz żółknie. Jak kamienna żółć piaskowca

obejmuje skołtunionie włosy, połatane łachmany, tułów, ręce, krogulczo zakrzywione palce. Jak pełźnie w dół, liżąc nogi i pokryte wrzodami bosa stopy. Nie minęła chwila, kiedy szaleniec, nikt nie pamiętał jego imienia, zmienił się w kamień. Ludzie się rozstąpili. Pomiedzy nimi stał na ugiętych nogach, zastygły w dziwnej pozie, posąg z piaskowca. Spokój, który perspektywa wieczery wlała w serca obywateli Miasta, pierzchł owego dnia z **Campo di Conchiglia**. Ludzie cofali się na obrzeża placu, udając, że nie mieli z przedziwnym wydarzeniem nic wspólnego. Przekonywali siebie i innych, że nawet nie byli jego świadkami, że nie słyszeli słów szaleńca, że nie widzieli, jak zmienia się w kamień. **Campo** szybko opustoszało.

Jeszcze tego samego wieczoru kilkanaście osób pobiegło na **Piaz za del Duomo**. Byli to nieliczni, którzy uwierzyli. Wieści o smoku, nawet wobec kamiennego posągu szaleńca, nadal brzmiały mocno niewiarygodnie. Ochłonawszy, obywatele udali się na zasłużoną wieczerzę. Ci zaś, którzy uwierzyli, lub z czystej ciekawości chcieli sprawdzić, na ile mogą uwierzyć, rozprawiając o przebrzmiałych legendach wspięli się na plac przed katedrą. Robiło się ciemno, mrok wpełzał w zaułki i ulice. Na fasadzie katedry kładły się długie cienie. Kontrast pomiędzy układanymi w poziome czarne i białe pasy płytami marmuru zacierał się coraz bardziej. Karminowe jęzory słońca lizały nagrzaną kamień. Odwaga szacownych obywateli zaczęła chyłkiem pierzchać w boczne uliczki, kryć się pod arkadami loggii. Wreszcie, mnąc w dłoniach czapkę w kolorze palonej sjeny, pierwszy ruszył ku spiżowej bramie farbiarz Giuseppe. Wsunął się przez szczelinę i zniknął z oczu. Z wnętrza świątyni nie doszedł ani jeden odgłos. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, kroki Giuseppe ucichły. Następną chwilą rozpostarła się na wiele uderzeń serca. Nawoływania przez uchylone drzwi nie pomogły. Wracały, rozmyte echem. Słońce schowało się za mury i na niebie pozostała różowa luna.

Nikt nie odważył się sprawdzić, co przydarzyło się farbiarzowi Giuseppe. Tak zakończył się pierwszy dzień nawiedzenia.



## Dzień drugi

Wieści o farbiarzu Giuseppe rozeszły się szybko. Jego zniknięcie i stojący na samym środku **Campo** posąg szaleńca nie pozwalały zapomnieć o dziwnych wydarzeniach minionego wieczoru. Od rana na **Piazza del Duomo** zaczęli się zbierać obywatele Miasta. Zbici w ciasne grupki dyskutowali z ożywieniem, snuli domysły. Pomiedzy nimi lśniły kałuże. W nocy spadł deszcz, a słońce jeszcze nie zdążyło osuszyć mokrych plam. Wspinało się na nieboskłon i plac przed katedrą pozostawał w cieniu.

Mieszczanie miny mieli niepewne. Nie wierzyli w smoki, byli bowiem ludźmi uczciwymi i pobożnymi. Ale nieobecność farbiarza domagała się jakiegoś wyjaśnienia. I choć dodawano sobie otuchy wesołymi komentarzami, nikomu nie było do śmiechu. Mówiono wprawdzie, że Giuseppe musiał zemdleć ze strachu tuż za drzwiami świątyni, ale w to wytłumaczenie wierzono jeszcze mniej niż w smoka. Spośród zebranych wyłoniła się grupa sześciu młodych chłopców. Uzbrojeni w kije, noże i rubaszne żarty powoli wspięli się ku spiżowej bramie. Łącz nieistniejącą bestię, śmiało zniknęli w ciemnej szczelinie. Po chwili ich kroki i pokrzykiwania umilkły.

Ani tego dnia, ani następnego nikt ich nie zobaczył wśród żywych.

Wreszcie z tłumu wyrwały się trzy kobiety – żona farbiarza Giuseppe i matki młodzieńców. Przed drzwiami przeżegnały się i rozpoczęły modlitwę. Modlitwa zawisła na "owocu żywota", tuż po tym, kiedy kobiety odważnie wkroczyły w mrok katedry. Potem nikt nie chciał ryzykować. Zebrani na **Piazza del Duomo** obywatele zaczęli się bać i roznieśli swój strach do domów i warsztatów. Większą grupą podeszliśmy do drzwi transeptu. Ostrożnie pchnięte ukazały nam potężną nawę poprzeczną. Była pusta. Ani śladu zaginionych, ani śladów wieszczanego smoka. Jeśli w istocie przyczał się w katedrze, musiał siedzieć w głównej nawie. Ale nikt nie chciał sprawdzać. Ci, którzy mieli odwagę,

zniknęli. Ostrożnie, by nie drażnić tego, który zapewne nie istniał, przymknęliśmy spiżowe wrota.

Na Miasto padł strach. Wprawdzie nikt nie wierzył w obecność smoka, ale tajemnicze wydarzenia w katedrze nie pozwoliły udawać, że jest to kłopot jedynie zamienionego w kamień szaleńca, którego imienia nikt nie pamiętał. Ja ze swej strony zrobiłem to, co do mnie należało. Wspiąłem się na katedralną kampanilę i zacząłem bić na trwozę. Nie pamiętam, jak długo ciągnąłem za sznury. Dźwięczne, pełne niepokoju głosy dzwonów niosły się daleko poza mury Miasta. Widziałem ludzi na pszenicznych polach, którzy przerywali pracę i zapewne spoglądali w stronę biało -czarnej dzwonnicy. Złote łąny, rozsiane na okolicznych wzgórzach, wydawały się nieporuszone.

Kiedy skończyłem dzwonić, usiadłem, czując na twarzy powiew wiatru. Serce biło mi szybko, a rytmiczne porywy wichrów targały moimi mokrymi włosami. Koszulę miałem mokrą od potu. Przeniknęło mnie zimno. Na tej wysokości powietrze nigdy nie zastygało w bezruchu. Nawet w porze sjeisty. Prawa sjeisty dotyczyły świata, który rozpościerał się nisko pode mną. Popatrzyłem w dół, na ceglaste dachy Miasta. Pode mną wszystko zbudowane było z wypalanej gliny. Mury i dachy, pałace i kościoły, również place wykładano rdzawymi, wypalanymi w piecach płytami z gliny. Miasto sprawiało wrażenie, jakby samo wyrosło na wzgórzu. Przypominało żywe stworzenie, z nieregularnymi, krętymi zaułkami, z pozbawionym logiki układem placów i ulic. Nie wyglądało jak dzieło ludzkich rąk. Przywodziło raczej na myśl rodzinę grzybów, skupioną wokół siebie pod dębem, stykającą się kapeluszami i pochłaniającą coraz większe połacie lasu. Wyobrażałem sobie, że Miasto wyrosło przed wiekami, zapewne po ulewnych opadach, a ludzie, którzy napotkali je na swej drodze, musieli uznać to miejsce za dobre do zamieszkania. Tak samo jak eremici wybierają na swe cele niestworzone ludzką ręką jaskinie.

W Mieście wszystko było ceglane i organiczne poza marmurową, czarno -białą katedrą. **Duomo** nie pozostawiało żadnych złudzeń. Musiało być dziełem człowieka. Harmonia

brył, proporcje naw, geometria sklepień, matematyczna równoległość wzorów, strzelistość kampanili i majestat kopuły. To wszystko zostało przemyślane, wyliczone, wyrysowane. Marmury na elewację i wewnętrzne kolumny sprowadzono z Carrary. Zatrudniono najlepszych architektów, rzeźbiarzy i mozaicystów. A potem poproszono samego Francesca del Piera, by ozdobił prezbiterium freskami. Dzwony, rozhuśtane przeze mnie, powoli zastygały w bezruchu. Jeszcze kołysały się lekko, ale serca od dawna nie dotykały ich spizowych krawędzi. Z miejsca, gdzie siedziałem, zobaczyłem straże miejskie, które w pośpiechu zamykają bramy. A zewsząd, wszystkimi ulicami i zaułkami, na **Campo** zaczęli spływać obywatele Miasta. Strumienie kolorowo odzianych ludzi zbierały się pod dumnym budynkiem **Palazzo Pubblico**. Ruszyłem schodami w dół, by dołączyć do zgromadzenia.

Władzę nad Miastem ponownie przejęli starcy. Wszystkie nadzieje złożono w ręce Rady Pięciu. Ale ludzie Rady nigdy nie potrafili być powiernikami cudzych nadziei, dlatego dobrze wiedzieli, że znaleźli się w wielkim kłopotcie. Fakt, że zwrócono się o pomoc właśnie do nich, najlepiej pokazywał, w jakim stanie znalazły się umysły obywateli. Poprzednio powierzono starcom losy Miasta w czasie zarazy. Ci natomiast zamknęli się w swoich wieżach i pozwolili, by zaraza zabrała piątą część obywateli. Stare rody pozostały niemal nietknięte.

Starcy przychodzili na obrady pojedynczo, z trudem przeciskając się przez gęstniejący na **Campo** tłum. Prowadzeni przez synów i zięciów zmierzali drobnymi kroczkami w kierunku **Palazzo Pubblico**. Wreszcie dotarli wszyscy i Rada Pięciu rozpoczęła posiedzenie. Na mocy dawnych obyczajów rządzą Miastem w imieniu pięciu najznakomitszych rodów. W rzeczywistości Miasto nie potrzebowało ani ich rządów, ani ich wątpliwej mądrości. Zbierali się więc parę razy do roku i wydawali nikomu niepotrzebne oświadczenia. Dwa pokolenia wcześniej rosnący w siłę kupcy korzenni i sukiennicy wżenili się w podupadłe rody starej arystokracji, które na swoją obronę miały tylko zmyślane genealogie sięgające czasów Rzymu. Sukiennicy pobudowali sobie pałace przy najpiękniejszych

placach Miasta i uwierzyli, że panowanie nad obywatelami przypomina zarządzanie kramami z sukrem. Rozpoczęły się dobre rządy, gdyż starcy nie krzyżowali swych dróg z obywatelami.

Tego dnia w **Palazzo Publico** zebrali się nestorzy pięciu rodów. Radzie przewodniczył Gianluca Caprioli. Niegdyś potężny, po śmierci drugiej żony dzieciłniał i w przeciągu kilku lat stał się cieniem samego siebie. Niegdyś władczy, dziś był drobnym, zgarbionym staruszkim, który śmiesznymi kroczkami przesuwał się po ulicach Miasta i rozdawał dzieciom słodycze. Gładził je po główkach i prosił, by mu powiedziały, gdy zobaczą jego ukochaną Battistę. Obok Capriolego zasiadł otyły ponad miarę Benedetto Fagiolini, a także chutliwy mimo wieku Domenico di Galonero, zdewociały Gianbattista Montecapri i Tomasso Cencio, który dzięki żywym rumieńcom robił, zwłaszcza na dzieciach, niezwykle korzystne wrażenie. Pięciu mężczyzn, odsuniętych wiele lat wcześniej przez synów od rodzinnych interesów, owdowiałych bądź porzuconych przez małżonki, które wstąpiły do klasztorów, miało radzić nad losami Miasta. Musieli zastanowić się, co zrobić ze smokiem, choć nigdy smoka nie widzieli. Na ich obronę można powiedzieć to, że nikt smoka nie widział, może poza szaleńcem, który teraz kamiennym spojrzeniem wpatrywał się w okna **Palaz zo Publico**. Starcy mieli dyskutować, choć nigdy tego nie robili, do tej pory albo zgadzając się ze sobą, albo walcząc bez wdawania się w dyskusję. Wszyscy zebrani na **Campo** czuli tę wiszącą w powietrzu bezradność.

Okolo południa starcy posłali po przeorów franciszkanów i dominikanów. Niedługo potem ze swych klasztorów przybyli ojcowie Cosimo i Jacopo. Biskupa wezwać się nie dało, gdyż od wielu tygodni bawił we Florencji. Swoją trzodę odwiedzał z rzadka i raczej niechętnie.

Zakonnicy wyjaśnili starcom teologiczne podstawy niewiary w smoka. Na pytanie, dlaczego szaleniec zmienił się w kamień na oczach dziesiątków ludzi, nie było dobrej odpowiedzi ani w "Summie" Akwinaty, ani w "Kwiatkach" Biedaczyny z Asyżu.

Niemniej hipoteza, jakoby ktoś chciał zakpić z szacownej Rady, rozpuszczając plotki o smoku, musiała zostać odrzucona. Twarze starców zdradzały, że na taką ewentualność nie byli przygotowani. Sekretarz zredagował lakoniczny komunikat: "Nie wiadomo, czy w katedrze jest smok. Tego kto to sprawdzi, czeka nagroda. Ludzie giną i to napawa Radę niepokojem. Rada z troską pochyliła się nad tym nieszczęściem. Trzeba zachować nadzieję". Herold z balkonu odczytał te słowa zebranym przed **Palazzo Pubbico**. Obywatele byli rozczarowani, ale w głębi duszy nikt nie spodziewał się niczego więcej. Starcy wycofali się do swych pałaców, zostawiając Miasto jego troskom.

Dalej wydarzenia potoczyły się kilkoma torami. Zakonnicy zanieśli do swych klasztorów najnowsze wieści. Wśród żebraczych wspólnot rozpoczęły się teologiczne dysputy, jak wyjaśnić to, czego wyjaśnić się nie da. Jeśli w **Duomo** zamieszkała bestia, to co może oznaczać jej pojawienie się? Wszak do tej pory smoki istniały tylko w jarmarcznych pieśniach i na obrazach ze świętym Jerzym. Co do bestii z Apokalipsy, preferowano wykładnię alegoryczną. Czy smok jest dziełem Boga, czy wysłannikiem Szatana? Dlaczego nawiedził akurat nasze Miasto, a na miejsce swego pobytu wybrał Dom Boga? Co z tego wynika dla zwykłych grzeszników? Relacje z tych debat zdawano w kazaniach. Kościoły się wypełniły, ludzie modlili się o to, by było jak dawniej.

Życie Miasta przeniosło się na obrzeża, gdzie znajdowały się klasztory. Przez **Campo** przechodzili tylko pojedynczy ludzie, **Piazza del Duomo** opustoszała. Nikt już nie chciał samodzielnie sprawdzać, czy w katedrze naprawdę jest smok. Opowieści o skamienieniu bezimiennego żebraka przemówiły do wyobraźni bardziej niż płomienne kazania przesycone wonią piekielnej siarki. Ludzie starali się wracać do zwykłych zajęć i monotonią dnia codziennego próbowali oswoić obecność smoka. Ale ten, jeśli pogłoski były prawdziwe, przecież cały czas leżał zwinięty niemal w samym sercu Miasta. Leżał, oddzielony od ludzi jedynie ścianami katedry. I każdy w głębi duszy czuł, że bestia nie pozostanie w katedrze wiecznie. Widmo nieznanego zawisło nad spokojnym snem obywateli. Ludzie źle sypiali, do swych kramów



i warsztatów przychodzili z podkrążonymi oczami. Sjesta straciła swe dotychczasowe uroki. Jej naturalny bezruch coraz częściej był kwestionowany. Czeladnicy mylili robotę, kupcy sami siebie oszukiwali na wadze. Nikt nie wiedział, do czego to wszystko zmierza.

Niezależnie od tej niewyraźnej i niedającej się oswoić trwogi, kilku obywateli zebrało się w sobie i zastukało we wrota pałacu zajmowanego przez odważnego Ghiralda da Firenze. Mąż ten, zwany wszędzie Il Cinghiale, był kondotierem, o którym śpiewano pieśni. Chwile największej chwały musiał mieć już za sobą, skoro wybrał na schronienie właśnie nasze Miasto. Niegdyś przyjmowany przez rządców Sieny, Orvieto i Urbino, dziś z rozczuleniem wspominał dawne wiktorie. Il Cinghiale lekko posiwiiał, brzuch z trudem udawało mu się wtłoczyć w pośniedziały pancerz. Ale widok zgiętych wpół rzemieślników wzruszył go szczerze. Uprzejmie potakując, gładził wypielęgnowaną brodę, z udawanym zawstydzeniem reagował na komplementy. Nie prostował, kiedy na wyrost chwalono nie jego zasługi, i nawet otarł łzę z policzka, kiedy mieszczanie ulokowali w nim resztki swej nadziei.

Obiecał, że następnego dnia, w samo południe, stawi czoło smokowi. Miasto może spać spokojnie. I tak zakończył się drugi dzień nawiedzenia.



### Dzień trzeci

Rankiem, zanim na **Piazza del Duomo** zaczęli ściągać obywatele Miasta chcący być świadkami wiktorii mężnego Ghiralda da Firenze, zbliżyłem się do katedry. Szedłem wzdłuż południowej ściany, przesuając dłonią po chłodnym marmurze. Wyobrażałem sobie, że tuż za murem budzi się smok. Że nasłuchuje moich kroków, czeka na mnie. Chciałem wejść do środka. Bałem się, ale kusił mnie, by sprawdzić. Szaleniec, który przed dwoma dniami przybiegł na **Campo**, pewnie w porze sjesty zakradł się do **Duomo** i usnął w bocznej kaplicy. Kiedy się obudził, smok już tam był. A może nie było żadnego smoka? Może biedaczyna, dobiegłszy na **Campo**, skamieniał ot tak, bez

przyczyny? Może skamieniał z woli Boga za bluźnierstwo, jakim było głoszenie obecności smoka?

Wsparłem plecami katedrę i wyobrażałem sobie jej wnętrze. Trzy nawy, transept, boczne kaplice. Spokój białych ścian i dostojność czarno-białych kolumn. Często przychodziłem tu, by podziwiać wspaniałe freski przedwcześnie zmarłego Francesca del Piera. Zwłaszcza popołudniami prezbiterium było dość dobrze oświetlone, światło skłaniającego się ku zachodnim wzgórzom słońca wpadało przez alabastrową rozetę nad głównym wejściem, wydobywając z cienia dzieło wielkiego malarza. Odkąd do Miasta sprowadziły się zakony żebracze, umiejętnościami kaznodziejskimi gromadząc w swych kościołach tłumy, katedra z rzadka była odwiedzana przez obywateli. Stare kobiety wybierały na swoje litanie świątynie mniejsze i mniej wspaniałe, a wiekowa budowla pogrążała się w zapomnieniu. Nie pomogły nawet freski Francesca, mające, wedle biskupa, przyciągać wiernych.

Spacerując główną nawą, czułem się jak w ogromnym grobowcu. Rozeta i okna nad bocznymi nawami nie wpuszczały zbyt dużo światła, a to, co wpadało, było rozproszone i nierealne. Człowiek czuł, że zanurza się w inną przestrzeń. Taką, w której może zrozumieć i kontemplować tajemnice Najwyższego. Francesco namalował swoje dzieło na ścianach prezbiterium. Upadek pierwszych Rodziców, wygnanie z Raju, żywot świętego Piotra i historię Krzyża. A wszystko zamykał niedokończony fresk Zmartwychwstania. Del Piero nie zdążył namalować postaci Chrystusa. Na malowidle pozostał pusty grób i uśpieni strażnicy. Za wcześnie odszedł, za wielu ludzi pozostawił. Nie mając jego, mogłem tylko podziwiać jego freski. I przypominać sobie, jak przynosiłem mu na rusztowanie ser z pieczywem, dzban wody, gdyż Francesco nie uznawał sjesty. Jak siadaliśmy wieczorem w jednej z trattorii, a on milczał, łamiąc chleb, albo patrzył ciężkim wzrokiem poza twarze towarzyszących mu ludzi. Nie był jedynym, którego zabrała zaraza, ale jego brakowało mi najbardziej.

Tego dnia chciałem wejść do katedry. Pchnąć ciężkie wrota,

spokojnym krokiem przemierzyć transept i rzucić wyzwanie temu, co czaiło się w głównej nawie. Podszedłem do drzwi. Pośniedziałe od deszczów i wieków spiżowe historie biblijne rozgrywały się bez mojego udziału. Ludzie, zajęci ratowaniem dobytku przed potopem, walką z Filistynami i budową Świątyni nie patrzyli mi w oczy. Zbyt zajęci swoimi sprawami, zakłęci przez artystę po wieczność mierzyli się z kolejnymi wyzwaniami, które rzucał im Bóg. Zamiast pchnąć drzwi, podszedłem do wieży i przekręciłem klucz w zamku. A potem wolnym krokiem, przystając na kolejnych kondygnacjach, wspiąłem się na szczyt dzwonnicy.

Dzwony tak wspaniale, jak w katedralnej kampanili, wymagają odpowiedniej ręki. Precyzyjnie odlane przez ludwisarzy są doskonale ze sobą zestrojone. Trzeba poznać głos każdego z nich, gdyż każdy z dzwonów ma jedyny, właściwy sobie i oddający różne nastroje. Jedne wydają dźwięk szlachetny, doniosły, godny wyrazić chwałę boskiej potęgi. Inne odzywają się ze smutkiem, płacząc ku niebu, ich głos jest jak skarga, jak błagalna modlitwa. Jeszcze inne grają, jakby wyznawały grzechy. W każdym uderzeniu spiżowych serc słyhać szczerą skruchę. Po wielu latach pracy dzwonnika wiedziałem, czego mogę się po nich spodziewać. Poprzedniego ranka grałem na trwogę. Ale dziś musiałem pociągnąć za inne sznury. Nie mogłem pozwolić sobie na rozchwiany rytm, na nutę niepokoju i zwątpienia. Równo kwadrans przed południem pociągnąłem za sznur i największy z katedralnych dzwonów zapowiedział odsiecz. Śpieszący na **Piazza del Duomo** obywatele Miasta szli pełni nadziei i odwagi.

Na katedralny plac zaczęły ściągać tłumy. Potoki ludzi wypełniły uliczki, obywatele piełi się pod górę, by być świadkami triumfu kondotiera. Widziałem, jak ludzkie strumyki przybywają na dźwięk dzwonów. O tej porze nikt nie myślał o zbliżającej się sjeście. Spać nie zamierzali nawet starcy, choć, nie chcąc mieszać się z tłumem, czekali na wieści w swoich pałacach. Wielka nadzieja musiała żyć w sercach mieszczan, skoro uważali, że Il Cinghiale poradzi sobie z bestią wewnątrz katedry. Nikt nie zakładał nawet, że smok może wychynąć ze świątyni i spustoszyć plac. Smok był zagrożeniem, ale tylko dla tych, którzy sami

zechcą go uznać za zagrożenie. Tak myślano owego ranka na **Piazza del Duomo**. Ludzie tak wierzyli w męstwo kondotiera, że ucichły również głosy wątpiących w to, że smoka nie ma. Nawet jeśli smoka nie było, to Il Cinghiale i tak go pokona.

Dzwony ucichły, choć kołysały się jeszcze lekko. Wraz z nimi zaczęły cichnąć rozmowy na placu. I wtedy od strony **Campo**, szeroką ulicą Sangiovese nadjechał sam Il Cinghiale. Jego rumak w kłębie był wzrostu rosłego mężczyzny. Odziany w złoto - czarny czaprak, uszyty z tej samej tkaniny co płaszcz kondotiera, mienił się delikatnym splotem. Służący Ghiralda da Firenze przez całą noc polerowali puklerze, by teraz ich pan jaśniał należytych blaskiem. Jeśli ktokolwiek stracił nadzieję, na dźwięk podków uderzających o kamienie nadzieję swą odzyskał. Serca rosły. Ludzie wstrzymali oddech. Tłum rozstępował się przed kondotierem, a ten uzdą ściągał konia, by podjechać do katedry w sposób jak najbardziej dostojny. W prawej dłoni dzierżył kopię gotową kruszyć mury. U pasa błyszczał zaprawiony w bojach miecz. I tak Il Cinghiale zbliżył się do schodów. Koń przystanął, mężny Ghiraldo omiół wzrokiem wypełniający plac tłum.

Rumak postawił lewe przednie kopyto na stopniu katedry, potem prawe przednie na następnym i rychło się okazało, że schody są zbyt strome. Tylne kopyta rozjechały się na bruku, spod podków poszły iskry. Kondotier, niezrażony, spiął konia jeszcze raz, a potem kolejny. Rumak parsknął i bezradnie spojrział na fasadę świątyni. Tłum zaczął szemrać. Il Cinghiale powiedział coś do stojących najbliżej, po czym zawrócił wierzchowca i usiłując zachować godność, spokojnie jął objeżdżać katedrę od południowej strony. Tłum rozstępował się, ale nikt nie opuścił **Piazza del Duomo**. Kondotier dotarł do wylotu **Vicolo di Misericordia**, jednego ze ślepych zaułków odchodzących od **Piazza del Duomo**. Tam spiął rumaka i przystanął. Jego służący ruszył w stronę katedry, nawołując ludzi do utworzenia szerokiego szpaleru. Ghiraldo da Firenze postanowił zdobyć katedrę od strony transeptu. Kiedy droga przed nim została otwarta, na kilka chwil cofnął się w cień zaułka i zniknął z oczu zgromadzonym na placu obywatelom. A potem, jakby nieudana próba nie miała w ogóle miejsca, Il

Cinghiale powtórzył swój triumfalny wjazd na plac. Tym razem potrzasał kopią, pozdrawiając tłumy, i uśmiechał się do machających chustkami kobiet. Zadeły trąby. Kiedy dotarł w pobliże spiżowych wrót, jego zadanie było łatwe. **Piazza del Duomo** jest pochyła, wejście do transeptu znajduje się na równi z ceglana nawierzchnią placu. Potem, już za drzwiami, kilka stopni wiedzie w dół, ale te nie powinny sprawić rumakowi kłopotu. Dlatego też bez większych przeszkód i upokorzeń Ghiraldo da Firenze dojechał do spiżowej bramy. Spojrzał na słońce, posłał obywatelom nostalgiczne spojrzenie, westchnął, po czym wierzchołkiem kopii pchnął spiż.

Po chwili zniknął we wnętrzu katedry. Odgłos podków uderzających o posadzkę wydostawał się przez otwarte wrota. Nikt nie poszedł za nim, ludzie stłoczyli się wokół portalu. Stojący nieco dalej wskakiwali innym na plecy, by lepiej widzieć. Ci, którzy byli najbliżej wydarzeń, raz po raz rzucali w tłum kolejną porcję wrażeń. Powtarzane wieści rozbiegały się po **Piazza del Duomo**. Jedzie; przystanął; nie, jedzie dalej; dojechał do głównej nawy; osadził konia; pochylił kopię; wyprostował się w siodle; wyszeptał imię Najświętszej Pani.

I tu relacje się urwały. Stojący najbliżej wrót nie reagowali na pokrzykiwania zza pleców. A Ghiraldo da Firenze zaczął kamienieć. W mgnieniu oka jego twarz stężała. Wargi, które jeszcze przed momentem szeptały modlitwy, nagle znieruchomiały. Cała twarz zbieleła, chwilę potem biel pożarła jego szatę, czaprak rumaka i całego wierzchowca. Wszystko to działo się między jednym a drugim uderzeniem wystraszonego serca. A kiedy serce tłumu zabiło po raz trzeci, wszyscy mogli już tylko z niedowierzaniem wpatrywać się w kamienny posąg dumnego kondotiera.

Napierającym z tyłu rzucono tylko kilka słów. Skamieniał jak szalenciec, ta wieść obiegła cały plac. Ci, którzy to widzieli na własne oczy, pobladli wycofywali się spod katedry. Ci, którym nie było to dane, przepychali się, by zobaczyć posąg. I tak zakończył się sen o wybawieniu, które miało przyjść wraz z Ghiraldem da Firenze, zwanym Il Cinghiale.

Nie było sensu wracać do codziennych zajęć, obywatele zatem rozeszli się do swych domów i tawern, by przy czerwonym winie omówić całą sprawę. Dla tak sennego miasta jak nasze nie trzeba smoka, by rozpaść wyobraźnię i umysły obywateli. A co dopiero, kiedy pożywką dla rozmów są takie wydarzenia! Z jednej strony Miasto zasmuciła klęska kondotiera, Il Cinghiale bowiem zawiódł pokładane w nim nadzieje. Z drugiej strony fakt, że poza nim nikt nie ucierpiał, choć przecież wyjąwszy starców i kaleki w zasięgu smoka znaleźli się dzisiaj wszyscy, napawał nadzieją. Coraz wymyślniejsze pomysły na pokonanie bestii walczyły z ogarniającym obywateli przekonaniem, że do smoka trzeba się przyzwyczaić. Byle tylko nie zaglądać do katedry. Fatalizm mieszał się z bez troską, wino zaostrzało niegroźne spory.

Tego wieczoru większość mieszczan zasypiała z przekonaniem, że jutro trzeba wstać i normalnie żyć. Tak, jakby smoka nie było. Przecież jego istnienie nie zostało jeszcze przez nikogo udowodnione.

Kiedy całe miasto śniło, że smoka prawie nie ma, na **Piazza del Duomo** drobnym kroczeniem wspiął się jeden ze starców, Gianluca Caprioli. Postukując niezdarnie laską, podszedł do katedry i ostrożnie pchnął spiżowe wrota. "Battisto, idę do ciebie", niewyraźnie wykrzyczał w ciemność bezzębnymi ustami. A potem zanurzył się w mrok **Duomo**.

Ale Miasto nie zauważyło tego cichego dramatu. Kołysane winem pogrążyło się w sennym spokoju. I tak zakończył się trzeci dzień nawiedzenia.



## Dzień czwarty

Ranek zburzył ten pozorny, rozlewający się leniwie spokój. Mieszkam tuż przy **Piazza del Duomo**, w niewielkim domu przy **Vicolo di Misericordia**. Zaulek jest ślepy, lecz teologowie z naszego Miasta nigdy tego należycie nie przemyśleli. Pora była szara, przedświtowa. Świat nie miał jeszcze żadnych barw, na powierzchni ziemi pozostały tylko bryły i kształty. W takiej porze

człowiek albo śpi głęboko, przedzierając się przez najgęstsze sploty snów, albo budzi co chwila, czekając na rodzący się na wschodzie poranek. Tego dnia, w popielatej porze przedświtu usłyszałem dochodzące z dołu zawodzenie. Tak zawodzą tylko matki nad grobami swych dzieci. Rozpacz bez dna, skowyt człowieka spadającego w czarną otchłań. Poruszony, podbiegłem do okna – zawodzenie dochodziło od strony placu przy katedrze. Narzuciłem na ramiona płaszcz i zbiegłem po schodach.

Przez środek **Piazza del Duomo** kroczyli mężczyzna i kobieta, potykając się o niewidzialne przeszkody. Byli nadzy. Ona zawodziła, wypowiadając słowa w nieznanym języku. Jej głębokie oczodoły skrywały wypłakane oczy. Rękami niezdarnie zasłaniała piersi i łono. Mężczyzna szedł w milczeniu. Łkanie wstrząsało jego barkami, ale zaciskał zęby i tylko chował twarz w dłoniach. Kilkakrotnie upadali i podnosili się niezdarnie. Widziałem zdartą skórę na ich kolanach i łokciach oraz ciemne, pozbawione czerwieni strużki krwi. Szli wolno, jakby drogi im przybywało. Kobieta parę razy oglądnęła się lękliwie za siebie. Przez ramię spoglądała na ciemny masyw katedry, po czym zaczynała wyć jeszcze głośniejsze, rzucając głową na boki.

Światło kaganków mrugało zza okiennic, zbudzeni mieszkańcy przyglądali się osobliwej scenie. Wreszcie, głusi na nawoływania porządnych obywateli, nadzy ludzie opuścili plac. Podążali w stronę **Porta degli Innocenti**. Korytarze ulic wypełniły się szlochem i niewypowiedzianą, odartą ze słów skargą. Ruszyłem za nimi, a wraz ze mną kilku wybudzonych.

Nie jestem pewien, czy ci ludzie mieli w pamięci fresk Francesca del Piera z naszej katedry. Nie wiem, czy towarzyszący mi, ziewający obywatele Miasta wiedzieli, że podążają krok w krok za wygnanymi przed chwilą z Raju Adamem i Ewą.

Wygnańcy nie reagowali na ludzkie słowa. Szli, jakby głusi i ślepi na to, co się dzieje wokół nich. Jakby oni i ich dramat wypełniali cały świat. Kiedy dotarliśmy do bramy, robiło się już jasno. Nieoczekiwanie popielata tkanina nieba pojaśniała i zaróżowiła się na wschodzie. Z drzew za murami odezwały się ptaki. Zrównałem swój krok z nagą parą. Ktoś litościwie okrył

kobietę kawałkiem sukna. Wyglądali jak żywi. Byli żywi. Ich krew była prawdziwą krwią, czerwoną w świetle budzącego się dnia, a łzy prawdziwymi łzami, słonymi jak morska woda.

Przypomniałem sobie, jak Francesco wyrysowywał na mokrym tynku czerwonym kolorem kontury postaci. Przypomniałem sobie, jak w skupieniu nadawał odpowiedni wyraz twarzom pierwszych Rodziców. Pamiętam, jak pewnego dnia przyszedłem do niego i wspiałem się na rusztowanie. Kiedy po raz pierwszy spojrzałem na ukończoną twarz Ewy, naprawdę usłyszałem jej krzyk. Ten sam, który obudził mnie dzisiejszej nocy.

Adam i Ewa opuścili Miasto. Spojrzeli tęsknie na jego kamienne mury, po czym ruszyli pylistą drogą w dół wzgórza. Zatrzymali się dopiero na sąsiednim garbie. Mieszczanie wrócili do swych domów, ja zaś siadłem w nieznaczej odległości i z biciem serca przyglądałem się wygnańcom. Widziałem, jak Adam na kolanach szarpie palcami trawę, jak wyrывa i odrzuca kamienie, jak łamie paznokcie na twardych korzeniach drzew. Co jakiś czas przecierał pokrytą pyłem twarz. Bez chwili wytchnienia walczył z ziemią. Ewa znikła mi z oczu, pewnie na moment schowała się w cieniu oliwki. Czułem, że podglądam coś, czego nie powinienem widzieć. Jakbym był świadkiem wydarzeń, które dokonywały się bez świadków. Zawstydzony wróciłem do Miasta.

Kiedy dowlokłem się na **Piazza del Duomo**, panowało tam dziwne poruszenie. Na stopniach katedry siedziała zawinięta w bandażu kobieta. Jej twarz była żółta, powieki ciężkie, spojrzenie nieobecne. Rozglądając się niepewnie, próbowała niezdarnie zderzyć z siebie krępującą ruchy tkaninę. Zabandażowanymi dłońmi pocierała na przemian ramiona i tułów, z każdym ruchem nieznacznie rozluźniając białe zwoje. Jej rysy były ostre, głęboko żłobione. Wciągnąłem powietrze, ale nic nie czułem. Uklęknąłem przy niej i pomogłem jej zrzucić zwoje. Inne kobiety nakryły jej wychudzone, żółte ciało płaszczem. A ja podniosłem bezradną niewiastę i pomogłem jej ustać. Jej nogi, zdrętwiałe od długiego skrępowania, z trudem potrafiły stawiać kroki.



Zaprowadziłem Tabitę do mojej gospodyni i poprosiłem o troskliwą opiekę. Dziewczyna usiadła w kuchni i przez chwilę patrzyła mi w oczy. Za sprawą Francesca del Piera, Tabita miała twarz Battisty Caprioli.

Wydarzenia dzisiejszego poranka były jedynie zapowiedzią tego, co miało się jeszcze stać w ciągu dnia. Kolejne postaci schodziły z fresków Francesca del Piera i ruszały w Miasto. Po wskrzeszonej Tabicie był święty Piotr, który swym cieniem uzdrowił kaleki siedzące wzdłuż **Via Roma**. Chromi powstali, ślepi przejrzeni, głusi zaczęli słyszeć. Piotr, patrząc przed siebie, opuścił Miasto i ruszył drogą w stronę Rzymu. Ze wszystkich namalowanych przez Francesca świętych Piotrów smok musiał wybrać akurat tego, który mimowolnie uzdrawiał cieniem. Nie tylko cudownie uleczeni poczuli do smoka sympatię. Po Apostole wyszło wiele postaci tworzących tłum na freskach. Świadcowie kazań, uzdrowień, wskrzeszeń, osoby bez imion i historii. Ci, ubrani współcześnie, wtopili się w tłum, chcąc powrócić do miejsc, z których zostali wyrwani. Do warsztatów tkackich, kramów z owocami, klasztorów. Ale nie czekały na nich żadne krosna, wagi i modlitewniki. Błąkali się po ulicach przez cały dzień. Nie wiem, gdzie znaleźli spoczynek.

W porze sjeisty, kiedy plac znów opustoszał, z katedry wyszedł mężczyzna w sile wieku. Odziany był zwyczajnie, schludnie, ale niezbyt wykwintnie. Przez chwilę mrużył oczy i przesłaniając je dłonią, spoglądał w niebo. A potem wolnym krokiem ruszył w dół po schodach i skierował się do swej pracowni przy **Vicolo di Mise ricordia**. A kiedy zastał ją zamkniętą, postanowił odwiedzić przyjaciela, który mieszkał w sąsiedniej bramie.

Spałem, kiedy Francesco del Piero zapukał do mych drzwi. Zaprosiłem go do środka i długo w milczeniu patrzyliśmy sobie w oczy. Znałem to spojrzenie, zagadkowe, pełne wątpliwości. Często, oglądając freski Francesca, spoglądałem na mężczyznę słuchającego kazania świętego Piotra. Inni namalowani przez del Piera patrzyli w spokojną, mądrą twarz Apostoła, ale ten jeden wydawał się niezainteresowany cudownymi wydarzeniami. Głowę miał odwróconą i spoglądał prosto w oczy każdemu, kto

podziwiał malowidło. W jego spojrzeniu było tak wiele tęsknoty. Francesco nie chciał umieszczać swojego autoportretu wśród fresków. Zrobił to na wyraźną prośbę biskupa. Dopiero w ostatniej chwili przemalował twarz jednego z mieszczan. Po śmierci mistrza często odwiedzałem to milczące oblicze. Teraz ten Francesco siedział przy moim stole. Gdyby nie kaprys biskupa, pewnie bym go już nie spotkał. Nie mówił wiele. Opowiedziałem mu o smoku i wydarzeniach ostatnich dni, ale zdawał się nie słuchać. Był nieobecny, bezwiednie błądził wzrokiem po domowych sprzętach. Potakiwał tylko po to, bym przyspieszył opowieść. Jakby o wszystkim wiedział. Jakby znał prawdę o całej sprawie, a ode mnie dowiadywał się nieistotnych szczegółów. Nie był tym Franceskiem, którego znałem. Trudno przecież, żeby był nim naprawdę. Zapytałem go, kim jest smok. Popatrzył na mnie, a w jego spojrzeniu były dziesiątki odpowiedzi. Chciałem go nakarmić i napoić, ale jedynie się uśmiechnął. Potem wstał i poszedł przejść się po mieście.

Nie wiem, po co smok ożywił wizerunek mego przyjaciela. Czy za tą twarzą, za ludzaco ludzkim spojrzeniem był tam jeszcze choć strzęp prawdziwego Francesca del Piera? Czy ożywione malowidła miały duszę? Czy miały ciało, które potrzebuje jeść, pić i spać? Czy były ludźmi, czy też podobnymi do smoka bestiami, przybyłymi spoza świata żywych i martwych? Skąd oni wszyscy pochodzili? Czy smok też był ożywionym malowidłem smoka, które zeszło z fresku w jakiejś odległej katedrze? Dlaczego smok zmieniał w kamień to, co żywe, i ożywił to, co było martwe?

Nie znam odpowiedzi na te pytania. Nie wiem nawet, czy są dobrze postawione. Powędrowałem do klasztoru predykantów, gdzie nieustannie prowadzono teologiczne dysputy o smoku. W młodości studiowałem w Perugii sztuki wyzwolone, zanim los uczynił ze mnie dzwonnika w Mieście. Ciekaw byłem, czy zakonnicy zbliżyli się do odpowiedzi na moje pytania. Czy stawiali je tak samo, czy też zupełnie inaczej. W klasztorze utworzyły się dwie frakcje. Jedni byli zwolennikami tezy, że smok to dzieło Szatana. Wypędza ludzi ze świątyni, zabija niewinnych, zmieniając ich w kamienie. Błuzni przeciw boskim

prawom, ożywiając malowidła. Czyż stwarzanie nie jest zarezerwowane jedynie dla samego Boga? Inni twierdzili, że smok może być znakiem od Boga. Ukarzał tylko nadmiernie ciekawych i pewnych siebie. A może to jest powtórne przyjście, wymknęło się jednemu zakonnikowi, który zaraz zamilkł wystraszony swą hipotezą. Zastanawiające było to, podjął ojciec Iacinto, że smok wybrał na swą siedzibę kościół, gdzie znajduje się niedokończony fresk Zmartwychwstania. Gdyby Francesco del Piero dokończył swe dzieło, pewnie wśród nas chodziłby sam Chrystus, ożywiony mocą i wolą smoka. Mielibyśmy iść za nim? Byłby prawdziwym Bogiem czy tylko obrazem Zmartwychwstałego? Czy obraz może zobowiązywać? Smok oszczędził nam takich wątpliwości, spośród setek kościołów wybierając akurat ten, który zamiast Chrystusa Zmartwychwstałego ma fresk pustego grobu. Z tego trzeba wyciągnąć logiczne konsekwencje. W sali było gęsto od sylogizmów i przywoływanych autorytetów. Jeden z pomysłów był taki, by pokonać smoka jego własną bronią. Wstawić do katedry obraz bohatera pokonującego smoka. Ożywiając bohatera, smok unicestwi sam siebie. Były głosy sceptyczne. Smok łatwo w pułapkę schwytać się nie da. A co będzie, jeśli ożywi bohatera, ten go zabije, a smok okaże się Bożym posłańcem albo, tu ściszano lękliwie głos, Bogiem samym? Jaka przyszłość czeka Miasto, które nie zauważyło Jego powtórnego przyjścia? Ulec Szatanowi to ludzka rzecz, która zapewne znajdzie zrozumienie, lecz powtórnie zabić Boga to zbrodnia, której nie można wybaczyć.

Ojciec Bonawentura z kolei zaproponował karkołomną tezę, że smok jest poza Bogiem i Szatanem. Że antynomia tych dwóch jest niewystarczająca, by zrozumieć to, co się wydarzyło. Poza dobrem i złem, poza życiem i śmiercią, poza bytem i nicością, oto tezy Bonawentury. Zanim skończył wyciągać z nich konsekwencje, umilkł, spłoszony swymi słowami.

Zauważyłem, że wszyscy gładko posługiwali się słowem "smok". Nawet kiedy deklarowali, że nie wierzą, by w katedrze naprawdę zaległa bestia. Jednakże dla własnej wygody właśnie smokiem nazywali cały zbiór dziwnych przypadków ostatnich

dni. Smok zmienia w kamień, smok ożywia freski. Poręcznie było nazwać niezrozumiałą tajemnicę tym słowem. Bezpiecznym, bo będącym imieniem nieistniejącej, baśniowej bestii.

Na wynik debaty niecierpliwie czekali ojcowie, którzy w każdej chwili mogli zająć się szukaniem winnych. Mieli już własne propozycje, szeptem przekazywali sobie prawdopodobne nazwiska. Byli gotowi do poszukiwań, jeśliby tylko rozstrzygnięto, że pojawienie się smoka jest winą, i to na dodatek czyjąś. Byli gotowi w każdej sytuacji. Mimo to, wobec braku właściwego rozpoznania postanowiono debatę odłożyć do dnia następnego. Franciszkanie byli równie bezradni.

Po co smok ożywił wizerunek mego przyjaciela? Pewnie nigdy nie poznam odpowiedzi na to pytanie. Ale nie zapomnę też miny Francesca, kiedy patrzył wieczorem na wychodzącą z katedry widmową armię cesarza Konstantyna. Żołnierze na silnych koniach. Kopie i piki wzniesione prosto w niebo. A pomiędzy nimi Krzyż. Na ich twarzach nie było żadnych uczuć. Tylko spokój i wiara. Kroczyli powoli, z godnością, do **Porta Aurea**. Za murami straciliśmy ich z oczu. Francesco siedł koło mnie i płakał ze szczęścia. Nigdy go takim nie widziałem. Jeżeli to nie była reakcja prawdziwego człowieka, to nikt z nas nie był wtedy człowiekiem. Przy wieczerzy, której Francesco nie zjadł, udało mi się go namówić na dzban wina. Wypił i zachęcony przeze mnie opowiedział, co czuł, patrząc na własne, cudownie ożywione dzieło. Ale nie mówił o tym tak, jak potrafiłby to prawdziwy Francesco del Piero. Wtedy tęsknota w oczach namalowanego przyjaciela wydała mi się pozorna. Głębia maskowała pustkę, a ożywiony przez smoka Francesco był tylko skorupą pochłapaną farbami. Był pusty jak wydmuszka jajka.

Usnąłem z twarzą w półmisku. I tak zakończył się czwarty dzień nawiedzenia.



## **Dzień piąty**

Nie spałem dobrze. Ktoś, pewnie Francesco, musiał mnie

przenieść od stołu na posłanie. Sam pewnie poszedł do swej pracowni, do której wreszcie dostał się przed wieczorem. Raczej nie spał, po cóż miał spać, tylko chodził i oglądał szkice i niedokończone obrazy. Wszystko trwało tam tak, jak zostawił to w dniu śmierci. Powinienem się dziwić. Dziwić powrotowi przyjaciela, dziwić smokowi i jego dziełom. Ale się nie dziwiłem, tylko spałem. Nad ranem obudził mnie sen. Byłem w namiocie i wtedy zobaczyłem anioła. Leciał w moją stronę, głowę ukrył w ramionach, a we mnie wymierzył wskazujący palec. Wiedziałem, że się nie zdołam się przed nim nigdzie ukryć. W ostatniej chwili anioł zawisł na szczycie namiotu. W jego dłoni zobaczyłem złoty, jaśniejący krzyż. Temu znakowi służyć będziesz, pod tym znakiem będziesz wiódł swe wojska, wyśpiewał cicho anioł.

Obudziłem się i siadłem na łóżku. Serce mi łomotało. Wylałem na głowę wiadro zimnej wody, a potem podszedłem do okna i pchnąłem okiennice. Nie mnie jednego obudził ten sen. Ludzie stali w oknach, patrzyli lękliwie na niebo i czynili znak krzyża. Tej nocy całe Miasto śniło sen Konstantyna, wymalowany po prawej stronie prezbiterium, u samego dołu.

Nie mogłem usnąć aż do rana. Przewracałem się w pościeli. O pierwszych zorzach ubrałem się i poszedłem na spacer po mieście. Snułem się po uliczkach i pustych placach, zaglądałem do chłodnych kościołów. Zauważyłem, że zakłęty w piaskowiec szalenciec z **Campo di Conchiglia** zaczyna się osypywać. Jego twarz niemal straciła rysy, z sylwetki, łachmanów, kościstych kończyn pozostały jedynie kontury. U stóp posągu zobaczyłem kupkę kamiennego pyłu. Jakby rzeźby nie wykonano w kamieniu, tylko ulepiono ją z piasku. Ruszyłem dalej, wędrując bez celu. Kiedy natrafiłem na pierwszych przechodniów, ziewających i zdążających do swych zajęć, wróciłem na **Piazza del Duomo**.

Katedra wyłaniała się powoli z ciemnego tła. Kształtów nabierała fasada, kopuła, ostry hełm kampanili. Krążyłem wokół niej jak sęp wokół dogorywającego wołu. Zbliżałem się i nagle przystawałem spłoszony własnymi myślami. Wstępowałem na stopnie, dotykałem ścian, po czym odwracałem się i uciekałem w

głąb placu. Wreszcie podjąłem decyzję. Zaczepnąłem powietrza i szybkim krokiem podszedłem do drzwi transeptu. Nie patrzyłem na biblijne historie, zostawiłem Kainowi dramat Kaina, Abrahamowi dramat Abrahama. Pchnąłem drzwi i zanurzyłem się w kadzidlany półmrok.

Siły starczyło mi na pierwsze kilka kroków. Szybko zszedłem po stopniach na poziom posadzki i przystanąłem. Drzwi, dobrze naoliwione w zawiasach, cicho zamknęły się za mną. Wolno ruszyłem naprzód. Transept się skończył, na lewo ode mnie rozciągały się trzy nawy. Nie patrzyłem w tamtą stronę. Serce biło mi jak oszalałe. Spojrzałem na prezbiterium, ale było za ciemno, by dokładnie przyjrzeć się freskom. Zobaczyłem tylko, że pozostał krajobraz – łagodny błękit nieba i wzgórze, ze strzelającymi w górę cyprysami, pszenicznymi łanami i oliwnymi gajami. Postaci znikły. Nie mogłem dłużej udawać. Nie przyszedłem tu podziwiać fresków Francesca. W kilku krokach podbiegłem do pierwszej kolumny i przyłgnałem do zimnego marmuru. Plecy miałem całe mokre i moim ciałem wstrząsnął dreszcz. Nasłuchiwałem, ale wokół panowała całkowita cisza. Żaden odgłos, żaden zapach nie dobiegał z głównej nawy. Nie odrywając pleców od kolumny, zacząłem powoli i bezgłośnie okrążyć marmurowy pień. Wpierw zobaczyłem posąg kondotiera. W mroku nie udało mi się zobaczyć twarzy Il Cinghiale. Rumak nie wyglądał na przestraszonego. Stał spokojnie, ze spuszczoną głową. Przesuwałem się dalej. Wtedy dostrzegłem grupę postaci. Najdalej od ołtarza stał posąg farbiarza Giuseppe. Też zaczął się osypywać, ale nadal miętosił w rękach czapkę. Pozostałe postaci kryły się za jego plecami, wychylone zza kolumn, zza ambony patrzyły na główne wejście. Kilka klęczało, inne były skulone, jedna zaś, chyba kobieta, leżała krzyżem z twarzą ku ziemi.

Rzuciłem krótkie spojrzenie na główne wrota. Niczego i nikogo nie zauważyłem. Płatanina wzorów na posadzce, wszędzie czarny i biały marmur. Gąszcz kolumn, żeber i łuków. Coraz odważniej wysuwałem się z ukrycia. Co chwila zastygłem w bezruchu. A kiedy nic się nie działo, ruszałem dalej. Nagle owładnęła mną nadzieja, że smoka już tu nie ma. Jeśli nawet był,

to sobie poszedł. Uwolnił freski i znikł. Zebrałem się na odwagę i oderwałem od marmurowej osłony. Wolno i ostrożnie wyszedłem na środek nawy. Moje oczy przyzwyczyły się do katedralnego mroku. Rozglądałem się uważnie.

I wtedy go zobaczyłem. Był wszędzie. Wężowymi splotami owijał się wokół kolumn, liczne głowy i ogony leżały na posadzce. Był czarno -biały, w poprzeczne pasy, idealnie dopasowany do wnętrza **Duomo**. Nie poruszał się, a ja zamarłem w bezruchu. Wzrokiem biegłem za kolejnymi zakrętami jego tułowia. Patrzyłem i trwałem w zachwycie. Był piękny i przerażający zarazem. Znów usłyszałem bicie swojego serca, czułem, że on też je słyszy. Chciałem uciec, ale nie mogłem, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Stałem tak, sam, bezradny, na środku nawy. Do najbliższej kolumny miałem kilkanaście kroków, posągi skamieniałych zostały za mną. Byłem tylko ja i smok. Cóż mogłem mu zrobić? Nawet z rumakiem i kopią byłbym śmieszny. Nawet cała armia cesarza Konstantyna byłaby śmieszna i nieporadna. Tak bezsilny nie czułem się nigdy. Rozglądałem się wokoło. Ogony smoka były w bocznych nawach, wspinały się po kolumnach ku sklepieniu. Jeden ze splotów przesłonił rozetę w fasadzie. Nie próbowałem liczyć, ile miał łbów i ogonów. Co chwila odnajdywałem kolejny, wciśnięty między filary, opleciony wokół kolumny.

Wtedy się poruszył. Jeden z łbów, dotąd spoczywający na posadzce, uniósł się wolno. Dostojnym, spokojnym ruchem wzniósł się pod samo sklepienie, jakby chciał wyrzeć przez alabastrowe okno. A potem zaczął schodzić, kołysząc się na boki. Patrzyłem za nim, kiedy się przesunął od jednej do drugiej kolumnady, zbliżając się coraz bardziej. O ucieczce nawet nie myślałem. Nie mogłem oderwać stóp od ziemi. Wreszcie długa, czarno -biała głowa zjechała na wysokość mojej twarzy. Był w zasięgu ręki. Zamknął powiekę i obrócił łeb bokiem do mnie. A potem powieka odsunęła się i ujrzałem oko smoka, zwrócone prosto na mnie. Ujrzałem wypukłe zwierciadło, bez źrenicy, stalowe i zimne. A potem w zwierciadle zobaczyłem siebie. Ale nie takim, jakim chciałbym się oglądać. W zwierciadlanym oku smoka byłem mały i podły. Widziałem siebie w najbardziej

wstydlivych momentach swego zycia. Widzialem siebie w sytuacjach, o ktorvch dawno zapomnialem i o ktorvch nie chcialem pamietac. Nawet podczas spowiedzi mowilem o nich okrecznie i na tyle ogolnie, by nikczemnosć moich czynow nie wyszla do konca na jaw. W oku smoka wszystkie te sceny wrócily. Nie byly to wielkie zbrodnie. Odmowilem zebrowi pomocy, bo smierdzial uryna; innemu dalem miedziaka z taka pogarda, ze sie skulil pod sciana; uwodzilem dziewczynę i oklamywalem ja, by mi sie oddala; kiedy przyjaciela w czasach uniwersyteckich nieslusznie oskarzono, ze strachu wyparlem sie go i stanalem w tlumie. Uczynki, ktore kazdy ma na sumieniu i je bagatelizuje. Czymze one sa wobec prawdziwych zbrodni? Tak sadzilem do tej pory, triumfujac moralnie nad cudzozolnikami, zabojcami i zdrajcami.

Ale w oku smoka zobaczylem cala codzienna podlosc samego siebie. Patrzylem na siebie w oku smoka i czulem do siebie odrazę. Z kimś takim nigdy bym sie nie zaprzyjaznil. Ten ktos, mały i podły, wydawal mi sie obrzydliwy. Zbieralo mi sie na mdlosci. Stalem nagi wobec prawdy o sobie, wobec samego siebie. Nie bylo juz smoka, nie osadzal mnie. Bylem sam i uczciwie musialem potepic to, co robilem. Odrzucic wszelkie pospiesznie budowane usprawiedliwienia, okolicznosci lagodzace. Wiedzialem, ze nie moge oklamac samego siebie. A potem mialem wrazenie, ze ten moj upadek, te klęskę najwieksza, widza wszyscy. Widza i smieją sie ze mnie. Ogladaja mnie w chwilach najwiekszej intymnosci, chwilach, ktore chcialbym najbardziej skryc przed innymi. I poczulem, jak plone ze wstydu. Jak zaczynaja mnie palic policzki, potem uszy i cala twarz. Jak zaczynaja swedziec mnie rece, jak zaczyna swedziec przyrodzenie, brzuch, nogi, stopy. Chcialem uciec, schowac sie, skryc przed czymkolwiek wzrokiem. Chcialem wlec w najglębsza norę, uciec od innych i od siebie, ciagle ogladanego w smoczym oku.

Swędzenie narastalo. Wiedzialem, ze nie moge sie ruszyc. Chcialem sie podrapac, zetrzec z siebie te rumienice, wykwity wstydu, lecz nie moglem. Smok powoli zaciagnal powieke i odsunal glowe. A potem uniosl powoli leb, pod samo sklepienie i



znów zaczął go opuszczać, kołysząc smukłą, długą szyją. Wreszcie delikatnie, bezgłośnie dotknął posadzki, daleko ode mnie, przy bocznej nawie. Chciałem zaczerpnąć tchu i nie mogłem. I wtedy zrozumiałem, że jestem kamiennym posągiem. Że to się dokonało.

Nie mogłem się ruszyć, nie mogłem nic zrobić. Skoro jednak skamieniałem, to dlaczego mogę patrzeć? Widzę smoka, widzę katedrę. Zatem jestem jeszcze czy mnie już nie ma?

Nie wiem, ile to wszystko trwało. Pewnie nie dłużej niż czas pomiędzy dwoma uderzeniami serca, lecz dla mnie to była wieczność. Nagle poczułem, że odrywam się od swego ciała. Że więzy przykuwające mnie do marmurowej posadzki opadają. Mogę poruszyć ręką, nogą. Cofnąłem się o krok. Udało się. Jeszcze jeden. I wtedy zobaczyłem przed sobą swój posąg. Obszedłem go dookoła. Zawstydzony człowieczek z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczyma. Próbujący się podrapać. Spojrzałem na swoje ręce, dotknąłem twarzy. Nie tych kamiennych, tylko tych, które z pewnej odległości przyglądały się bryle piaskowca. Miałem ciało. Miałem oczy, usta, w ustach język i ślinę. Miałem głowę, włosy na głowie, bolało, gdy je pociągnąłem. Zatem jednak żyłem, zostawiając za sobą skamieniałego siebie. Nie patrzyłem na smoka. Nie patrzyłem na nic, tylko, potykając się o własne nogi, czym prędzej uciekłem z katedry. Owionął mnie prawdziwy, poranny wiatr. Oparłem się o ścianę i zemdlałem.

Kiedy się ocknąłem, zbliżało się południe. Wstałem i poczułem się lekki i rześki. Radośnie przebiegłem przez plac. Nikt nie zwrócił uwagi na moje zachowanie. Sprężystym krokiem ruszyłem do domu. Przywitałem moją gospodynię, kobietę surową i pobożną. Nie odpowiedziała. Stała przy stole i zagniatała drożdżowe ciasto. Pozdrowiłem ją jeszcze raz, a potem podszedłem bliżej. Nie zareagowała. Ostrożnie zbliżyłem się do jej twarzy i szybko przesunąłem otwartą dłoń przed jej oczami. Wydawało mi się, że zmarszczyła na moment brwi, ale nawet nie przerwała pracy. Krzyknąłem jej prosto do ucha. Chyba potrząsnęła głową, ale nie byłem pewien.

Wybiegłem z domu i zaczepiłem kilku przechodniów. Z podobnym skutkiem. Wróciłem więc, poczłapałem na górę i rzuciłem się na posłanie. Jeszcze raz spojrzałem na swoje ręce, dotknąłem nimi twarzy. Dlaczego inni mnie nie widzą, skoro ja siebie widzę? Nie przestałem przecież istnieć, jakoś muszę istnieć, skoro chodzę, biegam, oglądam świat. Nie miałem pomysłów na rozwikłanie tej zagadki.

Kiedy znów wyszedłem na zewnątrz, dla pewności sprawdziłem, czy dalej mnie nie widać. A potem zacząłem spacerować po mieście, próbując poukładać sobie to wszystko w głowie. Smok istniał, to było pewne. Nie wiem, w jaki sposób, i czym był posłańcem. Gdybym nawet znał odpowiedzi na te pytania, niewidzialny i niesłyszalny nie na wiele przydałbym się zakonnym teologom. A więc smok był, siedział w katedrze. Żywych ludzi zmieniał w kamień, ale nie unicestwiał ich. Jacyś straceńcy, podobni mnie, musieli chodzić po mieście. Podobnie jak ja, snuł się uliczkami farbiarz Giuseppe, Ghirardo da Firenze i ci wszyscy, których posągi ujrzałem w **Duomo**. Smok ożywia też malowidła, ale po rozmowie z Franceskiem wiedziałem, że to tylko ludzkie powłoki. Zrozczeni pierwsi Rodzice potrafią tylko lamentować po utracie Raju, bo tak zostali namalowani. Święty Piotr będzie tylko uzdrawiał cieniem, a Tabita może powstawać z martwych i zrywać bandaże. Nie mają własnego życia, zapewne nie mają też żadnej świadomości tego, że istnieją.

Wysuwałem śmiało hipotezy, obalałem je, kreśliłem różne możliwości. Tak dotarłem na **Campo** i bezwiednie podszedłem do posągu szaleńca. Dlaczego skamieniał poza katedrą? Próbowałem go sobie przypomnieć. Nie wiem, czy kiedykolwiek słyszałem jego imię. Ale pamiętałem, jak mówił. Wszyscy wiedzieli, że był niespełna rozumu. Może zobaczył smoka, wybiegł z katedry i dopiero tu, wiele kroków dalej dotarło do niego, co uczynił? Może dlatego dopiero tu obrócił się w kamień? Smok posłużył się prostytutką, a myśmy mu nie uwierzyli. Szybko odrzuciłem tę myśl. Przeraziłem się, do czego może mnie doprowadzić. Jeśli w oku smoka zobaczyłem prawdę o sobie, to być może smok jest dziełem, narzędziem samego Boga. Ale też nie mogłem wykluczyć, że mój wstyd, bezradność i tamtejsza

nagość były dziełem Szatana. Może nie jestem aż taki zły, tylko smok, narzędzie Szatana, podaje mi ten wykrzywiony obraz za prawdę?

Kim był smok? Wcześniej, myśląc o nim, traktowałem go jak potężne zwierzę. Jak wielkiego węża, gigantyczną jaszczurkę. Ale ten nie pił i nie jadł. Czy oddychał? Tego też nie widziałem. Czy zatem żył? Zabić można przecież jedynie to, co żyje. Jeśli zaś nie był żywym stworzeniem, to kim? Jak można go było pokonać? I czy w ogóle trzeba było z nim walczyć? Przez te wszystkie dni nikt nie zadał sobie tych pytań. Czułem, że każda z możliwości wcześniej czy później zakończy się ślepym zaułkiem.

Ogarniająca mnie bezradność sięgała jednak jeszcze głębiej. Teraz, kiedy spisuję te słowa, starając się nieudolnie zdać relację z owych dziwnych wydarzeń, których świadkiem jest całe Miasto, czuję bezbronność inną niż starcy z Rady Pięciu, choć może tylko pochlebiam sobie tą innością. Boże, pomóż mi zrozumieć, o ile i na ile uznasz to za stosowne, co się wokół mnie dzieje. A kiedy już pozwolisz mi ogarnąć to umysłem, daj mi właściwe słowa, gdyż te, którymi władam, nie pozwalają opisać smoka. Jest tak inny od wszystkiego, co znam, że wszelkie pojęcia ześlizgują się po jego biało-czarnej łusce. Boże, mój Boże.

Jeszcze raz spojrziałem w twarz szaleńca. Ale twarz zniknęła. Pozostały tylko oczodoły, niewyraźny guz na wysokości nosa i otwór w miejscu, gdzie jeszcze kilka dni temu były usta. Jak ostry kamień w rzece stanie się z czasem obły, tak skamieniałe posągi traciły swoją wyrazistość. Wiatr rozrzucił pył z posągu szaleńca po całym **Campo**. Sam miałem na butach trochę żółtego piasku. Pył chrząścił pod stopami przechodniów.

Ruszyłem w górę, w stronę **Piazza del Duomo**. Snułem się jeszcze trochę, po czym poczułem zmęczenie. Nie byłem głodny, ale wiedziałem, że muszę się przespać.

Gospodyni dalej mnie nie zauważała. Dowlokłem się do łóżka i od razu zasnąłem.

Kiedy spałem, dobiegł końca piąty dzień nawiedzenia.



## Dzień szósty

To była noc bez snów. Obudziłem się nad ranem i w pierwszej chwili nie pamiętałem, co przydarzyło mi się wczoraj. A gdy pamięć już wróciła, chciałem pobiec na plac i namawiać wszystkich, by weszli do katedry, by się nie bali. By spojrzeli w oko smoka. Czułem się dobrze, rozpierała mnie radość. Kiedy wyszedłem z domu i dotarłem do **Piazza del Duomo**, przypomniałem sobie o konsekwencji mojej przemiany. Nie mogłem nikogo do niczego namówić, bo nikt z żywych nie wie o moim istnieniu. Nie potrafię nikomu udowodnić, że naprawdę jestem.

Bezradnie rozejrzałem się po placu. W zasadzie nie wiedziałem, co mam ze sobą robić. W takim stanie trudno być dzwonnikiem, trudno też prowadzić jakiegokolwiek życie. Nikt spośród ludzi, którzy mnie mijali, nie wiedział o moim istnieniu. Byłem w gorszym położeniu niż żebracy, bo ich obecności ludzie usilnie starają się nie zauważać właśnie dlatego, gdyż ponad wszelką wątpliwość wiedzą, że żebracy istnieją.

Żebracy, odkąd Miasto dowiedziało się o smoku, opuścili schody świątyni. Do katedry i tak nikt nie chodził, więc przenieśli się w pobliże fontanny. Część zapewne chciała szukać szczęścia pod innymi kościołami, ale kilku pozostało. Podszedłem do nich, początkowo z zamiarem odnalezienia tego, którego przed laty potraktowałem z taką pogardą. Ale po drodze uświadomiłem sobie, że nie pamiętam jego twarzy. Nie wiem, kiedy to było, jak wyglądał, ile miał lat. Jasność widzenia przeszłości, jaką miałem, patrząc w oko smoka, minęła. Pomędzy żebrakami zauważyłem jednak szaleńca. Siedział na uboczu, co chwila spoglądając na swych towarzyszy. Zdaje się, że tak robił i wcześniej, przez swą ułomność skazany na życie na uboczu.

Podszedłem do niego, a on mnie dostrzegł. Przyspieszyłem kroku. Najpierw trochę się przestraszył, ale uspokoiłem go łagodnym powitaniem. Usłyszał. Zatem mogłem się porozumiewać, ale tylko z tymi, którzy spojrzeli w oko smoka. Usiadłem obok niego, wprost na ceglanej nawierzchni **Piazza del Duomo**. Zapytałem o oko smoka. I od razu uświadomiłem sobie,

że z nim nie porozmawiam. Co z tego, że mnie słyszy, skoro nie za bardzo rozumie, co chcę mu powiedzieć. Powtarzał tylko słowa: "smok", "katedra", "przyczał". Ciągłe i w kółko.

Pożegnałem go i ruszyłem dalej, by odnaleźć pozostałych skamieniałych. Większości z nich nie znałem. Nie wiedziałem też, gdzie mieszka choćby farbiarz Giuseppe. Był znany, ale gdzie mieszkał? Zresztą, co by mi przyszło z tego, że znałbym drogę do jego domu. Przecież na pewno tam nie siedzi, bo i po co. Co więcej, może po tylu dniach swego niebytu zaszył się gdzieś, znudzony. A może odwrotnie, może wszyscy skamienieli odnaleźli się i są gdzieś, w mieście, razem rozprawiając i zastanawiając się nad dalszym losem? Mieli przecież więcej dni, by oswoić się z nieistnieniem. Nie wiedząc za bardzo, gdzie ich szukać, ruszyłem najpierw w stronę pałacu Ghiralda da Firenze. Musiałem przejść prawie całe Miasto, gdyż Il Cinghiale mieszkał przy **Via Vecchia**, niedaleko klasztoru dominikanów. Po drodze nie spotkałem żadnego skamieniałego. Bramy pałacu kondotiera były zamknięte. Stukałem długo, potem waliłem pięściami. Bez skutku. Wreszcie przyszła mi do głowy bluźniercza myśl i spróbowałem przejść przez ścianę. Cofnąłem się i odważnie zrobiłem krok do przodu. Za bluźnierstwo zostałem ukarany wielkim guzem na czole. Zniechęcony powędrowałem dalej. Jeśli jestem duszą pokutującą, to kara jest rzeczywiście dotkliwa. Nie ma żadnej smoły, żadnej siarki, tylko samotność. Jestem, ale dla nikogo nie istnieję. Będę błąkał się po świecie, nie mogąc z nikim porozmawiać. W tym momencie przemknęło mi przez myśl, że nie uda mi się spotkać nikogo ze skamieniałych. To, że rozmawiałem z szaleńcem, jeszcze niczego nie przesądza. On za życia był inny, po skamienieniu jest inny, nawet skamieniał w inny sposób. Przebiegł kilkaset kroków, zanim do niego dotarło, co się stało. Z pozostałymi, z kondotierem, farbiarzem, może być jak ze mną. Możliwe, że błąkami się, mijając się na ulicy, nie widząc się nawzajem i nie słysząc. Poczuję się samotny. Skuliłem się i objąłem rękami, chcąc poczuć choć własną obecność. Przysiadłem pod murem, gładząc się po policzku. Ludzie przechodzili obok, nie zauważając mnie. W tym dziwnym stanie niebytu czas płynął zupełnie inaczej. Człowiek

pozostawiony samemu sobie nie widzi, jak upływają chwile. Nie musi na nic czekać, nic go nie goni. Nie czuje głodu, nie pragnie. Przestaje żyć nadziejami, które otwierają go na czas przyszły. Trwa w teraźniejszości, a wokół czas ucieka niezauważenie. Ja dostrzegłem to dopiero, siedząc pod murem. Wydawało mi się, że od mego wstania, rozmowy z szaleńcem minęła może godzina, ale wokoło właśnie kończyła się sjesta. Takie zwykłe przycupnięcie pod murem sprawiło, że nagle kilka godzin wyciekło, nie pozostawiając po sobie śladu. Kiedy pomyślałem, że muszę jakoś tę przyszłą wieczność zaplanować, ogarnęła mnie panika. Ile dni można chodzić po mieście, stawiać hipotezy, ile czasu można się użalać nad swoim losem? Bałem się pomyśleć, co będzie, kiedy i to się skończy. A jak utracę stare nawyki? Przecież tylko im zawdzięczam, że cokolwiek robię. Co będę robił, kiedy nic nie będę robił?

Nie namyślając się wiele, postanowiłem pójść do katedry. Smoka już się nie bałem. Drugi raz mnie w kamień nie zamieni, a gdyby nawet, to już wiem, jak to jest. Zamiast samotnie błądzić po mieście, zadam mu kilka pytań. Szedłem, zaciskając pięści. Bez strachu dotarłem na **Piazza del Duomo**. Pasiasty marmur przełamał wszechobecną ceglastość. Kiedy zbliżałem się do drzwi, poczułem lęk. Lęk przed tym, że w katedrze nikogo nie zastanę. Że wejdę tam, stanę w głównej nawie, a smoka nie będzie. Ale nie miałem wiele do stracenia. Po raz kolejny pchnąłem drzwi, Stary Testament rozstał się na boki.

Smok był, ale inaczej niż poprzedniego dnia. Dziś nie leżał na posadzce, tylko unosił się ponad nią. Na tyle wysoko, że musiałem zadzierać głowę. W połowie wysokości głównej nawy zobaczyłem jego zwoje. Kłęby ogonów nadal oplatały kolumny, szyje wspinały się po łukach i żebrach sklepienia. Tym razem był w ciągłym ruchu. Niemal niezauważalnie, ale nieprzerwanie jego ciało przelewało się to w jedną, to w drugą stronę. Zasupywał się w nowe węzły i rozsypywał te zadzierzgnięte wcześniej. Patrzyłem z podziwem. Stałem tam pod nim i czułem, że drżą mi łydki. Nie byłem już taki pewny siebie. Nie chciałem ponownie zobaczyć siebie w zwierciadlanym oku. Nie chciałem oglądać swych nikczemności, codziennych bezinteresownych podłości i

zaniechań.

Smok się poruszał, ale nie zwracał na mnie uwagi. Stałem, nie kryjąc się w bocznych nawach, a jednak nie skierował ku mnie żadnego ze swych potężnych łbów. Czyżby już ze mną skończył? A może, jak inni, też mnie nie zauważał? Zrobiłem kilka kroków i zamachałem rękami. Nadaremnie. Zacząłem więc chodzić po głównej nawie, z zadartą głową podziwiając smoka. Cóż innego mogłem robić? Miałem przecież mnóstwo czasu. Nie patrząc pod nogi, w pewnej chwili potknąłem się. Potknąłem się o siebie, o swój kamienny posąg. Zajrzałem sobie w oczy, ale twarz z piaskowca nie przypominała mojego oblicza. Była podobnie zniekształcona i wypłukana jak twarz szaleńca na **Campo**. Podszedłem do innych figur. To samo. Z najstarszych pozostały tylko kupki piasku. Dość dobrze trzymał się koń Ghiralda, ale po jeźdźcu nie było ani śladu. W proch się obrócisz, powiedziałem nad resztkami farbiarza Giuseppe.

Oglądanie smoka wyczerpuje. Ścierpł mi kark i trochę rozboleły oczy. Nie czułem zmęczenia w zwykłym znaczeniu, tylko jakieś niewyjaśnione wycieńczenie. Smok nadal nie reagował na mnie, więc ośmielony chodziłem po całej katedrze, zaglądając i podglądając go z rozmaitych stron i perspektyw. A ten unosił się coraz wyżej. Większość jego zwojów znajdowała się już na wysokości łuków bocznych naw. Ogony zaczęły się uwalniać od kolumn. Fala wyczerpania powróciła. Wtedy przyszło mi do głowy, że jeśli się prześpię, to może ktoś mi się przyśni. A we śnie może będę mógł rozmawiać z ludźmi. Pokusa tego iluzorycznego kontaktu, tej namiastki prawdziwego istnienia pociągała mnie coraz bardziej. Z początku skierowałem swe kroki ku drzwiom, ale po chwili zrozumiałem, że nie mam ochoty spać w tamtym świecie, poza katedrą. Wspiąłem się więc na ambonę, zwinąłem w kłębek i usnąłem.

Nie wiem, ile spałem. Kiedy się obudziłem, słońce jeszcze nie zaszło, gdyż przez alabastrową rozetę wsączało się do wnętrza katedry jego odrealnione, blade światło. Spojrzałem w górę i zobaczyłem smoka. Był już pod samym sklepieniem, spora jego część wypełniła kopułę. Co dziwne, smok zaczął tracić

wyrazistość swego ubarwienia. Ostro skonstrastowane pasy niemal zlały się ze sobą, zanikły granice między czernią i bielą. Smok nie dotykał już ścian katedry. Spomiędzy gęsto splecionych zwojów jego cielska zwisały prosto ogony, niczym wąsy winnego krzewu. Łby stłoczyły się w kopule. Smok zamarł nade mną w bezruchu. Przypominał skłębioną chmurę.

Słońce chyba kryło się za dachami pałaców, światło bowiem było coraz słabsze. Smok na moich oczach stawał się szaro - popielaty, niemal zupełnie jednorodny.

I wtedy się zaczęło. Najpierw zobaczyłem błysk tak oślepiający, że aż zasłoniłem oczy. I w tym samym momencie katedrą wstrząsnął potężny huk. Spod samego sklepienia w posadzkę jęły bić pioruny. Grzmoty ciągłym łomotem wypełniły marmurowe wnętrza. Smok rozjarzał się co chwila. Zamknąłem oczy, choć przez powieki i tak widziałem nagle rozbłyski. Iskry szły po posadzce po każdym gromie. Hałas stał się nieznośny, miałem wrażenie, że mury katedry zaraz pękną. Aż wreszcie spod sklepienia lunął deszcz. Wpierw poczułem na nosie kilka kropeł. Jednak nim zdążyłem zadrzeć głowę, byłem cały mokry. Drobne krople siekły mnie po twarzy. Na posadzce pode mną zaczęły się tworzyć kałuże. Szybko się powiększały i zlewały ze sobą. Cała podłoga katedry wypełniła się wodą. Nadal grzmiało. Pioruny błyskały i z sykiem gasły w wodzie, jak główne pochodni zanurzone w fontannach. Na języku poczułem cierpki, metaliczny smak. Stałem wsparty o krawędź ambony niczym kaznodzieja i patrzyłem na rozszalały żywioł. Po twarzy strumieniem spływała mi woda.

Na moment przestało grzmieć i wtedy usłyszałem drżenie dzwonów. Wstrząsy, jakie przyniosła katedralna burza, sprawiły, że najlżejsze z dzwonów, zawieszane na niższych kondygnacjach kampanili, zaczęły rezonować. Odzywały się niepewnie i z przestraciem. Szybko przestałem je słyszeć, gdyż burza rozegrała się na nowo. Na powierzchni wody tworzyły się fale i jezioro wypełniające katedrę zaczęło się kołysać od jednej bocznej nawy do drugiej. Spojrzałem w górę i w kolejnym rozbłysku zobaczyłem smoka, małego i skulonego pod sklepieniem. Deszcz



nie był już tak intensywny, ustały też pioruny. Smok z każdą chwilą stawał się coraz mniejszy i mniejszy. Wreszcie ubyło go na tyle, by cały zmógł się zmieścić w kopule. Odtąd krople spadały tylko stamtąd. Tafla się uspokoiła. Gdybym się mocno wychylił z ambony, pewnie mógłbym zaczerpnąć dłonią wody z morza pode mną. Ulewa przeszła w lekki deszczyk, smok zniknął w oczach. Zauważyłem, że alabaster popękał i powypadał z okien i rozety.

Kiedy przestało padać, pod kopułą katedry nie pozostał nawet cień smoka. Siedziałem jak Noe w mojej arce i nie wiedziałem, co mam robić. Nagle coś zatrzeszczało przy głównym wejściu. Odgłosy się powtórzyły, aż wreszcie główna brama nie wytrzymała i puściła pod naporem wody. Wiry, które zaczęły kipieć pod amboną, z hukiem i furią wypadły na zewnątrz, spływając w dół po **Piazza del Duomo**.

Zapewne woda wybrała najkrótszą drogę, prowadzącą w dół, przez **Via Sangiovese, Campo, Via d'Inferno Vuoto** aż do **Porta degli In nocenti**. Tam, pewnie nie przejmując się zamkniętą bramą, znalazła ujście na szlak wiodący do Sieny. Trochę to trwało, zanim całe morze uszło z katedry. Siła nurtu wyrwała główne wrota z zawiasów i uniosła je z prądem. Razem z wodą odpłynęły też wszystkie posągi i pył, który po nich pozostał. Z **Campo di Conchiglia** zniknął też zapewne posąg szaleńca. Kiedy wszystko się zakończyło, zszedłem z ambony i rozchlapując kałuże, wyszedłem z katedry. Na **Campo** ostrożnie zbierali się ludzie. Wychodzili z ukrycia, gdzie przeczekali żywioł, i zaczęli głośno debatować nad tym, co się stało. Wtedy to z **Via Sangiovese**, od strony **Piazza del Duomo**, na główny plac Miasta wbiegł szaleniec i wykrzyczał, że smoka już nie ma.

Tym szaleńcem byłem ja. A ludzie widzieli mnie i słyszeli, co mówię.

Tego samego wieczoru wielu obywateli Miasta wspięło się na plac katedralny i ostrożnie, głównym wejściem, zajrzało do **Duomo**. Ale w środku nie zobaczyli nic nadzwyczajnego, poza kałużami wody na posadzce.

Miasto długo nie mogło spać. Na placach rozpalono ogniska,

przy których pieczono zabite z tej okazji woły i jagnięta. Właściciele tawern częstowali winem, a do weselących się grupiek podchodzili starcy, pytając, co się właściwie stało. Wokół odnalezionych skamieniałych tworzyły się grupki słuchaczy, ale ci opowiadali o ostatnich dniach jakoś dziwnie i niezrozumiale. Wszędzie grała muzyka i obywatele Miasta tańczyli, łącząc się w długie korowody. Żywe węże oploty całe miasto. A ja, kiedy zaspokoilem pierwszy głód, wspiąłem się na szczyt kampanili i dzwoniłem na radość, aż opadłem z sił. I tak zakończył się szósty dzień nawiedzenia.



### **Dzień siódmy**

Rankiem do Miasta powrócił nasz biskup, oczekiwany Lorenzo di Sansepolcro. Posłano po niego przed kilkoma dniami, a wieści o smoku były tym, co go zaciekało i szczerze zatroskało o losy owczarni. Najwyraźniej był dobrze poinformowany, bo nie okazał zdziwienia, widząc ślady po wyrwanych z zawiasów wrotach i zniszczoną alabastrową rozetę. Spojrzał ze spokojem i oznajmił, że za chwilę odprawi w katedrze mszę. W intencji Miasta i jego obywateli.

Katedra wyglądała jak dawniej. Wprawdzie na posadzce zostały jeszcze pojedyncze kałuże, ale nikt się tym nie przejmował. Freski Francesca del Piera znikły zupełnie, poza jednym, niedokończonym malowidłem Zmartwychwstania.

Chyba po raz pierwszy wszyscy obywatele Miasta zebrali się na mszy w **Duomo**. Przyszli nawet ci, którzy zwykle omijali kościoły. Mimo to nie zdołali wypełnić wszystkich trzech naw. Ktoś, kto przyglądałby się nam spod samej kopuły, mógłby nawet powiedzieć, że była nas ledwie garstka. Setki ludzi niknęły w dostojnym ogromie **Duomo**. Patrzyliśmy po sobie, jakbyśmy nie wierzyli we własne bezpieczeństwo. A biskup z właściwą mu jowialnością wygłosił umacniającą homilię, potem wszystkich pobłogosławił i rozesłał. Zanim wróciłem do domu, wspiąłem się na kampanilę. Patrzyłem, jak ludzie wąskimi uliczkami wyciekali

z placu, a potem z radością biłem w dzwony. Daleko ponad Miastem niosły się ich mocne, czyste dźwięki.

Francesca del Piera już nigdy spotkałem. Zniknął, podobnie jak reszta ożywionych przez smoka malowideł. Odwiedziłem jego pracownię. Zobaczyłem, po raz pierwszy, jak miał wyglądać Chrystus z fresku Zmartwychwstanie. Przyjrzałem się niedokończonemu projektowi witraża, który niegdyś miał zastąpić alabastrową rozetę. Teraz wiem, że się przyda. Zanurzyłem się w Miasto. Ludziom udzielił się spokój i entuzjazm biskupa. Rozmawiali tak, jakby smoka nigdy nie było. Udawali, że nic się nie stało, że wszystko nam się przyśniło. Zresztą dla wielu z nich smoka naprawdę nie było. Miasto mogło powrócić do dawnego rytmu. Podczas sjesty ulice znów opustoszały. Gdyby tego dnia pojawił się przy **Porta degli Innocenti** smok, znowu nikt by go nie zauważył.

Dobrze się czuję, nie trapią mnie żadne choroby. Jestem zdrow i w pełni sił. Sądzę, że pożyję jeszcze kilka lat. Mam nadzieję, że starczy mi czasu, by dokładnie przemyśleć to wszystko, co się wydarzyło w Mieście w ciągu ostatnich dni. Może w końcu uda mi się to zrozumieć. Zajęcie dzwonnika nie powinno mi w tym przeszkadzać.

**Badia di Montemuro – Kraków, lipiec – sierpień 2006**

[1] Northlandzki tydzień liczy dokładnie 10 dni, wolnych niedziel nie ma.

[Powrót](#)

[2] Na podst. Marco Polo "Opisanie świata", tłum. Anna Ludwika Czerny, PIW 1953.

[Powrót](#)